J. SŁOWACKI

PISMA

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
BOOKSTACKS

JULJUSZ SŁOWACKI
PISMA

JULJUSZ SŁOWACKI

PISMA

WYDAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

DR. STEFAN KOŁACZKOWSKI
DOCENT UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

TOM III.

KRAKÓW — WARSZAWA
BIBLJOTEKA KLASYKÓW

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA — KRAKÓW, UL. ZIELONA 7

891.85
S63
IK83
v. 3-4

PISMA PROZĄ

ŚWIĘCONE U J. O. KSIĘCIA RADZIWIŁŁA SIEROTKI.

...przez cały wielki tydzień, poszcząc i susząc, pokrzepiałem się jedynie, łykając pył książek, które, w księgarni j. o. księcia, że były długo nie czytane, prochem i kurzawą leżały okryte. W sobotę wielką, gdy pan Harmider z działami i puszkarzami wyrzuszył na ressurekcją, udałem się także do Nieświeża, abym przytomny był letycji i alelujom. Resurrekcja odbyła się, jak należy — książę pan z przyjacielem swoim, j. p. Abrahamem Duninem, podczaszym litewskim, klęczeli w pierwszej ławce, karmazynami wybitej, i w procesji nieśli baldakin nad celebrantem, a dziedziniec obszerny przed kościołem, wysłany makatami i liściem ajeru, wydawał się, jak łąka kwiecista. Skoro więc we drzwiach kościoła ukazał się celebrant ze złotą monstrancją i mający nad głową karmazynowy baldakin, którego kije żołciste niesione były przez j. o. księcia samego, a drugi przez wojewodę Ilinicza, pana na Mirze (który z księciem panem zrobił był układ na przeżycie, jako bezdzietny), dano ognia z dwunastu dział, a dzwonnicy na wieżach wystrzelili z dwóch moździerzy, a całe pospólstwo strzelało z kluczów, z dubeltówek, z krócic — i był huk taki, że zwalił się pułap w domie pewnego mieszczanina, który potem rozpoczął o to proces z klasztorem a te pretensje j. o. książę aż po powrocie z Ziemi Świętej zaspokoił. Było mu bowiem na sumieniu, iż armatami swojemi mieszczański dom zburzył *tempore pacis* — a z drugiej strony, upodobanie mając w harmatach, cieszył się z wielkiego, jaki zrobiły efektu; tak zaś był dumny z posiadania największych dział w prywatnej majętności, iż obraził wiecznie j. w. wojewodę trockiego, Żabę, a to w taki sposób: Będąc raz w Trokach w zamku j. w. wojewody na obiedzie, tenże wojewoda, chcąc od księcia komplement odebrać, że miał sześć armat u swego dworu, kazał puszkarzom zatoczyć je pod same okna sali, gdzie książę Sierotka jadł obiad, i dać razem ognia ze wszystkich, gdy j. o. gość kielich będzie niósł do gęby. Co też się i stało, lecz książę pan, pomiarko-

wawszy, o co rzecz idzie, nie pokazał żadnego po sobie zadziwienia, ani respektu; zniecierpliwiony tem pan Żaba, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zawołał: „A to z dział strzelają, mości książę". — „Z dział?" — odezwał się niedbale książę pan. „Myślałem, że z króciczek".

Po skończonej resurrekcji, gdy już było około północy, a my wszyscy zebraliśmy się około księcia pana, skończywszy pacierze, obrócił się do nas i mówiąc: „Chrystus woskres", całował się ze wszystkiemi, poczem zawołał: „Mości panowie! Bernardyni tańcowali na chórze z radości i pogubili trepki. Pokażmy im, że i w radości trzeba zachować pewną pretensją i powagę; proszę za mną do bramy na litanije".

Mówiąc to, piechotą udał się przez całe miasto do jednej z bram, gdzie był obraz Matki Boskiej. Brama była wąska i ciemna, jak spelunka, a jedna tylko lampa wisiała przed obrazem; tam na gołych kamieniach klęknął j. o. książę z aksamitną czapką pod pachą, a my wszyscy klęknęliśmy rzędem; wtenczas małe pacholę sierota, którego książę chował przy sobie i bardzo lubił dlatego, że mu on młodzieniec grał na lutni i pięknie śpiewał — wystąpiło w białem ubraniu i, klęknąwszy przed j. o. księciem, twarzą do Matki Boskiej, zaintonowało głosem prawie słowiczym, w którym coś niby płakania było i radości:

Regina coeli, laetare — alleluja,
Quia, quem meruisti portare — alleluja,
Resurrexit, sicut dixit — alleluja.

Książę pan porwał dziecko i ucałował, a zarzuciwszy wylotów i pogłaskawszy wąsa, zaintonował bernadyńskim głosem litanję. Lecz owoż w połowie śpiewu, kiedyśmy w najlepsze beczeli *turris eburnea,* zrobił się od wejścia bramy łoskot wielki, i, pomimo, że była pełna nas, klęczących, wjechał wóz, ciągnięty przez dwa niedźwiedzie, które szły na łapkach, a kijami się podpierały, jak ludzie, na wozie zaś była wielka kufa, srebrnemi obręczami obita, i na niej woźnica z czerwonemi rogami i z ogonem. Zrozumiałem to zaraz, że to być musi z księcia wiedzą i wolą uczyniona krotochwila. Już więc wszyscy powstaliśmy, aby nas wóz nie utrącił, a książę pan sam jeden klęczał, mając prawie niedźwiedzie na karku, co widząc, jeden z dworzan przyskoczył do księcia i wziął go pod ramiona, ciągnąc na stronę, a książę go w pysk: „Czemu mi acan przerywasz?" — Potem przetarłszy oczy, jak ze snu: „A to co?" zawołał, pokazawszy na wóz i niedźwiedzie. — Na to djabeł, siedzący na beczce, odpowiedział: „Puszczaj, mości książę; to Najświętsza Panna przysyła beczkę wody ze stopki poczajowskiej ojcom Bernardynom za to, że pięknie śpiewali na resurrekcji — bo, jeżeli nie popłuczą gardła wodą, to pomrą i nie skosztują jutro kiełbasy". — „Łżesz!" krzyknął pan Sierotka, „to djabli przysyłają księżom

beczkę dyweldreku — chcą klasztor struć! Ale ja nie pozwolę na to, jakem Sierotka; gdyby to był prezent od Najświętszej Panny, toby tu w dyszlu były konie Chrystusowe, a nie moje niedźwiedzie". — „A kiedy tu w Litwie niema Chrystusowych koni". — „Są!" krzyknął książę. „Jeśli Najświętsza Panna poszuka osłów, to znajdzie, bo są w Litwie! — Nieprawdaż, panie kochanku?" — dodał, obracając się do D. — „Wszak każdy biskup nowosakrowany winien pierwszej niedzieli wjechać do kościoła na ośle — a ksiądz biskup wileński, że nie znalazł takiego zwierza, to się markocił, a ja mu poradziłem, aby wsiadł na swego synowca, i tak zrobił. Jakem biedny Sierotka, Najświętsza Panna nigdy nie jeździła na niedźwiedziu". — „Mości książę" odezwał się Dunin, „musiała kiedyś jeździć na niedźwiedziu a skądżeby się wziął herb z Szantyrów?" — „Milcz waćpan — a to widzisz, że to beczka moja z herbami — więc to kradziona rzecz — *et confiscatur*". Tu wmięszał się ksiądz gwardjan, który po odbytej procesji, rozebrawszy się z ornatów, w trop przybiegł za księciem panem, a, zadyszany jeszcze, trafiwszy na dysputę względem beczki, odezwał się: „Mości książę! Już ta beczka nam destynowana, więc czy djabla, czy nie djabla — niechaj rusza do klasztoru, a my ją wyegzorcyzmujemy". — I„ wypijemy..." — dodał książę. — Gwardjan kiwnął głową na znak, że potwierdza, a książę: „To niech djabeł tu zrzuci beczkę — a sam jedzie po klasztor, bo, jakem Sierotka, że łatwiej przejść wielbłądowi przez uszko igielne, niż tej beczce przez bramę Najświętszej Panny Niepokalanego Poczęcia".

Jeszcze nieco trwała dysputa między ojcem gwardjanem, który adwokatował niby za sprawami klasztoru, a księciem, który beczkę zatrzymać chciał — nareszcie skończyło się na tem, że ją odszpuntowano, a djabli nowi nadeszli z tacą, pełną kielichów, które między nas rozdane były — a po napełnieniu onych uklękliśmy wszyscy i kończyliśmy litanję z kielichami w ręku — i twarze mając obrócone do nieba, jakby w ekstazji świętej.

Skończyła się litanja i zaczęła się pijatyka, a książę pan porozsyłał ludzi na wszystkie trakty i gościńce, aby przejeżdżających łowili i gwałtem do bramy przyprowadzali. Zbierało się coraz więcej takowych więźni, a już ich brama objąć nie mogła, aż wreszcie różowa aurora wejrzała w bramę, gdzie wszyscy byliśmy, jak ona, rumiani i weseli — a z wronami, które się już budziły, ruszyliśmy do zamku, mając już na wozie nie beczkę, ale księcia pana, tryumfatora.

W zamku dopiero czekał nas aspekt niespodziany. Skoro bowiem otworzono drzwi od pierwszej sali, zaleciało nas powietrze i aura, przesiąkła zapachem święconego, które urządził kucharz pierwszy j. o. księcia, Włoch. Loga, ku krotochwili i zabawie; w pierwszej bowiem sali stały trzy pasztety olbrzymiego kształtu, które ujrzawszy, książę zawołał: „W. panowie, do ataku!" — co wymówiwszy, zdjął z pierwszego pasztetu czapkę —

i wyleciało z niego mnóstwo żywych kuropatw, jemiołuch, gołębi, jarząbków, ortolanów, które, potłukłszy okna, powylatywały na dziedziniec — gdzie jeszcze był długi ogon szlachty, cisnącej się za księciem panem, a ci, że wielu było uzbrojonych w fuzje, zaczęli owe ptastwo strzelać w lot, tak, że czasami wlatywał szrot do sali i spadał gradem, od pułapu odbity, na nasze łysiny — lecz, że okna były wysokie, żadnemu to z nas nie szkodziło. — Tu książę przyzwał kucharza do sali i zaczął go mocno strofować za to, że nie dopiekł zwierzyny; kucharz się tłumaczył po włosku, a że mi ten język nie był obcym, zrozumiałem, co mówił, i byłem wielce ciekawy, co się w drugich pasztetach okaże. Albowiem zapytany kucharz, co się znajdowało w wielkiej piramidzie, stojącej na prawo, odrzekł księciu panu, iż upiekł w niej całego Laokonta z wężami — a gdy to wytłumaczyłem szlachcie, a znajdowało się wielu, którzy znali historję Eneasza [1], przez Wilgiljusza rymem uwiecznioną, wszyscy wyglądali owego Laokonta [2] w zadziwieniu. Wtem j. o. książę, wziąwszy ze ściany buławę żelazną, nabitą gwoździami, dał tak po piramidzie, że aż się rozleciała — i ujrzeliśmy siedzącego na ruinach pasztetu karła, w cielistym ubiorze, który był cały sprępowany kiełbasami, jakby ów Laokont właśnie, pasujący się z gady Minerwy. — „A i ten żyje!“ krzyknął z gniewem książę. — Na to kucharz Loga, niby zawstydziony, odezwał się: *„Decoctus erat, sed resurrexit“*. „Może to być“, rzekł pan Sierotka; „a w trzecim pasztecie co?“ — Na to kucharz odpowiedział po włosku, iż była tam Andromeda [3], przykuta do skały łańcuchami, a smokowi oddana na pożarcie — jakoż i rozbiciu trzeciego pasztetu znaleźliśmy karlicę księcia, tak zwaną Djannę, która święconemi salcesony przywiązana była za ręce do pasztetu, a przed nią leżał ogromny szczupak, mający, zamiast własnej, głowę dzika, z paszczęką otworzoną, która bez wątpienia karlicy owej mogła być grobem. J. o. książę udawał gniew — a my wszyscy dziwiliśmy się tym pięknym inwencjom Włocha, które, niby oszukując nas, w zawieszeniu trzymały ranny apetyt. Tu wystąpił ksiądz Ryłło, Jezuita, już nie udając gniewu, ale prawdziwie rozsierdzony, i rzekł: „Nie godzi się, książę panie, z tworów boskich czynić takie igraszki; oto ja, nie wiedząc, co było w tych pasztetach, poświęciłem je, więc i te stworzenia poświęcone zostały, jako rzeczy, na jadło przeznaczone, a teraz mam skrupuł i grzech na sumieniu“. — „Ja to sam wymyślił“, rzekł książę, „więc będę pokutował w Jeruzalem a te karły wczoraj spowiadały się i jadły komunikanta, więc woda święcona nie spadła na djabła; a żałuję teraz

[1] Eneasz jeden z najdzielniejszych obrońców Troi. [2] Kapłan Apollina w Troi uduszony wraz z synami przez węże. [3] Andromeda córka króla Etjopji, pięknością swą ściągnęła na siebie zazdrość i gniew Nereid, które domagały się zemsty u Neptuna. Andramedę przykuto do skały i oddano na pożarcie potworowi morskiemu. Ujrzał ją, pędzący na Pegazie Perseusz, zabił potwora i uratowawszy Andromedę otrzymał jej rękę.

że zamiast tych trzech pasztetów nie kazałem zrobić jednego i nie wsadzić weń Drzymałę — bo nie bywa na nabożeństwie, toby choć raz napił się święconej wody — możeby schudł... Ale to rzecz nie stracona — bo go znajdziemy siedzącego w holenderskim serze w drugim pokoju. Wlazł sam na prośbę panny Anny marszałkówny, w której się kocha". Pan Drzymała, który stał przy mnie, zczerwieniał od gniewu, ale nic powiedzieć nie śmiał, aby uczty nie stracił — więc tylko mruczał pod nosem.

Nie mogąc co robić w pierwszej owej sali, gdzie już tylko smok i owe salcesony, któremi były skrępowane karły, mogły być ku pożywieniu — weszliśmy za księciem panem do sali drugiej, gdzie już czekały na nas niewiasty i małżonki owych panów, którzy byli do księcia na święcone proszeni. — Książę oddał głęboki pokłon i zaczął wszystkie w ręce całować, co trwało długo, ile że połączone było z komplementami; poczem, kazawszy sobie podać jaje, obchodził wszystkich książę pan i, każdemu podając jaje, składał życzenia pełne afektu — a nareszcie i piastunce swojej, która, w kącie stojąc, płakała z rozczulenia, podał talerz i pocałował w chude ręce staruszkę — która go wzięła za głowę i uścisnęła, jak dziecko swoje. — „Babko", rzekł j. o. książę, „na przyszłe święcone twój piastun będzie gdzieś na morzach, jak na huśtawce, a ty mi tu rób co roku święcone i czekaj — z kucją mnie czekaj co rok, aż zejdą gwiazdy — bo może ja powrócę głodny, zjadłszy w tłusty czwartek Drzymałę — a odbywszy cały post Skorubskim, co ma skórę, jak stokfisz. Lecz porwócę, jeżeli mnie samego nie zje pan Armider z wielkim Turkiem, albo jeżeli mnie pan Dunin na śmierć nie zagryzie złą konduitą, albo jeżeli mi Pan Jezus nie każe zostać królem w Jerozolimie na złość księdzu Rylło, co mnie ma za diabła, gorszego od zygwulskiego starosty". — Staruszka zajęczała i wyszła z pokoju — a książę pan, sam nieco rozczulony, rzekł do nas: „W. panowie, może to ostatnie święcone, które będę pożywał z wami — a że inni moi krewni bambizami, a mój brat Grzegorz *ad cardinalatum* strychuje, to może już nigdy więcej Radziwiłłowskiego święconego nie zobaczycie; ale niech to was, miłościwi panowie, nie pozbawia apetytu: proszę się rozgościć".

Obróciliśmy wtenczas oczy na święcone, a było na co patrzeć, albowiem i tu pod prezydencją księcia kucharz wszystko tak urządził, że nie tylko apetytowi, ale i myśli było przyjemnem. W sali tej albowiem, śród mnóstwa drzew, z miodu lipcowego była sadzawka, z wyspą, zielonym owsem pokrytą, na której się pasł święty baranek z chorągwią, mający oczy z dwóch karbunkułów, ze skarbcu j. o. księcia wyjętych, które błyszczały niezmiernie. Na tego baranka godziło czterech dzików okropnej wielkości, upieczonych całkowicie, a dwanaście jeleni ze złoconemi rogami w różnych pozyturach wyskakiwało z lasu, który był z drzew pomarańczowych, różnemi konfektami obrodzony.

Gdy tu same mięsiwa, to w przyległej komnacie były ciasta i napoje, nie mniej misternie ułożone. Nie lasy tam, ale baby, podobne skałom, nosiły na głowach z migdałowych murów grody i fortece; coś nawet podobnego Jerozolimie widać było, albowiem śród cukrowych domów ukryte ananasy koronami szaremi naśladowały palmowe drzewa, a w bramach zaś figurki cukrowe w szmalcowanych pancerzach i z krzyżami czerwonemi na piersiach, jako jerozolimscy rycerze za czasów Godfreda, stali na straży. — A jam pożałował, że nie miałem przy sobie małego Michasia, abym mu te wszystkie jasełka pokazał i wytłumaczył, boby w pamięci dziecka przynajmniej zostały, nim ruinie ulegną.

Nie będę tu opisywał mnogości różnej konwi, rostruchanów, czar złotych i srebrnych i kryształowych, i win różnych, i miodów, i małmazjów, które się tam obficie znajdowały — a, żem się i tak nadto długo nad opisaniem rzeczy tych zastanowił, to może dlatego, iż nieraz później w pustyniach, głód cierpiąc, wspomniało się owe święcone z niejakim żalem i z chciwością, nieprzystojną filozofowi.

Książę pan, który konceptom swoim nigdy nie ucinał ogona, przystąpiwszy z nożem do ogromnego sera holenderskiego, rozciął go na poły i zapytał: „A gdzie pan Drzymała?... Panno Anno“ — dodał, obracając się do w. marszałkównej — „myślałem, że twój więzień tu — chciałem uwolnić.“ — „Pan Drzymała jest w serze“ — zawołał pan Dunin — „ale ja mu włożyłem kamień do kieszeni, co sprawia, że jest niewidzialny — więc teraz może już z otworzonego sera wyszedł i stoi pomiędzy nami, a my go nie widziemy.“ — Książę pan mrugnął na nas, a myśmy zrozumieli, o co rzecz idzie, ile że pan Dunin pierwszej już szepnął niektórym na ucho, co mają czynić. Więc ci nawet, co najbliżej stali pana Drzymały, udawali, że go nie widzą, pytając jedni drugich: „Gdzie jest wielmożny Drzymała? Gdzie pan regent Drzymała? Gdzie poważny pan szlachcic Drzymała, nasz wielki przyjaciel?“ — „Ja tu jestem! — odezwał się, jak z beczki, sam Drzymała — „a pannom wolne żarty.“ — „Panie“ — odezwał się pan Sierotka — „słyszemy twój głos — ale waćpana ani śladu; wyjm kamień z kieszeni, panie, bo strzelę na wiatr z fuzji w stronę, gdzie słychać ciebie po zapachu sera holenderskiego. Zamknąć podwoje, bo gotów nam figla spłatać i wynieść się niepostrzeżony! Panie Drzymała, prosiemy, na miłość Boga, nie rób z siebie fantazma. W imię Ojca i Syna i Ducha — panie Drzymała, pokaż się!“ — Panie Drzymała, pokaż się!“ — krzyknęła szlachta, patrząc na pana Drzymałę, który stał wtenczas wszystkim na widoku, gdyby rak ugotowany na farfurce, albowiem i twarz i żupan miał z karmazynu.

„Mości podczaszy“ — rzekł j. o. książę do Dunina — „więc przepraszam waści, żem ci wczoraj uchybił, mówiąc: „łżesz“ kiedyś mi waść o tym kamieniu bajdurzył — a teraz widzę, że to prawda. Lecz mam do ciebie, panie kochanku, ansją, żeś

twego kamienia na panu Drzymale spróbował, bo ja na niego lubił patrzeć; on piękny człowiek — i panna Anna będzie się smucić, że go nie widzi. Już to się ja nie lękam, aby nas pan Drzymała okradł, bo to człowiek uczciwy. Ale panna Anna dla niewidzialności jego teraźniejszej może szwankować — a w statucie litewskim niema jeszcze artykułu *si quis, incarnatione invisibilis factus, pater fit*". — Tu w. pan Dunin, widząc, że książę pan żart za daleko posuwa, ile że sam w. marszałek, ojciec panny Anny, marszczył się na wspomnienie same dyshonoru, jaki córka jego ponieśćby mogła, odezwał się: „Mości książę, mnie się zdaje, że pana Drzymały wcale tu niema, bom ja go sam zostawił w bramie Najświętszej Panny, we śnie głębokim pogrążonego — a tu sobie tylko zrobiłem żart i krotochwile, mówiąc, że jest między nami". „A, kiedy tak — rzekł książę pan — to mi lżej na sumieniu; niech się wyśpi pan Drzymała — a nie mówcie mu o tem, co się stało, boby się gniewał, to człowiek obraźliwy".

Na znak księcia pana szlachta się znów wzięła do półmisków i kielichów, czyniąc tak, jak gdyby pana Drzymały w istocie nie było. Nieraz więc dostawał w łeb kielichem albo farfurką — albo też łokciem w bok, a zawsze się usuwał, lecz nic nie mówiąc. Był bowiem obżarty i przez wzgląd na żołądek wiele przebaczał. Znalazł nareszcie wolne miejsce przy stole i, usadowiwszy się, złożył na farfurce mnóstwo wielkie zwierzyny, kielich węgrzynem napełnił, a niedbając więcej na żarty, w zupełnej spokojności dary boskie spożywał.

Po niejakim czasie książę pan, pokazując *digito* na farfurkę pana Drzymały, zawołał niby z przestrachem: „Księże Ryłło, weź waćpan stułę i kropidło i poświęć stół — bo tu djabli siedzą i łykają święcone. Ja nie widziałem nigdy, aby jaki człowiek tak jadł, jak ta farfurka; więc to musi być djabeł, którego Chrystus Pan wpędził w świnię nad Genezaretańskim morzem. — Wszelki duch Boga chwali — panie kochanku, ta farfura wychodzi sama od stołu!"

I w istocie pan Drzymała zniecierpliwiony wynosił się za drzwi, niosąc talerz z pieczywem przed sobą; ale książę pan, który nieraz i po pijanemu korki u trzewika niewiastom ustrzelał, chwyciwszy za sztuciec, nabity kulą, przymierzył się i przy drzwiach już będącemu panu Drzymale talerz z ręki kulą wytrząsnął. — Nieszczęśliwy pan regent zmięszał się niepospolicie i osłupiał — lecz nie mogąc już znieść dłużej owych afrontów, ze łzami w oczach obróciwszy się to towarzystwa, rzekł: „Mości panowie, w przytomności waszej uskarżam się na w. pana podczaszego Dunina, że z człowieka cichego i urodzonego szlachcica taki żart czyni. Domagam się więc satysfakcji". Na to pan Dunin: „Cieniu człowieka, głosie niewidzialny, jeżeli, jak się spodziewam, masz brzuch ludzki i łeb okrągły i ciało człowieka — bić się z tobą będę, choć miałbym przyjść na ów los nieszczęśliwego Ajaksa, co, mając na oczach chmurę, przez zagniewane bogi rozcią-

gniętą, zamiast rycerzy, bydło i owce porąbał — choćby ten pojedynek równie smutną, jak Sofoklesa, urodził tragedją. Dobądź więc szerpentyny i objaw głosem, gdzie jesteś, a jeżeli mam pójść do Erebu, upraszam tu j. o. księcia, aby na intencją moją tysiąc czterdzieści cztery msze zakupił, ile że od zaczarowanego człowieka polec mam nie po katolicku".

Przychodziło już do bitwy, gdy ksiądz Ryłło, wystąpiwszy naprzód, rzekł poważnie: „Książę panie, wybierasz się na wędrówkę do grobu świętego — a dopuszczasz tu, aby dla żartu krew się lała. Ani to na twoją uczoność przystoi, mości Duninie, żartować tak z tego grzesznika, który się nie spowiadał i nie komunikował w dnie boskiego umęczenia, a teraz brzuchowi swemu dogadza, i gniewowi cugle popuścił tak, że się na azard żywota naraża". — „Milcz, klecho!" krzyknął książę. „To nie wielki post, abyś tu nam kazał, jak z ambony; a, że pójdą na szerpentyny, to nie żaden grzech; gorzej zrobił pan Samuel Zborowski, co Włocha Candiana, namazanego miodem, oponował niedźwiedziowi rozjuszonemu, a sam na pojedynek nie wyszedł, a za toby nie był wpuszczony do nieba, tylko, że głowę ściętą wrzucił pierwej, a sam szedł, niby szukając swego czerepa, z czego się Najświętsza Pana zabawiła i pozwoliła mu zostać — a może też i dlatego, że to był męczennik szlacheckiej sprawy, i zagryziony był przez wilcze zęby królewskie, za którą to rzeczą ja sam będę u Chrystusowego grobu patronował, aby znów Zborowskiemu głowę *in excelsis* nosić pozwolił na karku, a nie pod pachą, jak niemiecki kapelusz. Panie Dunin, włóż aspan szablę do pochwy, i ty, panie Drzymało, nie gniewaj się — a pojedynku nie trzeba, bo i tak mało szlachty — a jak mniej będzie, to więcej pójdzie pod miecz katowski, na głowie pana Samuela zaprawiony — a póki nas wiele i zgodnych, to i sam pan Zamojski ogląda się, czy ma głowę. A wiecie wy, że konsylium jego było, abym ja jechał do Ziemi Świętej przez Turcją — i sam król Stefan ofiarował mi glejt turecki od sułtana? Ba — ale ja nie głupi, panie kochanku, a nie chcę tego honoru, aby za mną pan Jan Kochanowski stawał, jak za Podlodowskim, co był w Turczech zarzezany. Chybaby mi pan Drzymała swego kamienia pożyczył, tobym się odważył jeść obiad z samym sułtanem; lecz pan Drzymała nigdy nikomu tynfa nie pożyczył, więc o kamieniu ani gadać. Trzymaj, panie Drzymała, coś znalazł, bo skarb znalazłeś — a ja ci zazdroszczę. Ale że ty piękny i przystojny, więc tobie ten kamień więcej szkodzi, niż pomaga — więc może się go pozbędziesz i zamieniasz się ze mną na ten sygnet". (Tu książę zdjął z palca wielki sygnet, brylantami osadzony, z szafirem pośrodku, i dał go wyciągającemu ręce Drzymale). „Kupuję ci kamień twój; nie biorę go teraz, bo nie chcę zniknąć z przed oczu J. W. panów, którzy przytomnością swoją mój dom zaszczycają — ale, żem twój kamień kupił, to go złożysz w skrabcu moim". — „Jeżeli j. o. książę" — rzekł udobruchany Drzy-

mała — „będziesz tak kupował te niewidzialne kamienie, to i skarbiec j. o. księcia stanie się niewidzialnym“.

Na tym zakończyła się krotochwila z panem Drzymałą, który jednak panu Duninowi sera nie przebaczył — jak tego w dalszej podróży dał tysiączne dowody.

Opisawszy te krotochwile, nie będę się dłużej rozciągał nad uroczystościami zamkowemi, ale przystąpię do rzeczy, mających bliższy stosunek z podróżą naszą i t. d.

PRELIMINARJA

PEREGRYNACJI DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

J. O. KSIĘCIA RADZIWIŁŁA SIEROTKI. (FRAGMENT).

... a nikt nie wyszedł na spotkanie moje, gdym wjechał kałamaszką na dziedziniec, oprócz ślepego żórawia, który się przechodził jako szyldwach przed gankiem — także trafna suka gończa księciu ulubiona zaskowytała i rozciągnęła się przedemną. Po takiej akcepcji w zamku zrozumiałem, że sam książę musi znajdować się, jak zwykle, u księży Bernardynów w klasztorze na rekolekcjach; — udałem się więc prosto do oficyny, gdzie mieszkał marszałek domu J. O. księcia, i byłem od niego przyjęty jak najlepiej. Wysłał zaraz do J. O. księcia pana, który był, jak się już domyśliłem, w klasztorze, z oznajmieniem, żem przybył — a potem zaprowadził mię do komnat niewieścich, gdzie zastałem żonę i córki w. marszałka i stół nakryty do wieczerzy. Dowiedziawszy się, żem przyjechał, zaczęli się schodzić na powitanie z całego zamku dworscy panowie, i ściskać mnie i całować. Byli pomiędzy nimi pan Haraburda, pisarz ziemski nowogrodzki, wielki przyjaciel księcia i klijent Radziwiłłowskiego domu, — pan Kos, mierniczy dóbr J. O. księcia — pan Harmider, przełożony nad puszkarnią księcia i artylerją prywatną domową, której było puszek dwanaście, człowiek wysokiego wzrostu i mówiący głośno, co było jakby w zgodzie z jego nazwiskiem; małej nauki, ale poczciwego serca, i mocno przywiązany do domu karmazynowego księcia, który mienił być dla swoich puszek niedobytą fortecą. Przybył także pan Drzymała, szlachcic rodem, który na dworze księcia bawił bez urzędu, ale był lubiony, albowiem dostarczał zabawy z siebie, mimo wielką obraźliwość charakteru, i dosyć poważną dla wielkiej otyłości postawę, mający więcej nauki, niż pan Harmider, ale (nie wiem, jak się to dzieje) daleko mniej zdrowego rozsądku, a jak powszechnie mówią, pozbawiony quintum sensum; a może też dla wielkiej zarozumiałości, jaką miał o sobie, ludzkim żartom będący na celu. Przez dziwne albowiem zaślepienie nietylko swój rozum miał za bardzo o r n a t u m wiadomościami, ale i figurę swoję, gdyby

powiedział, co myśli, przyrównałby Apollinowej — a to z każdego ruchu tak było znać po nim, że się za pięknego ma człowieka, iż wiadomo to było ledwie nie kuchcikom dworskim i cyganom, którzy uczyli tańczyć niedźwiedzie, a mówili często, że go do akademji swojej mieć chcą i uczyć darmo, dla krotochwili i sławy własnej. Już więc zaraz przy wieczerzy zaczął się wdzięczyć, jak miesiąc czerwony — do panny Anny, córki w. marszałka, nie tak niby zakochany, jak ją w sobie zakochaną być sądząc, co nie było do podobieństwa — albowiem panna ta, z bogatym posagiem, i z mlecznem obliczem mogła wybierać między młodzieżą sutą i nawet karmazynową, a nie miałaby oczu, gdyby na takiego kupidyna postrzały była przystępną. Był pan rachmistrz J. O. księcia Skorubski, niegdyś profesor u księży Jezuitów, gdzie uczył arytmetyki — człowiek suchy i śledziennik, jakich mało — dobry jednak w gruncie i przyjaciel wytrwały, a w uczciwości niezachwiany, jak sam tego doświadczyłem po sobie. Melancholję jego przypisywałem chorobie i temu, że był nieżonaty — a że mu ciężkie było samotne życie, widać to było i z jednego przysłowia, jakiego używał przy piciu (wodę tylko pijał). Zawsze albowiem zwyczaj miał przeżegnać ręką szklankę — a przeżegnawszy ją, mówił ponuro i z westchnieniem: „B ó g m ó j! w s z y s t k o m o j e! o p r ó c z . . .". Był to człowiek wysokiego wzrostu, głos miał jakby jęczący i grobowy, a zwyczaj przechadzać się po komnatach, jak cień, wielkim i głucho tętniącym krokiem. Opisuję tu osoby wspomniane, albowiem towarzyszyli wszyscy, składając świtę i dwór J. O. księcia w podróży do Ziemi świętej, i miałem z nimi nieraz do czynienia. Pan marszałek sam był jakby konterfekt księcia pana, albo naśladował go w ubiorze i w piciu, z tylą tylko różnicy, ile między panem a podwładnym przyjacielem być powinno.

Już więc zaraz przy wieczerzy dowiedziałem się, że podróż odbyta ma być z wszelką wspaniałością i powagą, jaka przystoi domowi J. O. księcia; że w przejeździe odebrać mamy błogosławieństwo Ojca świętego w Rzymie, a potem ambarkować się w którym z portów włoskich, na weneckiej lub neapolitańskiej nawie; dalszy kierunek podróży zależeć miał od wiatrów i woli samego księcia pana, a jam także myślał, że i od mojej porady nieco zależeć będzie.

Po wieczerzy przybył zaraz posłaniec od J. O. księcia, który dowiedziawszy się, żem przyjechał, kazał mi tegoż wieczora stawić się w klasztorze księży Bernardynów. Zastałem J. O. księcia w wielkiej tureckiej oponie, w celi księdza gwardjana, przy kominie; albowiem chłód aprylowy i grube mury klasztorne, aurą zimową przesiękłe, czyniły ogień potrzebą. Ujrzawszy mnie, zawołał: „Witaj panie Michale!"

Uniżyłem się do kolan J. O. księcia, a on, podniósłszy mnie z ziemi, ucałował w oba policzki i pytał o żonę i dzieci moje uprzejmie, a rozpytawszy się o wszystko rzekł: „Panie kochanku"

(było to przysłowie, które po ojcu swoim J. O. książę odziedziczył i zapewne je w domu swoim zostawi do późnych wieków w puściźnie z mnogimi dobrami, jakie posiadał) „panie kochanku, cóż myślisz o mojej peregrynacji?“ — „Jeszcze nie zaczęta, J. O. książę“, odpowiedziałem, „a ja się lękam, aby to wszystko nie było snem i wizją, albowiem Jazon, kiedy się po złote runo wybierał, to nie miał tyle baranów, co J. O. książę, więc miał po co jeździć, a świętej pamięci Godfryd z Bullionu . . .“ — „W moim domu robią buljon z niedźwiedzi“, przerwał książę, „a kto się go napije, to jak lew. Patrz, pan Armider, co tuczony buljonem z niedźwiedzi, czy nie straszny? Ja myślę, panie kochanku, pobić Turków i wziąć Jerozolimę, abym tam wypędził Żydów z Polski — mój Josiel arendarz jedzie ze mną i weźmie dolinę Józefata w arendę, i będzie płacił koszerne. — Że mój pradziad z królem Stefanem węgierskim nie poszedł na krucjatę, to też masz — wnuk jego biedny sierotka musi iść na goły łeb z Turkami — inaczej djabli wezmą ród jego, a Moskal jego majątek.— To nie są sny. Najświętsza panna mi się pokazała trzy razy — a zawsze mi powtarza to samo, aż mnie uszy bolą, panie kochanku — jak nie posłucham, to będzie źle — a jednak jeszcze poradzę się Najświętszej Panny Poczajowskiej, bo mówią, że w koroniaszach serce na języku, to mnie ich Najświętsza Panna nie oszuka“. — „Ale J. O. książę“, rzekłem, „musisz mieć inne jakie ważniejsze powody, które go skłaniają ku tej peregrynacji“. — „Ja? panie kochanku żadnych nie mam powodów . . . tylko, że mię świerzbi gdzieś, to chcę użyć przejażdżki — chcę zobaczyć, czy wiele durniów na świecie. Bo że Jerozolima w ręku Turków, to, jak mówi ksiądz Ryłło Jezuita, nawet dobrze, a wiesz dlaczego?“ — „A dlaczego J. O. książę?“ — „Bo, panie kochanku, gdyby chrześcijanie katolicy grzeszyli w ziemi, gdzie Chrystus Pan poniósł mękę na krzyżu, toby się Bóg gniewał — a że Turcy grzeszą, to się nie gniewa . . . exemplum, panie kochanku . . . jak pies podejmie nogę czwartą w pańskim pokoju, to się pan wojewoda nie obrazi — lecz gdyby człowiek jaki, choćby kolligat, popełnił taką niegrzeczność, tobym ja mu sam kazał wylizać podłogę. Czy rozumiesz parabolę, panie kochanku? Turcy to psy!“ — „Ksiądz Ryłło ma racją, J. O. książę, ma słuszną racją“. — Ksiądz Ryłło nie wie, co gada, a ja wolę księdza gwardjana, co tu ze mną pił przez godzinę, choć ma reumatyzm. Ksiądz Ryłło, kiedym mu pokazywał Najświętszą Pannę na księżycu, to jej nie spostrzegł! ślepy mój żóraw widział Najświętszą Pannę na księżycu i nie zadał mi kłamstwa przed ludźmi. Ksiądz Ryłło ma przysłowie: wolno wierzyć, wolno nie, a to gorsze dla moich uszu, niż kiedy Skorubski mówi: Bóg mój, wszystko moje, oprócz . . ., a i to także kłamstwo, bo Nieśwież nie jego, ale Radziwiłłów“. — „To też właśnie książę panie — Skorubski mówi: oprócz Nieświeża“. — „Może to być, panie kochanku — więc pan Skorubski ma racją, a nie ksiądz Ryłło.

A tymczasem gotuj się w drogę i zrób testament — a furmanów moich ucz geografji, aby mię nie zawieźli do Moskwy, zamiast do Rzymu, bo ja zwykle, jak w powozie, to śpię i nic nie widzę.— Gadałbym z tobą dłużej, ale mi ksiądz Ryłło zadał pokutę — a już późno. Jeżeli chcesz odprawić rekolekcją w klasztorze, to powiedz księżom, niech ci dadzą celę i dyscyplinę — a jeżeli nie chcesz, to ruszaj stąd prędko, bo cię djabli porwą, jak się przestaniesz trzymać mego pasa".

Na te słowa, uściskawszy nogi J. O. księcia, wyniosłem się z klasztoru i wróciłem do zamku, gdzie mi pan marszałek wyznaczył pokój i dał klucze od bibljoteki; tak więc zamiast rekolekcji sposobiłem się do podróży, wszelako nie pewny jeszcze, czyli chęć peregrynacji w J. O. księciu potrwa, i przywiedzioną będzie do skutku.

WIERSZE

1838 — 1842.

DO A(NIELI) M(OSZCZEŃSKIEJ).

I.

O! tak, zaprawdę, że wybrałaś świetne
Oczy, ażeby je łzami zapruszyć!
O! tak, zaprawdę, że chcąc serce skruszyć,
Wybrałaś dzikie, smutne i szlachetne.

Lecz go łzy dotąd nie otruły setne,
Bo serce moje jest losu i Boga,
A wprzód, niż miałaby je zdeptać noga,
Prędzej je zimnym żelazem rozetnę.

I próżno powiesz, bo nikt nie uwierzy,
Abym twój nosił znak u lewej strony;
Bo moje serce jest w płaszczu rycerzy,
Którzy na bieli mają krzyż czerwony;
A nad nim jeszcze jest pancerz stalony,
A ono jeszcze głębiej — w trumnie leży.

Październik, 1838. Florencja.

SONET II.

DO A(NIELI) M(OSZCZEŃSKIEJ).

Ogniem, żałością wre zamknięte łono;
A kiedy zacznę się na serce dąsać,
Chciałbym je wyrwać z mych piersi i skąsać
I precz odrzucić tę rzecz tak shańbioną

Twoją miłością, że ognie, co płoną,
Dotąd nie mogły go uczynić czystym!
A ty myślałaś, że ja z tym ognistym
Sercem — nazwę cię kochanką i żoną?

O! pierwej piekło! niżby czoło dumne
Na twoim zimnym sercu kiedy spało!
A niż całować twe usta rozumne
I twoje białe murmurowe ciało
Owionąć ogniem i żyć z taką skałą,
Jaką ty jesteś, zimna! — lepiej w trumnę!

DO Z. KRASIŃSKIEGO.

Żegnaj, o żegnaj, archaniele wiary!
Coś przyszedł robić z mojem sercem czary,
Coś w łzy zamienił jego krew czerwoną,
Wyrwał je z piersi, wziął we własne łono,
Ogrzał, oświetlił, by nie poszło w trumnę,
Ani spokojne mniej, ani mniej dumne...

Więc gdzieś wysoko, u Boskiego celu,
Chwała dla ciebie, o serc wskrzesicielu,
A dla mnie pokój, dla ducha i kości,
Bo tym obojgu trzeba — spokojności...
Lecz jeśli ducha nadchodzą szyderce,
Lecz jeśli walka jest — dałeś mi serce!

Florencja, 4 grudnia 1838 r.

NA SPROWADZENIE PROCHÓW NAPOLEONA.

I.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał ze sławy aniołem,
Gdzie był sam nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
Na mieczu, jak na krzyżu, rozbity.

II.

Powiedz, jakim znalazłeś go w grobie,
Królewiczu, dowódzco korabli? —

Czy rąk dwoje miał krzyżem na sobie,
Czy z rąk jedną miał przez sen na szabli?
A gdyś kamień z mogiły podźwignął,
Powiedz, czy trup zadrżał, czy się wzdrygnął?

III.

On przeczuwał, że przyjdzie godzina,
Co mu kamień grobowy rozkruszy;
Ale myślał, że ręka go syna
W tym grobowcu podźwignie i ruszy,
I łańcuchy zeń zdejmie zabójcze
I na ojca proch zawoła: — Ojcze!

IV.

Ale przyszli go z grobu wyciągać,
Obce twarze zajrzały do lochu;
I zaczęli prochowi urągać,
I zaczęli nań wołać: — Wstań, prochu!
Potem wzięli tę trochę zgnilizny
I spytali — czy chce do ojczyzny? —

V.

Szumcie! szumcie więc morza lazury,
Gdy wam dadzą nieść trumnę olbrzyma!
Piramidy! wstępujcie na góry
I patrzajcie nań wieków oczyma.
Tam! — na morzach! — mew gromadka szara
To jest flota z popiołmi Cezara.

VI.

Z tronów patrzą szatany przestępne,
Car wygląda blady z poza lodów,
Orły siedzą na trumnie posępne
I ze skrzydeł krew trzęsą narodów.
Orły niegdyś zdobywcze i dumne,
Już nie patrzą na słońce — lecz w trumnę.

VII.

Prochu! prochu! o leż ty spokojny,
Gdy usłyszysz trąby śród odmętu,
Bo nie będzie to hasło do wojny,
Ale hasło pacierzy — lamentu...
Raz ostatni hetmanisz ty roty!
I zwyciężysz — zwycięstwem Golgoty.

VIII.

Ale nigdy, o nigdy, choć w ręku
Miałeś berło, świat i szablę nagą,
Nigdy, nigdy nie szedłeś śród jęku
Z tak ogromną bezśmiertnych powagą
I mocą... i z tak dumnem obliczem,
Jak dziś, wielki! gdy wracasz tu niczem.

1 czerwca 1840.

DO MATKI.

Zadrży ci nieraz serce, miła matko moja,
Widząc powracających i ułaskawionych,
Kląć będziesz, że tak twarda była na mnie zbroja,
I tak wielkie wytrwanie w zamiarach szalonych.

Wiem, żebym Ci wróceniem moim lat przysporzył; —
Mów, kiedy cię spytają, czy twój syn powraca,
Że syn twój na sztandarach jak pies się położył,
I choć wołasz, nie idzie — oczy tylko zwraca.

Oczy zwraca ku tobie... więcej nic nie może,
Tylko spojrzeniem tobie smutek swój tłomaczy;
Lecz woli konający — nie iść na obrożę,
Lecz woli zamiast hańby — choć czarę rozpaczy!

Przebaczże mu, o moja ty piastunko droga,
Że się tak zaprzepaścił i tak zaczeluścił;
Przebacz... bo gdyby nie to, że opuścić Boga
Trzebaby — toby ciebie pewno nie opuścił.

DO E...

Napiszę prosto, ponieważ słów chciałaś,
Że kto na walkę samotną, rozpaczną
Patrzy tak zimno — tak jak ty patrzałaś, —
I nieraz rękę podnosi niebaczną
Zbroi, mieczami pobitej na ćwierci —
— Gdy śmierć wyniknie — będzie winien śmierci.

Gdyć powiedziano, że mię morskie fale
Porwały zimnych ramieniem obręczy,
Ty urągałaś się samotnej chwale,

Co w morzu gasła nakształt młodej tęczy,
Ani myślałaś, że pieśni pogrzebne
Będą mi śpiewać Amfitryty srebrne.

Więc Nimfo! żadnem niewzruszona echem,
Nawet tem, które śmierć o ludziach gwarzy,
Dziś pozdrowiona bądź bladym uśmiechem,
Uśmiechem nigdy niewidzianej twarzy, —
Weź to za uśmiech spokojny człowieka,
Co w nim jest smutku — nie dojrzysz zdaleka.

Paryż, 11 lutego 1841.

W ALBUMIE E. HR. KRASIŃSKIEJ.

Chciałbym, ażeby tu wpisane słowo,
Jeśli na wieki ma słowem pozostać,
Aby słów miało nieśmiertelnych postać,
Albo posągów piękność marmurową,
Lub jak Walkhirje, co noszą nad głową
Wieniec z piorunów i we krwi szeleszczą,
Chciałbym, ażeby miało taką wieszczą
Groźbę i skrzydła i twarz piorunową.

Lecz słowo martwe. Ale wy jesteście
Jako Walkhirje z północy przybyłe:
Pod wasze stopy rzucamy niewieście,
Grobowce wszystkie — a wy na mogiłę
Wstąpcie, a kto wart życia, tego wskrzeście.

Paryż, d. 29 czerwca 1841 r.

POGRZEB KAPITANA MEYZNERA.

Wzięliśmy biedną trumnę ze szpitalu,
Do żebrackiego mieli rzucić dołu;
Ani łzy jednej matczynego żalu,
Ani grobowca nad garstką popiołu!
Wczora był pełny młodości i siły, —
Jutro nie będzie nawet — i mogiły.

Gdyby przynajmniej przy rycerskiej śpiewce
Karabin jemu pod głowę żołnierski!
Ten sam karabin, w którym na panewce

Kurzy się jeszcze wystrzał belwederski,
Gdyby miecz w sercu lub śmiertelna kula —
Lecz nie! — szpitalne łoże i koszula!

Czy on pomyślał — tej nocy błękitów,
Gdy Polska cała w twardej zbroi szczękła,
Gdy leżał smętny w trumnie Karmelitów,
A trumna w chwili zmartwychwstalnej pękła,
Gdy swój karabin przyciskał do łona —
Czy on pomyślał wtenczas, że tak skona!

Dziś przyszedł chciwy jałmużny odźwierny
I przyszły wiedmy, które trupów strzegą,
I otworzyli nam dom miłosierny,
I rzekli: *„Brata poznajcie waszego!*
Czy ten sam, który wczora się po świecie
Kołatał z wami? — Czy go poznajecie?“

I płachtę z głowy mu szpitalną zdjęto,
Nożem pośmiertnych rzeźników czerwoną;
Źrenicę trzymał na blask odemkniętą,
Ale od braci miał twarz odwróconą;
Więceśmy rzekli wiedmom, by zawarły
Trumnę, bo to jest nasz brat — ten umarły.

I przeraziła nas wszystkich ta nędza,
A jeden z młodszych spytał: *„Gdzież go złożą?“*
Odpowiedziała mu szpitalna jędza:
„W święconej ziemi, gdzie przez miłość Bożą
Kładziemy poczet nasz umarłych tłumny,
W jeden ogromny dół — na trumnach trumny“.

Więc ów młodzieniec, męki czując szczere,
Wydobył złoty jeden pieniądz drobny
I rzekł: *„Zaśpiewać nad nim Miserere*
Niechaj ogródek ma i krzyż osobny . . .“
Zamilkł: a myśmy pochylili głowy,
Łzy i grosz sypiąc na talerz cynowy.

Niech ma ogródek — i niech się przed Panem
Pochwali tym, co krzyż na grobie gada:
Że był w dziewiątym pułku kapitanem,
Że go słuchała rycerzy gromada,
A dziś ojczyźnie jest niczem nie dłużny,
Chociaż osobny ma kurhan — z jałmużny.

Ale Ty, Boże! który z wysokości
Strzały Twe rzucasz na kraju obrońce,

Błagamy Ciebie przez tę garstkę kości,
Zapal przynajmniej na śmierć naszą — słońce!
Niechaj dzień wyjdzie z jasnej niebios bramy,
Niechaj nas przecie widzą, — gdy konamy!

Paryż, d. 30 października 1841 r.

DO PANI JOANNY BOBROWEJ.

O, gdybym ja wiódł Panią do kaskady,
To tak, jak ludzie, przyjaciołom wierni,
Ażbym tam zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn w Giessbach, a śród laurów w Terni.

Dzikie-bym zrywał na murawie kwiaty,
A Pani w skałach siadłabyś myśląca,
Jak anioł, skrzydłem kaskady skrzydlaty,
Czekając z nad skał śpiewu — i miesiąca.

Gdybym ją Panią do kaskady woził,
Możebym wieczną tam zatrzymał siłą —
Śpiewem skamienił i lodem zamroził
I kazał tęczom świecić nad mogiłą.

Lecz nie powiodę do takiego zdroja,
Bo teraz straszna jest ducha kaskada;
To cały duch mój i cała krew moja,
Która na Polskę chce upaść — i spada.

Raz ty porwana tym strumieniem gminnym,
Byłabyś nigdy nie wróconą światu;
Dlatego poszłaś gdzieindziej — z kim innym,
Ręki się bojąc dać dawnemu bratu.

Bo dzisiaj Polka ciekawość pokona,
A jej nie karmi to, co tłum paryski,
Gdy w sercu Polska, duchem urodzona,
Jak nimfa, wstaje z perłowej kołyski.

Dzisiaj, siedzącej przed kaskadą w koczu,
Sumienie Pani powie samo głuche,
Że niegdyś łzy się tak sączyły z oczu —
A dzisiaj... oczy patrzą — takie suche!

Czyś tem przeklęta, czy błogosławiona,
Że serce zimne — oczy łez nie leją,

Powie ci kiedyś mogił druga strona,
Gdy serca pękną — albo się rozgrzeją.

Co do mnie — wiem ja, jak to praca pusta,
Serce kobiece na czas przeanielić!
Dlatego odtąd wiecznie zamknę usta —
I wolę nie być z Panią, niż zgon dzielić.

Bo to okropnie: rany pozamykać,
Zagoić wszystkie dawne serca blizny,
Iść — i aniołów już nie napotykać,
Już nie mieć ani serca — ni ojczyzny!

Gdybym był duchem wersalskiej natury,
A taką ciebie między tłumem zoczył,
Zleciał-bym na cię, jak kaskada z góry,
Porwał — i rzucił w przepaść — i sam skoczył.

1842 r. 14 maja.

DO LUDWIKI BOBRÓWNY.

Gdy na ojczyznę spojrzą oczy Lolki,
Karmione złotem i tęczową czczością,
Niechajże spojrzą tak, jak oczy Polki:
Spokojnie — ale z ogniem i miłością.

Kiedy je patrzeć na smutek przymuszą,
I na lud, który gdzieś w łańcuchach pędzą,
Niechaj te oczy łzami się zaprószą —
Lecz niech się nigdy nie zamkną przed nędzą!

Kiedy z tych oczu łez opadnie rosa,
A ludzie będą chciwie w nie patrzali,
Niech oczy całe pokażą niebiosa
Aż do błękitu dusz — i jeszcze dalej!

A kiedy przyjdą porwać naród z trumny
I rzucić w ogień tych, co skry się boją,
Niech w oczach będą takie dwie kolumny,
Jak ognie, które na wulkanie stoją.

Wtenczas ja powiem, srodze rozkochany,
I nawet w rymy to zamknę królewskie —
Że, choć widziałem w oczach cztery zmiany,
Prawdziwie, Lolka ma oczy niebieskie.

TESTAMENT MÓJ.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
Żem dla ojczyzny sterał moje lata młode;
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą —
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biedę:
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę,
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę....

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi.

BENIOWSKI

(POEMA.)

PIEŚŃ I.

4 Za panowania Króla Stanisława
Mieszkał ubogi szlachcic na Podolu;
Wysoko potem go wyniosła sława —
Szczęścia miał mało w życiu, więcej bolu;
Albowiem była to epoka krwawa,
I kraj był cały na rumaku, w polu.
Łany, ogrody leżały odłogiem,
Zaraza stała u domu, za progiem.

Maurycy-Kaźmierz-Zbigniew miał z ochrzczenia
Imiona — rodne nazwisko Beniowski;
Tajemniczą zaś gwiazdę przeznaczenia,
Co go broniła jako Częstochowski
Szkaplerz od dżumy, głodu, od płomienia
I od plag wszystkich — prócz śmierci i troski;
Bo w życiu swojem zamartwił się bardzo,
A umarł, choć był z tych, co śmiercią gardzą.

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną.
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną;
Ale się staną niby harfą strojną,
I bite pieśnią zapału — nie pękną!
Przez całą młodość, Pan Beniowski bujnie
Czuł za trzech ludzi — a więc żył potrójnie.

Wioseczkę małą miał, ale dziedziczną,
Dwadzieścia miał lat, był u siebie panem,
Spraszał do domu szlachtę okoliczną —
Fortunka jego ciągle ciekła dzbanem.
Miał nadto proces i sprawę graniczną;
A prędzej sprawę wygrałby z szatanem,
Niż z ową psiarnią wtenczas palestrantów:
Słowem, że przyszło do długów i fantów.

Pozbył się naprzód klinów i futorów,
Potem i konie wyprzedał z uprzężą —

Nie znano wtenczas jeszcze w Polsce szorów,
O które żony dziś mężów ciemiężą —
Pozbył się potem swoich białozorów:
Regentowi dał charty — w rękę księżą
Ostatnie grosze dwa za ojca duszę
I na ornaty dwa ojca kontusze.

Z tych majątkowych ostatnich konwulsji,
Nie zyskał jedno wyrok przeciw sobie,
Wyrok, w którym rzecz była o ekspulsji.
Mało o to dbał, tracąc na chudobie;
Dzisiaj są ludzie młodzi stokroć czulsi,
Lecz Pan Beniowski rzekł: ja sam zarobię
Na drugą wioskę, *et si non mi noces*
Fortuna — z wioską nabędę i proces.

I znowu mój syn będzie miał przyjemność
Z palestrą jadać i być Akteonem,[1]
I na przyjaciół wzdychać niewzajemność
I stać, tak jak ja, pod ciemnym jesionem,
Który mój ojciec sadził. — O nikczemność!
Tu Pan Kazimierz jęknął harfy tonem,
I na szumiący jesion łzawo spojrzał.
W tej chwili zyskał trochę — trochę dojrzał.

Trochę skorzystał w sobie jako prawnik,
Trochę skorzystał jak człowiek odarty,
Na którego sam Pan Sędzia, Zastawnik
I Regent, niby trzy głodne lamparty,
Lub jako muły puszczone na trawnik,
Lub jak na duszę rozsierdzone czarty,
Wpadli, ogryźli, i na pocieszenie
Rzecz zostawili słodką: doświadczenie.

O doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem,
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza!
O doświadczenie! jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów! tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku;
Dla mnie, śród ciemnej nocy, świecą w ręku!

Lecz Pan Beniowski liczył lat dwadzieścia:
O doświadczenie, jak o grosz złamany,
Nie dbał; wolałby mieć wioskę i teścia,
To jest ślubem być dozgonnym związany

[1] Djana zamieniła Akteona w jelenia, którego potem psy rozszarpały.

Z Panną Anielą. Tej sztuka niewieścia
Sprawiła, że był srodze zakochany;
Na gitarze grał i rym śpiewał włoski,
I wszystko dobrze szło, dopóki wioski

Nie stracił, wtenczas po włosku: *addio!*
Po polsku: pisuj do mnie na Berdyczów.
Okropne słowa! jeśli nie zabiją,
To serce schłoszczą tysiącami biczów.
Panna Aniela, dziewczę z białą szyją,
Była z rodziny dostatniej A..wiczów;
Kochała wiernie, wierność była w modzie;
Lecz ojciec — ten stał jak mur na przeszkodzie.

Mimo to jednak Aniela, jak róże,
Co nad wysoki mur liściem wybiegną
Patrzeć na słońce, oczy miała duże,
Czarne — (Jak róże, co się nad mur przegną,
I mimo czujne ogrodowe stróże,
Zerwaniu chłopiąt i dziewcząt ulegną;
A potem gorzki los tych niewiniątek
Więdnąć na włosach i sercach dziewcząteк!)

Aniela, mimo ojcowskie czuwanie,
Widywała się ze swoim Zbigniewem.
Kronika milczy, czy to widywanie
Odbywało się pod jaworu drzewem,
W godzinę, kiedy słychać psów szczekanie,
Kiedy słowiki wywołują śpiewem
Księżyc z pod ziemi, lecz pozwól Asindziej,
Że się nie mogli widywać gdzieindziej,

Zwłaszcza o innej porze. Ojciec srogi,
Do tego wielki oryginał, splennik
Djabeł wie jakiej wiary: w rzymskie bogi
Wierzył, i wierzył w proroctwa i w sennik;
Chrystusa także krwią oblane nogi
Całował; zwał się cesarzów plemiennik;
Słowem, była to dziwna meskolancja
Świętości, złota, folgi — jak monstrancja.

To porównanie pojąłbyś odrazu,
Gdybyś go widział w złocistym szlafroku,
Z łbem łysym, gdzie jak z Rembrandta obrazu
Odstrzeliwało słońce, kiedy w mroku
Adamaszkowych purpur, stał jak z głazu
Kłaniającym się ludziom na widoku;
I stał jak martwy, niczem się nie wzruszył,
Lecz widać było że żył, bo się puszył.

Zamek jego stał nad rzeczką Ladawą,
Na skale, a pod skałą staw był wielki.
W tym stawie widać było twarz jaskrawą
Słońca i białe łabędzie Anielki;
Grobelkę z młyńską u końca zastawą,
Za groblą kościół Panny Zbawicielki,
Z trzema wieżami baniastymi, w złocie,
I chat okienka niby oczy kocie.

Wszystko to było dziwnie piękne, cudne!...
Zwłaszcza, że szlachcic, wielki oryginał,
Góry uczynił do przebycia trudne;
Wężowe w skałach ścieżki powycinał,
I między róże, co rosły odludne,
Postawiał golce rzymskie... Ten puginał
W ręku swym trzymał i twarz miał brodatą...
Skąd łatwo było poznać, że to ... Kato.

Apollo w morzu zostawił koszulę,
I na Starosty górach stał bez listka.
Dalej, w egipskich katakombach — ule...
Dalej posągi, którym koniec świstka
Wyłaził z gęby i przemawiał czule
Do pana zamku... jak do antychrystka...
Albowiem wszystkie te wymysły pańskie
Nie katolickie były... lecz pogańskie.

W ogrodzie stała jakaś larwa niema,
Czarna, ogromna, rozrosła szeroko;
Był to krzesany dąb na Polifema.[1]
Jedno w koronie miał wybite oko
A tyle widział nieba, co obiema;
I nad sadzawką coś dumał głęboko,
Patrząc tem jednem okiem w ciemną wodę:
Na deszcz miał czarny wzrok, jasny w pogodę.

Naprzeciw była bardzo ciemna grota,
Przed nią się nieraz siwy rybak skłoni,
Gdy go na stawie ogarnie ciemnota,
A sieci pluszczą śród spokojnych toni,
Albowiem w grocie Matka Boska złota,
Z wieńcem różanych lamp na jasnej skroni,
Jako Djana o poranku biała,
Na staw z różanej tęczy wyzierała...

Słowem było to istne głupstwa wzgórze,
Zwierciadło czyste cnego Antenata,

[1] Polifem, cyklop o jednym oku.

Na którem meszty świeciły papuże,
Rzymska, purpurą bramowana szata.
Przy ucztach często na łysinie... róże,
A w ręku czara ze śmiercią Sokrata,
Tak dobrze, wiernie wykowana rylcem,
Że kto pił, zdał się mędrcem... nie opilcem.

Z tego wszystkiego pan Kazimierz śmiał się,
Lecz zakochany w cudownej Anieli
Wyjawić szczerze swoich myśli bał się;
Polubił nawet te posągi w bieli,
Te groty od lamp różane... i stał się
Nabożnym bardzo w każdej skalnej celi;
W każdej albowiem była jego droga,
I w każdej po niej została część Boga...

Woń jakaś, jakiś duch nieprzenikliwy,
Co myśli wtrącał i duszę w marzenia:
Każdy z nas miał kraj młodości szczęśliwy,
Kraj, co się nigdy w myślach nie odmienia.
Ja sam, co widział Chrystusa Oliwy,
Góry z marmury i góry z płomienia,
Wolę... i sądzę najpiękniejszą z krajów
Jednę maleńką wieś, pełną ruczajów,

Pełną łąk jasnych, gdzie kwitnie wilgotna
Konwalja... pełną sosen, kalin, jodeł;
Gdzie róża polna błyszczy się samotna,
Gdzie brzoza jasnych jest kochanką źródeł...
A zaś przyczyna temu jest istotna,
Że na tych bagnach, gdzie potrzeba szczudeł,
Jam wtenczas bujał na młodości piórach,
Jasny i chmurny... jako księżyc w chmurach.

O! Melancholjo! Nimfo! skąd ty rodem?
Czyś ty chorobą jest epidemiczną?
Skąd przyszłaś do nas? Co ci jest powodem,
Że teraz nawet szlachtę okoliczną
Zarażasz? Nimfo! za twoim przewodem
Ja sam wędrówkę już odbyłem śliczną!
I jestem dzisiaj... niech cię porwie trzysta!
Nie Polak, ale istny bajronista.

Trochę w tem wina jest mojej młodości,
Trochę tych grobów, co się w Polsce mnożą,
Trochę tej ciągłej w życiu samotności,
Trochę tych duchów ognistych, co trwożą,
Palcami grobów pokazując kości,
Które się na dzień sądny znów ułożą...

I będą chodzić, skrzypiąc, płacząc, jęcząc;
Aż wreszcie Pana Boga skruszą... dręcząc.

Prześliczna strofa! mógłbym zacząć od niej
Nowy poemat, jak sąd ostateczny;
I przy Eumenid[1] pokazać pochodni,
Jak jest grzech każdy dziwnie niebezpieczny;
Jak w jasnem niebie daleko jest chłodniej
Niż w piekle, kędy płonie ogień wieczny;
Lecz wolę dzieło to rzucić na później,
Bo do porządku mnie wołają woźni.

Ci woźni są to krytycy... Kolego!
Byłżeś w Arkadji tej, gdzie Jezuici
Są barankami?... pasą się... i strzegą
Psów... i tem żyją, co ząb ich uchwyci
Na pięcie wieszcza? ... Kraina niczego!
Pełna wężowych ślin, pajęczych nici
I krwi zepsutej... Niebieska kraina!
Co za pieniądze bab... truć nas zaczyna.

O! *Polsko!* jeśli ty masz zostać *młodą*[2]
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje?!
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije,
Jeśli masz twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępnym Włochem:
Zostań, czem jesteś... ludzi wielkich prochem!

Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą
O każdej czarze... czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pająka swego
Wlane są jady... Jesteś córką Boga,
I siostrą jesteś Ukrzyżowanego.
Ciebie się żadna trucizna nie imie:
Krzyż twym Papieżem jest... twa zguba w Rzymie!

Tam są legjony zjadliwe robactwa:
Czy będziesz czekać, aż twój łańcuch zjedzą?
Czy ty rozwiniesz twoje mściwe bractwa,
Czekając na tych, co pod tronem siedzą?
I krwią handlują i duszą biedactwa,
I sami tylko o swem kłamstwie wiedzą;

---

[1] Eumenidy = boginie zemsty. [2] Aluzja do czasopisma emigracyjnego p. t. *Młoda Polska.*

I swym bezkrewnym wyszydzają palcem
Człeka, co nie jest trupem... lub padalcem?

Lecz pokój z nimi... nie, ten brud ruchomy
Nie zna pokoju... więc życzenie próżne!
Niechaj więc włażą w zakrwawione domy,
Niech plwają na miecz, stworzenia ostrożne,
Aby zardzewiał, nim będzie łakomy
Ich zgiętych karków... niech mają usłużne
W jadzie maczane pióra, dusze w bagnie,
Niech żyją: takiej krwi nikt nie zapragnie.

Czołem bijący w marmur Chrystusowy,
Kiedym się skarżył na klątwy i zdrady,
Tom się i o ten kielich krwi octowy
Upomniał... i grób zaparł się: że gady
Z niego nie wyszły, lecz z urwanej głowy
Ten polip odrósł i lud wyssał blady.
Wygnać go była kiedyś wielka praca,
Ma nas za trupa ten szakal i wraca.

Precz z nim, lub jeśli przyczołgnie się żmija,
Pod Boga skrzydło kryjmy się i gromy —
Lecz widzę, że mię ten liryzm zabija,
Że na Parnasu szczyt prowadzi stromy:
Kiedy czytelnik tę górę omija,
I woli prosty romans, polskie domy,
Pijące gardła, wąsy, psy, kontusze;
A nadewszystko szczere polskie dusze.

Wszystko mieć będzie, wszystko mu przyrzekam,
Tylko o trochę cierpliwości proszę.
Ja sam na Muzę i natchnienie czekam,
I czoło moje pomarszczone noszę,
I poematu ekspozycją zwlekam,
I weny ducha lekkiego nie płoszę,
Który na mózgu, jak motyl na róży,
Usiądzie, aż się kwiat listkami zmruży.

A potem, nagle odemknie swe łono
Świeże i jasne — i na okolice
Roześle wonie, co wszystko pochłoną.
Ja się zdolnością natchnień bardzo szczycę,
I tu pokażę, że nie jest zmyśloną,
Lecz z moich rymów czyni błyskawice,
A mym przekleństwom daje siłę grotów.
Czekajcie! już pieśń zacznę — jużem gotów.

Był wieczór. Z kwiatów wychodziły wonie
Melancholiczne, ciemniał las dębowy.
Beniowski kazał osiodłać dwa konie:
Jeden dla siebie, na drugim domowy
Miał jechać sługa. Beniowski na skronie,
Chciałbym powiedzieć: włożył hełm stalowy,
Lecz nie poemat pisząc tylko gadkę,
Powiem, że tylko wdział — konfederatkę.

Zapiął na piersiach szpencer z barankami,
Zawiesił burkę z tygrysimi łapy;
Wsiadł na koń, spojrzał na ganek ze łzami,
Pogłaskał konia — koń otworzył chrapy
I w ciemną domu sień zaparskał skrami
Na pożegnanie. Klasły dwa harapy
Pana i sługi. I pan ze swym sługą
Wyszli z rodzinnych progów — i na długo!

O! gdyby wtenczas jaka Nimfa smętna,
Wiadoma ludzkiej przyszłości, krzyknęła:
Już ty nie wrócisz! i stopy twej piętna
Są tu ostatnie! lecz jeśli twe dzieła
Zapisze sława wszystkiego pamiętna:
Ten dom, z którego cię nędza wypchnęła,
Będzie świątynią, a te ciche świerki
Pójdą na krzyże i na — tabakierki.

A twe koszule porżną na szkaplerze,
A twe papiery, choćby to był tylko
Od ekonoma list, albo przymierze
Wiecznej miłości z Hańdzią lub Marylką,
Sawantka łzami rzewnemi wypierze
I w sztambuch wklei, albo przypnie szpilką.
Że twa peruka, jeśli masz perukę,
Frenologistów[1] podeprze naukę!

Że twój but prawy powieszą w Sybili[2],
A o znikniony lewy będą skargi.
Nie mówię więcej, bo mój rym już kwili
I łzami się już zalewają wargi!
Lecz gdyby jaka Nimfa w owej chwili,
Kiedy nasz rycerz na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś, coś nakształt piekła.

---

[1] Frenologja = nauka wnioskująca z kształtu czaszki o zdolnościach umysłowych. [2] Aluzja do świątyni Sybilli w Puławach.

O! dzika żądzo pośmiertnego żalu,
Jakiem ty jesteś smutnem głupstwem ludzi!
Zwłaszcza, że wiedziesz prosto do szpitalu
Rozmarzonego. A nim się obudzi,
Już w jego oczach, jak w mglistym opalu,
Błyskają światła, szpitalnicy chudzi,
Mniszek pacierze, trumien robotnicy,
Mgła — za tą chmurą Pan Bóg nakształt świecy.

Ale to wszystko jedno. Nasz bohater
Dom swój opuszczał ze swym starym sługą,
Jak opuszczała swój dom panna Plater,
A kiedyś, dawniej, Czarniecki z kolczugą.
Ach tak, jak później nasz sejmowy krater,
Który wybuchnął wielką, jasną fugą
Z Warszawy, Wisłę przewędrował promem.
I mówi, że jak ślimak wyszedł z domem

Ach! tak, jak sztaby, klub i wszyscy święci,
Co dzisiaj w każdym są kalendarzyku
Emigracyjnym, niby z krzyża zdjęci,
Jak ja nareszcie, co w tym słoneczniku
Muszę się kręcić, bo się ze mną kręci
Za każdem słońcem — słońc mamy bez liku!
I trzeba dobrze nam tą myślą przesiąc,
Że dla niezgody słońc — królem jest miesiąc.

Lecz to dla innych wieszczów, ta bez twarzy
Walka, jak w dawnej Skandynawów wierze
Wojna niebieskich, krwawych luminarzy,
Teraz niech nowi wystąpią rycerze,
Ułani, dawnych synowie husarzy,
Którym krew ruska chorągiewki pierze.
Pan Kaźmierz jechał takim być ułanem,
Kłaniało mu się zboże całym łanem.

Kłosek mu każdy dziękował ugięty,
Bławatek każdy mu się przypatrywał,
Ani się skarżył, choć kopytem ścięty.
Beniowski jechał cicho, sługa śpiewał
Jedną z tych pieśni, w których jęk zamknięty,
A głos po łanach złocistych przepływał
I wpadał w ciemny las, na dębów słuchy:
Te drżały, bijąc skrzydłami jak duchy.

Ciemniało. Rycerz wyjechał nad jary,
Skąd rzucił okiem na dom swej kochanki.
Skała ta, jako wielki obłok szary,
Stała nad stawem; nad nią były wianki

Drzew ogrodowych i dom wielki, stary,
Z płomienistymi okny i krużganki.
Całą tej górze postać ekscentryczną
Odjęła złota noc swą szatą śliczną.

Nie widać było posągu Junony,
Dalekim oczom zniknął gdzieś Apollo;
Ale dąb widać było zamyślony,
Co stał nad zamkiem żeniony z topolą;
Lecz w zamku księżyc wybuchał czerwony,
Jak smutny aktor, co z Hamleta rolą
Wyjdzie na scenę. Księżyc wstąpił krwawy
I oczerwieniać zaczął staw Ladawy.

Pan Kaźmierz był z tych, co stawią na tuza
Cały majątek. Przegrał go i plunął,
Lecz patrząc na ten dom, gdzie wziął harbuza,
I z nadziei swych na wiek wieków runął,
Westchnął! i wzniosła mu się w piersiach śluza,
Łzami się zalał i z siodła się zsunął
Jak człowiek, który dostał nagle mdłości.
Przyskoczył stary Grześ: „Co jegomości?".

„Święta Maryjo, ratuj! dziecko kona!"
Na to Beniowski rzekł: „Poprawiam strzemię!"
Odepchnął sługę, co go brał w ramiona,
W konfederatkę się chlasnął i w ciemię;
Spojrzał na księżyc, co zeń jak z Memnona
Wydobył jęki, i całe trosk brzemię
Takiem westchnieniem wielkiem w księżyc cisnął,
Że księżyc ścmił się, zmarszczył i znów błysnął.

Westchnąwszy, jechał dalej brzegiem jaru,
A za nim sługa w ceglastym kontuszu.
Smutnemu wiatr się zdaje pełen gwaru,
Litość aniołów brzęczy koło uszu:
Smutny jest gotów do bójki i swaru,
Gorączkowego pełen animuszu.
Takim Beniowski był i jego lozak,
Szczęściem, że żaden nie zjawił się kozak.

Bo w takiej chwili kochanek rozpaczny
Gorszy, niż lwica Wirgila kirkańska.
Jechał więc smutny rycerz, za nim baczny
Na wszystko jechał Grześ; a wódka gdańska
W skórzanej flaszy dźwięk dawała smaczny.
I bełkotała ta Nimfa szatańska
Właśnie jak gołąb, co z miłości grucha,
Lub poetyczna na Litwie ropucha.

Słysząc, jak słodko zapraszała flasza,
Spróbował jej Grześ raz, dwa i trzy razy;
I w oczach mu się wnet zrobiła kasza
Z gwiazd, a sam księżyc był szperką, a głazy
Ludźmi. Więc jako żona Eneasza [1],
Został się w Troi, z konia spadł na ślazy.
I tak bohater zbył swojego sługi,
Ale za koniem jego szedł koń drugi.

I było coraz ciemniej. Wtem, o cuda!
Koń Grzesia zaczął prześcigać panicza.
Na nim siedziała jakaś wiedźma ruda;
Gałąź pokrzywy miała zamiast bicza;
Tu widzę, że mi się poemat uda,
Że mi już muza swoich łask użycza;
Więc dalej, wieszczów galopem wyprzedźmy,
Jedź *ex machina Deus* — w kształcie wiedźmy.

Więc, jak powiadam, zrównały się konie.
Beniowski nagle ocknął się i wzdrygnął,
Widząc, że siedział czart w srebrnej koronie
Na koniu, co go jak wicher prześcignął,
I wziął z Kaźmierza rąk w kościane dłonie
Lejce, i stepem zamroczonym śmignął,
Ciągnąc za sobą mojej pieśni syna.
Że Polak daje się wieść, nie nowina!

Widziałem. Ale stój, Muzo! bieg krzywy
Tu nie przystoi wcale. Miesiąc świeci,
Na koniu wiedźma, gałęzią pokrzywy
Smaga po zadzie konia i tak leci
W srebrnej koronie, jak anioł straszliwy,
O którym roją na pół senne dzieci;
Że koń ma ze mgły, z wężów srebrnych bicze,
Skrzydła ogniste i niańki oblicze.

I coraz prędzej, jakby anioł zgonu,
Pędził za naszym rycerzem i babą;
Dźwięk głuchy kopyt, jak jęczenie dzwonu,
Jako tętnienia echo, jęczał słabo,
A ręka wiedźmy, jak liść wielki klonu
Gdy zczerwienieje, lub, jak mówi Strabo, [2]
Łapa Ibisa czerwona, bez pierza,
Za lejc trzymała swój, i lejc rycerza.

W zawrocie głowy rycerz wlepił oczy
W tę rękę z trzema czerwonymi żyły.

---

[1] Żona Eneasza, opuściwszy Troję z mężem zaginęła w drodze.
Strabon = geograf grecki.

A więc rozmyślał, czy z konia zeskoczy?
Ale mu jego koń był bardzo miły,
Czy świśnie szablą, aż się łeb potoczy
I spadnie z karku wiedźmy do mogiły?
Ale i ta myśl druga i ta chętka
Zdawała mu się nie zła, lecz za prędka.

A tu bym wiedzieć chciał twe mądre zdanie,
Mój czytelniku, i twój sąd o rzeczy,
Gdyby cię takie spotkało porwanie?
Byś nie spodziewał się znikąd odsieczy?
I widział taką rękę, Mości Panie!
Czerwoną? do miljona krwawych mieczy,
Taką ohydną rękę? pełną kości?
Co pozbawiła cię ludzkiej godności!

Zwłaszcza, jeżeli jesteś demokratą
I o swą godność indywidualną
Dbasz wielce. Cobyś więc powiedział na to?
Gdybyś przez babę tak suchą! fatalną!
I — nie wiem, pewnie — lecz może wąsatą
Sę-Symonistkę [1], i nie idealną,
Ale kościaną, był pozbawion woli
I tchu, i czynił to, co godność boli?

Nie wiesz? Więc sobie zamawiam twą łaskę
Nadal, na rzeczy ważniejszych sądzenie.
Beniowski więc wpadł w szatańską zatrzaskę;
Widzę w tym jego gwiazdę, przeznaczenie!
I leciał jak wiatr, patrząc w bladą maskę,
Którą słoneczne wkładają promienie
Na twarz księżyca; a w tym prędkim biegu
Świat mu się cały zdawał kłębem śniegu.

Nagle, zwolniła kroku przewodniczka,
Roześmiała się, zeskoczyła z siodła.
Beniowski siedział na koniu, jak świeczka,
Patrząc, gdzie go ta wędrówka zawiodła.
Ujrzał, że chwastem zarosła uliczka
Między skałami, co mogą za godła
Służyć dwom sercom rozdartym na wicki,
Wiodła go prosto — prosto do pasieki.

Pasiekę tę znał dobrze i te skały
I tę ścieżeczkę pełną rudej glinki.
Tutaj pasterskie roił ideały,
Z których czytelnik może robić drwinki

[1] Zwolennicy Saint Simona proklamujący nowy ustrój społeczny i emancypację kobiet.

Starosta córce dał ten gaik mały,
I od niej nazwał miejsce, A n i e l i n k i;
A zaś ta wiedźma na pozór straszliwa,
Była to niańka Panny, stara Diwa!

Poznał ją rycerz i za tę czerwoną,
Za tę Ibisa rękę wnet uścisnął.
„Więc ty Irydą[1], jesteś, a Junoną
Jest twoja Pani? Teraz obłok prysnął
Ach! widzę, jaką miałem myśl szaloną!
I cobym zrobił, gdybym szablą świsnął
I odciął ci tę rękę, Diwo stara!
Drugi raz nie graj w djabła i w Tatara!"

Tak mówiąc, za swą Diwą szedł z pośpiechem.
I ze skał wyszli na łąkę zieloną,
Na którą księżyc spoglądał z uśmiechem,
Widząc tysiącznych róż otwarte łono.
Chata nakryta prostej słomy wiechem,
Ścieniona lipy ogromnej koroną,
Stała na łące w najciemniejszej głębi,
Z girlandą śpiących w około gołębi.

Z drżeniem za Diwą szedł Beniowski młody,
Prowadząc konia, co się wyrwał z dłoni
I poszedł zwolna, parskając, do wody;
Ta wyglądała z pod białych jabłoni
Szarfą księżyca, błękitem pogody.
Za nim koń drugi poszedł rżąc, a oni...
To jest, nie konie, lecz nasz ryczerz z Diwą,
Weszli w lepiankę pochyłą i krzywą.

Staruszek, Diwy mąż, poświecił w sieni,
I drzwi otworzył od Panny pokoju,
Na progu stała, jakby smętna ksieni,
Panna Aniela, cała w białym stroju;
Z djamentowych zaś miesiąc pierścieni,
Podobny do gwiazd migających roju,
Błyskał na kruczych włosach rozwiniętych;
Właśnie jako złote światło Świętych.

Beniowski myślał, że Anioł, i witał
Jak bóstwo, długiem, przeciągłem westchnieniem,
Potem się zmięszał i o zdrowie spytał;
Co dziś byłoby wielkiem uchybieniem!
Nieświatowością! znakiem, że nie czytał
Pani Sand![2] że się bajronicznym cieniem

[1] Iryda = posłanniczka Junony. [2] George Sand, powieściopisarka francuska.

Nie okrył, że jest niezgrabny w rozmowie.
Że nie wie, jak to mówić romansowie.

Ja sam się dziwię, że za bohatera
Wziąłem takiego prostego szlachcica!
Oto pierwszy raz swe usta otwiera
Przed swą kochanką, która w nów księżyca
Swe włosy czarno-błękitne ubiera,
Jakby sawantka, albo czarownica,
I słyszy, że nie jak wieszcz lub astronom
Kochanek wita ją, lecz jak ekonom.

Na niezgrabnego już masz patent, a ja
Rycerzu, wyprę się twoich grubijaństw,
I cała moich poematów zgraja
Lęka się dalszych twoich swarów, pijaństw!
Anhelli cię ma biały za lokaja:
I Balladyna, skora do zabijaństw,
Wolałaby się w trupów ukryć gęstwie,
Niż przyznać, że jest z tobą w pokrewieństwie;

Co jest niejaką prawdą, bo te mary
Jedne się rodzą z serca, drugie z głowy,
A trzecie tylko z dziwnej, twardej wiary
W przyszłość, a czwarte obłok piorunowy,
A piąte mi koń w stepach przyniósł kary.
Lecz ten poemat będzie narodowy,
Poetów wszystkich mi uczyni braćmi,
Wszystkich, oprócz tych tylko, których zaćmi.

Lecz do powieści. — Więc na progu stała
Panna Aniela prosta, dumna, czysta,
Dla zalotników zwyczajnych jak skała,
Z czego kochanek wybrany korzysta.
Albowiem nigdy nie kokietowała
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta
Kornych kochanków pod wachlarza trzonkiem,
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Lecz u Polaków tak: ciągną jak słomki
Za oczkiem jakiej Marysi lub Wandy,
Która im różne rozdaje przydomki,
A wiosną listkiem cyprysu, lewandy
Z nimi w zielone gra, lub wiąże słomki;
Lub wędkę rzuca w te rybek girlandy,
Które za każdym wody pluskiem płyną,
Skosztują, haczek obaczą — i miną.

Lecz u Polaków tak: widziałem całe
Przy jednej pannie gimnazja, licea;
Ta miała często rączęta nie białe,
A złość tak wielką w sercu jak Medea[1];
A zaś korzyści z tych miłości małe,
I małe bardzo na później trofea.
Rozdały wiele włosów, łez, podwiązek,
Żadna nie weszła stąd w małżeński związek.

A stąd przestroga, że takie zbiorowe
Miłoście nic są w miłości niewarte;
Że lepiej serce zawrócić, niż głowę;
Serca w miłości bowiem są uparte,
Choć głowy stokroć bardziej romansowe,
I stokroć bardziej ogniście zażarte;
I często widząc, że na świecie źle tym,
Z rozpaczą kończą tak, jak Werter w Getym.

Więc z drugiej strony w tem jest kompenzacja
Dla tych, co dzisiaj są staremi panny,
Gdy na rozstajnej drodze jaka stacja
I kamień — i trup w białą czaszkę ranny,
Świadczą, że każda z nich, jako akacja
Okryta słodkim kwiatem w czas poranny,
Brzęczała w koło pszczół zalotnych wieńcem
I ma kochanka w piekle — potępieńcem.

Takim sposobem wnet jest heroiną,
I poeci ją rymami zaszczycą:
Już jej nie nazwie nikt w pieśni d z i e w c z y n ą,
Lecz musi nazwać posępnie d z i e w i c ą!
A kochanek jej, jak Fingal lub Ryno,[2]
W chmurach skłębionych igra z błyskawicą,
I śpiewa wichrom piekielny tryjolet,
Mając łzy w oczach, a w ręku pistolet.

Ale to nie był los Panny Anieli;
Chociaż tak piękna, jak żadna śmiertelna,
Zbliżyć się ludzie i kochać nie śmieli.
Została dumna i nieskazitelna.
Chodziła jako łabędź lub anieli,
Kołysząc się na giętkiej stopie. — Strzelna
Nie była swymi źrenicami — zgoła!
Lecz oczy czarne jej — paliły czoła.

---

[1] Medea, żona Jozona zamordowała z rozpaczy swe dzieci, gdy ją mąż porzucił. [2] Fingal, Ryno, postacie z poematów Macphersona piszącego pod pseudonimem Ossjana.

Włosy jej długie, krucze, w róg zwinięte,
Ciężyły głowie swą jedwabną wagą.
Ta sama głowa miała kształty święte,
I uświęcone snycerską powagą,
Smukłe, ku plecom w okrągłość ściągnięte.
Ktokolwiek widział marmurową, nagą
Florencką Wenus, nie weźmie za fraszki
Tego, co mówię tu o formie czaszki.

Jak owe jaje, w którem kiedyś Leda
Powiła syna bogu łabędziowi,
Jak? — dzisiaj się to wytłumaczyć nie da
Przez żaden nowszy cud katolikowi;
A gdym tłumaczył, to panna Prakseda
Święta, aniołek jezuicki, wdowi,
Jak na kazaniu siedziała sanskryckim,
A potem mi dała w sam łeb — Witwickim.

Więc dziękowałem Bogu, że z pod prasy
Nie wyszło jeszcze sześć psalmów Bojana,[1]
Bobym te wszystkie katolickie kwasy
Miał na łbie, wszystkie sześć! Bo ta kochana
Panna Prakseda, gdy chodzi w zapasy
I chce traktować kogo jak szatana,
Co ma pod ręką katolickich wieszczy,
Rzuca na głowę, i bije, i wrzeszczy,

Podziękowawszy więc Bogu, że tylko
Dostałem Złotym ołtarzykiem, który
Każdą klamerką mię ukłuł jak szpilką,
Na niedźwiadkowe się bowiem pazury
Zamyka. Czemże jest ból? jedną chwilką!
Jak mówią w Dziadach Mickiewicza chóry.
Podziękowawszy za chwilki chwilowość,
Wpadam w opisy znów i w romansowość.

Aniela miała cudowną postawę,
W noszeniu głowy cudną lekkość — włosy
A l'antique — barwy troszeczkę bladawe,
Oczy skier pełne, teraz pełne rosy,
Smutne i twarzy kochanka ciekawe,
I pytające się o własne losy.
Jej ręka piękna, maleńka i biała,
Za szorstką, silną biorąc rękę, drżała.

„Ty wyjeżdżałeś! tyś mi nie powiedział,
Ale me serce jest miłosnym szpiegiem!

[1] Bohdana Zaleskiego.

Nie mów mi, że jest między nami przedział
Fortuny. Jestem nad przepaści brzegiem.
Usiądź! opowiem, wszystko będziesz wiedział!
Nie strasz się tylko trudności szeregiem,
Nie strasz się! jesteś ludziom w poniewierce,
Lecz ja cię kocham jedna, ja mam serce.

Straciłeś cały majątek? — i cóż mi
Majątek, ludzi sąd? — ja kocham ciebie!
Ja twego serca chcę, a nie twych dusz[1] mi
Potrzeba! pójdę o żebranym chlebie.
Nie odpowiadaj mi na to, nie krusz mi
Serca, mój los już zapisany w niebie.
Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję.
Kto nas rozdzielić chce, ten mię zabije!

Dzisiaj przyjechał Dzieduszycki z drogi,
Znów się oświadczył i o moją rękę
Prosił. Mój ojciec stał się dla mnie srogi,
I guwernantka, jak na moję mękę,
Za ojcem trzyma. I ludzie i bogi
Przeciwko nam są — i wuja Sosenkę
Przekabacili już na swoję stronę.
Płakałam — patrzaj, oczy mam czerwone.

A tu jak na złość! dla Dzieduszyckiego
Był bal. Czy widzisz, jak jestem ubrana?
Musiałam ubrać się dla ojca mego
W ten księżyc, lecz ja dla mojego pana,
Dla ciebie tylko! dla ciebie samego
Ubrałam się tak w kwiaty, po kolana.
Prawda, że dobrze mi tak bez zawoja!
Ja nie ubrałam się dla nich — ja twoja!

Lecz ty wyjeżdżał? gdzie? O! ty niewierny!
Gdyby nie Diwa, byłbyś już daleko.
Gdzieżeś ty jechał? Gdy mię ból niezmierny
Dręczy, kiedy mię przed ołtarze wleką;
Gdy nie zostaje nic, jak się w cysterny
Rzucić, lub twoją się zakryć opieką,
Ty mię opuszczał w chwilę tak okrutną!
Ja przebaczyłam już, ale mi smutno.

Czy ty nie ufasz, że ja zdołam jedna
Oprzeć się, zostać twoją? Ja nie płocha!
Ty nie wiesz, co to jest kobieta biedna,
Kiedy ją dręczą; kiedy mocno kocha,

[1] Dusz poddanych.

Zgubi się, potem u wszystkich wyjedna
Łzy nad swem sercem zgubionem i trocha
Kwiatów, i więcej też żadnej nie trzeba,
Cóż to? Nie mówisz nic do mnie? O nieba!

Myślałam, że ty mi dodasz nadziei —"
Tu wypuściła z rąk rękę kochanka —
„Myślałam, że ty w tej smutnej kolei"...
Tu blisko, szczęściem, stała z wodą szklanka.
Wzięła ją, drżące w szkło usteczka klei;
Ząbki o kryształ dzwonią jak kraszanka,
Kiedy się z drugą spotka w dziecka dłoni.
Rzekłbyś, że perła o dyjament dzwoni:

„Myślałem"... Głos jej o jedną oktawę
Zniżył się i pękł, jak pęknięcie struny.
Boleść złamała jej giętką postawę,
Myślałbyś, że się chyliła do truny!
Tak nawet małe usteczka jaskrawe
Zbladły, uczuwszy gorzkich łez piołuny.
Padła na krzesło i przez łzawe deszcze
Błysnął ostatni jęk: „Kochasz mię jeszcze?"

Beniowski już był na kolanach — w dłonie
Wziął drżącą rączkę Anieli. Tu proszę
Włożyć mi wieniec Petrarki na skronie;
Bo na tem pieśń zakończę i ogłoszę
Po dawnych wieszczów umarłych koronie
Czas bezkrólewia; pobuntuję kosze[1],
Krytyków kupię z Grabowskim prymasem[2],
Reszta owczarzy moja. A tym czasem,

Jako pretendent, na własne poparcie
Utworzę całe wojsko w drugiej pieśni.
Epiczny zamiar wyjawię otwarcie,
Wyjdę z dzisiejszej estetycznej cieśni,
I skrzydeł mojej Muzy rozpostarcie
Tęczowym blaskiem was oślepi wcześniej,
Niż miałem zamiar. Suszę tylko głowę,
Jak w rzecz wprowadzić rzeczy nadzmysłowe.

Nic podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie;
Że bańka się od gazowego skrzydła

---

[1] Kosze zaporoskie. [2] Michał Grabowski, prymas krytyków ówczesnych.

Babki-konika rozbija i ginie;
Że, w grobie leżąc, Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z woni malin i z księżyca.

Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, że się Balladyna krwawi;
Że w całej sztuce tylko nie zabity
Sufler i *Młoda Polska,* co się bawi,
Jak każdy głupiec, plwając na sufity
Lub w studnię; która po sobie zostawi
Tyle, co bańka mydlana rozwalin,
A pewnie nie woń mirry, ani malin.

O Boże! gdyby przez metampsychozę
W Kozaka ciało wleźć, albo w Mazura
I ujrzeć, jaką popełniłem zgrozę,
Pisząc naprzykład — Anhellego. Chmura
Gwiazd, białych duchów, które lgną na łozę
Jak szpaki Danta; rzecz taka ponura,
A taka mleczna i niewarta wzmianki,
Jak kwiat, posłany dla pierwszej kochanki.

Pewniebym takich nie napisał bredni,
Gdybym był zwiedził Sybir sam, realny;
Gdyby mi braknął gorzki chleb powszedni,
Gdybym żył, jak ci ludzie borealni,
Troską i solą z łez gorących, biedni!
Tam nędzni, dla nas posępni, nadskalni,
Podobni bogom rozkutym z łańcuchów,
W powietrzu szarem, mglistem, pełnem duchów.

Pewnie-bym, — lecz ta spowiedź jest za długa,
Dygresje nudzą; więc mój czytelniku,
Spróbuj, czy ci się pieśń podoba druga,
Gdzie więcej nieco będzie gwaru, krzyku,
Kościół i wielka słoneczna framuga,
I na tęczowym Duch Święty promyku;
Także cokolwiek szlachty. Powieść taka
Jak dawny, długi, lity pas Polaka.

PIEŚŃ II.

O, nie lękajcie się mojej goryczy!
Dalibóg, nie wiem sam, skąd mi się wzięła.
Długo po świecie pielgrzym tajemniczy
Chodziłem, farby zbierając do dzieła,

A teraz moja Muza strof nie liczy,
Lecz złe i dobre gwiazdy siać zaczęła.
Komu za kołnierz spadnie przez przypadek
Syrjusz, zrzucony przez nią, lub Niedźwiadek.

Spali się, lecz ja nie winien. *Per Bacco!*
Różnymi drogi mój poemat wiodę;
Jak Chochlik często częstuję tabaką,
A gdy kichają, ja zaczynam Odę,
Naprzykład drugą piękną Odę taką,
Jak do Młodości. Może serca młode
Pokochają mię za to, żem jest śmiały,
Jak Roland[1], który w pół rozcinał skały.

I teraz chciałbym rozciąć... co?... dom jeden,
Podolski jeden dom rozciąć na dwoje;
I pokazać wam, jaki szczery Eden!
Jak nieraz pełne aniołów pokoje!
Jak złoty, piękny domów jest s y r e d e ń![2]...
Ukraińskie to słóweczko, nie moje.
Wywołał je tu rym przez dźwięki bliźnie,
Nie miłość, którą mam ku kozaczyźnie.

Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów,
Które na górach stoją nad stawami.
Stawy, to tarcze z tęczowych kolorów,
Gdzie się łabędzie białe za gwiazdami
Gonią, podobne do srebrnych upiorów,
A na nie księżyc jasnemi oczami
Patrzy... na niebie jeden, przez topole,
A drugi taki złoty księżyc... w dole.

Atoli, wnętrze tych domów dopiero
Poetycznem jest... zwłaszcza, jeśli miłość
Oświeci, wonną je napełni mirrą,
I ścian drewnianych sprostuje pochyłość.
Podolanek są usta srebrną lirą,
Serca... ta strofa ma pewną zawiłość,
Której nie lubię, lecz ją skończyć muszę:
Serca są takie jak aniołów dusze.

Sam znałem jednę... lecz nie wspomnę o niej,
Bo się nadzwyczaj mój rym rozserdeczni.
Od serca mi jej wiało tyle woni
I tyle światła, że mi dziś słoneczniej,

---

[1] Bohater z poematu „Orland szalony". [2] Syredeń = wnętrze po rusku.

Chociaż mi zegar teraz północ dzwoni,
Niż gdybym w Boga się patrzał najwieczniej.
Niech was bluźnierstwa nie rozpędza trwoga,
Ona umarła już... jest częścią Boga —

Duszą, światłością, wolą, jedną chwilą
Wieczności, wiedzą wszystkiego... O! dosyć!
Niech resztę grobu cyprysy ochylą.
Różom najbielszym jej żałobę nosić.
Jej słońca drogi mlecznej nie omylą;
Zdziwiona blaskiem, będzie się podnosić
Jako harmonji lekkiej głos, bez końca,
Ze słońc na wielkie słońca, i nad słońca.

A gdy się w drogi zatrzyma połowie,
Jak gołąb puszczę za nią skrzydła chyże,
A tu mi ręce zawiążcie na głowie,
I twarzą bladą połóżcie na lirze,
Jakbym, w alpejskim upadłszy parowie,
Spoczywał. Miałem ja troski i krzyże,
Więcej, niż śniło się wam filozofom —
Lecz dajmy pokój tym myślom i strofom,

Dosyć o sercach strzaskanych, o świecie
Tu — ziemskim i tam — nadsłonecznym; oba
Smętne są. — Światy wam utworzę trzecie;
Jeżeli się mój poemat podoba,
Znów drugi, wielki tom napiszę w lecie:
A te zostaną pieśni jako próba,
Wcale nie według mego serca... ale
Ponieważ moje są, otwarcie chwalę.

Głupi! o sobie dobrze mów! wykrzyka
Ryszard w okropnym bardzo monologu,
Ujrzawszy siebie we śnie jak krwawnika
Oczerwienionym, na piekielnym progu...
Szkoda, że w księdzu Kiefalińskim[1] znika
Szekspir; przyczyną jest trudność połogu
W stanie bezżennym... także to, że z księdza
Nie może nagle być Makbeta jędza.

O księżach dobrze mów! jest to przestroga
Już nie Szekspira; na tym fundamencie
Moralność cała stoi!... Lecz na Boga!
Gdzie mój poemat? Moje przedsięwzięcie
Epiczne? Moja Ariostyczna droga?...
Widzę, że wszystko mi stoi na wstręcie.

[1] Ks. biskup Ign. Hołowiński, tłumacz nieudolny Szekspira, miał pseudonim Kefalinski od greckiego *Kefala* = hołowa, głowa.

Nawet pisania łatwość rzuca plamę —
Mówią, że w czterech dniach układam dramę.[1]

O Boże! ileżbym stworzył romansów,
Gdybym chciał wszystkich durniów być zabawą!
Wyspą dla grubych naszych Sanszo Pansów,
Na którejby się uczyli ze sławą
Sylabizować. Lecz z prozą aliansów
Nie chcę... do wiersza mam, jak sądzę, prawo.
Sam się rym do mnie miłośnie nagina,
Oktawa pieści, kocha mię sestyna.

Ktoś[2] to powiedział, że gdyby się słowa
Mogły stać nagle indywiduami,
Gdyby ojczyzną był język i mowa:
Posąg by mój stał, stworzony głoskami,
Z napisem *Patri Patriae*... Jest to nowa
Krytyka... Stój!... ten posąg błyska skrami,
Spogląda z góry na wszystkie języki,
Lśni jak mozajka, śpiewa jak słowiki!

Otocz go lasem cyprysów, modrzewi:
On się rozjęczy, jak harfa Eola,
W róże się same jak drjada wdrzewi,
Głosem wyleci za lasy i pola,
I rozłabędzi wszystko, roześpiewi...
Jak smukła, pełna słowików topola,
Co kiedy w nocy zacznie pieśń skrzydlatą,
Myślisz, że w niebo ulatujesz z chatą,

Że porwał cię głos, jasność księżycowa,
Serce rozkwitłe, rozlatane pieniem.
O! gdyby mogły się na posąg słowa
Złożyć i stanąć pod cyprysów cieniem,
Jak marmur, który duszę w sobie chowa,
I zwolna złotym wylewa strumieniem!
A tak powoli leje i łagodnie,
Że po tysiącach lat, jak słońce wschodnie

Stoi w nim cała, ogromna.. O! gdyby! —
Zachcenia moje są jak Klefta[3] żądze,
Który chciał w trumnie mieć dla słońca szyby
I dla jaskółek... na co?... Znowu błądzę,
Jak Telimena, gdy wyszła na grzyby,
A zbiera mrówki — mrówkami są żądze —

---

[1] Tak szydził ze Słowackiego Stefan Witwicki. [2] Zygmunt Krasiński. [3] Kleft, góral grecki, obrońca niepodległości.

Na wiatr to mówię tylko, lecz w nadziei,
Żem dostrzegł, jako Poznańczyk,[1] idei.

Czy w poemacie tym równie szczęśliwa
Krytyka równe porobi odkrycia?
Nie wiem. Czasami myśl w Eterze pływa,
Przez piękne bardzo przelatując śnicia;
Lecz później, pismo, druk... tęcze obrywa
Z kształtów... A teraz odbłysk mego życia
Na ten poemat pada niezbyt pięknie.
Patrzcie, jak serce wesołe... gdy pęknie!

Szczęściem, że pieśni tej bohater młody,
Świeży, miłosny i ma ciemne oko,
Złote połyskiem zielonawej wody,
Lecz nie zbyt na świat patrzące głęboko.
Owszem, ma nadto serdecznej pogody,
Nadto mu prawie na świecie szeroko.
Ach! nieraz szczerze westchniecie z litości,
Widząc, jak w nim brak artystyczności!

Poezja go otacza... Czytelniku!
Na jego miejscu, o! ileżbyś razy
Uczuł, że dusza twa na wykrzykniku
Hypogryfując, leci, klnie wyrazy,
Klnie, że w około zimnych serc bez liku!
Same szkielety pod nią, same płazy!...
Beniowski, jakby go Bóg o tem ostrzegł,
A priori to czuł... lecz i nie spostrzegł.

Co lepsza, nigdy nie mówił, nie pisał,
Biedaczek! brakło mu formy gotowej!
Nigdy się w myśli dzwon nie rozkołysał,
Idei żadnej w nim nie było nowej...
Najnowsze z ustek różanych wysysał,
I teraz, patrzcie: w pasiece lipowej
Klęczy pokornie przy kochanki nodze,
Oboje na zbyt niebezpiecznej drodze.

Lecz młodość... O! ta pomimo dewotek,
Ta jest najlepszą obroną dziewicom;
To jest kochanków młodość. Mimo plotek,
Szesnastoletnim się przybliżyć licom
Pozwólcie... zwłaszcza, gdy chłopiec podlotek
Zazdrości skrzydeł dwu synogarlicom,
Dlatego tylko, że się mogą bratać
Piórkami... ściskać, i gruchać, i latać.

[1] Aluzja do krytyków poznańskich, heglistów, traktujących sztukę jako wyraz idei.

O pierwsza miłość!... Tej wiernym obrazem
Jest zamienienie serc bez interesu!
Tej ideałem jest latanie razem
W krainie, w której niema końca, kresu.
Potem się człowiek głupi staje płazem...
Mimo krew zimną, z każdego karesu
Mogą wyniknąć rzeczy złe i zdrożne,
O których książki już mówią nabożne.

Za takie rzeczy, nie rozumiem zgoła,
Dlaczego w Rzymie nieszczęsne grzesznice
Sadzą do zamku Świętego Anioła...
Prócz tych... ta strofa musi zakryć lice;
Wstydzi się, że tę myśl wzięła od czoła,
Nie zaś z profilu. O, Muzy dziewice!
Zarumienieniem waszem ucieszony,
Wracam do bajki mojej... z innej strony.

To jest, zostawiam z kochankiem dziewicę
Śród róż, drzew, świateł księżycowych, woni,
Wód, rzucających srebrne błyskawice
Z pod brzóz i bielą okrytych jabłoni,
Serce przy sercu, i przy licu lice,
Dłoń niespokojna w niespokojnej dłoni;
Ach! są to rzeczy bardzo piękne, czułe,
Lecz wieszcza mogą przemienić w gadułę.

A więc do zamku wracam, gdzie starosta
Kłaniał się, pocił, dął, puszył, brał na ton:
A chociaż szlachta go słuchała prosta,
O rzeczach duszy rozmawiał jak Platon,
Na mózg wesołych ludzi wielka chłosta!
Więc się rozeszli, woląc sen... niż świat on,
Co się naówczas zdał za-atlantyckim...
Został się pan starosta z Dzieduszyckim.

Ów Dzieduszycki był to regimentarz
Podolski, wielki wróg konfederacji,[1]
Z której niedawno chciał uczynić cmentarz,
Co do jednego wyciąć... niech go kaci!
Z Rulhiera pewnie jego czyn pamiętasz:
A tu obaczysz, jak mu się wypłaci
Konfederacja: jak jest niebezpiecznie
Z demokratami być nie dosyć grecznie!

Przypomnę tylko, że ten paliwoda
Zdradą na obóz napadł i wycinał,

[1] Słowacki (jak zresztą i Krasiński) wymawiał jako Wołyniak: *Konfederaci*, dlatego rymowali: kaci, wypłaci.

Czego mu potem była wielka szkoda,
Bowiem go czekał stryczek lub puginał.
Nie znano jeszcze wówczas Wallenroda,
I kończył jak pies, kto zdradą zaczynał:
Exemplum: oba litewskie biskupy, [1]
Na dwóch latarniach miejskich ... oba trupy.

Dziś zdrajcom łatwiej, jeśli ich pod lodem
Car nie utopi ... łatwiej ujść latarni.
Krukowiecki jest miasta Wallenrodem,
Demokratycznym jest Gurowski. — Czarni!
Lecz obu wielka myśl była powodem:
Oba chcą Polski, aby ujść bezkarni;
Bo zna to dobrze ta pickielna para,
Że łatwiej odrwić Polaków, niż cara.

Wallenrodyczność czyli wallenrodyzm —
Ten wiele zrobił dobrego ... najwięcej!
Wprowadził pewny do zdrady metodyzm,
Z jednego — zrobił zdrajców sto tysięcy.
Tu nie mam więcej już rymu na odyzm,
Co od włoskiego o d i a r - l o ... najprędzej
Może zastąpić brak polskiego słowa ...
Wallenrodyczność więc ... jest to rzecz nowa.

Mój czytelniku, powiem coś na ucho:
I sam Paszkiewicz ... domyślaj się reszty ...
Co? sam Paszkiewicz? — O tem jeszcze głucho,
Lecz jestem pewny ... Pomyślał: a wiesz ty?
Że on być musi już przejęty skruchą?
On jest Polakiem aż po same meszty,
Które mu dzisiaj wyszyła Walida,
Aby Turkiem był dla Abdul Meszyda.

Tak jest; obaczysz, lecz trzymaj w sekrecie,
Co powiedziałem: nie rzucaj się w spiski,
Bo wielkim rzeczom przeszkodzisz na świecie,
Rzeczom, co jako piorunowe błyski
W chmurach się kryją. Więc już rozumiecie,
Że Dzieduszycki nie miał jednej kreski ...
Od brzegów Dźwiny po hordy Nogajca,
Wszyscy w ojczyźnie mówili: „To zdrajca! ...“

Zwalił to wprawdzie na króla rozkazy:
Ale się wyparł król, jak zawsze bywa,
Wyparł się jako święty Piotr ... trzy razy,
I cała wina na koguta spływa,

[1] Massalski i Kossakowski powieszeni w Wilnie 1794 r.

Dlatego, że piał. A więc wszystkie zmazy
Pan regimentarz, kochanek Gradywa,[1]
Dźwigał na sobie i chował *in petto*
Zemstę, jak Włochy, co się mszczą *stiletto*.

Tymczasem chciał się ożenić bogato,
I okiem wszystkie przemierzywszy domy,
Najlepszym z domów wydał mu się na to
Ów zamek, wielki, malowniczy, stromy,
Gdzie mieszkał szlachcic pół, pół król, pół Kato,
Pół warjat, a pół syn Cezarów Romy;
Maleńki starzec pół łysego czoła,
Ojciec, który miał córkę — pół anioła.

Wybrawszy teścia, przyjechał bez swatów,
Z intencją ojcu się oświadczył, pannie.
Wspomniał o drzewie swoich antenatów,
Nie wspomniał ani raz o krwawej wannie,
Którą chciał sprawić dla konfederatów,
Ale o królu mówił nieustannie!
Pokręcał wąsa, zarzucał wylotów —
Lubił pić, bardzo nienawidził kotów!

Dlatego kochał psy. Gdy gardło zalał,
Pozwolił nieraz Anieli szpicowi,
Aby mu lizał wąs — za psami szalał —
Zalecał nawet dóbr intendentowi,
Ażeby chłopów psom kąsać pozwalał.
Mówiąc zazwyczaj, że to psy uzdrowi
Od bolu zębów, a stąd od wścieklizny;
Miał jednak dobrą stronę... anewryzmy.

Te dowodziły, że miał serce... Głowy
Nie dowodziła w nim choroba żadna,
Lecz materjalny kadłub. z okiem sowy,
Na szyi zawsze nieruchomej; składna
Figurka, uśmiech i ukłon wężowy;
Grzeczność, co w takim panu bardzo ładna!
Wielka znajomość świata, krajów, ludzi,
I wiele tego wszystkiego, co łudzi.

Ów pan układny więc siedział przy stole,
Przy samym panu staroście, na prawo;
Dobijał właśnie targu, i na czole
Widać mu było niecierpliwość krwawą,
Gryzącą — oczy utopił sokole;
Za ręce teścia trzymał ręką prawą,

[1] Gradivus = Mars, Bóg wojny.

Lewą na stole wyciągniętą prosto,
Ku kielichowi, i mówił: „Starosto!

Jakem człek prawy! jakem Polak prawy!
Tak pragnę córkę twoję uszczęśliwić.
Wierzaj mi i bądź, starosto, łaskawy."
Tu, pragnąc trupi głos nieco ożywić,
Pociągnął wina. Pił jak but dziurawy,
I zwykł się nieco był po piciu krzywić.
Tak wyciągnąwszy blisko wina kwartę,
Zmarszczył, i czoło rozjaśnił wytarte.

I rozjaśniony znów do zamku pana:
„Starosto, zezwól na szczęśliwość naszą."
Tak mówiąc, teścia przyszłego kolana
Ścisnął pod stołem i oczy, co straszą
Chłopów, jak oczy czerwone szatana,
Uczynił cukrem i ponętą ptaszą;
A miał na oczach swoich jak jastrząbek
Z powiek wilgotno-czerwonych obrąbek.

Starosta na pół śpiący ale grzeczny,
Nie wstawał, ani odpowiadał na to;
Pan to był bowiem, co chciał być bezpieczny,
Zwłaszcza, gdy ujrzał twarz żółtą, wąsatą,
I wiedział, że gniew może ściągnąć wieczny,
Gniew, który czeka z lichwą i z wypłatą.
Siedział więc zimny, lecz trochę się puszył,
Że w konkur wielki pan o córkę ruszył.

Nie odpowiadał nic, bo przez połowę
Już spał, a wreszcie nie chciał odpowiadać:
Pan Dzieduszycki zaczął prośby nowe,
Jak do pacierzy ją ręce układać:
Już się był począł przez słowa miodowe
Do uśpionego napół serca wkradać,
Już widział uśmiech, co poprzedza wszędzie
Ostatnie, słodkie słowo: *niech tak będzie!*

Gadając, ręce pokornie złożone
Na stół położył obie, i wytrzeszczał
Na pana zamku oczy zaiskrzone;
Albowiem uśmiech mu senny obwieszczał,
Że po pjanemu zdobył sobie żonę,
Wtem nagle jak wąż wzdął się i zawrzeszczał,
Wstał, lecz na stole miał obiedwie dłonie,
A na nich papier i orła w koronie.

Orzeł na karcie był, a karta była
Nożem tureckim do rąk mu przybita,
Boleść go nad nią w arkadę skrzywiła!
Oczy w niej toną, myślałbyś, że czyta,
Że karta trupie kolory odbiła
Na jego żółtą twarz. Ksiądz karmelita
Za stołem cicho stał i patrzał z góry
Na czytelnika bladego tortury.

Ocknięty zamku pan, to raz na księdza,
To znów na ściany patrzał, wstając zwolna:
Ręka na szabli, w oczach gniewu jędza
Ledwo się w sobie pohamować zdolna;
Lecz myślał, że mu sen mary napędza,
Tak dziwną była ta cisza okólna,
Ten papier nagle do stołu przybity,
Dzieduszyckiego jęk — wzrok karmelity.

Już dawno by się był skokiem lamparta
Rzucił do szabli; ale mówiąc szczerze,
Myślał, że sen mu grał sztukę Mozarta,
Że Don-Żuana widział na operze,
Gdy trupa ziemia puściła otwarta
Na muzykalny wieczór i wieczerzę;
Tak trudno było pomiarkować zrazu,
Czy ksiądz był z ciała ludzkiego, czy z głazu.

Godzina była nocna, i bez przerwy
Piał kogut, świece miały długie knoty;
Na wieżach zamku śpiewał ptak Minerwy,
A w jednem oknie miesiąc stanął złoty —
Znacie działanie tej gwiazdy na nerwy.
Miesiąc więc w oknie stał, dziwne łoskoty
Na dachu, jakby jęczenia grobowe,
Wreszcie Ladawy pan odzyskał mowę.

„Ktoś ty?“ Ksiądz milczał. „Co tu robisz, mnichu?
Co znaczy papier ten? na Lucypera!“
Tu Dzieduszycki zajęczał po cichu,
Ale tak jęknął jak człek, co umiera.
Spojrzał, chciał spojrzeć, lecz w powiek kielichu
Nie było oczu, tylko białość szczera,
Jak w zwierciadlanym łysnęła odruzgu;
Szkło tylko — gałki uciekły do mózgu.

Starosta spojrzał i cofnął się biały
Jak wosk, jak oczy, którymi go szukał
Pan Dzieduszycki; ale okazały
W cofnieniu się swem, na ludzi nie hukał,

Zwłaszcza, że ksiądz był wielki, a on mały.
Nieraz zaś przedtem pan starosta fukał
Na równych sobie, niższym dawał szlagę,
Licząc na swoję małość i powagę.

Więc co miał w oczach skier, wszystkie zapalił,
Co miał na czole zmarszczków, zebrał razem.
Sam by się Jowisz oburzony chwalił
Tak olimpijskim na twarzy wyrazem.
Spiorunowany ksiądz się w proch nie walił,
Lecz w jednę szybę okien rzucił głazem.
Na ten brzęk — wszystkie ganki i komnaty
Przewiał ogromny wrzask: *Konfederaty.*

Starosta spuścił łeb, ksiądz się przybliżył,
I wyjął szablę mu złoconą z ręki:
„Przebacz, wielmożny pan, jeślim ubliżył,
Lecz zamek był nam potrzebny; a jęki
Tego człowieka słuszne — Bóg go zniżył.
Ten, co na krzyżu poniósł krwawe męki,
Ten go nam daje; a wyrok nie minie:
Kto mieczem grzeszył, ten od miecza zginie."

Podczas tej mowy twarze się wąsate
Pokazywały w podwojach, kołpaki,
Konfederatki, czapki i rogate,
I krągłe, i kapuzy, i pakłaki,
I owe jeszcze uszami skrzydlate,
Co ekonomów są laurem. Gdy taki
Rój czapek i rój północnych latarek
Zjawił się, rzekł ksiądz: „Ja jestem ksiądz Marek!

Wstrzymał się, powiódł okiem po staroście,
Zmarszczył się i rzekł: dla kozaka Sawy,
Który się bije z chłopami na moście,
Wypuścić racę nad zamkiem Ladawy!
Wy się tu, proszę, bracia nie panoszcie
Rabunkiem, zamek się nie poddał krwawy;
Ale wielmożny dziedzic sam to czuje,
Że opór próżny — więc kapituluje.

Na to starosta krzyknął: „Protestuję
Przeciwko zdradzie haniebnej waszmościów,
Jako Rzymianin z zamku ustępuję,
Mieć nie będziecie nawet moich kościów"
Tu mi czytelnik zapewne daruje
Trochę w tej mowie niegramatycznościów!

Lub niechaj raczy ze mną na spoczynek
Do księżycowych wrócić Anielinek.

O! tam poezja gotowa! — Romeo!
Pożycz mi twoich słów rozpłomienionych.
Zresztą już Ursę[1] mam z Kassjopeą,
Mam księżyc i ma dwoje serc pęknionych,
I Filomelę, co tak jak J. B. O.[2]
Ów Londyńczyków słowik zapalonych,
Śpiewa dla chcących spać arystokratów,
Tak, że go wszyscy dają do stu katów.

O! tam poezja. Gdyby tylko na to,
Aby się żegnać, warto brać amanty.
Czuliście kiedy tę łzę lodowatą
Przy pożegnaniu, ciężką jak brylanty?
Te słowa: „Pójdę i skonam za kratą!"
Czyście słyszeli te słodkie kuranty,
Grane przez wszystkie pozytywki żywe,
A jednak przysiągłbym, że niefałszywe:

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak dalej...
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?
Łopotać w okno czarne skrzydłem zmory?
Kochankę swoję w noc poślubną napaść,
Unieść na koniu i w ziemię się zapaść?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte,
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morze, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: „Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!"
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

To mię cokolwiek zmięszało — nie bardzo,
Ale cokolwiek zmięszało, Bóg świadkiem!
Są ludzie, którzy wtenczas klną i gardzą,
Lecz ja to smutnym nazywam wypadkiem.
Takich dwa, a me serce tak zatwardzą,
Że niezabudką już, ani bławatkiem
Nie da się Nigdy wprowadzić w pole,
Chyba mi posąg położą na stole.

[1] Ursa, Kassjopea = konstelacje gwiazd. [2] I. B. Ostrowski, redaktor „Nowej Polski", czerwony radykał, czasem ajent policji paryskiej.

Ha, takem zgorżkniał, że nawet nie trącę
W tej pieśni — smutnej lutni pożegnania.
Szeptali długo jak wierzby płaczące:
Gołębie słychać tam było gruchania,
Łzy zimne — usta zmywają gorące;
Słuchać serc bicia, płacze, słowa, łkania.
Już się rozeszli, rzecz skończona! — Horror!
Miłość przechodzi już w pamiątek kolor,

W kameleona, w serdeczną jaszczurkę,
W rzecz poetycznie piękną, w sen niebieski,
W muzę, Olimpu zamglonego córkę,
W poemat smutny od deski do deski,
W mgłę podnoszącą się z łez, w białą chmurkę
Na tle przeszłości, w gwiazdę, w arabeski
Tęczowe, chmurą obwiedzione złotą!
W dole: *Raphael pinxit,* albo *Giotto.*

W galerji siedzi dusza. O tęczowa
Kopuło myśli! tyś moim kościołem!
Wymalowana, jasna, księżycowa,
Nad srebrnym duszy wiszącą aniołem!
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa.
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa!
Cały gmach na nią upada i kruszy
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź, pod skrzydły białymi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedja powagi
I ciszy greckiej; reszta wiatru wyciem —
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stają się czynem i życiem;
Czyny się stają piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła —
Z wszystkiego, patrzcie co? krzyż i mogiła.

Przez wszystkie takie sceny, odgrywane
W teatrze naszych wnętrzności, Maurycy
Przejdzie, uczuje sercem każdą zmianę,
Czas mu postawi zwierciadło różnicy,

Czas matematyk. Dziś serce strzaskane —
Ruszył na koniu pędem błyskawicy;
Za nim pasieka, szczęście, przeszłość, ona!
Kto wie, za kilka lat czy jego żona?

Panna Aniela, jeszcze nieświadoma
Odmian, które się w zamku wydarzyły,
Biegła — ścieżeczka przed nią była stroma,
Pomiędzy skalne wijąca się bryły;
Potem sadzawka i ów dąb z rękoma
Założonymi, ów dąb pełen siły,
Który się dawniej kochał bez nadziei,
Jedno swe oko topiąc w Galathei.

Nad tą sadzawką nasza młoda panna,
Już zadyszana, stanęła poprawić
Włosy. Sadzawka była bowiem szklanna,
Można się było w niej oczyma bawić;
I była to gwiazd kryształowych wanna,
I rybki się w niej zaczynały jawić,
Długie, błyszczące robiąc korowody,
Ilekroć łezkę rzuciła do wody:

Ale przed rankiem rybki spały na dnie.
Panna Aniela uwiązała włosy,
Nie przypatrzyła się nawet, czy ładnie,
Lękała się tknąć kwiatów pełnych rosy,
I serce biło w niej, bo chciała zdradnie
Do zamku dostać się, a jakieś głosy
W powietrzu cichem brzęczały i gwary;
Jak gdyby przez sen mruczał zamek stary.

Konfederatów był to wrzask daleki,
Którzy już doszli byli do piwnicy.
Panna Aniela wezwała opieki,
Nabożną będąc, u Bogarodzicy.
A wtem, gdy wzniosła do nieba powieki,
Blask jakiś nagły jak od błyskawicy
Całą oślepił. Nim oddech utracę
W tej strofie, powiem, że ujrzała rację.

Była to owa raca, nakazana
Przez księdza Marka, na znak panu Sawie;
Przed biedną panną zadrżały kolana
Z trwogi, wąż leciał, paląc się jaskrawie,
I syczał, i tak jak oko szatana
Spojrzał z błękitu, i tak jako pawie
Piór płomienistych zaokrąglił końce,
I zatrzymany w niebie, trwał jak słońce.

Anieli zdało się, że już odkryta,
Że już ją widzi ojciec, jej dugena,[1]
Niebo, ta raca na gwiazdach rozbita,
I każda róża w ogniu, i falena:[2]
Już zdało się jej, że świat cały pyta
I pokazuje ją palcem. — Ta scena
Byłaby bardzo przykra dla tej panny,
Gdyby to zamiast racy, był świt ranny.

Lecz raca zgasła i swe włosy złote
W ciemnem powietrzu cicho osypała.
Kilka z tych włosów przez grubą ciemnotę
Upadło właśnie z nieba tam, gdzie stała
Panna Aniela, myśląc, jak tę psotę
I te wycieczki będzie ubierała
W wymówki; i pod ulewą ognistą
Przybrała na się postać dziwnie czystą.

Różane usta przygryzła zdradliwie,
Z oczu spuszczonych w bok miotała błyski,
Trochę się patrząc smutnie i fałszywie,
Przygotowała dla ojca uściski,
Dla guwernantki podobne pokrzywie
Pocałowanie, jeden ukłon niski
Dla pretendenta do obrączki ślubnej,
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej.

Mimo to wszystko, serce biło szybko,
Coś do tej główki wpadło... i pobiegła,
Biegnąc jak gdyby była złotą rybką,
Która od wędki zdala plusk spostrzegła;
I coraz prędzej leciała i gibko
Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażegła,
Zadyszała się... i różowa wpadła
W bramę, i wkoło spojrzała i ... zbladła.

Przy bramie stali obcy ludzie mnodzy,
Różnego stroju, wąsaci i zbrojni.
Widać, że byli trzymani na wodzy,
Bo ujrzeli ją i stali spokojni:
Byli to wszystko szlachcice ubodzy,
Patrjotyczni bardzo, bogobojni,
Na pierwszy ogień szli, stali przy bramach,
Choć zimno, rzadko który w lisich błamach

---

[1] Dugena = duena, po hiszpańsku znaczy: ochmistrzyni. [2] Falena = ćma po włosku.

Nie zapytała ich o nic, nie śmiała
O nic zapytać panna starościanka.
Ale spojrzawszy na nich, już nie drżała;
Już wyglądając dumnie jak Rzymianka,
Wyprostowana, sroga, trochę biała,
A okiem paląc jak Transteweranka...[1]
Biegła, jak wicher szła przez korytarze,
O swego ojca twarz patrząca w twarze.

Jako Elektra[2] weszła; elektrycznie
Cała się wstrzęsła, widząc ojca w tłumie,
Który dowodził wtenczas retorycznie,
Że schylić głowy przed nikim nie umie;
Że radby się był rozsądzić granicznie
Z konfederacją... i tak dalej. W szumie
Tych słów nic więcej nie pojęła córa,
Tylko, że ojcu grozi jakaś chmura.

Blady był bowiem starzec, jego ręce
Drżały. — Tu powiem, że Dzieduszyckiemu
Pożyczył niegdyś proszony, na prędce,
Kozaków przeciw panu Pułaskiemu.
Słusznie więc teraz zbladł jako jarzęce
Świece, trupowi podobien białemu.
I ów pan cały purpurowy wczora
Wyglądał jako posąg komandora.

Ujrzawszy córka to, nie mówiąc słowa,
Pewnymi kroki do stołu się zbliża:
Widzi, że sterczy w nim sztyletu głowa
W papier utkwiona, więc jak piorun chyża
Wyrywa ów nóż i za gorset chowa.
Wtenczas, by ręce boże zdjęte z krzyża,
Rąk dwoje wyszło z pod papieru; obie
Te ręce zdrajca położył na sobie

I oblały go krwią jasną dziurawe
Dłonie i włos mu okrwawiły siwy.
Potem ku piersiom poniósł ręce krwawe,
I na żupanie białym znak straszliwy
Został, jak owe ordery plugawe,
Które dziś każdy kat i człowiek krzywy
Wiesza na piersiach... Potem się posunął,
Dał krok, zawrzeszczał jak szatan i runął.

---

[1] Transtevere = Zatybrze, dzielnica Rzymu. [2] Elektra, siostra Orestesa, ocaliła go, aby mszcząc śmierć ojca, zabił matkę.

Serce w nim chore biło coraz prędzej,
Czekając tylko na noża wyjęcie,
I pękło. — Siwy ten sęp z okiem jędzy
Utonął teraz już w dziejów odmęcie;
Ale są życia, co z tej samej przędzy
Winą się... dla nich ten rym i przeklęcie:
Niech swoję przyszłość w tej pieśni odkryją!
Niech jak psi patrzą na trupa i wyją!

Gdy padł, rąk własnych zczerwieniony łzami,
Ksiądz Marek z krzyżem do niego przyskoczył;
Lecz zdrajca za krzyż ukąsił zębami,
A potem ręką odepchnął i zbroczył.
Szmer grozy zachwiał w pokoju światłami!...
Ksiądz wyjął brewiarz, ustami namoczył
Palec i karty przewracał z pokorą,
Wiedząc, że duszę tę... już djabli biorą.

Wtenczas starosta rzucił się do stołu,
Kułakiem stuknął, krzycząc: „Rozbójnicy!"
Przemierzył księdza od góry do dołu:
„Waszeć byś lepiej modlił się w kaplicy
Niż — z mojego cię wyklnę kapitołu!
Córko! podaj mi papier... kozak, świecy!
Siadaj tu, panna, *et pagina fracta*
Pisz protestacją, która pójdzie w akta".

Posłuszna panna Aniela usiadła,
Chwyciła w rękę pióreczko łabędzie...
A starzec do niej: „Ta krew czarna, zsiadła,
Ta krew na stole atramentem będzie,
Umocz to pióro." Aniela pobladła;
Krwią był zalany stół aż po krawędzie,
Krwią, co wyciekła z rąk regimentarskich,
Gdy mu przybito do nich wyrok Barskich.

Ale posłuszna, w krwi zmoczyła pióro,
Potem spojrzała i dreszcz ją przeniknął.
„Wezwawszy bogów na świadki... pisz, córo!
Których bogdajby wzroku nie uniknął
Ów czyn nieszczęsny i haniebny... *juro!*"
Tu karmelita ksiądz powstawszy, krzyknął:
„Ja egzorcyzmem te szatany zwalczę...
Co? ty krwią każesz pisać, bałwochwalce?

A ty, panienko, grzech ściągasz na duszę,
Pisząc bluźnierstwa takie krwią człowieka.
Ja was tu jednym znakiem krzyża skruszę,
I na tem miejscu krwi popłynie rzeka,

Gdzie stoję... a te góry, palcem ruszę
I na Moskali pójdą!... Kto tu szczeka?
Kto tu urąga się z Bożego Ducha?
Kto tutaj słysząc, nie słyszy i słucha?

Zaprawdę mówię ci, panie starosto,
Że masz na oczach bielmo i ślepotę.
I powiem ci tu bez ogródek... prosto,
Że prosto idziesz w piekielną ciemnotę,
Za to cię Pan Bóg chciał ukarać chłostą,
I gdyby nie ja — te komnaty złote
Byłyby dzisiaj t w o j ą krwią zwalane,
I purpurowe i w ogień odziane.

Czy nie wiesz o tem? że na Ukrainie
Zaczęła się rzeź i szlachty wyrżnięcie?
Pod święconymi nożami krew płynie;
Pop pierś otwiera, a chłop daje cięcie
W bijące serce!... Cały naród ginie,
Jak w zapalonym przez Boga okręcie;
A ty, że byłeś jak miecz obosieczny,
Ale bezczynny, sądzisz, żeś bezpieczny?

Gdyby nie nasze nad tobą czuwanie,
Dzisiejszej nocy kozak twój Mohiła
Miał tu pohulać z tobą, wielki panie!
Dziśby tu wielka rzeź w zamczysku była.
Idź!... on przykuty łańcuchami w ścianie,
A przy nim zbójców powiązanych siła,
Idź! obacz, jakie teraz mają łoże:
Leżą na workach, a w tych workach... noże!

O! taka pościel będzie dla grzesznika,
Co, jak ty, patrzy na mordy spokojnie!
Dziś byłbyś w piekle, tu, bez spowiednika
Zamordowany... Pan Sawa się zbrojnie
Z twoimi chłopy na moście potyka,
I za twą całość krew wylewa hojnie.
A twoja siwa się tu rzuca głowa,
Jak gołąb biała, lecz w myślach jałowa?"

Podczas tej mowy pan starosta w czoło
Księdza jasnymi patrzał się oczyma;
Nagle, jak człowiek, gdy ujrzy, że gołą
Zbójca siekierę nad głową zatrzyma,
Zadrżał. — A wtem pan Sawa wszedł wesoło...
Sawa, ogromny skarb dla pisoryma,
Pół kozak, a pół szlachcic... ten donosił,
Że całą groblę starosty — krwią zrosił.

I widać było to na nim: wszedł z brzękiem,
Hucznie, lecz spojrzał i zmięszał się cały,
Ujrzawszy oczy, w których całym pękiem
Kupido trzyma najeżone strzały.
Zamek był broni napełniony szczękiem,
Trup na podłodze, karmelita biały
Nad trupem, blady starosta, stół krwawy,
Za stołem panna anielskiej postawy.

Jako Sybilla z piórem w ręku... Basta!
Na tym się moja pieśń kończy obrazie.
Dalej ujrzycie zapalone miasta,
Szlachcica z Żydem, z psem na drogowskazie
Wiszących — romans w poemat urasta!
Coś w nim o królu będzie, o zarazie,
O Panu Bogu. Pociągnąwszy hausta
Jak się rozogni myśl, napiszę Fausta.

Jak się rozgniewam na imaginacją,
Djabłowi oddam bohatera duszę,
I pewnie zyskam wszystkich aprobacją —
A tych, co płakać ze mną nie chcą... zmuszę.
I demokracją i arystokracją
Do łez głębokich trzecią pieśnią wzruszę...
Wziąwszy następnie za rytmów dewizę:
Jeżeli gryzę co — to sercem gryzę.

PIEŚŃ III.

O! jakże smutno w jasnej życia wiośnie
Być tak samotnym jako Pan Kazimierz!
Gdy świat przed tobą w nieskończoność rośnie,
Gdy wszystko tęczą; lecz czego się imiesz —
Błotem. Dopóki serce wre miłośnie,
Nie żyjesz na tym świecie, ale drzemiesz;
Gdy zgaśnie, wtenczas zaczynasz dopiero
Pojmować, że ten cały świat satyrą!

Dopókiś młody, bawią cię ballady,
Poezja gminna nadzwyczaj zachwyca,
Lubisz w wierszykach chmury, księżyc, gady;
Znajdujesz, że jest jakaś tajemnica
W mgle, w której wiersze brzęczą jak owady
I brylantują myśl blaskiem księżyca;
I myślisz, że to sam poeta roi,
Skrzy się i błyska i leci? — On stoi.

Ty sam te wiersze niesiesz w kraj marzenia,
W tej mgle twych własnych myśli tęcza świta,
W tych dumkach twoje latają westchnienia;
Potem z tych wszystkich wierszy, dumań — kwita
Potem trzy wiersze Danta, pełne cienia
Ale rozumu, serce twoje chwyta,
Waży, rozbiera. A prawdziwa lekcja,
Która poezji uczy, jest dyssekcja.

Szkoda, że z takiej dyssekcji wynika
Jakaś szkodliwa materjalność, sucha —
Eureka! nasz Pan Grabowski wykrzyka,
A Tygodnik go Petersburski słucha:
„Oryginalny wieszcz do Tygodnika
Napisał nowy wierszyk pełen ducha,
Który zapewnia mu wieniec osobny;
Wiersz, do niczego przedtem niepodobny!"

Widać, że po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby.
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj łzawym!
I w oknie duszy ma zielone szyby!
Każdy ma język swój, co jest kulawym.
Szkoda, że wszyscy są okuci w dyby;
A kiedy straszną opisują burzę,
To chmura piorun zostawia w cenzurze.

Z czego korzystam ja, i dwie już dramy
Piorunem bardzo skończyłem wygodnie;
Dlatego w raju ma zamknięte bramy,
I żadnej duszy myślą nie zapłodnię —
Cóżkolwiek ma być — wszyscy umieramy!
A czy nad grobem gwiazdy czy pochodnie,
Czy laur, czy chwasty, czy łza? Dobre i to!
Wlazłem jak w błoto w tę myśl pospolitą.

Był czas, żem lękał się pospolitości,
Jako święconej duch się lęka wody;
Lecz teraz często schodzę z wysokości
Dla własnej sławy, pokoju, wygody.
Krytykom jak psom rzucam kilka kości —
Gryzą, lecz przyjdzie czas, że te Herody,
Przez których teraz moje dzieci giną,
Będę gdzieś w piekle gryzł jak Ugolino.[1]

Tymczasem wracam do powieści. Ranek
Błękitnie w polach podolskich zaświtał,

[1] Postać z „Piekła" Dantego.

W niebiosach oczy utopił kochanek,
I marzeniami swoję przyszłość czytał;
I widział ją tak uwitą, jak wianek,
Z dni szafirowych, złotych; już się witał
Ze sławą przyszłą i z tysiącem głośnych
Awantur, pragnąc nadzwyczaj miłośnych

Już widział dziesięć przynajmniej Andromed
Do skał przykutych srogimi żelazy,
Z warkoczem, który wisi jak u komet —
Miłe nadzwyczaj w młodości obrazy!
Młodość albowiem świeża, jak Mahomet
Panteistyczną jest, i wszystkie głazy
Zmienia w kobiety, w ogień topi kruszce,
Huryski widzi zamiast ziarnek w gruszce.

A tu odsyłam mego czytelnika
Do Alkoranu, gdzie stoi przypisek,
Że w raju każda się gruszka odmyka
I cztery z siebie wydaje Hurysek.
Chciałbym tam na czas być za ogrodnika,
I z tych owoców co dnia mieć półmisek;
Zwłaszcza, że w każdej gruszce, do wyboru,
Masz cztery panny różnego koloru.

Słowem, ideał nasz kochanek białych
Tęczowym jest na Wschodzie dogmatycznie;
U nas liczonoby do rzeczy śmiałych,
Gdyby kto nawet, tworząc poetycznie,
W rymach malując jednę z tych przestałych
Owoców, starą pannę, seraficznie
Rozeskrzydloną w Bogu, bez rozwagi
Rzekł: płeć zieloną miała jak szparagi.

A jednak wielki poeta i prorok
Powiedział to w koranie, i krytyka
Milczy, krytyka owa, która co rok
Tyle wad w moich utworach wytyka,
Jako ostrowidz lub jako nosorog;
Bo widzi ostro i rogiem przenika;
Szczęśliwa, gdybym dbał i był gorący!
I włożył imię jej w poemat drwiący.

Imię krytyki? nie, krytyków. A! bah!
Któż z nich ma imię? Z. K., S. K., E. K.
Mówią, że *Młodą Polskę pisze* — baba!
Ale ja, widząc, jak kąsa i szczeka,
Sądzę, że Jezuita, a ma draba,
Który tłumaczy na język człowieka:

Hymny, przestrogi, pacierze i lekcje
W djabelskim napisane dyjalekcie,

I stąd się mocno cieszę, jak filolog,
Widząc, że u nas to się da wyszczekać,
Do czego Cerber w piekle czyni prolog
Ze swego wycia. Ale nie czas zwlekać
Pieśni dlatego, że jakiś teolog
Krytyką mię chciał w kawałki posiekać!
Jakby (w balladach porównania szukaj)
On był przyjaciel wierny, a ja Tukaj.[1]

Ale ważniejsze rzeczy radzi Muza.
Oto już słyszę z daleka pukanie
Z dział, z dubeltówek, z flinty, z arkebuza;
I czuję w sercu, że nadspodziewanie
Prędko mój rycerz może dostać guza.
Niechaj się wola Pana Boga stanie!
Ja go prowadzę w ogień; jeśli zginie,
Poemat się mój wcale nie rozwinie.

Szkoda! czterdzieści cztery pieśni całych!
Czterdzieści bowiem cztery w planie stoi;
Bowiem do rzeczy dążąc zawsze śmiałych.
Zacząłem Epos tak, jak śpiewak Troi,
Większą, bo naród mój nie lubi białych
Rymów i nagiej się poezji boi;
Więc rzecz, co działa się tam gdzieś za Sasa,
Muszę opiewać całą wierszem Tassa.

Wierszem więc Tassa o czterdziestu czterech
Pieśniach zacząłem Epos i, niestety!
Może nie skończę! i w gwiaździstych sferach
Nie będę mieszkał pomiędzy poety,
Jeśli Pan Zbigniew na ruskich giwerach,
Jak piorun, co gór prześladuje grzebiety,
Nie zapróbuje miecza i to zaraz,
Zjadłszy przynamniej trzy plutony na raz.

Trzeba albowiem, aby się pokazał
Świetnie i zyskał czytelników względy.
Właśnie w ten sam dzień Kreczetników kazał
Bar atakować, gdy po wioskach, wszędy
Lud się krwią swoich dawnych panów mazał,
A ekonomów bez żadnej kwerendy
Wieszał, i przyszłą republikę kształcił,
Bo żydów palił, a niewiasty gwałcił.

[1] Ballada Mickiewicza.

Dwie drogi, jedna jest w naturze rzeczy
I płodzi równość niebieską na ziemi;
Druga, choć trochę Maltusa[1] kaleczy,
Systema i to, co za ziomki swymi
Pisze pan Cz... zwolna Polskę leczy,
Katolikami zaludnia rzymskimi,
A żydom nic nie szkodzi, bo żyd w mig się
Odradza — patrz Tacyta o Feniksie.

Atakowano więc Bar, gdy nad Barem
Beniowski się zatrzymał na wyżynie.
Na koniu stał jak posąg nad wiszarem
I patrzał i rozmyślał, co uczyni?
Bar jak na dłoni widział, lecz oparem
Wpół przesłonięty, blady; wojska w linji
Jak małe nitki mrówek, a na murze
Rozwijał się dym z harmat w białe róże.

I w tej girlandzie niby z róż śmiertelnych
Stało miasteczko w powietrznych błękitach,
Wyrzucające błysk, do żądeł pszczelnych
Podobny. Kule szumiały po żytach,
Gwizdały, do jędz podobne piekielnych;
Lub po moskiewskich trącając jelitach,
Przebiegłszy całe plutony po szarfie.
Na ludziach grały jękiem, jak na harfie.

I wystaw sobie, mości czytelniku,
Że na swój gank wychodzisz spokojny;
I widzisz pszczoły, w słonecznym promyku
Lecące do łąk, dalej, gródek zbrojny
O milę, na równinie: działa w szyku,
Ataki, słowem, krotochwilę wojny;
Wszystko się zwija, wre, kole i sieka,
A ty z krużganku patrzysz i zdaleka...

Tam jakiś starzec stanął na okopach,
Wzniósł rękę, czapkę przekręcił na ucho;
I działa, jak psy legły mu przy stopach,
On je pogładził i szczęknęły głucho.
Kule gruchnęły po moskiewskich chłopach,
Szczęsny! któremu to uszło na sucho,
Że pan Pułaski jurysta ma ferje,
I zamiast pisać akt, stawia baterje.

Tam widać laski brzozowe i klony
Blade, z gałązek kulami owiane:

[1] Robert Malthus, ekonomista angielski.

Jednym girlandy czarne robią wrony,
Z drugich unoszą się z wrzaskiem wygnane.
Dalekie miejskie słychać gwary, dzwony,
Wszystko w koło wre; tylko zadumane
Na szarem polu dwie Maćkowe grusze,
Jak wróżki pod swój liść chowają dusze.

Tu długim, czarnym, mrówczanym łańcuchem
Zbliża się Moskal pieszy ku mieścinie;
Tu kawalerja się wężowym ruchem
Z jaru wywija, zbiera, szczęka, płynie,
Kłania się, kiedy kula ponad uchem
Gwiźnie, i znów się prostuje, gdy minie!
Tu garść kozaków, jakby oczeretów
Kępa; tu błyski szabel, tam — bagnetów.

Na to Pan Zbigniew patrzał z ponad wzgórza.
Wzdryga się pod nim koń i uchem strzyże.
Beniowski spłonął na twarzy jak róża,
Chciałby iść w ogień, ale mówiąc szczerze,
Trochę go piękna ta dziwiła burza,
Nad którą barskie się łyskały krzyże.
I tak, co miałby wystąpić jak aktor,
Stał jak tchórz, albo gazety redaktor.

Lecz już nareszcie zbierał się do lotu,
Chciał biec, gdzie burza błyskała czerwona;
Gdy oto nagle, prawie bez łoskotu,
Jakby mu jaka Nimfa na ramiona
Złożyła ręce. — Wrzasnął głośno: kto tu?
I mocniej w nim pierś zadrżała wzburzona.
Spojrzał, na ramion mu siedziało brzegu
Dwoje gołębi jaśniejszych od śniegu.

Czy jastrząb je tu jaki, myślał, goni?
Czy się wydaje w stepach gołębnikiem?
Tak myśląc, zdjął je i trzymając w dłoni,
Rzucił w powietrze. Lecz jak z baletnikiem
Związana duszą Elsler lub Taglioni,[1]
Gdy udaruje ją car naszyjnikiem,
Taniec w gołębia lot przemienia dziwnie;
Tak owe białe gołębie przeciwnie.

Z lotu zrobiły taniec, i nad głową
Pana Zbigniewa, na skrzydłach trzymane,
Jakby miłosne dając sobie słowo,
Miłośnie dzióbki złączyły różane;

[1] Fanny Elssler i Marja Taglioni, sławne baletnice.

I rozleciały się w błękit na nowo,
Ważąc się długo smętne, zadumane;
Jakby straciły i szukały siebie,
Podobne zmarłym duszom ludzkim — w niebie.

I obaczywszy się nagle, jak strzały
Znów szły ku sobie lotem błyskawicy,
I znów złączone, jako płatek biały
Śniegu, gołąbek przy swej gołębicy
Kręcił się, skrzydłem ją trącał nieśmiały;
Aż zmordowani obaj tanecznicy,
Najmilsze z siebie dali malowidło:
Senną kochankę gołąb wziął na skrzydło.

Przyniósł na ziemię, położył na trawie,
I w koło chodząc, budził gardłowaniem
Na szyję wyszły mu kolory pawie,
Miłość go takiem darzy malowaniem!
Miłość ubrała mu piersi jaskrawie
W ogień tęczowy. Z takiem się kochaniem
Zapatrzył gołąb w swoję senną panią
Że tęcza blasków z niego — przeszła na nią.

I obudziła się. I znów oboje
Leciały prosto na Zbigniewa barki.
On je pogłaskał i wnet wszystko dwoje
Tęczowe piersi zgasiwszy i karki,
Z ramion mu poszły, i w kręgi, i w słoje
Tnące powietrze. Zrazu był nieszparki
Lot, póki rycerz nie ruszył wędzidłem e
Póki nie gonił, wabiły go skrzydłem.

Lecz gdy bezmowne owe dwie istoty
Przelały swoję myśl w serce człowieka,
Coraz prędszymi udały się loty;
I wnet zrozumiał rycerz, że go czeka
Awantur nowych, dziwnych łańcuch złoty,
Zaczarowany zamek, albo rzeka
Pełna rusałek. O! domysły trafne!
Może w pokrzywy przemieniona Dafne?[1]

Może Minotaur i zaklęte skarby,
Z których, jak z dobrej wioski będzie przychód;
Tak młodość wszystko stroi w lśniące farby,
Nigdy się małych nie spodziewa lichot.

---

[1] Dafne podczas ucieczki przed Apollinem zamieniona została w laur

O, gdyby nie to! to nigdy Ikar by
Nie latał, nigdy by nie żył Don-Kichot,
Nigdyby w *Trzecim Maju* [1] nie urosły
Iluzje, na co dziś tak wrzeszczą posły

Beniowski, goniąc gołębie i mary,
Obaczył, że na dąb samotny siadły;
Był to ów sławny dąb, gaduła stary,
Jak czarownica krzywy i wybladły.
Ogniste zeschła kora miała szpary,
Z konarów liście na poły opadły.
Liść, co pozostał, zwiędły i zwalany
Szumiał po drzewie, jak krwawe łachmany.

Bez kształtu, spiekły, podarty, nieżywy,
Zimę i lato wisiał na konarze;
Kruk się go lękał, a jeleń pierzchliwy
Nigdy nie zasnął w tym krzemiennym jarze,
Bo z wiatrem ów liść łopotał straszliwy
Jako szatańskie skrzydło, całe w żarze —
Nocą z pod owych skrawawionych warkoczy
Próchno świeciło się w dębie — jak oczy.

Na drzewo spadły dwa ptaszki Wenery.
Beniowski w galop szedł za lotem ptaków;
Albowiem ujrzał dwa ruskie giwery,
I sześć pod dębem kozackich kołpaków...
Którzy tam pewnie jako marodery
Szukali w drzewie skarbów lub Polaków...
I znalazłszy w nim nic, — dla igraszki
Chcieli zapalić dąb i upiec ptaszki.

Znieśli już bowiem w koło suchych liści
Z oczeretów, jałowców i cierni;
Już jeden krzesał ognia, który czyści
W czyścu, a na tym świecie wszystko czerni —
I byliby dąb pewnie ci ogniści
Spalili — wiatr dął tak jak w hamerni —
Szczęściem! bohater mój napadł na wrogi
I jął ich rąbać tak, że poszli w nogi,

Oprócz kozaków dwóch... Z tych jeden, stary,
Zrąbany z konia, Bogu oddał duszę,
I poszedł, mówi Homer, między mary.
Co się z nim stało?... nie chcę i nie muszę

[1] Czasopismo emigracyjne, organ stronnictwa monarchicznego.

Mówić; bo ta rzecz należy do wiary
Grecko-rosyjskiej; lecz co do mnie, tuszę
I powiem, strofy nie chcąc robić wściekłą,
Że w tej religji, gdzie car — jest i piekło.

Pocieszająca myśl... lecz nie dla cara,
Który wolałby może z tego względu
Większą bezpieczność. Jedna więc ofiara
Polskiego miecza młodego zapędu,
Poszła *ad umbras*... i tam niech się stara
Szczęśliwszą być niż tu — gdzie tyle błędu,
Zawodów, głupstwa, nieszczęścia przesytów,
Bankructw, poezyj głupich, jezuitów,

Heglów poznańskich krakowskich purystów,
Paryskich kronikarzy, historyków,
Prezydentów gmin, franko-romansistów,
Kozako-powieściarzy i krytyków,
Którzy poklaski im zamiast poświstów
Dają, od czego ja aż do równików
Biegłem, unosząc zadziwione słuchy:
I byłbym został tam — gdyby nie muchy,

Nie krokodyle, nie hipopotamy,
Nie muł tworzący na Nilu oftalmie,[1]
Nie dżuma, nie tęsknota, nie te bramy
Na które patrząc, że zamknięte, żal mię
Brał, że tak naszych żon nie zamykamy
W jednym haremie, jak w Armidy palmie...[2]
Ta strofa poszła krzywo, bo ze Wschodu
Wygonił mię brak awantur i lodu.

Za to w ojczyźnie Danta to oboje
Znalazłem. Lecz to rzecz jest tajemnicza...
O to bynajmniej nie dbam i nie stoję,
Aby wiedziano, czy moja dziewicza
Muza kochała się realnie. Roję,
Śnię, tworzę, harfy używam lub bicza,
I to jest moja poetyczna droga...
Lecz z mego życia poemat — dla Boga.

On wie, On widział, nad jakiemi chmury
Stawałem bez łez i pieśni, z myślami
Aniołów w przepaść lecących... te chóry
On słyszał, gdyśmy byli z Bogiem sami.

---

[1] Oftalmja = zapalenie oczu [2] W „Jerozolimie Wyzwolonej" czarodziejka Armida zamyka do palmy ludzi zaczarowanych.

Nie zwiodły Go te królewskie purpury,
W które ja się tu, jak przed sztyletami
Cezar, obwijam, gdy mię w serce rażą,
Ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą.

Bóg sam wie tylko, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć;
Iść co dnia drogą rozpaczy odludną,
Co dnia uczucia rozrzucać, czuć, niknąć;
Co dnia krainę mar rzuciwszy cudną,
Powracać między gady i nie syknąć;
Co dnia myśl jedną rozpaczy zaczynać,
Tą myślą modlić się — i nie przeklinać.

On! i pustyni gwiazdy lazurowe,
I zachodzące nad morzami słońce,
I jedno serce ludzkie... Lecz to nowe
Głosy dla mojej lutni — t cierpiące —
Milcz, serce! Albo się strzaskaj, echowe
Narzędzie pieśni, bolu, wiecznie drżące
I obłąkane, niezaspokojone...
Uderzam ciebie w złości... Milcz, szalone! —

O czem-że ja mówiłem? — ha! — w tym jarze
Dwóch zarąbanych leżało Moskali,
Którym pan Zbigniew patrzał w blade twarze:
Wtem ujrzał, że się cierń zajęty pali,
Że się już ogień wiesza na konarze
Suchego dębu: a więc cięciem stali
Odrąbał gałąź, ta zaś odrąbana,
Jak płomień zdjęty przez burzę z wulkana

Leciała, hucząc głucho, i czerwona
Kołysała się nad trupami dwoma,
Jak szatan, co chce duszę brać w ramiona,
Albo orlica z płomieni, łakoma,
Ciała ludzkiego — więc — o! myśl szalona!
Beniowski, święcie wychowany doma,
Przeżegnał pełną robaczliwych strupów
Gałąź — i wiatr ją pochwycił z nad trupów,

Roziskrzył, stargał, skręcił i zwinąwszy
W jeden kłąb, rzucił w ciemną jaru szyję.
Tu nawet zimny rozsądek najzdrowszy,
Słysząc, jak gałąź ta jęczy i wyje,
Zrobiłby utwór i poemat nowszy,
W którym gadają puhacze i żmije.
Co do mnie, prawda mię epiczna więzi:
Więc nic nie tworząc z ognistej gałęzi,

Prosto ją gaszę w jarze, jak rzecz suchą...
A sam do mego wracam wojownika,
Który z dwóch ludzi rzecz uczynił głuchą,
A z dębu nie chciał uczynić świecznika
Owej dolinie strasznej, gdzie z ropuchą
Wąż między głazy kredowymi syka,
I pachnie gorzki piołun. — Więc mój rycerz
Stał... jakby z głazu go wyrąbał snycerz.

I patrzał... owych zaś gołębi para,
Która go tańcem cudownym przywiodła,
Skoro dąb zagasł i ognista mara
Przed znakiem krzyża uleciała podła;
Owe gołębie, których ja z Antara[1]
Pieśni pożyczam i biorę za godła
Miłości... nigdy za małżeński związek! —
Skoro dąb zagasł, zleciały z gałązek,

I okrążywszy go potrójnym lotem,
Skryły się w jego wnętrze wypróchniałe.
Tak był szeroki, że mógł być namiotem,
I zmieścić... nie wiem, czy mógł... wojsko całe —
Lecz mógł pomieścić haftowany złotem
Ów sztab, co dzieli naszych wodzów chwałę,
I dzieli się tak cudownie i sztucznie,
Jak ową siedmią ryb Chrystusa ucznie.

Tak, że zostanie i zbiorą z ostatka
Siedem dla wojska koszów, napełnionych
Okruszynami sławy. Rzecz to rzadka
Tak zły apetyt! w ludziach tak czerwonych!
Ale, że to jest cudowna zagadka
O sławie onej i o rybach onych,
Nie mówię więcej... Na gryzącym zębie
Wolałbym niż tę sławę — te gołębie,

Które dąb cały okrążywszy pilnie,
Do spróchniałego wleciały ośrodka;
Skrzydłami siekąc powietrze tak silnie,
Jak piskorz kraje wodę, albo płotka.
Pomyślał wtenczas rycerz, że niemylnie
Awantura go jakaś w dębie spotka,
I nie czekając, skoczywszy z rumaka,
Szedł ku dębowi temu z czasów Kraka.

Dochodząc wejścia, nasz młokosik rzeski
Usłyszał w drzewie szmer i pocałunki...

---

[1] Antara, sławny poeta arabski z V. wieku po Chr.

Ciemny był wewnątrz dąb. ciemno-niebieski,
Bo próchno, niby brabanckie korónki
Rozbłękitniło chropowate deski,
Jak dla Rusałki kościół, lub Bogunki.
Było tam światło takie, jak w zawiei,
Gdy księżyc świeci w mgle... światło nadziei!

Ktokolwiek deptał ziemię starożytną,
I popiołami nakryte pokoje,
Gdzie laury rosną, pomarańcze kwitną;
Ktokolwiek był tam z kochanką we dwoje,
Ktokolwiek grotę odwiedzał błękitną
Kaprei — i tam ujrzał bóstwo swoje
Nagle błękitnem powietrzem kościoła
Zmienione w blade widmo i anioła;

Ktokolwiek zważał te podmorskie świty[1]
Oblewające je od stóp do głowy,
I widział, jak się z różanej kobiety
Czynił duch jasny lecz bezkolorowy,
Błyszczący, żywy posąg Amfitryty,
W błękitnym ogniu mórz zniknąć gotowy,
Tak piękny! w skały ukryty i w morze...
Żywy — lecz w niebios pośmiertnym kolorze;

Ktokolwiek w grocie tej, na kruchej łodzi,
Zamknąwszy oczy, znowu je otwierał,
Myśląc, że księżyc nowy z fal wychodzi
W kształcie kochanki; ktokolwiek nie sterał
Imaginacji i ta jemu płodzi
Kształty; ktokolwiek je w księżyc ubierał,
Niech popracuje, albo puści żagle
Myślom... a ujrzy tu znienacka, nagle —

Ujrzy, co pan Kazimierz. W owem drzewie
Od lat szesnastu zaledwie dziewczątko,
W błękitne próchien rzucone zarzewie
W grocie z promieni... Nazwałbym ją prządką
Arachną[1]... Muza moja sama nie wie,
Jaką od innych odznaczyć pieczątką
Ów twór nowy... W błyskotnej sukience
Stała, na piersiach swych trzymając ręce.

Na skrzyżowanych rękach białe ptaszki,
Sięgały jej ust dzióbki różanymi;

---

[1] Odblaski światła, odbijającego się w morskich falach groty w Capri. [2] Arachna, prządka mityczna, zamieniona w pająka przez Palladę.

W oczach błękitnych przestrach wziął na ważki,
I dwie perłowych łez zrobił równymi —
Spadały obie. Szkła czeskie i blaszki
Wydawały się gwiazdami złotymi,
I z włosów dziwne rzucały promienie —
Bielutką miała twarz — z tęczy odzienie.

Gdy wszedł do dębu rycerz, cała trwożna
Spłonęła, twarz jej spłonęła i szyja;
Wstyd pokazała w sobie nieostrożna,
I ten rumieniec, co w skażonych mija...
Widzę, że dalej już pisać nie można,
Bo opisowość poetę zabija;
I Pegaz się mój homeryczny zdębi,
Stwórzcie więc myślą panią dwóch gołębi

I niechaj się wam roją rzeczy cudne
O czarodziejskim Rusałek kościele;
Gdy w koło jary dzikie i odludne,
I ogryzione przez wilków piszczele,
I trupy czarną krwią zastygłą brudne,
I innych czarnych okropności wiele...
A w głębi dębu gwar innego świata,
Szum liści, próchno się w gwiazdy rozlata.

Beniowski z ładną panienką... Dziewico!
Która te wiersze czytasz, czytaj dalej...
Miłości moje, jako próchna świecą,
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali;
Ledwo ustami płomienia zachwycą,
Wnet je strach księdza, albo los oddali,
Rozerwie ręce, trwoży niewymownie,
I dalszą miłość prowadzą — listownie.

W listach dopiero... a wszystkie umieszczę
W przypiskach... mój bohater będzie czuły:
Już to nie będą moje rytmy wieszcze,
Ale esencja serc, prosto z szkatuły
Wyjęta: serca nią wszystkie rozpieszczę,
A może nawet młodość będą psuły...
Nie emigracją, bo tej djabeł nie chce,
I żadną serca żądzą już nie łechce.

Ambicja serce z pod żeber wykradła,
Sejm się nie kocha już, ani też gminy;
Zbiorowa ta osoba będzie jadła,
Piła, wydawać dziennik, biuletyny,

Gwiazdy się każdej spyta, co upadła:
Jakie pryncypja ma?... Księżyc za miny
Arystokratą nazwie i dla tego,
Że w smutnej twarzy swej ma coś — srebrnego.

Pryncypja... O, pryncypja! jakbym chętnie
Powiedział prosto dziś, co o was myślę!
Gdyby mi teraz w serca mego tętnie
Nie brzmiała inna struna... Więc przekreślę
Te strofy... Dusza mi zagrała smętnie,
Śmiechu na ustach nie mam, ni w umyśle.
Wszystko prowadzi dziwnie Boża ręka,
Tak dziwnie!... że mi serce wre i pęka.

Więc polityczne moje fanalanstery,
Bądźcie mi zdrowe!... I wy, co bez głowy
Upadli z pańskiej jak z niebieskiej sfery,
W arystokratów gracie: smętne sowy!
Co w grze myślicie bić jako kozery
Asa, choć będzie z sercem i laurowy:
Was także żegnam, bez miecza rycerze,
A choć mi serce pęka — śmiech mię bierze.

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca — lecz Fidjasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memmona [1]
Żeby też jedna! Ha! — to mię przestrasza.
Kościuszko przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak — a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera.
Chociaż mi serce pęka... śmiech mię zbiera.

Co będzie zwami, prosto wam nie powiem,
Nie jestem jako wieszcz wszystko-wiedzący,
Krwią do was piłem moim duchem, zdrowiem:
A teraz ciskam serce, puhar lśniący...
Słyszycie? Pękło. Teraz mi wezgłowiem
Jedno kobiece serce [2] — jestem śpiący;
Omdlały jestem, ogniem owionięty,
Piekielne rzeczy rzucający, święty.

Niech się komedja gra. Może mi przyjdzie
Grać inną, wtenczas was wszystkich przerażę.
Ległem jak czarny Sfinks przy piramidzie.
Z grobów ojczystych patrzą blade twarze;

[1] Posąg Memnona pod działaniem promieni słonecznych wydawał dźwięki. [2] Pani Joanna Bobrowa.

Może wieszcz — zechcę jeszcze w jasnowidzie
Rzec co ciemnego? Może wam pokażę
Pełne piorunów usta, piersi, trzewa,
Może zamilknę jak lew, co poziewa,

Patrząc na małość zielonego węża,
I zasnę, zasnę — ha! lecz przebudzenie?
Niech los i serca szaleństwo zwycięża!
Z mózgu mojego mieliście jedzenie,
Lecz serce moje się jak łuk wypręża,
Zrzuca was głodne sępów pokolenie.
Ugolin odbił piekło. — Ognia fale!
Wyrwijcie resztę sępom. Precz, szakale!

Kto inny teraz jest nademną, nie wy,
Na których patrzał ja, Akteon blady.
Między ciemnymi położę się drzewy,
Słowiki będą moimi sąsiady,
Księżyc, jako mój srebrny anioł lewy,
Ona, jak złoty mój duch dobrej rady
Oogoni czarne Cherubinów stada,
Mówiąc do nieszczęść tak, jak anioł gada.

Przez litość tylko nademną siostrzaną,
Przez błękit tylko swojej własnej duszy,
Przez gwiazdę swego losu obłąkaną,
Przez moc, co serca wskrzesza albo kruszy,
Przez to, że hymny we mnie zmartwychwstaną,
Jeżeli ona mnie jak harfę ruszy,
Będę zbawiony, dumny, bezpokutny.
Ale to wszystko sen — i może smutny!

Na Boga! Muzo! Trochę śmiechu! Tyle,
Ile potrzeba dla zabawy gminu.
Gdy serce moje z pod zasłon odchylę,
Widzę, że nie jest jak słońce z bursztynu;
A jednak miało kiedyś światła chwile,
Dawnej miłości winne, temu winu,
Które upaja na śmierć, potem wskrzesza,
O! chcę miłości uczyć! Gdzie jest rzesza?

Odbiega. — Skarży się na moję ciemność.
Poeto, f i a t l u x! zacięcie krzyczą.
I we mnie dziwną znaleźli wzajemność:
Życzę, aby to było, czego życzą!
Tygodnik jakąś wynalazł odjemność
We mnie; lecz niech się dobrze wtajmniczą,
A ujrzą, żem jest coś, jak grecki antyk,
Lecz panteistą trochę i romantyk.

A teraz prosto i bez epizodów
Śpiewam, jak prawy wieszcz, nie jak amator,
Co mój bohater ma jechać do lodów
Sybirskich i do Chin i pod Equator;
Do innych nagich i dzikich narodów,
Aż mu na grobie wyrżną: *sta viator*[1].
Wtenczas ratunku już ze śmiercią niema,
Zatrzyma się czytelnik i poema.

Lecz nim nastąpi to, cudne mam rzeczy
W tece! cudowna awantur girlanda!
Rycerz mój rąbie, zabija, kaleczy
Nakształt Hektora, Ajaksa, Orlanda;
Przybywa zamkom w porę do odsieczy,
Pisze kronikę wierszem, jak Wiganda[2],
O awanturach własnych geografją,
Po której ludzie do Kamczatki trafią.

Na starość także napisał:[3] *Pomysły*
Do dziejów, które się dziać kiedyś mogą,
Z czego korzystał dzisiaj jeden ścisły
Krakowczyk, książkę wydawszy niedrogą.
Książka ma polską duszę, a na zmysły
Działa jak Niemiec; mnie zaś szarpie srogo,
Bije po ręku jak rektorska linia;
Jeśliś ciekawy, patrz rozdział: *Opinia.*

O autorowie z nudy! O, Feniksy!
Powstali z trupów, z prochów własnych, z łóżek.
O polityczne moje nowe Iksy!
Upadam wszystkim pokornie do nóżek,
Lecz życzę, aby nas dzieliły Styksy.
A teraz z waszych korzystam przestróżek,
I już nie Ody piszę, ani Hymny,
Ale poemat ten — nadzwyczaj zimny.

Bohater w dębie zamknięty z młodziutką
Panną, a jednak stoi o pięć kroków;
Jeśli co mówi? mówi bardzo krótko.
Nie spuszczam żadnych na scenę obłoków,
Bo ani z wód kokietką, z niezabudką,
Rozmawia czyściej lilja, pani stoków,
Gdy je wiatr zdrajca ku sobie pokłoni,
Jako tych dwoje, których ja mam w dłoni.

---

[1] Stań, przechodniu! — Zwykły początek napisów nagrobnych.
[2] Wigand, kronikarz krzyżacki. [3] Fr. Paszkowski.

I mógłbym ... mógłbym, — lecz nie chcę, a może
Nie mogę, nie mam dosyć serca, żaru
Próchno świecące księżycowo w korze
Zda mi się pełne widm, pokus i gwaru
Pełne. — Zatrzymaj mię, potężny Boże!
Bo gotów jestem dla lepszego czaru
Rzucić na serce mego czytelnika
Trochę awantur własnych z pod równika.

Lecz nie. — Sybirski będę, lodowaty;
Dlatego wchodzę w styl nowych poetów.
Słyszycie, jak się krzą odludne kwiaty?
Słyszycie głuchy łomot oczeretów?
Ktoś jedzie, spiesznie mu pewno za katy!
Odtętnia głucho echo jarych grzbietów.
Wiele być musi jadących rycerzy,
Kiedy przed nimi takie echo bieży.

Na pozłoconym kurzawy tumanie,
Która do dębu ze słońcem się wkradła,
Naprzód ksiądz jakiś wleciał niespodzianie,
Za księdzem jakaś złota mara wpadła.
Ksiądz był w habicie, a mara w żupanie,
W szerokich bardzo szarawarach z radła,
Na których złota leżała kurzawa,
Słowem, Ksiądz Marek to był i pan Sawa.

Ku nim więc moja Nimfa srebrnej cery
Pobiegła skocznie i, całując w ręce,
Oddała księdzu Markowi papiery
Schowane bardzo tajemnie w sukience;
Potem zaczęła śpiew o sobie szczery;
Słów jej nie kładnę wszystkich, bo przekręcę,
Albo bym musiał kłaść po kropkach kropki,
Bowiem ta Nimfa mówiła jak chłopki.

Z płaczem mówiła: jak w dębową szafę
Wlazła przed wrogów okrutnych pogonią,
Jakie tam miało być z niej auto-da-fe,
Jak nie pamiętał nikt i nie dbał o nią.
O horror! trzeci rym jest na żyrafę!
Muzy żałosne łzy nademną ronią,
Bo Muzy wiedzą, jakie do łez prawo
Ma wieszcz, piszący poemat *oktawą*.

Mówiła, jak dwa gołębie siostrzane
Przyprowadziły ze stepów obrońcę,
Mówiąc płakała — na usta różane
Kapiąc, padało kropelkami słońce.

Pan Zbigniew patrzał zaś w stronę, na ścianę,
Ksiądz w ziemię, Sawa łamał ostróg końce. — —
Widząc, że sądzić są gotowi *krzywo,*
Rycerz do księdza rzekł dumnie i żywo!

„Jestem Beniowski; jechałem do Baru,
Abym ojczyźnie mojej służył szablą
I całą duszą. Z bliskiego mię jaru
Te dwa gołębie sztuką prawie djablą
Przywiodły tutaj. Znajdziesz śród czaharu
Dwa trupy, które Pluton swoją grablą
Weźmie, i w ogień piekielny zagrabi.
Więcej mu takich dam, na honor hrabi!

Z Węgier albowiem moje rodowody
Prowadzę i mam hrabiowskie tytuły,
Ale, że jestem bez grosza i młody,
Nie wiele sobie ważę te bibuły
I pergaminy; lecz chcę iść w zawody
Z przodkami; jako człek na sławę czuły
I mocno hańbę ojczyzny czujący;
Niedoświadczony jeszcze, lecz gorący".

Gdy tak przemówił, ksiądz Marek otworzył
Ramiona i jął ściskać postać giętką:
„Ja znałem twego ojca; gdyby dożył,
Pewnieby twoją chęć pochwalił prędką.
Bogdajbyś późno się w grobie położył
Jasnym, jak człowiek wielki, ani wędką
Sprośnych rozkoszy tu był ułowiony.
Zlituj się, Matko niebieskiej korony!

Oto dziecko to oddaję w opiekę
Tobie, Dziewico czysta, Matko Boża!
Broń rzuconego w tę nieszczęścia rzekę,
Która z nas płynie do wieczności morza.
Pozwól, że z niego tę cielesność zwlekę,
Która tu krwawi ducha, jak obroża,
A zaś mu w duszę ognistą przeleję
Rozpacz, co wszystko łamie — i nadzieję.

Biada, kto daje ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa;
Oboje w nim Bóg swym piorunem skruszy,
I padnie kiedyś w popiół taka głowa!
Żadną łzą taki Boga nie poruszy,
W modlitwie nigdy już nie znajdzie słowa,
Któreby kiedyś jego Bóg rozumiał,
I będzie, jak ten dąb umarły, szumiał.

Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi, a węże się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiędą,
Krzycząc: Ojczyznę nam daj, lub do spania
Grobowiec sławny! ale nie posiędą
Grobu ni sławy. I to jest przekleństwo,
Które ja rzucam na nich! — ich rodzeństwo!

I niechaj będzie jakoby stuletnie —
Lecz nie. O Boże! nie słuchaj, Jehowa".
Tu zamilkł: oczy mu błyszczały świetnie,
I pięknem srebrnem uwieńczona głowa
Pośród głów młodych błyszczała szlachetnie,
Jak księżyc, kiedy się nad rankiem chowa
Za morze, albo za Egejskie skały,
Nadzwyczaj wtenczas smutny, wielki, biały.

I mój rym także, po tej parafrazie
Kazania, także za skały zachodzi.
Porozciągawszy tęcze na obrazie,
Pokołysawszy nakształt dobrej łodzi,
Idzie spać. Wyraz został przy wyrazie,
Nie wiem, czego chce? i czego dowodzi?
Jako fajerwerk z gwiazd kilku tysięcy,
Chciałem, aby się spalił, i nic więcej.

PIEŚŃ IV.

Dąb utrudzone opuścił konary,
Świerszcze sykały, upał był ognisty.
W dębie na ziemi siedział Marek stary
I na kolanach rozpisywał listy;
A włożył na nos krzywy okulary.
A taki był list jeden: — „Mój strzelisty
Afekt i łaska Pana Zbawiciela
Z wami" — w nawiasie: „Niech was powystrzela

Moskal i djabeł, że się tak kłócicie
I zostawiacie Bar Moskali pastwą;
A choć chlachetne imiona nosicie,
Jest z was ohyda Boska i plugastwo.
Pan Regimentarz zaś sam mianowicie,
Który obiecał karmić nas jak ptastwo
Indyjskie, imbier przysyłać, muszkatel,
Cierpi, że buty dziś je obywatel.

Venit judicium! Nie odemnie sługi
Usłyszy wtenczas sąd, lecz przed Chrystusem
Zapłaci swoje zaciągnięte długi;
Toż samo pan Rożański, co Fabiusem
Jest w naszej partji, także i ten drugi
Niech wie, że sądu dzień nadchodzi kłusem,
I weźmie wszystkich was jak tuman śmieci —
Piszę to z głębi żalu do Waszeci".

Takie ksiądz pisał listy pełne grozy.
A przy nim moja młoda posłannica,
Przelatująca moskiewskie obozy
Jak głos od harfy, albo blask księżyca,
Lub Afrodyta, której ciche wozy
Przez błękit gołąb niósł i gołębica,
Ze świeczką w ręku stała zapaloną,
Od blasku złotą mając twarz i łono.

Ktoby tam zajrzał, myślałby, że który
Z ojców kościoła siedzi z gołą głową
I po natchnienie patrzy w ciemne chmury;
A zaś Aniołek, rączką rubinową
Dotknąwszy białej jak kamień tonsury,
Wyciąga z głowy tęczę brylantową,
Podobną róży z gwiazd, lub pełnej malwie,
Gdy starzec siedzi na orle lub na lwie.

I w ciemnym dębie było tylko dwoje:
Ksiądz z piórem w ręku, ze świeczką dziewczyna;
I tylko świerszcze między drzewne słoje
Wrzały piosenką. Była to godzina,
W której tak miło pójść nad jasne zdroje,
Gdzie słońcu broni przystępu leszczyna;
I na murawie legnąć aksamitnej,
W brzęku motyli, przy wodzie błękitnej.

Lecz w owe czasy któż jednę godzinę
Marzył, spokojnie przedumał nad wodą?
Któż miał czas marzyć, że tak wszystko minie,
Jak kwiat będący motylom gospodą?
Jak niezabudka drżąca przy leszczynie?
Jak łza? — jak wszystko, co się zowie modą?
Choć dobra moda była w onych czasach
Konfederować się i kryć po lasach!

A jednak i to minęło! Ojczyzna
Minęła także! i ów wierszyk złoty,
Że dla niej każda smakuje trucizna;
Ów wiersz, co niegdyś zachęcał do cnoty,

Jest dzisiaj, każdy mi to pewnie przyzna,
Kto w oblężeniu jadł szczury lub koty,
Że ten wiersz bez psów, liszek i bez czajek,
Jest dziś najlepszą z Krasickiego bajek.

A więc niech wszystko mija! Wstańcie, burze!
I zwiejcie mój ślad z tej smętnej pustyni!
I moje myśli, jak łez pełne kruże,
Przechylcie, niech je próżnemi uczyni
Czas. — Wszak stawałem na niejednej górze
Bliżej piorunów niż gadu, co ślini
Pocałunkami nawet twarz człowieka!
Bliżej chmur, co grzmią, niż ludu, co szczeka!

I dziś od ogni boskich w dół zepchnięty
Z piramid czoła, z wulkanicznych szczytów,
Cierpię, lecz jeszcze gardzę, I ten ścięty
Rym nieraz kąsa was aż do jelitów
I płynie jako szalone okręty,
Z fal odrzucany do niebios błękitów,
Gdzie mu początek był i koniec będzie,
Gdy śmierć na żaglach okrętu usiędzie.

Tymczasem z szumów żaglowych i waru
Myśli zhukanych jest harmonja dzika,
Którą ja lubię, że tak pełna gwaru,
Że czasem jak wąż pośród ruin syka!
Czasem podobna do Aniołów swaru,
Gdy błyskawicą letnią się odmyka
Niebo, i znów się zasuną płomienie
Na dziwny duchów świat, skąd szło westchnienie.

A jednak, gdyby twoja, o! młodości!
Żelazna niegdyś wola, dumna, twarda;
Gdybym nad sobą miał więcej litości,
Gdyby mi nawet w krew nie przeszła wzgarda
Tego, co teraz jest i co w przyszłości
Być może, lutnię, szalonego barda
Skruszyłbym, wziąwszy pod zgięte kolano,
I nową harfę wziął niepokalaną.

Lecz późno, późno już! Gdzie są słuchacze?
Czy w grobach klaszczą w ręce zadziwione?
Czy urągają? Nie wiem, i nie raczę
Gonić myślami te smętne, stracone
Mary. Lecz nieraz, kiedy mi zakracze
Orzeł lecący na słońce czerwone,
Zda mi się, że to jakaś dusza bratnia
Znów odlatuje odemnie — ostatnia!

Lubiłem takie dusze, dzikie, smętne,
Rozokolone na niebie szeroko,
Błyskawicowe trochę, trochę mętne,
Nawet, gdy w ciało się straszne obloką,
I w pioruny się rzucają namiętne,
Lub nad Safony[1] chwieją się opoką.
Lubiłem takie dusze — nie bezkarny!
Wybrednie marząc w różach — kolor czarny.

Dziś uleczony napół, lubię róże
Takie, jakimi je Bóg stworzył, ładne
I wiotkie. Teraz wam powieścią służę
I w żadne więcej ustępy nie wpadnę;
Żadną gawędą pieśni nie przedłużę,
Ale też z faktów wam nic nie ukradnę,
Bo wszystko godne jest pamięci wiecznej,
I wszystko może ujść w kompanji grzecznej.

Stoi więc w dębie moja małodyca
Ze świecą, jasne dwa gołębie burczą;
Ksiądz pieczętuje sygnetem szlachcica
Listy. Posłuszne się papiery kurczą
W kopertę; z lakiem ożeniona świeca,
Mówiąc Delilla[2] stylem — styl tak sturczą
Poeci, że dziś gwałtem trzeba z Francji
Rozumu, jeszcze więcej elegancji —

Ożeniona więc świeca z laską laku
Wydała tę łzę, która z tajemnicy
Nie da się nigdy odedrzeć bez znaku;
Zwłaszcza, jeżeli Moskal na granicy
Nie czyha na twój sekret, o! Polaku,
Z pomocą drugiej ożenionej świecy;
I chmur z tajemnic twoich nie uchyla
Zdradziecką ręką nocy (styl Delilla).

Już więc ksiądz Marek (tu mnie nie doścignq
Iksy warszawskie), kochanków zaślubił,
I nim oboje w małżeństwie ostygną,
Przypieczętować chciał, już tak naczubił,
Już, już... wtem szable mu po oczach mignq!
Ksiądz wstał, szczęk wielki był, pieczątkę zgubił,
Ujrzał na ścianach boju stereotyp,
Bowiem dąb wśrodku był jak dagerotyp.

---

[1] Safo, poetka grecka skutkiem nieszczęśliwej miłości popełniła samobójstwo rzucając się w morze ze skały. [2] Delille, głośny niegdyś w Polsce poeta francuski, do którego tłumaczów należeli: Feliński, Euzeb, Słowacki i inni.

Co się więc działo zewnątrz, to się w łonie
Suchego dębu odbiło tęczowie.
Był bój: naprzeciw siebie szły dwa konie,
A na koniach szli dwaj bohaterowie,
Nad głową niosąc podniesione bronie,
Szablice, każda jako sierp na głowie!
Teraz ksiądz poznał, że ci wojownicy
Byli to z Panem Sawą Pan Maurycy.

Poznawszy, w duchu rzekł: nie pójdę godzić!
Niechajże sobie trochę krwi utoczą,
To może nadto gorących ochłodzić,
Potem z rozwagą większą w ogień skoczą.
Tak mówiąc patrzał, jak chcąc sobie szkodzić,
Na ścianach tęczę tworzyli uroczą.
Światłość ich obu owionęła krwawa,
W ogniu na białym koniu migał Sawa.

Spotkali się raz, złożyli nad głową,
I znów ich konie rozniosły szalone!
Za drugim razem, tnąc sztuką krzyżową,
Beniowski, zgrabnie skoczywszy na stronę,
Dał szacht tak płytki koniowi nad głową,
Że mu z przyciętych uszu, dwie czerwone
Trysły fontanny — jak rubin się żarzą,
W biegu nadjechał na nie Sawa twarzą.

Więc się na białym wydawał rumaku,
Mając zalane oczy krwi wytryskiem,
Jakby Delfina miał w złotym czapraku
Pod siodłem, który krew wyrzucał pyskiem.
Nie dając jednak najmniejszego znaku,
Że był zmieszany tym ostrym dogryzkiem,
Obróciwszy się koniowi do grzbietu,
Strząsł krew i z olster dobył pistoletu.

Straszny był wtenczas! We krwi, co go broczy,
Spokojną miał twarz i spokojnie mierzył
Do bohatera pieśni — między oczy;
I gdyby krzemień był spadł i uderzył
W dekę, co skrami pryskając odskoczy,
Pewnieby więcej mój bohater nie żył.
Bo sam wyznawał, że w szturmaku onym
Widział przybitą kulę czemś czerwonem.

Więc pewnie by ją był duszy oczyma,
Jak mówi Hamlet, w czaszce swej zobaczył,
Gdyby nie dziwne, a dla piso-ryma
Miłe zdarzenie. Bóg zachować raczył

Człowieka, a ja zeń zrobię olbrzyma;
Byle mi tylko czytelnik przebaczył,
Że empirycznie, minąwszy przyczynę,
Wdałem się w skutek rzeczy, w rąbaninę.

Lecz wpadłszy, muszę kończyć. Więc Pan Sawa
Lewe przymrużył oko i wycelił,
A zaś powszechnie o nim niosła sława,
Że nawet pannom, gdy sobie podchmielił,
Wystrzelał korki. Była to zabawa,
Którejbym wcale z innymi nie dzielił,
Gdybym był panną gdzieś w szlacheckich dworkach,
Pod owe czasy, i chodził na korkach.

Wycelił już więc prosto, w samo czoło,
I palec już giął, gdy nagle, o dziwy!
Jakoby Irys, co rzuciwszy koło,
Z tęczy zlatuje na zamglone niwy,
Lekko jak anioł, jak ptaszek wesoło,
Dzieweczka z dębu dała skok straszliwy,
Skok na dwa łokcie od ziemi wysoki,
W poezji mówiąc, skok aż pod obłoki.

Z obłoków spadła na ów koń ze śniegu,
Na którym siedział Pan Sawa złowrogi.
Nim się obeirzał, już na siodła brzegu
Stojąca za nim, jak Olimpu bogi,
Prosta i naprzód podana do biegu,
Chwyciła za lejc, i na tylne nogi
Podniósłszy konia z rycerzem do góry,
Tak pomięszała go, że strzelił w chmury.

I nie czekając, aż poprawi strzału,
Lejcem i głosem zagrzawszy rumaka,
Rzuciła w galop tak pełny szału,
Że galop konia był jako lot ptaka.
A ta dzieweczka, by duch ideału,
Stojąc nóżkami na końcu czapraka,
Resztą się ciała, strach przechodzi mrowi!
Oddała całkiem unieść błękitowi.

I błękit ją wziął tak zrównoważoną,
Z rozciągniętymi jako ptak rączęty.
Z włosów, co były na głowie koroną,
Naprzód się zrobił złoty wąż zwinięty
W kłeby, i leciał wraz za tą szaloną.
W połyskujące ją chcąc winąć skręty.
I różne kwiaty wyrzucał ze skrętów,
Które goniły ją mgłą dyamentów.

Za włosem, i za kwiatami, i za nią
Pędziły równym dwa gołębie lotem.
Nie widzę więcej, jary się tumanią,
Dymnej kurzawy przesłonięte złotem;
W kurzawie rycerz znika z moją panią;
Jeszcze raz galop konia runął grzmotem,
Jeszcze raz jeździec na wierzchołku góry,
Jak z ametystu, z płomienia i z chmury

Błysnął i zniknął. Teraz, kto wypowie
Uczucia wnętrzne w moim bohatyrze?
Zamiast kul srogich pana Sawy w głowie,
Ujrzał, a tu mu wcale nie ubliżę,
Bo wiem, że wiedział, co są Centaurowie,
Przypomnieć musiał więc o Dejanirze;
I miał na twarzy taki wyraz boski,
Jak ten, co wiersze pisząc, liczy zgłoski!

Oczy utopił w kurzu obłok złoty,
Gdzie znikał rycerz, koń, panna, jej włosy,
I za włosami, jak dwa papiloty,
Białe gołąbki na dwóch końcach kosy.
I stał, i patrzał, gdy z dębowej groty
Wyszedł ku niemu Karmelita bosy,
I przeżegnawszy się Chrystusa znakiem,
Spytał: „Dlaczego Waść się bił z Kozakiem?

O krwi gorąca! że też ja nie mogę
Utrzymać nigdy między wami zgody!
O to Pan Sawa znowu ruszył w drogę,
Bóg wie, czy wróci, a rześki i młody.
O młodzi! młodzi! pod waszą ostrogę
Trzeba dać woły najleniwsze z trzody;
Dopóki każdy z was na koniu jeździ,
Nigdy się w jednem miejscu nie zagnieździ.

Skądże wam przyszło, żeście tu z jaszczura
Dobyli szabel i na konie wsiedli?“
Na to Pan Zbigniew: „Oto iest rzecz, która
Zwaśniła obu; gdyśmy tutaj jedli
I pili, oto złota miniatura,
O którą srogi bój obaśmy wiedli.
O taką się rzecz bijemy nie pierwsi;
Ja mu ją, książę, sam zerwałem z piersi.

A zerwawszy ją, chciałem serca dostać
Z pod żeber jego tą szablą turecką.“
Tak mówiąc, strasznie miał marsową postać.
A ksiądz: „O takąż rzecz chodziło świecką?

Wartoby obu dyscypliną chłostać!
Wstydź się, Wielmożny Hrabio! jesteś dziecko:
Tę miniaturę mi dała dla ciebie
Córka Starosty dziś, jak Bóg na niebie!

Ja zaś, nie mając kieszeni w habicie,
I nie chcąc wieszać tej rzeczy na sobie,
Dałem ją Sawie, by ją schował skrycie,
Aż mi ją przyjdzie na myśl oddać tobie.
A przytem i list skropiony obficie
Łzami, a w takim pisany sposobie,
Że choć ksiądz jestem, w miłostkach nie służę,
Podjąłem się ten list schować w kapturze.

Oto jest pismo, dziś pisane w nocy,
Czytaj Waść! ja tymczasem na koń siędę;
Bar potrzebuje dziś mojej pomocy,
Lub go ocalę, lub niebo zdobędę."
Beniowski blady jak duch o północy
Już nie uważał na księdza gawędę;
Ale otworzył list, czytał i wzdychał,
Bo ten list w niebo rwał i w piekło spychał.

A naprzód w liście było opisanie
Tego, co w drugiej mojej pieśni stoi,
To jest: jak zamek wzięto niespodzianie,
Jak go dostano prędzej niźli Troi;
Jak na śmiertelnym już był karawanie
Pan Dzieduszycki, jak w piwnicach broi
Szlachta, będąca w zamku na załodze:
Jak Ladawiecki pan zdał rządu wodze,

A sam zamyślał jechać do Warszawy
I córkę z walki uprowadzić pola.
„O! mój Zbigniewie! nie miej ty obawy,
Pisała Panna, nigdy ojca wola,
Nigdy ponęta, nigdy przestrach krwawy,
Nigdy szalone szczęście lub niedola
Nie skłonią serca mego do odmiany!
Bądź sławny! jesteś mój, jesteś kochany!

Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
Myślami, kwiatów podolskich zapachem.
Woniami, które były tak urocze,
Gdy w Anielinkach, pod słomianym dachem
Ty mię porzucał, a ja ci warkocze
Dałam całować, przenikniona strachem
Abyś mi u nóg nie padł konający,
Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.

Powiem ci teraz, żem się była zlękła,
Abyś ty we mnie nie usłyszał głosów,
Z którymi w sercu jakaś struna pękła,
Gdy się dotknąłeś usty moich włosów.
Pomnisz, żem wtenczas tak jak dziecko jękła,
Chwytałam się szat twoich, drzew i kłosów,
Myślałam, że już ginę z światłem, z echem,
I że westchnienie — śmierci jest uśmiechem.

Kiedy to piszę, słońce wschodzi z wieńcem
Chmur i tak wstydzi mię, że nie wiem, czemu
Cała się zlałam łzami i rumieńcem;
Ty wiesz, jak zawsze kwiatowi białemu
Podobna, póki mi był oblubieńcem
Chrystus. Uśmiechnij się słońcu złotemu,
Bo mi się przed nim łza gorąca toczy
I tak rumieni mię, jak twoje oczy.

Niespokojności pełne serce moje!
Smutno mi rzucać te miejsca, te stawy!
Jeżeli kiedy przywiodą cię boje
Aż do mojego zamku, do Ladawy,
Każ sobie Panny otworzyć pokoje;
Na stole stoi filiżanka z lawy,
Rzucam dla ciebie w nią maleńki kwiatek,
Nosiłam go dziś całą noc — bławatek.

Nie trać nadziei nigdy, nigdy! Kto ma
Wolę, ten wszystko pokona. — *Addio!*
Z wyciągniętymi za tobą rękoma
Jeszcze raz wołam ciebie — *caro mio!*
Przy tobie zawsze będę, — niewidoma,
I wprzód mi serce, niż ciebie zabiją!
Nie! ty nie możesz zginąć tak jak oni,
Których nie kocha nikt — i nikt nie broni.

Pytałam dzisiaj starej wróżki Diwy,
Czy mi Bóg ciebie zachowa i wróci?
Odpowiedziała: że będziesz szczęśliwy,
Że się o ciebie wiele duchów kłóci
Czarnych i złotych z tęczowymi grzywy;
A czyny twoje ktoś na harfie nuci;
Że zawrzesz z królem indyjskim przymierze;
Nie będziesz temu wierzył, lecz ja — wierzę.

Przepowiadając, mówiła mi stara,
Że widzi ciebie w sankach z wieloryba,
A zaś przy tobie stoi jakaś mara
Ubrana w szaty dziewicze; to chyba

Ja — czy nie prawda? O! gdyby ta szpara,
Gdyby ta jasna z dyamentu szyba,
Przez którą Diwa widzi przyszłe rzeczy,
Mogła zastąpić we mnie wzrok człowieczy!

Zgodziłabym się nie widzieć na niebie
Gwiazd ani słońca, nie widzieć błękitu;
Lecz tylko w każdej chwili widzieć ciebie,
Na ciebie patrzeć od zmroku do świtu.
Zda mi się nawet, że w jakiej potrzebie
Pomogłabym ci oczyma — do szczytu
Szczęścia i sławy — choćby ...“ Tu przerwany
Był list i dwoma plamkami zwalany.

Te plamki były do ust podniesione,
Lecz ksiądz podstawił pod usta szkaplerza.
„Te całuj! krzyknął, te rany czerwone,
Które miał Chrystus, godne ust rycerza!
Nie te kropelki łez gorzkie i słone,
Z których rdza pada na kryształ puklerza.
Rzuć ten list — daj go, jak mówią, szatanu!
A słuchaj! ważną misją dam Waćpanu.

Piszą mi, że tron odzyskał Khan Giraj;
Przyjazny zawsze Polsce był Khanisko.
Masz listy, których proszę nie otwieraj,
Aż staniesz w Krymie. Wprawdzie to nie blisko;
Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
I bocian także z małą szarą pliszką
Do tej krainy lecą z wielkim krzykiem;
Bocian okrętem jest, pliszka sternikiem.

Ona ptakowi na ogonie siedzi
I prostą drogę w chmurach rozpowiada.
Tak, jeśli cię duch Chrystusa nawiedzi,
Będziesz jak bocian, co nigdy nie siada;
Lecz wyciągnąwszy dziób jak włócznę z miedzi,
Prosto wędruje i w gniazdo upada
Gdzieś na wieśniaczej chacie, zmordowany,
Przebywszy morskie burze i bałwany.

Ufaj mi, synu! jeśli wytkniesz sobie
Drogę, a prostą, to choćby do słońca
Zalecisz, często na krzyżu lub grobie
Odpoczywając. Leć że więc bez końca.
A będziesz chodził w anielskiej ozdobie,
Jako ojczyzny i wiary obrońca;
A nim zasługi twoje w niebie zginą,
Ziemia przeminie i gwiazdy przeminą!

Patrz na mnie! jestem także zmordowany,
A kto wie, co tam w mojem sercu płacze?
A jednak wziąłem w rękę krzyż drewniany,
I chodzę, tuląc do głębi rozpacze.
Wolałbym może już w grób, jak złamany
Dąb i bez liści, lecz mi serce skacze,
Kiedy na działo wstąpi moja noga,
A działo ogniem śpiewa imię Boga.

Więc, że i starość jeszcze Jowiszowe
Ma brwi, na hańbę ojczyzny zmarszczone,
Więc jeszcze wstrząsa te pola stepowe,
I wulkany z nich rozrzuca czerwone;
I tej ojczyzny martwej wznosi głowę,
I kładzie na nią zbawienia koronę —
Także więc krwawym was obmywam chrzestem!
A pomyśl tylko ty — czemże jestem?

Garsteczką prochu, co jutro w dolinie
Będzie rodziła chwasty i lilje;
Dzbanem, z którego strumień wiary płynie,
A który jutro Bóg nogą rozbije.
Nosże ty ducha w tej cielesnej glinie;
A nie lękaj się, gdy wiatr w oczy bije
Z błyskawicami. Na końcu żywota
Czyny człowiecze waży szala złota.

Tam wszystkie nasze łzy i krew rozlana
Są policzone, i nie ginie jedna
Kropelka, ani biała, ni różana,
Lecz każda waży i ważąc wyjedna
Światło wieczyste. Idź więc w imię Pana!
A byłaby też ta ojczyzna biedna,
Gdyby dla ciebie zginionego młodo
Łez nie znalazła. Bądźże więc tą wodą

Chrzczony i teraz, i w grobowcu późnym."
To mówiąc, ręce wyciągnął, i drżały.
Słuchał go rycerz z czołem smutnie groźnym.
I był na twarzy przerażeniem biały.
Iskry mu z oczu szły — i dreszczem mroźnym,
Miłością wielką dla nieszczęsnej chwały
Czuł się przejęty! Będąc tak ognisty,
Z ręku księdzowskich wziął do Khana listy.

I wraz obrócił konia na południe
Ku wschodzącemu wtenczas miesiącowi;
Jechał i marzył o przyszłości cudnie,
A któż sny takie młodości wypowie?

Choć aniołami te strofy zaludnię.
Choć z ziemi stworzę kraj podobny snowi,
Nie dosyć będzie przez gościniec z ostów, —
Kwiatów z różanych gwiazd i z tęczy mostów.

Austerje[1] chyba z szkła i dyamentu
Zbuduję, w karczmach posadzę Ajanny.
Łódź życia jest jak złota łódź Sorrentu,
Co siekąc kryształ przeźroczysty, szklanny,
Ogień dobywa błękitny z odmętu,
I z wioseł ogień leje nieustanny —
I tak jak łabędź ognisty przelata,
Pierś mając w ogniu i ogniem skrzydlata.

Młodości! każ się tej łabędziej marze
Z ognia i złota unosić po świecie.
Niech szumi wino w twej platońskiej czarze,
Na głowie niechaj będzie wonne kwiecie;
A blisko ślubów wysokich ołtarze,
Gdzie Saturnowy[2] wąż się z ogniów plecie:
Tam ślubuj przyszłość. — Muza mdleć zaczyna!
Dajcie mi bursztyn, i róże, i wina!

Kłębami dymu niechaj się otoczę,
Niech o młodości pomarzę pół-senny.
Czuję, jak pachną kochanki warkocze,
Widzę, jaki ma w oczach blask promienny;
Czuję znów smutki tęskne i prorocze,
Wtóruje mi znów szumiąc liść jesienny,
Napróżno serce truciznami poim!
Kochanko pierwszych dni! znów jestem twoim.

Patrzaj, powracam bez serca i sławy,
Jak obłąkany ptak — i u nóg leżę.
O! nie lękaj się ty, że łabędź krwawy,
I ma na piersiach rubinowe pierze.
Jam czysty! głos mój śród wichru i wrzawy
Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;
U ciebie jednej on się łez spodziewał,
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów
Na twoje włosy kładła jarzębina;
Tam siądź i słuchaj tego wichru żalów,
Które daleka odnosi kraina,

---

[1] Austerja = z włoskiego: osterja = oberża. [2] Saturnus = bóg czasu, tutaj użyty jako symbol wieczności.

I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów,
A więcej kocha ludzi, niż przeklina.
I pomyśl, czy ja duszę mam powszedną?
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój czar nademną trwa. O! ileż razy
Na skałach i nad morzami, bez końca,
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy
A miłość twoję miałem nakształt słońca
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy
Na moich piersiach spał — a łza gorąca
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła;
Twa dusza znała to — i przychodziła.

W gajach, gdzie księżyc przez drzewa oliwne
Przegląda blado, jak słońce sumienia,
Chodziłem z tobą, jak dwie mary dziwne:
Jedna z marmuru, a druga z promienia.
Skrzydła nam wiatru nie były przeciwne,
I nie ruszały włosów i odzienia.
Między kolumny na niebie się kryśląc,
Staliśmy jak dwa sny, oboje, myśląc.

Z taką więc ciszą i z taką powagą
Wejdziemy kiedyś w Elizejskie bory,
My, cośmy ziemię tę widzieli nagą,
Przez piękne niegdyś widzianą kolory.
Cośmy poznali, że nie jest odwagą
Rozpacznym czynem skończyć żywot chory;
Lecz uleczeni przez truciznę użycie,
Sercu zadawszy śmierć, znaleźli życie.

Pierwszy to i raz ostatni, o miła!
Mówię do ciebie. Jest to błyskawica,
Która ci chmurę posępną odkryła,
I boleść wyszła z niej, jak nawałnica.
W twoim ogrodzie pustym będzie wyła,
Gdy księżyc pełny, jak srebrna różyca
Gmachów gotyckich, biały blask rozleje
W te, gdzieśmy niegdyś chodzili, aleje.

Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę
Wołające mię duchy w inną stronę;
Wiatr mną jak ciemnym cyprysem kołysze
I z czoła mego podnosi zasłonę,
I z czoła, gdzie anioł jakiś skrami pisze
Wyrok łamiący mnie między stracone;
Ja czekam, krusząc wyroki okrutne —
Twe oczy patrzą na mnie — takie smutne!

Bądź zdrowa! drugi raz cud się powtórzy:
Martwy, odemknę ci w grobie ramiona,
Kiedy ty przyjdziesz, do zbielałej róży
Podobna, zasnąć. — Dosyć!... Pieśń skończona!
Oko się moje senne łzami mruży,
Róże uwiędły, czara wychylona,
I pieśń gdzieś leci odemnie echowa —
Już pożegnałem cię — jeszcze bądź zdrowa!

PIEŚŃ V.

Przez ciemne, smutne gościńce kurhanów
Niesie go czarny koń dniami i nocą.
Pod ziemią tętna zakopanych dzbanów
Z prochem rycerzy; na niebie łopocą
Kruki, jak stada posępne szatanów.
W czaharach zbroje rycerzy migocą
I dzidy błyszczą krwawymi płomyki.
Tam, na kurhanach, posępne lirniki

Siedzą i grają dumy dawnych czasów.
Dumy wychodzą na rozległe pola,
Wpadają smutne w szum dębowych lasów
I stamtąd znowu, jak harfy Eola,
Zmięszane z szumem liścianych hałasów,
Wychodzą na step: a ludzka niedola
Leci, wichrami płaczącymi wiana,
Jakby nie ludzi ustami śpiewana.

Tu siedzą wianki, na polu, czumaków,
I ogień palą wielki, jasny, chmurny;
Tam dalej wieńce podróżników ptaków,
A drop, na straży, albo sęp bezpiórny,
Podobni zdala do rzymskich orszaków
Koło chorągwi, albo koło urny,
Gdzie smętne wodza popioły złożone,
Oprawujące straż i zamyślone.

Beniowski przebył Dniepr, gdy raz wieczorem,
Kiedy już księżyc powstawał zamglony,
Obaczył ogień pod dębowym borem
W ziemi palący się, wielki, czerwony.
Przy ogniu siedział człek okryty worem.
Dzikiej i strasznej twarzy jak Hurony,[1]
Gotował strawę i pazury czarne
Krwawiąc, odzierał ze skór całą sarnę.

[1] Huroni = plemię Indjan amerykańskich.

Ta wywrócona, oczyma szklanemi
Zdała się żebrać u ognia litości.
Dalej siedziało dwóch panów na ziemi:
Na jednym żupan był, skóra i kości...
Drugi otyły i z rubinowymi
Policzki, pełen w sobie wielmożności,
Przepijał głośno do drugiego zdrowiem
Z butla, co miał brzuch obszyty sitowiem.

Ów pan wspaniałej tuszy, trochę baba
Na twarzy, dziwnej miał zbroję struktury.
Od kołnierza mu szła żelazna sztaba
Malowanymi natykana pióry.
Rzekłbyś, że rodzi go królowa Saba,
Że z dawnych czasów spadł jak żaba z chmury.
Chociaż się zbroja nam wydaje dzika —
Beniowski poznał zaraz pancernika.

Gdzieniegdzie jeszcze snuli się po kraju
Starzy minionych czasów kochankowie,
Którzy nie pili kawy, ani czaju,
Żelaza kawał nosili na głowie,
Jak starej kawał arki na Synaju!
A Bóg im dawał rumianość i zdrowie,
Zwłaszcza, że słomę wkładali do butów.
Litwin, pancernik, jeden z tych mamutów,

Siedział, jak mówię — i z oplecionego
Butla pił. Litwin to był starej daty,
Z chudym się na czas połączył kolegą
A jego sługa, czerwono-kudłaty
Perkunas, który pana znał małego,
I z miłości mu, a nie dla zapłaty
Służył, choć nosił imię dawnych bogów:
Kucharzem teraz był... i u trójnogów

Wieszał — ach! nie już dla Znicza kadzidło,
Lecz kawał sarny... już nie dawne runy
Śpiewał, lecz djabła żmudzkiego straszydło
Krzyżem odpędzał, gdy biły pioruny.
Wybornie umiał wędzić gęsi skrzydło
I po tatarsku zawijać kołduny.
Król perski, który płacił złota minę
Za każdą nową rzecz... to za boćwinę

Dałby dwie. — O boćwino! Hipokreno[1]
Litewska! Ty, co utworzyłaś szkołę!

[1] Hipokrena, źródło poświęcone Muzom.

Waza twa zawsze wytryska Kameną,
Która ma oczki gazeli wesołe,
A w ręku białym swym — *ni piu ni meno,*
W rączkach, które są zakasane, gołe,
Wieniec z barszczowych uszu! O nagrodo!
Że mi go kiedyś dasz..., marzyłem młodo.

Lecz teraz tracę nadzieję. Niestety!
Nie lza, jak mówi Kochanowski, próżno!
Próżno deptałem Parnasowe grzebiety,
I miałem nieraz Djanę usłużną —
Kiedym chciał zamknąć Sybir w tryolety,[1]
Muza została mi rymami dłużną:
Z tego więc poszło, że pisałem prozą,
Odjemną — mówi *Tygodnik* — o zgrozo!

Odjemną!... czy od *Tygodnika*? Boże!
Kto tam odejmie co, ten będzie mądry.
Tybyś nie odjął sam nic, Pitagorze!
Z twoją tabliczką w ręku — —
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

Po kropkach piszę dalej. Wiatr był chłodny
I ogień palił się wesoło z trzaskiem;
Beniowski — nie był to bohater modny,
Co się księżyca tylko karmi blaskiem —
Przypomniał sobie właśnie, że był głodny...
Więc jak astronom gwiazdy wynalazkiem,
Albo poeta ucieszony nowym
Rymem, nieznanym i błyskawicowym,

Albo dewotka, gdy grzech jaki stary
Przypomni sobie przed samą spowiedzią!
Albo jak trafne litewskie ogary,
Gdy wpadną razem na łapę niedźwiedzią;
Albo... lecz sposób ten porównań stary
Krasickim trąci i złoconą miedzią,
Więc prosto bez gawędy i odwleczeń,
Beniowski ludzi ujrzawszy i pieczeń,

Zsiadł z konia... Teraz, kiedy go prowadzą
Tak materjalne usta, moja Muza
Opuszcza, z całą swą harfiarki władzą.
Chociaż tam złota leży kukuruza,

[1] Pierwotnie *Anhelli* miał być pisany w tercynach wzorem Dantego.

Choć kapuściane tam kociołki kadzą,
Choć nerka, na kształt czerwiennego tuza
Leży i w maśle na patelni warczy,
Jak serce wroga na Odyna[1] Tarczy —

Choć piękny ten las, gdzie o piersi dębów
Ogień czerwony swoje skrzydła łamie,
Chociaż Perkunas ma na kształt trójzębów
Widelec w ręku i Neptuna ramię,
Które do czarnych dymu wchodzi kłębów,
Jak ów wąż, co chce Danta chwycić w bramie
Dytejskiej i w żar łeb żelazny kładzie...
Choć uczty prostszej nie było w Helladzie,

Wolę porzucić dym, płomień, pieczywo,
Rycerza, moję szlachtę — a sam w stepy
Jako ognisty koń z rozwianą grzywą,
Jak Ariost, nie jak Homer idę ślepy.
(Ta rozmaitość może być pokrzywą —)
I pieśń na różne podzieliwszy szczepy,
Może do końca nie trafię i ładu;
Lecz rozmaitym będę — dla przykładu.

Chodzi mi o to, aby język giętki
Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;
A czasem był jak piorun jasny, prędki,
A czasem smutny jako pieśń stepowa,
A czasem jako skarga Nimfy miętki,
A czasem piękny jak aniołów mowa,
Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.
Strofa być winna taktem, nie wędzidłem;

Z niej wszystko dobyć, zamglić ją tęsknotą,
Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,
Potem w promieniach ją pokazać złotą,
Potem nadętą dawnych przodków pychą,
Potem ją utkać Arachny robotą,
Potem ulepić z błota, jak pod strychą
Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,
Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
Z mogiły powstał: on to-by zrozumiał,
Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
Który mu w grobie nad lipami szumiał,
Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
Mową, którą sam przed wiekami umiał.

[1] Odyn, bóg skandynawski.

Potem by, cicho mżąc, rozważał w sobie,
Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.

Więc nie mieszajcie mi się tu, harfiarze,
Którym dziś klaska tłum! precz! mowo smętna,
Co myślom własne odejmujesz twarze,
Dając im ciągłą łzę, lub ciągłe tętna;
Wolałbym słuchać morza na wiszarze
Jakiej opoki, co wieków pamiętna,
W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
Odrzuca falom jedno — wielkie imię,

Niż — moja Muzo, stój! Od imion własnych
Wara! z tej strony zrobiłabyś cmentarz.
Coć nakształt Danta tercetów niejasnych,
Do których trzeba dodawać komentarz,
Krytykę Dońców i Sławian prekrasnych
Zostawmy drugim. Liepiej ją spamiętasz,
Gdy ich, jak złota strzała Meleagra,[1]
Przeszyje pióro pana Michała Gra...

„Ej ty na szybkim koniu!“ Dalej wiecie,
Wieszcz wielki sobie zapytanie czyni;
A drugi mu wieszcz w przyległym powiecie
Odparł: „Skąd, powiedz, wracają, Litwini?“
That is the question! Tu pytanie trzecie:
Komu ty jedziesz! jak mówią Żmudzini,
Które ja czynię, naśladując metra
Galop w połowie pierwszej heksametra.

Komu ty jedziesz? Jadę księżycowi,
Aby się w konia przeglądał kopytach,
Wonnemu jadę na stopach kwiatowi,
Dziewannom, które w złotych stoją kitach;
Anioł mię srebrny, jasny w skrzydła łowi,
I leci za mną, jak sen po błękitach,
Na koniu stojąc rycerskim jak sława,
I goni mię w kurhany — mówi Sawa.

Tak mówiąc, leciał. A zaś Nimfa ładna
Złożyła złote skrzydełka powoli,
Potem usiadła, ale taka zdradna,
Jak wrona, kiedy z wieśniakiem po roli
Chodzi, szykowna i do lotu składna:
Widać, że z chłopa drwi, a z psem swawoli.
Usiadłszy, włosy zrzuciwszy na łono,
Dwie nóżek w jedno włożyła strzemiono.

[1] Meleager, syn Ojneusa, króla Kalydonu, zabił potwornego dzika.

Kozak ustąpił i nie mówiąc słowa,
Pędził do swego stepowego domu:
Była to grota podziemna, stepowa,
Mało widziana i wiadoma komu.
Koń się w niej mieścił i trzoda się chowa
Kiedy po niebie leją węże gromu.
Tam młody Sawa żył pośród burzanów,
Z nim koń, pies wierny i kilka baranów.

Pies pod niebytność pana był pastuchem,
Wyganiał trzodę i wilki zagryzał!
Straszny pies czarny z obszarpanem uchem,
Gdzie krew zawrzała, jakby kto ponizał
Korale — szyja obtarta łańcuchem;
Bo pies swojego pana tylko lizał,
Gości zaś zębem przerażał i białkiem,
Sądząc się w pana pałacu marszałkiem.

Sawa, wracając raz z nad Styru dolin,
Jeździł albowiem nieraz w ziemię Łucką
Z atencjami do jednej z podstolin,
Wracając, patrzy, pies z mordą kałmucka
Siedzi przed samą grotą, jak Ugolin
Smutny, nad czaszką ogryzioną ludzką,
I oblizuje się po krwawych chrapach,
Jako egipski bóg — na tylnych łapach.

Lecz czy ta czaszka zjedzonego trupa
Chodziła kiedy nogami szlachcica?
Czy była czaszką Rugieri biskupa?
Nie mogąc się od psa, ni od martwica
Dowiedzieć, przykuł brytana do słupa.
A pies zapatrzył się w oczy księżyca,
Nie jęczał, nie gryzł żelaza, nie skakał;
Ale zapatrzył się w księżyc — i płakał.

Kto widział w Rzymie posąg niewolnika
Germana, który w smutku cicho stoi,
Wie, co twarz, choćby zwierzęca i dzika,
Zawiera bolu, gdy się uspokoi,
I kraj przeszłości myślami odmyka,
I o wolności kiedyś dawnej roi,
Wie, co czuł Sawa, gdy na łańcuch schwytan
Nie wyrzucał mu nic — milczący brytan.

Więc go potrzymał tak, potem zmiękczony
Na wolność puścił znów antropofaga.[1]

[1] Ludożerca.

Lecz odtąd pies był dziwnie zamyślony,
I smutku wielka w nim była powaga.
Czy to dlatego, że był nakarmiony
Amerykańskim zwyczajem Osaga?[1]
I czuł dziwną czczość, zajadłszy w parowie
Poetę może — z poematem w głowie?

Nie wiem i wolę nie dochodzić wcale.
Więc do powieści. Sawa wszedł do jamy.
Słońce wschodzące przez burzanów fale
Lało się w grotę ognistymi błamy.
Barany białe leżały na skale,
Nad grotą. Obraz ten oprawić w ramy!
Za Sawą wszedł koń w jamę wyzłacaną
Słońcem i poszedł do żłobu, po siano.

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies łasił, koń rżał, gołębie gruchały,
Brylantowemi jedno źródło skrami
Padało z tętnem, leiąc się ze skały.
Idylę moję pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały?
Pies więc i grota, koń, gołębie, trzoda,
Spokojne słońce wschodzi, mruczy woda.

Sawa na siodle oparł się; dziewczyna
Siadła przy źródle i czesała włosy.
A do niej Sawa: „Oj, moja Swentyna!
Latasz po stepie, jak cygańczuk bosy,
A czerwieniejesz teraz, jak kalina.
Oj, będzie licho! Toż to moje losy!
Chciał ja się mieczem wyrąbać na panka,
A siostra wyjdzie na licho — Cyganka!"

„Na licho wyjdę, czy na spokojnicę,
A tobie to co? ty wyidź na hetmana!
Znaidź sobie jaką piękną krasawicę,
Córkę starosty, albo kasztelana,
Taj się żeń. Ja ci ubiorę w brusznice
Korowai, sama pójdę w step Bojana,
Gdzie mi śpiewają kwiaty i żórawie:
A spać nie będę na wproszonej ławie.

Mnie świat szeroki! Ja złotego gila
Przedała kiedyś Włochom Guślarycha,
Ty na kurhanie dumał Czaromyla,
Gdzie tobie dumy piała Janczarycha.

[1] Indjanin amerykański.

A mnie Włoch bił! bił! Oj! łza mi rozchyla
Palce, gdy myślę, jak ja była licha!
Jaka ja biedna była niewolnica!
A dziś co ze mnie? wiatr i gołębica!

Nie łaj mnie, ale na stepy wyprowadź,
Pocałuj, zapłacz, świśnij, taj polecę!
Gołębie moje umieją tańcować,
Na chleb zarobią, na cerkiewne świece.
Będzie mnie za co ubrać i pochować.
Albo ja martwa pójdę wpław po rzece,
A gdzieś Rusałki srebrne wezmą sobie
I pochowają w śpiewającym grobie.

Taj będzie koniec z żałosną Swentyną!
Oj! nalatała się ja po kurhanach!
Oj! nakarmiła się gorzką kaliną!
Jak jemiołuszka! Była ja przy panach!
I była między chłopami Caryną!
A wszystko smutno! Chodzę jak w kajdanach,
Ni ojca, ani matki na tym świecie!
Groszów zebrała co? taj wiatr rozmiecie!"

Sawa jak szatan zmarszczył się: „Poganko!
A co! straciłaś już twój srebrny wianek?
Przydybał ciebie ja, moja kraszanko!
Przy tobie jakiś złoty marcypanek,
Szlachcic. Co robisz ty z nim? mów, cyganko!
Co ty robiła z nim przez cały ranek?
Cóż, oszukana, ha? kwiatku kaliny,
A kiedyż prosisz na ślub i na chrzciny?"

Nie rzekła na to nic; lecz zamyślona
Wstała, cmoknęła i ptaki srebrnemi
Ubrawszy swoje wysmukłe ramiona,
Pokłoniła się bratu aż do ziemi;
I chwilę stojąc przed nim pokłoniona,
Jak brzoza listki wieiąca złotemi,
Wstała, i nogą jakiś zygzak chiński
Kreśląc na piasku, rzekła: „Słysz, Caliński!

Pomiędzy nami stoją te hramoty:
Aż przyjdzie rzeka i ten piasek zmyje,
Aż przyjdzie zjeść ten piasek piorun złoty,
Aż przyjdzie wąż skrzydlaty i wypije:
Ani mnie ujrzysz! Ani ja wiem, kto ty?
Ani ty wiedzieć będziesz, gdzie ja żyję?
Łzami kupiła ja ten świat podniebny,
I komu zechcę dam pierścionek srebrny."

Tu Sawa wściekły wrzasnął: „Ty wyrodna!
Z pierwszym szlachcicem cyganisz na jarze!“
Na to jak róża, która nie jest do dna
Białą, lecz w liści kryształowej czarze
Kryje rumieniec, a kiedy swobodna,
Słońcu odemknie łono i pokaże
Swój rubinowy wstyd i tę konieczną
Białego kwiatu rumianość serdeczną,

Podobnie wtenczas się zarumieniła,
I ręką bijąc powietrze przed sobą:
„Nie! nie! ja nigdy!“ Białą twarz zakryła,
„Pierwszy raz jestem spłoniona przed tobą;
Teraz się będę zawsze czerwieniła
Przed każdem okiem, przed każdą osobą.
Bogdajbyś ty tak, gdy się będziesz żenił,
Pierwszy raz twoją miłą zaczerwienił!

Gdy dawniej, w rękach i na linie Włocha
Giętam się jak wąż, cóż robiły pany,
Aby mię słowem zczerwienić choć trocha!
A byłam jako kwiatek ołowiany.
Nie czerwieni się serce, aż zakocha;
Nie zawsze blady jest, kto nie kochany.
Bądź zdrów, nie będę nadaremnie szlochać,
Jeśli, jak mówisz, kocham? — lecę kochać!

A gdy się dowiesz, że w kurhanie leżę,
O! przyjdź na kurhan mój z psem i sokołem!
Połóż się chwilę na darniny świeże;
Niech sokół czarnem krzyż obleci kołem.
Ja także jestem jak polscy rycerze,
A ksiądz mię posłem nazywa, aniołem;
Ja listy noszę, ja zapalam słupy,
Ja zbieram, grzebię i obmywam trupy.

A któż przypomni o mnie, kiedy zginę?
Jeśli ty mówisz, że miłość tak trudno
Zyskać, kto w grobie położy Swentynę?
Kto różę na nim posadzi odludną?
Kto złoży na krzyż moje ręce sine?
O! jak tam w grobie niekochanym nudno
Snać na kamieniu!“ tak mówiła śpiewna
Ta czarodziejska, stepowa królewna.

Sawie zabrakło na odpowiedź czasu,
Wybiegł nad stepy, nad swój dom gliniany;
A za nim Nimfa mojego Parnasu,
Jako duch ze mgły na słońcu różany.

Stanęli. Burzan podobny do lasu
Purpurowymi podpływał bałwany,
By morze blaskiem piorunów rozbite.
W burzanie wojska brzęczały ukryte.

Czasem chorągiew wybiegła nad morze,
Jak maszt łaciński u rybackiej łodzi;
Czasem ujrzałeś, że koń piersią porze
Trawy i z trawy jak delfin wychodzi.
Lecz cały na wiatr wyskoczyć nie może,
Jak posąg, co się u snycerza rodzi,
I cały w głazie osadzony zadem
Po piersi koniem jest, a po pas gadem.

I tak się wojsko przez burzany pruło,
Jak prąd ogromny sumów lub łososi;
I tak się jako wąż żelazny snuło,
Co czasem ogon, czasem łeb podnosi.
Ale się pieśni narzędzie popsuło!
O wypoczynek moja Muza prosi;
Ambrozji słodkiej już zabrakło w krużu,
A więc żegnajcie! na stepowem wzgórzu

Moje posągi dwa od słońca złote!
Me szyki w trawach tonące i ziołach!
Tu Malczeskiego trzeba mieć tęsknotę,
Tęsknotę, co jest w ludziach pół aniołach;
Tu trzeba śpiewać, a ja baśni plotę,
Bo kiedy grzebię w ojczyzny popiołach,
A potem ręce znów na harfie kładnę:
Wstają mi z grobu mary — takie ładne!

Takie przejrzyste, świeże, żywe, młode,
Że po nich płakać nie umiałbym szczerze;
Lecz z nimi taniec po dolinach wiodę,
A każda, co chce, z mego serca bierze:
Sonet, tragedję, legendę, lub odę,
To wszystko, co mam, co kocham, w co wierzę.
W co wierzę... Tu mię spytasz, czytelniku:
W co?... Jeśli powiem... będzie wiele krzyku.

A naprzód ten rym, co drwi lub przeklina,
Ma polityczne c r e d o; jest to sfera
Dantejska. Wierzę sercem poganina
W rym szekspirowski, w Danta i w Homera.
Wierzę w respublik jedynaka syna...
Mochnacki nim był u nas, ten kostera!
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez dyktatora dał się ukrzyżować.

Wierzę, że powstał w człowieczej postaci,
I szedł na wielki sąd, co kraj rozwidni;
Po drodze wstąpił do arystokracji,
I w tem bez ognia piekle bawił trzy dni;
Potem w książeczce sądził swoich braci,
Tych, co są prawi, i tych, co bezwstydni.
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych:
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych.

I w obcowanie ich ducha z narodem!
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym,
I w zmartwychwstanie Sejmu, pod Herodem
Obieranego, co jest bardzo śmiesznym
Ciałem i będzie najlepszym dowodem
Ciał zmartwychwstania, fenomenem wskrzesznym!
Na końcu dodam, o przyszłość bezpieczny,
Że w tego Sejmu wierzę żywot wieczny,

Amen... To amen krztusi mię i dławi
Jak Makbetowe amen... Jednak wierzę,
Że ludy płyną jak łańcuch żórawi
W postęp, że z kości rodzą się rycerze;
Że nie śpi tyran, gdy łoże okrwawi,
I zgniazd najmłodsze orlęta wybierze;
I ogień z nim śpi i węże i trwoga...
Wierzę w to wszystko... ha!... a jeszcze w Boga.

Boże! kto Ciebie nie czuł w Ukrainy
Błękitnych polach, gdzie tak smutno duszy,
Kiedy przeleci przez wszystkie równiny
Z hymnem wiatrzanym, gdy skrzydłami ruszy
Proch zakrwawionej przez Tatarów gliny!
W popiołach złote słońce zawieruszy,
Zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma,
Jak czarną tarczę z krwawymi oczyma!

Kto Cie nie widział nigdy, wielki Boże!
Na wielkim stepie, przy słońcu nieżywem,
Gdy wszystkich krzyżów mogilne podnoże
Wydaje sie krwią i płomieniem krzywym...
A gdzieś daleko grzmi burzanów morze:
Mogiły głosem wołają straszliwym;
Szarańcza tęcze kirowe rozwinie,
Girlanda mogił gdzieś idzie, i ginie —

Kto Ciebie nie czuł w natury przestrachu
Na wielkim stepie albo na Golgocie;
Ani śród kolumn, które zamiast dachu
Mają nad sobą miesiąc i gwiazd krocie,

Ani też w uczuć młodości zapachu
Uczuł, że jesteś — ani rwąc stokrocie,
Znalazł w stokrociach i niezapominajkach
A szuka w modłach i w dobrych uczynkach —

Znajdzie... ja sądzę, że znajdzie... i życzę
Ludziom małego serca kornej wiary,
Spokojnej śmierci... Jehowy oblicze
Błyskawicowe jest ogromnej miary!
Gdy warstwy ziemi otwartej przeliczę
I widzę kości, co jako sztandary
Wojsk zatraconych, pod górnymi grzbiety
Leżą... i świadczą o Bogu... szkielety;

Widzę, że nie jest On tylko robaków
Bogiem, i tego stworzenia, co pełza.
On lubi huczny lot olbrzymich ptaków,
A rozhukanych koni On nie kiełza...
On piórem z ognia jest dumnych szyszaków...
Wielki czyn często go ubłaga, nie łza
Próżna, stracona przed kościoła progiem,
Przed Nim upadam na twarz — On jest Bogiem!

Gdzież więc ten człowiek, który jest zwiastunem
Pokory? co się Bogiem ze mną mierzył?
Ja go chcę jeszcze — w głowę tnę piorunem,
Tak jakem wczoraj go w piersi uderzył,
Czy widzieliście? i on ma piołunem
Zaprawne usta... Lud, co w niego wierzył,
Radość udaje, ale głowy zwiesił,
Bo wie, żem skinął Ja — i wieszcza wskrzesił.

Jam zwolna serca mego rwał kawały.
Zamieniał w piorun i w twarz jemu ciskał;
A wszystkie tak grzmią jeszcze jako skały,
Jakbym ja w niebie na sztuki rozpryskał
Boga, a teraz kawałki spadały —
Jam zbił, lecz cóżem dziś u ludzi zyskał?
Za błękitami był bój i zwycięstwo —
Ludzie nie widzą we mnie... tylko męstwo.

Zaprawdę!... Gdybyś mię widział, Narodzie,
Jak ja samotny byłem i ponury,
Wiedząc, że jeśli mój grom nie przebodzie,
Litwin z Litwinem mię chwycą w pazury.
Już przypomniawszy gniazdo me na wschodzie,
Wołałem ręką krzemienieckiej góry,
Ażeby weszła rozpędzić tę ciemną
Zgrają... i stanąć za mną... lub podemną.

Bo się kruszyło we mnie serce smętne,
Że ja nikogo nie mam ze szlachetnych;
I próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych,
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne —
Ja, co mam także kraj łąk pełen kwietnych:
Ojczyznę, która krwią i mlekiem płynna,
A która także mię kochać powinna!

Jeśli wy bez serc! Wy! — To moje serce
Za was czuć będzie, przebaczać bez miary.
Ikwo! Płyń przez łąk zielonych kobierce!
Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, żem wielki, że w sławę płyniemy —
Lecz rzekł: „Niech idzie tam, gdzie my idziemy".

Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie?
Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
Lub w Słowiańszczyźnie bez echa toniecie,
Lub na koronę potrójną Papieża —
Piorunem myśli podniesione śmiecie —
Gnacie. — Znam wasze porty i wybrzeża!
Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną —
Pójdę gdzieindziej !... i lud pójdzie za mną!

Gdy zechce kochać, ja mu dam łabędzie
Głosy, ażeby miłość swoję śpiewał.
Kiedy kląć zechce... przezemnie kląć będzie;
Gdy zechce płonąć... ja będę rozgrzewał,
Ja go powiodę, gdzie Bóg... w bezmiar... wszędzie.
W me imię będzie krew i łzy wylewał.
Moja chorągiew go nigdy nie zdradzi,
W dzień jako słońce, w noc jak żar prowadzi.

Ha! ha! odkryłeś mi się, mój rycerzu?
Więc teraz z mieczem pod ciebie przypadam!
Naprzód ci słońce pokażę w puklerzu,
Przed słońcem ciebie z trwogi wyspowiadam,
Fałsz ci pokażę w ostatnim pacierzu,
I pokazanym fałszem śmierć ci zadam,
Patrząc na twoje twarz zieloną w nocy,
Jak księżyc. — Słońca wyrzekłeś się mocy?

Jam ci powiedział, że jak bóg litewski
Z ciemnego sosen wstałeś uroczyska;
A w ręku twem krzyż, jak miesiąc niebieski,
A w ustach słowo, co jak piorun błyska.

Tak mówiąc... ja syn pieśni! syn królewski!
Padłem. — A tyś już następował zbliska!
I nogą twoją jak na trupie stawał?
Wstałem... Jam tylko strach i śmierć udawał!

Znajdziesz mię zawsze przed twojem obliczem,
Nie powalonym, hardym i straszliwym...
Nie jestem tobą... ty nie jesteś Zniczem.
Lecz choćbyś bogiem był... ja jestem żywym!
Gotów wężowym bałwan smagać biczem,
Dopóki świat ten pędzisz biegiem krzywym.
Kocham Lud więcej niż umarłych kości...
Kocham, lecz jestem bez łez, bez litości.

Dla zwyciężonych... Taka moja zbroja,
I takie moich myśli czarnoksięstwo;
Choć mi się oprzesz dzisiaj? — przyszłość moja!
I moje będzie za grobem zwycięstwo!...
Legnie przedemną twych poetów Troja,
Twe Hektorowe jej nie zbawi męstwo.
Bóg mi obronę przyszłości poruczył:
Zabiję — trupa twego będę włóczył!

A sąd zostawię wiekom... Bądź zdrów, wieszczu!
Tobą się kończy ta pieśń, dawny boże!
Obmyłem twój laur w słów ognistych deszczu,
I pokazałem, że na twojej korze
Pęknięcie serca znać... a w liści dreszczu
Widać, że ci coś próchno duszy porze...
Bądź zdrów! — A tak się żegnają — nie wrogi,
Lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — bogi.

Koniec Pięciu Pieśni, wydrukowanych po raz pierwszy w r. 1841.

PIEŚNI BENIOWSKIEGO

WYDANE PO ŚMIERCI POETY[1].

PIEŚŃ V a.

(PIERWSZA REDAKCJA).

Przybył więc Sawie gdzieś z ponad limanów
Kureń kozacki... i wnet się przed grotą
Rozłożył, sotkę zawiesił saganów,
Ogień zapalił piramidą złotą.
Tysiąc spis, tysiąc szabel i majdanów
Łyska na słońcu — lecz jakąś tęsknotą
Zafarbowane niebiosa nad niemi,
I także jakaś tęsknota na ziemi.

Lirnicy siedli na wyższym kamieniu,
Bajda i Znachor — lecz nie dzwonią w liry;
Konie się włóczą i szukają cieniu,
Wysokich orłów dolatują skwiry...
Swentyna stoi przy jednym płomieniu,
Rzęsami oczu nakryła szafiry —
Duma, jak kwiaty wpół zwiędłe, jesienne;
Na jej ramionach dwa gołębie sénne.

Wszystko ponure; choć bliska wyprawa,
Choć pójdą bić się — wszyscy zadumani.
Na krzywej szabli oparty, pan Sawa
Rozmawia cicho, ważnie ze starcami.
„Gdzież nas powiedziesz? — mruczą. — To rzecz krwawa
Bić się z naszemi braćmi rzezuniami...
Co za nagroda? Co za przyszłość nasza?
Wiśniowieckiego pomnij Jeremiasza!

---

[1] Podając tu kilka wyjątków dalszego ciągu epopei, opieramy się na numeracji układzie i tekście z wyd. Kleinera w B. N.

„Oj, ta mogiła kiedyś się otworzy,
Gdzie zasnął stary kat — i miecz wykinie:
Na naszych głowach się ten miecz położy
I naszą znowu krwią gorącą spłynie.
Gdy wychodziły pułki, to na zorzy
Cztery świeciły słońca w Ukrainie
Pozadnieprzańskiej. — Wojna będzie krwawa,
A tobie w głowie co? Grób — czy buława?

„Jeśli mogiła — to dobrze! Pójdziemy,
Z janczarek hukniem Lachom i z moździerzy;
My chcemy ginąć z tobą — i bić chcemy;
Każdemu serce w pałaszu uderzy;
Mieczami tobie kurhan wykopiemy,
Jeśli chcesz spać, jak wódz, co we krwi leży...
Lecz może lepiej krwawej czekać doby,
A tobie przyjdzie kłaść...: na ziemi groby.

„Z mohiły na mohiłu — taj zalecisz
Aż na hetmaństwo! — Ej, podumaj, Sawa!
Komu ty szablą pod okiem zaświecisz,
Ten na trybunał nie pójdzie do prawa;
Rozkaż — a pożar ty taki zaniecisz,
Że go zobaczy z okien aż Warszawa!
Stepowy ty król!" Tutaj na kolano
Klęknął — i, z ognia dobywszy polano,

Podał je Sawie, gdy z płonącej głowni
Szły skry — i mruknął: „Weź, niech Lachy giną!" —
Słysząc, jak byli kozacy wymowni,
Sawa ze smutną pogadał Swentyną;
Ta szła do groty zaraz — i z lodowni,
Kędy Calińskich było stare wino,
Dawny zabytek szlacheckiego mienia,
Dostała spoić czem głowę kurenia,

To jest: poetów i starszyznę. Potem
Poszła osiodłać rumaka Sawynie:
Grzywę mu białą przeplatała złotem,
Oraz kwiatkami, co na eglantynie [1]
Kwitną. — Pod żadnym Araba namiotem
Żaden koń taką lotnością nie słynie,
Jak ów koń srebrny Sawy, koń jedyny,
Zmyślny, jak człowiek, drugi brat Swentyny.

Z grzywy mu polne róże, pełne rosy,
Spadają — parska, jak płomień, czerwono —

[1] Dzika róża (z franc.).

Zna różne dźwięki i rozumi głosy — z
Wie, kiedy głowę spuścić zamyśloną.
Teraz wargami wziął Swentyny włosy
I niby gryzie, lecz gryzienie ono
W kolory usta ubrało dziewicze...
I przeszedł przez nią dreszcz... Są tajemnicze

Błyski, szmery krwi, nieznane szelesty
W głębi dziewiczych ciał — i te się budzą,
Bóg wie jak; są to anielskie incesty
Dusz bratnich... Ale rymy znów marudzą
I znów się ze strof tych robią Oresty
Szalone, z włosem rozczochranym, z cudzą
Krwią na obliczu... Znów jestem gotowy...
Lecz wróćmy lepiej nad kureń stepowy!

Potem na konia wskoczył Sawa rzeźko,
Rycerskie bardzo zamyślając czyny...
A był pod nieba otchłanią niebieską,
Jako archanioł Michał, Ukrainy
Patron. — Choć młody, z powagą królewską
Przemówił do tej kozackiej starszyny
Tak dobrze, że miał echo w setnych głosach
I widział w szablach step — jak w złotych kłosach..

O matko Polsko! Jak dawno nie grzmiało
Na twoich stepach takie dzikie hasło!
Jak dawno ludziom na stepie nie dniało
Krwawo — i słońce na szablach nie gasło!
Co dnia się mijasz z twoją dawną chwałą,
Zło się na twoich obszarach rozpasło;
Zaledwo chłopek dawną wiarę chowa
I serce... A ty się już rodzisz nowa,

W żłobku serc naszych biednych położona
Na zwiędłym kwiecie marzeń i popiołów...
Matki my biedne, bo z naszego łona
Płynie ci ogień, roztopiony ołów,
A ty tak jesteś karmi upragniona,
Że ci za matki my i za aniołów
I za obrońców, za dom — i za szańce
Musimy dziś być..., my — sami wygnańce!...[1]
. . . . . .
. . . . . .

„Lecz późno... Czego ja czekam i stoję?
Jedź pan!... Zobaczę, jak przepłyniesz fale".

[1] Tu przerwa w autografie.

— Maurycy westchnął i rzekł: — „Oczy twoje
Zrobiły mnie tu posągiem na skale,
Dziecino moja piękna, bo się boję,
Że ciebie wezmą gdzie w stepach Moskale.
Oczy twe patrzą na mnie, jak bławatki;
Chcesz — odprowadzę-ć do ojca i matki".

— Skinęła głową, spuściła źrenice,
A potem na Boh pokazała dłonią;
Potem wiatr uniósł ją, jak tanecznicę,
Na skały, co nad Bohu stały tonią —
Potem wrzasnęła... i dwie gołębice,
Jak dwa anioły, niespokojne o nią,
W błękitnym niebie zjawiły się, spadły,
I na ramionach odkrytych usiadły.

Tak, białe ptaki niosąc na ramieniu,
Przelatywała ze skały na skałę,
Czasami w słońcu, czasem cała w cieniu.
A kiedy nóżki ją uniosły białe,
Nad wodą rycerz został w zamyśleniu
I serce w sobie wtenczas uczuł małe.
Zdjęła go czułość wielka — pół niebieska,
Jak Danta, gdy go porzuca Franczeska.

Widział, że go ta porzuciła ładność,
A świat zostawał przed nim z tęcz odkryty.
Dalej co? Cała żywota szkaradność,
Realne życie, Gule i Afryty,[1]
Ludzka obłuda, pół-uczucia żadność,
Bez wiary z czarnej pochwy miecz dobyty,
Grób bez posągu, teraźniejsza bieda,
Która się za lat sto poezją wyda.

O, ileż razy mamy takie czucie
Poetyczności przyszłej! O, jak cudna
Ta błyskawica, co nas w jednym rzucie
Przenosi za grób — ale jak obłudna!
Trzebaż, ażeby przeszło ciał zepsucie
I kości ziemia rozebrała brudna —
Aż z duszy, z życia i z wypadków ciągu
Uderzy białe światło, jak z posągu?

W tym wietrze rannym, co we włosy wieje,
W tym słońcu złotym, co ci oczy razi,
W tej wodzie Bohu, co się wiecznie leje,
W tym niebie, które żaden dym nie kazi,

[1] Por. *Giaura* w tłumaczeniu Mickiewicza w w. 760 i nast.

W tej róży polnej, co się na świat śmieje —
Jest ziarno nudy, co się przeobrazi
W ziarno tęsknoty, gdy myśl zwiędnie młoda,
Jak róża — i upłynie, jak ta woda.

Myśl się w ten błękit nieskończony wgryza,
W tę ozłoconą ziemię się zacieka,
Jakby w niej spała uczuć Heloiza,
Która na trupa kochanego czeka
Na łożu z jasnej róży i narcyza...
Idź spać; gdy z trumny jej podniosą wieka,
Otworzy ręce ta grobu odźwierna,
Spokojna, chłodna, zmarła — ale wierna.

Któż niema w ziemi miejsca w jakiej trumnie?
Chyba przeklęty, lub nadto wysoki,
Podobny smutnej na polu kolumnie,
Co tylko głową gwiazdy i obłoki
Kochała, zawsze wyglądając dumnie,
Chociaż jej siostry upadły w potoki
Cefizu, i tam leżą w modrej fali...
Lecz kto tak dumnie żył, czemuż się żali?

Kto, mogąc wybrać, wybrał zamiast domu
Gniazdo na skałach orła — niechaj umie
Spać, gdy źrenice czerwone od gromu
I słychać jęk szatanów w sosen szumie...
Tak żyłem. Teraz widzę, pełen sromu,
Że mam łez pełne oczy — lecz je tłumię
I nie chcę wyznać, że mi przed mogiłą
Z aniołem śmierci żyć — tak straszno było...

Lecz to już przeszło; widma poznikały.
Do ciebie, Matko moja, twarz obrócę;
Do ciebie znowu, tak, jak anioł biały,
Z obłędnych krajów położyć się wrócę;
U twoich biednych stóp, bez szczęścia, chwały,
Lecz bez łzy próżnej. Obojętnie rzucę
Resztę nadziei, zwiedzionych przez losy,
Jak liść, co we śnie mi upadł na włosy...

Odbiegłem ciebie w szaleństwa godzinie —
Lecz ileż razy z fal i mórz i burzy
Patrzałem na twój cichy dom w dolinie,
Jak człowiek, który, myśląc, oczy mruży —
Myśląc, że myślisz o mnie, o tym synie,
Który nieszczęścia bogu wiernie służy,
Lecz bez nadziei, łzami twemi żywy,
Jak Chrystusowe w ogrojcu oliwy.

Z błogosławieństwa twego miałem blaski,
Gwiazdom podobne i cień w puszczach Gazy....
Nieraz ćwiek rdzawy u podróżnej laski
Rył imię twoje tam, gdzie same głazy
I słychać tylko fal libijskich wrzaski,
Eschylowskiemi budzone wyrazy.
Echa słyszały twoje święte imie
I słyszał je ten laurów las, co drzemie.

Ponad potokiem Elektry tyś była
Ze mną! Na każdym miejscu, gdzie z przeszłości
Dolata płaczu głos, — o moja miła —
Wszędzie, gdzie w polach się bieleją kości
I woła głosem rycerskim mogiła
O zemstę — wszędzie, gdzie człowiek zazdrości
Umarłym i chęć śmierci duszą pije —
Tyś była ze mną; — jam cię czuł — i żyję.

W Romie podobny głos twemu głosowi
Słyszałem — anioł życia zadrżał we mnie!
Aniołowie mi Ciebie nadpalmowi
Pokazywali świecącą przyjemnie
W gwiazdach, tam gdzie był żłóbek Chrystusowi —
I anioł życia smętny wyszedł ze mnie,
Chcąc ręką dotknąć o twe serce krwawe
I ból twój stłumić pozdrowieniem: „Ave!“

Wszędzie miłosne twoje oddychanie
Liczyło mi czas, co upływał w ciszy;
W tych strofach jeszcze kiedy rym ustanie —
Niechaj czytelnik na końcu usłyszy
Moje twych biednych stóp pocałowanie,
Bo łez nie słyszał . . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

PIEŚŃ VI a.
(PIERWSZA REDAKCJA).

FRAGMENT HISTORJI WERNYHORY.

I.

Liro żebracka! Słyszałem i słyszę
Twój głos, przez lasy lecący brzozowe,
I robię w moich myślach dziwną ciszę,
Aby cię słyszeć... Ty miałaś perłowe

I wydeptane palcami klawisze,
Po których pieśni chodziły stepowe,
I w twoje łono, pochylając czoła,
Szły smętne, jak do starego kościoła.

Nie palce ciebie, liro, wydeptały,
Ale te pieśni, ciężką nogą ducha,
Który wywraca potem zamki, skały,
I naród gotów oderwać z łańcucha;
Taki jest silny i taki wspaniały,
Gdy się obudzi z grobu i wybucha!
On stare czasy żebrakowi szeptał,
Żył z nim i srebrne klawisze wydeptał.

Rozłamać nie mógł liry starzec siwy
I rzekł: „Oj, bat'ku pane — (tak nazywał
Suchodolskiego) — wielkie będą dziwy:
Kto inny będzie na tej lirze grywał...
Kto inny będzie u tej szarej śliwy
Grał tobie pieśni złote... i używał
Twojej przyjaźni. Ja już idu spaty,
Kto inny tobi bude, pane, hraty...

Koń suchą nogą zatętni po Rosi,
Zarży — a lira w trumnie mu odpowie;
Stamtąd koń..." Widząc, że proroctwo głosi,
Pan Suchodolski oczy wylśnił sowie —
Lecz starzec zamilkł... i ta śmierć, co kosi,
Ścięła go — ale zjeżone na głowie
Włosy — powieki, które się otwarły,
Świadczą, że na coś się patrzał, umarły.

Nazajutrz piątek był; szare kolumny
Żebractwa snuły się po zwykłe grosze —
W dziedzińcu starca włożono do trumny,
Trumnę na czarne postawiono nosze.
Pan Suchodolski sam, choć starzec dumny,
Czarny wdział żupan i czarną wołoszę...
Wyszedł pogrzebów smętny regimentarz,
Djak — cały pogrzeb stepem wiódł na cmentarz.

W stepie jęczały głosy, niezbyt śpiewne
A jednak piękne harmonją płaczliwą;
Jasną girlandą chorągwie cerkiewne
Szły, burcząc z wiatrem — świece nieśli krzywo
Chłopięta... Nieraz widziałem te rzewne
Pogrzeby, stepem idące i niwą...
Dawno już świata ogłuszony zgrają,
A jeszcze teraz słyszę, jak śpiewają...

O, Hamletowe życie! — Raz przez kładkę,
Pod którą wrzała czarna Alpów woda,
Widziałem taką żałobną gromadkę.
Szli — a pod niemi most, rzucona kłoda,
Drżała... Słyszałem cmentarza sąsiadkę,
Kaskadę, księdza głos głuszącą... Szkoda
Pacierzy, skalnej porzuconych ścianie,
I na szalonych kaskad urąganie!

Myślałem sobie, że ten człowiek młody
Ten most, co wiedzie smutek z łąk na łąki,
Wyrwał z korzenia i rzucił przez wody,
Ścigając dzikie po górach jelonki,
Lub do dziewczyny trzód pędzając trzody
I dzwoniąc miłą piosnkę, jak skowronki.
Wtenczas mu drżała pod stopami, giętka —
Teraz pod trupem drży... Brała mnie chętka

Apostrofować ją, jak prorok stary
Zebrane kości umarłych na polu...
Ale powróćmy na stepowe jary,
Błękitne od bławatów i kąkolu.
Stał na cmentarzu pogrzeb, a sztandary
Stały tak dumnie, jak na Kapitolu,
W małe mogiłki żebrackie wetknione,
Błękitne, białe, żółte i zielone,

Na kijach czarnych rozpięte — a gałki
Błyszczały w słońcu. Cmentarz stał przy Rosi:
Rzekłbyś, że wodą pluskały rusałki,
Tak w takt opada, tak się w takt podnosi
I na czerwony brzeg swe srebrne wałki
Kładzie i groby brylantami rosi.
Za Rosią był las z brzozowego drzewa,
Który, gdy szumi — zdaje się, że śpiewa.

Lirnika jeszcze raz w trumnie odkryto:
Spał... lecz otwarte oczy na blask trzyma.
Jak z porcelaną na polu rozbitą,
Słońce igrało z matwemi oczyma.
Obejrzało go — i w trumnie zabito
Z lirą... Niech w grobie śnieg i mróz wytrzyma!
Niech także trzyma dawnej pieśni stroje,
Aż ze śpiewakiem spróchnieją oboje!

Pierwsze już garście w dół rzucali djaki,
Gdy z lasu człowiek wyleciał nieznany:
Koń pod nim biały, jak śnieg, bez kulbaki,
Bez uzdy; dziwnie w oczach obłąkany,

Przeleciał rzekę — ale lot miał taki,
Że się — jak mówi lud — nie tykał piany,
I tylko pod nim wody srebrne biły...
Przybiegł i jeźdźca zrzucił u mogiły.

Zrzucił — i znowu w las poleciał rumak;
Zniknął — a dziś się lud w powieści dzieli:
Ci mówią, że koń — a drudzy, że sumak —
A inni, którzy tętna nie słyszeli,
Że koń-duch. — O tem każdy dziś wie czumak,
Że Wernyhorę ten koń w światłej bieli
Przyniósł, zostawił — lecz ma z nim przymierze,
Że znów przed śmiercią przyjdzie i zabierze.

Na grobie usiadł Wernyhora. Pana
Znać na nim było: buty srebrem szyte,
Srebrne guziki błyszczą u żupana,
Złoty pas — czoło na wiatry odkryte.
Siadł i rzekł: — „Ludzie! Wy lirę Bojana
Schowali w grobie! Liry rozmaite
Brzęczą po świecie tam, gdzie żal doskwiera —
Lecz niema drugiej liry, jak ta lira...

Przyjechał ja tu po lirę Zaboja
Na białym koniu, hej — i nie odjadę.
Oj, spisz ty w grobie, liro, córko moja —
To ja się także w dół przy tobie kładę.
Albo ty zabrzęcz tak, jak stara zbroja,
Albo ty jęknij; ja dam tobie radę —
Wyciągnę z grobu...“ Wstał i spojrzał dumnie:
Lira zaczęła grać pod piaskiem, w trumnie,

Na jakąś starą nutę, niesłyszaną,
Odezwała się w grobie, jak anioły.
Gdy ją wyjęto i z trumny dostano,
Brzeczała jeszcze w ręku nakształt pszczoły.
Potem głos ustał, a te, rozpłakaną,
Na łańcuch surny[1] uwiesił wesoły
Pan Wernyhora. — I wnet gadek mnóstwo
Po kraju szare rozniosło ubóstwo:

Mówiono, że król dum jest pochowany,
A jego wielki syn w Korsuniu siedzi —
Że wkoło grają nocami kurhany —
Co wszystko ucho stroiło gawiedzi

[1] Fujarka.

Do większych cudów; lot był raz nadany.
Do Korsiunia się zjeżdżali sąsiedzi
Z wielką pociechą dla bab i karczmarzy —
Każdy poetę poznał zaraz — z twarzy.

Milczący bowiem był pan Wernyhora;
Pił tak, jak drudzy — jadł — i do księżyca
Nie wzdychał, ani chodził tak, jak zmora,
Owszem, był często wesołego lica,
Aż się zbliżyła rzeź, owa potwora
W skrwawionym płaszczu, z krążkiem półksiężyca
Na głowie — w wichrze, sinym od miesiąca,
Zakrwawionemi nożami kręcąca...

Nie jest to wcale figuryczność mowy,
Która mi tego ducha nastręczyła.
Przed rzezią zjawił się upiór stepowy,
Jakaś kobieta, która się krwawiła,
Idąc — a często szła wcale bez głowy,
A głowa przed nią, jak wężowa bryła —
Szła, świszcząc — oczy mające z krwawnika,
A dziwnie biały nóż zamiast języka...

I raz — jak mówią — krwawa upiorzyca
O samej przyszła północy... z hukami,
W których i piorun był i nawałnica,
I przed Korsunia stanęła wrotami.
W zamku płonęła jedna tylko świeca
U Wernyhory. Wiedzą tylko sami
Szatani, którzy bańkę ze krwi wydmą,
A potem puszcza na świat krwawe widmo,

Szatani, mówię, tylko wiedzą o tej
Nocnej rozmowie wieszcza oraz ducha.
Powietrze było błyskawicy złotej
Podobne; słychać było szczęk łańcucha —
Potem tętnienie konia śród ciemnoty —
Potem głos liry — potem cisza głucha,
I przez ściemniałe niebieskie szafiry
Czasem głos jeszcze piorunu — lub liry...

To tylko pewna, że nazajutrz rankiem
Pan Suchodolski pana Wernyhory
Nie znalazł w domu, choć szukał z kagankiem;
Obejrzał wszystkie drzwi, wszystkie zapory,
Przeliczył konie pasące się wiankiem
W dziedzińcu, zaszedł nawet do obory;
Nie brakło nigdzie nic — i to przeraża,
Że djabeł cicho tak porwał dumkarza.

Słowem — bez śladu zniknął... Wtem mogiły
Zaczęły gadać ludowi czerwono,
I wieść wyrosła, że gdzieś koło Smiły,
Gdzie noże w leśnej kaplicy święcono,
A te, sypiąc się z worków, szeleściły,
Jak węże, nim swój cały jad wyzioną —
A księżyc patrzał się przez dach rozbity
Na trumny — świece — popy — i kobiety —

Mówią — że, w owej kaplicy zjawiony,
Pan Wernyhora zaczął kląć rzezunie,
A potem gniewny, jak Lear szalony,
Na ołowianej podskoczywszy trunie,
Słysząc wokoło przekleństwa i dzwony
I klątwy — starzec o jednym piorunie
(Bo śpiewak jeden piorun ma zamknięty
W lirze) — tam rzucił lirę, gdzie był klęty.

Nagle usłyszał szmer okropny gniewu:
„Mat' swoju zabyw bat'ko Wernyhora!..."
Zrazu nie pojął okropności czynu
I stał, na licu blady, gdyby zmora,
Wtem głos kobiecy: „Zabyw mene, synu" —
Krzyknął — krzyk był matki... O, nieskora
Pamięci! Ten głos, na tej samej wardze:
Śpiewak go w klątwie nie poznał — a w skardze

Zna dobrze!... Jakby anioł go zatrwożył,
Stał nieruchomy i spozierał słupem —
Wtem lud się szary na dwoje roztworzył
I zrobił drogę między nim a trupem;
Lud ją na workach skrwawioną położył,
A kruki, świeżym przywabione łupem,
Stukały w szyby... Krew się w żyłach ścina!
Gromnice gasną — pop klnie — las odklina...

. . . . . .
. . . . . .

(Ciąg dalszy zawierał historję Gruszczyńskiego i jego rodziny).

PIEŚŃ VII.[1]

Cieszmy się w Bogu, i niech ta pociecha
Poematowi mojemu odbierze
Te smutku wiecznie wtórujące echa,
Gdy o przeszłości grzmi harfa. Grabieże,

[1] Brak kilku zwrotek z początku.

Mordy, rzeź, krwawa gruszczyniecka strzecha —
To wszystko są sny... Korsuńscy rycerze
Także nie więcej mają życia w sobie,
Jak ognik z trupów, tańczący na grobie.

A jednak dziwna jest piękność w oddali
I w perspektywie poetycznej. — Sawy
Kozacy szli po moście i błyskali,
Bo zachód słońca właśnie świecił krwawy;
Lirnicy w liry swoje dziko grali —
W Korsuniu pełno zgiełku, gwaru, wrzawy:
Dziedziniec pełny żydów i cyganów,
Szlachty, kozaków, żebractwa i panów.

Pod śliwą właśnie stoi prosta ława,
Na niej Potocki regimentarz siedzi,
Jak sułtan, z wielkim bursztynem. Pan Sawa
Zdjął kołpak, stanął, jak wykuty z miedzi;
Twarz jego smutna i od słońca krwawa;
Chciał mówić... z własnym językiem się biedzi,
Spojrzał wokoło... o, Boże litości! —
Gruszczyński siedzi stary pośród gości...

Na jego twarzy spokojność wesoła:
Zapewne nie wie nic o własnym domu —
Pewno wyjechał przed porankiem z sioła.
Żeleźniak z wieścią nie dał ujść nikomu...
Nad spokojnością srebrzystego czoła
Zdała się wisieć chmura, pełna gromu.
Sawie się zdało, że trupa zobaczył:
Odszedł — białego konia rozkulbaczył —

Łzy strąca z oczu i klnie. — A tymczasem
Potocki wielką gotuje wyprawę
Na hajdamaków, co pod bliskim lasem
Obozy swoje rozłożyli krwawe;
Z ranną mgłą myśli napaść i z hałasem,
Jak wrony, kiedy, lecąc, czynią wrzawę.
Ledwo na zamek spadły mgły wieczora,
Zaczął czarować kule Wernyhora.

Zamek zabłysnął we środku czerwono
Od wielkich ogni, gdzie lano ołowie;
Skry, ognia nimfy, ognistą koroną
Wirzą się, wieżom siadają na głowie —
Płynących się chmur oczerwienia łono; —
Czasami gwiazdy, jako aniołowie,
Przez czerwień chmury spojrzą srebrną twarzą —
Czasami skrzydło, albo miecz pokażą.

Starzec trze lirę krwawą i wybucha
Z strun nieruszonych jakaś pieśń złowroga,
Tajemniczego pełna w sobie ducha,
Zakrwawionego pełna w sobie Boga...
Szlachta, na szablach swych oparta, słucha,
Kozactwo czasem odwrzaśnie, aż trwoga
Pada na pany, co przy stole siedzą
I smaczno chłodnik zabielany jedzą,

Jak Leonidas, co czarną polewkę
Jadł w Termopilach. To mi porównanie
Przerwało nagle moją dziką śpiewkę,
I żmudne ludzkiej gliny pozłacanie;
Żupan tych ludzi musiał mieć podszewkę,
Albowiem złoto było na żupanie —
A jednak, widząc, co jest dziś z narodem,
Boję się, aby wiatr nie był pod spodem

Żupanów. — Ja sam pilnie się otulam,
Aby nie podjął wiatr żupanu ducha —
Dlatego, z myślą gdy najbardziej hulam,
Pod myślą są łzy... łzy — nie żadna skrucha!
Nad zabitymi ja się nie rozczulam,
Chyba, że ogień z mogił ich wybucha,
Jak te Mojżesze iskier piramidy,
Co do ojczyzny wiodły nowej — Żydy...

Z tych ciał, otrutych przezemnie, zgnilizny,
Sądzę, że taki słup płomienny wstanie
I zaprowadzi żywych do ojczyzny
Prędzej, niż prorok...[1] i wyspowiadanie
Emigracyjnych wnętrz. Są różne blizny,
Których rozcięcie i poodmykanie
Więcej dobrego zrobi — jak ja sądzę —
Niż dowiedzenie przez księży, że błądzę.

Wreszcie potrzeba czasu w różnych rzeczach.
Już jedni leżą, drudzy jeszcze klęczą
Na wulkanowych czołach i na mieczach
Przed jakąś dziwną, niewidzialną tęczą;
Co do mnie, ufam w słowiańskich narzeczach,
Że Boga w służbie wojskowej wyręczą,
I *Narodowy Dziennik* z całym dworem
Nie będzie nigdy niebios *Monitorem*,

Ani wojskową gazetą... Sam nie wiem,
Dlaczego mówię tak... lecz mam przeczucie

[1] Andrzej Towiański.

Czuję, trumnianym pachnący modrzewiem,
Naród — i wtrumnie grające zepsucie...
A jednak pod tym mogił chwastem, plewiem
Jest jakieś dziwne, ciągłe, głuche kucie,
Pod narodową słyszane mogiłą,
Jak gdyby serce ludu w kamień biło.

W północy wstają mi włosy na głowie,
I, zadziwiony, słucham — i to słyszę,
Co muszą boscy słyszeć aniołowie:
Jakąś okropność przyszłą, co kołysze
Światem... i miastom zapala na głowie
Straszne korony... Czujcie (ja wam piszę
Z ciemnego duchów świata list przestrogi)
Ludy, bo wkrótce będziecie, jak Bogi!

Co rozwiążecie wy w żelaznej dłoni,
To rozwiązanem będzie już na wieki.
A kto odejdzie od was — gdzie się schroni?
Z was będą góry, doliny i rzeki
I morza, które wiatr na słońce goni —
Z was port zatraty będzie i opieki,
Z was będą cienie, jak morza rozlane,
Z was — nad morzami słońca latarniane!

Czujcie, bo tętno już waszego chodu
W uszach wysokich ludzi grzmi wyraźnie!
Na górach z cegieł[1] i na igłach lodu[2]
Słuchałem... a duch swoję wyobraźnię
Przestroił wówczas na harfę narodu,
Me nienawiści dawne i przyjaźnie
Poddając twardej jedności; dlatego
Myśli me same się gryzą i strzegą.

Nie wy, cheruby, co miecze z łuczywa
Macie, z papieru złotego przyłbice,
Których nie Pan Bóg, lecz człowiek używa
I wami sławy wysokiej kaplice
Oszyldwachuje przed tym, co się zrywa
Jak wiatr, i w oczach niesie błyskawice —
Nie wy, brytany, wejścia mi bronicie!
Ja jestem gwiazdą życia — co o świcie,

Skąpana w krwawej jutrzence, wychodzi,
Różana — a dzień będzie wtenczas biały,
Gdy ja zagasnę. Duch w cierpieniach rodzi
I w gniewie — ale w gniewie tak wspaniały,

[1] Piramidach Egiptu. [2] Lodowcach alpejskich.

Jako Bóg chmurny, gdy piorunem godzi
W najwyższe czoła alpejskie i skały.
Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie
I śnić to, o czem śnię — niech przy mnie stanie!

Na tych wyżynach ducha jest ponura
Dla serc strzaskanych cisza; tu ja czerpię
Ogień i maczam w ogniu orle pióra;
Tu, na księżyca rumianego sierpie,
Piękności dawnych nieśmiertelna córa
Rozwidnia oczy me — a kiedy cierpię,
Przeszłości dawnej cień na szczycie skalnym
Stawia i czyni przedemną widzialnym.

Tak widzieliście próchnem wysrebrzone
Dębów umarłych wnętrza — i kaplice —
Rumaki białe w polach wystrzelone —
Kozaków — księży — szlachtę i dziewice.
Ariost by patrzał sam na te szalone
Miłostki, boje, szturmy, nawałnice,
Rycerzy przy kielichu i w podróży,
Którym za cały czar — fantazja służy.

Zaczarowanych palm tu niema wcale;
Dęby i sosny i brzozy rodzime,
Odbite w stawów podolskich kryształe,
Reprezentują mi nową Solimę.
Z krzyżami złotych miast i wież nie walę,
Dla prawdy nagiej wielką mam estymę,
Do rymu nigdy sensu nie naginam,
Nie tworzę prawie nic, lecz przypominam.

Więc, Mnemozyno, pomóż — niech przypomnę,
Gdzie mój bohater został? — Rzecz nie lada!
Człowiek, co takie podróże ogromne
Odbył, ten musi jeździć, jak balada,
Na upiorowym koniu: siodło skromne,
Dwie kości na krzyż, a tam, gdzie się siada,
Mała czaszeczka ludzka, co wyszczerza
Oczy błyszczące, jak żar, z pod rycerza.

Siodła dziś takie w modzie, oraz, z czaszek
Robione w modzie są dzisiaj puhary;
Ja sam się złowić raz dałem, jak ptaszek,
I piłem z trupiej głowy tokaj stary,
O czem tak wiele już było baraszek,
Że... Dalej, pani Muzo! Okulary
Tęczowe włóż mi na nos, niech wypatrzę
Znów bohatera mego na teatrze

Wypadków — Szekspir mówi, że to życie
Scenicznym bardzo jest podobne zmianom:
Bóg, jako wielki widz, siedzi w błękicie —
Suflerstwo dawnym zostawił kurhanom.
Mimo to jednak jest bardzo obficie
Złych dram... a pierwsze role, dane panom,
Najgorsze! — Smętną uderzeni stalą,
Bez żadnej rzymskiej gracji z nóg się walą.

I gdyby u nóg kochanek, wpatrzeni
W oczy błękitne albo w czarne oczy,
Rzucali duszę swą, pełną płomieni,
Z harfy westchnieniem... Lecz nie: czerw ich toczy!
Śmierć ich zastaje w szambelańskiej sieni
W zielonym fraku !... Czasem ich przeskoczy
W biegu tańcząca królowa szkieletów —
Takie zrobili niskie progi z grzbietów!

Ale czas krócić już i do porządku
Przywołać rymy, chodzące samopas;
Poemat mój szedł tak dobrze z początku,
Kiedy był głodny — teraz, kiedy popas,
Zdaje się, że mu znów zabrakło wątku.
Każda z tych moich strof, jak blady topaz,
Oszlifowana w różne kostki rymu...
Lecz muszę z panem Beniowskim do Krymu.

Gdzieżem zostawił go? — Tak, przy księżycu
Ujrzał rycerzy błędnych koczowisko;
Zbroja błyszczała na jednym szlachcicu —
Zbyt rzadkie na ten już wiek widowisko.
Beniowski z miłym uśmiechem na licu,
Widząc, że kuchnia była bardzo blisko,
Zsiadł z konia i rzekł: — „Czy wolno zapytać,
Kogo mam honor i przyjemność witać ?...".

Na to pancernik gruby, lecz ostrożny
Jak Litwin: — „A wać kto sam, mości panie?" —
— „Jestem Beniowski" — rzekł, patrząc na rożny,
Rycerz. — Tu drugi rozpoczął śpiewanie,
Opowiadając, że się zwie wielmożny
Borejsza, że ma wielkie zachowanie
U Radziwiłła i wieś do przeżycia
I bardzo grzmiącą, wielką sławę — z picia.

Dodał, że posłem jest, do Krymu jedzie
Zaprosić khana w całe sto tysięcy
Tatarów, wrzkomo tylko na niedźwiedzie,
Tylko na białe niedźwiedzie, nic więcej.

W tym sensie książę Karol po obiedzie,
Ręki swej własnej mordując książęcej,
Napisał list do khana w najdziwniejsze
Essy — i z listem wyprawił Borejszę.

Przydał mu także Tatara z pod Waki,
Syna jednego mołły, na tłumacza;
Są to oddawna zagnieżdżone ptaki
W Litwie: lud prosty — lecz jeszcze oracza
Pozłota wschodnia trzyma się — i znaki,
Które na twarzach rycerstwo wytłacza,
Widome dotąd, z wieśniaczego lica
Błysną, jak krzywych mieczów błyskawica.

Gdy ostrzy kosę taki Tatar stary,
To nieraz stanie i w dźwięk się zasłucha;
Sosny mu wtenczas szumią, jak sztandary,
A chmury w oczach, jakby skrzydłem ducha
Mahometańskich wojsk pędzone mary,
Idą na północ; a gdy kosa krucha,
Osełkiem tarta na puszczę zabrzęczy —
„Ałłach! il Ałłach!“ z puszcz, jak echo, jęczy.

W Tatarze wtenczas, jak w ognistym ptaku,
Palą się oczy: stepy przypomina
I słone jakieś jeziora Kipczaku,
O których tylko wieść z ojca do syna
Przeszła po mglistym i tęczowym szlaku,
Który nad głową ludu już zaczyna
Gasnąć i zorzę zdejmować różaną —
Aż w ciemnej nocy bez pamiątek wstaną...

To wtenczas próżno już śród mogił pola
Głupim poetom budzić lutnię smętną:
Zostawić lepiej ją skrzydłom Eola,
Nieprzewidziane z niej dobędzie tętno —
Lub skowronkowa ją przyszłości rola
Zaśpiewa pieśnią dziwną, nie namiętną,
I tak spokojną, jak wiośniane szmery,
I tak wysoką, jak grające sfery.

Taką pieśń dziwnej do smutku podniety
Śpiewają czarny modrzew z czarnym cisem,
Tuląc skrzydłami wygnańce meczety
I groby z dawnym Koranu napisem:
Kamienie z ziemi tak podniosły grzbiety,

Jakby wstawały na sąd przed Eblisem[1],
Wszystkie na słońce obrócone wschodnie,
O wschodzie błyszczą z trawy, jak pochodnie.

W powietrzu smutny półksiężyc blaszany
Do nieba zda się wznosić srebrne ręce,
Za grobowcami prosząc, co z pod ściany
Meczetu, jako pochodnie jarzęce,
Palą się ogniem do Pana nad pany,
O jego życiu i ranach i męce
I o tem, jako z ludzi był najkrwawszy,
Pierwszy raz głucho w ziemi usłyszawszy.

Każda tych liter nieznajomych zgłoska
Zda się w ten kamień coraz głębiej wrywać.
Jeśli to prawda, Rodzicielko Boska,
Że umiesz serca zranione odkrywać —
Ty na ten księżyc, który się tak troska
O groby swoje, musisz przylatywać
I w ogniu zorzy, jak róża Jerycho,
Na tym meczecie smętnym kwitnąć cicho.

Z twarzą do nieba wzniesioną, śród lasu,
Nad muzułmańskim cmentarzem ty stoisz
I słuchasz sosen smętnego hałasu,
A złotą z twych rąk rosą kwiaty poisz,
Aż groby, życia płaczące i czasu,
Ty spokojnością swoją uspokoisz,
Jak smutny obóz kamiennych namiotów,
Ten smutny cmentarz bez bram i bez płotów...

Przy jednym z takich cmentarzy syn mołły,
Pan Abdulewicz Hamet się wychował;
Potem go ojciec dał, by pańskie stoły
Nakrywał, pańskie kolana całował.
Młodzieniec wyszedł z Radziwiłła szkoły,
Jak flet przedęty; dzikie serce schował
Głęboko w piersi przed szlacheckim gminem,
I pierś — Radźwiłła nakrył karmazynem...

I myślał, że już jako kuropatwa,
Gdy głowę w śniegu pochowa i oczy,
Myśli, że już ją pies ani też dziatwa,
Idąc z podjazdem, nie dojrzy, przeskoczy;
Tymczasem w śniegu skryć się rzecz niełatwa,
Ani też rybie w lodowej przeźroczy
Znaleźć schronienie przed rybaka ością,
Ni wśród pijaków ukryć się — z miłością.

[1] Powinno być: Iblis = po muzułmańsku djabeł.

Łatwiej wulkanom wybuchnąć na morzu
I znów się tylko zlać pod falną skałą —
Łatwiej kwitnącym różom na bezdrożu
Niebiosom liście i woń oddać całą,
Niźli na pańskim pijackim przydworzu
Przed ludźmi miłość jasną i nieśmiałą
Ukryć! Tem bardziej tę strofę zaostrzę,
Mówiąc, że w księcia się zakochał siostrze...

Przypadki takie są zbyt gęste: Tasso,
Żukowski, ruski belfer i poeta,
Który baladę odział wielką krasą —
(Podług mnie jeszcze nie wielka zaleta...)
W rosyjskich rymach pachnie skwierne miasso,
A wiersze są — jak pasy, zdarte z grzbieta
Knutem: prześliczny język... ale razem
Pachnie mi żywym mięsem — i Kaukazem!

Lecz język — piękny, pełny djamentów
W Puszkinie... w panu Sękowskim — podłości...
Dziś, jak słyszałem, pisze pan Lermentów,
Który pół życia na Kaukazie gości:
Takich do niego car dostaje wstrętów,
Do niego i do laurowej parości.
Która, nietknięta nożem i nożycą,
Może róść i być kiedyś — szubienicą.

To o poetach ruskich. Car jest wspólnik
Poetów, jest Minosem, estetyką,
Szlegiem; na niego patrzy pan Kukólnik,
Tragedję jaką zamyślając dziką —
Za sceną bowiem stoi karaulnik[1]
Z ogromną pałką, szablą lub motyką,
Z kibitką, z wielkim budników ogonem,
Jak *Débats* i Jules Janin z feljetonem.

„Benkendorf-Reviev",[2] pismo zdrowych sądów,
Największy robi ruch w czasowych gwarach,
I sądzę, że ta konnica z wielbłądów
I z krzywych, bladych ludzi w okularach,
Którą zjadł piasek nadkaspijskich lądów
I ziemia w spiekłych pochłonęła szparach,
Owa konnica, do Chiwy dramatów
Posłana — była wojskiem z literatów.

Czysty Furjeryzm[3] i zastosowanie
Falang do krajów nieznanych zdobycia!

---

[1] Szyldwach. [2] Szef żandarmerji carskiej. [3] Fourier, socjalista, zwolennik skupiania wielkich gromad ludzkich, nazwanych z greckiego „falanx". Falangi takie miały żyć w wspólnych domach.

Szkoda, że w piasku zginęli bałwanie
Ci w okularach ludzie, co odkrycia
Mogli porobić ważne! — O Słowianie!
Długoż, pod knutem wytrzymując bicia,
Drżąc, jak otruty pies, co tylko skomli —
Będziecie słuchać grających na dromli

Poetów?... Piszczą, jak pod korkiem szklanka,
Na jakąś dziwną nutę, niby świeżą;
Prawda i piękność stoi, jak wygnanka,
Harfa się stała skrzypką, urna — dzieżą...
Tam znów uczony, miły Czech, pan Hanka,
Pieczętuje się... tu mi nie uwierzą
Hermafrodyty, Słowiano-Polacy,
Że na pieczątce Hanki są — kozacy!...

Pod kozakami mu służy za motto
Słóweczko małe, lecz bardzo dobitne:
I mędrca w sfery unosi błękitne.
„W pered...". Nadzieja jest nadzwyczaj złotą
Chciałbym, ażeby — nim mu Parka Kloto
Nić życia i badania starożytne
Przetnie — ażeby mu zrobili rajem
Ten świat kozacy jego dwaj — z nahajem!

Niewiele żądam: aby w jego domu
Postojem tylko stanęli dwaj dońce!
Bóg widzi, złego nie życzę nikomu,
I tych, co ludom zapalają słońce,
Laurami radbym ochronić od gromu;
Innych, co jako piekła są obrońce,
Radbym uczynić na tym lauru drzewie
Liściami. — Strofę tę pisałem w gniewie:

Czy zmazać? — Nie, na Boga! Niechaj stoi
W dantejskich moich strof gryzącym tłumie!
Czech, co kozaków myślą w Renie poi,
Choć Niemiec, może głos ludzki zrozumie.
Ja wracam pod las, gdzie rycerze moi
Jedzą przy dębów rozwahanych szumie,
Siedząc na srebrnej księżycem lewadzie,
Kwiatami wonnej. Już miesiąc się kładzie

Do snu — a oni jeszcze zgodnie gwarzą,
Jaki to będzie wiek dla Polski złoty,
Gdy z niej Barszczanie całą hańbę zmażą,
Wyrzucą Moskwę i króla za płoty. —

Tatar. na księżyc obrócony twarzą,
Modli się hymnem czarownym tęsknoty
Do miesięcznego blasku, i uśmierza
Serce słowami wielbłądów pasterza...

O, ileż razy, ognisty proroku
Boga, śród twoich wielbłądów klęczących,
Z księżycem srebrnym w rozgorzałym oku
Musiałeś dumać tak, gdy z fal gorących
Wychodził krwawy par nakształt obłoku
I snuł po stepie!... Królu konających!
Wiara twa odlatuje i zostawi
Hymn taki smutny, jak echo żórawi...

Wkrótce Słowianin z twoich wież postrąca
Śpiewaki, Boga śpiewające imię —
Z wież twoich zrzuci białe półmiesiąca,
Na piersiach twoich odalisk zadrzemie.
Na falach twoich twoja flota drżąca
Stoi, jak wojsko upiorów olbrzymie;
Chciałaby zakryć twoje piersi całe
Spróchniałym żaglem — królestwo spróchniałe.

Próżno — o, próżno! Rany tajemnicze
Rozryły twoje nieszczęśliwe ciało;
Twoje mi śmiercią już blade oblicze
Umarłych moich ojców przypomniało —
I tę godzinę, gdy byli pod bicze
Dani, jak Chrystus — i, gdy w nich konało
Serce — i gorszą jeszcze, niż skonanie,
Tę — gdy przestali wierzyć w zmartwychwstanie.

Przez podobieństwo śmierci, przez tę ciszę,
Co się nad tobą teraz rozpostarła,
Zabłądzonemu w twoich palm zaciszę,
Serceś mi wzięła, moje łzy wydarła!
Meczetów twoich płacz wieczorny słyszę,
I po tem śpiewie wiem, żeś nie umarła
Ani się podłym ulęknieniem spodlisz,
Bo patrzysz w słońce i o śmierć się modlisz!

Niech ci zgon będzie słodki — a w pustyni
Pod namiotami kiedyś Arab stary
Powieścią swoją wielki płacz uczyni,
Twe księżycowe śpiewając sztandary,
Gdy z wiatrem nieśli je Salahedyni
Przeciwko złotym krzyżom innej wiary,
Araby ogień obsiędą stepowy
I będą słuchać, smutne chyląc głowy;

Lub zapatrzeni w jasnych gwiazd orszaki,
Które od wieków nie zmieniły chodu
I są dla ludów rodzonych, jak znaki,
I takie same — po zgonie narodu.
Tymczasem płomyk, wstający z kulbaki,
Palcami gasi olbrzymi król lodu. —
I gaśnie państwo białego księżyca,
Jak w poemacie *Dziadów* druga świeca.

Pieśń moja gaśnie także, z tej posępnej
Barwy nie mogąc wyjść na blaski świtu;
Smutek ma w sobie tyle siły wstępnej,
Że coraz wyżej w krainy błękitu
Prowadzi — a więc do pieśni następnej
Odsyłam wszystkich, ciekawych pobytu
Ambasadorów moich śród meczetów
I gór, co mają wszystkie kształt sonetów.

Więc tu, kochany czytelniku, chciej się
Zatrzymać, nieco odpocząć wraz ze mną:
Jeśli wesoły jesteś, z ludzi śmiej się —
Jeżeliś smutny, wiedz, że się daremno
Smucisz... Gotuj się być na Kikinejsie
I Czatyrdachu; w noc, zupełnie ciemną,
Samego z moją Muzą cię zostawię,
Jeśli przyrzeczesz, że... (żałuję prawie,

Żem przyrzekł) jeśli przyrzeczesz na cienie
Ojców, i... Zresztą, jak chcesz; dosyć stara,
I panna; zaraz mówi o hymenie —
Za gorsem kontrakt ma ślubny; Ikara
Złowiłaby za skrzydła i sumienie;
Zaraz się pyta, jaki twój ród, wiara,
Majątek — i wnet łączy się akordem...
Mówią, że już raz była za milordem.[1]

Tak mówi *Dziennik Narodowy;* przeczę!
Ostrzegam wszystkich was, że jest dziewicą —
Nawet zaręczam... Lecz oczyma piecze,
A głowę nosi swą pod błyskawicą.
Dlatego, chociaż mnie przed ołtarz wlecze,
Wolę w ciemności żyć, niż z taką świecą
Usque ad mortem... Kirielejson, kirie! —
Nie żonę mieć przy sobie — lecz Walkirję!

[1] T j. za Byronem.

PIEŚŃ VIII.

Jak zajechali me ambasadory
Do Krymu, nie wiem — ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany — a rzecz najdziwniejsza;
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszcza białowieska mniejsza;
W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy [1]
I ludzie, którzy mają płaskie nosy.

Później to w Litwie o swojej podróży
Mówiąc, jak Arjost jaki nie rymowy —
Mówił: jak okręt, pośród wielkiej burzy
Płynąc, podpierał i dopłynął zdrowy —
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy,
A zresztą była kobietą, prócz głowy,
A ogon wielki, gdyby u Sylena —
Szlachta krzyknęła wnet, że to syrena!

Na co Borejsza zgodził się (u stołu
To było — wtenczas wszystko prawdą zda się)
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zdusić na wieży, a on się na pasie
Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a udołu
Sztukując — potem napomknął w nawiasie
I od niechcenia, że tej sztuki sztucznej
Przyczyną był mąż jeden trzy-buńczuczny

I rogal — bowiem o jedną godzinę
Spóźnił się ze swą popiołową wieżą...
Tak mówiąc, wino połykał i ślinę,
Mrugał oczyma: „Niechaj mię uderzą
Pioruny, jeśli kłamię! — niechaj zginę!..."
Zaklęcia, którym dziś nie wszyscy wierzą,
Lecz w owym czasie dobre i bezpieczne
Śród ludzi, którym już dziś światło wieczne

Przyświeca. — Mówi wszakże pan Trentowski,
Że nie należy kłamać; ja tak sądzę
I ten poemat drukuję bez troski
O duszę moją; nigdy w nim nie błądzę...
Wszystko jest albo prawda — lub sen boski,
Przez odemknięte słoniowe wrzeciądze
Jak mara z tęczy, z niebios wychodząca
O cichej porze, przy blasku miesiąca.

[1] Węże.

Zamykam oczy... i widzę... i piszę,
Co widzę... W jednym zrujnowanym khanie,
Przy którym smutna palma się kołysze,
I źródło szmerem swym radzi na spanie...
Wszystko na Wschodzie ma ogromną ciszę...
Wszystko ze światła złotego ubranie,
Mury ze złota zdają się, choć gliną
Są oblepione — i grożą ruiną...

Na murach dziwne desenie lekkości
Przydają wieżom i ruinom wdzięku —
Wszystkie się zdają ze słoniowej kości,
Że od nimf były niesione na ręku
I postawione śród palm zieloności
Cudownie, śród harf aniołowych dźwięku,
Jak ta w Lorecie Matki Boskiej skała,
Która na skrzydłach złotych przyleciała.

W khanie więc, który dawniej był moskitą,[1]
Dziś khanem (tak się zwie karczma na wschodzie)
Pod jedną wielką framugą rozbitą,
Gdzie wierzchem niebo w słonecznej pogodzie,
Jak turkusowy szlak, albo koryto
Szklanne, zrobione wodociągów wodzie,
Spokojnie płynie nad głową podróżnych —
Ambasadory w kształtach bardzo różnych

Ci leżą, inni siedzą. — Trzech ich było
I czas spędzali swój nie najzabawniej:
Serce w nich troską, utrapieniem biło,
I chleb swój własny jedli najniestrawniej;
Polskę czuć było już wtenczas mogiłą,
Nie przyjmowano już posłów, jak dawniej,
Lecz jak żebraka, albo jak natręta
Witały małe w ruinach ptaszęta,

Wróbel wesołym witał świergotaniem
Może dlatego, że jadł kiedyś zboże
Polskie — jaskółka, że pod stołowaniem[2]
Polskim rodziła się przy jakim dworze;
Jeżeli żóraw — to z powinszowaniem
Przyleciał, spytać na cudzym ugorze
Posłów w podartym chodaku i szacie,
I smutnym śpiewem wrzasnął: — „Jak się macie?"

---

[1] Meczet. [2] Obelkowanie (Stollengerüste), na Litwie zwane stołowaniem (Linde).

O, miecza w ręce jeszcze raz! — i na te
Krainy dajcie runąć z krzyżem Huna!
Wróćcie nam, groby, husarze skrzydlate,
Niech nam Czarnieckich całych odda truna!
Godzinę tylko, Boże, niech brodate
Z mogił powstaną dzieciny Peruna
I hej — przez dawne Attyli bezdroże —
Godzinę tylko życia, wielki Boże!

Za tę godzinę, ja oddam ci... Nie wiem,
Co mógłbym oddać Bogu... Anioł zgonu
Przyjdzie po wszystko i pod różokrzewiem
Albo pod liściem drżącego jesionu
Położy żądzy spalone zarzewiem
Ciało bez żadnej myśli i bez tonu —
Serce bez bicia, oczy bez światłości,
I zostawi tu nad nim... duszę kości.

Dwie są albowiem podług Niemców: jedna.
Duchowa, leci od ciała daleko —
Druga się błąka tu nad ciałem, biedna,
Płacze, Styksową przedzielona rzeką
Od siostry — aż kto pacierzem wyjedna,
Lub ją anieli od ciała odwleką
Za włosy z cichej, różanej mogiły,
Tak kocha ten dom młodości i siły...

Ten wiersz z Homera kradnę, ten ostatni;
Niegdyś płakałem nad nim... Zdaje mi się
O Sarpedonie mówi śpiewak, bratni
Mickiewiczowi — ale miał w kirysie
Rycerzy, którzy byli bardzo stratni
I szafowali siłą, życiem — gdy się
Zmienili trochę Litwini dzisiejsi,
Będąc troszeczkę lepsi — ale mniejsi!

Jednak w tej cudnej epopei żyją;
W ich lasach trąba gada... Boskie trąby
Odzywają się wnet w sosnach i wyją;
Patrzcie, jak ten żubr od pękniętej bomby
Cofa się! Patrzcie, jakie wianki wiją
Z wiejskiego kwiatu wiejskie dziewosłęby!
Słuchaj i patrzaj, bo, jako zjawienie,
Litwa, ubrana w tęczowe promienie

Wychodzi z lasu. — Z taką chwałą
Potrącał lutnią ten śpiewak Litwinów,
Że myślisz dotąd, że to echo grało,
A to anielskich był głos serafinów,

Grzmotowi jego niebo odegrzmiało!
Chociaż Godfredów nie miał i Baldwinów,[1]
Ani mógł morza wiosłami zamącić,
Ani księżyca z wież krzyżowych strącić —

Jednak się przed tym poematem wali
Jakaś ogromna ciemności stolica;
Coś pada... Myśmy słyszeli — słuchali:
To czas się cofnął i odwrócił lica,
By spojrzeć jeszcze raz na piękność w dali,
Która takiemi tęczami zachwyca,
Takim różanym zachodzi obłokiem...
Idźmy — znów czasu bóg postąpił krokiem.

Ale ten napis łatwo startej kredy
Niechaj zostanie, a ten, co przeczyta,
Niech sobie wspomni, żem na piramidy
Wchodził i deptał to, na czym czas zgrzyta —
Że nieraz końcem Pelidowej dzidy
Zrobiona trumna jest — albo rozbita.
Wąż Laokoński, który gryzł bez przerwy,
Syty — wlazł znowu pod tarczę Minerwy.

Nie budźcie, niech śpi! — Mówiłem więc w rymie,
Jak moje posły w starym siedzą khanie;
Borejsza w upał południowy drzemie,
Hamet się w ptaszków zasłuchał śpiewanie,
Beniowski wielkie zamiary, olbrzymie
Buduje w myśli: dziś ma posłuchanie
U khana Krymu, u Kierim Giraja;
Gotuje się więc z mową — i zaczaja.

Przypomniał wszystkie sobie z retoryki
Figury — khana chce podejść wymową;
Przypominając, wyszedł na brzeg dziki,
Gdzie słońce było mu nad samą głową.
Zdala szum morza i żórawiów krzyki
I Bakczysaraj z koroną palmową,
Z minaretowym lasem, stał pod górą,
Lekko gołębi migocących chmurą

Owiany. — Smutno — o, smutno samemu
Na morskim brzegu, gdzie sie fale kładą,
Śpiewając ciągły hymn Nieśmiertelnemu,
Który pustynię roześwieca bladą

---

[1] Goffred i Baldwin, bohaterowie z „Jerozolimy Wyzwolonej“ Tassa.

Gorącem słońcem! Smutno tam jednemu
Z europejskich pamiątek gromadą
Śród gorącego pustyni kobierca
Błądzić z strzaskanem sercem — lub bez serca...

Jednak jest jakaś duma, co podnosi
Czoło północnych ludzi, gdy po świecie
Wicher nieszczęścia ich, jak liście, nosi —
Zniszczyć nie może. Pan Zbigniew był przecie
Kochany — wiedział, że ktoś Boga prosi
Za nim, że go wiatr pustyni nie zmiecie
Bez śladu, wziąwszy pod swych skrzydeł loty,
Jak zwiewa błędne w pustyni namioty —

Wiedział, że w Polszce ktoś pamiętać będzie,
Błądząc nad stawem, gdzie srebrna topola
Osłania groblę — że zawsze i wszędzie
Dusze kochanków, jak harfy Eola,
Albo pod niebem gdzieś, jak dwa łabędzie,
Latają razem, choć je smutna dola
Rozłącza tu na ziemi i rozgania;
Wiedział to i te wszystkie porównania...

Pełny więc melancholji szedł po brzegu —
Wtem ujrzał dziwną rzecz i zbladł na twarzy,
Patrząc... I mój rym także stanął w biegu,
A, nim opiszę tę rzecz, słowa waży.
Niech mi żórawie zabrzmią hymn noclegu,
Niech pełny księżyc krwawo się rozżarzy
I stanie jedną czerwoną pochodnia
Nad wiedźmy temi z piekła i tą zbrodnią!

Arabki dwie, w koszulach, z pod zasłony
Patrzące na świat dziko i jaszczurczo,
Siedzą na ziemi, jak dwie czarne wrony,
Albo jak żaby w ogniu, gdy się skurczą —
Śpiewają dziwnie i dziwnemi tony,
Albo zaklęcia jakieś ciemne burczą —
I palą dzikie bladym ogniem zielska,
Pomiędzy niemi główeczka anielska,

Główeczka tylko leży, ale żywa:
Oczki błękitne w niej ciągle latają,
Czasem się z ziemi jak gołąbek, zrywa
Złote jej włoski już powietrze kraja
Jak dwa skrzydełka — ale, rzecz straszliwa,
Zlęknione złote piórka opadają,
Nie mogły podnieść z ziemi białej róży,
Która zasypia — i znów oczki mruży.

Anioł lub jakaś nieszczęsna istota
Leżała w mocy czarownic zaklęta;
Rzucały ciągle na nią garście błota —
Mogiła z piasku, jako bąbel wzdęta,
Wstawała, z ogni piramida złota
Lub jak kręcony miecz, z promieni kręta
Stała z ogromną powagą ogniową
Nad Arabkami dwiema i tą głową.

Pan Zbigniew dobył szabli: brzęk żelaza
Spłoszył dwa widma czarne, i z wybrzeża
Odlatywały żółte, jak zaraza,
Jakby na skrzydłach czarnych nietoperza;
Na piasku żadna nie została zmaza,
Tylko ten ogień, jak piekielna wieża,
Tylko ta główka, leżąca na ziemi,
Z oczkiem niebieskim i z koralowemi

Ustami... Oczka otworzyła, żywa,
Na Beniowskiego głos; ten leciał z krzykiem,
Jak rycerz, który strasznych wież dobywa,
Wołając, polskim wołając językiem:
„Stójcie! To zemsta jest jakaś straszliwa!
To pewnie jaki basza z sercem dzikiem,
Syryjczyk, lub Cylijczyk, lub Natolak!..."
Na to krzyknęła główka: „Ach! Pan Polak?"

Beniowski stanął i otworzył usta.
Gdyby weń piorun uderzył, nie więcej
Zląkłby się; ale trwoga była pusta —
Poznał to zaraz rycerz, najgoręcej
Zagrzany: wnet mu stanęła Lokusta[1]
W myśli — Medea — Cyrce, jeszcze więcej
Kobiet z historji dawnej, starożytnej —
I, na szabli się oparłszy błękitnej,

Rzekł: „Polak jestem... tak, i Podolanin,
A ty kto, biedna?" — „Ja także z Podola —
Rzekła. — Targuje mnie teraz poganin,
W haremie cieżka czeka mnie niewola!
Obaczył mnie już także Moskal, Panin,
U tutejszego na poselstwie króla,
I ten mnie także kupić chce, targuje;
Ale ja skonam, albo się otruję.

Jestem szlachecką córką; dom nasz cały...
Może słyszałeś o Gruszczyńskich dworze?

[1] Lokusta, trucicielka, która dostarczyła Messalinie trucizny do otrucia cesarza Klaudjusza.

Hajdamaki nas w dzień napadli biały,
Ojca nie było, my same w komorze,
Kobiety, kiedy rżnęli, my krzyczały —
Matkę i babkę i maleńkich... Boże!
Nie mogę o tem ja oświecić pana —
Ja, patrząc, byłam sparaliżowana.

Kozak mnie jeden, jak kawałek drzewa
Wyprostowaną, wziął i dał popowi;
Pop kupił, teraz przedać się spodziewa,
Jeśli mnie piasek ten wrący uzdrowi.
Codzień mnie błotem, jak widzisz, odziewa —
Codzień mnie straszny dreszcz przechodzi mrowi,
I we łzach oczy się nieszczęsne topią,
Gdy mię w ten piasek włożą i zakopią.

A jednak, biedna, lękam się ozdrowieć...
Udaję zawsze martwą i kamienną.
Oto jest cała moja, panie, spowiedź.
W tym błocie skwarnym leżąc, jestem senną;
Od słońca tego lękam się osowieć,
Taką ma dla mnie straszną twarz płomienną,
A jeszcze gorzej, gdy noc: chociaż zdrowa,
Nie śpię — w mogile mnie pop na noc chowa.

Stary turecki jakiś domek trupa
Na górach stoi z okrągłą kopułką, —
Tam jest nademną nietoperzów kupa
I gniazda z ciągle piszczącą jaskółką —
Na drzewie także coś ciągle kołupa,[1]
A okno jedne nad glinianą półką,
Gdzie mię położą — a drzwi zawsze strzegą —
Świeci księżycem, jak twarz umarłego.

O panie, ratuj mnie — choćby potrzeba
Samej się bronić, w noc uciekać ciemną!..."
Beniowski przerwał: „Niech ogniste nieba!
Wstawaj acanna z ziemi i chodź ze mną,
Znajdziesz schronienie i kawałek chleba —
A ja przybyłem tutaj nie daremno,
Jeśli Bóg przez mię sierotę wspomaga...
Wstawaj!" A ona rzekła: „Jestem naga"...

To rzekłszy cicho i głoskiem dzieciny;
A rzekłszy, cała się ogniem zażegła,
I krew, jak jeden za drugim rubiny,
Po uszkach wstydem rozpalonych biegła;

[1] Stuka.

Szyja się także stała u dziewczyny
Różaną — ale ziemia reszty strzegła,
Ziemia ognista, a nie pokazała,
Czy była cała różana, czy biała.

Beniowski także spłonął — potem zbielał —
Widać, że szukał w głowie prędkiej rady;
Oczyma, smętny, w różne strony strzelał —
Czuł, że rycerzem był dziwnej balady.
Czy grób rozkopać?... Jakby się ośmielał —
Postąpił naprzód... wdaje się w układy
Z młodzieńczym wstydem, z rozwagą człowieka —
Wtem główka wrzasła: „Aj! Niech pan ucieka!"

Na ten wrzask rycerz obrócił się — patrzy —
Z pospólstwa chmurą leci pop na czele;
Rycerz za pasem miał naboi na trzy
Głowy; pomyślał sobie, że niewiele —
Obejrzał szablę, jak człowiek, co patrzy
Pierwej na siebie, niż nieprzyjaciele,
I stanął, patrząc srogo na pohańce.
Była to chmura kobiet i rzezańce;

Turecki jeden święty, cały nagi
I krzywy, oczów pokazywał białka,
A w ręku jego była wielkiej wagi
Sękata z drzewa darfurskiego pałka;
Tłum cały sobie dodawał odwagi
Wrzaskiem — lecz w tłumie tym nie było śmiałka:
Beniowski więc stał z rycerskim wyrazem
Na twarzy, gotów siec po grzebietach płazem.

Wtem — niespodziana rzecz! Gdzieindziej błoto
Rzucają, albo kamień lub kartofel
Chmury — w krainie, gdzie między hołotą
Zjawi się jaki szary Mefistofel;
Na Wschodzie biała płeć, która jest złotą,
Babusz (tak się zwie czerwony pantofel)
Zdejmuje z pięknej nóżki i zwycięża
Pantoflem... gacha, lub wroga, lub męża.

Coby powiedział pan Trentowski, który
W swych aforyzmach ostrzega małżonka,
Że każda piękność nowa tej struktury,
Jakiej Klorynda[1] była Amazonka,

[1] Klorynda, jedna z bohaterek „Jerozolimy Wyzwolonej".

Chociażby piękną była, jak Ahury,
A miała tyle cnót, co Jagiellonka —
Dlatego właśnie, że jest taka chrobra,
Nie jest na żonę zdatna ani dobra.

Coby powiedział, widząc tę gromadę
Z bocianią czarną na nosie kitajką,
Którąby każdą wziąć mógł za Palladę,
Zwłaszcza, że dzida jest u Niemców fajką!
Niech mówi, co chce — a ja dalej jadę
Z tym poematem, powieścią lub bajką —
I w miniaturze ten bój, jak Izabej,[1]
Dam — lecz z szacunkiem zawsze dla płci słabej.

Więc, jak mówiłem, już chmura babuszów
Czerwonych nagle zaćmiła powietrze:
Świstać zaczęły smutnie koło uszów,
Jak afrykański tuman, gdy się zetrze
Z tumanem. Nakształt pierwszych karteluszów,
Pantofle naprzód przyleciały leksze —
Potem ze starych nóg, ciężkie, schodzone,
Podbite ćwiekiem czarnym... i czerwone,

Jak bomby, w ogniu rozgrzane, lub w burzy
Z wulkanów głazy, lub aerolity.
Gdyby z kochanek nóg — listkami róży
Takiemi chciałbym być nawet zabity!
Jeden mi taki trzewik teraz służy
Za lampę; płomień wspomnień, w nim ukryty,
Gore, w różanym ukryty atłasie —
A tak maleńki jest, jako oko w asie.

O, gdyby takie, z listków róż robione,
Sylfów trzewiczki padały mu w oczy —
Pewnieby krzyknął: „Niech w różach utonę,
Niech mię zakryją, niech mnie blask zamroczy!"
Ale ogromne babusze, czerwone,
Jak ogień albo grad, co żyto tłoczy,
Albo pioruny z alpejskich obłoków,
Albo też chmura latających smoków,

Z dołu i z góry krzyżują się, lecą —
Światła nie widać, słońce nawet ćmi się!
Próżno w nim gniewy się gorące niecą,
I zęby o ząb zgrzytają tygrysie:

---

[1] Izabey, malarz francuski

Zamyka oczy — one ciągle miecą
Ten grad, za którym wszystko w oczach mgli się...
Zrazu się wahał — potem się ośmielił
I z pistoletu na wiatr w górę strzelił.

Wrzasnęło wojsko wiedźm — turecki święty
Upadł i zaczął wić się, paralityk,
Lecz pop prowadzi znów na bój zaczęty
Baby — szanowny pop, jakiś polityk,
Który chciał, aby pan poseł był wzięty,
A stąd przed Khanem by uniknął krytyk
I kar na popy we wschodnim kościele,
Których oskarżą *de raptu puellae*.[1]

„Jaki wstyd będzie — krzyczy — gdy giaurowi,
Co widział Khana małżonkę w kąpieli
Zostaną oczy we łbie! Co Khan powie?
Jak się z was będą małżonkowie śmieli!
Ranioną babę święty wnet uzdrowi;
Ja dam na tytuń." — Tu blask karabeli
Mignął mu w oczach; uderzony płazem,
Padł, okręcony, jak wężem, — żelazem:

Taka była w niej giętość, w owej szabli,
Którą Beniowski przypasał do boku
Mścić się ojczyzny... Więc, nakształt korabli,
Łamał się rycerz śród szarego tłoku,
Aż uczuł coś we włosach nakształt grabli
I coś kociego razem uczuł w oku,
I coś ciężkiego obciążyło łokcie...
Były to ręce kobiet i paznokcie.

Reszta tej walki i rycerza wzięcie
Nie opisane jest w mojej kronice;
Sądzę, że gdyby nie miał był we wstręcie
Rąbać pałaszem takie czarownice,
Byłby zwyciężył. Więc na djamencie
Ryć tę szlachetność lwią! Jeśli krytyce
Jaki bok słaby tu w tych rymach podam,
To odwołuję się wnet zaraz — do dam...

Niech sądzą, niech się litują, niech płaczą,
Niech utyskują na los, piszą treny —
Niech ten kawałek paznokciem naznaczą
I odczytują w dzień słoty, migreny,

[1] O porwanie dziewicy.

A pewnie same sobie wytłumaczą,
Dlaczego dał się wziąć przez te syreny,
I rzekną: „Ach, nieszczęsny — to go broni,
Że na tę biedną płeć nie podniósł dłoni!...“

Tak, to go broni — bo ja mam ważniejsze
Rzeczy i muszę rzucić bez obrony,
A sam do Khana prowadzę Borejszę,
Lutnię na wyższe nastroiwszy tony.
Gdzie o ojczyznę chodzi, rzeczy mniejsze
Muszą ustąpić — więc, choć zasmucony
Rycerza mego wzięciem; kropki kładę..
A sam Borejszy śpiewam ambasadę.

Khan krymski, Kierym Giraj, jak cytryna
Żółty, wąsy miał długie, jak sum, kare —
Ciało na szyi, jak czerwona glina,
A oczu kocich, jasnych, takich parę,
Jak u tygrysa; dobry starowina,
Ale o buńczuk bardzo dbał i wiarę;
Ministra także miał przy swoim boku,
Oba siedzeli, jak duchy — w obłoku.

Rzekłbyś, że Pluton z brodatym Charonem
Siedzą i palą tytuń; w środku sali
Rozkwitła fajka wywróconym dzwonem,
Jak kocioł, gdzie się dusz tysiące pali.
Dwa węże, w kocioł wetknięte ogonem,
Do ust im lazły, a oni je ssali,
Smakując bardzo to, co bursztynową
Szyją wziął z kotła gad i oddał głową.

Oba siedzieli niby na przydworzu;
Choć nad głowami wisiała framuga,
Widać im było i błękit na morzu,
Gdzie lekkie skiby szły od wiatru pługa —
Widać meczety, kędy na dwurożu
Djamentowe światło wiecznie mruga,
Jak wiersz Bohdana, gdzie w ciągłym przymusie
Pała różowy brylant — na turkusie.

Jak trukus bowiem, było niebo wschodnie,
A turkus nawet taki bardzo rzadki.
Tatary moje więc siedzą wygodnie,
Nie ściany mając wkoło, ale kratki
Z drzewa, przez które czasem, jak pochodnie,
Łysnęły oczy panny lub mężatki,
Oczy gruzyjskie, pełne, skrzące, duże —
I usta, czasem nie usta, lecz róże.

Ciekawość taka żonom pozwolona
Na Wschodzie: byle twarz zakryły samę,
Pokazać czasem wolno trochę łona
Przez rozciętego wskroś gorsetu bramę —
Ale twarz zawsze ściśle zasłoniona
Jak miesiąc, gdy nań ziemia rzuci plamę.
Szczęściem, że nawet teraz już na wschodzie
Ten obskurantyzm twarzy nie jest w modzie.

U nas trwa jeszcze..., nie w kobiecym stroju,
Lecz w poetycznych szkołach, ale szkoda
Na świegocące te wróble naboju.
Niech katolicka sobie płynie woda!
Niechaj używa wiersz dawnego kroju!
Niech epopeję nam piszą z Heroda,
Z biblji całej porobią obrazki
I o potopie też napiszą kazki![1]

Co do mnie — wolę Rafaela loże
I te sufity, gdzie nad ludzką głową
Wisi w tęczowych blaskach dzieło boże,
A taką sztuką odświeżone nową,
Tak nieśmiertelną, że umrzeć nie może,
Lecz, o Jehowie będąc — jest Jehową,
Iskierką jego treści dotykalną,
Ludzkim filarem wspartą — i widzialną.

Ja, kiedym w górę spojrzał, to, przestrachem
Zdjęty, myślałem, że w braku sufitów
Niebiosa wiszą otwarte nad gmachem,
I te kolumny są bez żadnych szczytów —
I chciałem myśli tytańskiej zamachem
Zbić to zwierciadło czynów i błękitów,
Gdzie powtórzone wisi boskie dzieło
I trwa, a nasze co chwila — zginęło.

O tym to, cudnie malowanym, gipsie
Mówił Jan święty, że będzie zwinięte —
Mówiąc o kartach ksiąg w Apokalipsie,[2]
Gdy trąby zagrzmią, fale staną wzdęte,
A Bóg światowi powie: „W gruzy syp się!"
A grobom powie: „Stójcie odemknięte!"
A tym sufitom: „Skrzydłami się nieście
W niebo, bo z myśli i z nieba jesteście!"

O biedny Rzymie, jak ty w Słowianina
Pieśni wyglądasz niemyślący, karny!

---

[1] Bajki. [2] VI, 14.

Na toż to przysłał Bóg Attyli syna,
Aby gitary tam dźwięk taki marny
Rzucił na wiatry?... A tam jednak glina
Z Grachów... i z duchów stoi obłok czarny
Na Koloseum; księżyc je upiększa,
Lecz jest, jak tylko jedna z tarcz, nie większa

Od Brutusowej. Z taką to koroną
Stoją ruiny czarne i zębate.
O, prawda, że tam ptaszków pełne łono,
Że im powoje stanęły za szatę,
Że tam krzyż duma — i gromnice płoną,
Że tam, kędy lwom odmykano kratę,
Dzisiaj (widziałem sam, biedny wygnaniec)
Wypada jakiś ksiądz, mnich, obłąkaniec —

Rzuca się, klnie: i *„Carbonari* —
Krzyczy — *la gente d'inferno!"* — i zgrzyta;
Sam jak hyena jest albo wilk szary,
Na żar położy więźnia i wypyta,
Do domu nakształt dymu albo pary
Wciśnie się, zyzem tygrysim powita,
Pieczenie zawsze nadybie gorącą,
Spowiada panią — uwodzi służącą.

I taki brudny czart czasem się chyli
I z pyłu lice odsłoni pomnika;
Ten pył, co leciał przed wojskiem Attyli,
Przed kopytami Hunnów, Alaryka,[1]
I nakrył dawne miasto, nim przybyli —
Że jako ten grób, co się sam zamyka,
Zniknęło, cudzej uchodzące właści,
I utonęło przed mieczem w przepaści.

Dzisiaj dobyta kolumna niecała
Pyta się, biedna, cicho: „A co w Rzymie?
Czy mi czas było, abym zmartwychwstała?
Czy macie jakie na grobowcu imie,
Abym go strzegła ja i nad nim stała,
Ja, co widziałam mogiły olbrzymie
I wiem, co dola ludzi niepowrótna,
I jeszcze po nich jestem dzisiaj — smutna?..."

Tak pyta, gdy ją podnoszą na drągi
I stawią znowu czołem na gwiazd wianek.
O, mój Bohdanie — ja ci tam posągi
Pokażę smutne piękniejszych poganek;

[1] Alaryk, król Wizygotów, ktory złupił Rzym.

Ja ci pokażę dawne wodociągi,
Co idą, jako tłum Samarytanek,
Niosąc na głowie dzbany, korowody
Dzbanów — lecz wszystkie na głowach bez wody...

Choćbyś był, jako Chrystus upragniony,
Pić ci nie dadzą: zostawią u studni!
Ja ci pokażę od Tybrowej strony
Rzym, co się myciem swej bielizny trudni,
A nie trudni się obmyciem korony,
A syczy, kiedy się dzień rozpołudni
I gdy nań blaskiem przeraźliwym pała,
Jak wąż, co głowę ma na kłąbku ciała...

O, *miserere!* Jam go widział z góry
Et de profundis; wiem, jak widać z grobu!
Zielony on jest, a w płaszczu z purpury,
A w ręku uschły kwiat — z świętego żłobu;
Nad nim z ognistych smoków lecą chmury,
A z Dantejskiego nosi płaszcz wyrobu,
Dominikańskim mieniący się jadem,
A każda w nim nić — czartem albo gadem.

O mój Bohdanie! Pod ten, co się skłębia,
Płaszcz, i sam przez się jest wiecznie ruchawy,
Ty lecisz z dziwną prostotą gołębia,
Chciwy napoju i blasku i strawy,
I myśli się twój koń trwogą nie zdębia!
Żeś jest niewinne dziecko — znać z postawy;
Dlatego piecza i strach mię o ciebie,
Bo ten okropny duch — żegnaniem grzebie...

Ja byłem mędrszy z żórawi łańcucha,[1]
Kiedym się zerwał sam i poszedł przodem;
A byłem, gdzie dwie srebrnych fontan bucha
Przed gmachem wielkim i kolumn ogrodem;
Ja wtenczas silną różdżką mego ducha —
Co w środku ma kwiat, choć okryta lodem,
Zakląłem źródła tak, że w tej potrzebie
Anioły złote mi dwa dały z siebie...

Z tęczy, co wiecznie swoją wstążką pęta
Skrzydła fontannom i włos im ubiela,
Wyszły anioły przewodne, bliźnięta —
Wyszły i wiodły w kościół Zbawiciela,

[1] Z wychodźców polskich szeregów.

Jak czaszka w grobie ludzka się rozdziela,
I tę kopułę, która, już pęknięta,
Wzięły na skrzydła złociste, tułaczem
Abym nie zwalił jej echem i płaczem.

Więc, póki stałem pod ogromną banią,
To ją trzymała para jasnolica;
Wysokość — z piekieł równałem otchłanią,
Bo ta kopuła — to Alp równiennica!
Chmury stukają w okna, idąc na nią,
I do kościoła wchodzi błyskawica,
Pioruny wchodzą, jak nawałnic wodze,
Spotkawszy kościół powietrzny na drodze.

Potem bóg Perun, wróciwszy w Łotysze,
Puszczom i sosnom, blady, opowiada:
„Na chmurach się tam las krzyżów kołysze,
I kościół w chmurach stoi i nie spada,
Choć ja i wichry, moi towarzysze,
Ja i me dzieci, piorunów gromada,
Bierzem go w ręce, w skrzydła, z kolumn rwiemy
I tu, na puszcze litewskie, niesiemy.

Ale zwycięstwo kiedyś przy nas będzie,
Tu na piorunach czerwonych przyleci;
Marzanny w nim się zagnieżdżą łabędzie
I orły będą w czerepie mieć dzieci . . .“
Tak mówi Perun; ja wiem, że zdobędzie
Błyskawicami to, co próchnem świeci;
Dlategom bronił gmach od zaginienia
I aniołami ubrałem sklepienia.

A teraz wybacz, Cezarów mogiło,
I wy, Piotrowych fontan świtezianki,
I ty, wisząca na powietrzu bryło,
I wy, kolumny, jak Pelejad wianki,
Stojące w chmurach — i ty, światła siło,
Krzyżu pokorny — i wy, dawne szranki,
Gdzie lew z Chrystusa walczył apostołem —
Wybaczcie, żem się na was oparł czołem . . .

Strudzony byłem i smętny — lecz znowu
Wielkim popiołem posypawszy ciemię,
Znów do mojego powrócę narowu,
Do pieśni — ludzi malować i ziemię —
Znów do krymskiego pójdę półostrowu
Rycerzy moich posadzić na strzemię
I nieść w pożarne Ukrainy łuny
Tych, którzy na mój głos powstali z truny.

PIEŚŃ VIII B (fragment).

Dawna ojczyzno moja! O, jak trudno
Zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy
Zapomnieć wdzięku, co młodość odludną
Wabił na dawnych opłotki cmentarzy.
Inni już pieją twoją przyszłość cudną —
Ja, zostawiony gdzieś na mogił straży,
Jak żóraw, abym nie spał śród omamień,
Trzymam... me serce w ręku... serce-kamień —

Biedne, uwiędłe serce — Inni mogą
Płomieniem twojej przyszłości oddychać;
Ja, twoje biedne dziecko, stoję z trwogą,
Bo mi płacz twoich dawnych mogił słychać.
Proszę cię w moją duszę, jak w ubogą
Chatę, co już się zaczęła rozsychać,
Rozpadać... tylą wichry rozerwana,
Biedna... tak dawno stojąca... gliniana.

Dawniej — o, dawniej... mogłem ja cię darzyć
Różami, listki, maczanemi w złocie;
Teraz ja muszę chować się i marzyć
I w coraz większej schroniony prostocie,
Podług natury sądnej, szale ważyć
I dbać o ciebie... gdy jesteś w polocie,
Ku siedmiu gwiazdom strzałą wyprawiona,
Choć masz na krzyżu ciało i ramiona...

Najbielsza moja, — najsmutniejsza... w tobie
Śpiewają jakieś pieśni — i nad tobą...
Otóż ja złączyć chciałbym pieśni obie
I uczcić grób twój dawny tą ozdobą,
Którą widziałem na rycerzy grobie:
Kamienną, dużą, rycerską osobą,
Dla której kilka lamp grobowych spalisz,
A potem, z grobu wstająca — rozwalisz.

I nie pamiętaj o mnie w tej godzinie
Gdy cię Bóg wielkim darem uweseli...
Lecz póki Ikwa ma rodzinna płynie,
Wezbrana łzami po tych, którzy mieli
Serce i ducha, póki w Ukrainie
Dziad chodzi z pieśnią, a z Dniepru topieli
Ciągle niby gwar smętnych duchów mgli się
I Pułaskiego spieszny rumak śni się —

Dopóki ludzie w nowych ducha siłach
Nie znajdą w sobie rycerstwa i śpiewu:

Dopóty ja mam prawo na mogiłach
Stanąć i śpiewać — srogi, lecz bez gniewu.
Bo wiem, jak trudno ruch obudzić w bryłach
I kazać w niebo iść ściętemu drzewu
I z tęczami się połączyć na niebie...
Ja, co nie mogłem wskrzesić nawet siebie...

Dlatego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serca miłuję nad własne.
Dalej więc! — Mówcie mi znów serca stare,
Usta, umarłe dziś, lecz w oczach krasne!
Odwińcie srebrną trumienną czamarę,
Pokażcie mi się, duchy... żywe, jasne,
Ubrane w tęcze, gwiazdy i miesiące,
Na urok pieśni z nieba zlatujące!...

Sawa, co w pieśni mej gra Djomeda
Rolę i może zająć długie księgi,
A który także trochę ma z Tankreda,[1]
Pół kozak, a pół szlachcic, ale tęgi —
Krzyczał, jak warjat, że się wiązać nie da,
A już był mocno różnemi popręgi
Przez swoich własnych ludzi skrępowany
Za to, że nie chciał iść i rzezać pany.

Długo prosili go lirniki sępy,
Z Żeleźniakiem mu obiecując księstwo;
Ale Sawa był słuchem bardzo tępy
I rzucił na znachory przekleństwo;
Takim sposobem utracił zastępy
I Potockiemu wydarte zwycięstwo,
A ten, co króla miał wiązać w Warszawie,
Sam leżał w lesie — związany — na trawie.

Pachły mu wprawdzie gwoździki i smołki,
I miodnik miód przypomniał Kapucynów,
I wyzierały z pod trawy fijołki,
Poziomki także oczkami z rubinów
Patrzały, i brzóz lekkie się wierzchołki
Kłaniały, lejąc nad nim płacz bursztynów —
Ale te jasno lasy malowane
Rzucały nań swój wdzięk, jak groch na ścianę.

Tak noc przeleżał — i słyszał,
Jak brzozy o czemś tajemnem szeptały,
Jak się las cały, by czarem, uciszał
I o księżycu stał spokojny, biały —

[1] Jeden z bohatetów „Jerozolimy Wyzwolonej".

Potem znów wiatrem jutrzenki zadyszał
I śpiewem ptasząt rannych zagrał cały,
I na zorzowych każda brzoza łunach
Była — jak harfa o stu złotych strunach.

Ale to wszystko nic; i ranny chłodek
Napróżno rzeźwił twarz; Sawa się wściekał;
Próżno się targał, bo na żaden środek,
(Litewski ten tryb mówienia tu czekał,
Aby się cicho wkradł i na rozpłodek
Został) — choć powróz mu bardzo dopiekał,
Choć szamotaniem się bardzo rozniemógł,
Na żaden środek więzów stargać nie mógł.

Wtenczas na pomoc wezwał — nie wiem, kogo —
Lecz wiem, że, skoro wezwał, upiór szary
Na białym koniu przeniknął go trwogą —
Bo jeszcze w lesie mrok perłowo-szary
Panował... Upiór twarz miał srogą,
Koń po kolana w piekielne gdzieś żary
Albo w krew wstąpił i, tak farbowany,
W mgle czerwonemi rzucał się kolany.

Czemś przestraszony był: może czuł Sawę,
Człowieka, a sam, niosący upiora,
Chciał się zawrócić gdzieś w mgły, słońcem krwawe,
Czy go brzóz białych przestraszyła kora —
Cofał się, wspinał... i taką postawę
Miał, jak posążny koń triumfatora,
Co, zda się, leci i w lot z oczu ginie,
A nigdy ruin stojących nie minie.

Kto inny, w ludu wierzący podania,
Pewnieby wolał leżeć tak związany,
Niżby mu duchy do więz rozerwania
Pomogły, jasną ręką rwąc kajdany.
Lecz Sawa, który duszę miał do dania
I chętnieby ją dał za kraj kochany,
Nie dbał (stąd wielka bardzo dramatyczność
Poezji) wdać się z upiorami w styczność.

Zaczął więc krzyczeć: „Hej — pomoży, bat'ku!“ —
I wnet ów stary człowiek koniem kinął,
A Sawa mu więc o swoim przypadku
Powiedział krótko: a, że bardzo słynął...
Tę awanturę czytałem w dodatku
Dumourierowskiej depeszy... Czas minął,
Sawy cień już mgły pamięci zasnuły,
A ten kawałek ówczesnej bibuły

Jeszcze dziś gada o złotej młodości
Rycerza. Boże! Gdzież proch jego ciała?
Gdzie, potrzaskane wprzód kulami, kości?
Gdzie jest mogiła? — Oto w pieśni wstała
I nie brak jej gwiazd ani zieloności:
Jak na wesele, znowu się ubrała —
I w tęczowych się darń kolorach skąpał,
Bo wie, że po nim duch znów będzie stąpał

Ten sam — ale już o stopień mogiły
Wyższy i mędrszy swą grobową wiedzą.
Tymczasem, więzy zerwawszy — nim siły
Odzyskał, usiadł; on i lirnik siedzą,
Gdzie w lesie wzgórek był lekko pochyły,
Z którego źródła swe perełki cedzą;
Między brzozami usiedli i gwarzą,
Na złote słońce obróceni twarzą.

O czem? — O Polsce; ona, jako zmora,
Trzymała wtenczas we śnie wszystkie duchy.
Ten lirnik był to stary Wernyhora,
Sławny podówczas tak, że i kożuchy
I karmazyny przed nim drżały wczora
I step przed jego twarzą stanął głuchy,
I krew wybuchła parami białemi,
I cześniej srebrny miesiąc wyszedł z ziemi.

KONIEC.

TAK MI BOŻE DOPOMÓŻ!

Idea wiary nowa rozwinięta,
W błyśnięciu jednem zmartwychwstała we mnie
Cała, gotowa do czynu i święta,
Więc niedaremnie, o! niedaremnie
Snu śmiertelnego porzuciłem łoże!
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Mały ja, biedny, ale serce moje
Może pomieścić ludzi miljony.
Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje —
I ze mnie piorun mieć będą czerwony,
I z mego szczęścia do szczęścia podnoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Zato spokojność już mam i mieć będę,
I będę wieczny — jak te, które wskrzeszę —

I będę mocny — jak to, co zdobędę —
I będę szczęsny — jak to, co pocieszę —
I będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Chociaż usłyszę głosy urągania,
Nie dbam, czy wzrastać będą — czy ucichać...
Jest to w godzinie wielkiej zmartwychwstania,
Szmer kości, który na cmentarzach słychać.
Lecz się umarłych zgrają nie zatrwożę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Widzę wchód jeden tylko otworzony,
I drogę ducha tylko jednobramną...
Trzymając w górę palec podniesiony
Idę z przestrogą — kto żyw — pójdzie za mną...
Pójdzie — chociażbym wszedłszy szedł przez morze.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Drugi raz pokój dany jest na ziemi
Tym, którzy miłość mają i ofiarę...
Dane zwycięstwo jest nad umarłemi,
Dano jest wskrzeszać tych, co mają wiarę...
Na reszcie trumien — Ja — pieczęć położę.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Lecz tym, co idą — nie przez czarnoksięstwa,
Ale przez wiarę dam co sam Bóg daje —
W ich usta włożę komendę zwycięstwa,
W ich oczy — ten wzrok, co zdobywa kraje —
Ten wzrok, któremu nic dotrwać nie może.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

Z pokorą teraz padam na kolana,
Abym wstał silnym Boga robotnikiem.
Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana,
Mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem,
Mój duch — aniołem, co wszystko przemoże.
Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże!

13 lipca 1842 r.

POETA I NATCHNIENIE.

(FRAGMENT).

POETA.

Atesso!...

ATESSA.

Jestem..., alem uciekała,
Bo mię ta dziwna pieśń... w otchłanie niosła.
Wszak wiesz, żem z tobą razem zmartwychwstała
I razem z tobą znów różana rosła.
Wszak wiesz... gdzie oliw czarny gaj i skała,
I srebrne... ogniem ozłocone wiosła;
Wszak wiesz... ta chata nasza bez zapory,
To falerneńskie wino... i amfory...

I w ścianach różne marmuru odłamy
I strumień, co tam w takt lutniowy ciecze...
Wszak ty pamiętasz — bywało, czytamy,
A ja Eschyla tobie rym kaleczę;
A gdzieś daleko... na Pnyksie u bramy,
Słońce... na tańcu piryjskiego miecze
Wzięte... przez liście cytryn się przeciska
I w oczy nasze zamyślone błyska...

Tam chór prowadzą młodzieńce na polu,
A tam z Hymetu księżyc biały miga...

POETA.

Dosyć, o duchu biały... bo mi z bolu
Znów serce pęka...

ATESSA.

O! ten sen mię ściga...

POETA.

O straszny Boże burz... o ty, Eolu,
Coś ze skał wiatry wypuścił na Fryga;

Dziś pomieściłeś wszystkie Akwilony
W grobach... i z mogił twoich dmiesz szalony.

ATESSA.

Spokojnie, o mój kochanku...

POETA.

Spokojnie!

ATESSA.

Jesteś jak Nimfa echo...

POETA.

Nimfa echo.

ATESSA.

Ja ci mówiłam po Farsalskiej wojnie,
Że mak, co rośnie pod Greczyna strzechą,
Nie uśpi... harfa, chociaż zagra strojnie,
Chociaż wesoło... nie będzie uciechą,
Że piękność kształtów będzie w sercu brzydła,
Wtenczas wyrosły mi motyle skrzydła.

I poleciałam... gdzieś na jakąś górę,
Nad którą słońce w krwi, księżyc w zaćmieniu,
Męka, co całą męczyła naturę,
I krzyż na słońca czerwonym pierścieniu,
A ja... w te śmierci otchłanie ponure...
Na moich skrzydeł tęczowych promieniu
Lecąca... jako dziś... patrz upiór blady,
Ja, pierwsza... z różnych piękności Hellady.

Czemu nie patrzysz na mnie... o! czy żal ci
Mojego włosa... pełniejszego łona...

I ducha tego, co jak czarę kształci
Pierś i pięknością oblewa ramiona. —
Teraz patrz — wiatr mi kształt spokojny gwałci;
Gdy zadrżysz — jestem ja sama wzruszona,
Oczy się moje jak szafir kryształą,
Rany na nogach i rękach się palą...

POETA.

Rany twe płoną — widzę — szafir nocy
Ma z twoich strasznych ran cztery pochodnie.
Pal się! Nie mogę żadnej dać pomocy,
Tylko to powiem, że przez krew i zbrodnie
Szukałem ciebie, rosnąc w piękność mocy,
Która po twojej trzyma niezawodnie

Najpierwsze miejsce u samego Boga...
On wie, że w moim duchu nie miał wroga.

Lecz ty aż teraz, jak krzyż zapalony,
Przyszłaś, kiedy ja wichrem nieszczęść zbity,
I tak jak sztandar kulami zniszczony,
I tak jak hełm Hektora — bez kity,
I tak jak harfa, co straciła tony,
I tak jako trup w grobowcu odkryty,
Na bezlitośne wystawione wzroki
I tak znający swój zgon, jak proroki,

Walę się w prochu. Gdzie byłaś siostrzana
Duszo, kiedym ja cierpiał? czy pod krzyżem
Z tęczowych twoich skrzydeł oberwana
Śmiałaś się?... gdym ja stutysięcznym spiżem
Na świecie Imię obwoływał Pana,
A sam — spędzany zawsze skrzydłem chyżem
Śmierci — musiałem nędzny grób rozrywać
I sam przychodzić — i znów odlatywać...

Gdzie byłaś, gdym tu nareszcie za karę
I za ostatni los — z potęgą słowa
Wstał, słysząc w duchu jakieś wieki stare,
Których ogromna szmerność podgrobowa.

ATESSA.

Przy tobie byłam; przez powietrze szare
Snułam się cicho, jak wizja tęczowa;
Obłok nas jeden tylko dzielił cienki,
Taki łagodny, jako róż jutrzenki.

W dzieciństwie twoim samotna — a potem
Musiałam z większą liczbą mar przychodzić,
Cicha — gwiazdowym uwieńczona złotem,
Smętna, że duszy twojej rozpogodzić
Nie mogłam. Przestań już pamięci lotem
W dawnych się wiekach twoją myślą rodzić.
Patrz, jak w stygmatach piękna, w górne sfery
Lecę, ran niosąc zapalonych cztery.

POETA.

Nad tobą wyżej...

ATESSA.

Co?

POETA.

Trzy miljony
Słońc i duch jakiś...

ATESSA.

Co? posłaniec Boży?

POETA.

Tam głębszy szafir — z pod słońca korony
Na trzech obłokach niby lekkiej zorzy,
Jak jaka srebrna lampa zawieszony,
Pali się miesiąc — liczba gwiazd się mnoży,
Wyiskrza szafir, zda się jak stal pryśnie,
Coś w nim od słońca jaśniejszego błyśnie.

Ach! od słońca by w oczy mi nie biła
Taka ogromna jasność, jak z tych oczu
Spuszczonych! cały świat rozweseliła,
Oblana słońcem złotym po warkoczu;
Taka miłości w niej ogromna siła,
Że gdy stanęła na ciemnym przeźroczu,
Słońc się girlandy — niby zawrócone
Żórawie — wiążą w nadświętą koronę.

Siostro! twe rany mocniej się płomienią,
A z twoich oczów wesołość wylata,
I szaty twoje się jak tęcze mienią,
I pierś wzniesiona — i skrzydli się szata.
Nie leć! te słońca ciebie opierścienią,
Jak powój, który kolumnę oplata;
I tam zostaniesz, statui starożytnej
Podobna — śród słońc złotych — przy błękitnej.

ATESSA.

O nie zostanę! bo w tej gwiazd powodzi
Ona się zniża, i z duchami swemi
I na miesiącu swym na ziemię schodzi,
Bo zapragniona jest znowu na ziemi.
Oto więc na swej półmiesięcznej łodzi
Płynie, rękami sypiąca złotemi
Litośną miłość... dawno tak widziana
Na wyspie Patmos przez świętego Jana.

Patrzaj na ciemne, szmaragdowe lasy
Zniżyła się tam i rzuca z pod siebie
Dwa wielkie tęczy rozwiniętej pasy,
Które się od niej zaczęły na niebie.

Przychodzą nowe na świat Pańskie czasy;
Niechaj umarły swych umarłych grzebie!
A ty, nie maż ust światowym piołunem,
Ale tej łaski Pańskiej bądź zwiastunem!

Widzę, jak oczy twe światłami skrzą się
I za tym widem przeszły i wróciły
Bez łez... Czyć zawsze napisano w losie
Nie być miłości duchem, ale siły!
Mów do mnie! może w twoim smętnym głosie
Nie będzie echa podziemnej mogiły,
O nie! ty cały łamiesz się w boleści,
A twoja ręka szuka rękojeści.

POETA.

To nic — jam pobladł... duch mój jest otchłanią
Tęsknot i musi strzec się własną mocą.
Czuję, że gdybym ja poleciał za nią
Tam, gdzie te światła całą ziemię złocą,
Byłbym jak jedna z gwiazd, co się tumanią
I przez tęczowe jej rąbki migocą,
I już... już własnej twarzy mieć nie mogą,
A ja tu czekam w ciemności —

ATESSA.

Na kogo?

POETA.

Żaden duch nie jest bez przyjaciół własnych,
Żaden głos nie jest bez ech — poza światem.
Raz ja nad Ikwą po mych łąkach jasnych
Błądząc, znudzony błękitem i kwiatem,
Bo mi w pamięci koral twych ust krasnych,
Co perły takim obwodzi szkarłatem,
Jaśniej się palił — i twoje oblicze
Skrzyło jak słońce myśli tajemnicze;

Znudzony, że mój głos tu nie pomoga
Ludziom w niewoli, ogień serca pije,
A ciągłej szczęścia ofiary wymaga
I ciągle serca mego jadłem żyje,
A tu na świecie inna jakaś waga
Waży wypadki... człek podłością tyje
I spity winem, pieśń, co aniołowie
Dają, za pościel kładzie i węzgłowie: —

Siadłem pod chatą kobiety cmentarnej,
Co odmykała trumnom kołowroty,

I pełny byłem wtenczas myśli czarnej
Jak Brutus, który na twarz białą cnoty
Krwią swoją rzucił. — A u gospodarnej
Kobiety były z malw ogromne płoty,
I z nędzą piękność połączona sielska,
Że chata się ta zdawała anielska.

Wszystko mi jakiś wzrok duchowy, blady
Przemieniał w dziwy; zda się rozdzką trącę,
A te malwowe z tęczy kolumnady
Dostaną nieba; a te pałające
Cynowe miski, to wróżce na składy
Rusałki swoje oddały miesiące,
A te na półce girlandami świecą
I gdy kur nocny zapieje — wylecą.

Ja byłem wtenczas dziecię — lecz do gliny
Kiedy wejdziemy, my straszniejsi z duchów,
To mamy straszne w dzieciństwie godziny,
Gdzie duch bez żadnych więzów i łańcuchów
Ma ostrzeżenie. W mogilne doliny
Chodzimy chętnie — niby dla podsłuchów —
A duchy wtenczas rozmawiają z nami
Same lub tylko natury ustami.

Otóż i wtenczas w myślach moich zamęt,
Zwątpienie było — rozpacz nad zabitą
Polską... Gdzież, rzekłem, jest taki sakrament,
Coby w niej martwej chodził siłą skrytą,
Jak krew żyjąca? — Taki był mój lament,
Który me oczy wnet zamienił w sito
Siejące perły łez. A wtem od Boga
Przyszła nauka wielka i przestroga.

Skrzypnęła czegoś jedna stara belka
I poruszyła gniazdo jaskółczychy;
Z gniazda wypadła ptaszyna niewielka,
Bez pierza, mały, zimny trupek, lichy;
Więc potem tego dziecka rodzicielka
I ojciec w domek przylecieli cichy,
Prosto do gniazda, do swojego kątka,
I nie znalazłszy swojego dzieciątka,

Wyszli oboje. — Boże! z jaką wrzawą,
Wie matka, której ludzie dziecko skradli;
Wreszcie ujrzeli go pod moją ławą, —
Oboje z niebios jak martwi upadli,

Ojciec na lewo, a matka na prawo;
Usiedli przy nim, a skrzydła tak kładli
I tak ciągnęli biedaczki za sobą,
Jak magnet, ciężką okryty żałobą.

Ale oboje... Śmierć tak była świeża,
Tak niespodziana, taką zda się zdradą
Niebios, że ojciec, matka nie dowierza, —
Owszem przy dziobku jeszcze mu żer kładą.
Dziobkami ciałka probują i pierza.
A ono z główką wyciągniętą, bladą,
Z początkiem tylko dziecięcych skrzydełek
Leży, jak srebrny na herbie orzełek.

Więc — o! niewiaro cudna, rodzicielska,
O! długie, piękne tych serc niepokoje,
O cudna myśli w ptaszkach, już anielska! —
Za skrzydła wzięli dzieciątko oboje,
I wyżej... niż tam brzoza, nimfa sielska,
Rozrzuci swoje girlandowe zwoje,
Podnieśli... myśląc, że w nim lot roznieci
Życie, że z dziobków puszczone poleci!

Tak połączone przez biały diament
Stało nademną w niebie biedne stadło,
Potem je może zdjął rozpaczy zamęt,
Bo upuścili dziecko... a te spadło;
A oni siedli nad nim znów i lament
Taki podnieśli, że mi lice bladło,
Serce bolało, tak jak dzisiaj boli,
Bo coś tam dla mnie jest w tej paraboli.

O tak! nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup w grobie leżąc zbrzydła:
Potargam wprzódy ją pieśnią za pierze,
Porwę ją wprzódy na pieśniane skrzydła,
Porwę ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę... jeżeli żywa — to poleci.

Dziecinna to myśl! co... duma dziecinna!
Jam się sam rozbił piersią o granity,
Ale głos ani też lutnia — nie winna.
Cóż ty mi teraz pokazujesz świty,
Gdzie inna matka, i króla gminna,
Dzieciątka swoje podnosi w błękity,
Tak lekko duchy podnosząca wolne,
Jakby z rąk brała piękne kwiaty polne.

Cóż ty mię smucisz tym pięknym widokiem
Tęcz i błękitów? za mną inna strona
I duchy, co się na pieśń zbiegły tłokiem,
Od których była już ogniem czerwona,
I tchem trująca, tętniąca ich krokiem.
Dobranoc! — harfiarz wasz posępnie kona!
Klnie wam i kona... precz straszydła stare!
O siostro! odpędź odemnie tę marę!

ATESSA.

W powietrzu widzę trzy...

POETA.

Trzy przyszły razem?

ATESSA.

Twój włos zjeżony operlił cię potem!

POETA.

Patrz! za cierkiewnym, o! tym bohomazem
Powietrze całe się wydaje złotem.
Zapewneś przyszedł od duchów z rozkazem?
Albo mi lirą powiedz — albo grzmotem!
Tak zwykle gadał — gdy mu się podoba,
To w jęku głosy te połączy oba.

Teraz nie mówi nic; lecz stoi srogi
I zda się, twarz mi swoją w pamięć wraża.
A tamten — patrzaj, tak piękny, jak bogi —
Który wygląda także na harfiarza,
Ale instrument ma bardzo ubogi,
Sam widać był tej harfie za stolarza —
Dziwna!... rybie w niej srebrzą się ościenie
I labradorskie Sybiru kamienie.

Struny, podobne do starych badylów.
Pod palcem tego ducha drżą spróchniałe.
A co? czy dobrze na niej panna Nilów
Grała, wywiodłszy ciebie gdzieś na skałę
Kamczatki, kędy jasne roje gilów
Latały słuchać, gdy jej rączki białe
W powietrze pełne mgieł, duchów i szronów
Lały z tej harfy girlandami tonów?

O powiedz, jakie ci sny o młodości
I o twej miłej ojczyźnie wyjęczał
Jęk tej źle z renów ostruganej kości
I tej dziewczyny głos, który wyręczał

Anioła stróża, a ty — o litości!
W oczy jej patrzał czyste, u nóg klęczał,
A drugą myśli połową pieśń mijał,
Palił dom, ojca w płomieniach zabijał.

Powiedz, czy w harfie tej dziś jest żałośny
Tego dziecięcia jęk i skarga cicha?
Czy ty pomiędzy aniołami głośny
Tą harfą? Czy ci ręka nie usycha?...
Patrz... ten duch, niegdyś tak mało litośny
Temu dziewczyny sercu, teraz wzdycha
I lirnikowi palcem pokazuje,
Jakby chciał mówić: patrzaj, on to czuje!

Precz bladzi! — i ten trzeci, co nad głowy
Wyciąga ręce i nad wami trzyma
Swój wielki, bardzo ciężki krzyż cynowy,
Niech mię nie prosi łzawemi oczyma!
Stary świat skonał... nie zaczął się nowy.
Dla takich duchów, jak wy, miejsca niema!
Lećcie i w nową zorzę się rozpłyńcie
I bądźcie nowi duchem — albo gińcie!

ATESSA.

Stój! oni wszyscy z wiarą i nadzieją.
Pozwól im swojej duszy jak kościoła,
Gdzie teraz żadne lampy nie jaśnieją!
Kto wie, przez ciebie jaki głos zawoła,
Gdy będą w tobie... Patrzaj, jak pięknieją!
Ogień im tryska z nóg i z rąk i z czoła —
To wielkie duchy i wydarte niebu!

POETA.

Czegóż odemnie oni chcą?

ATESSA.

Pogrzebu.

POETA.

Precz z niemi — nudzą mego ducha, łamią,
Ten swój sybirski instrument przynosi,
A dziś muzycy tak na strunach kłamią
Czucie, — że serce pęka — łza cię rosi,
A oni, jako stawy zaszłe szlamią,
Przez nerwy sączą żółtą krew. Kto głosi,
Że pieśnią do łez poruszy słuchaczy,
Ten musiał wprzódy zwarjować z rozpaczy.

Nie tak, pamiętasz, my... Najokropniejsze
Godziny nasze przeszły w takiej ciszy...
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

A oto wyszedł, — jakby Rafaela
Tarcza okryta różnym malowaniem,
Księżyc i zagrał pierwszą pieśń wesela,
Wyszedłszy świecić przed samym zaraniem,
A z niego wielki miecz płomienny strzela,
Nazwany w niebie niebieskiem nazwaniem,
Przed którym zadrży i fałsz i pokusa,
Lecz nikt nie dźwignie miecza — prócz Chrystusa!

On na nim ręce skrwawione położy,
Potem podniesie i trzy razy mieczem
Niebiosa całe rozetnie, otworzy;
Wtenczas my duchy pod gwiazdy ucieczem,
Bo z nieba wyjdzie na ziemię duch Boży:
A my z tej ziemi mgły i chmury zwleczem,
By się spotkała jej twarz z Bożą twarzą,
Wtenczas się słońce i gwiazdy przerażą.

Świętych zobaczysz pańskich w jednej stronie
Podobnych chmurze słonecznej, — Marja
Stać będzie w słońcu, na złotym wrzecionie
Kręcąc, jako ta, która tęcze zwija:
A po tych tęczach aniołowe konie
Będą latały — a szatan jak żmija
Będzie je straszył wielkim dymu kłębem
I językowym je zhuka trójzębem.

Potem to wszystko razem się zasunie
Mgłą... i by lampa zgaszona zagaśnie;
I tam na ziemi po nocy coś runie
I echa niebios tak zajęczą właśnie,
Jak kiedy piorun idzie po piorunie.
A potem zagra po skałach i zaśnie;
I znów się zwali coś z odgłosem strzału
Smętniej, jak echo pierwszego powału.

Wtenczas na niebie wyjdzie anioł blady
Z lampą olejem napełnioną smolnym
I rzeknie: „Gdzie są ciał i kości składy,
Abym je palił lampy ogniem wolnym?“

To mówiąc, pójdzie i różne gromady
Trupów oświetli, i ogniem okolnym
Lampy stosy ciał będzie oczerwieniał
A ciągle idąc, strach i miejsce zmieniał.

Miejsce, gdzie przejdzie, będzie zwane drogą
Poszukiwania, nakształt czarnej szramy.
A idąc anioł ów nadepce nogą
Grób — i wykrzyknie: „Rola halcedamy
Tutaj się ludzie nassać duchem mogą,
Ale zamknięte są już srebrne bramy
I dzień tu biały powróci nieskoro!"
To mówiąc, lampę rzuci w krwi jezioro.

I znów się stanie noc i z końców obu
Świata płacz wielki pójdzie, jak z bożnicy,
Potem aniołki od świętego żłobu,
Jak białe róże od Bogurodzicy,
Sypiąc się rzekną: „Cas ci wstawać z grobu!
Wstań bez korony złotej i zbroicy,
Płomieniem serca świecąca od łona,
Wstań, jakąś była w grobie położona".

A wtenczas mgła się ze słońca usunie;
I ta, co była w słońcu, znów odkryta
Rzeknie: wy słońce w jej znajdziecie trunie
I stratowany miesiąc przez kopyta.
Niech tak na zorzy pokaże się łunie
Piękna, jak piękna leżała zabita!
Niechże tak chwałę wskrzeszenia opowie
Z księżycem u nóg — ze słońcem na głowie.

Potem się w pierwsze bicie serca wsłucha
I rzeknie z wielkim uśmiechem: „O Panie!
Nie z ciała jestem wskrzeszona, lecz z ducha,
Niech mi się jako służebnicy stanie!..."
. . . . . .
. . . . . .
(W autografie karta wydarta).
. . . . . .

Tak nieraz stojąc stary majster cechu
Z chorągwi jednej sklepienie uczyni
Dla trzystu ludzi — albo gdy na blechu
Rozciągnie płótno dobra gospodyni;
Tysiące kwiatków nie widzi uśmiechu
Słońca i oczu Efeskiej bogini,
Ale się muszą poddać — z tą nadzieją,
Że płótna wkrótce słońcem wysrebrnieją

I będą zdjęte. — Jestem z liczby kwiatów
Podobrusowych, często słyszę ślepy
Nademną jakieś kruszenie się światów,
Szczepienie duchów nowych w stare szczepy,
Pszczelny brzęk niby naszych antenatów
Idących pomóc. — Lecz że ja do rzepy
Płonącą świeczkę włożę, pisząc wiersze,
Nie widzę, abym widział światy szersze.

ATESSA.

Zawszeż ta bojaźń o nabyte skarby
Pracami wieków? zawszeż nieujęcie
Twojej tęczowej myśli w żadne karby?
Zawszeż ci błoto cielesne na wstręcie?
Gdybyś mógł stopić twoje wszystkie farby
W jednym miłości Bożej djamencie
I zostać chwilę w czystym bezkolorze,
Miałbyś zeń potem wszystkie ognie Boże.

Przedlotem ducha światy byś wyminął,
Wiedział o niebie, nim się inny dowie.
Mrówko! nie będziesz ty przezemnie słynął,
Ja ci się strzaskam jak piorun na głowie;
Ja, z którąś dawniej ty jak łabędź płynął,
Kiedyś był nowy i sił nie miał w słowie.
Teraz, gdyś wylał ducha serca krzykiem,
Mam cię, niższego, moim niewolnikiem.

Nie drgaj mi jako struna, co chce pęknąć,
Bo mi nie pękniesz, lecz będziesz jak struna,
Która gdy rani, to krwią musi zmięknąć —
Lecz tobie strachu trzeba... Patrz, tam łuna
I księżyc, co chce jak umarły jęknąć
Taki bolesny! Tam morze i truna,
Którą prowadzą fal czerwonych nogi —
Patrzaj!... w trumnie ten, co prostował drogi.

Czy widzisz żagli tych trumnianych bicie
W opiekielnione złemi duchy fale?
Bo się nie siarką wy bez fal palicie,
A piekło nie jest w niebie, ani w skale;
Lecz jest to duchów do ziemi przybicie,
I krzyż — i po ciał władzy gorzkie żale,
I czas powrotu do ciał niewiadomy,
I czyn, co w piersiach grzmi, jak puste gromy.

Czasem się zbiją i prą całą ścianą
Naturę — a ich oddech mniej tu waży,

Niż tego dziecka, co bańkę mydlaną
Uczyni równą aniołkowej twarzy.
Rozpacz im dano, a skargi nie dano!
W niejednym wulkan się miłostek żarzy
Gdyby im kształtów na kształt i kolorów,
Wymarlibyście z widzenia upiorów!

Szczęściem, że każdy niby śmierć ponosi,
Gdy wchodzi w ciało i uczyć się musi
Siły — od ręki, co kamień podnosi,
Bolu — od świecy, co rączkę mu skusi.
Więcej się złego obraca na osi
I siły, która iskrę Bożą dusi,
Niźli ty myślisz. — Patrz, czy nie przeraża
W tej zorzy duchów ta trumna mocarza?

POETA.

To, jak kolenda, którą w domu dziada
Słyszałem! Idą pasterze! pasterze!

ATESSA.

Patrzaj, znów jasna na stolicy siada
I od Łotyszów dawny piorun bierze,
A drugi jej grom zdala odpowiada,
To Rzym... to klątwa... to straszne przymierze
Z trupami... łączcie prawice do prawic,
O ducha teraz Boże! — i błyskawic!

POETA.

Straszna, milcząca, powiedz?... Więcem nie miał
Grzechu, bijąc ten fałsz w Chrystusa słowie,
Co siły Bożej nie pił i nie wziemiał
I z świątyń Pańskich uczynił pustkowie,
A w zmartwychwstania dzień wielki oniemiał
Jak człowiek, co wie prawdę, lecz nie powie,
I tak się chował pod wypadków połę,
Jak chłop, co w piekle myśli wozić smołę.

ATESSA.

Tak jest zaprawdę jakeś odmalował.
Błyskawicami bity gmach był dawno,
Dante, Bokacy... i ten, co wychował
Kopernikową sierotę i sławną
Nogą odpowiedź na wieki wykował,
Głowy schyliwszy przed powagą prawną
I wielu innych. Ty, co w kościół wierzysz
Jak oni — bijąc go — do nich należysz.

Od czasu jako zaprzestał soborów
I gwałt uczynił duchowi w tej przerwie,
Sobory były ze słońc i kolorów,
Tam gdzie najczęściej przy męczeńskim ścierwie,
Pod szubienicą z kruków i upiorów
Była girlanda. Teraz wiatr się zerwie,
Który kolumny kościoła okręci,
Te wszystkie — których nie podparli święci,

I zniszczy... Oto wielkie rozwidnienie
Ducha rozlewa się. O, Jeruzalem,
Ubrana w żywe błękitu promienie
Schodzi... a mur jej perłą — wał koralem
Pierwszy duch, który słońce zrobił cieniem
Dla ziemi — a tę dla słońca opalem.
Już urodzony... chór na ziemi zbiera,
Czuje go kamień i morze i sfera.

Biedni to teraz; widzę ich jak stoją,
O swej ojczyźnie zadumani, w bieli,
O swej ojczyźnie tylko ziemskiej roją,
A przez nią będą tylko tak lecieli
Jako żórawie, co słońce rozdwoją
Girladną długą... i gdzieś w mglistej bieli
Znikają — dziecko zniknieniem zasmucą,
Ale chłop stary wie, że z wiosną wrócą.
. . . . . .
. . . . . .

(maj 1843 r.).

KSIĄDZ MAREK

POEMA DRAMATYCZNE
W TRZECH AKTACH.

AKT I.

Szopa wyporządzona jak na zebranie koła rycerskiego. — Wchodzą: STAROŚCIC Z BARKU i TOWARZYSZ PANCERNY. — Słychać zdaleka śpiew konfederacki.

TOWARZYSZ.

Słyszysz pieśni, oto z pola
Rycerze nasi wracają.

STAROŚCIC.

Mam taką harfę Eola
W Anielinkach nad strumykiem;
Lecz jej struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem,
Tęskno, dziko i żałośnie,
Jak ta pieśń, co w hymny rośnie.

TOWARZYSZ.

Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek, karmelita,
Ludziom błogosławi z wału.

STAROŚCIC.

Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły,
Rzucić się pod sztandar boży,
Co w stepach z dawnej mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy,
Błyska i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi.
A ta pieśń, co Boga prosi
O łaskę, politowanie,
Taka miła— jak pieśń dziecka,
Rubaszna — jak pieśń szlachecka
Święta — jak organów granie,
A świeża — jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu,
Tak trzęsie całą mieściną,
Że bez żadnego powodu,
Kiedy słucham, łzy mi płyną,

PIEŚŃ KONFEDERATÓW, *za sceną.*

Nigdy z królami nie będziem w aljansach,
Nigdy przed mocą nieugniemy szyi,
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryi.
Więc choć się spęka świat i zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą,
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami,
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
Wszak, póki On był z naszymi ojcami,
Byli zwycięsce!
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach my jeszcze żołdacy
I hufiec boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie,
Ten *de profundis* z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki on z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.
Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

STAROŚCIC.

Ponieśli dalej sztandary,
Poszli dalej z bronią w ręku,
A ta pieśń na fundum wiary,
Anielskiego pełna jęku,
Ściąga nam cudy, zjawienia,
Przelotne niebios humory,
Gwiazdy z grzywą, meteory,
Nocne słońca, łby z płomienia,
Szwadrony w zbrojach nieznanych,
Po obłokach malowanych
Idące truchtem i cwałem;
A jak wczora sam widziałem,
Będąc na straży w mieścinie,

Pana, naszego obrońcę,
Co siedmiomieczowe słońce
Na serca jasnym rubinie
Zapaliwszy, stał na chmurach.
I nie sam świadczę o cudzie,
Ale wszyscy moi ludzie,
Wszyscy szyldwasi na murach
Widzieli ten wizerunek
Doloris, jak brał kierunek
Ku wschodowi, świecąc miastu.
Widać, że nasz okręt tonie,
Że potrzeba mu balastu,
Więcej szabel, więcej ducha,
Więcej serca w naszem łonie,
Bo ta wielka zawierucha
Niebios wszystkich nas pochłonie.

TOWARZYSZ.

Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
Wytłumaczył na ambonie,
Mówiąc o różnej pokusie.
Miecze te, powiada, bolu,
Bolące w Panu Jezusie,
To są, gorsze od kąkolu,
Wady na ojczystyem polu,
Z których boleść ma ojczyzna.
Pierwszy miecz, co w niej usterka
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz, to szulerka,
A trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiece rządy;
Piąty, to przedajne sądy.
A szósty, zawiść prywatna,
A siódmy, zgniłe sumienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednem sercu, co je mieści,
Zatknięte ręką morderczą,
Jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści,
Słonecznik siedmio-mieczowy,
Co ma w środku serce boże
A na rekojeściach głowy
Do panów naszych podobne.
I znów o każdym upiorze,
O każdym mieczu, magnacie,
Mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie.
Sądzący zbrodnie czerwone...

Potem kazał przed ambonę
Przynieść trumnicę z kościarza,
I sam z ognistą powieką,
Nogą odrzuciwszy wieko,
Kiedy się pył ruszył z kości,
Krzyknął: oto proch cmentarza,
Który w żywych obecności
Będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś, nakryci trumnami,
Przez lud będziecie sądzeni...
Oto jest proch z trupa rdzeni!
Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli
Spoczywała do starości.
Jeśli ty, mówił do kości,
Z pod twojej rysiowej delji,
Przy czytaniu ewangelji,
Szabli dobyłaś na światy,
Ręko, bądź błogosławiona!
Lecz jeśli wy, stare gnaty!
Wy, spróchniałe dziś ramiona!
Wy, drżące palców kosteczki!
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza,
Chłopską porąbały chatę!
Jeśli ty, ręko człowiecza,
W sygnetach a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów,
Jeśliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów
I poiłaś go piołunem,
Ręko hańby, idź do piekła!
Rzekł i kością, jak piorunem
Uderzył z czarnej ambony
Pomiędzy lud przerażony,
W sam środek szary motłochu,
W sam środek czerni, szepcące
O tej kości latającej,
O tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie.
Aż ksiądz znowu ręce obie
Zanurzywszy w trumny łonie,
Czerepem się na ambonie
I głową trupa oświecił.
Czerep pacierzom polecił
I czcił pogrzebową rzeczą:
To go malował w przyłbicy,
To w karbunłukach korony,

To w cierniach, co kość kaleczą;
Aż ten czerep uśmiechniony,
Wziąwszy prawie twarz człowieczą,
Co się uśmiecha, nie sroży,
Jak drugi spowiednik boży
Zaczął nauczać z ambony...

STAROŚCIC.

A tym czasem obrażony
Pan marszałek, szlachta cała,
Tem ruszeniem z grobu ciała,
Tem urąganiem z magnatów,
Tą obelgą atentatów,
Zamyśla porzucić sprawę.

TOWARZYSZ.

Co mówisz?

STAROŚCIC.

Będą ciekawe
Dzisiejsze panów narady.
Patrzaj, regimentarz blady
Z manifestem o głos prosi;
Ale oczu nie podnosi
Na czoło marszałka dzielne.

Wchodzą i zasiadają na ławach: PAN MARSZAŁEK KONFEDERACJI KRASIŃSKI, PAN REGIMETARZ PUŁASKI, KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KARMELITÓW i wielu ze szlachty.

REGIMENTARZ, *z manifestem w ręku.*

W imię Boga nieśmiertelne!
I w imię bożego Syna!
I w imię bożego Ducha!
Przed tym światem, co patrzy i słucha,
Jak się nasza krew tu lać zaczyna
I wulkanem pomsty z nas wybucha,
I wulkanem jęków świat przeraża;
Przed ziemią, co nas spotwarza,
Że już ojczyzny nie mamy
I o nią się dobijamy
Z mieczem w ręku; przed tronami,
Któreśmy kiedyś zakryli
Od Turka naszymi szablami;
I przed dzieciątkiem, co kwili,
I przed starcem, co grób kopie,
I przed chłopem, który siada
Jak Ceres na złotym snopie
I płacze, gdy o nędzy gada;

Przed magnatem, co krew żłopie,
Ludu wnętrzności wyjada
I złoto skrwawione chowa;
I przed tą, która jest wdowa
Po mężu za kraj poległym,
I przed wiekiem już ubiegłym,
I przed tym, co w czasów prądzie
Na sąd trupów naszych idzie...
Wydarci przeszłej ohydzie,
Stajemy z tem pismem na sądzie;
Sądem krwi nie przerażeni,
Ani dumni, ani bladzi
W środku rzezi i płomieni,
Przy biciu gwałtownych dzwonów;
Pany na czele czeladzi,
Wodze na czele szwadronów,
Księża tłum prowadząc niemy
W blasku krzyżów i kagańców,
Dawnych świętych zmartwychwstańców;
Na sądzie wszyscy stajemy!
I podnosząc ręce blade
I wskazując rany święte,
Tę wszystkich narodów zdradę
I to morderstwo nie święte,
Na naszych spełniane ciałach
Rzucamy w czasu koryto.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że na tych przekleństwa skałach
Zatrzymane ludów wody
Pierś swoją o nas rozbiją,
Staną i w kałużach zgniją,
Nie mogąc wejść na te wschody,
Któreśmy sypali sami
Wiekom, kładąc się trupami.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito;
Że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzą klękło,
Nowa jest ludów kalwarja;
A tam, gdzie jej serce pękło,
Gdzie zapłakała jak Marja,
Jest miejsce lamentowania;
A tam, gdzie ją kat pogania
Knutem, cierniami i spiżem,
A ona padła pod krzyżem,
W koronie z blasków słonecznych,
Jest miejsce upadków wiecznych
I śmierci okropna przystań.

A tam, gdzie matka rycerzy,
Choć w grobie, w grób nie uwierzy,
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań,
Jest duch, co z grobu wyrywa
I kos żadnych się nie boi.
Panowie! to miejsce stoi!
To miejsce — Bar się nazywa!
Tu my, rycerze bez plamy
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową
Za kraj nasz poumieramy,
Zatknąwszy wieczne sztandary
Dla miłości i prawdy i wiary.

MARSZAŁEK.

Szanowny regimentarzu,
Mówisz tak, jak na Golgocie,
Mówisz tak, jak na cmentarzu.
I takby się nam w istocie
Należało dziś zachować:
Krzyże nosić i całować,
Samym je zatykać w ziemię,
Nauczając przyszłe plemię,
Jak los przeciwny pokona,
Za prawą ręką i lewą
Dać się przybijać na drzewo,
Aby widział nasz morderca,
Że otworzywszy ramiona,
Pokazujemy i serca.
Ale sądzę, mój kolego,
Że wola Nieśmiertelnego
Chowa nas na większe czyny.
Więc z tej ubogiej mieściny,
Gdzieśmy się teraz zamknęli,
Nie chciałbym uczynić jeszcze
Grobu dla obywateli.

REGIMENTARZ.

Panie! przechodzą mię dreszcze!
Z gwałtownego chłonę żaru!...
Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
O hańbie... o wyjściu z Baru.
MARSZAŁEK, *dobywając w pół szabli.*
Hańba! Cóż to mi ty?

REGIMENTARZ.

Panie,
Niech twoje słowo zostanie
W gardle, szabla niech się kładzie

Do snu i niech się nie budzi.
Dawno ja żyję śród ludzi!
Z różnymi panami żyłem,
Obelgi nieraz znosiłem
Dla ojczyzny i dziś zniosę.
A jeśli kto mimowolną
Obaczy na rzęsach rosę
U obelżonego starca,
To wszakże i mnie mieć wolno
Przy białej siwiźnie marca
I lód, co szkłem w oczach świeci.
Bo ja mam aż czworo dzieci,
Aż czworo żywych pod niebem:
A gdy na mnie hańba spada,
To, panie, tym jednym chlebem
Nas pięcioro się najada.
A czy to łza w oczach stoi
I błyszczy w źrenicy biednej
To pięcioro się napoi,
Panie, z tej wielkiej łzy jednej...
Bo kto na świat się nie gniewa
Często, chociaż łez nie leje
W serce — rzeki łez wylewa.

MARSZAŁEK.

Jeślim obraził — boleję.

REGIMENTARZ.

Dosyć. Gadajmy o Barze.
Więc wola jest rzucić miasto ..

MARSZAŁEK.

Dosyć spojrzeć tu na twarze...
Żaden tu nie jest niewiastą,
Ani dzieckiem ine jest w duchu;
Widziano nas przy harmatach.
Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
I przy ruskich kazematach
W błocie przed Braneckim legać?
Mnie... co jestem z panów panem,
Nazywać jego hetmanem?
I grzeczności z nim przestrzegać?
Być jego sługą? Gdy mogę,
Do Turczech dziś pojechawszy,
Jutro tu powrócić krwawszy,
Zgnieść tę moskiewską stonogę,
Stanąć mu butem na głowie,
Królowi napędzić strachów.

Cóż? czy nieprawda, panowie,
Że tak lepiej! z hufcem spachów!

SZLACHTA.

Lepiej!

MARSZAŁEK.

Zgodne głosy słyszę...
A oto patrzcie
Dobywa listu.
tu pisze
Pan Potocki, nasz podczaszy,
Że Turek już Moskwę straszy,
Nad Prutem stanąwszy w sile.
Cóż mu po naszej mogile?

SZLACHTA, *krzycząc.*

Do Turków całymi szwadrony!

Wchodzi KSIĄDZ MAREK.

KSIĄDZ MAREK.

Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus... Szatan głuchy
Na stronie.
Żadnej nie dał odpowiedzi.
W tej szopie widać złe duchy
I zło... co otworu śledzi
Aby zerwać naszą zgodę.
Głośno.
Gdzie tylko okiem powiodę,
Zasmucone widzę twarze.

REGIMENTARZ.

Mój księże, źle z nami w Barze,
Myślimy z miasta uchodzić.

KSIĄDZ MAREK.

A miastem kto ma dowodzić?

REGIMENTARZ.

Na cóż dowództwa w pustoszy?

MARSZAŁEK.

Dosyć tej wojny kokoszy?
Tej manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni
I wiernie jemu dotrwamy.
Lecz tu w Barze już nie mamy
Prochu, jadła, ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy

Niż pocałunek Judasza;
Bo często odwagę zdradza,
I wszystkie cnoty rozprasza,
I w śmierci — hańbę doradza.

KSIĄDZ MAREK.

Marszałku! panie narodu,
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślał o tem w głodzie,
Ażeby naród opuścić?
Pan Bóg ci może odpuścić,
Jeśli się to w głodzie stało,
Jeśli twoje biedne ciało
Zaczęło się trząść na kości.
Pan Bóg jest pełny litości,
Jeśliś głodny był... przebaczy.
Lecz, panie! o ta stodoła
Tego mi nie wytłumaczy,
Przez jakiego ty anioła
Ducha... byłeś ogłodzony?
Powiedz? czy upiór czerwony,
Jakie rodowe widziadło
Odpycha od ciebie jadło?
Straszy cię? jeść nie pozwala?
Albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb, który bierzesz w usta?
Mówisz o nędzy?... Ta pusta
Stodoła, ta szopa żyda,
Panie, pałacem się wyda,
Jeśli ją który z twych wnuków
Ujrzy wygnańca oczyma.
Patrzaj, co tutaj jest bruków
Z jedwabi... gdzie okiem trącę,
Dywan na powietrzu trzyma
Srebrne gwiazdy i miesiące,
Kwiaty, takie winogrady,
Że dają oczom pokusy.
Więc także blade turkusy
Patrzą niby na obrady
Z szabel brylantowych czoła,
Jakoby oczy aniołów.
Więc ten dom i od kościoła
Bogatszy... bo dół kościołów
Często z ludzkich trumien bywa
A tu morze złota pływa
Po pas w tej żydowskiej stajni.
Więc jeżeli wy przedajni?

Czego nie daj, Boże wielki,
Kto was kupi? gdzie są fanty?
Kto znajdzie takie brylanty,
Coby waszej krwi kropelki
Były godne? warte były?
Więc wyznaj, że ani nędza,
Ani głód jedzący żyły
Poradził — ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce,
Tchórzostwo do ucha szepce...
Nie chwytaj za miecz, człowiecku
Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy
A uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała,
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona,
I brak matczynego łona
Tak ją w żłóbeczku rozkwili.
Szanuj!... bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę,
Poczęło się dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział, jak one
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży — jakie berło chwyci;
Chociaż wódz obywateli,
Co są w rodach znakomici,
Nie śmiałbyś przed tą maleńką
Ruszyć ni szablą, ni ręką,
I stałbyś tam u podwoi,
Jak żebrak przed królem stoi.
Ja ci nie powiem, kto ona,
Pozwalam jak szaleńcowi
Pożyć, a sam też w ramiona
Nie wezmę piastować żłobu —
Bom jest już podobny snowi,
Bliski męczeńskiego grobu.
Ale, że tu jest to dziecię,
To wiedzą małe ptaszęta
Świegocące mu w błękicie,
Gdzie słoma wichrem podjęta
Błękit niebios pokazuje...

Koń to już wojenny czuje,
W kącie stojący przy sianie;
Bo kiedy poczucie ducha
Pójdzie ludziom w urąganie,
To świat go podlejszy słucha,
I nieraz harfą się stanie,
Na którą duch boży dmucha,
Aż słońce się ludziom odsłoni...
Człowieku! niech cię Bóg broni,
Abyś zwątpił o proroctwie!
Bo wkrótce! w całem sieroctwie
Twego nieszczęsnego rodu,
Gdy odrzucon od narodu
Krwią się do krzyża przyklei,
Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny;
Nie zostanie — prócz nadziei,
Żadnej po ojcach puścizny;
Nie zostanie, gdy wyjęczy
Całą boleść; tylko, panie,
Oto chwytać się tej tęczy,
Którą przez wieków otchłanie
Z proroczych ust teraz ciskam.
Więc się nie dziw, że tak błyskam
Jak Mojżesz, duchem natchnięty,
Żem jest jako ów Jan święty,
Widzący to... co ja widzę...
Bo zaprawdę, jestem w lidze
Z duchami i ze świętymi!
A chociaż niski na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją!
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami — w słońcu ducha.

MARSZAŁEK.

Czegoż chcesz w tej egzaltacji?
I co ma ona za związek
Tu? gdzie pierwszy obowiązek
Zbawić panów naszych braci,
Szlachetnych ludzi ostatki?

KSIĄDZ MAREK.

Panie, zostań, z tej gromadki
Nie zginie żaden.

MARSZAŁEK.

Kto ręczy?

KSIĄDZ MAREK.

Pan.

MARSZAŁEK.

Co za znak?

KSIĄDZ MAREK.

Zagrzmi działo.

Po chwili milczenia słychać strzał.

Czy słyszycie, że zagrzmiało,
Aż belka w stodołach brzęczy
Jak echo kościelne nad ludem.

Wchodzi ARTYLERZYSTA POLSKI.

ARTYLERZYSTA.

Panie, pękło nam na ćwierci
Jedno działo, ale cudem
Puszkarze uszli od śmierci;
Myślą, że świat cały runął,
Śledzą, kto ognia podsunął
I kupią się... a szlachectwo
Już krzyczy: ogień i zdrada...

MARSZAŁEK.

Czyli to boskie świadectwo
I głos który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?
O to nie zachodźmy w głowę.
A jeśli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba,
To harmata rozpęknięta
Mówi... że wyjeżdżać trzeba,
Unosząc ducha i serce.

Wstaje.

KSIĄDZ MAREK.

Zabierz z sobą te kobierce,
Własnością są twego rodu.

MARSZAŁEK.

Gdzie ja ogrody zasadzę.
To ptaszki z mego ogrodu,
Nawet gdy się wyprowadzę,
Mają prawo żyć wiszniami:
Choć tu jedwab jest murawą,
A hafty złote drzewami;

Ten, kto ma do gruntu prawo,
Ma prawo do drzew i kwiatów.
Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Więc sprzęt twoich antenatów
Pójdzie do żyda rabina,
Który wynajął stodołę.

REGIMENTARZ.

Upadać Polska zaczyna!
Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą,
Czy z twarzą łzami zalaną
Stary Pułaski odchodzi.
Pole teraz waszej młodzi,
Niechaj nowe gniazdo lepi;
Bo oto my wodze starzy,
Jako żebrakowie ślepi,
Uchodząc z narodu straży,
Ręką macamy, gdzie wrota,
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy boskie radzą!
Niechaj rośnie patrjota
I nowy kościół zakłada...
Co do mnie... byłaby zdrada,
Gdybym nie szedł za Podole,
Gdzie pan marszałek nas wiedzie...

KSIĄDZ MAREK.

Szablę zostawiasz na stole!

REGIMENTARZ.

Kto był na cudzym obiedzie,
Nie bierze sztućców gościnnych,
Ale zostawia dla innych
Zaproszonych na dzień drugi:
Weźcież miecz pańskiego sługi
Przezemnie tu zostawiony
I czyńcie nim co potrzeba:
Na ucztę wołajcie wrony
I kruki i pomsty z nieba.
Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Szabla mi się nie należy,
Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.
Przypasuje pałasz.

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY KARMELITÓW.

Ja także na żadną zgrozę
Nie wydam pańskich ołtarzy,
Lecz obnażę z relikwiarzy
I sakramenta uwiozę,
Aby splamione nie były.

KSIĄDZ MAREK.

A cóż nam zostawiasz? mogiły?
Ojcze! ojcze przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie,
Co podobna do okrętów,
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o panie!
Ranny wołał sakramentów?
Rękę swoję kładł na ranie,
Głowę zwiędniałą pokłonił
I tchu duchowego bronił
Z rozpacza w zawrotnej głowie,
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniej pociechy:
„Przebaczone ci są grzechy!
Duszo święta, wychodź z ciała“
Gdyby jeden został taki,
Najlichszy między żebraki,
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość pańska przy nim . . .
A myż co, mój księże, czynim,
My, co o jutrze nie wiemy,
A tu grzeszni zostajemy,
Aby tego jutra dożyć,
Gotowi żywot położyć,
Nakryć sie prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie,
Byle sie tylko święciło
Przenajświętsze Boga imię
W obliczu świata i szyków,
Nad trupami schyzmatyków;
Byle hostie krwią rumiane
Wilgotne naszymi łzami
I w niebo egzaltowane
Drżącymi rannych rękami,
Egzaltowane i drżące,
Póki stanie mocy w kościach,
Świeciły na wysokościach
Ludom, jak pełne miesiące

Pośród pożarnych płomieni...
A gdy na to odważeni
Zostajemy tu na rzezie,
Ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam kto Boga uwiezie?
Że nam Bóg jest niepotrzebny
Charłakom jęczącym w nędzy?...
Więc pan tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki
I zostawił złote bruki,
Po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale
Morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wsławia
Nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł, rubinów,
Uczyniona ze krwi synów...
A przecież? kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych
A osadzonych na Bogu.
A ty sam z kościoła progu
Uchodzisz! ksiądz poświęcony!
I gdybyś twymi ramiony
Mógł, co Samson z dawnych czasów,
Wyrwałbyś bramy z zawiasów
I poniósł z sobą wydarte,
A potem przedawał ćwieki...
A gdyby co były warte
Okna, co patrzały wieki,
Niby źrenice tęczowe,
Które anioł w ołtarz wsłupił,
W skrwawioną Chrystusa głowę,
Tobyś je, panie, wyłupił,
A potem nosząc przedawał
Kawał szkła... za ziemi kawał,
Łan tęczy, za łan pszenicy...
Ja wiem, że w twojej winnicy,
Gdy zbierzesz, coć urodziła,
Nie będzie ptaszyna piła
Słodkiej rubinowej wody
Z żadnej sierocej jagody:
I zaćwierka gdzieś na płotach
Mówiąc: jak ci ludzie bozi
Zapomnieli o sierotach!...
Lecz ksiądz, co Boga uwozi
I ucieka z nim za bramy,

Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty człowieku!
Czy Bóg nie che zostać z nami
I patrzeć, jak umieramy?
I karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwią swoją obmywać drogą?
A co ty wiesz? czyli trwogą
Włożon do twoich zanadrzy
Duch sakramentów nie zadrży?
I nie zlęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch nie gości?
A co wiesz? czy tajemnice
Po sakramentach zamknięte
Nie pierzchną, by gołębice,
Nie zlecą się w jedno święte
Miejsce... gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój boży...
W to biedne serce człowiecze,
W moję pierś, co się otworzy
Pełna radosnej boleści
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie... Boga nie weźmiesz zgoła,
Boć to nie jest tobie dane...
Oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę... i śród kul stanę.

KSIĄDZ PRZEŁOŻONY.

Temu księdzu na ambonie
Tumanić ludem zakażę.

Wychodzi.

KSIĄDZ MAREK.

Idźcie! idźcie... a ja w Barze
Z ostatkiem ludu zostanę.
Zbiorę całą moją rzeszę,
Tęcze moie chorągwiane
Na miejskich wałach rozwieszę
I odprawię nabożeństwo
Świete do krwawego krzyża:
A Pan, co ludy uniża,
Da mi tryumf... lub męczeństwo
I swoję wolą pokaże.

Wychodzi zresztą szlachty.

Wchodzi ŻYD RABIN,

RABIN.

Teraz my tu gospodarze,
Zamiećmy izbę po panach.
Nu... jest zysk na tych dywanach,
Kto zyska a kto też straci
Na tej to konfederacji?
A Moskal dywany kupi...
Judyt! Judyt... hejne! hejne!
Woła do drzwi bocznych.

RABIN.

Nu, co ty szejne morejne
Zapłakana?... szlachcic głupi
Nagadał się i wychodzi...
A mnie pan marszałek dobrodziej
Nie zapomniał! Pan kochany!
Podarował mi dywany,
Nu! czemu ty głupia szlochasz?

JUDYTA.

Ojcze, jeśli ty mnie kochasz,
To porzuć te darowizny.
Na co nam?... my bez ojczyzny!
Na co nam takie wystawy?

RABIN.

To dobrze, ale te ławy
I te makatne pościele
Ja schowam na twoje wesele,
Aby ty na nich usiadła.

JUDYTA.

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
Złożysz trupa na drabinie,
Każesz wynieść, nim zadniało.
A jak goim spotka ciało,
To przeżegna się i minie;
A jak dziecko, to będzie się bało
I u matki się rozpłacze
I pod rańtuchem ukryje.
Nu, a jak kruk, to zakracze,
Nu, a jak pies, to zawyje,
A jak księżyc, to pobladnie,
A jak gwiazda, to upadnie,
A jak słońce... Nie, my żydzi,
Nas nigdy słońce nie widzi

W prześcieradła obwiniętych,
Szybko na cmentarz niesionych;
Bo my na prawach przeklętych
Pośród ludzi przerażonych
Naszą modlitwą gorącą,
Naszą mogiłą stojącą
Krwią białych macowych przaśnic
I blaskiem naszych szabaśnic
I tajnych komor ciemnością
I tą żółtą naszą złością,
Co się w oczach jadem kręci:
My tu na wieki wyklęci,
Jak ogromne cherubiny,
Co w trumnach zamkniętych siedzą.
Nu, a ci ludzie nie wiedzą,
Co ja mogę, kiedym sroga,
Co ja wiem od Pana Boga,
Jaki ja im garnek z gliny
Ulepię? co duchem zrobię?...,
Jaki duch w mojej osobie?
Nu, jak wczora na konwalje
Na mogiłki poszła nasze
I patrzała na batalje,
Na działa i na pałasze:
A w prochu był obłok jazdy,
A kule jak srebrne gwiazdy,
A bomby nad nimi w górze
Jako płomieniste róże,
A wystrzelone harmaty,
Jeszcze do góry dymiące,
Jak z ogniów siarczanych kwiaty,
A podkowy koniów, jak miesiące!
Nu, ja tak patrząc z mogiłek
Na te ognie, na tę krew,
Zmarszczyła na czole brew,
Wzięła gliny kilka bryłek,
Wzięła z grobu trochę piasku
I przeciwko temu blasku
Rzuciła, że poszli w nic,
Jak tysiąc zagasłych świec,
Gdy wiatr przeleci bóżnicą.
Bo ja była błyskawicą!
Duchem, co krwią pole broczy!
Śmiercią gaszącą ich oczy!
Naszej wiary tajemnicą!
Aniołem na boskich posyłkach,
Który piorunami strzela!
Zmartwychwstaniem Izraela
Stojącem już na mogiłkach!

A przed Bogiem — małą mrówką,
Przed aniołami — popiołem,
A przed ludźmi — jak zawsze żydówką
Pogardzoną.

RABIN.

Nu, Justyna,
Ty pierwszy raz jesteś taka?
Słyszę tam pana Polaka,
Co się o austerję pyta,
Zakryj się, bo ty w płomieniach
Za jasna na jego oczy.

Wchodzi KLEMENS KOSAKOWSKI

KOSAKOWSKI, *do sług za karczmą.*

Niechaj tu Grzegorz zatoczy
Mój karaban... a tu w sieniach
Powiązać moje brytany.
A tu ćwieki wbić do ściany
I pozawieszać szturmaki,
Szable, kindżały, kulbaki.
A wymieść dom żyda brodą.

Do rabina.

Żydzie,! staję tu gospodą.

RABIN.

O, panie, a kto ty taki?

KOSAKOWSKI.

Niech tego żyda wywiodą
I zakneblują mu pyski.
Kto ciekawy, szpiega bliski.

RABIN.

Nu, żartuje pan wielmożny.

KOSAKOWSKI.

Żydzie, ze mną bądź ostrożny,
Bo u mnie żyda powiesić,
To tak jak w pejsy go trzepnąć.

RABIN.

Nu, a czy ty umiesz wskrzesić?
Ty możesz, człeku, oślepnąć,
Patrząc na niewinną krew,

KOSAKOWSKI.

Patrz, pierś mam taką jak lew,
A nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń,
A włos koloru płomieni.
Biada! kto mię zarumieni,
Ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blada
Stanie, by opłatek boży.
Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się i rwie ludzi,
Wprzód, nim się rozum obudzi.

Do Judyty.

Żydówka, ściągnij mi buty.

Judyta klęka i całuje mu nogi.

Co robisz?

JUDYTA.

Całuję twe nogi.

KOSAKOWSKI.

Co to jest? precz mi z podłogi.

JUDYTA, *na kolanach.*

Panie! ty wczora z reduty
Jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa.
Ja cię z mogiłek widziała
Śród panów, choć ty chudeusz
W szaraczku a oni w złocie,
W turkusie i w karmazynie.
To ty chodził po dolinie
Na koniu, jak Goljat jaki.
Włos twój był jak ogień w grzmocie!
Czapka jak srebrzyste ptaki,
Jak orzeł, co z nieba runie
I usiądzie na piorunie!
Nu, a twój koń był czerwony
I ubrany cały w druty,
I czterema miesiącami podkuty,
A w boju taki szalony
I tak ogniem z pyska strzela,
Jak smok w pismach Izraela,
Otóż jak tu żydowica
Do nóg ci, panie, upadła
I twój proch ustami kradła,
Bo tyś jest z królów narodu;

Ja z narodu — niewolnica,
Z Jerychońskiego ogrodu
Róża, między obce ludy
Przesadzona i kwitnąca;
A królewna z rodu Judy...
Nu! niech mię twa noga trąca!
W piersi mię podkówką wytnij!
Niech się moja pierś zbłękitni
I twego herbu dostanie
Od twojej czarnej podkówki.
Ja wiem, że dla mnie żydówki
Ty jest król, wielmożny panie!
Ale ja powiedzieć chciała,
Czego zamilczeć nie mogła,
Że ja twej szabli pomogła,
Kiedy ty leciał na działa...

RABIN.

Nu, Judyt, ty oszalała!

JUDYTA, *wstaje i odsłaniając welon, mówi z gniewnym zapałem*

Ja Judyt! ja Judyt, Judyta!
Nu, ja nie straszna nikomu,
Póki moja twarz zakryta!
Ale z oczu mego gromu
Ja cisnę na was zagładę,
Bo ja duch, co wszystko odmieni.
Nu, ja kiedyś wezmę i szpadę
Jasną ze złotych płomieni.

Wychodzi.

KOSAKOWSKI.

Rabinie, czy ta szalona
To córka twoja, czy żona?
Wcale do niej nie mam wstrętu.
Czysta, mało ma akcentu.

RABIN.

Panie, to jest moja córka,
Dziewica.

KOSAKOWSKI.

Cha! cha! cha! żydzie!...

RABIN, *na stronie.*

Ten człowiek patrzy na Turka.

KOSAKOWSKI.

Słuchaj mnie, żyłem w bezwstydzie,
Na kartach i pijatyce,
Kochałem i żydowice
I szlachcianki i cyganki;
A tak mnie zna Litwy księstwo,
Że gdyby nie moje męstwo,
Dawno by mnie już — na drzewie...

Czyni gest duszenia się.

A jednak do mnie się czepi...
Tak w serce Bóg coś zaszczepi,
O czem często człowiek nie wie;
A w sercu to boże ziarno
(Choć się szlachcic oddał biesu)
Działa jak ziarno magnesu,
Tak, że się doń ludzie garną
I kochają... Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny.
Otóż ja, ów łotr haniebny,
Ów Kosakowski pyszałek,
Tak się umiem dać we znaki,
Mam za sobą tyle gałek
Sejmikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapierów, karabel,
Ile ich ma sam Radziwiłł,
A jużem raz świat zadziwił,
Porwawszy aż sejmik cały,
Palestrę i trybunały,
W jednem miasteczku na Żmudzi;
I z sotkiem tych różnych ludzi
W kontuszach i taratatkach,
Ubranych w niedźwiedzie burki,
Niektórzy w żelaznych siatkach,
A ci w lisy, ci w marmurki,
A ci przy szablach w jaszczurze,
A drudzy niosąc dwururki
Pozaczepiane na sznurze
Jako hiszpańskie gitary;
Cały, mówię, ten tłum szary
Wiodąc jak stare żórawie,
Pokazałem się w Mitawie,
Gdzie wtenczas Sas, Karol młody,
Bez wojska i bez pieniędzy,
Oblężony, prawie w nędzy
I bez chleba i bez wody,
Bo pompy Moskal poimał,
W zamku się książęcym trzymał
Jako pszczoła w głębi ula,

Mając na to rozkaz króla,
Aby dzierżał swoje księstwo;
Rozkaz! patent na męczeństwo!
Bo sejm zamiast posłać szyków,
Posłał mu dwóch senatorów,
Jakby rzec, dwóch spowiedników,
Dwóch nietoperzy, upiorów,
Dwie chorób, dwie dżum i krupów,
Dwóch sejmowych kościotrupów
Posłał mu sejm... Senatory,
Dziwny w potrzebie rynsztunek!
Otóż ja mu na ratunek
Przyszedłem i umysł chory
Podparłem... (jak brytan wierny,
Choć go czasem i nie karmią,
On przy domie jak odźwierny)
Tak ja przed moskiewską armją,
Poleciwszy duszę Bogu,
Położyłem się na progu
Warcząc, bo mi tam, mospanie,
Brakło zębów na kąsanie.
I tak my Polacy górą,
Lub z Moskalem oko w oko.
Aż z carską inwestyturą
Przyjechał Biren z Sybiru.
Zda się, że go wiedźmy wloką
Na tron, śród wroniego skwiru,
Kacią zbryzgały posoką
I pokazały z pod chmury
W płachcie z moskiewskiej purpury
Przemrożonego do kości.
Jego oczy pełne złości
I ognia jak owe doły
U bałwana ze śniegoły,
Przestracha na arendarzy,
Co jak latarnie cmentarzy
Przez wydrążone dwie jamy
Leją płomieniste błamy
Światła... we mgle gorejące
Jako cmentarne miesiące...
Ten trup ciągle nam wybladły
Groził... te oczy nas jadły...
Bo niema straszniejszej rzeczy,
O! żydzie, nad wzrok człowieczy
Błyszczący w sińcach wygnania,
Jako w oprawie ze stali:
Wzrok, który chęć królowania
Rubinem piekieł zapali...
Otóż patrz na moje oczy,

Takie są jak u Birena.
Odmienionać wprawdzie scena,
Tu się rzecz o naród toczy.
O poklask idzie gromadny,
Nie zaś o tron samowładny;
Ale mi to Bóg nadarzył,
Że magneterja ucieka;
A potrzeba znów człowieka,
Coby się na wszystko ważył,
I los, który się wałęsa,
Ćwiekami przybił do siebie.
Takim obaczą w potrzebie
Kosakowskiego Klemensa...
Bo choć ksiądz o Bogu gada,
To w szable wierzy gromada;
Choć tu ksiądz o cudach gęda,
Od szabli idzie komenda;
Choć tu w żywot wieczny wierzą,
Do mnie żywoty należą.
Ja miasto mam w swojem łonie,
Ja go ogrzewam... ja bronię,
Ja na wroga wyprowadzę
Nawet karczmy, nawet mury;
A kiedy trzeba? do góry
Jak wulkanem je wysadzę
Bez drżenia, bez drgnięcia powiek...
Teraz wiesz... com jest za człowiek:
Więc... mój kochany rabinie,
Oto na ten skrypt książęcy,
Musisz mi dać sto tysięcy
Dukatów i milczeć głucho,
Bo nawet trup twój zaginie,
Jak namiot przed zawieruchą
Wichrem Jehowy zmieciony.

RABIN, *przeglądając skrypt.*

Nu, panie... ja miljony
Wydam zaraz na skrypt taki...
Ja nie wiem, dla kogo one,
Ale będą zapłacone
Tej nocy... mam dwa przetaki
Złota... sługa niski pana!...

KOSAKOWSKI.

Żydzie, to skrypt na sułtana,
Na nim ty nie będziesz tracił,
Choć się jak cytryna wyciśniesz...
Lecz jeśli mi przed kim piśniesz,
Żeś mi taki skrypt zapłacił?

Żydzie!... tak mi pomóż Boże
Nic cię z mych rąk nie wykupi.

RABIN.

A ja byłbym, panie, głupi,
Gdybym gadał, nim otworzę
Kredyt u wielkiego Turka.

KOSAKOWSKI.

Niechaj ani twoja córka,
Ani firanki u łóżka,
Ani pod głową poduszka
Nie słyszą jednego słowa.

RABIN.

A czy żadna inna głowa
O tem nie wie?

KOSAKOWSKI.

Żadna inna.

RABIN.

Nu! to moja będzie winna
Albo pańska, jeśli o tem
Kto na powietrzu zagada.

KOSAKOWSKI.

Zaraz mi przychodź ze złotem.

Żyd wychodzi.

Jaki mi na serce spada
Kamień!... Cudzy pieniądz biorę;
Skrypt na Potockich pisany.
I w złocie kradzionem piorę
Brudny honor mój karciany.
Groszów publicznych grabieżą
Przeszłe me opłacam długi.
Zabiłbym, gdyby kto drugi...
Lecz sam to nazwę... kradzieżą!

Wchodzi RABIN z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.

Kto to jest?

RABIN.

Nu... rabin, panie,
Z pieniądzami... nie miej strachu...
Chodźmy do stancji na dachu
Liczyć... póki w skarbie stanie...

Wychodzą oba.

Wchodzi JUDYTA i JOZAFAT.

JUDYTA.

Chłopaku, chrześcijaninie,
Zapal mi, proszę, latarnie,
Chodź... i za mną nieś tę skrzynię...
W miasteczku ciemno i gwarnie,
Weź szablę i pistolety,
Weź i kij, co psy odpędza,
Pójdę do świętego księdza...

JOZAFAT.

Do księdza?

Na stronie.

Z tej się kobiety
Zrobił szatan stujęzyczny.

JUDYTA.

Zapal ten kaganiec śliczny,
Tę latarnię z pergaminu,
Co jako księżyc z bursztynu
Po ciemnych ulicach chodzi
Księżyc, który na srebrnicy
Róże malowane rodzi
I rzuca po błotach ulicy,
Gdzie ja żydówka przechodzę,
Tęczę... za most mojej nodze;
Kwiaty rzuca na kałuże,
Abym stąpała na róże...

JOZAFAT, *na stronie.*

Co ten zły duch przez nią plecie
O papierowej łojówce!
Co za język w tej żydówce!...

JUDYTA.

Nu... pudło trzymaj na grzbiecie.
Nie gadaj nic, ale prowadź,
A pomnij, by fanał nie zgasnął.

Wychodzą.

Wchodzi KOSAKOWSKI i RABIN.

KOSAKOWSKI.

Żydzie! ktoś tu drzwiami trzasnął,
Ktoś wyszedł.

RABIN.

Nu... złoto schować
A nie dbać, czy tu kto chodzi.
Niech się pan rotmistrz dobrodziej

Nie boi... Niech pan naczelny
Taki wojak wielki, dzielny,
Żydowi także zaufa.

KOSAKOWSKI.

Ćwiekami nabita kufa
Do ciebie żydzie gotowa,
Dla twoich kości i grzbietu,
Jeśli ten dom nie dochowa
Tak jak mogiła — sekretu...
Pamiętaj... źle z tobą będzie,
Mój krwawy Dyogenesie,
Jeśli kto słowo wyniesie
Za dom... A gdzie twoja córka?

RABIN.

Nie wiem, może jedwab przędzie,
Może z jedwabnego sznurka
Zwleka perły kałakuckie...
Dziewczyna ma serce ludzkie...
Może gotuje balsamy,
Szarpie strzępi dla szpitali,
Albo się w modlitwie pali
I płacze jak Rachel u Ramy.

KOSAKOWSKI.

Zawołaj mi ją.

RABIN.

A po co?

KOSAKOWSKI.

Bo ona wyszła za bramy.

RABIN.

Nu... ona nie chodzi nocą.

KOSAKOWSKI.

Łżesz, żydzie... Oto ci powiem,
Że kiedyś ty liczył złoto,
To ja na uliczne błoto
Spojrzałem w ciemne czeluście;
I gdzieś pod księżyca nowiem
Postać, cała w białej chuście,
Jak słup w bieliznę ubrany,
Mgłą owinięta pochmurną,
Za księżycem z porcelany,
Za powietrzną jakąś urną

Złotą, świecącą do koła,
Jak lilija, co kielichem
Złotym oświeca anioła:
Postać taka do kościoła
Szła i spotkała się z mnichem.
Ten mnich — to ksiądz karmelita,
A ta postać — to Judyta.

RABIN.

Panie mój... to być nie może.
Judyt!... Niema jej w komorze!...
Nu, prawda, że poszła... Judyta!...
Nu ja nie wiem, jasny panie,
Gdzie moja córka ukryta?
Pójdę na poszukiwanie.

Wchodzi JOZAFAT z latarnią.

A gdzie ty bywał, mój sługo?

JOZAFAT.

Pannę rabinównę wodził.

RABIN.

A gdzie z twoją panną chodził?

JOZAFAT.

O tem rozpowiadać długo.
Gdybyś mi był na Wielkanoc
Dał na kolendę złotówkę.
Powiedziałbym, gdzie żydówkę
Odprowadziłem dziś na noc.

RABIN.

Jozafacie, ja ciebie odpędzę!

JOZAFAT.

Czytujesz w talmudu księdze
A nie wiesz, gdzie córka chodzi?

KOSAKOWSKI, *otwierając drzwi do szynkarni.*

Hej! albeńska moja młodzi,
Proszę tu do mnie z szynkarni.

Wchodzi BOJWIŁ i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych, w czapkach przeszytych drutami.

Panowie, kto wami dowodzi?

BOJWIŁ.

Ty, jak zawsze djabeł Klemens,
Infernum nec Deum tremens;
Na róg przysięgliśmy sarni
I na buty Radziwiłła.

KOSAKOWSKI.

Otóż wybieram Bojwiła,
Namiestnikiem go stanowię;
Jeżeli się tylko dowie,
Że mię na koniu widziano
Z tą srebrną szablą nad głową
I w ręku z tą chustą rumianą:
Niech mi da rycerskie słowo,
Zgiąwszy przed Bogiem kolana,
Że mój karaban zaprzęże,
Mój trzos weźmie i manatki
I wyjedzie za rogatki,
Nie dbając na warty księże...
A choćby sto gromów trzasło
I świat drżał, niech nie uważa,
A na takie moje hasło
Powiesi tu arendarza.

Do rabina.

Dobry jesteś i uczynny,
Więc niechaj ci twarz nie bladnie,
Bo jeżeliś ty niewinny,
To ci włos z głowy nie spadnie.

Do Litwinów.

Wziąć go i strzec... Niech za bramy
Nie wychodzi. Gdy ujrzycie
Mój znak, to go powiesicie.
Przysięgacie?

LITWINI.

Przysięgamy!

AKT II.

Plac w Barze ubrany jak na Zielone Świątki w brzozy, klony i jarzębiny. — Wchodzą KSIĄDZ MAREK, JUDYTA i STAROŚCIC z BARKU.

KSIĄDZ MAREK, *do Judyty*

Wracaj, Izraelitanko,
I bądź o ducha spokojną,

Nie długo będziesz wygnanką.
Na to się toczy ta wojna,
Na to ja moją siwiznę
Ofiarowałem, kość złożę,
Aby silne duchy boże
Miały na ziemi ojczyznę
I sztandar sercom zatknięty.
Więc manele, djamenty,
Któreś ty Bogu złożyła,
Przyjmę... A ty, duchom miła,
Już miłości nauczona,
Chociaż przez krwawe ramiona
Chrystusa i boskiej Matki
Jeszcze nie obcięta z cierni,
Ale jako polne kwiatki
W słońca jasnego farbierni
Umalowana sowicie
W izraelowej purpurze,
W polskich bławatków błękicie;
Jeszcze nie biała lilija
A już pachnąca jak róże;
Strzeż serca, co się rozwija,
I łez wiszących nad rzęsą,
Bo mówię ci, przyjdą burze
I duchem twoim zatrzęsą;
Z drogi cię może zawrócą
I trupem pod nogi mi rzucą
Jak garstką przeklętych kości...
Idź, córko — i trwaj w miłości!

Błogosławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.

STAROŚCIC.

Panie, Klemens Kosakowski
Po całem cię mieście szuka.

KSIĄDZ MAREK.

Nad tym człowiekiem gniew boski.

STAROŚCIC.

Księże, lecz to śmiała sztuka!
Głowa zła, lecz serce złote.

KSIĄDZ MAREK.

Otóż obaczysz, jak zgniotę
Tę głowę, tę czaszkę całą,
Aby serce ocalało.

STAROŚCIC.

Jak to?

KSIĄDZ MAREK.

Z miasta go wygonię.

STAROŚCIC.

Lecz on ku miastu obronie
Potrzebny... wódz tego steku...

KSIĄDZ MAREK, *przerywając.*

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

STAROŚCIC.

On ma partyzantów wielu...

KSIĄDZ MAREK.

Posłuchaj mnie, przyjacielu.
Zaprawdę, że ludziom łatwo
Mówić grzeczności wzajemne,
Rozrzucać słowa przyjemne,
Obchodzić się z ludźmi jak z dziatwą
Przynęconą na łakocie:
Albo dawać cięgi mocne
Jak palmy przedwielkanocne,
Umoczone całe w złocie,
Owite kwiatki złotymi...
Tak że wchodzą do kościołów
Jakby z krainy aniołów
Inne drzewa, nie z tej ziemi...
To też zwyczaj u nas żyje,
Że wierzbą z kwietnej niedzieli
Bijesz własnych przyjacieli,
Mówiąc, że wierzba je bije
A tyś nie winien, że boli...
Raz w rok żart jest pozwolony,
Uświęcone kłamstwa tony,
Aby się duch tej swawoli
Dorwawszy, znalazł spoczynek
I z pod niańki się wyłamał,
Objadł się cukru, rodzynek,
A potem — rok cały nie kłamał
I z prawdą już nie swawolił.
Więc jeżeli w prawdę wierzysz
A Bóg ci miecza pozwolił,
Bić kazał, — a nie uderzysz,
Choćby serce własne krając,

Ale uderzysz igrając
Jak arlekin, nie jak człowiek;
Jeżeli prawdy piorunem
Nie spalisz grzesznika powiek,
Nie jesteś wtedy piastunem
Boskiej powagi i chwały.

STAROŚCIC.

Słuchałbym ciebie dzień cały,
Ojcze Marku.

KSIĄDZ MAREK.

Przed wieczorem
Z harmat będę miał słuchaczy,
Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
Wiodąc nawet tłum żebraczy,
Pójdę na wroga.

STAROŚCIC.

Dziś, panie?

KSIĄDZ MAREK.

Dzisiaj, w dzień Zielonych Świątek.

STAROŚCIC.

A tu w mieście któż zostanie?

KSIĄDZ MAREK.

Ot, ta gromada dzieciątek,
Która się na piasku bawi,
Młynki na kałużach stawi
I cieszy się, że drzewiny
Ścięte na ulicach więdną.
Polsko, nie jesteś oszczędną!
Te klony, te jarzębiny,
Te brzozy, las cały młody
Przyniosłaś sobie do miasta;
Prawdziwie jak ta niewiasta
Między Judzkimi narody.
Sławna, że flaszeczkę całą
Bardzo drogich aromatów
Wylała na Zbawcę światów;
O której rzekł, że mu ciało
Uprzedziła na pogrzeb pomazać.
I któżby jej śmiał zakazać
Tej rozrzutności? ... niewieście,
Która Zbawcy śmierć przeczuła

I cały słoik zepsuła,
I roztłukłszy alabastry,
Rozlała po całem mieście
Woń tego balsamowania.
Więc i dla naszej halastry
Ostatniego pomazania
W tych drzewach pachną oleje!...
I zaprawdę! nasze dzieje,
Gdy nas srogi los połamie,
Pachnąć będą w tym balsamie
Długo w umarłej krainie;
Szczególnie, małej dziecinie,
Co się zbudzi i obaczy
Las cały z kalin czerwienią,
Stojący przed domu sienią;
Gdy jej dziadek wytłumaczy
I pod cieniem tych drzew powie,
Że tak czynili ojcowie,
Którzy już dawno są w grobie,
To dziecko poczuje w sobie,
Przejęte smutkiem i strachem,
Patrząc w smętne oczy dziada,
Że i tym nawet zapachem
Ojczyzna do niego gada...

Błogosławiąc plac.

Czy słyszysz, jak ten las śpiewa,
Listeczków tracąc ostatki?
Błogosławione wy, drzewa!
Błogosławione wy, dziatki
Rosnące przy kraju męczeństwie...

STAROŚCIC.

Panie, dzwonią na nieszpory.

KSIĄDZ MAREK.

Idę... a po nabożeństwie,
Choć starości krok nie spory,
Wycieczkę Pańską prowadzę,
Bo mam na to rozkaz boży
I taką nad ludem władzę,
Że Kosakowski mi złoży
Komendę... i stąd wyleci
Jak czarny szatan nieczysty,
Bo mi anioł promienisty
Rozkazał, abym z tych dzieci,
Które mam, nie stracił żadnego.

Wychodzi.

STAROŚCIC.

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
Ostrzec, że burza go czeka.
Szkoda byłoby człowieka!
I strach... ach, strach, gdyby zorze
I to słońce już czerwone,
Na morderstwo zapatrzone,
Zachodziło po nieszporze.
Gdyby smętna twarz księżyca
Ujrzała pod cerkwi ścianą
Szarą szlachtę porąbaną
Za księdza i za szlachcica.
Gdyby znów nocne pojawy,
Ten Chrystus strasznej bladości,
Z dziurami na wylot w kości,
Ubiczowany i krwawy,
Jak kometa, co z podróży
Powraca, pokazał miecze
We krwi, co z grobów się kurzy
I po mogilniku ciecze.
I odleciał z tymi mgłami,
Zostawiwszy nas trupami.

GŁOS ZA SCENĄ.

Aj! wej!

STAROŚCIC.

Krzyków pełno w mieście.
Słyszę wrzask i szlochanie niewieście.

Wpada JUDYTA z nożem w ręku, za nią Kosakowski i BOJWIŁ.

Nu! ja cię nożem przebiję,
Ja nie twoja nierządnica.

Do Starościca.

Panie! od tego szlachcica
Ratuj! skoczył mi na szyję
Jak wąż, jak płomień z pod ziemi,
Wyskoczył do mnie w alkierzu.
Patrz! on cały w prochu, w pierzu,
Z oczyma zapalonymi
Jak Edomit.

KOSAKOWSKI.

Milcz, szatanko!

JUDYTA.

Patrzaj ty na mnie, człowieku,
Jestem Izraelitanką.

Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów,
W czarnej i ognistej chmurze,
I rozbłyskał się na całe niebiosa.
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzy, to się góry pokłonią!
A jak błyśnie, to ślepota na ludy!
A jak zagrzmi, to się groby odsłonią!
A jak ścichnie, świat się cały odmieni,
A skrę rzuci, to świat będzie z płomieni
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie;
A brwi zmarszczy na czole, to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie, świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie.
I któż jesteś ty, gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty, chrześcijaninie?
Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczyny,
Jak ten drugi, co w Jerozolimie,
Choć poselstwa do Judy nie mając,
Zaćmił księżyc i słońce, konając.
Któż ty jesteś? nu, że chodzisz cieniem,
Jak duch jaki za owczem gdzieś runem?
I dotykasz się piersi piorunem?
I z rąk chwytasz za szyję płomieniem?
Nu, ty zginiesz jak duch w błyskawicy!
I przy lampie, co stoi przy łożu,
Łba twojego w żydowskiej miednicy
Twoi słudzy obaczą przy nożu,
I przelękną się łóżka i ciała.
Nu, ja sama, gdy to rzekła, zadrżała,
A ty nie drżysz? któż ty jesteś, człowieku?

KOSAKOWSKI.

Na twe czoło wykąpane
W ptasiem gołębicy mleku!
Na twoje usta różane,
Których łuk napięty drży!
Na ten szprejtuch, który skrzy
Niby złoty jaki kruż,
W środku pełen białych róż!
Na twe oczy, z których bije

Razem żar i noc i dzień!
Na twoję łabędzią szyję!
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę, gdzie gromada
I brylantów i rubinów
Pali się jak tysiąc świec,
Lub nad głową cherubinów
Z różnych gwiazd uwity kłąb!
Na każdy z perełek ząb,
Co jak skrzydełko gołębie,
Bieląc czepca aksamity,
Spuszcza się na skroń błękity!
Na każdą perłę w tym zębie,
Co jakoby grochy duże
Zwinęły się w srebrną różę
I twoję głowę oblały!
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów i piękności!
I na królestwo miłości
Przysięgam.

JUDYTA.

Co?

KOSAKOWSKI, *urągając.*

Miłość wieczną.
Bojwile, pod straż bezpieczną
Wziąć mi tę synogarlicę.

Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy.

STAROŚCIC, *do Kosakowskiego.*

Puść waćpan tę żydowicę.

KOSAKOWSKI.

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

STAROŚCIC.

Zgoda...

Dobywają szabli i biją się. Starościc pada.

Dostałem śmiertelnie.

KOSAKOWSKI.

Sam się przebiłeś tą bronią.

STAROŚCIC.

Rana pali mię piekielnie.
Księdza!

KOSAKOWSKI.

Trzymajże za brodę
Duszę, aby nie uciekła.
A ja ci księdza przywiodę.

Odchodzi.

STAROŚCIC.

W tej krwi, co ze mnie wyciekła
Więdnie moja blada skroń.
Jezu! Jezu! ty mię broń
Przed skonaniem od rozpaczy!
Cóż tam będzie, gdy zobaczy
Matka moja starościna,
Że na marach niosą syna
Przez posępne z lip aleje,
A z mar syna krew się leje,
A służący trupa kryją...
Cóż tam będzie! gdy zawyją
Moje psy u moich bram?
Gdy mój stary dziadek sam
Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
Oczy wlepi w moje oczy
I na nogach się zatoczy,
I na ciało się powali,
I na piersiach mi zaryczy!
Jezu! Jezu!

Wchodzi KOSAKOWSKI, wiodąc KSIĘDZA MARKA w ubiorze mszalnym z monstrancją — w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów ze sztandarami.

KSIĄDZ MAREK.

Kto tu krzyczy,
Kto tu z jękiem woła Pana?

STAROŚCIC.

Moje serce, moja rana
Bolesne usta otwiera,
Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

KSIĄDZ MAREK.

Kto ufa, ten nie umiera.

STAROŚCIC.

Mówisz o wiecznym żywocie!
Zamyka oczy i kona.

KSIĄDZ MAREK.

Zaprawdę, kto nie doczeka
Na jasny męczeństwa wieniec,
A krew rzuca jak szaleniec
Pod miecz drugiego człowieka
I drogie utraca ciało,
Gdy tej krwi biednej tak mało
Tutaj na obronę bożą,
Wart, że go w trumnie położą
Ludzie przy białym świeczniku;
I zapomną o nim na ziemi
Jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
Niewartym nawet powszedniej
Modlitwy, jednego krzyża,
Niewartym nawet łzy jednej!
Lecz Chrystus, co się przybliża
Do twych ust pełnych rozpaczy,
Które go wołały z jękiem,
Człeku, niechaj ci przebaczy.
I niech twój grobowiec młody
Ukraińskich kwiatów wdziękiem
Okwitnie. O Boże! Boże!
Jakie to matkom zawody!
Jakie dla ich serca noże!
Jakie za miłość wypłaty,
Takie wczesne dziatek straty!
Takie śmierci z marnych sprzeczek
Wynikłe, zgony gwałtowne,
A zaś równie nieodzowne
Jak tamte, co są dla Boga.
O! jak te garstki kosteczek,
Które śmierć odnosi sroga,
Drogie im w dzieciństwie były!
Ile mleka, łez wypiły!
Ile za nimi pacierzy
Pobiegło w złote niebiosa!

Zamyka mu oczy.

Umarł... Trup przed wami leży,
Młodzieniec złotego włosa
Wczoraj jeszcze kwiat młodzieży! —
Oto zszedł ze świata tego
Syn Jaśnie Oświeconego,
Dziedzic Barku i Ladawy,
Na wejściu w związki książęce. —

Weźcie ten pierścionek krwawy
I oddajcie go panience.
A nad trupem, co tu leży,
Zaśpiewajcie Anioł Pański.

Pokazuje na Kosakowskiego.

A to służalec szatański,
Człowiek mordu i grabieży,
Gwałtownik i pijanica,
Pusty jak djabła kaplica,
Krzykun jak wojna kokosza,
Złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł,
Chodząca jakaś szkarada:
Do którego nie przypada
Żaden dawny polski tytuł.
Starosta? Lecz on na głowie
Niema zasług, ani lat!
Podskarbi? sam niechaj powie,
Niechaj publicznie obwieści,
Ile grosza wczoraj skradł:
Cześnik? ale on bez cześci!
Miecznik? ale on jest kat!
Nawet nie człowiek! bo oto
Leży jego jeden brat,
Z którego krew szczerozłotą
Tak czystą, młodą, rumianą,
Ojczyźnie ofiarowaną
Ten człowiek wytoczył z serca.
Więc nie człowiek, lecz morderca
Stoi pod nami i zgrzyta.
Otóż mówię w imię boże,
Że odtąd jako banita
Jako szatanowie czarni,
Pójdzie na świata bezdroże,
Pędząc gdzieś pod błyskawice,
Do mglistej w deszczu latarni,
Przez krwią zbryzgane ulice,
Śród zgiełku i tarabanów;
Z odwagą w sercu umarłą
Bez sądu położyć gardło.
Proszę więc wielmożnych panów,
Abyście go od tej chwili,
Jako zdrajcę opuścili,
Jak Moskala się wyrzekli,
Jak od choroby uciekli,
Zamknęli sąd jak nad ściętym,
Jak dla węża łez nie mieli,
Jak o zmarłym zapomnieli;

A myśląc jak o wyklętym,
Żegnali się i truchleli.
A ty, na twój koń czerwony
Siadaj... bo drżysz jak niewiasta.
A jeśli dla swej obrony
Nie masz wyrzec nic? precz z miasta!

SZLACHTA, *wyprowadzając Kosakowskiego.*

Oczy jego obłąkane,
Milczy i z ust toczy pianę.

KSIĄDZ MAREK.

Posadźcie go na rumaka,
Dajcie w rękę szablę gołą
I połóżcie ją na czoło
Jak miesiąca w półpromieniach.
Śniła mi się postać taka
W przenajświętszych objawieniach,
Żem ją Duchem bożym cisnął,
I gnał w ciemność krzyża znakiem,
A za nim i za rumakiem
Cztery razy piorun błysnął.
Królowo świętych! proroków!
Najświętsza panno Marjo!
Każ, niech mi pioruny biją,
Proszę o salwę obłoków
I grzmoty: Salve Regina!

SZLACHTA.

Niebo się łyskać zaczyna,
Koń rycerza na kieł bierze.

KSIĄDZ MAREK.

Gwałty, morderstwa, grabieże
Precz z Polski!

SZLACHTA.

Grzmot już tu bije...

KSIĄDZ MAREK.

Wszemu duchowi, co żyje,
I tym, którzy przyjdą nowi,
Czyści, stać przy bożem prawie,
Tym kielichem błogosławię.

Błogosławi chmury śród ognistych trzaskawic.

Chwała Ojcu i Synowi
I Duchowi świętemu, chwała!

SZLACHTA.

Niebo od piorunów pęka,
Z wałów biją wszystkie działa.
Kto żyw niech przed Bogiem klęka!
Pan zwycięża! Narody giną!

KSIĄDZ MAREK, *śród najmocniejszych piorunów.*

Gloria in excelsis Domino!

SZLACHTA, *na klęczkach.*

Pioruny trzęsą biegunem!
Panie! proch z nas i ofiara,
Lituj się naszego jęku!

KSIĄDZ MAREK.

Wstańcie! teraz wasza wiara
Zapalona jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.

Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.

SZLACHTA.

Idźmy, prowadzi na wały...
Dzień to zwycięstwa i chwały!
Dalej z działkiem za rajtarją!

CECHOWY.

Naprzód sztandar z Panną Marją,
Naszą świętą z Poczajowa...
Słyszycie? to Suwarowa
Baterja gra posępnym basem
Kantyczce naszej do wiersza.
Odezwała się najpierwsza
Pod hawryszowieckim lasem...

GŁOS Z POZA SCENY.

Cud! cud!

CECHOWY.

Co tam?

GŁOS Z POZA SCENY.

Jedna ruska
Baterja z ziemi porwana.
A na płomieniach wulkana
Zjawienie!... I wał konnicy,
Której koń we krwi się pluska,

W samo morze z błyskawicy
Jak wał żelazny się wali...

CECHOWY.

Wszelki Duch Chrystusa chwali!
Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu.
Scena oświecona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg słychać odgłosy dalekiej walki. KOSAKOWSKI wlatuje, waląc się z konia, z drugiej strony z poza karczmy wychodzi BOJWIŁ.

KOSAKOWSKI.

Zwierżgnął mię rumak przelękły,
Popręgi u siodła pękły,
Wyleciałem stąd jak śpiąc,
Obelżony, duchem złaman.
Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
Każę ćwiczyć po ulicach,
Będzie bity tak jak Aman.

BOJWIŁ.

Ktoś tutaj przy błyskawicach
W ognistej ulewy skrach
Stoi jak upiorny strach,
Co to jest? to rotmistrz nasz?

KOSAKOWSKI.

Obelgami zlał mi skronie,
Piorunami dał mi w twarz,
Przed nim siedział duch mój w łonie,
Jako robak w trupie siedzi,
Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
W który kula uderzyła,
A twarz jako słońce była,
A w źrenicach mocy sto.
Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

Stuka do karczmy.

BOJWIŁ.

W tej karczmie niema nikogo,
Tylko żydowska dziewczyna
A na belce — trup rabina.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz!

BOJWIŁ.

Jakąś trwogą
Wskróś przejęty, nie śmiem, panie,
Trup ci przed oczyma stanie,
Trup rabina się pokaże.

KOSAKOWSKI.

Otwórz! otwórz! ja ci każę!
Niech widokiem tym ohydzę
Moje oczy...

BOJWIŁ.

W oczach ćmi się
Od błyskawic... drzwi nie widzę.

KOSAKOWSKI.

Oczy moje jasne, rysie,
W oczy tego żyda wszczepię,
Na bladościach je oślepię
I na strachu zahartuję.
Tysiąc trupów mi się snuje
Przed oczyma, widma same!
I ja widmo... Otwórz bramę!
Choćby ją sam szatan kuł
I przed piekłem ją postawił,
Szablą ją rozetnę w pół.

Bije we drzwi szablą — i brama się odmyka, ze środka rozepchnięta... w bramie pokazuje się JUDYTA w worku szarym ubrana, z bosymi nogami.

Jakiż mi się szatan zjawił?

JUDYTA.

Nu!... Czemu bramę rozbito,
Gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

KOSAKOWSKI.

To ja, Judyto.

JUDYTA.

Ach... czemu ty taki siny
Jak zabójca? oczy w słup?

KOSAKOWSKI.

Daj wody, pragnę jak pies.

JUDYTA.

Nu... ja ci dam moich łez!
Nie chodź tu, bo w karczmie trup.
A ja sama siedzę boso
Na popiele w szarym worze.
Póki trupa nie wyniosą,
Żaden goim wejść nie może,
Gdzie żydówka na bosinach,
A przed nią trup na drabinach
W śmiertelnej leży koszuli.

KOSAKOWSKI.

Judyto...

JUDYTA.

Nu... co?

KOSAKOWSKI.

Chcę wody.

JUDYTA.

Nu... czy ty żebrak na kuli?
Ty możesz robić — ty młody;
Młode jeszcze twoje lata,
Możesz być hyclem u kata.

KOSAKOWSKI, *dobywając szabli.*

Jezu!

JUDYTA.

Ha... ty przy orężu?

KOSAKOWSKI.

Kobieto! szatański wężu!
Co świszczesz urągowiskiem
A nie drżysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i blada jak kreda.
Wiedz, że z mojego rozkazu
Powieszono tego żyda
Bo mię zdradził...

JUDYTA, *przez ciąg jej mowy słychać ciągle odgłos dalekiej walki.*

Nu, do razu
Ja to zgadła i wiedziała,
Że się to przed Bogiem wyda.
Ty okradł i zabił żyda,
I z jego martwego ciała
Zostawił posag żydówce;
A sam poprowadził hufce,

Jak wiatr co się w polu miota,
Jako Polak patrjota,
Jako rycerz krwią czerwony,
Jak pan wielki oświecony,
Jak twej ojczyzny dobrodziej;
Choć ty zabójca i złodziej
Brzęczysz od mojego złota;
A ja, przez ciebie sierota,
Przy okradzionym kantorku
Siedzę w popiele, na worku,
A przedemną z trupem drabina.
Nu, czy ty wiesz? jak rabina
Trup po śmierci straszny, srogi?
Jak od wschodu leży głowa?
A z drabiny sterczą nogi?
Czy ty wiesz, co się nazywa
U chłopów noc rabinowa?
Co dęby w puszczach porywa,
Domy znosi jak namioty
I całą noc sypie grzmoty
Głośne jak Jehowy słowa:
A dlaczego rabinowa?
Nu?... a czemu piorun głuchy
Taki jasny? a świat drżący?
Bo to są rabinów duchy,
Nu... i trup się ten modlący,
Co siedzi wtenczas w bóżnicach
Przy wichrze i błyskawicach,
Pod czarnym kahałów dachem,
I z pacierzem i z rejwachem,
I z płaczem aż do niebiosów,
I z jękiem i z rwaniem włosów,
I z żałobliwymi słowy,
Modlący się do Jehowy,
Aby zdjął już z Izraela
Przekleństwo... A gdy Jehowa
Piorunami wtenczas strzela
I sprawuje taki zamęt;
To widać, że płacz i lament
Panu Bogu się podoba,
Że biednych żydków żałoba
Pioruny jego zapala.

Słucha grzmotu dział.

Nu, tam teraz u Moskala
Wielki strach Chrystusa Pana:
Ksiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
Duchem rozrywa harmaty
I w białym świeci habicie

I krwi ma aż po kolana;
A ja tu, żydowskie dziecię,
Sierota w waszej krainie,
Siedzę przy trupiej drabinie,
Przy wietrze, co wieje od trupa,
A podemną popiołów kupa,
A na mnie wór podły, szary;
A ja podobna do mary
Z twarzą bielszą od miesiąca,
Z zabójcą rozmawiająca,
Z szczęścia jak kwiat oberwana,
W żałości jak obłąkana,
O zabójstwie jakby śniąca,
A we śnie łzami zalana,
A w strachu, jak wiedźma blada,
A zemstą w niebo porwana,
A w przekleństwach jak piorun, co spada!

W najwyższej egzaltacji, przy odgłosie dział.

Nu, więc teraz ja się zrywam
I o ściany tłukę głową.
Ja przekleństwem się nazywam
I nazywam się zagubą.
Krwią i burzą rabinową,
Wichrem, deszczem, nocą grubą,
Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą!
Bo w tem sercu są wichrzyce,
Co was i rozerwać mogą!
Nu, bo w puchu błyskawice,
Co świat cały mogą spalić!
Bo oto ja tchnęła na pole
I chorągwie zaczęły się walić,
I wasz duch leży na dole
Podobny wężowej chmurze;
A ja tu stoję na górze
I podnoszę zemsty ramię,
I nogami go depcę i łamię,
I odpędzam precz z pola do miasta!

Strzały harmatnie ustają nagle.

Abyś wiedział, że judzka niewiasta,
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu
Zemstą ojcowskiego zgonu.
Jest jak noc, cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,
Jest jak głaz w Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,

Jest jak strach, co serca napełnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia.
Ten sąd macie chrześcijany,
Ja go na was trzęsę z rąk!

W największej furji trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami przekleństwa na pole.

KOSAKOWSKI.

Żydówko, ja twoich mąk
Nie winien... bo obłąkany,
W zupełnej nieprzytomności
Dałem znak chustą czerwoną
I mój rozkaz wypełniono,
Wypełniono bez litości.
A jam tu powracał po to,
Bym żydowi oddał złoto
A porwał córkę żydowską.

JUDYTA.

Kogo, powiadasz, goimie?

KOSAKOWSKI.

Przysięgam na Matkę Boską,
Ciebie samą.

JUDYTA.

Powiedz imię?

KOSAKOWSKI.

Judytę.

JUDYTA.

O! wielki Boże!
Kiedy wczora ja w komorze
Całowała twoje nogi
A ty jak pan wielki szumiał,
Ty ust moich nie zrozumiał!
Ty mię nogą pchał z podłogi,
Jak człek, co gałganem miota!
A dziś, czy ja tobie droższa
Przez to, że dziś ja sierota?
I od żydów najuboższa,
I od kobiet niegodziwsza,
I od wszystkich węży mściwsza;
Śmiertelnieisza od żelaza!
Że ja?... Nu, ja... jak zaraza
Dmuchnęła i wiatr popsuła?!
Nu ja... prawda, co mówicie,

Igiełkami dzieci kłuła
I wieszała na suficie
I robiła ze krwią ciasto.
Nu, a teraz wasze miasto,
Chociaż wiem, że sama zginę,
Tak zakłułam jak dziecinę,
Aż krwią skapie purpurowe.
Jeśli ty kat, to nie czekaj,
Lecz mi szablą zetnij głowę,
Rzuć za siebie i uciekaj
Pełny trwogi i popłochu,
Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu
Widma, co zagaszą słońce!

KOSAKOWSKI.

Wielki Boże! w karczmie Dońce!
I piechotny bagnet świta!
Ty zdrajczyni!

JUDYTA.

Ja, Judyta!

Wchodzi do karczmy.

KOSAKOWSKI.

Bojwile! miasteczko wzięte!
Czyńmy to, co jeszcze można.
A ty, coś wydała święte
Kościoły, furjo bezbożna!
Przysięgam ci, że powrócę,
Za włosy ciebie pochwycę
I w żar płomienisty rzucę,
I spalę jak czarownicę.
I strzaskasz się jak suchy pień...
Gdzie mój koń?... to sądny dzień!

Bojwił i Kosakowski wychodzą.

Z karczmy wychodzi KRECZETNIKOW, jenerał moskiewski, SUWAROW, oficer, ADJUTANT i moskiewskie wojsko.

KRECZETNIKOW.

Tak się przez żydów każde miasto bierze.
Suwarów, weźmij z sobą sotko ludzi
I od klasztoru postaw tak żołnierze,
Aby schwytali księdza cudotwórcę.
Ten mózg, co twoje dziś rękawy brudzi,
Krew, koralowej podobna paciórce,
Która ć na czole błyszczy, bestjo dzika!
Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

SUWAROW.

Sława Rosjanom!

Odchodzi.

KRECZETNIKOW.

Gdzie jest pan Branecki?

ADJUTANT.

Gada z karczmarką.

Wychodzi.

Wchodzi BRANECKI, prowadząc za rękę JUDYTĘ już ubraną jak poprzednio, w pięknym żydowicy stroju.

BRANECKI.

Na honor szlachecki!
Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.
Dałem jej kiesę pieniędzy,
Rzuciła na ziemię złoto,
Zdjęła worek, z bladej twarzy
Obtarła popiołów błoto
I stoi cała w klejnotach
Jak paw, kiedy rozwachlarzy
Ogony.

JUDYTA.

Nu, wy w namiotach
Mieli od mojego sługi
Pokazany ten loch długi,
Idący tu do piwnicy.
Teraz wy, jak na gościnię
U rabina żydowicy,
Szanujcie ludzkie żywoty,
Niech tu żadna krew nie płynie.
Niech tu nie grzmią żadne grzmoty,
Bo...

BRANECKI.

Bo i cóż?

JUDYTA.

Bo ja proszę.

BRANECKI.

Na twoję instancją wnoszę
Tę prośbę do jenerała,
Aby wiatrem nabił działa
I kul nie dawał harmatom;
A manifestami z lawet

Walił w tył konfederatom,
Oddawszy im to wet za wet,
Co nam niosła ich wymowa,
Za wiatr — wiatr, za słowa — słowa.

JUDYTA.

Nu, kto ty, co mi urągasz?
Czy ty pies, że ludzkie kości
Na polu zębami ciągasz?
I nad trupem jesteś w złości?

BRANECKI.

Co, najpiękniejsza z karczmarek?...
Wziąć ją, ręce związać sznurem.
Niech czeka.

Moskale wiążą Judyty ręce w tył i krępują powrozami. — ADJUTANT wchodzi, prowadząc KSIĘDZA MARKA pod strażą.

ADJUTANT.

Oto ksiądz Marek!
Pod samym klasztornym murem
Z szablą w ręku, wzięty w plen.

BRANECKI.

Co? ksiądz Marek? oszust ten?...
Czy to ty jesteś, mój klecho?

KSIĄDZ MAREK.

Ja sam.

BRANECKI.

Bądźże nam pociechą
I grzesznych orędownikiem.
Księże, tęgim jesteś ćwikiem,
Oszukiwałeś rok cały
Wszystkich nabożnych i głupich;
Biłeś się jak jenerały
I chciałeś sobie z głów trupich
Wybudować kazalnicę,
Skądbyś mógł do króla gadać...
Czas ci na osiołka siadać,
Przejechać się przez stolicę,
Gdzie już nie podolskie mózgi
I szlachecka cię głupota
Przyjmą, ale kat i rózgi;
Bo ta twoja tu robota,
Te bunty i te powstania
Warte tylko wysmagania.

KSIĄDZ MAREK.

Czegokolwiek one warte,
Pokornie proszę waćpana,
Abyś me piersi rozdarte
Lekarzom opatrzyć kazał.

BRANECKI.

A gdzież ty tak habit zmazał?
A gdzież wzięta owa rana?

KSIĄDZ MAREK.

Na polu, z ręki Moskala.

BRANECKI.

Jak to? więc Pan Bóg pozwala,
Że i święci noszą blizny?

KSIĄDZ MAREK.

Tak, mospanie dla ojczyzny
Pozwala Pan Bóg i świętym...

BRANECKI.

A rózgami być ociętym?

KSIĄDZ MAREK.

I to zniosę.

BRANECKI.

Kreczetnikow,
Daj mi, proszę, dwóch burłaków
Z sekty twoich biczowników,
Bo w całym hufie Polaków
Niema ludzi... a ten klecha
Zna się na bicia dobroci.
Patrz, jak się na to uśmiecha,
Że Moskal mu kość wymłóci...
Hej! bić go tak, aż krwią się spluszcze.

Stają żołnierze przy księdzu.

KSIĄDZ MAREK, *pokazując przed sobą palcem na ziemię, do Judyty.*

Upadnij tu na kolana,
Córko, niechaj ci odpuszczę.
Idę do mojego Pana.

JUDYTA, *rzuca się na kolana, szlochając.*

Przeklnij! przeklnij!...

KSIĄDZ MAREK.

Ja, Judyto?

Oto naród mój zabito!
Oto, patrzaj! tam w oddali
Płomień... Dom się boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem
I niebo kole płomieniem,
Jak miecz archanioła kręty,
Już na brusie pociągnięty,
Ostrzem postawiony w górę,
Miecz gotów karać naturę!
Ludzi, że są przeciw cnocie,
Braci, że rwą serca bliźnie,
Polaków, że przeciw ojczyźnie,
Niewinnych, że są w ciemnocie,
Winnych, że w jasności ślepi.
Oto miecz z płomieni różnych,
Co wkrótce niebo rozszczepi,
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije,
I powali i nakryje
Gwałty, płacz, mordy rumiane
I to miasto wyrzynane
Jak anioł ognia pochłonie.
I podobny jest koronie
Z hjacyntu, z chryzolitu,
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy boskie trzymanej,
Aż naród zegnie kolano,
O Bogu pomyśli w burzy
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.
I jest jeszcze jako kręta
Burza, co płomieni ręką
Porwała tam sakramenta,
Krzyże, hostje z pańską męką,
Obrazy przeświętych wzorów,
I grobowce fundatorów,
I podłogi, które rosi
Ludu łza, nawet kamienie;
Zawinęła je w płomienie
I Panu Bogu odnosi.
Więc i te drzewa żałobne,
W Zielone Świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone,
Listki jak iskierki drobne
W rubin na nitki znizane,
Jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze;

Te drzewa, to harfy boże,
Od kościelnego krawędzia
Idące rzędy długimi,
To Dawidowe narzędzia
Hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z triumfalnych
Pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych
Duchową ręką trącane.
Widzę Boga! któż mi oczy zakryje?
Chwały niewypowiedziane
Widzę! głosy wielkie słyszę!
Boga, co mi ogniem pisze
Nowy rozkaz, nowe prawo!
Oblewa mnie swoją sławą!
Ogniami męczeństwa złoci!
Pan Bóg mój pełny dobroci!
Którego mię rany bolą
A wola jest moją wolą.
I ja, przez tych świateł krocie
Oświecony, miałbym, córo,
Nie przebaczać tu ślepocie?
Lecz we krwi umoczyć pióro?
Ja, którego Bóg dziś słucha,
Wydać mam na twego ducha
Wyrok na wieki tracący?...
Owszem, węgiel gorejący
Na bladych ci ustach kładę;
Zmazuję wszelką szkaradę,
Wszelkie jady, co je ślinią,
Abyś była prorokinią
Przyszłą między twoim ludem,
Nawrócenia żywym cudem,
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą;
Świecącą przymierza tęczą,
Świecącą, aż pioruny uderzą
I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
Bo wiedz, córko, że wszystkie ci zbrodnie
Odpuszczone są na wieki wieków.

Obraca się do Moskali.

A teraz krzyża i ćwieków,
A co macie czynić, czyńcie prędzej.

Wyprowadzają go straże.

JUDYTA.

On przebaczył, bo ja w nędzy,
Bo on wie, co ja cierpiała...
Puśćcie mnie do jenerała,
Do ruskiego wojownika.
Nu... niech on księdza nie tyka,
Bo straci całe obozy,
Piorun mu spadnie na ramię.
Bo tak... jak ja rwę powrozy,
Tak ja mu wojsko połamię!
Spalę lud jak błyskawica!

MOSKALE.

Czarownica! czarownica!

JUDYTA.

Nu, ja wolna przed grabieżą
I przed ogniem i przed katem.
Jeśli tam księdza uderzą
Jednym tylko, jednym drutem,
Tak wy padli z całym światem!
Ta krew wasza jednym łutem
Nie zaważy przed krwią Judy!...
Nu, tam patrzcie! oto cudy!
Oto w pożarach wychodzi
Ksiądz męczony.

BRANECKI.

Co to znaczy?
Kto nam tu stracha przywodzi?
Ty ksiądz... tysiąc sto kartaczy!...
Widmo po pas obnażone
Z katowskiej wychodzi chaty.
A za nim się wloką katy,
Niby dwa słońca czerwone,
Niby dwa czerwone duchy,
Zgięci jak żebracy na kulach
I biją się po koszulach.
A koszule markietanów
Od czarnej smagalnej pluchy,
Są jak skrzydła u szatanów,
Oczy przenikają zgrozą,
Powietrze całe czerwienią...

Wchodzi KSIĄDZ MAREK.

KSIĄDZ MAREK.

Lub się serca w katach mienią,
Lub Pan oczy zaćmi ślozą...
A ciemna to była chata,
Gdzie mię po pas obnażono.
Więc zamiast bić w moje łono,
To kat się rzucił na kata
I we krwi się oba pluszczą...
Rozłączcie ich, bo się nie puszczą,
Aż skonają.

KRECZETNIKOW, *do katów za scenę.*

Precz, sobaki!
Wziąć ich, zanieść do szpitala.
Branecki, cudownik taki
Harmaty nam pozapala,
Zrobi bunt w moskiewskiej armji.
Ach! tam Katarzyna karmi
Tyle mnichów ruskiej wiary;
A wszystko chłopy do miary,
Poszczą chlebem i jesiotrem
A żaden cudów nie umie.

BRANECKI.

Poślij jej żydówkę z tym łotrem.

KSIĄDZ MAREK.

Cokolwiek w twoim rozumie
Ułożysz, to nie pomoże,
Bo ja tu ciało położę
Pierwsze dla kraju i wiary.
I mój kopiec jak sztandary
Będzie trwał — aż wiek przeminie,
Aż ludzie z jasnymi skrońmi
Pokażą się w tej krainie,
Wchodząc ducha mego bramą.
Więc nie porwiesz się stąd końmi!
Ani nawet śmiercią samą!
Mój duch wiecznie tu i ciało
Przyszłego kościoła skałą.

KRECZETNIKOW.

Hej, z kibitką kapitana!

KSIĄDZ MAREK.

Patrz, kogo wysyłasz ze mną,
Bo na drogach pańskich ciemno,
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga
Krwią szaleńców roztrąconych o Boga.

AKT III.

Plac w Barze. Wchodzi KOSAKOWSKI (ubrany jak sługa szpitalów zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze).

KOSAKOWSKI.

Zaraza, co tu panuje,
Gdzie Moskale wiatr popsuli,
Gorsza od miecza i kuli,
Tysiącami ludzi truje,
Z trupów czarnych urodzona,
Stojąca jak widmo w wale.

Pełne Moskalów szpitale,
Każda karczma zarażona.
Każdy człowiek straszny, blady,
Sine włóczą się gromady
Z krwią i ogniem pod powieką;
Zgniłe prześcieradła wleką,
A głowy w skwawionych chustach
Wspierają na rękach chudych,
Z węglem i ze krwią na ustach,
Pełni plam zielono-rudych,
Ponurzy, jak rozbójnicy,
Jak wilcy na krew gotowi.
Przypatrzyłem się ludowi,
Co tam, przed Boharodycy
Namiotem klęczy i leży,
Pałaszami namiot kraje
I Boharodycy łaje,
Nazywa ją matką żołnierzy,
I pochlebia i klnie na przemiany.

A tak wszystko zaraza rozprzęga,
Że oto w smołę ubrany,
Rzuciwszy na plecy haki
Jak koń, który się zaprzęga
Do ciał, włóczę te sobaki;
Wyciągam z miasta za bramy
I rzucam nagie do jamy;
A nikt o to nie zapyta,
Kto ja jestem? skąd przychodzę?
Mógłbym sztyletować wodze,
Mógłbym zatruć wód koryta,
Mógłbym — wszędzie chodzę wolny —
Wejść aż do jenerałowej
W nocy jako upiór smolny,
Wziąć lampę, która u głowy
Przy srebrnym obrazie świeci,

W kołysce podpalić dzieci,
Blaskiem zbudzić matkę śpiącą
I z pochodnią gorejącą
Jak upiór wynijść z sypialni.

Tymczasem błądzę jak pjany
Pośród tej okropnej szczwalni,
Gdzie zaraza swe szatany,
Psy swoje czarne puściła...,
Gdzie dom... spojrzeć, to mogiła,
Gdzie łóżko, tam trup być musi.
Par cięży, powietrze dusi,
Gwiazdy, jakby przelęknione,
Chodzą smętne i czerwone;
Wyją psy na pustych bramach
I rwą zębami łańcuchy.
A w polu, przy trupich jamach
Jakieś płomienie jak duchy
Stoją, czasem szyję zegną
I za człowiekiem tak biegną
Kolory z ognia fałszywe,
Tak lecą jak trupy żywe,
Owinięte przez płomienie,
Jak moje za mną sumienie!

Bo to ja, com tu zaszczepił
Ruinę, gwałt, mord rumiany.
W żądzach niepohamowany,
Kiedy mię szatan oślepił,
Leciałem, gryząc wędzidła,
Własne rzuciwszy sztandary.
I przezemnie ten ksiądz stary
Odbieżany szedł na boje,
Jak ptak bez jednego skrzydła,
Żebraków zebrawszy roje
Zbrojne w siekiery i kosy,
Siwe swe rzuciwszy włosy
Za sztandar, i męczenników
Krzyżem oświecając złotym.
Ja zbieg! zdrajca jego szyków!
Gdy siadłem nad trupów rowem,
Kiedy pomyślałem o tem,
Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,
Jasny jak światło jarzęce,
Stanął mi w myśli upiorem;
Gdy do nieba podniósł ręce,
I pokazał nad klasztorem
Ogień, dym, czerwone dachy
I w cieniu ruskie bermyce,

I na tych bermycach blachy,
Jak złote, wielkie księżyce,
Ciągnące ku pożarowi,
Ból i strach mię przejął mrowi;
I przysięgłem furją zdjęty,
Że choć sam, chociaż wyklęty,
Zbawię go, albo tu zginę.
A tę żydowską dziewczynę
Będę trzymał w mojej mocy,
Porwę i gdzieś w czarnym jarze
Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

Wchodzi JUDYTA.

JUDYTA.

Co zrobisz ze mną, goimie?
Nu, ksiądz mi odpuścił święty.
Ja przyjęła Sakramenty
Z jego rąk i mam na imię
Salomea.

KOSAKOWSKI.

Więc ksiądz żywy?

JUDYTA.

Ksiądz, on człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi.
Nu, on nie lęka się ludzi...

KOSAKOWSKI.

Ale go pletniami zbito?

JUDYTA.

A kto tego bicia liczył?
Jego palmami zakryto
Słonecznymi od niebiosów,
A kat się na śmierć zaćwiczył
I szedł krwią kapiący z włosów,
W koszuli, cały rumiany,
Przez siebie zakatowany
Na śmierć... i umarł w szpitalu.
Nu, a potem w tym Moskalu
Była myśl księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić.
Więc okuli jemu nogi,
Ubrali go w chłopskiej świtce,
Położyli na kibitce,
Koń zaprzęgli do niej srogi
I szalony i gorący,

Jak smok dyszlem targający.
I siadł na kibitce zwoszczyk
I kapitan w hełmie z blachy
A blady był jak nieboszczyk;
I usiedli dwa szyldwachy.
A noc była ciemna, głucha,
Wielki lament i rozpacze;
Słychać było, że lud płacze,
Słychać było, że Bóg słucha;
Bo stanęła po rejwachu
Jakaś wielka cichość strachu,
Gdy kibitka się ruszyła
Z naszym ojcem śród miasteczka,
Bo wieść między żydków była,
Że on, ten ksiądz, jak owieczka
Dał się okuwać w kajdany,
Że mu krew bluznęła z rany,
Że był znowu biczowany
W pysk przez Braneckiego bity,
Jak trup, dla tego zakryty,
I cały we krwi czerwony;
Bez sił, dla tego niesiony,
Bez ducha, bo już nie jęczał,
A w łańcuchu, bo zabrzęczał,
Gdy go kładli do kibitki.
Nu, i potem tylko kitki
Tych Moskali, jak płomienie
Poleciały na stracenie,
Poszły w ciemność z wielką burzą
Nu, a ludzi było dużo
Na tym placu, wszyscy czarni,
Przy jednej tylko latarni,
Która była pałająca;
Bez gwiazd żadnych i miesiąca,
W nocy na strasznej pustoszy,
Jak na jakiem grobowisku.

Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy
Konie jakie na urwisku,
To co? — głowy się strzaskały!
A on został jeden, cały,
A na wozie ludzkie trzewo,
Trup na prawo, trup na lewo,
Kapitan przy swoim Dońcu,
Zwoszczyk żyw, lecz jak śmierć biały.
I wóz jego we krwi cały,
A ksiądz jakby cały w słońcu,
Na wozie, w męczeńskiej szacie,
Jak na jakim majestacie

Jechał spokojny i żywy,
Bo on człowiek sprawiedliwy
I święty...

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, Judyto!
Zwiedź mię ty z tym karmelitą.

Na stronie.

Ach! łza jej do pereł grochu
Podobna... zemstę już gasi...

JUDYTA.

Prorok wasz zamknięty w lochu,
A czy są rycerze wasi
Blisko? Ja go wam wyzwolę.

KOSAKOWSKI.

Ty?

JUDYTA.

Przy waszym apostole
Ja córka i stróż.

KOSAKOWSKI.

Ty sama?

JUDYTA.

Nu, ja mu wolności brama.
Ja mu róża od Saronu,
Chociaż bardzo bliska zgonu;
Ja konwalja mu pachnąca
I wolnością i weselem...
Nu, ja stąd odlatująca.
Jak duch jaki do miesiąca,
Z całym dawnym Izraelem;
Aż powrócę — bom duch wielki,
A u Panny Zbawicielki
Na niebie oczekiwana.

KOSAKOWSKI.

W imię Ojca, Ducha, Pana!
Co ty gadasz?

JUDYTA.

Nu, ja sama
Nie wiem... Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni
I o księdza będą prosić,

I po mieście zarażeni
Biegać i ogień roznosić,
Kołdry targając ogniste...

KOSAKOWSKI.

Co ty mówisz? Jezu Chryste!
Szpital spalić?

JUDYTA.

Nu, a oni...

KOSAKOWSKI.

Niechaj ciebie Pan Bóg broni
Od tak haniebnego czynu.

JUDYTA.

Gdyby z każdego rubinu,
Co na czepcu moim świeci,
Była iskra, niechaj leci!
Niechaj się za duchy chwyta!
Zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.
Nu, ja nie Polka, ja mściwa...
Ja żydówka! Ja Judyta!

KOSAKOWSKI.

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
Piękność twoja nieśmiertelna,
Jakaś straszna i piekielna:
Ząb perłowy kiedy zgrzyta,
To mi serce w piersiach lata.
Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzczona — córko grzmotów!
Ja się z tobą żenić gotów.

JUDYTA.

Nu, a ojciec?

KOSAKOWSKI.

Żyd, wisielec...
Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec
I bosiny po rabinie...

JUDYTA.

A jak jego duch zobaczy?

KOSAKOWSKI.

W jakiej ty żyjesz krainie,
Że o trupach zawsze gadasz?

JUDYTA.

Czy ty wojnę wypowiadasz
Wszystkim duchom Izraela?

KOSAKOWSKI.

Czart oczami twymi strzela,
Ogień leje w serca cieśnie,
Głowę wprawia w obłąkanie.
Dziś widziałem ciebie we śnie,
Jakby jakie malowanie,
Że już byłaś na stracenie
Prowadzona w żar, w płomienie,
A z płomieni były róże,
A ty w różach jak w altanie,
Uczepiona ręką w górze
Za krzyż.

JUDYTA.

Ty śnił prawdę świętą.

KOSAKOWSKI.

Judyto, gdyby cię wzięto
I śmiercią, ogniem grożono...
Ty znasz moję klacz czerwoną,
Co przeleci miasto całe
I wyleci drugą stroną.
Tylko klaśnij w ręce białe,
Tylko padnij mi na łono,
Tylko chwyć się jak zbawienia,
A ja z grobu i z płomienia
Wyrwę ciebie po sto razy!

JUDYTA.

A czy wyrwiesz z rąk zarazy?

KOSAKOWSKI.

Strach mię zdjął.

JUDYTA.

Nu, ja ze łzami
Mówię tobie, mój goimie,
Że przepaść jest między nami...
Naprzód twój ród, twoje imię,
Co odrzuca to zamęście,
A potem... moje nieszczęście
I mój los. Bądź zdrów na wieki!
A może przyjdzie daleki
Jaki czas dla mego ducha,

Że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
Modlitwę moję gorącą,
Za twoje szczęście proszącą.
Wychodzi.

KOSAKOWSKI.

We łzach, w obłąkaniu stoję...
Wchodzi BOJWIŁ przebrany za chłopa.

BOJWIŁ.

Panie, widać nasze zbroje,
Wiejące nam od północy
Z tchem od ukraińskich kwiatów.
Nowy huf Konfederatów.

KOSAKOWSKI.

Idźmy... przed nadejściem nocy
Może na czas przybędziemy
Poprawić straconej sławy.
Wychodzą.

Namiot. — Wchodzą KRECZETNIKOW, BRANECKI i RAPORTOWY oficer.

KRECZETNIKOW.

W pochód wymaszerujemy
Aż na Wierzchowieckie stawy.
Już tam ja w szlacheckie dworce
Posłał i dzieci i żonę.
Jej Boh! miasto zarażone.
Mści się Bóg za cudotworcę.

BRANECKI.

Czy jenerał gada serjo?

KRECZETNIKOW.

Ot wy z waszą fanaberją,
Francuszczyzną, nie widzicie,
Że tu wojska mego życie
Pod przekleństwem bunt podnosi...
A ot, za tym cudownikiem
Pułk jeden żałobnie prosi,
Abym go im jałmużnikiem
Zrobił... i archimandrytą...
A gdyby jeszcze odkryto,
Co mi dziś piszą w depeszy;
Boże, pomiłuj na niebie,
To ot... trup ze mnie i z ciebie,

BRANECKI.

Cóż za wieści?...

KRECZETNIKOW.

Człowiek grzeszy
Ciekawością, mój Polaku.
A mądry, kto sekret chowa.

BRANECKI.

Co? czy umarła carowa?

KRECZETNIKOW, *wpadając we wściekłość.*

Szto ty skazał?... Ty na haku
Będziesz wisiał za te słowa.
Małczy, Lach! Caryca żywa.

BRANECKI.

Niech się pan jenerał nie zrywa,
Bo ja także hetman jestem,
A jestem tu w moim kraju.

KRECZETNIKOW, *w pasji.*

A czemu ty z naszym chrestem?
Naszego dworca lokaju!
Szambelanie z epoletką!
W jakim ty kraju, szlachetko?
W jakim ty kraju, łachmanie?
Tu ja pan... my gospodarze!
Ot miasteczko wyrżnąć każę,
Dam ci szutkę w nos, hetmanie,
I każę na szubienicy
Powiesić, porąbać w ćwierci...
I napiszę do carycy,
Że ty o carycy śmierci
Rozpowiadał... precz z komnaty.

Branecki wychodzi.

Hej, niech nabiją harmaty,
Niech nabiią wszystkie działa
I na tego jenerała
I na hułany obrócą.
Niech włożą zaraz bagnety!
Niech mi z miasta precz wyrzucą
To błoto... Ot francuszczyzna!
Olejki i toalety!

Gdy we krwi cała ojczyzna,
Wino im kapie na brodę.
Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.
Cóż tam od panów Polaków?

ADJUTANT.

Pan jenerał uprasza o zgodę,
O wojennych naszych znaków
Złączenie... a oto w liście
Obrażony osobiście
O satysfakcją uprasza.

KRECZETNIKOW, *drąc list.*

Szutki... ja nie konfederat,
Ani młokos do pałasza;
Jeśli pan jenerał nie rad
Żem go uderzył po wstędze,
To niech się w żałobnej księdze
Rozpisze...

ADJUTANT.

Toż mu odpowiem.
Wychodzi.

KRECZETNIKOW, *do Raportowego*

A jak tam z wojskowem zdrowiem?

RAPORTOWY.

Po stu codziennie umiera
Grenadjer w grenadjera,
Chłop w chłopa... i co dzień gorzej...

KRECZETNIKOW.

Niech kancelarja położy
W dzisiejszym dziennym rozkazie,
Że kto się podda zarazie
I położy na tapczany,
Za pierwszy raz... tysiąc pałek,
Za drugi raz... rozstrzelany.

RAPORTOWY.

Słuszaju's... Braknie nam skałek
I prochu...

KRECZETNIKOW.

Ot i to szutka
Puławskiego, co nam bierze
Po drodze wszystkie jaszczyki...
No... jak zadzwoni pobudka,

Rozdać pomiędzy żołnierze
Kamasze, nowe trzewiki,
Pompony, kogucie pióra,
I kaszy... niech krzyczą hurra!

RAPORTOWY.

Słuszaju's...

KRECZETNIKOW.

Precz Raportowy!

Raportowy odchodzi.

Wchodzi ADJUTANT Braneckiego.

ADJUTANT.

Pan mój jako afront nowy
Uważa, obelgę nową,
Pana jenerała słowo
O uderzeniu po wstędze.

KRECZETNIKOW.

Nu... proś go, proś na herbatę.

ADJUTANT.

Nie wiem, czyli go dopędzę,
Bo wyjechał z sekundantem...

KRECZETNIKOW.

Powiedz mu, że na harmatę
Strzela się z paniczem frantem
Karciarzem — jenerał stary.

Adjutant wychodzi.

Oj dobrze, że my te Bary
Przycisnęli!... Ot depesza,
Że tam jakiś car w Kazaniu
Jenerały nasze wiesza,
I o carycy porwaniu
Zamyśla w imię Piotrowe.
Oj dobrze, że my powstaniu
Polskiemu urwali głowę,
Nie dopuściwszy odsieczy:
Bo gdyby... spasij nas, Boże!...

Żegna się.

Od takiej okropnej rzeczy,
Gdyby im pana we dworze
A księdza puścić z łańcuszka,

To ot... i Moskwa matuszka...
Spasij, Boże! Spasij, Boże!

Żegna się.

Ot gdyby tu wojownika,
To czart wziął państwo Ruryka,
Spasij, Boże! Spasij, Boże!

Wchodzi ADJUTANT Kreczetnikowa.

ADJUTANT.

Panie, pod wieczorną zorzę
Widać pułk konfederatów.
Chcieliśmy wystrzelić z wałów,
Lecz brak i kul i granatów.

KRECZETNIKOW.

Rzucić kilka pustych strzałów
Na to obdarte husarstwo;
A potem te pany Lachy
Prosić na parlamentarstwo.

ADJUTANT.

Słuszaju's.

Odchodzi.

KRECZETNIKOW.

Ot, nowe strachy!
Ot nam w mieście pewny cmentarz,
Gdzie nam ziemia oczy wyje;
Jeśli to huf Pułaszczyków,
Jeżeli ten parlamentarz,
Co tu przyjedzie, nie pije...

Wjeżdża konno KAZIMIERZ PUŁAWSKI, za nim pieszo KOSAKOWSKI zawsze przebrany.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, *zsiadając z konia.*

Ty smolny parobku dżumy,
Potrzymaj mego rumaka,
A strzeż mi dobrze czapraka,
Bo tu kradną.

KRECZETNIKOW, *na stronie.*

Pełny dumy.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, *wchodzi.*

Jenerale... twoja chrobra
Gromada bez kul strzelała.

Jest to grzeczność jenerała
Zapewne, nie brak w jaszczykach?
Zapewne myślał jenerał,
Że mi się pułk poobdzierał,
Że mam dosyć dziur w trzewikach
I w czapkach wiatrzanych świstów;
Za tę grzeczność sijatelską [1]
I jego artylerzystów
Dziękuję...

KRECZETNIKOW.

Czy z przyjacielską
Ręką?...

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Przyszliśmy po księdza.

KRECZETNIKOW.

Nie mogę... Jej Bohu buntowszczyk!

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, *zimno.*

Pana jenerała zwoszczyk
Z końmi przez nas dziś schwytany.

KRECZETNIKOW.

Tak i miejcie, moje pany,
Moje konie, niech popasą.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Wózek z jenerała kasą...

KRECZETNIKOW.

Tak w złoto umoczcie dłonie,
No... ja złota mam niemało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pana jenrała żonie
Także się nieszczęście stało:
Zabrana z żołdactwa rojem
Jak nie nabita harmata.

KRECZETNIKOW, *z wielką trwogą.*

A rebiata?

---

[1] Jaśniepańską, po rosyjsku.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Nu... rebiata
Także u nas i z konwojem
I z panią jenerałową.

KRECZETNIKOW, *przysiadając i kładąc ręce na kolana.*

Nu... tak ja dam na to słowo,
Że ty pan Kazimierz Puławski...

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Być może...

KRECZETNIKOW.

Więc proszę... z łaski,
Nim pogadamy o rzeczy,
Na wypitkę i prykuski.
Bo choć ja jenerał ruski
Od Rena pewny odsieczy,
Uzbrojony przeciw tobie
I w proch i w dobry rynsztunek,
To ja ku twojej osobie
Taki wielki mam szacunek,
Że chciałbym choć raz z weselem
Z tobą pić jak z przyjacielem.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

A ksiądz Marek?

KRECZETNIKOW.

Nu, niemało
Ja z tym księdzem miał roboty!
Co jeszcze z niego zostało,
To wam oddam... Jakieś grzmoty!
Co to znaczy?

Słychać zgiełk za sceną.

Wbiega ADJUTANT.

ADJUTANT.

Jenerale,
Ktoś pozapalał szpitale;
Buntują się starowierce
Przy blasku ogni czerwonych;
Mówią, żeś ty zarażonych
Kazał w szpitalu podpalić.
Szpital jak ogniste serce
Bijące w dymu szatanie
Już pękł i zaczął się walić

I pokazał na tapczanie
Wskróś, przez otworzone deski,
Trup zielony i niebieski
W trwodze oddający ducha.
Potem się ta zawierucha
Skier, ogni, dymów gorących
I ludzi uciekających
W kołdrach, w pokrwawionych chustkach
Zebrała na czarnych pustkach
Pogorzałych karmelitów.
Tam twój sierżant jeden, Tytów,
Chciał chorym dawać nauki,
Ale żołdactwo pijane
Rozerwało go na sztuki,
Tak że i ciało rumiane
(Straszne markietanek dzieło!)
W oczach mi nagle zniknęło
Cudownym prawie sposobem;
Niewidzialnym niby grobem
Ukradzione dłuższej męce,
Przez oszukanie natury.
I tylko czerwone ręce,
Straszne, wzniesione do góry
O tym człowieku świadczyły,
Bo innej nie miał mogiły.
Oprócz tych dłoni ohydnych,
Nad głowami buntowników —
Jasnych — od pożaru widnych,
Tych rąk, tych szponów, krwawników.

Ach, i pierwszy tam raz w życiu
Słyszałem w ludzkiem zawyciu
Zwierzęce głosy człowieka.
Z ludzi się zrobiła rzeka,
Z rzęki morze, krwią rumiane,
A jeszcze pohamowane,
(Któżby rzekł?) dziewicy głosem.
Jedna, panie, żydowica
Blada, z rozpuszczonym włosem,
Jedna, jak cudotwornica,
Wiedźma, co w ogniu się pali,
Śród tych rąk, lasu korali
Ohydnych, ze łzami woku
O polskim księdzu proroku
Krakała jak kruk na dachu;
A co przydawało strachu
U zabobonnych Moskali,
To jedno umierające
Dziecko. Jak w zamku Walhalli

U dziewic na piersiach miesiące,
Tak to dziecko, zawieszone
Na piersiach jej, już zielone,
Już nie dziecko u kobiety
(Jak to lud powtarzał głupi),
Ale do czarów użyty
Jakiś wielki miesiąc trupi,
Ukradziony u gwiaździarzy.
Dość, że za nią poszły pułki,
Za nią starowierce starzy.
Aż skry, ogniste jaskółki
Na żydowicę napadły;
I od włosów jeść począwszy,
Ciągle przerażoną jadły,
Aż upadła. Chciałem wtedy,
Pomiędzy ludem stanąwszy,
Choć Szwed, mówić do czeredy;
Ale ledwiem się pokazał,
Krwią mię obłoconą zmazał
Ów lud, który cudzoziemca
Szweda kładzie obok Niemca
I obu równo przeklina.
Została mi więc jedyna
Obrona w dobytej szpadzie,
We wzroku i w rejteradzie
Spokojnej, we lwa odwrocie.
A wtenczas żołdactwa krocie
I różnej broni motłochy
Napadły na ciemne lochy,
Gdzie polskiego księdza skryto,
I przed białym karmelitą
We krwi i czarnych kajdanach,
Popadały na kolanach,
Sine pokazując strupy,
I krzycząc, że zaraza je goni.

KRECZETNIKOW.

Ot ja teraz poszedł w trupy!
Ot Puławski! szpada w dłoni
I śmierć dla Kreczetnikowa!
Powiedz tam, niech będzie zdrowa
Moja żona, moje dziatki.
Ot nieszczęścia! ot wypadki!
Już ja trup, pokojnik boży!

Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu na rusztowaniu z łóżek szpitalnych stoi KSIĄDZ MAREK z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI, *wstrzymując Kreczetnikowa.*
Stój! gdzie lecisz?

KRECZETNIKOW.
Puść, niech ginę!
Niech się ziemia podemną otworzy!

KSIĄDZ MAREK.
Dziatki moje blade, sine,
Leżące u nóg jak żyto:
Tam wasz jenerał z dobytą
Szpadą śmierci szukający;
A ja tu nędzarz cierpiący,
Ekzaltowan w ludzi tłoce
Pasterz. Bo Pan niebios pragnie,
Aby tu dwie były moce:
Jedna, która ciałem nagnie;
Druga, co duchem podniesie
I ukorzy w imię Pana.
Siła wielka! niesłychana,
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi.
A tę ludzie wydać muszą.
Bo kto ją w sercu zostawi,
Ze łzą, z chlebem ludzkim strawi
I uniesie razem z duszą,
Niebieskiej pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu.
Ten zaprawdę potępiony!
Łachman z bożego szkarłatu!
Gwiazda upadła z anielstwa,
Gasnąca w błotnej kałuży!
Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała, które mu służy,
Bez serca, co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zaryje
I Boga prosi o litość.
A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi to ducha prawo,
Nie głoszone na ambonach,
Patrjotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte
A zaszczepione już w łonach
Jak dzieciąteczko spowite
W duszy, na rubinach śpiące.
Bo oto ludzi tysiące
W jednej chwili strach poczuli,
I mnie, żebraka na kuli,

Do krwi ubiczowanego,
Jeszcze w niezakrzepłej bliźnie,
Jeszcze we łzach po ojczyźnie,
Jeszcze od męki krwawego,
Jeszcze w śmiertelnej bieliźnie,
Jeszcze w gorączkowych żarach,
Jeszcze w smętku i na marach,
Na rękach swoich wynieśli.
Abym jako piastun cieśli,
Siadł na moim majestacie,
Rozkazał odejść zatracie,
Zarazie czarnej ustąpić.
Więc jeżeli będę skąpić
Dziś mojego w kościach ducha,
Jak człowiek, co jęków słucha
I z łez sobie wieniec plecie;
Jeżeli jeszcze na świecie
Żywot mi się upodoba,
I ta mych wrogów żałoba,
I to ich upokorzenie,
I to na deskach siedzenie,
Które dał ojciec Niebieski,
Kładąc mi szpitalne deski
Jak męczennikowi tronem;
Jeżeli pogardzę zgonem,
Serca litością nie ruszę.
I duszy nie dam za dusze,
Z ciała wyzwolić nie zdołam;
Lecz wstanę, Pana zawołam,
O zemsty jego kropelkę
Poproszę — gromu, co bije,
Jak mściwy człowiek użyję,
I przyzwę śmierć jak mścicielkę,
Wszyscy zginiecie straceni.
Bo oto wy przerażeni
Nad głowami nie widzicie,
Że na pożarnym błękicie
Kościotrup śmierci w czerwieni
Tańcuje z trzaskiem goleni,
Kiściami zarazy śnieży,
Wije kłębem nietoperzy,
Żółtą kością ciągle miga;
I z ust okropnych wyrzyga
Kartelusz ognio-tęczowy,
Na którym imię Jehowy,
Zatraciciela narodów,
Wywrotnika twierdz i grodów,
Pisane ogniście stoi.
Któż tu jest, co się Boga nie boi?

Oprócz trupów... kto nie zadrży przed Panem?
Ja sam jeden okryty łachmanem,
Zakrwawiony, knutem zbity,
Ja sam, który za naród cierpiałem,
Ja sam, który mymi jelity
Pasłem serca i serca kawałem
Nakarmiłem tych, co serca nie mieli.
Ja sam jeden stoję w bieli
I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście
I zawołać Nań o sprawiedliwość.
Oto naród mój jak zwiędłe liście!
Oto zdrady i serc niegodziwość!
Oto pierwsza niewoli godzina,
Co się przez wiek ciągnąć będzie!
Oto harfa płaczu ta mieścina!
Oto gołe kościoła krawędzie,
Przez które już kozom skakać
I rość trawie na dawnych mogiłach!
Panie Boże, nie pozwól mi płakać!
Ducha mego utrzymaj przy siłach!
Nie bierz mię w niebieską sferę
Krzyczącego miserere,
Łamiącego dłoń na głowie.
Kto mię słucha, ojczyźnie niech powie,
Że sztandar zatknąwszy w Barze,
Ległem sam na tym sztandarze,
Broniąc go duchem i ciałem,
A przy śmierci sam jeden zostałem.
Kto tu śmierci jest mojej przytomny,
Niech widzi, jak ręka boża,
Biorąc jeden duch ogromny,
Podnosi całe stworzenie;
Nawet trupy ściąga z łoża,
I przez trumien odemknienie
Pomiędzy ludzkimi duchy
O zrzucającym łańcuchy
Zaświadcza pośród śmiertelnych.
Kto żyw, niech słucha weselnych
Harf, co grają różnym tonem;
Kto duch, niech duchowi memu,
Jak księżycowi złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem.
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem, stróżem i patronem;
I wyżej porywać dusze,
A żadnej ziemią nie skalać;
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny.
A teraz zdjąć z tej mieściny,

Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę, jak sztandar siny,
I z chorągwią tą odejść do Boga,
Do którego mię boleść porywa.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ojcze Marku.

KRECZETNIKOW.

Podnosi ramiona.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Pochodni blaskiem opływa,
Bladnie, oczy mu gasną, już kona.
Za trupami dostąpić nie można,
W około ciżba nabożna
Rozrywa jego habity,
Całuje wychudłe ręce.
Jaki zgiełk! światła jarzęce
I zarażonych błękity,
Twarze zielonawej cery,
Spisy, płaszcze i giwery.
I łoża, co jeszcze płoną,
Jakby w obchód święto-Jański.
Prawdziwy kurhan słowiański,
Który po śmierci wzniesiono
Nad pierwszym z naszych rycerzy.

KRECZETNIKOW.

Bić z harmat! niechaj tu leży,
Niechaj się go lud dotyka
I położy na sztandary.
A ja sam poniosę mary,
I polskiego wojownika
O pomoc proszę w posłudze.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Jenerale, ręce cudze
Dotknęły się tego ciała,
I to ciało już nie nasze;
Ale jego duch i chwała,
Przelana w polskie pałasze
I serca, świadectwo wyda.
A jak tu się teraz wznosi
Zmartwychwstańców piramida
I to ciało łzami rosi,
O życiu świadcząc płakaniem;
Tak my... (głosy moje wieszcze!).

Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
Wszelki duch i ten, co jeszcze
Nie pomyślał o hańbie narodu.
Teraz idę z tego grodu,
A serce mam tak ruszone,
Że ci oddam dzieci, żonę,
I po tym buncie wojskowym
Na dwa dni wytchnąć pozwolę.

Do jednego z Moskali.

Gdzie jest ów parobek w smole,
Strażnik mojego rumaka?

MOSKAL.

Na koniu gdzieś purpurowym
Widzieliśmy tego ptaka,
Jak kruk odlatywał gdzieś z łupem,
A nie wiemy czy z chorągwią, czy z trupem,
Bo to, co za nim leciało,
Było jak ogień i ciało.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Ten lud, widzę, cały chory.
Wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory.
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jednę wielką bliznę,
Jednę moję cierpiącą ojczyznę!

(1843)

SEN SREBRNY SALOMEI

ROMANS DRAMATYCZNY
W PIĘCIU AKTACH.

AKT I.

Komnata w regimentarskim dworze. — Pan regimentarz STEMPOWSKI i Pan LEON, syn regimentarza, przy stoliku z papierami. — SEMENKO, kozak dworski siedzi przy progu na ławce, otulony burką.

REGIMENTARZ.

Mój Leonie, już po Ave Marji,
Siadaj waćpan do tych ekspedycyj.
Cóż tam piszą z króla kancelarji?

LEON.

Rozkazują, byś rozesłał wici
Po Podolu jako regimentarz,
I z Grzyłowem się łączył Moskalem
Przeciw chłopstwu.

REGIMENTARZ.

Odpiszę im z żalem,
Żem nie Moskal; pierwej pójdę na cmentarz,
Niżbym moję moc regimentarską
Miał połączyć z kozacką i carską,
Z którą król mię żąda zaprzyjaźnić,
Chcąc, jak widzisz, mocanie, mnie zbłaźnić
Za to, żem był królowi posłuszny.
Cóż tam dalej?

LEON.

Raport Gruszczyńskiego.

REGIMENTARZ.

Czytaj wacan, bo to człowiek jest słuszny
I był dawniej moim szkolnym kolegą.
A dziś w mojej chorągwi mi służy.
Człowiek silnej ręki, człowiek duży!
Takich niema już dzisiaj na ziemi!
A są, to ich karty i kieliszek,
Już nie szabla z ogniami złotymi,

Nie koń bawi, harcujący przed szykiem.
Jak mi drogi ten święty Franciszek.

Całuje sygnet.

Na pierścieniu dziadowskim z krwawnikiem,
Tak mi drogie serduszko w tym starcu:
Biały starzec — biały — jak kot w marcu,
A tak jeszcze ognisty!... Cóż pisze?

LEON, *czytając list.*

„Ja i moi towarzysze,
Stanąwszy u Czarnego kurhana,
Stopy jaśnie wielmożnego pana
Całujemy. Wszystko dobrze nam idzie.
A na wielkiej piramidzie
Nie spisać słowo po słowie,
Co jeszcze zamiarów w głowie
I projektów i zasadzek.
Naszliśmy na kilka schadzek
W lesie hajdamackiej czerni,
I tak się moi pancerni
Popisali jak zazwyczaj.
W jednej, sotnik pewien, Nyczaj,
Zarąbany; w drugiej sprawie,
Gdzie nam rzecz poszła na rękę,
Przydybaliśmy Tymenkę
I tak uszedł nam ciekawie,
Że jeszcześmy w zadziwieniu,
Na Salamandry[1] w płomieniu,
Na Pliniuszowe[2] bajeczki
Myśl i *mentes* obracamy.
Widziałem go sam przy kordzie,
W żupanku ze złotej lamy.
W kontuszu, ze krwią po mordzie
Kapającą jak berberys;
Lecz bestja w żar się rzuciła
Tanquam draco. De caeteris
Nie piszę. Chłopstwo jest czarne,
Krwawe, wściekłe i niekarne;
Wódką i miodem zalane,
Przez popy oszukiwane,
Karmione w cerkwiach proskurą
Śród krwi, mordów, których pióro
Dotknąć się boi w pisaniu.
Powiem też, że dzisiaj rano,
Będąc sam na harcowaniu,

[1] Gatunek jaszczurek, o których lud mniema, że nie giną w ogniu.
[2] Pliniusz, autor dzieła encyklopedycznego, do którego odnosić się trzeba ostrożnie i krytycznie.

Razem z jutrzenką różaną,
Z ogniem płonącej aurory
Do sławnego Wernyhory
Dotarłem. — Lecz żal się, Boże! —
Stary w samotnym futorze,
Nad którym dęby kołyszą
Swoje złote Sybillińskie
Listeczki, nie wart tej famy,
Którą pieśni ukraińskie
Rozniosły, i z czem się słyszą
W kraju — i futor augura
Do Trofoniuszowej[1] jamy
Nie umył się — choć i to dziura
W pobliżu dawnych kurhanów,
Pełna starych lir i dzbanów,
Mogłaby wiatrem przeszyta
Wydawać sybilne jęki.
Widziałem miecz Doroszenki
I złote końskie kopyta:
Sądzę, że są tylko z miedzi
W ogniu dobrze pozłocone.
Sam zaś starzec... w jamie siedzi
Spokojnie i rzeczy śnione,
Pełne szumu i zamętu,
Rozpowiada bez talentu
Mięszanym chłopskim językiem.
Żeby zaś był czarownikiem,
Nie wierzę... gdy na pytanie
De propriis, Wielmożny Panie,
Plótł mi, zwyczainie gaduła,
Że mi żonka moja spruła
Kaftanik dawno zaczęty...
Że co do mnie, będę wzięty
Przez dwie choragiewki w stepie,
Jak szczygieł i gil na lepie
W przerażeniu odrętwiały,
Że prócz głowy, będę cały
W grobie. — Na te przepowiednie
Spoglądam jako na brednie,
Nic z nich nie rokuiąc złego,
A do krzyża się krwawego
W każdej niedoli uciekam.
Teraz na rozkazy czekam
Dalsze i jestem ostrożny.
A gdy pan jaśnie wielmożny
Rozkażesz, to krew się zbudzi,

[1] Trofoniusz, bożek wieszczy, miał wyrocznię w jaskini przy mieście Lebadji w Beocji.

I będę ryzykował ludzi
I siebie..."

REGIMENTARZ.
Poczciwy szlaga!

LEON, *czytając list.*
„Kończąc list w zwykłym afekcie,
Który mi się z wiekiem wzmaga,
Jaśnie wielmożnego pana
Sługa ściskam za kolana
I córce, co na respekcie
W jego domu kornie służy,
Z tej krwawej mojej podróży
Posyłam błogosławieństwo,
Zupełnie o jej panieństwo
I dalsze losy spokojny."

REGIMENTARZ.
Poślę mu huf jeden zbrojny.
A ty, Lwie, napisz, niech czeka
I niech unika rozprawy,
Aż przybędzie z niedaleka
Chorągiew kozaka Sawy,
To pójdziemy na pewnika.
Teraz niech boju unika,
W lasach lega nie na stepie,
Ani na wietrznym wertepie
Harcuje... Dodaj dwa słowa:
Że Salusia jego zdrowa,
Że my go wszyscy kochamy,
Z tej Trofoniuszowej jamy
Złego nie rokując sobie,
Wszakże omenu ciekawi...
A jeśliby już był w grobie,
Proś go, niech głowę wystawi
I nie straci polskiej duszy,
A ja go wyciągnę za uszy.
Cha! cha! bajkarz Wernyhora
Staremu naplótł powiastek!...
Pójdę do naszych niewiastek
Powiedzieć o tej potyczce
Z duchami... A ty... czy wczora
Oświadczyłeś się księżniczce?

LEON.
Nie śmiałem, ojcze kochany!

REGIMENTARZ.

Głupiś! więc ja cię wyręczę.

LEON.

Ojcze!

REGIMENTARZ.

Aniś do kieliszka,
Ani do... serce zajęcze!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam! że cię zaręczę
Dziś jeszcze tym oto krwawnikiem.
Całuje pierścień i wychodzi.

LEON.

Semenko, siądź za stolikiem
I do Gruszczyńskiego napisz
Ekspedycją.
Wychodzi.

SEMENKO.

Dobrze, panie!
Zrzuca burkę i siadając przy stoliku pisze.
Złotyj Lach... Ot czart i papież
Na moje edukowanie
Musieli łożyć pieniądze.
Oj, staremu ja szlachciurze
Taką wannę przyporządzę,
Takim pismem się przysłużę,
Taki bodiak mu przyczepię,
Że, oj wspomni on w purpurze,
Toj dziad, cały w krwawych ranach,
Jak mię kiedyś bił na stepie,
Szukając skarbów w kurhanach.

Stary dziad! żałosny sknera!
Bywało, chłopy odziera
I plecy nahajem porze
A złoto w szkatule dusi...
Każdy dzień, mówi, wyorze
Perełeczkę dla Salusi
I turkusik da błękitny,
Albo pasek aksamitny;
Aż, powiada, moja córka,
Cała w perłach i brylantach,
Będzie grzebała jak kurka
W księciach i grafach amantach.
Ot i wybrała szczyglica,

Gacha, przy blasku księżyca,
Nim szesnastu latek doszła,
Z którym sobie za mąż poszła
Bez barwinku i bez księdza...
Tam stary w stepach się pędza
Za wiatrem i rzezuniami,
A tu młokos dziecko plami
Na respekcie w ojca domu.
A ja... a ja... a ja ginę
Z miłości!

Nalewa szklankę rumu i pije.

Hej! szklankę rumu!
Ot za tę jedną dziewczynę,
Gdyby słowo mile rzekła,
Skoczywszy jak czart do piekła,
Wyrezałby dwór i pany.

Był ja niegdyś wychowany
Na hetmana, nie na chłopa;
Choć syn gruszczyńskiego Popa,
To bywało na kurhanie,
Kiedy koń nademną stanie,
A miesiąc w oczy uderzy,
To ja sobie śnił z rycerzy
Wielkie hufce, błyskawice,
Rusałeczki i księżyce;
Hej, i zamek na Ostrowie
I hetmański miecz w alkowie;
A ja, wtenczas pan mieczowy,
Wyśnił sobie, snem Widuna,
Od miecza jak od pioruna
Wyzłocone dno alkowy;
I w tej wielkiej ognistości,
W tym oblasku i rubinie,
Śnił ja siebie przy dziewczynie
Pełnej wiary i miłości;
A to była jakaś nowa,
Blaskiem miecza koralowa,
Jakaś wielka hetmanowa,
Jakieś serce bohaterne,
Zapalone, na śmierć wierne,
Na-atłasach, na kobiercu
Bijące mi tuż przy sercu.

A dziś, co ja? Kozak dworny,
Rzeski, śmiały i przezorny,
I do korda i do czaszy,
Lecz nie długo sługa laszy!

Hej! kozaczek was nastraszy,
Pany Lachy! taj w godzinę
Ruszy całą Ukrainę
I z królem ją rozgraniczy.
Wbiega Panna Salomea Gruszczyńska.

SALOMEA.

Semenko!

SEMENKO.

Od jej słodyczy
Serce mi pęka... Szczo panna?...

SALOMEA.

Troska jakaś nieustanna
Dręczy mię. Ciągłe sny miewam,
Chociaż przed każdym uśnięciem
Głośno Anioł Pański śpiewam.
Ciągłe sny, których pojęciem
Wytłumaczyć i pojąć nie mogę...
Ojciec mię także niebogę
Przestraszył tym Wernyhorą
I sen znowu spędził z powiek.
Powiedz mi, co to za człowiek?
Czy go znasz? skąd mu się biorą
Te wróżby?

SEMENKO.

Z ducha, panienko.

SALOMEA.

Kiedy ja byłam maleńką,
To o nim słyszałam wiele...
Powiedz mi, czy on bywa w kościele?
Czy się modli do Najświętszej Panny?

SEMENKO.

Czart wie...

SALOMEA.

Czart wie? ach! jaki ty blady!
Lękam się go... czy ty chory, czy ranny?
Ach!
Semenko nagle gasi światło, Salomea zlękniona ucieka.

SEMENKO.

Ptaszynę maleńką ja spłoszył...
Taj nie da z tą Laszką rady
Człowiek, póki się krwią nie spanoszył.
Siada znów na ławie i udaje drzemiącego. Wchodzą REGIMENTARZ i KSIĘŻNICZKA, będąca u niego na opiece.

REGIMENTARZ.

Dosyć tu srebrnych blasków od księżyca
Moja księżniczko, bo na to, co powiem,
Płoni się każda dostojna dziewica;
Mój syn przepłaci tej miłości zdrowiem,
Jeżeli serca dla niego nie ruszysz;
Chłopca mi, moja piękna panno, suszysz.

KSIĘŻNICZKA.

Syn mię acana nazywa księżycem,
A księżyc ani suszy, ani grzeje.

REGIMENTARZ.

Więc mi chłopczyna biedny oszaleje,
Ciągle pod twojem rozwidnionem licem,
Na białe, srebrne strzały wystawiony.

KSIĘŻNICZKA.

Lecz mówi, żem ja księżyc jest czerwony.

REGIMENTARZ.

Być może, moja dowcipna dziewczynko!
Czerwony, bo ty jesteś Ukrainką,
A ukraińskie miesiące w czerwieni,
Zresztą... nie mogę w dowcip iść zapaśnie...
Jak się syn z białym miesiącem ożeni...

KSIĘŻNICZKA, *przerywając.*

Będzie zaćmienie wielkie... miesiąc zgaśnie.

REGIMENTARZ.

Dobrze!... po ciemku kochać się będziecie.
Weź ten pierścionek...

KSIĘŻNICZKA.

Zarzucę go w śmiecie.

REGIMENTARZ.

Nie rób, acanna, sobie z tego śmieszek,
Bo to jest krwawnik mój święty Franciszek,
Sygnet cudowny, przez dziada mi dany,
A tak przez usta już wycałowany,
Że świętych rysów na nim ani śladu.
Usteczek twoich pierścionek, uwity
Z róż i perełek, będzie tak zużyty.

KSIĘŻNICZKA.

Więc go drugiemu oddam.

REGIMENTARZ.

Daj cię gadu!
Jakaś dowcipna!... Tego nie chcę wcale.
Powiedz mi, kiedyż wam hymen zapalę?
I wniosę pierwszy za zdrowie kieliszek?

KSIĘŻNICZKA.

Jak się pokaże ten święty Franciszek,
Zejdzie z pierścionka i ślub da w kościele.

REGIMENTARZ.

Czasu ci nie dam, dziewczyno, tak wiele,
Jutro mi staniesz przed wielkim ołtarzem,
Nie darmo jestem tu regimentarzem;
Zregimentuję was do posłuszeństwa...
Dziwno, że wszystkie waćpanny błazeństwa
Tak mi są miłe jakby głos słowika.

KSIĘŻNICZKA.

Więc jako wdowiec oświadcz mi się z ręką,
A ja ci wrócę twojego krwawnika.

REGIMENTARZ.

Co za szalona i głupia dziewczyna!
Jakto? więc wolisz mnie niż mego syna?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem, co wolę, namyśleć się muszę.
Skowronków pełną wiosennych mam duszę,
Kapryśną jestem i trudną dziewicą.

REGIMENTARZ.

Więc się namyślaj, moja kapryśnico,
Ale nad suknią, nie zaś nad małżonkiem.

Wychodzi.

KSIĘŻNICZKA.

Otóż zostałam z szlacheckim pierścionkiem
I sprawdzają się widzenia
I świat jest z duchami zgodny,
Bo krwawość tego pierścienia
Świadczy o tem, że to pierścień rozwodny.

Bo ta kropla, z Dejaniry[1]
Koszuli na mnie skąpana,
Dawno mi przez srebrne liry
Była już zapowiedziana.
Widzę na palcu człowieka
Ten pierścień; w ciało się wjada,
I do kości dłoń wypieka
I z węglem, z ręką upada.
Ach! i widzę, ach! i słyszę
Jeszcze głos lirnego dziada,
Co jak dumka na sen mię kołysze.
Ach! i wioszczaną ulicą
Leci rycerz — tak że chaty,
Miecza jego błyskawicą
Oświecone, świecą w sadach
Jak złoto, różane kwiaty...
Ach! i spieszy do lewadach
Dziad do wesela potrzebny,
Podarunek niosąc srebrny,
A za nim co?... drużka trupia...
O! Boże, jaka ja głupia,
Że o snach marzę ogniście,
Jak gdybym z duchami żyła;
Gdym na świecie rzeczywiście
Takie głupstwo popełniła,
Że choćby się teraz dręczyć
I być braną przez miłość lub trwogę,
To już ani się zaręczyć,
Ani żoną być nie mogę.

Spostrzegając Semenkę.

Jezu! kozak się rozczuchał,
Zginionam... jeśli podsłuchał,
Jeśli mi stanie za świadka,
Że gdy słońce zejdzie z czoła,
To ja nie zawsze wesoła,
Ale czasem jestem smętna warjatka.
Semenko!

SEMENKO, *udając, że się budzi.*
Czego potrzeba księżniczce?

KSIĘŻNICZKA.
Świętojańskiego robaczka w różyczce,
Gwiazdy i kwiatu, rybki i motyla,
Feniksa[2], myszki białej, krokodyla,

---

[1] Dejanira otrzymała od Centaura Nessusa jego koszulę krwią zbroczoną i ta koszula stała się potem przyczyną okrutnej śmierci jej męża.
[2] Feniks, ptak legendarny.

Sługi i pana, smutku i zabawy...
Czy ty służyłeś pod chorągwią Sawy?

SEMENKO.

Nie, ale znam go.

KSIĘŻNICZKA.

Jakże on wygląda?
Czy na barana, czyli na wielbłąda?
Czy na kozaka, czyli na szlachcica?
Czy jest jak chmura? czy jak błyskawica?
Czy z oczu jemu patrzy chłop czy książę?

SEMENKO.

To patrzy, co mnie...

KSIĘŻNICZKA.

Ach! to być nie może,
Bo tobie z oczu popowicz wyziera.

SEMENKO, *na stronie.*

Ach! ty proklata!

KSIĘŻNICZKA.

Przebacz mi, ja szczera...
Z tobą się o ten pierścionek założę,
Że ty syn popa.

SEMENKO.

A jak syn czarta?

KSIĘŻNICZKA.

Jezu! ten człowiek gotów mnie zadławić.

Ucieka.

SEMENKO.

Budesz ty sto hroszy warta,
Jak pozwolę się pobawić
Moim chłopom po zamczysku...
Jak z kosami potańcujem
Po nocy, na cmentarzysku,
Taj w sobie czarta poczujem...

Wychodzi.

ZMIANA I.

Las dębowy, oświecony księżycem, między drzewami palą się ognie, i żołnierze polscy gotują strawę... albo czyszczą konie. Wchodzą na scenę STARY GRUSZCZYŃSKI i pewien wojak PAFNUCY.

GRUSZCZYŃSKI, *do obozujących.*

Na tej leśnej lewadzie
Rozłóżmy, mości panowie,
Miesiąc do snu ludzi kładzie...
Trzeba dbać o koni zdrowie
I od rosy strzec pałaszy;
Zgotujcie jaglanej kaszy,
Zaśpiewajcie hymn powstański![1]
A śpiewem na Anioł Pański
Zakończyć tę wieczernicę...
I sza! noc przepędzić cicho,
Bo po lasach nie śpi licho,
I można bez ostrożności
Zobaczyć swój łeb na tyce...
Bo to wojna bez litości,
Z orłami biją się krucy.

Wchodzi na scenę.

Mości wojaku Pafnucy,
Siądźmy tu na osobności,
Muszę pomówić z waćpanem.

Siadają.

PAFNUCY.

Słucham, stary mój kolego.

GRUSZCZYŃSKI.

Więc bez eksordu żadnego,
Jak gdybyś był kapelanem,
(Co być bardzo może... bo się
Dominus vobiscum niby
Przebija w acana głosie)
Powiem ci, że jakieś grzyby
Smutku na sercu mi rosną.
Oto, panie, z przeszłą wiosną,
Gdy biły trąby wojackie,
Na hasło konfederackie
Nie poszedłem... Tak to bywa,
Że starość radzi leniwa

[1] Konfederacki.

A potem żal człowiekowi.
Bar upadł! Bar upadł, mocanie!
Zaufali Chrystusowi
A upadli!...

PAFNUCY.

Na kolanie
Pokutuj waść za te słowa.

GRUSZCZYŃSKI.

Świątynia to purpurowa
Pokuty — pierś moja stara,
W której się serce rozpara
Na wszystkich szwach, krwią lejące:
Bo serce było gorące,
Jak zwyczajnie w starym Lachu,
Ufne... a teraz w przestrachu
Do chmur wygląda nieśmiało,
Pod bicz ofiaruje ciało
A jednak ptaszyna licha,
W piersi mojej ledwo żywa,
O odwrócenie kielicha
Modli się. Bo kto używa
Żywota, obok potoku,
Którym sprawy boże płyną,
Kto chce spokojny z rodziną
Swoją kość gdzieś gryść na boku,
Wiejskich kosztować słodyczy,
Choć się nie policzą ludzie,
To się Bóg z takimi policzy...
A już wspomniałem podobno
Aści o posępnym cudzie,
Który mi rodzinę drobną
Nastraszył... Rzecz niesłychana!

PAFNUCY.

Chrystus do domku waćpana
Zapukał?...

GRUSZCZYŃSKI.

Trzy razy! trzy razy!

PAFNUCY.

Mocanie, to są rozkazy,
Którym oprzeć się nie można.

GRUSZCZYŃSKI.

Toż widzisz mię waść na koniu,
Choć rodzina o mnie trwożna,
Żona w ciąży — na ustroniu

Dom obok czarnego lasu.
A kiedym siadał na bryczkę
A dzieci aż pod kapliczkę
Biegły za mną, to się z pasu
Irysowego[1] widomie
Odkryła jasność na domie,
Na którą dziatki łakomie
Patrzały, aż zdjęte strachem
Krzyknęły, że widzą nad dachem
Jakąś nową tajemnicę,
Jakąś gorejącą świecę,
Co je bardzo niespokoi,
Bo nad samym domem stoi,
Jak krwawe serce z płomyków.
Na co ja patrząc, zmaluchlał
I z dziatkami razem struchlał,
Bo nad domem nieboszczyków
I nad chatą ludzi chorą
Często takie światła gorą.

PAFNUCY.

Pan Bóg litośniejszy bywa.

GRUSZCZYŃSKI.

Toć ja ufam, i leniwa
Dusza się krzepi nadzieją.
Wszakże gdybym tu ja zginął,
A duchy świecy nie zwieją
Z dworku, gdzie mi wiek przeminął
Tak słodko przy mej rodzinie,
Gdziem ja miał ojcowskie graty
Jeszcze wzięte na Turczynie,
A pod dąb mój rosochaty
Wodził gości... i pił kawę
W dawnych, starych roztruchanach,
Pacierz mówił na kolanach,
Córkom gotował wyprawę;
Jeśli to wszystko pójść musi
Z wiatrem... pomnij o Salusi,
Bądź dla niej jak ojciec szczery
I groźny jak ojciec drugi.
Bo to skrzydlate chimery
Gotowe złotymi cugi
Przybyć po nią z pieśnią słodką,
I dzieciątko moje ciche,
Jakby jaką drugą Psychę,
Zrobić maleńką szczebiotką,

[1] Irys = tęcza, imię bogini greckiej.

Którą za skrzydełka złote
Strzepotane Kupid chwyci.
A potem, gdy się nasyci,
To wypędzi na ciemnotę,
Rzuci gdzie, jak dzban rozbity.
Pamiętaj! to dziecko krwiste,
Oczęta ma przeźroczyste,
Zielone, jak selenity;
A zdają się na zuchwałość
Podwodzić szatańskie wzroki...
A taka płci wielka białość!
A takie gorsu uroki!
Że się boję o nią — boję!
Bardzo boję!

PAFNUCY.

Bądź spokojny.

GRUSZCZYŃSKI.

Powiedz, że ja przy niej stoję
Zawsze... choćbym pozbył ciała;
To w anielską palmę zbrojny
Stanę... i będzie słyszała,
Jeśli się złego dopuści,
Mój głos z piekielnej czeluści
Wołający.

PAFNUCY.

Nie wróż smutnie.

GRUSZCZYŃSKI.

Bo to widzisz, po tych dworach
Są Włochy dzwoniące w lutnie,
Ubrane w różnych kolorach,
Niby djabli w opalowych
Zbrojach... a wewnątrz zepsuci;
Ci dziewcząteк świeżych, zdrowych
Szukają... żądłem je wabią,
Aż ptaszeczek im w gardło się rzuci.
A są jeszcze sztuką babią
Zajęte stare matrony,
Co porzuciły robrony
I kornety... a te dziecku,
Już ubrane po niemiecku,
Straszne czasem dają rady.
Gdy je widzę w strusich kitach,
Chodzące prawdziwe gady,

Tobym się na tych kobietach
Pastwił! szelmy niegodziwe!
Prawdziwie są djablą milicją.

Wchodzi KOZAK regimentarski.

Skąd ty, kozak?

KOZAK.

Z ekspedycją
Od dworu.

GRUSZCZYŃSKI.

Czemu twe ślipie
Takie jasne? takie krzywe?
Czy się spił na jakiej stypie?

KOZAK.

Witrom spity.

Odchodzi. Gruszczyński obraca się ku ogniowi i list czyta.

PAFNUCY.

Co się zdarza
Waćpanu? bledniesz, czytając.

GRUSZCZYŃSKI.

Pieczęć jest regimentarza,
Lecz list?... czy on urągając
Pisał? czy był śmierci blisko?
Hej, rozpalić tam ognisko!
Niech lepiej te charaktery
Wyczytam...

PAFNUCY.

Nie zmieniaj cery.

GRUSZCZYŃSKI.

Mocanie! pies pod podwórzem
Nieraz lepiej traktowany!
Patrzaj, nazywa mię tchórzem!
Na czyste Chrystusa rany,
Którym ja się krwią zadłużył,
Klnę się... powiada, żem stchórzył,
Żem zleniwiał, że... sto beczek
Krwi mojej na ludzi tych głowie!
Piszą, żem z chłopami w zmowie,
Że... Będę mały człowieczek
Nie człowiek, jeśli przebaczę!

PAFNUCY.

Daj aść — niech ja list zobaczę.

Bierze list.

To ręka i styl jest sługi.

GRUSZCZYŃSKI.

Na pieczęć patrz! krwawe strugi
Acherontu[1] z ognia i krwi!
Na te słowa marszczę brwi
I trzęsę światem... Ja tchórz!
Otóż to tak, ludziom służ,
Nocuj w lesie pod namiotem,
To cię obrzucają błotem!
Otóż to tak z ludźmi tymi
Nowego serca i wiary!
Kazali ciągnąć w te jary,
Ciemny komin, loch na ziemi;
Gdzie wiem, że pewna zasadzka
I cała czerń hajdamacka
Zasadzona.

PAFNUCY.

Więc im szczerze
Odpisz... ja z listem pojadę.

GRUSZCZYŃSKI.

Ja mazałbym po papierze?
Ja!... oskarżony o zdradę
Nie krwią, życia fundamentem
Bronił się?... lecz atramentem
I piórem z gęsi ogona?
Nie, mocanie! krew czerwona!
Ten mózg pod chłopów obuszkiem!
Mózg i krew ta na ich głowy.
A potem duch purpurowy
Z rozdartą piersią nad łóżkiem!
I niech im Pan Bóg da zdrowie.
Ja tchórz... Na koń! do szabel, panowie.

Wybiega i widać go ruszającego obóz.

PAFNUCY, *sam.*

O! wielki Boże! sprawdzać się zaczyna
Domowi temu wróżona ruina,
I Chrystusowe do drzwi zapukanie
Karcące, późne krwi ofiarowanie,

[1] Acheront, według wyobrażeń greckich, rzeka w świecie podziemnym. Używano jako przenośni na oznaczenie okropności, śmierci i t. p.

Spełni się jako straszliwa nauka
Dla czekających, aż Pan Bóg zapuka.
Leniwy starzec był, teraz ognisty.
Więc choć to pewno zmyślone są listy,
Teraz go w małej mogile położą
Za to, że wgardził wielką sprawą bożą.
Lecz sądy boże są nieprzewidziane!
Cokolwiek będzie, piersią przy nim stanę.

Wychodzi.

ZMIANA II.

Noc, ogród nad stawem, księżyc świeci. Wchodzi LEON w głębokiem dumaniu.

LEON.

To już ostatnia będzie schadzka nasza,
Ostatni raz czekam na nią.
Człowiek skarb serca rozprasza.
Każda chce mu zostać panią
Wieczną... a tego nie zgadnie,
Że gdy raz łatwo upadnie,
To później chyba pod kłódkę
Człowiek zamknie taką żonę.
Na to dzieciątko stracone,
Jak na małą niezabudkę
Księżniczka patrzy z wysoka
I ze mnie nie spuszcza oka.
A kiedy uczyni wzmiankę,
To mię tak śmiechem uderza,
Jak gdybym kochał sielankę
I sam wyszedł na pasterza.
Sali prosta jest i wierna.
Ale w najprościejszej leży
Taka obłuda misterna,
Tyle głębokiej odzieży,
Taki kalkuł na dnie duszy,
Taki instynkt oszukaństwa,
Taka chciwość blasku, państwa,
Taka głęboka nauka
Zadawania ci katuszy,
Że wierność ich jest to sztuka,
W którą czart oczy pochował.
One wiedzą, że to ołów,
Coby samych archaniołów,
Wisząc u skrzydeł, zmordował...
One z tem na świat przychodzą,
Wiernością nudzą, lub zwodzą,
Obdzierają nas z odwagi,

Liczą na litość! — od matek
Nauczone, że ten statek
I łzy, to są ich posagi.
Nim się ze światem obezna,
Każda wie, że woń w narcyzach
Jest drogą, że mąż ją zezna
I zapisze w intercyzach,
Ewikcjonując wyprawę.
Naprzód je widzisz ciekawe
Twego serca, słów niebacznych;
A do przyrzeczeń dwuznacznych
Podchwytywania umiętne:
Potem widzisz nagle smętne,
Ze łzą, co się w oczach kręci.
A pewne dziwnej pamięci,
Książki, gdzie w papier różany
Sam przez siebieś jest wpisany
Wszystkimi giesty i słowy;
Wkuty jak w kamień grobowy
W ich pamięć, już nie gorący,
Ale przez ten papier ssący
Z ognia, z kolorów wypity;
Kwiat zwiędły w sercu kobiety.
I ty, co z gwiazdy pochodzisz,
One dowiodą, żeś marny,
Głupi, żeś jak szatan czarny,
Że dla nich tylko się rodzisz.

Wchodzi SALOMEA.

SALOMEA.

Jakże dzisiaj twoje zdrowie?

LEON.

Tak jak zawsze — ogień w głowie!

SALOMEA.

Ty wczoraj już byłeś dziki,
Już na miłość niepamiętny,
Bardzo dla mnie obojętny.

LEON.

Wczoraj to były ogniki,
Dziś ogień... dziś gorszy jeszcze.

SALOMEA.

Daj rękę — ja cię popieszczę,
Zamówię i uspokoję.

LEON.

Nie, nie, słodkie dziecię moje,
Ot, byś lepiej szła nabożna...
Do stu djabłów! tak nie można
Żyć dłużej! czy my cyganie?

SALOMEA.

Powiedz, cóż się ze mną stanie?
Cóż ja nieszczęsna uczynię?

LEON.

Co?... miłość twoja przeminie.
Dasz sobie na świecie radę,
Pójdziesz za mąż, ja przyjadę.
Jeśli na wojnie nie zginę,
Przyjadę kiedyś w gościnę;
A ty wtenczas, moja miła,
Przyjmiesz mnie, będziesz za siostrę.

SALOMEA.

Słowa twoje bardzo ostre...
Jam się dziś szczerze modliła
Za ciebie.

LEON, *na stronie.*

Baran do rżnięcia!

SALOMEA.

Ty nie masz ani pojęcia,
Co to jest modlić się za tych,
Co nas gubią?

LEON.

Rozkosz czysta!
Rozkosz aniołów skrzydlatych.
Dla drugich zaś krzyż i ognista
Męka, jeśli są modlitw niewarci...
Gdyby to wiedzieli czarci,
Mówiliby zawsze różańce.

SALOMEA.

Ach! piekielni obłąkańce
Więcejby litości mieli.

LEON.

My nie jesteśmy anieli,
Ani ja... ani ty.. mała!

SALOMEA.

Jeśli ja tej gwiaździe widna,
To pewnie się rozpłakała,
Widząc mnie... jaka ja biedna!

LEON.

Doskonała! doskonała!
Gwiazd wzywa! z kwiatami gada!

SALOMEA.

Wiesz ty, dlaczego ja blada?...
Ja chora.

LEON.

Cóż ci dolega?

SALOMEA.

Nic...

LEON.

Spuściłaś na dół oczy?
I łza ci po rzęsach zbiega?

SALOMEA.

Ach! niechaj się ta łza stoczy...
Niechaj obmyje sumienie...
O Panie! choć oburzenie
Czuję dla twojej srogości,
Jeszcze o trochę litości
Proszę, a to ci wynurzę,
O czem dotąd same róże
I gwiazdy tylko wiedziały.
Otóż słuchaj... Na kawały
Serce się biedne rozpęka,
A jeżeli moja męka
Ciebie nie skruszy? to będzie
Cud... alboś ty jest narzędzie,
Którem Pan Bóg mnie ukarze...
Dwa temu tygodnie... śnię ja,
Że matka moja mi każe,
Abym ja u dobrodzieja
Gruszczyniec, twojego taty,
Prosiła dla niej o konie
Bo ją człek jakiś brodaty
Ściga, straszy, chwyta w dłonie
I... (rzekła to najwyraźniej,
Jakby przestrachem wzdrygnięta...)
Jeśli się Salusia zbłaźni
A prośby tej nie spamięta,
To będę z dziećmi zarżnięta...
To rzekła i we mgłę wsiękła.

A ja zbudzona, przelękła
Myślałam, czy prosić czy nie;
A naprzód wstyd był dziewczynie
Mówić o snach i o marze,
A potem: — (jak ja się ważę)
Stać tu na takiej spowiedzi?...
Myślę, jak tu nas odwiedzi
Matka, a spojrzy mi w oczy,
To mi rumieniec wyskoczy;
A ona słowo po słowie
Wyspowiada, drżąca trwogą,
I zapewne nic nie powie,
Ale na mnie spojrzy srogo,
Wzrok, jak nóż w sercu obróci;
Zada mi boleści krocie;
Zacznie coś gadać o cnocie,
Z gorsu mi różę wyrzuci,
Każe włosy pleść inaczej,
Robotę na dzień naznaczy
I będzie patrzała z boku
Na łzy kręcące się w oku:
A ja... o Jezu kochany!
Nie będę już do altany
Mogła biegać nocną dobą,
Ani się widywać z tobą
Co wieczora pod tą brzozą,
Pod tą czarną altaneczką;
I może mię gdzie wywiozą,
Albo z jakim siejo-hreczką
Ożenią. To o tych rzeczach
Gadała ja sobie w nocy
I spałam jakby na mieczach;
A budziłam się bez mocy,
Jak ukraińscy Widuni,
Którzy ciągle widzą trupy.
A wstydziłam się też kupy
Dziatek... i ślepej babuni...
Tu, gdzie takie toalety
I woskowane parkiety;
A ona, co po jaskółkach
Świegotaniu deszcze wróży,
Albo się w krześle na kółkach
Każe wozić po ogrodzie...
Tu ja... w atłasie, przy róży
U boku, ja, panna w modzie,
Ze złoconym wachlarzykiem,
Musiałabym (myślę sobie)
Wozić ją i ach... przy tobie
Mówić z nią chłopskim językiem,

Bo ona po polsku nie umie...
To bywało w sercu tłumię
Przestrachy moje tajemne,
Zgryzoty, przeczucia ciemne,
I te sny nazywam marą:
Lecz w noc i w godzinę szarą
Myślę i myślę o domu
Pełna niepojętej troski,
Ach... i do Matki się Boskiej
Modlę we łzach i nikomu
Nie mówię, lecz drżę i płaczę.
Otóż ja tej matki, panie,
Może nigdy nie zobaczę!
Bo dziś pod samo zaranie
Śniła mi się gdzieś, w pustkowiu;
Potem tu, cała z ołowiu
I w ołowianej spodnicy.
Niby z perłowej macicy,
Z jednej perły była cała.
A twarz zwiędła i schorzała
Także koloru ołówka
Była już jak trupia główka
Na krzyżu wyrysowana.
Tu szła, panie... tu..., tą stecką...
A ja w tej róży schowana,
Drżąca, jak maleńkie dziecko,
Które się przestraszy dziada,
Co główkę z liści wysadzę
A ujrzę, że ona blada
Idzie, to chowam się w ciernie,
Oczyma za nią prowadzę,
Zziębła i blada niezmiernie,
Cierniami cała pokłuta,
Bijąc się jak słowik w nocy,
Gdy w klateczce spadnie z druta,
Chce latać i niema mocy,
Tylko się trzepoce w klatce...
Tak ja, panie, mojej matce
Dziwiąca się, strzepotana,
Chowałam się w krzaku skryta,
Cała zziębła i rumiana,
Jak czerwona włóczka zwita
W kłębuszek... I cóż ty na to?

LEON.

Sałynka, będziesz bogatą,
Srebrny sen bogactwo wróży;
A że się chowałaś w róży,

To dobrze; pisano w górze,
Że w twem życiu będą róże.

SALOMEA.

I ciernie?

LEON.

I ciernie będą.

SALOMEA.

Otóż ty mię złotą wędą,
Panie, ułowiłeś sobie,
I porzucić chcesz, jak widzę?
Ale póki ja nie w grobie,
To się ty nie możesz żenić.

LEON.

Jakto?

SALOMEA.

Bo ja cię zawstydzę:
Sama się będę rumienić,
Sama się wstydem ukarzę,
A ciebie publicznie oskarżę.

LEON, *na stronie.*

Co słyszę! wejdźmy z nią w targi.

SALOMEA.

Słuchaj, i będą dwie skargi
Z jednych ust przeciwko tobie...

LEON, *na stronie.*

Co ja z tą dziewczyną zrobię?

SALOMEA.

Z jednych ust wyjdą dwa głosy.

LEON, *na stronie.*

Ach, wyrywać teraz włosy!
I z boleści kąsać ręce!:..

SALOMEA.

I zaręczyny książęce
Ja zerwę... zerwę szalona!
Bom jest na to podmówiona
I udarowana mocą
Przez duchy... co tu w altanę
Weszły i tam się trzepocą

Jak gołębie krwią zwalane,
O ten liść otarte suchy,
Jakieś białe, krwawe duchy!

Odchodzi.

LEON, *sam.*

Co? czy w obłąkanie wpadła?
Czy widzi krwawe widziadła?
Albo li też chce udaniem
I aktorskiem obłąkaniem
Sumienie ciężej przywalić?
Na Boga! to nowa sztuka
Niewieścia! serce rozżalić,
Potem jeść je dzióbem kruka
I rozdzierać, aż zaboli,
Aż własnej pozbędzie się woli.

Wchodzi SEMENKO.

SEMENKO, *na stronie.*

Podsłuchałem ich w altanie.

LEON.

Ach! Semenko.

SEMENKO.

Jasny panie!

LEON.

Chodź tu, Semenko kochany,
Bóg mi cię pewno przysyła.

SEMENKO, *na stronie.*

Skaży: czort.

LEON.

Ot, z tej altany
Tylko co tu wyskoczyła
Tego Gruszczyńskiego córka,
Z którą ty nie raz mazurka
Tańczył... i tej młodej pani
Zasługiwał się, figlował.
Ja wiem, że ty nieraz dla niej
Twoje dumki komponował
I pod oknem w torban dzwonił...
Ot, i teraz się zapłonił
Jak dziewczyna.

SEMENKO.

Ta, czy druga!
Ja nie szlachcic, ale sługa,
Kozak pański, król na stepie,
Szukam, gdzie serce przyczepię,
A nie można? Jeśli Laszka
Wyżej sobie okiem mruga
I złotego łowi ptaszka,
Tfu! to dla mnie ta czy druga!

LEON.

Ja wiem... ale ta dziewczyna
Nie wyszła z pod adamaszków;
To równa tobie chudzina,
A ty chwat do takich ptaszków
Gdyby ty chciał, toby miał ją,
Spróbuj tylko.

SEMENKO.

Czart by chciał ją!
Na co mi się piąć do państwa!
Z asawulstwa[1] i poddaństwa
Kontent jestem.. i ze służby
U panycza.

LEON.

A mi jużby
Ty szlachcianki tej odmówił!
Cóż, na prawdę, mój Semenko,
Jam z nią w tej altanie mówił
I serduszko miał pod ręką.
Kiedy wspomniałem o tobie,
Rzekła: nie, ale tak cicho,
Że mnie aż porwało licho,
Bom ją kiedyś ja sam lubił...
Lecz takiej biednej chudobie
Nie mogłem (bobym się zgubił
U ludzi) oświadczyć z ręką.
Ot ja sobie z tą maleńką
Igrał, póki było można;
Lecz to dziewczyna pobożna,
Święcie w domu wychowana,
Gdyby ty miał ognia w kości,
To wyszedłby z nią na pana,
I przyszedłby do miłości.

[1] Ossawulstwo, stopień młodszego oficera u kozaków.

SEMENKO.

Zróbcież mnie, panyczu, panem...
Jeśli chcesz.

LEON.

A chcesz, to zrobię:
Osadzę gdzie nad limanem,
Dam ci futor na początek,
A wam, jak biednej chudobie,
Bóg pomoże i dzieciątek
Wam naśle, które z zapału
Gniewnego ojca ostudzą.

SEMENKO, *padając do nóg z udanym płaczem.*

Niech tobi Boh!

LEON.

Stój... pomału!...
Trzeba z tą perełką cudzą
Ostrożnie... chociaż to cuda,
Jeżeli nam się nie uda,
Jak się dobrze weźmiem oba...
Ona ciebie upodoba.
Ja wiem, znam ją, z iskier cała...
Gdyby teraz nie kochała,
To cóż, że trochę zaszlocha?
Jak przywyknie, to pokocha...
Jak z tobą w stepach zagości,
To step... ach! step, raj w miłości
Z taką szlachecką panienką!
Cóż, głupcze?... cóż ty, Semenko?
Czy nie myślisz o kochaniu?

SEMENKO.

Ach! ja, panie, w obłąkaniu!

LEON.

Nie bądź głupi...

SEMENKO, *znów rzucając się do nóg.*

Ja twój sługa...

LEON, *podnosząc go i biorąc pod rękę.*

A co? a co?... ta czy druga?

Wychodzą.

AKT II.

Noc miesięczna w ogrodzie. — Wchodzi KSIĘŻNICZKA i służąca ANUSIA.

KSIĘŻNICZKA.

Moja Anusiu, siądźmy w tej altanie...
Sama się boję chodzić po ogrodzie.

ANUSIA.

Czy strach panience?

KSIĘŻNICZKA.

Powiedz mi, czy w modzie
Teraz u ludzi słowików śpiewanie?

ANUSIA.

Nie, panno, teraz w modzie klawikordy.

KSIĘŻNICZKA.

Głupiaś! W zapachu kwiatów są akordy
I różne wielkie na świecie muzyki...
Powiedz mi, czy dziś w modzie są krwawniki?

ANUSIA.

Tfu! to horrendum, małej szlachty kamień.

KSIĘŻNICZKA, *dając jej pierścień regimentarza.*

Więc mi ten pierścień krwawnikowy zamień
Za pierścioneczek chłopski, srebrny, gładki...
A choćby z kilku szkiełek były kwiatki,
Weź go i przynieś mi, proszę, do parku.

ANUSIA.

Jakto? prostego pierścionka z jarmarku?
Skądże księżniczce to dziwne zachcenie?

KSIĘŻNICZKA.

Nie wiem; nie powiem, że miałam widzenie,
Bo widzeń żadnych, ani snów nie miewam,
Choć często bardzo drzemię i poziewam,
Łowiąc ustami, jak mówią, skowronka...
Dlaczego ja chcę srebrnego pierścionka?...
Może mię jaki kozak ze snu budzi,
Może ten kamień krwawnikowy nudzi,
Może na palcu krwi kolorem straszy...
Ach, zgub ten sygnet, albo zjedz go w kaszy,
Albo gdzie zamień za pierścień najprostszy.

ANUSIA.

Panienka moją ciekawość zaostrzy.

KSIĘŻNICZKA.

Więc zrób z niej sobie do krosien nożyczki.

Anusia wychodzi z pierścieniem.

Róże i nieśmiertelniki
To są moje lube kwiaty;
Adonisy i granaty
Lubię i z malw piramidy;
Lecz gdybym mogła z opalów,
Z pereł, brylatów, z koralów,
Pleść jako Oceanidy[1]
Wieniec na zielonej fali,
Albo z siarki, co się pali,
Robić powój pasożytny,
I włos długi, rozczesany
Owijać w ten kwiat błękitny,
Palący się, kwiat siarczany,
I pokazać się tej szlachcie
Taką, jaką w myślach jestem;
Nazwaliby mnie azbestem
I w moim ślubnym kontrakcie
Zawarowaliby sobie,
Że w domu ognia nie zrobię,
Wioski nie spalę zarzewiem.
Skąd mi ten duch? sama nie wiem ..
To wiem tylko, że mię nie to
Bawi, co tych ludzi krwistych
I że myśli mych ognistych
Mój dowcip jest zdawkową monetą.

Wchodzi ANUSIA bez pierścionka.

ANUSIA.

Ach! panno, na nasz dziedziniec
Wjechał jakiś Ukrainiec,
Który oczy, serce grzeje
Swą rzeźkością, oka blaskiem.
Widziałem, jak przez aleje
Leciał z piorunowym trzaskiem,
A za nim jacyś pohańce
Nieśli czerwone kagańce,
Podobno jego lirnicy,
Dziady, w ognia błyskawicy
Świecące się jak upiory.

[1] Oceanidy, córki Oceana, boga wód.

A śród lip, z jego żupana
Różne lały się kolory,
Niby od świętego Jana,
O którym panienka czyta
Widzenie.

KSIĘŻNICZKA.

A mój pierścionek?

ANUSIA.

O pierścionek panna pyta?
Zgubiłam.

KSIĘŻNICZKA.

Zmów trzy koronek
A odniosą ci go duchy.

ANUSIA.

A temu, co przybył, panu,
Jak dać imię?

KSIĘŻNICZKA.

Zawieruchy
Imię, nazwisko kurhanu
A przydomek: ludu sława.
Ten pan, Anusiu, to Sawa.

ANUSIA.

Sawa? ten syn hajdamaki?
To on wyrżnie nas, panienko.

KSIĘŻNICZKA.

Chowaj się, Anusiu, w krzaki.
Bo już ciebie ma pod ręką.
Patrz, z regimentarzem idą
I mówią oba o rżnięciu.

Wchodzi REGIMENTARZ i SAWA.

REGIMENTARZ.

Przedstawię ciebie panięciu
Ładnemu...

Do księżniczki.

Ty zaś, Cyprydo[1],
Lub Hebe[2], zaraz nam musisz
Nalać ze srebrzystej stągwi...

[1] Zrodzoną na brzegu Cypru Wenerę zwą także Cyprydą [2] Hebe, bogini młodości, podawała napoje bogom na Olimpie.

Jest to wódz lekkiej chorągwi,
Pan Sawa.

Do Sawy.

Tobie zaś powiem,
Że jej się łatwo nie ukusisz,
Bo ją Bóg obdarzył zdrowiem
I dowcipem, więc jest harda,
Jako alabastry twarda.
Nie proś o nic, bo się słowy
Jak wężyk mały wymyka:
I nie wdawaj się w rozmowy,
Bo zapomnisz z nią języka;
I nie mów z nią o miłości,
Bo doświadczysz z nią trudności,
Bolu głowy, snów gorących
I takich feber trzęsących,
Że świat przeklniesz .. Dodam i to,
Że jest z mym Lwem zaręczona.

KSIĘŻNICZKA.

To fałsz.

REGIMENTARZ.

Jakto! fałsz? kobieto!
Zastanów się... ty szalona!
Podstępna znowu jak liszka!
Na sygnet świętego Franciszka
Przysięgam, żeś mi przyrzekła.

KSIĘŻNICZKA.

Sygnet rzuciłam do piekła.
Kto mi go wyrwie z płomieni
I odda, ten się ożeni.

Odchodzi z Anusią.

REGIMENTARZ.

Widzisz, fantastka dziewczyna!
Idzie za mojego syna,
Ale się jeszcze z tem chowa,
Cóż ty na to? ani słowa?
Cóż?

SAWA.

Jaśnie wielmożny panie,
Winszuję.

REGIMENTARZ.

Chodź! chodź, przy dzbanie...
Tak nie można... nie można na sucho.

SAWA.

W sercu mi teraz tak głucho
I tak ciemno, żem nie do kieliszka...

REGIMENTARZ.

Na świętego przysięgam Franciszka,
Że ci serce to wnet rozweselę.

SAWA.

Krwi dziś widziałem tak wiele!
Takie straszne nieboszczyki!
Taki mord i takie zbrodnie,
Że przez całe dwa tygodnie
Z obrzydzeniem na jadło popatrzę;
Pomnąc na te sine chłopczyki,
Na jakim one teatrze
Zakrwawionym czyniły honory...

REGIMENTARZ.

Co? widziałeś wyrżnięte gdzie dwory?

SAWA.

Gruszczyniecki.

REGIMENTARZ.

Ach! co mówisz mi wasan?

SAWA.

Gruszczyńskiego chłop na wszystko rozpasan,
Przez jakiegoś obcego człowieka
Podżegnięty, wyrżnął całą rodzinę
I przed mieczem w step ciemny ucieka.

REGIMENTARZ.

Ja tu mam na respekcie dziewczynę.

SAWA.

Więc z rodzeństwa ta jedna została.

REGIMENTARZ.

Jakto? cały dom?...

SAWA.

Rodzina cała
Bez litości w pień wymordowana.

REGIMENTARZ.

Proszę! proszę wielmożnego pana...
Mam panienkę tu jego dorosłą:
Trzeba, aby się to nie doniosło
Do jej uszu.

SAWA.

Nikt o tem nie powie,
Bom chorągwi zakazał surowie
Szerzyć strachu.

REGIMENTARZ.

I widziałeś dom cały?...
Biedny ojciec!...

SAWA.

O słońca zachodzie,
Widząc, że mi koń mój biały
Utyka a Ukraińce
Zmęczeni, kazałem w chłodzie
Na górze, skąd widać Gruszczyńce,
Rozłożyć się obozowi;
Sam zaś ku temu domowi
Obrócony, na te ściany
Patrząc podupadłe, stare,
Choć dom był zorzą różany,
Choć lipy i pola jare
W słonecznem błyszczały złocie,
Choć... ach! dotąd jeszcze śledzę,
Czemu ja w takiej tęsknocie
Patrzałem na kwietną miedzę,
Idącą przez żyta i wzgórki,
Na te łany i służebne
I pańskie, gdzie wróblów chmurki
Niby harfy szare, srebrne,
Ważąc się przez błękit blady,
Ulatywały na sady,
W korony śliw i czerechów,
Niby harfy pełne śmiechów,
Szmerów, świegotań i głosów,
Patrząc na te morza kłosów,
Drzewa, miedzę, wyznać muszę,
Że snów miałem pełną duszę,
Widzeń miałem pełne oczy.
Zdało mi się, że ów dworek
Powietrze błękitne broczy,
Że wróble jakiś paciorek
Nad tą kalwaryjską stacją,
Jakiś smętny Anioł Pański,

Jakąś smętną suplikacją
Śpiewają do Panny Marji.
Zostawiwszy więc powstański
Huf, pasący stepów trawę,
Sam wziąłem kilku z rajtarji
I uczyniłem wyprawę,
Rekonensans na dwór Lacha.
A jeśli przyznam się kiedy,
Żem w głąb serca wpuścił strach...
Ja, co na czele czeredy
Rzucał się na działa, smoki
I na spisach brał pod boki
Żywe ruskie kanoniery,
I z ich bladej strasznej cery
Chorągwie robił straszliwe,
Okiem łyskające, żywe,
Z śmiertelnych ludzi zrobione,
To wyznam, że strach miał oczy
Większe i bardziej czerwone,
Że mój włos, jak wicher smoczy,
Wchodzącemu w to pustkowie
Wyżej podniósł się na głowie.
Niechaj pan jaśnie wielmożny
Wystawi sobie ów domek
Taki cichy i pobożny,
Od Nimf, laszych ekonomek
Ubrany w cebuli wianki,
W malowane na papierze
Obrazki, miedziane dzbanki,
Cynowe misy, talerze,
Na policach tak błyszczące
Około ścian jak miesiące
Czarodziejskie, rusałczane;
Teraz wszystko krwią zbryzgane,
Co uniknęło grabieży.
Trupy ludzkie bez odzieży
I na ziemi i na łóżkach,
Na krwią ociekłych poduszkach;
Dziatki porąbane srodze
I na ceglanej podłodze
Porzucone, i z puchówek
Pierze śnieżące podłogi.
Sama pani... widok srogi!...
Dzieteczki swoje bez główek
Za nóżki zimne, zielone
Trzymała... ach! jedną raną
Zabita, bo otworzone
Miała żywota świątnice
I straszną płodu zamianą...

(Jasne stepowe księżyce!
Biorę was za krwawe świadki!)
Że łono tej polskiej matki
Od strasznego nożów cięcia
Wyszło na łono szczenięcia
I stało się psią mogiłą;
Bo i szczenię martwe było
Na dnie martwego żywota!
Ojczyzno moja! o złota
Ojczyzno moja kochana!
W matkach twoich zarzynana!
I gubiona w matek płodzie!
Jeśli mój żywot na wschodzie
Czego wart, to Bóg to widzi,
Że go składam na ofiarę
I wszelką żywota marę
Składam, aż to, co mię wstydzi
We mnie, krew moja kozacza
Wypłynie sotkiem strumieni
I na węże się przemieni
I ślady swe powytłacza
Mordem, ogniami i jadem;
A ja wtenczas wpadnę na nią
I zewrę się jak gad z gadem,
Aż się stepy rozkurhanią,
Zniknie czar, co łby podchmiela,
Prawosławna wira zgaśnie;
A we mnie, jak w niszczyciela
Na jakim starym kurhanie
Stojącego piorun trzaśnie.

Straszne to ofiarowanie
I ciała mego i ducha...
Bo i we mnie zawierucha
I krwi strasznej słychać granie,
Bo miesiąców pozłacanie
Ja znam także w myśli ciemnej,
Bo ja także duch tajemnej
Pełny myśli o przeszłości;
Lecz to votum, nie śród gości,
Nie przed szlachtą, przy kielichu
Zrobił ja, ale po cichu:
Tam w jednej wielkiej komnacie,
Przed babką rodu, co biała
Za firankami siedziała
W alkowie, w ponocnej szacie,
Jakoby furja tajemna,
Dawno już głucha i ciemna;
A teraz na ten mord smoczy

I krwotok z ciemnej alkowy
Wytrzeszczająca te oczy
Tak, jak gdyby przed nią głowy
Dziateczek z włoski złotymi
Krwawe biegały po ziemi,
Strasząc je razem i bawiąc;
Jak gdyby im błogosławiąc,
Oczyma się podziwiała,
Że one gadzinek ciała
Są biegające i zręczne;
Przed nią i przed tym zegarem,
Który tam jako koło miesięczne
Zatrzymany strachem, czarem,
Poznawszy, że czas nie płynie,
Stał na północnej godzinie,
Do srebrnego ducha głowy
Podobny, w głębi alkowy:
Przed skazówkami, co sine,
Groźnie podniesione w górę,
Pokazywały godzinę,
Na którą Bóg przywiódł naturę
Łańcuchem trwogi poimał,
Krwią przeraził i zatrzymał;
Przed tym zegarem, co łóżko
Zczerwienione opłomieniał
I przed tą martwą staruszką,
Której trup suchy skamieniał
I czarny jak zmyta chusta
Otworzone trzymał usta,
Krzyczące: gwałt i morderstwo!
Przysiągłem, że kawalerstwo
Polskie wygna krew kozaczą!
Że Ukrainki zapłaczą,
Na mój miecz, na mego konia
Rzucając klątwy i czary.
Bo ja będę jak miecz kary,
Kosa ścinająca błonia,
Orlica na pół rozdarta,
Mająca dwa serca i dzioby;
Człowiek z troistej osoby,
Z Lacha, z kozaka i z czarta

REGIMENTARZ.

Hamuj się waćpan w zapale,
Bo się takie słowa ważą
Srogo w bożym trybunale;
A te twoje — aniołów przerażą.

SAWA.

Jakto? więc ten mord?...

REGIMENTARZ.

Mocanie!
Mam siłę i prawo miecza.

SAWA.

Tam, gdzie krwi ohydna ciecza,
Znalazłem torban kozaczy,
A na tym były torbanie
Twoje herby.

REGIMENTARZ.

Co to znaczy?
Śmiałżebyś na mój dom stary
Rzucać jakie podejrzenie?

SAWA.

Nie, ale twoje kotary
I tych lip wiekowych cienie
Może dają cień jakiemu
Zdrajcy słudze.

REGIMENTARZ.

Biada jemu!...
Bo jeśli go znajdę we dworze,
To mu na karku położę
Regimentarską rózeczkę.
Dotknę się go zimną ręką.

SAWA.

Jest posłuch, że sam Tymenko
Kryje się w szlacheckich dworach,
Jak wilk nakryty owieczką,
I w różnych staje kolorach
Przed oczyma swego ludu,
Siłą rządzący fatalną.
A bunt, podobny do cudu
Ręką jakąś niewidzialną
Sprawionego, niby owe
Straszne napisy ogniowe
U Babilonii mocarza,
Napisane bez pisarza,
Tem okropniej szlachtę straszy.

REGIMENTARZ.

Zmażemy ostrzem pałaszy
Te ogniowe dokumenta,

Które lud z czartem jurystą
Piszą ręką ciemną, krwistą...
A tak zmażem, że lud popamięta
I przelęknie się naszego pióra.
Gdzież jest, Sawo, ta krwawa bandura?

SAWA.

Lirnik ci ją, mój Bajda, pokaże.

REGIMENTARZ.

Pozazdroszczą mi koronni pisarze
Mego oka w sądzeniu tej sprawy.
Znajdź tu sobie co dziś do zabawy,
Bo się trudnić waćpanem nie mogę.
Odchodzi.

SAWA, *sam.*

Jako trąba uderzyłem na trwogę
I podniosłem serce w tym szlachcicu.
Wychodzi z poza altany KSIĘŻNICZKA.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! dwie gwiazd... ach! dwie gwiazdek po licu
Mi zleciało, gdyś mówił o rzezi.

SAWA.

A do jakiej je przypiąć ferezji?[1]

KSIĘŻNICZKA.

Co, mój chłopku?

SAWA.

Co, mój biały księżycu?

KSIĘŻNICZKA.

Kiedyż nasze ogłosim wesele?

SAWA.

Dziś, kochanko...

KSIĘŻNICZKA.

Jak sobie podchmielę
Ukraińską wonlą, tom gotowa
Przysiąc na to, żem twoją jest żoną.

[1] Zwierzchnia suknia.

SAWA.

Sam czart na to jeszcze nie da słowa.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! ja głupią byłam i szaloną,
Kiedym poszła za ciebie sekretnie.

SAWA.

Kiedyś poszła, uczyniłaś szlachetnie;
Że się przynać nie chcesz... jesteś Ewą.

KSIĘŻNICZKA.

A radby ty potrząść drzewo?
Co? bo cierpisz na to srodze,
Że nie wiesz, jakie ja rodzę
Owoce?

SAWA.

Jabłuszka winne.

KSIĘŻNICZKA.

Drzewko jestem bardzo czynne,
Co dzień w kwiatach jak pochodnia;
Kwiatek nowy rodzę co dnia,
Róże, astry i narcysy.
Ale co raz w myślach minie,
To już jak napój zakisy
W listeczki się nie rozwinie,
Ach! jaka ja byłam głupia,
Sekretnie idąc za ciebie!

SAWA, *na stronie.*

Gniew się srogi we mnie skupia
Jak piorun.

KSIĘŻNICZKA.

Pisano w niebie,
Że zawsze krzywo osądzę,
Zabłąkam się w zawierusze.
Wpadnę w dół, w lesie zabłądzę
I wybłąkiwać się muszę.

SAWA.

Hej! księżniczko na Ostrogu,
Czy panno, czy moja żono,
Pókiś tu na obcym progu,
Możesz sobie być szaloną,
Zimną, wzgardliwą, zalotną,

W tęczach od stóp aż do głowy.
Bo wiesz, żem człek honorowy,
Wprzód mię na kawałki potną,
Wprzód mi serce w piersiach zjedzą,
Nim się szlachcice dowiedzą
O naszem małżeństwie. Ale,
Choć nie mogę w trybunale
(Boś ty akt ślubny podarła)
Przez adwokackie się gardła
Upomnieć o moje prawa;
Chociaż wiem, że pierwej muszę
Chłopską z siebie wygnać duszę
I wysypać ci z rękawa
Me szlacheckie dokumenta,
Proszę cię, ach! nie bądź święta!
Nie bądź dla mnie tylko śmiechem,
Małżonki mojej zarysem,
Różą, bławatkiem, narcysem,
I pożądliwości grzechem...
Lecz pamiętaj na mój statek,
Na cierpliwość pełną dumy;
I na rzecz miłosnej sumy
Wylicz mi dzisiaj zadatek.

KSIĘŻNICZKA.

Co? mój panie kredytorze?

SAWA.

Posiadam ogniste morze,
Pełne pereł i korali,
Które widzę na dnie fali.
Jednej perły chcę, kochana!

KSIĘŻNICZKA.

Nie, nic, tylko sama piana
Dla ciebie, małżonka cieniu.

SAWA.

W djabelskiem ja odurzeniu.
Ach! raz, ach! raz tylko z ciebie
Trysnął płomień iskry boskiej...
Kiedy w rycerskiej potrzebie,
Pułaskich broniąc odwrotu,
Ranny, w kołysce żydowskiej,
W chmurze świszczącego śrotu
Śród dwóch rumaków wiszący,
Kazałem się jako krwawy
Sztandar w ogień gorejący

Nieść... i krzyczał hasło Sawy;
Gdym jak bachur z tej wyprawy,
Gdziem nie jeden dostał siniec,
Przyjechał na wasz dziedziniec,
Zawsze w tej kołysce siedząc,
W pokrwawionych na łbie chustach;
Blady, bo przez dwa dni nie jedząc;
Żółty, głód miałem na ustach;
Straszny, bom był cały w ranach;
Brudny, bom spał na kurhanach;
Głupi, bom o świecie nie wiedział
I kręciło mi się w głowie;
Śmieszny, bom w kołysce siedział;
Hardy, bom nie dbał o zdrowie,
Ni o piękność kawalera;
To wtenczas ty byłaś szczera,
Potulna, jak małe kotki.
W zamku u staruszki ciotki
Sama, bywało, w garnuszku
Warzysz mi kaszę jaglaną;
I widziałem cię co rano
W zorzach różanych przy łóżku;
Ach! i byłbym na kolano
Upadł jak przed bohomazem.

KSIĘŻNICZKA.

Pięknym skończyłeś obrazem!

SAWA.

Oszukałem się na tobie.

KSIĘŻNICZKA.

Oszukaliśmy się razem.

SAWA.

Kiedyż tej okropnej próbie
Koniec położysz?

KSIĘŻNICZKA.

Pomyślę
I wynajdę coś w umyśle...
Odpowiedź warjatki godną.
Słuchaj... póty będę chłodną,
Jak wąż ci uciekać śliski;
Póty na męża utyski,
Na twe skargi będę głucha
I będę czysta jak mniszka,
Aż z ręki ognistej ducha

Pierścień świętego Franciszka,
Pierścień z krwawej kornaliny
Zerwiesz... na koniu tu wjedziesz
I przez drugie zaręczyny
Mnie zaręczoną rozwiedziesz...
Słowiki na ranek kwilą,
Bądź zdrów.

Odchodzi.

SAWA, *sam.*

Bądź zdrowa, Sybillo.
Wymyśla różne przyczyny,
Ucieka się do wykrętów.
Ale serce tej dziewczyny
Chłopstwa się mojego boi.
A utrat dokumentów,
Które mieli ojce moi,
Co ród od Calińskich wiodą,
Jedyną mi jest przeszkodą.
Ach! Ukrainę przewrócę,
Kurhany wszystkie rozwalę
A z dokumentami wrócę.

Odchodzi.

Wchodzi LEON.

LEON, *sam.*

Ojciec mój w wielkim zapale,
Zachmurzony nic nie gada,
Tylko w swoim gabinecie
Poosobno ludzi bada.
A mnie wielki strach napada,
Czy to już nie dziewki skarga?
Ach! to ona — list mój w ręku.
Sam jej widok za serce mię targa.

Kryje się za altanę i przez cały ciąg sceny zostaje na stronie
Wbiega SALOMEA w bieli, w wianku z rozmarynu, ubrana jak
do ślubu.

SALOMEA.

Ach, jak od słowików jęku
Kołysze się cały staw...
Jaka woń tych róż i traw!
Jak leci w usta! na czoło!
Ach! ach! jak mi wesoło!
Ach! ach! jak mi wesoło!...

LEON, *na stronie.*

Nieszczęśliwa, a szczęściem spojona!

SALOMEA.

Ten listek włożę do łona.
Tutaj w białym gorseciku,
Tu siedź w tajemnym kąciku,
Gdzie jedna róża czerwona,
Jako lampa zapalona,
Rzuca na mnie takie blaski
I tak opłomienia szyję,
Jak dno filiżanki saskiej,
Z której mój gołąbek pije
I cały się złotem rumieni.
Ach! ach! ze mną się Leon dziś żeni!
Ze mną żeni się Leon sekretnie!

LEON, *na stronie.*

Niech mi kto łeb teraz zetnie
I rzuci Meduzy głowę
Na trzewiczki atłasowe.

SALOMEA.

Jeszcze nie czas. Jak ta sina
Gwiazda nad topolą stanie,
To będzie ślubu godzina.
A pod różane zaranie,
Sama wracając z cerkiewki,
Na tem miejscu sobie stanę
I pomnąc na smutek dziewki,
Na me serce oszukane,
Na wstyd, bom wstydu się bała,
Będę z radości płakała.

LEON, *na stronie.*

Szelma ze mnie!

SALOMEA.

Ach, Boże mój!
Dlaczego ta noc taka cicha!
Dlaczego tych gwiazd taki rój?
Dlaczego jedna, zda się, wzdycha?
A druga leci gdzieś zdaleka?
A trzecia krwawa jak pies szczeka
I na błękitach mi ujada;
A czwarta — ach! czwarta spada,
I nad Gruszczyńcami zgasła.
Ledwie żem z trwogi nie wrzasła,
Widząc tę gwiazdę przy zgonie
Jak główkę ducha z oczami.
Ach! jak tam smutno w tej stronie!
Jaka mgła nad Gruszczyńcami!

LEON, *na stronie.*

Każde jej słowo rozdziera.

SALOMEA.

Czy tam w domku kto umiera?
Czy kto leży konający?
A ta gwiazda... anioł złoty
Po duszę przylatujący!
Ach! ach! pełnam trwogi i tęsknoty.

LEON, *na stronie.*

O! słowiczku! o! skończ to śpiewanie!

SALOMEA.

Przez głębokie się wsłuchanie
W powietrze, wsłuchałam w trwogę.
Ach, cóż ja? Ja nic nie mogę!
Co się ma stać, to się stanie.
Ach, jak smętnie, jak mi parno!
Jak mi smętnie, jak mi czarno!
O! stróżu, święty aniele,
Pamiętaj, że dziś moje wesele.

Wybiega ku wiosce.

LEON, *wychodząc z poza altany.*

Wesele... Ohydna sprawa!
Z Semenką ślub malowany
Przez spitego księdza dany,
Bez świec skrycie, potajemnie.
I moje miłosne prawa
Ten chłop zrodzony nikczemnie
Będzie nad nią miał po ślubie.
On podejmie, co ja gubię:
Nie djament szlifowany,
Ale perłę czystej rosy;
Nie tęczę, ale jej włosy;
Nie rubin w ogniach różany,
Ale usta jej... maliny;
Nie strojną w tony gitarę,
Ale czysty głos dziewczyny,
Który mu przysięże wiarę
I dotrzyma, gdy przysięże.
A ja co mam?... włosy... węże!
Oczy, jak szatańskie bielma,
Głos, co mówi mi, żem szelma,
W sercu ranę i nóż w ranie;
I twarz, którą krew porzuci,

Która na szelmy nazwanie
Jak słonecznik się obróci.

Wchodzi REGIMENTAZ.

REGIMENTARZ, *z daleka.*

Panie Leon!

LEON.

Ojciec woła.

REGIMENTARZ.

Panie Leon!

LEON.

Tu jestem w ałtanie.
Jakie grzmiące i ponure wołanie?
Co, mój ojcze?

REGIMENTARZ.

Lud nasz cały do koła
Zbuntowany... mój pop stanął na czele.
Wczoraj noże święcono w kościele.
Czy wiedziałeś, że tam takie święto?
A Gruszczyńce...

LEON.

Co, mój ojcze?

REGIMENTARZ.

Wyrżnięto.

LEON.

Dom Gruszczyńskich?

REGIMENTARZ.

Naszych starych sąsiadów.
A wiesz, synu, kto zgrają tych gadów
Rządzi? wieszli, kto Tymenko się zowie?
Zgadnij acan; bo ani ci w głowie
Taka myśl... zgadnij, synu kochany?
Oto kozak twój Semenko, poznany
Po tej krwawej bandurze.

Wyjmuje z pod kontusza bandurę kozacką.

LEON.

Chrystusie!

REGIMENTARZ.

Wczoraj napadł w ogrodzie Anusię,
Która niosła mój pierścień z krwawnikiem,
Wyrwał jej z rąk, i chciał palec nożykiem
Uciąć dziewce, jeżeli zakrzyczy;
Potem kazał nie mówić nikomu
I ten pierścień tajemniczy,
Święty, uniósł z mego domu
I będzie nim łotr wierutny
Oszukiwał szlachtę małą.

LEON.

Gdyby zaraz...

REGIMENTARZ.

Łotr obrótny!

LEON, *na stronie.*

Wyjechawszy na noc całą,
Jeszcze mógłbym go dogonić:
Ale musiałbym odsłonić
Moję haniebną intrygę...

REGIMENTARZ.

I cóż myślisz?

LEON, *z pomięszaniem.*

Ojcze drogi...
Na stronie.
Ach, z czartami wszedłem w ligę!
Ani cofnąć teraz nogi,
Ani wprzód uczynić kroku...

REGIMENTARZ.

Patrzałem na ciebie z boku...
Waść mi dziwnie zamyślony?...

LEON.

Ojcze, daj mi dwa szwadrony.

REGIMENTARZ.

Jakto? a twoje wesele?

LEON.

Jutro czekajcie w kościele,
Przyjadę na czas z pierścionkiem.

REGIMENTARZ.

Idź Waść.

Leon odchodzi.

Za moim skowronkiem
I ja stary ptak polecę.
A teraz bożej opiece
Polecam mojego ptaka,
Syna mego jedynaka!

AKT III.

W domu Regimentarza.
Wchodzą REGIMENTARZ, SAWA i KSIĘŻNICZKA.

REGIMENTARZ.

Czas teraz, mospanie Sawo,
Czynnie zająć się wyprawą
I buntowi uciąć głowę.
Czas pokazać w ciemnym jarze
Wielkie miecze koralowe,
Jak dawni regimentarze
Ukraińscy i podolscy.
Czas pokazać, żeśmy polscy
Posiadacze tej krainy,
Choć bez hełmów i kirysów,[1]
To wszakże nie do pierzyny
Tylko i nie do kieliszka;
Ale naszych cór, narcysów,
Na świętego klnę Franciszka!
Nie damy chłopom za żony.
Syn mój wziąwszy dwa szwadrony,
Przed nami zamiata pole
I pewnie się na rosole
Rusałczanym nie rozpieści...
A sądzę, że lada chwila
Od Gruszczyńskiego nam wieści
Nadlecą — pewnie się stary
Na erudycją wysila
A szablicą przygasza pożary.

Do księżniczki.

Ty zaś, moja piękna Parko,[2]
Wiń nam żywota przędziwo.
Gdybyś była sprawiedliwą,

[1] Kirys, pancerz na piersiach. [2] Trzy boginie Parki przędły i przenały nić ludzkiego życia.

To bym cię regimentarką
Ogłosił na kraj okolny,
Gdy sam jako hetman polny
Po rosie w pole wyjadę...
Ale panienka ma wadę!
Ma wadę; pierścionki gubi...
Kto taką stratną poślubi,
To kiep...

KSIĘŻNICZKA, *spozierając z pod oka na Sawę.*
Czy słyszysz pan Sawa?

REGIMENTARZ.

On się jeszcze rozpoznawa,
Ale nie zna się na tobie,
Boś ty mu ni siostra ni żona...
Cóż? tęskno ci bez Leona?
Ślubny wam dzień przyozdobię
I wyjaśnię wam świetlicę
Łbami kozaków na tyczce.

KSIĘŻNICZKA.

Tateczku... a czy pan Sawa
Będzie pochodnią w lichtarzu?

REGIMENTARZ, *gładząc ją pod brodę.*

Cóż to, mój regimentarzu?
Jaka ty już w myślach krwawa!
Ledwo dzisiaj na urzędzie
A już rączki masz łabędzie
Zajęte głów zdejmowaniem?

KSIĘŻNICZKA.

Owszem, chciałabym rozdawać.

REGIMENTARZ.

Cicho! bądź z uszanowaniem...
Widzisz, Sawo, te ptaszęta
Trzeba śmieszkami napawać,
Na żartach się nie poznawać;
To one swem świegotaniem
Przez różne szpaczków talenta
Smętny czas, grożący nocą,
Żywo po anielsku złocą;
I zdaje się, gdy świegocą,
Że ta ziemia cała gajem
Zielonym, gwiazdą i rajem;

Gdzie za teatru kurtyną
Ludzie lepsi za kraj giną.

Wchodzi PAFNUCY z pałaszem Gruszczyńskiego w ręku.

Cóż to znowu za szlachcic obdarty!

PAFNUCY.

Od Gruszczyńskiego przychodzę.

REGIMENTARZ.

A Gruszczyński?

PAFNUCY.

Pozostał na drodze.

REGIMENTARZ.

Powiedz wszystko i bądź z nami otwarty;
Tobie z oczu nieszczęście wyziera.
Umarł starzec? czy umiera?
Czy przez chłopstwo gdzie w sztuki rozdarty?

PAFNUCY.

Jasny panie, posłuchaj cierpliwie
A uderzę ci chrapliwie
(Tak, że zadrży serce mężne)
W nieszczęścia trąby mosiężne.
Wczoraj, panie, po twym liście
Otrzymanym starzec biały
Ruszył się jak lew ogniście,
Gotów targać świat w kawały.
Co! ja tchórz? krzyczał, ja stary
Rotmistrz służący za Sasów?
Mnie każą wychodzić z lasów?

W twarzy i w gestach regimentarza widać zadziwienie.

Ciągnąć przez lochy i jary?
Gdzie ledwie węże się toczą
Po kwiatach wstążką błękitną?
Gdzie rzezunie nas otoczą,
Z gór wystrzelają, w pień wytną
I głowy nasze na tykach
Postawią żonom przed oczy...

Tak krzyczał, a na uboczy
Przy gwiazdach, wielkich świecznikach
Srebrnych, które ogonami
W niebie wisiały nad nami,
Zwierzyć się przedemną szukał
Z omenów, jak mu do dworku

Po trzykroć Chrystus zapukał
We drzwi, dwakroć we śnie zastał,
A raz zastał na paciorku;
Tak, że po stukaniu nastał
Wielki strach, i czeladź cała
Matka, nawet dzieci drobne,
Owo stuknięcie żałobne,
Groźne, po którem nastała
Cisza w domu i na dworze,
Wzięli za stuknięcie boże.
Jakoż, mówił do mnie stary,
Była to dla mnie nauka,
Abym poszedł pod sztandary,
Bo Pan do drzwi moich puka,
Pokazuje w kraju łodzi
Tonące ludzie w rozpaczy;
I sam w domek zajrzeć raczy,
Sam po rycerza przychodzi.
Jakoż, mówił, mam ufanie,
Że na werbunku nie zginę,
To, jaśnie wielmożny panie,
Z jego ust słyszałem wczora,
Potem swoją mi dziewczynę,
Służkę u twojego dwora,
Polecił: i wnet z lewady
Pod rosę i księżyc blady
Ruszyliśmy, czyniąc pilny
Marsz, ażebyśmy o wschodzie
Przeszli cicho jar mohilny,
I o irdynięckim brodzie
Zachwycić mogli gdzie wieści...
Rano... (ach, panie! w boleści
Mówić nie mogę!) nad rankiem
Pod brzóz już ostatnich wiankiem
Jeszcze się zatrzymał stary
Jeszcze mi tam swoje mary
Swoje sny i wizje chore,
Oraz starca Wernyhorę
Z wróżbą o dwóch chorągiewkach
Przypomniał. A w leśnych drzewkach
Był dziwny z powieścią związek,
Jakieś szeptanie gałązek,
Szmery stłumione pół głośne;
Jakby śpiewania żałośne
Przez duchy tych drzew czynione
Na kwietnem lewad wybrzeżu,
Jakby po starym rycerzu
Jakieś głosy utęsknione
(Które jeszcze w uchu słyszę)

Radzące staremu na ciszę
I spoczynek... W tem z rozłogów
Podniosło się słońce złote,
Nakształt mojżeszowych rogów
Ubrane w ogniste słupy;
I wiodło nas na robotę
Mieczową, którą już kupy
Kawek i wron i szulaków,
Zwite koło naszych znaków
Czarną koroną piekielną,
Okrakały za śmiertelną.

Rota za rotą sprawieni,
Wszyscy dobrzy przyjaciele
Jechaliśmy — on na czele
Z chorągwią... i w jar ów głuchy
Pełny deszczowych strumieni,
A po ścianach czarny, suchy,
Bokami słońcu zakryty
Wjechaliśmy, tak że słońce
Ozłociło nasze kity
I same sztandarów końce:
A ciemność, jaka w kościołach
Panuje, grobowej bliska,
Na naszych leżała czołach,
Gdyśmy przez te uroczyska
Ciągnęli, żując myśli surowe;
I tylko kopyt iskrzyska,
Gdyśmy podkowa w podkowę
Za naszym wodzem lecieli,
Albo blask od karabeli
Swoje ognie piorunowe
Na ciemne jary te kładły;
Jakby tam furje u skały
Z ognistymi prześcieradły
Na nasze ciała czekały,
Tych ludzi mających ginąć
Gotowe w płomień owinąć.
Około dziewiątej rano
Przyjechaliśmy nad duże
Serca wód, wielkie kałuże,
Stawek, gdzie nam po kolano
Woda, oraz grząskie błoto
Lgnące pętało rumaki...
Tam starzec z chorągwią złotą,
A za nim pomniejsze znaki
Wbrodziły... a wody śpiące
W srebrne się wielkie miesiące
Rozeszły; jakby, o panie!

Niosąc nasze pożegnanie
Ojczyźnie gdzieś stojącej na brzegu...

Bo w tem, nie strzegąc szeregu,
Ładu i żadnej komendy,
Przyszedłszy niewiedzieć którędy,
Pokazał się lud gruszczyniecki.

Ci się wężowymi stecki
Zlewali z gór na Polaków;
Ci się z jałowcowych krzaków
Ukazali, strasznej cery
Podpiłej... sino-zielonej.
Rzekłbyś, że na ziemi onej
Jałowców ciemne ogrojce
Przeradzają się w siekiery,
W noże i w spisy i w zbójce...
Że te straszne jaru ciemnie
Całe się krwią zarumienią,
I wyrżą się wzajemnie
I w dwie mogiły zamienią...
Że ze srebrnego jeziorka
Zrobi się teatrum nowe,
Na którem śmierć jak aktorka
Swe tragedje purpurowe
Będzie odgrywać w ciemności;
Krwawe sztandary pozwiesza,
Ludzką kość do wilczej kości,
Ciała ludzkie z psimi ciały
Ohydną ręką pomięsza;
I temu, co trupy wskrzesza
A niebios jest gospodarzem,
Takim okropnym cmentarzem
Ta ohydna monarchini,
Mająca świat w panowaniu,
Przy wiekuistem wskrzeszaniu
Litość albo strach uczyni
I horor... Pierwszy Gruszczyński,
Obeirzawszy gór załogę
I cały lud ukraiński,
Któremu nie mógł podołać,
Kazał długo i na trwogę
Żałośnie w trąby zawołać;
A dotąd nie wiem, na kogo
Wołał — trąb serdeczną trwogą
I tem tak żałosnem graniem?
Bo mu z góry z urąganiem
Odpowiedziały o męstwie
Próżnem, gdzie moc taka wroga!...
Więc sądzę, że Pana Boga

O swojem niebezpieczeństwie
Trąbami on zawiadamiał;
Więc sądzę, że pierwej duchy
Na powietrzu gdzieś rozgramiał
I bił o anielskie słuchy
I był w niebie, nim na świat powrócił,
Porwał sztandar i na wrogi się rzucił.

I z białą głową odkrytą
Leciał gnany naszym gwarem
I krzykiem... (a nie słowiczy
To głos, kiedy szlachta krzyczy,
Pędząc zbrojna do ataku!)
Już wódz na czele orszaku
Dobył się z grząskiego błota,
Już koń się na brzegu wspinał,
Już chorągiew wielka, złota
Burczała, już rąbać zaczynał
I powietrze już zarzynał
Jęczące od szabli zamachu.
Wtem stanął i bladość strachu
Twarz mu oblała i rosła.
Z ust próżne wypadły dźwięki,
Sztandar złoty wypadł z ręki,
Miecz na tasiemce zawisnął:
A krew, co się wprzód podniosła
Tak, że rumieniec wytrysnął,
Wróciła trwożna do łona,
I bladość straszna, zielona,
Bladość, co nigdy na Lachu
Nie występuje — ohydna!
Bladość, która w nocy widna
Na złodzieju, bladość strachu
Zielona i ołowiana,
Pierwszy raz wtenczas widziana
Przezemnie na polskiej twarzy,
Przeraziła nas husarzy
I mróz nam przeszedł przez kości.
Bośmy się zlękli bladości
Takiej czarnej, ołowianej,
Na twarzy wodza widzianej.
Bo ta przy srebrnym warkoczu
Twarz biała jak u komety,
Bo w twarzy te węgle oczu,
W oczach te wzroku sztylety
I krwią i ogniem czerwone,
Gdzieś na powietrzu utkwione,
Wylatujące z rozłogu,
Gdzieś utkwione... jakby w Bogu,

Dziś widzę...
Teraz was proszę
Jeszcze o chwilę cierpliwą,
Bo starca pałasz przynoszę;
Więc i mękę jego żywą
Mymi słowy wszczepić muszę
Jego mścicielowi w duszę.
Niech tego ojca obraza
Przejdzie w serce, w dłoń człowieka;
Niech ten kawałek żelaza,
Który rdza wieków powleka,
Znajdzie tu ręce gorące,
I niech te umierające
Stare tureckie turkusy,
Gdy je polskie ręce chwycą,
Znów swe oczy rozbłękicą.
Niech tej klingi kolor rusy,
Gdy nią człowiek krzyż uczyni,
Znów swoję twarz rozrubini,
Jak piorun polskich pałaszy,
I świat krzyżem czerwonym przestraszy.

REGIMENTARZ.

Zawiesiłeś nas ciekawych
Nad przepaścią pełną strachu
I widm, jak upiory, krwawych.

PAFNUCY.

Mówiłem wam, że w zamachu
Szabli, lecąc na gromady,
Starzec stanął... stał się blady,
Głuchy, jakby skamieniony,
Wysoko gdzieś zapatrzony,
Jak na kruki, jak na wrony,
Na słońce i na niebiosa,
Na anioły i na Boga.
A na niego szedł las wroga,
Gromada spis złotowłosa;
Las niby jakiś bez liści,
Który słońce rozogniści
I na wierzchołkach oświeci;
Las w środku pełny zamieci
Od mgieł zawiany posępnych;
Las tajemnic niedostępnych
Z girlandą ognia na głowie;
A w tej girlandzie, o! Boże!
Słuchajcie, mości panowie!
I dajcie też Wernyhorze
Świadectwo, że widzi, co gada:

Pośród spis dwoje główeczek,
Jedna i druga tak blada,
A tak utkwione na tyce,
Że z twych dwojga dzieciąteczek
Były dwie płonące świece
I dwa umarłe księżyce
Śród straszliwego ogrojca;
Dwie główki, ścięte po szyje,
Szły prosto, prosto na ojca,
Jakby wiosenne lilije
Na krwawym zabójcy grobie;
Zda się, ucieszone obie
Tem wielkiem egzaltowaniem,
Tym powietrznym mogilnikiem,
Tą wolnością i lataniem;
Tem żelazem, co w nie tonął,
I z główek wyszedł ognikiem
I palił się na wietrze i płonął
Jako świętych serduszek oferta.
Kto wam to lepiej naczerta,
Nie wiem? do ojca szły ręki,
Niby żebrać o niebieskie zasiłki;
A ja sądzę, że mogiłki
Prosiły go i trumienki...
Lecz on! gdy te dziatki ścięte
Ujrzał... i te spis wierzchołki!
I wprzód pomyślał: aniołki!
A potem: że wniebowzięte,
A potem: że już zarznięte,
Pomyślał... to, mości panowie,
Włos mu biały wstał na głowie;
W zupełne wpadł obłąkanie,
Pokazał na te świeczniki,
Ręką nam pokazał na nie
I bełknął...: moje chłopczyki.
I nic nie mógł mówić więcej,
Bo w usta mu sto tysięcy
Pereł upadło... A wtedy
Jeden z nas krzyknął: mospanie!
Na potem domowe biedy!
Na potem po dziadkach płakanie!
Teraz wrogom stawmy czoło,
Nim otoczą nas w około
I wytną na tej moczarze...

To rzekł ów głos, a zaś starzy husarze
Pewni byli, że im zemstę poruczy.
Ale starzec cały w gniewie
Krzyknął: któż to mię tu uczy?

Czy to wasz komendant nie wie,
Skąd mu brać w rozpaczy radę?
Oto mój tu pałasz kładę,
Rzekł i rzucił ten miecz goły,
Tu mi stać, bo ja pojadę
Po dziatek moich popioły,
Po te krwawe jarzębiny
I po domowe nowiny.
Choćbym miał przed moje chłopy
Rzucić się, lizać im stopy,
To wyproszę je od krzyża
Te główki, które wiatr piecze;
Wszakże to resztki człowiecze!
Których świętościom ubliża
Pogrzeb taki bez szacunku,
Takie urąganie z ciałek,
Taki mięsiwa kawałek;
Ten z boskiego wizerunku
Łachman zatknięty na dzidę
I na strach pokazywany,
Oczom ludzkim na ohydę,
Berberysem krwi skąpany,
Którego kruk kozakom zazdrości.
To rzekł i pełen żałości
Pojechał... i wnet go czernie
Oblazły w koło jak mrówki.
Z gestu widać, że niezmiernie,
O swoje maleńkie główki
Starzec prosząc, spuścił z tonu,
Z gestu widać i z pokłonu,
Że pokorę wielką kłamał,
Że zupełnie się tam złamał
Ów szlachcic pod ręką bożą.
Podjechałem wtenczas bliżej
I słyszałem, że go trwożą
Główek tych niezdjęciem z krzyży
I pogrzebem ich nieświętym,
O domie mówią wyrzniętym,
O krwi, mordach, o płomieniu;
Nareszcie o żony zlężeniu
I o powiciu szczenięcia.
Wtenczas rękę jak do cięcia
Podniósł z miecza obnażony,
I cały wstydem czerwony...
Bo i starość ma wstyd swój dziewiczy
I pudorem się różanym maluje,
Gdy kto świętość jej roztajemniczy,
Krzyknął: chycle! pomorduję!
Wytnę w pień! szelmy! gadziny!

I nieba fundament siny
Krwią czarną waszą zamażę!
Gdzie szabla? Gdzie moi husarze?...
Krzyknął obłąkany cały;
Obejrzał się... i stał się biały
Jak trup... łzawić się zaczął i ślinić
I ogłupiał i nie wiedział, co czynić.
Wtenczas jeden sotnik stary
Rzekł do niego: hej, Lachu i kumie!
Wydaj rozkaz, szczob tyje huzary
Ze szkap zlazły, taj w jeziorka się szumie
Nie kąpały, a na łaskę zdały się...
Słysząc to, oczy tygrysie,
Jasne, starzec w chłopy wlepił
I oczyma ich oślepił,
Jakby słońcami tej ziemi,
Słońcami obłąkanymi
We krwi, w płomieniach i w grozie,
I rzekł: Więc mię na powrozie
Jak psa, pany gospodarze,
Wiedźcie przed moje husarze,
Gotowe niosąc siekiery.
A jako znacię, żem szczery,
Tak i przed śmiercią nie zdradzę,
A wam szlachtę tu sprowadzę
I pod siekierami będę
Ostatnią dawał komendę.
To rzekł: a jemu pod boki
Włożywszy mordercze piki,
Tak, że zdawał się wysoki,
Jako dawne męczenniki,
Jak Chrystusowe sztandary,
Zbliżać się ku nam ów stary;
Chłopstwo go tak, pewne zdrady,
Wiodło przed własne szeregi.
Ale oczy, nasze szpiegi,
Poznały, że starzec blady
Z chłopstwem się czarnem nie kuma,
Ale żywota ostatki,
Swój dwór wyrżnięty i dziatki
Bogu na ofiarę składa
I sam też o palmach duma,
Lecz męczeńskich... o czem chłopstwa gromada
Nie wiedziała, nie znając Jezusa.

Jakoż śród tych dzid obrusa,
Jak na chuście Magdaleny,
Słońce tej okropnej sceny,
Słońce jasne, jego głowa

Spokojna a purpurowa
Od męki cierniów serdecznych,
Jakoby w kręgach słonecznych
Dziś mi przed oczyma staje.

Dał znak, by ucichły zgraje
I zamodlił się sam w sobie...
Nagle! w tem sercu, w tym grobie
Całej nieszczęsnej rodziny
Jakieś głosy wielkie, mężne,
Jakoby trąby mosiężne
Z Jozafatowej doliny
Zagrały... i będzie słynąć
Ta komenda w okropnym parowie
Zatrąbiona: Mościwi panowie,
Wrzasnął! za ojczyznę ginąć!
Ja trup!... To nam starzec krzyknął,
Jakby groźna trąba sądna,
I okrwawił się i z oczu nam zniknął.
I zaczęła się walka nierządna,
Bośmy z furją szatańską mścicieli
We łzach ślepi i na oślep lecieli.

REGIMENTARZ.

Mniejszym stawią u ludów posągi.
U nas tylko powiedzą po wiekach:
Taki ojciec! taki rycerz był ongi!
A husarze?

PAFNUCY.

Na chłopskich zasiekach
Dali gardło; kilku tylko zostało,
I ci wstydzić się muszą żywota.

REGIMENTARZ.

Kto tak gada jak ty, ten nie mało
Musiał czynić!

PAFNUCY.

Późniejsza robota
To pokaże, czy ja pański robotnik.

REGIMENTARZ.

Któż ty jesteś...

PAFNUCY.

Stary dziwak, samotnik,
Bez przyjaciół...

REGIMENTARZ.

To nieprawda, mospanie,
Bo ja jestem twój przyjaciel i w stanie
Dać za ciebie i gardło i rękę...

PAFNUCY.

O Gruszczyńskiego panienkę
Proszę, jako opiekun sieroty...

REGIMENTARZ.

Gdzie Sałynka?

KSIĘŻNICZKA.

Ach! dębu wywroty
Czasem łamią i róże podleśne!

REGIMENTARZ.

Co mi wróżą te słowa boleśne?

KSIĘŻNICZKA.

Kochany mój opiekunie,
Utraciliśmy Salunię.
Zniknęła dzisiaj ze dworu,
Jakby na nią ojciec krwawy
Rzucił kontusza rękawy
I do anielskiego choru
Na srebrne łabędzie stawy,
Gdzie przy harfach grają dusze,
Zaciągnął. Może też ona,
Jako listek w zawierusze
Z ziemi lekko podniesiona
Duchową z rodzeństwem współką,
Jak w jesieni listek klonu,
Co się wydaje jaskółką,
Lub jako listek jesionu,
Co się zdaje gwiazdą złotą,
Widząca się na świecie sierotą,
Jak ton zlewa się do tonu,
Jako ognik do ogników,
Za duszami nieboszczyków
Poleciała.

REGIMENTARZ.

Kontrefekcie
Szpaka, mów mi bez ogródek,
Ta panienka na respekcie
Dla wielu mi dziś pobudek
Droga — niech prawdy się dowiem.

KSIĘŻNICZKA, *na stronie.*
Cóż ja mu nieszczęsna powiem?
Domysłów mu nie wyjawię.

REGIMENTARZ.
W krwawej nas trzymasz obawie.

KSIĘŻNICZKA.
Śniła mi się Dejanirą[1]
Porwaną, a potem śniła
U dziada ze srebrną lirą,
Jakoby brzoza pochyła
Dumająca nad dumkarzem;
Potem gwiazdą nad cmentarzem.

REGIMENTARZ.
Tu o sny nie chodzi wcale.

KSIĘŻNICZKA.
Więcej nie wiem nic, prócz plotek.

REGIMENTARZ.
Mów je.

KSIĘŻNICZKA.
Czy ja kołowrotek?

REGIMENTARZ.
Waćpanna mi za zuchwale
Odpowiadasz. Tutaj chodzi
O cześć młodziutkiej dziewczyny,
O cześć slacheckiej rodziny.
O mój dom, któremu szkodzi
Ten rapt, trafiwszy się u mnie.

KSIĘŻNICZKA.
A waćpan mię też za dumnie
Pytasz się.

REGIMENTARZ.
Rzecz tego warta.

KSIĘŻNICZKA, *z gniewem.*
Dziewczyna twoja rozdarta
Przez lwa... Miej to, czegoś pytał...
Odchodzi.

[1] Ob. objaśnienia do „Grobu Agamemnona".

REGIMENTARZ.

Gdyby to prawda!

SAWA, *na stronie.*

Zazgrzytał.

REGIMENTARZ.

Ha! gdyby to prawda była,
Że mój Lew... To być nie może!

Wchodzi CHŁOP ukraiński.

CHŁOP.

Panycz mię z listem przysyła.

REGIMENTARZ.

Czy zdrów?... Nim ten list otworzę,
Pytam czy zdrów? słyszysz, chłopie?

CHŁOP.

Tak, panie.

REGIMENTARZ.

Co znaczy: tak, panie?
Oczy w tobie groźne topię;
Odpowiadaj na pytanie.

CHŁOP.

Panycz ranny.

REGIMENTARZ.

A gdzie leży?

CHŁOP.

W mohiłach.

REGIMENTARZ.

Czy ty pijany?

CHŁOP.

Panycz żywcem pogrzebany.

Do regimentarza, który rękę podnosi do bicia.

Tak; niechaj mię pan uderzy...
Cóż ja winien?... chłopstwo męczy panycza.

REGIMENTARZ.

Tego chłopa weźcie z mego oblicza,
Bo mię jego twarz czarna przestrasza...

Hura, pany! do pałasza!
W mojem dziecku ratować skrę duszy.

Wychodzi.

SAWA.

Tego trzeba, aż szlachcic się ruszy
I zupełnie pałasza dobędzie.

Wychodzi.

PAFNUCY, *sam.*

Ach! Ukrainy nie będzie!
Bo ją ludzie ci na mieczach rozniosą.
Ach! róż polnych z jasną rosą
Zabraknie, bo je ludzie ci kochankom rozdadzą.
Ach! dumy w grobach ucichną!
Bo się pieśni do polskich już rycerzy uśmiechną.
Ach! koniec Ukrainie!
Bo się sztandar szlachecki na kurhanach rozwinie.

Odchodzi.

ZMIANA I.

Przy chałupie popa.
Noc oświecona pożarem. — Wchodzi SEMENKO z CHŁOPAMI

SEMENKO.

Hej, świat, smutku trumnica!
Pod czerwonym pożarem,
Serca nasze pod strachem,
Duchy nasze pod czarem.
Gonta się nam pokazał
Przy pożarnej pochodni;
Zabełkotał językiem
Taj, wprost piszow do Kodni.
Trzeba, pany sotniki,
Jeszcze siekier spróbować,
Jeszcze raz przeciw czarom
I krwią się rozczarować.
Jutro ja, gospodarze
Przypnę czapline pióro,
A popi błahocześni
Niech wystąpią z proskurą.
Niech nakarmię jak na śmierć
Krwią Chrysta umęczoną.
Taj, znów łysną siekiery
Na pożarach czerwono...
I budem ludźmi — Ojce...

CHŁOP.

A szczo bude z tą szlachtą?

SEMENKO.

Rizat'! taj że bude strach to
Na te pany; dwórów blisko
Takie czarne cmentarzysko,
Kędy żywe trupy stoją
Dzidami wsparte pod boki,
Niechaj się zaniespokoją
I otworzą trakt szeroki,
Stomilowy trakt czerwony;
Gdzie jak spotkasz gród kamienny,
To uderzy w głośne dzwony
I rozpuści włos płomienny
I żydowskim płaczem wrzaśnie;
A jak chluśniem krwią, to zgaśnie
I przycichnie by mogiła.
Strach, panowie gospodarze,
Strach to cała nasza siła.
Szczob my mieli czortów twarze,
A z płomieni złotych kryła,
Hej!... a głos z szatańskich krzyków,
Rękawice jak z krwawników,
Piersi czarne i czuhunne,
Myśli gromkie i piorunne;
Tak świat nasz!... Id'te, sotniki!
Zabawcieś... jaką igraszką,
Bo ja dziś żonaty z Laszką,
Chciałbym tę noc, jak słowiki,
Przepędzić na miłosnych gruchawkach...
Czekać mnie, dolawszy dzbanka.

Chłopi odchodzą. — Semenko stuka do chaty... i wchodzą na scenę dwie POPADJANKI w zielonych sukniach, w złotych kokosznikach.

SEMENKO.

Hej, siostry! a cóż ta szlachcianka?

POPADJANKA.

Ani usiądzie na ławkach,
Ani chce pogadać z nami.

SEMENKO.

Jakże ona rubinami
Mogłaby wam co polecić?
Ustom takim tylko świecić

I palić się i wydajać
Serce z piersi, oczy z powiek;
Lecz nie jęczeć ani gadać,
Bo jękną — to skona człowiek!
Bo poproszą — w ogień skoczy!
Może was o co jej oczy
Prosiły?

POPADJANKA.

Na nic nie patrzy.

SEMENKO.

Jakże by te oczy — ognie
Patrzały, duszy nie zjadłszy?
Człowiek się, bywało, wzmognie
Na moc, na jedno spojrzenie . . ,
Taj te oczy, jak kamienie
Szmaragdowe, gdy w nich błyśnie!
Ona z wami tak umyślnie
W słowach i spojrzeniach skąpa;
Po spojrzeniach waszych stąpa.
A po słowach waszych lata;
Aż ta zczarowana chata
Mej rusałce, mej dziewczynie,
W pałac srebrny się przekinie,
W zamek z pawich piór i złota . . .
Czy się ona nie kłopota
O co, siostry?

POPADJANKA.

Ciągle wzdycha.

SEMENKO.

Ach! to uschnie od wzdychania,
Jak od wonności usycha
Kwiat, aż zbędzie malowania
I pomięte liście zrzuci . . .
To wzdychaniem się wynuci
Z całej pieśni, z serca głębi,
I serduszko swe zaziębi,
I wyszepcze słodkie słowa.
Dajcież mi ją, bo gotowa,
Trwogą zaniespokojona,
Westchnąć z serca tak, że skona.

Popadjanki wyprowadzają SALOMEĘ z chaty.

SALOMEA.

Ach! jak straszno! Czy gdzie gore?
Czy to ty, panie Semenko?
Ach! bez męża mi nie skore

Płyną i smętne godziny...
Często posunięty ręką
Zegareczek u dziewczyny
Ukraca długą tęsknotę...
Ale, choć ja słońce złote
Posuwałam serca biciem,
Choć księżyc wszedł nad futory,
Psy odezwały się wyciem,
Choć mruczą gdzieś senne znachory,
Nie słyszę mojego pana.
Ach! jaka ja jestem biedna!
W chacie chłopskiej sama jedna
Wraz po ślubie zapomniana
I opuszczona po ślubie...
Ja tak tajemnic nie lubię...
Zawsze z ludźmi żyłam szczerze!..
Powiedz, kiedyż mię zabierze
Mój mąż od tych popadjanek?

SEMENKO.

Nie wiem, panno.

SALOMEA.

To ty może
Której z tych dziewcząt kochanek?

SEMENKO.

Brat.

SALOMEA.

Ach! to ja się założę,
Że ci one nie do duszy.

SEMENKO.

Hej! a to czemu, panienko?

SALOMEA.

Bo każda z nich tak się puszy,
Humor mają kwaśny, dumny.
Gdyby mnie dotknęły ręką,
Myślałabym, że już leżę
Na marach... Ja tobie szczerze
Mówię, gdzie pop, tam i trumna.
Ale nie myśl, że ja dumna,
Lub z prostoty waszej szydzę,
Albo się chłopami brzydzę,
Ja, bywało, pieśni wasze
I wieczornic słucham lubo;
Bywało, świecę zagaszę,
Wyjdę nocą na poddasze
I tam, jak za serca zgubą

Tęsknię, słysząc na torbanie
Śpiew i tańców tupotanie;
To mi i zapachy leśne
I te głosy lecą dźwięczne;
Od smętności — aż miesięczne,
A od krzyków, niby wściekłe,
Z wesołości — aż bolesne!
A od ech, długie, rozwlekłe,
A czasem czyste jak ślozy,
Jak szkło, na serce się leją.
To czasem się mgły odwieją
I odwiną srebrne brzozy,
I pokażą mi z kolorów,
Wstążek girlandę upiorów
Lecącą... Czasem z kurhanu,
Kiedy się futrem otulę,
Patrzę, jak wy na Trzy Króle
Święcicie wodę Jordanu.
Gdzieś, na srebrnym, rzecznym lodzie,
Co błyszczy, by złota blacha,
Pop wasz trojgiem świateł macha,
Ogniem rzuca po narodzie;
Z trzema płomieniami w dłoni
To wstanie, to się pokłoni,
To się pokłoni, to wstanie,
Aż z wody ognia dostanie
Zagaszoną wprzódy świecą;
I ten ogień mu rozchwycą,
Rozniosą wnet na różany
Lód, pomiędzy tulipany
Z chorągwi, gdzie mi w pamięci
Jeszcze dzisiaj widni Święci
Na dnach złotych malowani,
I te popy...

SEMENKO.

Jak szatani.

SALOMEA.

Nie, Semenko, każda wiara
Prowadzi ludzi do Boga.
Tatko mówi: świat to mara!
A dobrodziej; śmierci trwoga.
Taj my, bywało, we dworze,
Kiedy okna śnieg zawali,
Przy tatku kolendowali
W srebrne Narodzenie Boże.
Jak pośród małej stajenki
Pastuszkom strzygącym runo

Zjawiło się pańskie łuno,
Płomień przeźroczysty, cienki,
Od złota, rubinów żywszy;
I pastuszki oświeciwszy,
Takiem je natchnął weselem,
Że wybiegli, o dzieciątku,
Co miało być Zbawicielem,
Rozpytując się po drodze,
A potem, w jakimże kątku,
Na jakiej oni podłodze,
Na jakich prześcieradełkach,
Różach, rubinach, perełkach,
Narcyzeczkach i bławatkach,
Przy jakichże biednych świadkach,
W żłóbeczku małym przed matką
Znaleźli Pańską Dziecinę!
Ach! gdy nam zaśpiewał tatko,
Że znaleźli, to mnie małą dziewczynę
Łzy zalały, dreszcz radosny przechodził,
I krzyczałam: Chrystus Pan się narodził!
I krzyczałam i klaskałam tak w ręce:
Chrystus Pan się narodził w stajence!
A dziś, Boże! cóż ze mną się dzieje?

SEMENKO.

Co mi ten kur ranny pieje?
Ot, nie mogę od łez... Słuchaj panna...

SALOMEA.

Ach! ja, by świeża dziewanna,
Obrastałam w kwiatki złote,
A dziś porzuciłam cnotę.
Bóg wie, co to jeszcze będzie;
Co się ze mną jeszcze stanie!...
Te wspomnienia, śpiewające łabędzie...

Wchodzi LEON z kością trupią w ręku, ścigany przez kilku chłopów.

Co to jest? w brudnym żupanie
Mój mąż... w błocie cały, bez szabli?

SEMENKO.

Czy go wypuścili djabli?

LEON.

Ty podły zbójco! gałganie!
Chłopie! napadłeś mię w lesie,
Wyrąbałeś mi szwadrony,

Wiozłeś rannego w kolesie,
Gdzie jęczał szlachcic czerwony,
Gorącą mię krwią oblewał
I podemną jak trup ziewał.
Jeńcem jestem, więc nie będę się targał,
Lecz ci powiem wprost w oczy, żeś szelma!
Żeś liberją moję krwią zaszargał!
Że ten szlachcic, co w oczach ma bielma,
To twój... krwią cię on swoją zaleje,
Kiedy staniesz przed Boga jasnością.
Ot, wy katy! rzezunie! złodzieje!
Ot ja wolny... i trupią wam kością
Dam ostatnią i krwawą naukę...
Łby wam podłe na miazgę potłukę!
Tę kość w moim ręku Bóg zapali
Jako piorun i będę was gromił,
Aż się cmentarz podemną zawali...,

SEMENKO.

Ot się Laszek na krew połakomił.
Hej... pokornie ja proszę waszmości,
Daj mi z żonką noc przepędzić miodową.

LEON.

Ot ja przy tej trupiej kości,
Ty przy szabli — a tam purpurową
Błyskawicą pożary nam świecą;
Tu się tłuczmy, aż łby nasze polecą
W drobne drzazgi do błyskawic — i znikną.

SEMENKO, *do chłopów.*

Hej! parobki...

Chłopi chwytają Leona za ręce.

LEON, *mocując się z chłopstwem.*

Włosy wszystkie mi wstaną,
Wszystkie jak gadziny sykną,
Wszystkie jako węże świsną,
Wszystkie jak pioruny błysną.
A choć członki skrępowane
W rękach u czarnych rzezuni,
To cię włosami dostanę,
Bo się mój włos rozpioruni,
Powietrzem ciebie doleci
I na węgiel czarny spali,
A paląc, twarz ci oświeci,
Abyśmy się raz spotkali,

Nim się napotkamy w niebie,
Raz jak trupy spojrzeli na siebie.
Bóg to widzi, że nie chcę żywota,
Ale śmiercią chcę twej śmierci, gałganie
Chcę do moginego błota
W robaków i krwi bluzganie
Zaciągnąć ciebie za włosy,
Zęby tobie wszczepić w gardło,
Gryść się z tobą jak połosy,
Aby się na nie podarło
Ubranie nasze cielesne,
A członki same bolesne
Po stepie skakały jak żmije.
Ja cię prosto nie zabiję
Za króla złoto i srebro;
Ale cię kiedyś na żebro
Odwinięte, kościo-pióre,
Siekierą tak odwalone,
Że ma zawiasami skórę,
Powieszę jak żywą wronę!
Jak ty, krwawy pastwicielu!
Na jednym obywatelu
Stawszy się piersi felczerem,
Usta mu zrobiłeś zerem
I straszną krwawą pustoszą,
A ze skór odartych skrzydła,
Które go w niebo unoszą
I pół ludzkiego straszydła
Panu Bogu teraz jawią
I pośród aniołów stawią,
Strasznym go czyniąc aniołem;
Otóż ja pod twojem czołem,
Jeśli się żywi spotkamy,
Wygryzę takie dwie jamy.
Aby w nie mózg wolno ściekał,
Jak ty woskiem powypiekał
U tych dwóch, co na wznak leżą,
Kłębiąc się w krwi jak delfiny,
I bluzg roztopionej cyny
Na piersiach mają odzieżą,
Krzyżem i srebrną kałużą,
Pod którą ciało się dymi.
Więc ja cię, gadzie olbrzymi!
Nim cię duchy przenaturzą
W psa i obłok z krwawej pary,
W żebrach ci porobię szpary
I te znituję ołowiem;
A jeśli kiedy odpowiem
Przed Bogiem, to wiem, że nie za to.

SEMENKO.

Ty mój dobrodziej!... ty chatą
Obdarzył mnie i połonką
I znitował mnie z tą żonką,
Która mi tu pachnie rajem.
Taj przyszedł... co? z korowajem
Na wesele twego sługi?
Gdzie krew, to jak wina strugi,
Gdzie mogiły, jak wyprawa,
Księstwo całe, ziemia krwawa;
A pieśń na te zaślubiny
To wasze straszne łaciny,
To wasz smętny pacierz laszy,
Co mi głupie chłopstwo straszy,
Wyjąc w nocy po mogiłach.
Szczob ty był lwem? przy lwich siłach,
Toby wczora z twymi pany
Bił się niepardonowany
I krwią las ojcowski zrosił,
A u siekier się nie prosił,
Tego był, co dziś, humoru.
Gdyby ty był człek honoru,
Toby swą kochankę cenił
I sługi z nią nie ożenił,
Wypaliwszy wstydu znamię.

SALOMEA.

Leonie, mów mu, że kłamie.

SEMENKO.

Ja twój mąż...

SALOMEA.

Leonie drogi,
Czemu ty patrzysz pod nogi?
Podnieś oczy, w oczach siła.

LEON.

Trzeba, abyś uwierzyła
W smoki, że na złocie siedzą
A pisklęta własne jedzą;
W gadziny słońcem rozgrzane,
Ciałami własnych rodziców
Na stepach powypasane;
W upiory, co od księżyców
Wziąwszy gust do krwi czerwonej,
Częściej spowinowaconej
Pragną, niż obcą się mażą.

Gdy cię te wszystkie przerażą
Monstra, chodzące w purpurze,
Czyniące przeciw naturze,
By własnej dogodzić strawie,
Wierz we mnie... i bądź w obawie,
Czy ja nie gorszy niż one...

SALOMEA.

Zdrapał rany... ach! utonę
W tej krwi...

SEMENKO.

Weźmijcie ją, siostry.
A ciebie, panyczu, ostry
Topór albo kosa skosi,
Albo miłość jej od śmierci wyprosi.

Popadjanki wnoszą do chaty Salomeę. Semenko za Leonem, prowadzonym na cmentarz przez chłopy, wychodzi.

AKT IV.

Obóz polski..., zdala widać okop czworogranny, oświecony wewnątrz przez chłopskie ogniska... z bukietem lip i cerkwią. — Wchodzi REGIMENTARZ z garstką SZLACHTY zbrojnej.

REGIMENTARZ.

Przed nami, mości panowie,
Serce buntu, gniazdo chłopie.
Oto w piaskowym okopie
Siedzą dymami nakryci.
I gdyby o jeńców zdrowie
Nie dbać, że będą zabici,
Nim się wedrzemy na wały,
Dawnobym polnymi działy
Zagrał śmiertelnego marsza.
Ale już drużyna starsza
Zaczyna z nami układy,
I ciągle lirowe dziadzy
Włóczą się niby upiory,
Tych kruków negocjatory,
Kawałki lud chodzące.
Dawniej to, bywało, dziady
Szlachectwu dobrze życzące
Nieraz brano do porady
I przychodzili zgarbieni,

Zasiadali rzędem w sieni,
Lub na dziedzińcu pod drzewem;
I tam sobie lirnym śpiewem
Jak kawki, bywało, gwarzą.
Aż pan dziecko wyśle z groszem,
Z pełnym obwarzanków koszem;
To dziecinie błogosławią,
Obrazkiem nieraz obdarzą,
Albo coś o przodkach prawią
Dziwne i ciemne powieści,
Co się potem śnią w nocy dziecięciu.
To, bywało, ze czterdzieści
Dziadów, o wiosny poczęciu,
Schodziło się nam do domu.
Mój ojciec, niech mu Bóg świeci!
Polecał nie lada komu
Karmić te dawnych stuleci
Chodzące żywe kroniki,
Ale zawsze nas chłopczyki
Posyłał. Nie wiem dlaczego,
Dziś ten afekt ojca mego
Dla dziadów w myślach mi stoi?
Czy to, że dusza się boi
O syna i przeczuć słucha
I ojca też jako ducha
O świętą pomoc uprasza;
Czy też, że dziwnie myśl nasza
Z wiatrem bożym się odmienia,
Raz pełna w sobie płomienia,
Pewna szczęśliwego skutku...
To znowu, trumnica smutku,
Dusza... niespokojna, trwożna,
Jako ślimak w skorupie ostrożna.

Wchodzi SAWA w sukmanie diaczka ruskiego z wertepem pełnym jasełek na plecach.

Cóż tam, Sawo? czy dobrze wertepem
Oszukałeś to chłopstwo pijane!
Czy im ciągnie jaka pomoc stepem?
Czy widziałeś cmentarze rumiane
Jeńców krwią? Czy mój Lew jeszcze dycha?

SAWA, *zrzucając sukmanę.*

Dajcie mi pierwej z kielicha
Pociągnąć nieco węgrzyna.

REGIMENTARZ.

Widziałżeś mojego syna?

SAWA.

Zdrów.

REGIMENTARZ.

Czy dociągnie do nocy?

SAWA.

Dęby przetrwa... on pełen jest mocy?
Cóż za myśle twe, regimentarzu?

REGIMENTARZ.

Więc byłeś na tym cmentarzu?
Ach, opowiedz, na coś patrzał oczyma.

SAWA.

Dawno już, mości panowie,
Od Drewiczam się nauczył
Podstępów, różnych maskarad.
Więc i teraz z tym wertepem
Na plecach, udając diaczka,
Takem dobrze odgrał rolę,
Że jedne tylko sokole
Oczy na mnie się poznały.
Skoro tylko pociemniały
Czarne lipy nad cerkiewką,
Wszedłem na wał raźnie, krewko,
Na wał, gdzie przy kołowrocie
Dawniej żebrak lub cyganka
Siedzieli... a dziś w ciemnocie
Straszna krwi hospodarzanka,
Rzeź czerwona stoi w dymie
Pędzonym od Zaporożów.

Bo te zbrodnie tak olbrzymie,
Ta góra węży i nożów,
Nożów, które w Boga imię
Poświęcone śród rozruchów,
Mają zaciętą naturę,
I okropną świętość duchów;
Bo ten, który mogił górę
Olśnia, lecz nie wypogodzi
Księżyc... i sam przestrach czuje,
Bo z jednego trupa schodzi
I na drugiego wstępuje;
Bo jednę porzuci głowę
I zdejmie z niej białe skrzydło,
I znów drugie koralowe
Odkrywa we krwi straszydło,
Gdzie w ranach jak ślepy brodzi.

Wszystko to na myśl nawodzi
Tę marę wpół obłąkaną,
Niegdyś przed rzezią widzianą,
Na cmentarzach i kurhanach,
W ludzkich ślinach i psich pianach
I zgniliznach i w zamachu
I w zgrzytaniach i tęsknotach.
Bo przy ukraińskim strachu
Zawsze w miesięcznych pozłotach
Stoi smutek... w sercu boli
I myśl puszcza w lot sokoli.
Z takim to smutkiem a zręczne
Oczy posławszy za szpiegi
Na ciemne wzgórze miesięczne
I krwią zroszone mogiły,
Aby mi tam wypatrzyły
Na razie ratunku brzegi,
Wszedłem, strachu będąc blisko,
Na to ciemne uroczysko
Z krzyżami... i tam ujrzałem,
Że pomiędzy żywem ciałem
Niektóre resztki z krwawników,
Ciała smętne nieboszczyków
Leżały, a w oczach próżnych
Nietylko że brakło życie,
Lecz na miesiąca odbicie
Nie było szkieł; więc się blaski
Po krwawnikach gdzieś kałużnych
Błąkały i szły w roztrzaski,
W garście złota, w kwiaty cudu;
Które pewnie wzroki ludu,
Co na krwi kałużach wiszą
Obłąkane strachu snami,
Nazwą krwi tulipanami
I Rusałkom je przypiszą,
Widząc kwitnące śród cieni...
Wszedłszy tam, gdzie mgła jesieni
Mży a liść lipowy cięży
I na miesiącowych strunach
Kładzie swoje czarne plamy;
Gdzie gałęzie, jak kłąb węży
Lecących z piekielnej bramy,
Matki, przy synach ksykunach
Zatrzymały się i leżą
Na ogniach, jak na piorunach,
Panując nad horodyszczą,
A patrzą, gdzie żądłem uderzą
I na serce trupów świszczą;
Spostrzegłem drugi ponury

Tłum, co śmierci się spodziewa.
A czasami jeniec który
Odetchnie śmierci ciężarem,
A czasem który zaśpiewa,
A czasem jęknie nad żarem;
Albo ci nagle z pod nogi
Zawoła kamień czerwony:
Ratuj, Panie Jezu drogi!
A drugi: bądź pochwalony!
I tak to robactwo w próchnie
Szepce; aż z krwawych rozcieków
Straszniejsza głowa wybuchnie
I krzyknie: na wieki wieków!
I wszystko na chwilę uciszy.

Tam śród pjanych towarzyszy
(Miałem go prawie pod ręką)
Twój sługa siedział Tymenko,
Skarżąc się chrapliwie z gardła,
Jak człowiek, co ma suchoty,
Że małżonka mu umarła,
Że go z tą czernią kłopoty
Już do syta udręczyły,
Że, ot — wyjdzie na mogiły,
Każe rżnąć obywateli,
Krwawym się przypatrzy pluchom;
A potem, na wiwat duchom
I djabłom, w łeb sobie strzeli
I kopnąwszy o płomienie,
Jak szatan światem pomiota.

Spojrzałem: a odurzenie
I niepamięć i zgryzota,
Żył posiniałych napięcie,
Owo straszne przedsięwzięcie
Pisały na jego twarzy...

Wtenczas ja, mając na straży
I pieczy jeńców żywoty,
Teatr mój łojówką złoty
Na srebrnej kurhanów darni
Odkryłem, mości panowie.
I na ciemnych mogił głowie
Zjawiłem w mojej latarni
To, o czem, jak wiecie sami,
Śni się nam nad mogiłami.
I tak to Betleem złote
Oświecone... gwiazdą było
Rozlewającą tęsknotę.

Słońcem myśli zakrwawionych;
Bo niektórym o domach mówiło,
O dzieciąteczkach straconych,
O śpiewanych gdzieś kolendach,
I o tych żywota błędach,
Co dopiero przed śmiercią są widne.

Wtem, o panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip wężowiska,
Od kurhanów na kurhany...
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask... sunąc chorągwi tęcze
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż... pogrzeb wioszczany, lichy,
Pachnący czarnym jałowcem
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę bez żadnej pychy,
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalje;
Jasną... bo w niej anielica
Ubrana jak na batalje
Z piekłem w słonecznoście lica
I w niewinności ubiory
I w te ostatnie kolory
Śmiertelnej podobne zorzy.
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.

A skoro mary
Wstąpiły na cmentarzysko,
Ruszył się Gruszczyński stary,
Prawdziwe dla mnie zjawisko
Krwawego z pod grobu trupa,
Za którym czarna wron kupa
Upędza się, goni i wrzeszczy.
Przybiegł, obaczył te mary
I... jak dąb, co w sobie zatrzeszczy,
Powieje liścia sztandary,
Pokłoni się światu — i runie,
Tak on na tej białej trunie,
Gniotąc narcysowe pączki,
Leżał, głową powalony
Na obrazek umarłej i rączki.

Z drugiej strony zaś syn twój szalony,
Z równą, zdaje się, żałością
Przybliżał się z trupią kością,

Białą, w ręku podniesioną,
I z taką twarzą szaloną,
Że strach nam serca zamroził;
Bo zdało się, że obłokom,
Gwiazdom, latającym smokom,
Chimerom, aniołom groził;
Że oczyma niebo ranił
I tą kością szatanom hetmanił.

Nie wiedziałem, co wszystko to znaczy;
Aż twój syn padł na kolana
I w piekielnika rozpaczy
Zaczął siebie sam przeklinać.
Dajcie, krzyknął, nóż starcowi!
Jeśli kto tu ma zarzynać?
Jeśli wy zarżnąć gotowi
I oblać się juchą krwawą,
To on większe ma tu prawo
Mścić się... bom uwiódł mu dziecko
I to dzieciąteczko cudze
Darowałem memu słudze,
Zrobiłem córką zbójecką;
Tak, że ją rozpacz rozdarła
I oto leży umarła,
Jasna jak zwiędłe lilije,
Ludowi temu w podziwie.
Niechaj starzec mnie zabije
A uczyni sprawiedliwie.
Puśćcie! proszę was z litości,
Jeśli nie chcecie dać noża,
Ja mu pożyczę tej kości;
I będzie jak ręka boża,
Którą ja zgonem uświęcę,
Jak dłoń boża, w ojca ręce
Jak grom... Tu przerwał Gruszczyński,
Równie zdając się szalony:
Co to za szatan czerwony,
Krzyknął, ów człowiek przedemną?
Czy jaki duch ukraiński
Z szatą gwiaździstą i ciemną,
Który mi tu płakać broni?
I stoi z piorunem w dłoni?
Z włosów swych uczynił gady,
Grożąc mojej córce bladej,
Która jest aniołów panią;
I nie daje mi iść za nią,
Sił ostatecznych pozbawia
I krzyżem drogę zastawia
O! bo tam krzyż z wielką gwiazdą,

Krzyknął, biorąc nas za świadki...
Na nim pelikana gniazdo
Karmiącego krwią swe dziatki;
A z Chrystusa krew wytryska
Coraz jaśniejsza i bledsza,
Aniołkowi śród powietrza
Lejąca się w puhar złoty.
O! Chrystus i różne zjawiska
Jawią mi się śród ciemnoty,
I przejęty jestem trwogą;
Ja nie mogę zabijać nikogo...

Tu mu głos twojego syna
Przerwał: jeśli widzisz Pana,
To Pan mię pewno przeklina;
Bo dusza zaturbowana
W oczach moich teraz stoi
I nie widzi i Boga się boi.
Tak ci gadali do siebie
Przez trumienkę otworzoną,
Gdzie z narcysową koroną
Będąca na swym pogrzebie
Srebrna dusza pewnie onych
Mów się przelękła szalonych,
I od takiej świata lutni,
I od takich męki krzyży
Uciekała coraz smutniej,
Uciekała coraz wyżej...
I nie mogłem się obronić,
Aby nad nią łez nie ronić,
Nie zatrzymać w myśli rysów,
Nie żałować tych narcysów...
Co się z tymi ludźmi stało
Dalej? panie, nie wiem wcale.
Bo mię jeden z brodą białą
Dziad w wielkim duchu i szale
Uderzył tam po ramieniu
I nazwawszy po imieinu,
Odwiódł od umarłej dziewki
I od obłąkanych ludzi
Do jednej pustej cerkiewki,
Gdzie... co mówił... to wam utrudzi,
Bo wy gadek nie znacie stepowych.

REGIMENTARZ.

Ach, rzeczy piekielnie nowych
Powieść twoja pełna, Sawo...
Mój syn z tą kością plugawą
Mój syn, mówisz, warjatem?

A starzec nie chciał być katem,
Pomnący na pokrewieństwo
Przyjaźni, co nas łączyła;
A może też przez szaleństwo,
A może wzgarda to była
W szatę szaleństwa ubrana,
Ach! i tak zamaskowana
Zdała się tobie warjacją?
Ach! przed tym okopem klęczę

Klęka.

Jak przed kalwaryjską stacją
I do Pana mego jęczę
W ufności i w krwawym żalu.
Mogiło! krwawy koralu!
Krwią mego dziecka oblana!
Patronuj za mną do Pana!
Przemów krwi modlitwą ciemną!
Niech się zlituje nademną!
Cóż to jest?... ktoś na okopach?

Pokazuje się na okopie w powietrzu mglistem GRUSZCZYŃSKIEGO DUCH.

DUCH.

Gońcie! bo na czarnych chłopach
Krew nasza!... powietrze rwiemy!
Gońcie! bo poszalejemy!
Bo nam na błękitach krwawo!

REGIMENTARZ.

Czy widzisz go?

DUCH.

Sawo! Sawo!

Znika.

REGIMENTARZ.

Czy go słyszysz?

SAWA.

Wernyhora
Prawdę zapowiedział wczora;
Ten krzyk, to jest nasze hasło...

REGIMENTARZ.

Powietrze czerwone zgasło
I zniknął ten człowiek stary
Skrwawiony.

SAWA.

Czekano tej mary
Na Ukrainie u ludu...

REGIMENTARZ.

Niema w tem żadnego cudu.
Gruszczyński o pośpiech woła...
Każ uderzyć do kościoła
Z hakownic... aż srebrne gonty
Polecą na dachu zrębie
I pierzchną niby gołębie
Chmurą białą... niby świstki,
Na których nasze afronty
Spisane...

SAWA.

Lub jako listki
Ruszone z białych narcysów...

REGIMENTARZ.

Hej, Oreł... burkę z tygrysów...
I szablę... Do szturmu, panowie!
Kto żyć będzie, ten jutro rozpowie
O dzisiejszej godzinie kobietom...
Reszta szablom i końskim kopytom.
Wychodzi, za nim Sawa i cała szlachta.

ZMIANA I.

We dworze regimentarza. Wchodzi KSIĘŻNICZKA i za nią ANUSIA.

KSIĘŻNICZKA.

Ach, Anusiu! Anusiu!

ANUSIA.

Co, panno?

KSIĘŻNICZKA.

Gruszczyńskiego duch mi się pokazał.

ANUSIA.

Być nie może.

KSIĘŻNICZKA.

Z piersią krwawą i ranną
Cicho stojąc, na powietrzu namazał
Krzyż czerwony i zniknął.

ANUSIA.

Horory!

KSIĘŻNICZKA.

Przepowiednia się, ach! Wernyhory
Sprawdza na mnie...

ANUSIA.

Niech się modli panienka.

KSIĘŻNICZKA.

Jeszcze krwawa i ognista ręka
Musi oddać mi ślubny pierścionek.
Widziałam już pierwszą marę.

ANUSIA.

Zmów panienka choć kilka koronek;
Uczyń z czego serdeczną ofiarę.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! z rozumu ja i śmiechu
Ofiarę już uczyniłam.
Jak płótno jestem na blechu
Pokrwawione ducha dłonią;
Z oczu się jego napiłam
Świateł, co nad świętych skronią.
Dowiedziałam się z postaci,
Że człowiek nic w grobie nie traci,
Widząc go w złoconym pasie,
Może z ogni robaczliwych.
Każę się pogrześć w atłasie,
W kolorach nielitościwych
Dla serc, które teraz jęczą:
I po śmierci będę tęczą,
Jeśli mi Pan Bóg pozwoli,
Od topoli do topoli
Na cmentarzu pajęczyną
Z róż, brylantów i motyli...
Przez którą przejdą niemili,
A mili tak się owiną,
Że wiecznie ze mną zostaną...
Ach, Anusiu, jutro rano
Los mój się rozwiązać musi
Tak jak dumka śpiewana na Rusi.

Wychodzi z Anusią.

ZMIANA II.

Przy cerkwi pod lipami. LEON z kością w ręku, obłąkany na twarzy... Wbiega SEMENKO.

SEMENKO.

Złociste Lachów sztandary
Gnają wiatr... i dym i krew.
Leci z szablą pan mój stary,
Złoty jak kudłaty lew;
Ołowiany ja mu grad
Ze szturmaka sypnął w brzuch,
Taj nie zadrżał i nie padł
I zdjął mię strach. Szczo ty za duch?

LEON.

Przysięgam na blask księżyca,
Żem nie człowiek, ale lwica;
Żem nie człowiek na cmentarzu,
Ale śmierci herb w herbarzu;
Na czerwonem polu stoję
I złotych się gwiazd nie boję,
Nie boję się twoje spisy.

SEMENKO.

Ach, daj paść na jej narcysy
I umrzeć.

LEON.

Nikt nie umiera,
Ale piekło się otwiera,
Gdy w bramy stukam tą kością.
Widzisz tam, pod lip ciemnością
Postacie widać piekielne,
O drzewa poopierane.
Powietrze jak ołowiane,
A deszczem gonty kościelne,
Lecące jak śniegi białe,
Na ogniu i krwi stopniałe,
Węży sinych bielą kuszcze...
Precz do piekła! bo do cerkwi nie puszczę.
Bo tam teraz z wielką ciszą
Dusze umęczonych wiszą
Na krzyżach i Boga chwalą,
A słońca jasne się palą
Koło ich głów jak tarcze złote.

SEMENKO.

Miałby ja teraz robotę,
Gdyby z warjatami gadał;
Puskaj w cerkiew.

LEON.

Na pierś skoczę
I będę oczy wyjadał.

SEMENKO.

Strach ty... lecz ja w tobie umoczę
Moją spisę aż po dłoń..

LEON, *odbija spisę kością... i wlatując na Semenkę, obala go na ziemię i dusi..*

W rękach mam twe gardło i skroń,
A co?

SEMENKO, *przyduszonym głosem.*

Dusysz mene, panyczu!

Wbiega REGIMENTARZ na czele polskich żołnierzy.

Co za widok? mój synu! mój synu!
Patrzcie! na jego obliczu
Obłąkanie; jedna ręka
Potrząsa palce z rubinu,
A w drugiej kość ludzka się pęka
W drzazgi, a wzniesione brwie.
Mój synu! mój drogi! mój Lwie!
Ach, co za okropny los!...

LEON, *wstając i przychodząc do zmysłów.*

Co to jest? ojcowski głos!

REGIMENTARZ.

Poznał mnie... weźcie go stąd!
Tu jeszcze kule świegocą.
Wyprowadzają Leona.
A jutro rano na sąd
Dostawić tego zbrodniarza.
Pokazuje na Semenkę.
Żyły mu w gardle charchocą,
Oczy wyszły z wirydarza
Czaszki, jak dwa blade króle
Pełne przestrachu, w purpurze,
Kiedy Pan ludów na chmurze
Napisze słowo stracenia.
Wziąć go... i w mojej szkatule
Znaleść co do otrzeźwienia,
A zdrowego mi dostawić;
Bo ja się z nim będę bawić
Jak kot z myszką.
Wchodzi SAWA.
Cóż za wieści?

SAWA.

Pałasz mój do rękojeści
Czerwony krwią mego ludu.
Podobnie się nam do cudu
Ta krwawa walka powiodła,
Ani jeden z nas nie zginął...

REGIMENTARZ.

Ten dzień wiecznie będzie słynął,
Bo mię Pańska nie zawiodła
Łaska, syn mi się odrodził,
Zmartwychwstał na moje słowo.
Co rok to będę obchodził
Jak wielką fetę domową
I aniwersarz rodzinny.

SAWA.

Do końca muszę być czynny
I kopnąć się dziś z wieczora
Bo nam zniknął Wernyhora
Z ciałem umarłej dziewczyny.
A teraz jasno to widzę,
Że on rozhukane gminy
Utrzymywał z sobą w lidze,
Z duchami wiązał w sojusze;
Aż go święte jakieś dusze
Wczoraj tak we śnie zmęczyły,
Że dziad uciekł na mogiły.

REGIMENTARZ.

Ruszaj w pogoń, bo te trądy
Trzeba zupełnie wyleczyć;
A choćby ziemię skaleczyć
W leczeniu, wrzód wyrżnąć trzeba.
Jutro rozpoczynam sądy,
Gdzie dom Gruszczyńskiego z nieba
Będzie mi adwokatował...
Bom go już zastawszy trupem,
W martwe czoło ucałował
I przyrzekłem, że kruków go łupem
Nie zostawię i bez mszy żałobnych,
Ale go do dziatek drobnych
Przybliżę... i niech uśpiony
Położy się obok żony
I u nóg staruszki matki...
A waść jemu przynieś kwiatki,
Ciche kwiatki narcysowe
Pod srebrną staruszka głowę...

To i wszystko w ciemnym grobie
Znajdzie ten człowiek przy sobie...

SAWA.

W tem ci najwierniej usłużę,
Kładąc w tok kurenne[1] spisy,
Ale ty mi za narcysy
Będziesz musiał oddać róże.
Do jutra, regimentarzu!

Odchodzi.

REGIMENTARZ.

Pokój duchom na tym smętnym cmentarzu.

Wychodzi z rycerstwem.

AKT V.

Sala we dworze regimentarskim, przybrana posępnie jak na sądownictwo, oświecona jarzącem światłem. Wchodzi KSIĘŻNICZKA z orszakiem panien respektowych, bogato ustrojona.

KSIĘŻNICZKA.

Jaki jęk na dziedzińcach!
Jak płaczą mołodyce!
Klną stepowe księżyce
I słońce i rwą włosy.
Ile krwi w Ukraińcach,
Tyle teraz tu rosy
Wyleje się na kwiaty,
Astry, gwoździki, róże.
Gdym wyszła na podwórze,
Zobaczyłam i katy
Okropne i czerwone,
Nie wiem skąd przywiezione.
Ach! a ze mną co będzie?
Czy jak srebrne łabędzie
Spłynę na krwi czerwieni?
Czyli mi się odmieni
Ten skrwawiony poranek
W wieczór słodkiej tęsknoty,
Cichy, księżycem złoty,
Tak miły dla kochanek!
A dla pijaków panów

[1] Kureń = pułk kozacki

Tak wesoły po wojnie!
Świecący tak spokojnie
Dla starych gdzieś kurhanów!
A dla dziś osądzonych,
Mogił świeżo czerwonych
Taki pełny spoczynku!
Włos mam w listkach barwinku
A chociaż z wróżek szydzę,
Taką się dzisiaj widzę,
Jakąm się ach! widziała
W przyszłych myśli szafirze,
Kiedym dziesięć lat miała,
A dumkarz grał mi dumki na lirze.

Wchodzi REGIMENTARZ, LEON, SEKRETARZ sądu i orszak SZLACHTY.

REGIMENTARZ.

Czemuś, moja panno, dziś nie w czerni?
W dzień tak straszny, tu, gdzie kryminały
Będę sądził... Towarzysze pancerni
Zasiadajcie... Żupan wdziałem dziś biały,
Gdy go zrzucę, to będzie czerwony...
Kazać w cerkwi uderzyć we dzwony
I wprowadzić tu herszty rzezunie.

Zasiada na krześle. Polscy wojacy wprowadzają okutego w łańcuchy SEMENKĘ i kilku z naczelników rzezi.

PIERWSZY Z CHŁOPÓW, *kłaniając się.*

Daruj, pane!... Taj czart niechaj splunie
Czarną krew, co my z panów wylały.
Taj bądź ty nam jak car biały,
Bądź litosny.

REGIMENTARZ.

Bóg to widzi! nie mogę.
Uderzyliście w trąby na trwogę.
Zapaliliście wioski i dwory,
Świat was widział jak krwawe upiory
Tańcujące w pożarach, ohydni!
Niech wam Pan Bóg po śmierci rozwidni
Piorunami i drogę pokaże...
Ja nie mogę... ja was śmiercią ukarzę,
Jako wężom jad czarny odbiorę
A na waszę udaną pokorę
Nie uważam... Ściąć im łby, i w kawały
Poćwiertować...

CHŁOPY.

Taj szczob bisy proklały
Twij dom czarny.

REGIMENTARZ.

Egzekwować ich zaraz.
Do Semenki.
A ty?

SEMENKO.

Ze mną nie będzie ambaras,
Cienką szyję mam....

REGIMENTARZ.

Słuchaj, Semenko,
Jak ty jeszcze tu niedawno
Mój chleb jadł!...

SEMENKO.

Taj mi niestrawno.

REGIMENTARZ.

A dzisiaj pad kata ręką?
Pod ręką sprawiedliwości?...

SEMENKO.

Taj proszę ja jegomości
O śmierć, a nie o naukę.

REGIMENTARZ.

Znałem cię za śmiałą sztukę;
Lecz za takie djable szczenię
Nie mógłbym nigdy osądzić.
Jak ty mógł tak rozporządzić
Buntem? i takie płomienie
Zapalić?...

SEMENKO.

Jak?... Sercem, panie...

REGIMENTARZ.

Syna ty mego, gałganie,
Jak smok uwiodłeś na zgubę...

SEMENKO.

Oj, dzieciątko twoje lube!
Jemuż to i rosa szkodzi!...
Nie czart... no, on czarty wodzi.
Szczob ja jego miał był oczy,
Jego serdeczną przynętę,
Byłby ja wiódł życie święte,
Uciekł z nią do Pawołoczy.
Byłby ja gdzieś o hetmanach
Śnił na trawie, na kurhanach,
Choćby przyszło pod Kozyrą
Zostać w Siczy tabuńczykiem,
Albo lud obchodzić z lirą;
Byle nie być niewolnikiem,
Nie żyć sercem przez połowę,
A położyć dumną głowę
Na kochanki wierne łono.
Że ja nie z tą się koroną
Co twój syn urodził, panie,
Toż ja za to na majdanie
Stał jak czart w pożarach czarny;
A dziś ty mi, pan bezkarny,
W domu twoim zetniesz głowę.
No, zobaczysz, ciało zdrowe,
Żyły jak krwią jasną trysną;
No, zobaczysz, jak się ścisną
Moje zęby a nie zgrzytną;
No, zobaczysz twarz błękitną
A nie strachem śmierci bladą;
No, rozporzesz przed gromadą
I rozedrzesz na dwie szmaty:
Taj poznasz, że ja chłop z chaty,
A nie tchórz na dokumentach.

REGIMENTARZ.

Myśl teraz o Sakramentach.

SEMENKO.

Pan Bóg bez tego oczyści.

REGIMENTARZ.

Cherubinowie ogniści
Najczystsze duchy uwodzą;
Lecz kto stoi aż do końca
Pod aniołów takich wodzą,
Ten zaprawdę nie wart słońca.
Semenko, ty Boga bliski,
Zamódl-że się teraz w duchu...

Zakneblować jemu pyski,
Nogi zostawić w łańcuchu,
Zawiesić mu kir na czoło,
Ręce wznieść, słomą okręcić
I całego oblać smołą;
Potem przez księdza poświęcić,
I czarną figurę smolną
Podparłszy, gdy zechce się walić,
Na samym wierzchu — zapalić
I przez wieś prowadzić wolno,
Jako świecznik zapalony;
A ciągle niech biją w dzwony,
Póki zgore żywa świeca,
Okropna ludu gromnica
Świecąca buntu trupowi.

Wyprowadzają Semenkę.

KSIĘŻNICZKA, *do regimentarza.*

Ach! strach mię przeleciał mrowi!
Panie!

REGIMENTARZ.

Cicho mi bądź, dziewko,
Bo ci żupana podszewką
Krwawą zamaluję usta.

KSIĘŻNICZKA.

Ach, blada jestem jak chusta!
Jaka to czarna godzina!

REGIMENTARZ.

Sąd się od drugich zaczyna
A zakończy się na sobie...
W imieniu swojem i syna,
Wiedźcie zaś, że to, co robię
W imieniu swojem i syna,
Z aniołów idzie nakazu;
Którym nietylko wyrazu
Wnętrznego trzeba od ludzi,
Lecz i kształtu, co żal budzi,
Skruchą serce zadawalnia,
A przed sądem już aniołów uwalnia.

Daje rozkaz, wnoszą ciało Gruszczyńskiego i opierają trupa na krześle, z którego zszedł Regimentarz; ten zaś, wziąwszy syna za rękę, klęka przed umarłym i mówi:

Szkolny mój niegdyś kolego,
Przyjacielu dziś nieżywy,
Tyś był zawsze sprawiedliwy;

Sądź mnie i syna mojego.
Zaprawdę! obaśmy winni!
Ja, twojej, człowieku, zguby
A on hańby: my istynni
Zabójce twojej rodziny.
Choć w tobie już żadne śruby
Martwej ręki nie poruszą,
Weź ten miecz ognisty duszą,
Jeśli to uczynić zdolna,
I na karki spuść nam zwolna
I każ odnieść na swój cmentarz.
Boś ty wielki Regimentarz,
Sędzia Pana Boga święty;
A my twoje delikwenty
Leżym w prochu... zetnij! zetnij!...
Lecz co mówię? przebacz, stary.
Ja wiem, żeś ty, pełny wiary,
Od nas czyściej żył, szlachetniej...
Czy ja cię nie znam, człowieku?
Starego druha i kuma?
Czy ja nie wiem, co trup duma?
Trup, jednego ze mną wieku,
Trup, jednego ze mną serca,
Jak ja niegdyś śmiały, butny,
Jak ja teraz blady, smutny,
Na tym krześle zamyślony.

Wstaje i mówi do przytomnych.

Panowie! ja nie morderca...
Oto boleścią szalony
Rzucam się w okropnej męce
Przyjacielowi na ręce...
Czy nie widzicie, że ściska,
Że ściska mnie, nie odpycha?
Ta twarz jego smętna, cicha,
Patrzcie, niby słońcem błyska.
Wzywam was wszystkich na świadki,
Że to jak twarz smętna — matki,
Nie twarz, która sądem grozi...

JEDEN ZE SZLACHTY.

Ten trup powietrze zamrozi...

Daje znak i wynoszą umarłego.

A ty, nasz Regimentarzu,
Ze smętnych myśli otrzeźwij
I z żywymi staw się rzeźwiej.

REGIMENTARZ.

Coraz więcej na cmentarzu
Mogił, a śmierć ciągle kosi,

I tam wszystko się przenosi
A tu coraz puściej co dnia;
I dla nowego przychodnia
Coraz obszerniej przy stole...
Sumienie zaś w sercu kole.
I to najgorsza z boleści!
Najstraszniejsza! jak widzicie,
Gdy człowiek łez w oczach nie zmieści,
Smutku nie dożuje skrycie;
Ale żal otwarcie głosi,
Na zimne kamienie pada
I o przebaczenie prosi,
A śmierć mu nie odpowiada,
Cichą będąc tajemnicą.
Więc tak pogodziwszy siebie
Z tą jasną duchów różycą,
Która pośmiertny na niebie
Kościół osłonecznia nieco,
By się oczy ducha pasły
Blaskiem serc, które tu zgasły,
A w anielskiej róży świecą...
Wiem i to, że mi koniecznie
Z światem się godzić należy
I biec razem, jak czas bieży,
Jakoż pogrzebowe świeczki
Bo stanąć jest niebezpiecznie...
Gęstym zagasiwszy płaczem,
Afektów będę tłumaczem
Mego syna dla księżniczki.

KSIĘŻNICZKA, *na stronie.*

Otóż znów z pod rysiej burki
Szlacheckie pokazał ucho.

REGIMENTARZ.

Mogęż cię imieniem córki
Powitać? mogęż z otuchą
Wnosić, że mi jedynaka
Uszczęśliwisz?

KSIĘŻNICZKA.

Ja niezmienna.

REGIMENTARZ.

I cóż?

KSIĘŻNICZKA.

Ja zawsze jednaka.

REGIMENTARZ.

Zgadzasz się?

KSIĘŻNICZKA.

Jestem kamienna,
Nieskruszona.

REGIMENTARZ.

Pókiż tego?

KSIĘŻNICZKA.

Aż pierścienia czerwonego
Dostanę...

REGIMENTARZ.

Dalejże, synu!
Pierścień z jasnego rubinu
Wypal na bielutkiej dłoni
Pocałunkiem, aż się skłoni
Być twoją...

LEON.

Mój ojcze drogi,
Pozwól, żeć uścisnę nogi
I powiem także tej pani
Pokornie, żem nie jest dla niej
Dzisiaj nic więcej prócz brata
I sługi...; bo także muszę
Odejść od krwawego świata
I za tamtej pani duszę,
Przysypany od popiołów,
Odpokutować w klasztorze.
Bo moje serce nie może,
Przeklęte raz przez aniołów,
Ofiarować się nikomu.

REGIMENTARZ.

Jakiś czar na moim domu...
Lękam się, że runie w gruzy.

KSIĘŻNICZKA.

To jest coś nakształt rekuzy,
Nakształt grochowego wieńca.

REGIMENTARZ, *do syna na boku.*

Patrz na nią, w zorzach rumieńca
Stoi, na pół zagniewana,
Jak księżyc srebrno-różana;

W koronie ze złotych szpilek,
Na których siadają kwiatki,
Jak przy motylku motylek,
A spodem buk i bławatki
Ciemności rzucają silne,
Alabastrom lic przychylne,
Szmaragdom oczu zazdrosne
Rubinom ust nie szkodzące.
Patrz, te piersi, dwa miesiące
W staniku ze złotej lamy;
Dwa słońca, dwa kręgi głośne,
Które, gdy jej ust słuchamy,
One do ust niosą głosy,
Jak harfy sercem dotknięte.
Patrz na jej leciuchne włosy
Z pod zieleni... Na te wcięte
A pełne tajemnych zacisz
Gorsy, te łabędzie chody...
Patrz i pomyśl, co ty tracisz?
Na Boga! gdybym był młody,
Pomyślałbym o tem dwa razy.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! senne moje obrazy
Biorą kształt.

Wchodzi WERNYHORA w płaszczu dziada z lirą.

REGIMENTARZ.

Czemu tu gwary
Ucichły jak wroni skir?
Co to za siwy dziad stary?
Wygląda jak dawny król lir.
Parobku, z jakiej ty chaty?

WERNYHORA.

Z mohił, panie.

REGIMENTARZ.

Bardzo wierzę,
Boś podobny do upiora.

WERNYHORA.

Ja stepowy Wernyhora.

REGIMENTARZ.

Szukają ciebie rycerze.

WERNYHORA.

Rycerze błądzą po drodze,
Ja sam na słowo przychodzę.

REGIMENTARZ.

Więc jesteś mi w domu święty,
Siadaj, staruszku, na ławie.

WERNYHORA.

Za żadne ja djamenty
Z wami długo nie pobawię,
Nie usiądę tu na ławie
Jako człowiek z wami bratni,
Bo ja lirny król ostatni;
Pójdę... duchy jak żórawie
Odprowadzać do hetmanów.
Słyszeli wy, jak z kurhanów
Jakie płacze, jakie skwiry
Wron i orłów słychać było,
Gdy ta lira, pod mogiłą
Ręką Lacha zakopana,
Odezwała'ś z pod kurhana
W blask miesiąca czerwonego:
Jak córka do ojca swego,
Jak zaklęta upiornica,
Jako Lachów niewolnica,
Jak duch srebrny do księżyca.
A gdy ja rozkopał doły
I przytulił ją na ręku,
Słyszał jej duch cały w brzęku,
Jak pierś u brzęczącej pszczoły;
A gdy otrząsł z niej popioły
I w klawisz ręką zatętnił,
To się ja sam aż zasmętnił,
Usłyszawszy pierwsze granie
I rozpłakał na kurhanie,
Jakby w księżycowym raju.

Wże ja teraz ne zahraju,
Pany!... idę w sen, na ciszę!...

Oj liro! twoje klawisze,
Gdzieś ze srebra dawniej lane,
Nogą pieśni wydeptane,
Jakby stare sęki drzewne,
I kamienie przedcerkiewne
I zapadłe w dół mogiły
Świadczą, że pieśni chodziły
Po klawiszach, pieśni chyże

I siadały na sen w lirze,
W krąg siadały pieśni tłumy;
Posążnice — stare dumy,
Piorunnice — stare krzyki,
Szumki lotu — konie kare,
Szumki płaczu — dum słowiki,
Błyskawice — myśli stare,
Rusałczanki — dzwony szklanne,
Smętne dumy podkurhanne,
Kędyś aż od Zaporoża.
Taj dla wszystkich dom uprzejmy...
Siądą w lirze, jak na sejmy;
A pośrodku duma boża,
Krwią Chrystusa purpurowa,
Siedzi jakby dum królowa
I radzi świat podbić cały...

Darujcie, pany, ja biały
Dziad... ja trochę szalony,
Może co złego powiedział!

REGIMENTARZ.

Zagrałeś nam w dziwne tony.
Jakbyś na kurhanie siedział.
Czego chcesz? tłumacz się jaśniej.

WERNYHORA.

Pane, ot po krwawej waśni,
Gdyś ty ludu krwią czerwony,
Przyszedł ja ci w moje dzwony
Zagrać głucho, tuż nad uchem
I pożegnać ciebie duchem
Mego ludu.

REGIMENTARZ.

Gdzież idziecie?

WERNYHORA.

Ot ja, panie, miał na świecie
Jeden futor gdzieś pod borem;
Dom bez złota, adamaszków,
I trzy brzozy pełne ptaszków.
I trzy źródła pod futorem,
Jak ze srebra tarcze lane,
Jak kąpiele rusałczane.
Taj póki lud był szczęśliwy,
Póki duch żył, ja był żywy;
Teraz, pane, Boh ze mnoju!...

REGIMENTARZ.

Czegóż ty chcesz?

WERNYHORA.

Ot w pokoju
Rozstać się z wami, panicze.
Jeszcze spojrzeć wam w oblicze,
Aby zapamiętać długo
Duchom, szczo was proklinaje...

REGIMENTARZ.

Mój staruszku, czas nastaje,
Że nie będąc naszym sługą,
Możesz cicho zostać z nami...

WERNYHORA.

Szczo? ja, bat'ku? trup z trupami?

REGIMENTARZ, *do szlachty.*

Dumny szelma!

WERNYHORA.

Ja szalony!
Może ja głupstwo powiedział...
Przez dziedziniec wasz czerwony
Jam szedł i drogi nie wiedział,
Choć dwór widział odemknięty;
Aż mi jeden człowiek ścięty
Poswytył łbem aż do sieni...

KSIĘŻNICZKA, *zbliżając się.*

Ojcze! ach, my przerażeni
Twymi słowy, wszyscy smutni;
Zagraj nam lepiej na lutni
Jaką piosenkę z księżyca.

WERNYHORA.

Szczo heto za Anhełyca?
Ach! ja do niej, idąc w lesie,
Szedł jak gdyby w interesie.
Panno, nie chodź mi od boku,
Bo mi widy jakieś w oku
Błyszczą, serce drga jak struna.
Ja odzyskał sen Widuna,
Patrząc w lice tego dziecka.
Kto ty? czy ty Wiśniowiecka?
Czy pamiętasz tego dziada,
Co, bywało, tobie gada
Śród pasieki dumy stare?
Co, bywało, ciebie senną

Na łóżeczko, pod kotarę
Nosi i tam, jak kamienną,
Uśpioną dumami kładzie?
Czy pamiętasz, co ja w sadzie
Wróżył tobie na dzień ślubny?
Że to ludu mego zgubny
Będzie dzień... jak pożar krwawy...
A w pożarach żywa świeca,
A koło niej lud ciekawy,
A ona aż w twarz księżyca
Tryskająca krwią czerwoną,
Aż na twoje tryśnie łono.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! pamiętam, i cóż dalej?

WERNYHORA.

Taj gromnica gdy się spali
Pod szablicą pana Sawy,
Przyjdzie i Franciszkan krwawy,
Pasem się krwi przewiązawszy,
Niosąc pierścień jeszcze krwawszy.

KSIĘŻNICZKA.

Ach! pamiętam Franciszkana!
Widzę nawet jego rysy.

WERNYHORA.

A potem drużka ubrana
W srebrne, podśnieżne narcysy,
Przyjdzie drużka, trupie ciało...

KSIĘŻNICZKA.

Ach! pamiętam drużkę białą.

WERNYHORA.

A co pierwej?

KSIĘŻNICZKA.

Ach! nie pomnę.

WERNYHORA.

Przed mężem, księdzem i druchną?

KSIĘŻNICZKA.

Ach! jakieś blaski ogromne,
Dary, świecące jak próchno,
Ślubne moje podarunki!

WERNYHORA.

Podobna ty do Widunki!
Wszystko sen i prawda szczera!
Pierwej... moja srebrna lira
Rozbita i odemknięta

Tłucze lirę o podłogę i wyrzucone z niej papiery oddaje księżniczce.

Wyrzuci te dokumenta,
Które ja krył, póki sądził,
Że Sawa będzie hetmanem.
A teraz ja rozporządził
Wszystkiem, nad czem ja był panem:
Lirą, pieśnią, wychowanką
I hetmanem i hetmanką;
Taj wychodzę z szlachty proga,
Jak wszedł — a nie bez łez, pany,
Bo ja z wami chleb łamany,
Od jednego dany Boga,
Długo jadł — aż zęby stracił.
Bogdaj Pan Bóg wam zapłacił
Za jadło i za gościnę...

REGIMENTARZ.

Gdzież idziesz?

WERNYHORA.

Na Ukrainę.

KSIĘŻNICZKA.

Czy to prawda, że po ciebie
Koń jakiś biały przyleci?
Koń, co po mogiłach grzebie,
Okiem rubinowem świeci;
Jakiś dziwny koń piekielny,
Mówią, że koń nieśmiertelny?

WERNYHORA.

Ja nie wiem, tak pieśni głoszą.

KSIĘŻNICZKA.

Gdzież takie konie unoszą,
Powiedz?... bo ja będę wiodła
Długo za tobą oczami...
Bo mi w oczy sypnął skrami,
Smutkiem napełnił nieznanym
Ten koń z lirą grającą u siodła
I z dumkarzem zapomnianym

Ulatujący na wieczność.
Czy tam jaka pół-słoneczność
W tych mgłach? czy tam ciągle strachy?

WERNYHORA.

Każdy kwiat ma swe zapachy,
Każdy Duch swój wid pół jasny,
Każde serce swój strach własny,
Każdy orzeł lot przedlotny;
A ja wiem, że ja samotny,
Jak ty głoskiem to wywiodła,
Przez piekielnego rumaka
Porwan... wściekły... bez czapraka,
Z lirą grającą u siodła,
Umarłe trzaskając kości,
Polecę w niespokojności,
W strachu, w żalu, ale w mocy.
Aż kiedyś, gdy na godzinie
Stanie miesiąc o północy;
To koń znowu z siodła skinie
Mego ducha na kurhany.
Taj znów zagra dziad z powagą;
Taj znów jęknie... a kto zna go,
A kto słyszał poza światem
Pryde — w łańcuch żórawiany,
Pryde — lirą tchnąć jak kwiatem,
Pryde — z serca pić jak z czary,
Pryde — z piersi czerpnąć wiary,
Pryde — iskry wziąć z ogniska.
Ten dziad, co tu lirę ściska
Jak fałszywą sorokówkę,
Taj z trupami na wędrówkę,
Wietrznym koniem teraz pędzi,
Naprowadzi wam łabędzi
I rycerzy i hetmanów.
Taj słuchajte, gdy z was panów
Budut' trupy, budut' hłazy,
Taj gdy się wasz trup trzy razy,
Pod mogiłą rwąc do sławy,
Znów przewróci na bok krwawy;
I pomyśli, nędzarz boży,
Że i piorun nie otworzy
I nie zdejmie wieka z truny,
Taj świat przeklnie i pioruny;
To jak stanę ja, dziad rzewny,
Jak mu ręce łzą uroszę,
Po żebracku jak poproszę;
Jak ja lirę upokorzę
I na sercu mu położę,

I do czoła mu przycisnę,
I przeszłością w oczy błysnę,
Starych dum nasypię w uszy;
Klnę się na duch! że się ruszy,
Taj swą twarzą księżycową
Spojrzy na was jak upiory...
Otóż macie moje słowo,
Macie dumę Wernyhory.
A stepowe gdzieś miesiące
Wiedzą, o czem ja nie wiedział;
Czemu ja przez usta klnące
Wam przekleństwa nie powiedział.

KSIĘŻNICZKA.

Stój... Więc Polska?

WERNYHORA.

Ja stepowy
Dziad, panienko... ja nic nie wiem.

KSIĘŻNICZKA.

Mówią, że kopiec grobowy,
Gdzie ty zaśniesz pod modrzewiem
Zniknie?

WERNYHORA.

Moja panno miła,
Mówią, że zniknie mogiła,
Ja nic nie wiem. Czas pokaże.

KSIĘŻNICZKA.

Weźże ty odemnie w darze
Tę zauszniczkę z turkusa;
Jak twój srebrny koń da kłusa
Tu z powrotem, na kurhany,
Czy po wiekach, czy po latach,
To mi, staruszku kochany,
Dasz ten turkus i przypomnisz pasiekę,
Gdzie ja, bywało, na kwiatach
Pod piastunki się opiekę
Uciekałam... gdyś ty gadał o marach.

WERNYHORA.

Ot, panienko... młodość w czarach!
A co dziś? ja człek grobowy!
Pany! wasz dom purpurowy
Niech śpi... i ja spaty budu.

Odchodzi.

KSIĘŻNICZKA.

Pierwszy raz duch tego ludu
Słyszałam, jak o łzy żebrze.
Dotąd na miesięcznem srebrze
Malował nic kolorowe.
Dajcie mi księżyc na głowę!
Dajcie mi tęczę pod nogi!
Za tym dumkarzem polecę!
Ach, co widzę? Sawa! z drogi?
W jakiej on czerwonej rzece
Kąpał się?... figura krwawa!

Wchodzi SAWA u białym żupanie zbryzganym krwią, z pałaszem w ręku.

SAWA.

Nie udała się wyprawa.
Przebiegłem stepy, kurhany,
Całe mgieł posępnych morze;
A nigdzie o Wernyhorze
W Ukrainie ani słychu.
Co gorsza, że się tu lichu
Djabelskiemu dałem skusić,
I chcąc jeden ogień zdusić,
Cały oblałem się krwią;
Dlatego z posępną brwią
Stoję tu, mości panowie.
Jadąc przez wioski ulice,
Spotkałem żywą gromnicę,
Z płomieniskami na głowie,
Ze smołą ogniem kapiącą
Na mnie... w oczy wprost idącą.
Tak, że pomimo harapa
Zlękła, zdębiła się szkapa;
A ja rozjuszony złością,
A może też i litością
Wpół pomięszaną z przestrachem,
(Bo nie myślę czynu krasić)
Na koniu, szabli zamachem
Chciałem to światło jarzęce,
Tę straszną marę zagasić
I w zamachu uciąłem jej ręce.
A to wszystko w smolnym dymie
Stało się, niby w ukryciu,
Przy żałosnych dzwonów biciu.
Tak, że gdym wyleciał z chmury,
To za mną... widmo olbrzymie,
Ręce podniósłszy do góry,
Biegło, zda się, karku blisko

Lecące pogorzelisko;
Mszczące się samym hororem
Goniło za mną widziadło.
I aż tutaj, pode dworem,
Na piasek złoty upadło,
Wylawszy dwa koralowe
Strumienie... co zda się piszą
Prześwięte Y Jezusowe.

REGIMENTARZ.

Dość... bo uszy moje słyszą
Krzyczącą krew. Niech kto bieży,
Do łba mu lufę przymierzy
I skończy ciała męczarnie.

Wchodzi PAFNUCY przewiązany pasem krwawym mnicha Franciszkana.

Cóż to? czy krwawą latarnię
Duchy postawiły w sieni?
I wpuszczają mi tłum cieni
Skrwawionych do mego domu?

PAFNUCY.

W chwilę chłopskiego rozgromu,
Szablą Gruszczyńskiego zbrojny,
Szukałem zemsty... jąk mściciel;
Aż mi szabli tej właściciel,
Po śmierci, widzę, spokojny,
Zemsty nad ludem zabronił.
Jakoż, zaraz mię nieznany
Strach ujął, siłem uronił,
Miecz się giął jak ołowiany;
Chłopstwo mię porwało srogie:
I poznawszy po tonsurze
Za księdza, ciało ubogie
Ustroiło w krwawe róże,
W świętego Franciszka pasy.
Bo dziś wiek, że polskie lasy
Dotąd kwiatkami panieńskie,
Od pszczółek by lutnie brzmiące,
Widzą nagoście męczeńskie,
W czaszkach siekier półmiesiące,
Ręce w płomiennych okowach,
Wszystkie męczeństwa oznaki,
Oprócz złotych słońc na głowach;
Bo te płomieniste ptaki
Później na czołach usiędą,
Gdy się nam duchy podniosą.
Takem ja się przed komendą

Sawy, krwi okryty rosą,
Meldował, cierpiąc katownie.
I miałem to już zasługą,
Że z ran uleczon cudownie
A pomny, żem bożym jest sługą
Widząc tu dwie wielkie głownie
Zgaszone Sawy szablicą,
Nad tą konającą świecą,
Której duch w płomienie spieszył,
Tyle dokazałem słowy,
Że się ten duch purpurowy
Ugiął a jam go rozgrzeszył.
Tak mi dopomogły duchy,
Że wydobyłem akt skruchy,
Jęk z pod smolnego płomienia
I rozkaz, dany oczyma,
Które, szukając pierścienia.
Na rękę, co jeszcze się zżyma.
Krwią leje i w prochu się rusza,
Zwróciły moję uwagę.

REGIMENTARZ, *biorąc pierścień krwawnikowy z rąk Pafnucego, obraca się do księżniczki.*

Pierścień... to wielką ma wagę!
Bo to mię, panno, przymusza
Ponowić ci prośby moje.

KSIĘŻNICZKA.

A ja zaś przy dumkach stoję.
Sawa z ust ognistych węża
Jak błędny rycerz szalony
Wyrwał ten pierścień dla żony;
A ja z ręki mego męża
Biorąc, będę go nosiła.

REGIMENTARZ.

Sawa? Czyś głowę straciła?
Sawa słuszny kawaler, lecz nowy;
Nie wiem nawet, czy szlachcic herbowy?

KSIĘŻNICZKA.

Dla mnie: rycerz ukraiński,
A dla was już: pan Caliński.
Na co dokumenta składam
I te kościelne dowody.
A sama do nóg ci padam,
Prosząc przyzwolenia i zgody
Na ślub, który ci oszczędza,

Panie, kościelnych wydatków,
Bo dawno już był dany przez księdza.

REGIMENTARZ.

Ty ślubna?

KSIĘŻNICZKA.

Lecz nakształt kwiatków
Jeszcze, panie, nie dotknięta...

SAWA.

Na co złoży dokumenta.

REGIMENTARZ, *do Sawy.*

Pamiętaj, że z twoją szkodą
Bierzesz gadzinkę nadobną.
Caliński był tu podobno
Kiedyś naszym wojewodą?

SAWA.

Tak, panie, dla tych szpargałów
Ojca mojego zabito
I te dokumenta skryto.

REGIMENTARZ.

Życzę wam długich zapałów!
Życzę szczęścia!... pij nektary
Z tej złoconej filiżanki,
A z trwogą... Cóż to za mary?

Wchodzą dwie POPADJANKI, niosąc za końce prześcieradło białe.

POPADJANKA.

My ze stepu popadjanki
Przyszły z srebrnym darem w ręku,
Szczob tebe o brata Semenku
Prosyły...

REGIMENTARZ.

Na tom ja skałą.
Semenko, wasz brat, nie żyje.

POPADJANKI, *odkrywając z prześcieradła śpiącą Salomeę.*

Witże, daj ciało za ciało.

REGIMENTARZ.

Co widzę?... białe lilije!
Moja szlachcianeczka trusia?

W srebrnem prześcieradle Salusia!
Patrzaj, Lwie... dzieciątko miłe!
Ach! mogiła za mogiłę!
Oddać im zwłoki kozacze.

LEON.

Ojcze! puść... niech ją zobaczę.

REGIMENTARZ.

Trzymajcie go! Panie Boże!
On na to patrzeć nie może.

POPADJANKI.

Bud' szczasływ... że ty nam ciała
Nie odmówił... my szczęśliwe...
No, choć twa ręka wspaniała,
To my wspanialej wyrosły,
Bo wam dały ciało żywe
A od was trupa wyniosły.

Wychodzą.

REGIMENTARZ.

Co mówicie? Synu! synu!
Patrzaj, kolorek rubinu
Wystąpił z ust bladziuteńki...
Jeden paluszek u ręki
Ruszył się... słońce w nią wpływa...
Patrzajcie! ach! żywa, żywa!
Żywa w moich rękach... o! widzicie!

Podnosi ją w rękach.

Moje ukochane dziecię!
W rękach moich żyć zaczyna
Bijąca sercem ptaszyna.

SALOMEA.

Co się ze mną biedną stało?
Czy ja w gorączce, czy chora?
Wczora usnęłam z wieczora
I śniłam coś biało... biało...
Przez te dziewczyny spojona,
W krainie jakiejś bez brzegu,
Gdzie jedna tylko na śniegu
Plama... okropna... czerwona...
Ach! strach mówić, com ja śniła!

REGIMENTARZ.

W naszycheś ty rękach była,
Ciągleśmy widzieli śpiącą,
Duszkę twoję latającą
Ciągleśmy, panno, widzieli;
Teraz jaśniej nam, weselej,
Że jesteś z nami, dziewczyno!
A nim dwie pory przeminą,
Na świętego klnę Franciszka,
Z weselnego pociągniem kieliszka.

LEON, *klękając przed Salomeą.*

Narcysie mój...

REGIMENTARZ.

Już różowy!
Już nie narcyz, ale róża.

SALOMEA.

Dla mego Anioła stróża
Ten wianuszek zdejmę z głowy,
Bo mię skrzydłami osłonił,
Stał ciągle nad mojem łożem
I narcysem łoża bronił,
Kiedym ja tam spała — z nożem
Skrytym pod moją poduszką.

REGIMENTARZ.

Nie myśl o tem, moja duszko...
Wszystko dobrze się skończyło.
A kto tam już pod mogiłą,
Dowiesz się... Jesteś sierotą...
Aleś moją gwiazdą złotą,
Jesteś moją córką drugą,
A syn mój będzie twym sługą,
Choćby na lat sto tysięcy;
Lecz jeśli zechcesz, czem więcej
Tobie mój chłopczyna będzie.
Ot, daj mu rękę, bo prosi,

Salomea rzuca się klęczącemu Leonowi na ramiona.

O, tak! jako dwa łabędzie,
Jeden na swym grzbiecie nosi
Drugiego głowę w upały;
Tak mi dziatek tych dwie pary

Szczęsne za ręce pobrały,
A ja w środku jak dziad stary.

LEON, *klękając z Salomeą.*
Błogosław mi, ojcze, z żoną.

REGIMENTARZ.
Chodźcie tu na moje łono.
A za te przestrachy senne,
Dziatki, odprawcie nowennę
Za dusze w czyścu będące;
A potem niechaj wam płyną
Słodko miodowe miesiące
I raj utracony winą
Odkwitnie; a ja odnowię
Przez obchody bardzo świetne
Te dwa małżeństwa sekretne,
Które wczoraj bym surowie
Karcił, a dzisiaj pochwalam.

SAWA, *do księżniczki.*
Więc nie jeszcze?

KSIĘŻNICZKA.
Nie pozwalam,
Aż tę nowennę odprawię.

SAWA.
Gołąbku z tęczowym pasem!
To ja pójdę ku Warszawie
I porwę króla tymczasem?

REGIMENTARZ.
A wy się już tam kłócicie?
Sawa czegoś jak dziad żebrze!

KSIĘŻNICZKA.
Chce mu się miesiąca w cebrze,
Chce się gwiazdy na błękicie.

REGIMENTARZ, *do Sawy.*
Nie znasz jej — a nie proś ładnie,
To sama ci na nos spadnie.
Sawo, chodźmy do kielicha,
Spłukać z ust proch i krwawiznę.

A weźmy i tego mnicha,
Który się bił za ojczyznę;
Obaczym, czy dobrze pije...
Pierwsze zdrowie: Salomea niech żyje!
A polećmy kraj i siebie
Tej Salomei na niebie,
Której święto nam przypada
W przedostatnim listopada.

(1843)

KSIĄŻĘ NIEZŁOMNY

(Z CALDERONA)

TRAGEDJA.

DZIEŃ I.

Ogród nad morzem w Mauretanji. — NIEWOLNICY pracują. — Wchodzi ZARA, służebna królowej Fezu.

ZARA.

Zaśpiewajcie, niewolnicy.
Moja pani śród łazienki
W perłowej igra miednicy
Jak łabędzie bałamutne,
I prosi was o piosenki,
Ale tęskne, ale smutne.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Czyliż naszych brzęk kajdanów,
Czyliż pieśni niewolników
Rozweselić mogą panów.

ZARA.

Ona lubi śpiew słowików,
Kiedy się po laurach gubi,
I piosenki wasze lubi.
Zaśpiewajcie, Feniks słucha.

NIEWOLNIK.

Nasza pierś boleścią głucha.
Ach! najgorsze przeznaczenie!
I najgorsze to cierpienie
Śpiewać, kiedy serce boli!
Śpiewać temu, co w niewoli.
Trzeba na to być ptaszkami
Bez rozumu.

ZARA.

Czyż wy sami
Nie śpiewacie bez rozkazu?

NIEWOLNIK.

Każda boleść chce wyrazu,
Kiedy w sercu jej za ciasno.

I my tłumim boleść własną,
Gdy nas z kajdan pieśń unosi.

ZARA.

Zaśpiewajcie, Feniks prosi.

NIEWOLNICY, *śpiewając.*

Czas jest panem tego świata,
Czas jest panem i mąk duszy;
Czegoż srogi czas nie skruszy,
Nad grobami gdy przelata!

ZARA.

Dosyć pieśni, Feniksana
Już umyta i ubrana,
Sama schodzi do ogrodu
Użyć porannego chłodu.
Niech się każdy kwiatek lęka,
Że pięknością go zagasi,
Bo wychodzi jak jutrzenka.

Wchodzi FENIKSANA, córka króla Fezu i niewolnice jej ESTRELLA, ROZA i SELINA.

ESTRELLA, *do Feniksany.*

Wstałaś, piękna?

ZARA.

Wdzięk twój krasi
Cały ogród, oko pali.
Niech się jutrzenka nie chwali,
Że ten ogród nie ciemnieje,
Bo nie ona światło leje;
Bo ogród ten pośród gmachów
Nie od drzew nabrał zapachów,
Nie od róż nabrał rubinów,
Białości nie od jaśminów,
Lecz od ciebie.

FENIKSANA, *do Estrelli.*

Daj zwierciadło.

ESTRELLA.

Nie dziw, piękna, żeś ciekawa
Tej płci, na którą nie padło
Żadnej plamki.

FENIKSANA.

Głosi sława,
Że ja piękna, że ja miła.
Gdyby to i prawda była,
Cóż mi po tem? kiedy źle mi!
Nie wesoło na tej ziemi!

SELINA.

Cóż ci jest?

FENIKSANA.

Co jest, Selino?
Ach! gdybym ja to sama zgadła!
Gdyby mi to od zwierciadła
Powiedziano!... ach, dziewczyno,
Wnet bym sama boleść własną
Nakarmiła do przesytu
I widziała w sercu jasno.
Ale teraz, w mgle przedświtu,
Czuję tylko, że mnie kruszy
Jakiś smutek i tęsknota;
I że to jest męka duszy,
Męka duszy i zgryzota,
Gdy w uczuciach się tych miota,
Których czuciem czuć nie może.

ZARA.

Jeśli cię, pani, nie bawią
Te ogrody w barw ubiorze,
Gdzie wiośnie posągi stawią
Róże, w poplątanych czołach,
Na jaśminowych kościołach;
Obróć twe oczy na morze,
Kędy dla twojej tęsknoty
Płynie wóz ze słońca złoty.

ROZA.

Gdy taki zachód zobaczy
Na morza ognistem łonie,
Ten cały ogród w rozpaczy
I melancholiach utonie,
I zawoła, idąc w cień:
Ach! jak krótki był ten dzień!

FENIKSANA.

Ani się tem rozweselę,
Ani tem żądań ukorzę,
Że moje smutki podzielę

Pomiędzy ziemię i morze,
Że pójdę z myślami w tan
I sprzęgnę te oba światy,
Z pianami równając kwiaty,
Kwiaty równając do pian.
Bo ogród, kiedy zazdrosny
Spojrzy na fale szalone.
Chciałby tak płynąć jak one:
I zaraz zefir miłosny
Dwa razy miłośniej dysze;
I szaleniej rozkochany,
Z gałęzi, które kołysze,
Czyni kwiatów oceany.
A morze, gdy się zasmuci,
Spojrzawszy na te ogrody,
Wnet ucisza szklane wody;
Z fal wysokich pianę zrzuci
I drugim prawom poddane,
Równe zdybywa uroki,
Z szmaragdów maiąc zatoki,
Z błękitów piersi ulane.
I tak. tu kwiatowy łan
I ogród pełen szkarłatów
Wydaje się morzem kwiatów:
Wam morze — ogrodem pian.
Ach! cóż to za smutek głęboki,
Ten smutek, co w sercu ma łoże?
Że nie dba na kwiatów uroki,
Na niebo, na ziemię i morze.

ZARA.

Wielki smutek twój! ach! i głęboki!

Wchodzi KRÓL FEZU, ojciec Feniksany, z miniaturą w ręku.

KRÓL.

Jeśli, moja Feniksano,
Na piękność i smutek chora,
Chcesz być zdrowszą dziś niż wczora,
I zdrowszą, niż byłaś rano:
Oto jest portret infanta
Maurytanów, Tarudanta,
Który cię uleczy pewnie
Na długo... Cóż to, tak blada?...
Infant u nóg twoich składa
Koronę, jako królewnie.
A ten portret, choć nie gada
Za niego, u nas zagości.
Każda niema ambasada

Ambasadą jest miłości.
Za infantem najgoręcej
Wstawiam się... bowiem mieć będę
Zięcia i dziesięć tysięcy
Przyprowadzonych łuczników,
Z którymi Ceutę[1] zdobędę.
Płoń się, córko... tych płomyków
Miłosnych tobie pozwolę...
Owszem... serce puść na wolę,
Niech kocha przyszłego Pana.

FENIKSANA.

O Boże!

KRÓL.

Cóż tak pomięszana?

FENIKSANA, *na stronie.*

Wyrokiem śmierci!

KRÓL.

Cóż, przecie?
Trwogi te łatwo ukoim.

FENIKSANA.

Jestem twe posłuszne dziecię,
Ty ojcem... ty królem moim.
Na stronie.
Cóż mu powiem?... ach, kochanku,
Muleju, straciłeś żonę!
O! nieszczęśliwy poranku!
O! chwile nie w czas stracone!
Głośno.
Ojcze! pokora mnie łamie
Aż tu. *(Klęka).* Aż do twych obuwi.
Na stronie.
Dusza, co to myśli... kłamie!
Kłamie głos, który to mówi!

KRÓL.

Weź portret.

FENIKSANA, *biorąc miniaturę.*

Ojciec przymusza?
Na stronie.
Ręce go biorą, nie dusza.
Wchodzi SELIM, dozorca niewolników.

[1] Port hiszpański na północnym wybrzeżu Marokka w 1415 zdobyty przez Portugalję.

SELIM.

Mulej, twój wódz, królu panie,
Prosi cię o posłuchanie.
Z Fezańskiego morza wraca.

KRÓL.

Niech wejdzie.

Wchodzi MULEJ, wódz galer fezańskich.

MULEJ.

Gdzie zorza ozłaca.
Tak wysokie pańskie progi,
Gdzie człowieka czeka z drogi
Taka zorza, córka słońca,
Któż czoła nie rozpogodzi?
Nie uczyni z siebie gońca,
Za którym pomyślność chodzi?
Pozwól mi twej ręki, pani.
Niechaj dar taki otrzymam,
Jak najwierniejsi poddani,
Pełni serca i przymiotów:
Bo dla usług twych miecza się imam
I dla usług twych zginąć jam gotów.

FENIKSANA, *na stronie.*

Cóż mu powiem? o chwilo boleści!
Cóż mu powiem? ach, umrę z rozpaczy!

Głośno.

O Muleju, czy dobre są wieści?

MULEJ.

Czy są dobre, sam król to zobaczy
I osądzi... podług mnie, będą dobre.

KRÓL.

Cóż tam przecie?

MULEJ.

Lecz serce miej chrobre
I na wszystko, o panie, odważne,
Bo czas ważny i wieści są ważne.

KRÓL.

Gadaj wszystko, co wiesz, gadaj śmiało.
Kto ma duszę na wszystko wytrwałą,
Złe i dobre... z równą twarzą powita.
Siadaj, córko...

MULEJ.

Czyż mu wszystko obwieszczę?...

KRÓL.

Nie twarz złego nie będzie mi skryta.

MULEJ.

Trudno mówić... milczeć trudniej mi jeszcze.
Jakoś mi, panie, polecił,
Wziąwszy tylko dwie galery,
Wypłynąłem z tego portu
Zwiedzić brzegi barbaryjskie.
A jakoś chciał, bym podstąpił
Aż pod to miasto przesławne,
Przed wiekami zbudowane
U Herkulesowych słupów,[1]
Ceutą u ludzi nazwane:
Które słowo u Hebreów
I u Arabów znaczyło:
Piękność... Jakoż miasto owo
I dzisiaj w piękność rozkwita;
A na hańbę naszej wierze
I na wstyd Mahometanom,
Na murach dziś portugalskie
Sztandary nosi i krzyże,
I przeciwko flotom naszym
Obrócone trzyma spiże
I wieczny opór stanowi
I wieczną skałę zakłada
Twych zwycięstw wielkiemu Nilowi;
A z Hiszpanją aż przez morze gada.
Pod to miasto podpłynąłem,
Abym obaczył rynsztunek
I wierny ci zdał rachunek:
Ile wież z krzyżowem czołem
Grozi ci marnymi trwogi,
Ile w nim stoi załogi;
Abym wypatrzył, jakimi
Siłami weźmiesz je, panie,
Czy od morza, czy od ziemi,
Czy przez głód, czy szturmowanie...
I wiem, że niebo ci chowa
To zwycięstwo i tę chwałę;
Abyś to miasto wspaniałe
Przywrócił do swej korony...
Ale dzisiaj trwoga nowa,
Inna troska, z innej strony.

[1] Cieśnina Gibraltarska.

Czeka cię, panie: i siły
Na Ceutę przygotowane
Będą Tangieru broniły...
A to wiem... bo fale szklane
Depcąc jednego poranku,
O tej godzinie, gdy zorza
Wyziera nad szafir morza.
A na chmur ognistych wianku
Słońce swe rozwiesza włosy
Po różach i po jaśminach,
Śnieg i ogień udając i kłosy
Sypiące się na fale... w bursztynach
Owej zorzy, gościńcem odmętów,
Szła girlanda szarawa okrętów.
Niby stado tak nikłe, że z razu
Oczy moje powiedzieć nie śmiały,
Oczy okręty to były, czy skały...
Bo jak na płótnach obrazu
Malarz, udawca natury,
Jedną kreską czyni góry,
Albo miasta, wielkie grody:
Tak i na błękitach wody,
Gdy cień się ze światłem pomięsza,
Niebiosa do wód się nachylą:
Myśl różne straszydła wskrzesza
I błąka i oczy się mylą...
Otóż z razu, myśl ciekawa
Obaczyła tylko tłum
I parę i mgłę i szum,
Tak blisko przy nawie nawa
I tak z daleka płynęły...
Potem... gdy niebios dotknęły,
Najwyższymi żaglów pióry,
Pomyśleliśmy, że chmury,
Chmury wielkie, czarne, chyże,
Co po niebie lotem gonią
I deszcze poczną w szafirze,
A tu kryształy uronią.
I tak długośmy mniemali;
Bo zdawała się tak wielka
Gromada ludzi... że z fali
Mórz nie zostanie kropelka,
Kiedy ją w hełmy rozbiorą...
Potem statki z piany runem,
Jak potwora za potworą,
Kiedy idą za Neptunem
I z pod skał ciągle wychodzą
Nowe i nowe straszydła...

Nagle! ... gdy podniosły skrzydła,
Całe w słonecznych opalach
I otrząsły je na falach,
Myśleliśmy, że fale je rodzą ...
Wyraźniej, już nie obłoki,
Wtem bliżej ... ujrzały wzroki
Już nie skrzydła, nie trytony,
Ale jakieś Babilony,
Idące po złotej ziemi
Z chorągwiami ognistemi ...
Wtenczas spostrzegły i żebra
Okrętów, tłukące je wały,
Pod nimi, jak góry ze srebra,
Pod nimi z kryształu — jak skały.
Wtenczas poznawszy, że flota
Tak wielka i tak przemożna,
Kazała rycerska cnota,
W niebezpieczeństwach ostrożna,
(Bo i to w rycerzu waży,
Gdy się dobrze ma na straży),
Kazała mi, mówię, panie,
Jako świadomszemu morza,
Skryć się w tajemne przystanie,
Między dwa skalne wydroża,
Gdziem bezpiecznie mógł stać z galerami.
Otóż ta flota przed nami
Przepłynęła ... nie spostrzegła.
A ja chcąc wiedzieć, gdzie biegła?
Komu niosła miecz zagłady?
Wypłynąłem za nią w ślady
I tu ... Bogu memu chwała ...
Spotkałem jeden z Armady
Okręt.

Wiadomo, że cała
Flota na morzu odkryta,
Była srogą burzą bita ...
Otóż jedna smętna nawa,
Co większej doznała szkody,
Potrzaskana i dziurawa,
Chwiejąca się, pełna wody,
Nie mogąca jej wyzionąć,
Za każdym nowym bałwanem
Już, już ... już zdająca się tonąć,
Stała na morzu ... O! panie,
Choć ja jestem Maurytanem,
Sądzę, że politowanie
W takiem nieszczęściu i stanie

Od Maurytan się należy...
Przybiegłem, jak sokół bieży,
I stanąłem jej przy boku...
A ci rozbici... ach! jaka
Chęć życia w ludziach!... gdy nagle
Ujrzeli mię jako ptaka,
Ze skrzydłami, ze skrą w oku:
Mimo bojaźń — sznury, żagle
Przemieniali na drabiny
I szli w klatkę jak ptaszyny
I sami łańcuchy brali...
A drudzy im urągali,
Widząc schronionych bezpiecznie
I drabiny tnąc toporem,
Krzyczeli: że umrzeć z honorem
I wolnym — jest żyć wiecznie...
I w morze rzucali ciała —
Portugalska próżna chwała!!!

Od jednego więc z tych wziętych
Wiem, że owe pawilony
Wypłynęły aż z Lizbony,
I po falach idą wzdętych
Tu na Tangier; klnąc się Bogiem
I rycerstwem, że Dej stary
Tu, nad wieżyc swoich rogiem,
Ujrzy te same sztandary,
Co są w Ceucie... los batalji
To pokaże, że się mylą!...
Podług nich, król Portugalji,
Przed którym światy się chylą.
Którego zwycięska sława
Sztandary swoje zatyka
Aż tam, gdzie ziemi nie stawa,
Gdzie rzymski orzeł lot traci,
Wysłał obu swoich braci,
Fernandesa i Henryka,
Aby tu ich wiek ciekawy
ujrzał obu w słońcach sławy;
I za wielkie nasze klęski
Przyklasnął, jako wiek klaszcze.
Fernand, to mistrz Awiceński,
Henryk, to mistrz Chrystusowy;
Oba noszą białe płaszcze,
Rządzą wielkie dwa zakony:
Jeden krzyż ma purpurowy,
Drugi wielki krzyż zielony;
Oba wiodą różnej broni
Do czternastu aż tysięcy;

A niepłatnych jeszcze więcej,
Co idą jak na popisy:
A do tysiąca aż koni
Poprzebieranych w tygrysy,
Na jednorożce przekutych...
Taka fantazja jest u tych
Hiszpanów!!!

Te więc szeregi
Depcą może nasze brzegi,
Albo już u lądu stoją,
Spieszmy, o! panie, z obroną,
Weź miecz i okryj się zbroją.
Weź tę chorągiew zieloną,
Podobną do gromów obłoka,
Chorągiew naszego Proroka.
Niech ze mną straż idzie przednia
I niech się sprawdzi nad nimi
Morabitów przepowiednia:
Że tu, w tych piaskach, w tej ziemi,
Co nas nosi na swem łonie,
Jest grób portugalskiej koronie.
I niech widzą nasze oczy,
Jak ta ćma czarnego sokoła
Przefarbuje nasze zioła
I morze krwią na czerwień przebroczy.

KRÓL.

Muleju, dość! nie mów dalej,
Bo mi żyły krwią wybryzną,
Bo dla serca, co się pali,
Każde słowo jest trucizną.
Pomyślę, aby te franty,
Ci dumni, zostali w Afryce.
Pomyślę, by tu ciemnice
I grób znaleźli infanty.
Muleju, weź nieco konnych,
Ruszaj zaraz na mórz brzegi
I broń, aby te szeregi
Brzegów naszych nieobronnych
Nie wzięły bez krwi. Kręw ci powie,
Jak uczynić w tym razie należy;
I uczynisz, jak czynili ojcowie.
Ja tymczasem zgromadzę rycerzy
A pośpiechu i sił nie poskąpię.
I po tobie krok w krok tam nastąpię.
I pokażę, że dzień jeden zakończy
Krwawe nasze wiekowe turnieje;

Że mi Ceutę do korony przyłączy,
A tu, Tangier krwią hiszpańską obleje.
Wychodzi.

MULEJ.

O! Feniksano! bliski czy daleki,
Tak skarg już moje nauczyłem wargi,
Że zawsze one gotowe do skargi,
I śmierć je chyba zagłuszy na wieki.
A choć nie umiesz zazdrości ocenić,
Choć mię obwiniasz, że uchybiam tobie,
Napróżno chciałbym wyrazy odmienić,
Bo zazdrość o słów nie myśli ozdobie.
Cóż to za portret? o! dziewczyno sroga!
Cóż to za portret ręka twoja pieści?
Któż to jest? powiedz, kto to jest, na Boga!...
Ach nie powiadaj! dosyć już boleści...
Dość, że go twoja biała ręka trzyma,
Że nim jak różą zerwaną kołysze,
Ach, dosyć dla mnie, że widzę oczyma,
Niechaj przynajmniej z twoich ust nie słyszę.

FENIKSANA.

Pozwoliłam ci, abyś mnie miłował,
Nie pozwoliłam, abyś mnie obrażał.

MULEJ.

Jam już wyrazów prędkich pożałował,
Bom w żalu mówił i na styl nie zważał.
Ja wiem, że mówić potrzeba inaczej,
Ale któż myśli o słowach w rozpaczy?
Milczeć?... ach, miłość potrafi ogłuchnąć,
Milczeć... Lecz zazdrość... ta musi wybuchnąć,
Musi wybuchnąć.

FENIKSANA.

Chociaż mi się zdaje,
Żeś nie zasłużył, bym się tłumaczyła,
Ponieważ różnych mam wymówek siła,
A mam ich wiele... najlepszą ci daję.

MULEJ.

Więc masz wymówkę?

FENIKSANA.

Mam.

MULEJ.
O! Bogu dzięki.

FENIKSANA.
Ten portret z ojca mojego mam ręki.
A przysłał mi go...

MULEJ.
Kto?

FENIKSANA.
Fezki królewic,

MULEJ.
W jakim zamiarze?

FENIKSANA.
Bo mój ojciec stary,
Który się nie zna nic na sercu dziewic...

MULEJ.
Co?

FENIKSANA.
Pretenduje, oraz ma zamiary
Te dwa królestwa Fezu i Tangieru...

MULEJ.
Dość! Ta wymówka jest podobna zeru.
Taką wymówkę dajesz? o! nie dzięki!
Nie dzięki tobie... Czy masz lepszą inną?

FENIKSANA.
Ale ten portret ja mam z ojca ręki
I sądzę, żem jest zupełnie niewinną.

MULEJ.
Winnaś! bo trzeba było... trzeba było...
Choćby ci ojciec zagrażał mogiłą,
Portret odrzucić.

FENIKSANA.
Jakąż dać przyczynę?

MULEJ.
Nie wiem... co skłamać.

FENIKSANA.

Z kłamstwa ja nie słynę...
Cóż miałam czynić?

MULEJ.

Co? umrzeć w potrzebie,
Jabym to łatwo uczynił dla ciebie.

FENIKSANA.

Przymus był wielki.

MULEJ.

Ach! serca zmienie!

FENIKSANA.

Przymus i siła.

MULEJ.

Któż się podda sile?

FENIKSANA.

Cóż więc być mogło?

MULEJ.

Moje oddalenie?
Ach, oddalenie podobne mogile,
Które mnie w grobie ciemnym położyło.
A teraz jeszcze drugi raz odjadę
A ty mię drugą nakryjesz mogiłą.

FENIKSANA.

Otóż, Muleju, dam ci jednę radę:
Abyś tu zaczął skarżyć się w Tangierze
I aż do Fezu ciągnął to stękanie.

MULEJ.

Zaprawdę boleść moję tak rozszerzę,
Że aż do Fezu za tobą dostanie.

FENIKSANA.

A teraz bądź zdrów, jedź, bo już nie rano.
Przymus ci każe opuścić te mury.

MULEJ.

I odsyłasz mię? o! Feniksano?
I nie oddasz mi tej miniatury?

FENIKSANA.

Ach, jak smutna to chwila... ach, smutna
Miniatura ta na mnie spoziera!

Wychodzi.

MULEJ.

Więc ci z ręku ją wyrwę, okrutna,
To, co serce mi z piersi wydziera.

Wychodzi.

ZMIANA I.

Brzeg morski. Słychać wrzask i zgiełk wylądowania. Wchodzą na scenę DON FERNAND i DON HENRYK, Infanci portugalscy. — DON ŻUAN COUTINO i ŻOŁNIERZE.

DON FERNAND, *skacząc na ląd.*

Pierwszy, o! piękna Afryko, wyskoczę
Na twoje brzegi i nadepcę nogą.
A ty czuj, jak cię moją stopą tłoczę,
A ty czuj pana i poddaj się z trwogą.

DON HENRYK.

Ja drugi skoczę na ląd.

Wyskakuje i pada.

O! mój Boże!
Aż tu ścigają za mną wróżby czarne?

DON FERNAND.

Nic, Don Henryku; wróżba nic nie może
Przeciw krzyżowi — strachy to są marne.
A że upadłeś? to ja tak tłumaczę,
Że ziemia, pana uczuwszy i księcia,
Sama się jemu chciała dać w objęcia.

DON HENRYK.

Ziemia to pusta... Araby tułacze
Poszli w pustynie.

DON ŻUAN.

Tangier zawarł bramy.

DON FERNAND.

W mieście my naszych wrogów poszukamy.
Niech z harmat pierwej wystrzelą na salwy.
Ty, Don Żuanie Coutino z Miralwy,

Idź i pod miasto podbiegnij zamknięte;
Ostrzeż, niech próżną nie drażni obroną
Ognia i miecza, bo gdy będzie wzięte,
Domy się zwalą w krew, kościoły spłoną.

DON ŻUAN.

Wkrótce pod miejską ujrzycie mnie broną;[1]
Choćby to miasto na dymu ciemnicy
Stało, jak wulkan z krwi i z błyskawicy.

Odchodzi.

Wchodzi BRYTASZ.

BRYTASZ.

Chwała Bogu! że przecie stoję o swej sile
Na brzegu, kędy moje widzę i apryle;
A już nie te przeklęte bałwany i szkuty,
Kakatosy, maestry, gdzie człowiek ma buty,
Ale chodzić nie może; gdzie od kul ucieka,
To w pada w morze, kędy pan ludożer czeka.
Jak to mówią u ludzi, spadł z rynny pod wodę.
Dość morza — lubię lepszą na ziemi wygodę.

Całuje ziemię.

Kochana ziemio moja, noś mię, jak człek lądu,
Radbym ostatecznego doczekać się sądu
Na ziemi, nie na morzu.

DON HENRYK, *do Fernanda.*

Co ty nań uważasz?

DON FERNAND.

A ty czemu się wróżby marnymi przerażasz?
Dlaczego smętny stoisz z rozwianymi włosy?

DON HENRYK.

Duch mój pełny przestrachu. Przeciwne nam losy:
Z Lizbony wyjeżdżając, gdy szeregi dzielne
Wsiadały, to ja strachy widziałem śmiertelne.
Zaledwo barbaryjskich dotknęliśmy lądów,
Słońce, jak gdyby na dzień ostatecznych sądów,
W chmury krwawe zabiegło i w niebiosa wklęsło.
A morze ciemne, czarne, okrętami trzęsło.
I teraz, gdy nań spojrzę, to kolor ma taki
Jak krew. Patrz na niebiosa, zewsząd czarne ptaki.
Patrz nad morzem.. jakby z mgły posępne osoby
Patrz na ziemię... zdaje się, że wszędy są groby,
W które za każdym krokiem człowiek błędny wpada.

[1] Staropolskie — brama.

DON FERNAND.

Moja miłość inaczej to wszystko wykłada:
Że nam burza uniosła jeden okręt zbity?
To zwyczajny przypadek. Że niebios błękity
Zaćmiły się i kolor wzięły szczerozłoty?
Poważny? to nie groźba, ale cześć dla floty.
Że potwory za nami wyzierały z morza?
Że czarną chmurą ptaków migotała zorza?
To nie przeciw nam wróżba, lecz strach na Araby;
Wszakże tych ptaków nasze nie niosły koraby?
Nie ciągnęły za sobą? ale tu znachodzą?
Więc tej arabskiej ziemi owe wróżby szkodzą,
Jeżeli są wróżbami. Maur niech patrzy na nie.
Ale my, mój Henryku, oba chrześcijanie,
My, cośmy nie dla marnej tu przyszli potęgi,
Nie po to, aby nami zaczernione księgi
Po wielu wiekach o nas do ludzi gadały;
My, cośmy tu dla Boga i dla Jego chwały,
Abyśmy kościół jego szablami podparli;
Z tą wiedzą, że zarówno obabyśmy zmarli,
Choćbyśmy tylko szczęścia szukali jak drudzy;
Czegóż się boim Boga? wierni jego słudzy!
Czemuż my się na wróżbach oparli nie na nim?
My, cośmy przyszli z naszej krwi ofiarowaniem

Wchodzi DON ŻUAN.

Ale cóż to od pola?

DON ŻUAN.

Książęta,
Kiedym wasze wypełniał rozkazy,
Tam, gdzie góra w łuk zagięta
Łamie się w piętra dwa razy,
Usłyszałem w strasznej wrzawie
Pod nieba strefą niebieską
Zlatującą konnicę Fezką...
Zdawało się, że żórawie,
Na Pigmeów w wielkim gniewie,
Szary klucz na niebie klecą.
Ziemia nie wie i wiatr nie wie,
Czy oni biegną, czy lecą.

DON FERNAND.

Idźmy powitać te wrogi.
Niech strzelce staną na czoło.
Siodłać konie, a wesoło!
Wdziać kolczugi — od głów do nogi
Zbroić się i stawać w szyku!
O! szczęśliwy dzień, Henryku,
Zwycięstwo nam w ręce dane.

DON HENRYK.

Ja, twój brat, przy tobie stanę,
Piersi także mam niezłomne,
O strasznych wróżbach zapomnę
I pokażę, że śmierć mię nie trwoży.

Wychodzą i słychać odgłos walki.

BRYTASZ, *sam.*

A ja tam, gdzie śmierć się sroży,
Nie pójdę... w każdym hazardzie
Ja stoję na ariergardzie
I wulkan ze mnie wybucha.

Patrząc na walkę.

Ach jaka tam zawierucha!
Jaki blask, jaki bój srogi!
Niech się biją — a ja w nogi!

Ucieka.

Wchodzą DON HENRYK i DON ŻUAN.

DON HENRYK.

Łatwo brać zwycięskie laury.
Uciekają zbite Maury.

DON ŻUAN.

Pole całe pełne łupów,
Koni, mieczów, siodeł, trupów.

DON HENRYK.

Gdzie Don Fernand?

DON ŻUAN.

Z całą linją
Arabów znika w obłoku.

DON HENRYK.

Chodźmy za nim, Don Coutino.

DON ŻUAN.

Zawsze obaczysz mię przy twoim boku.

Wychodzą.

ZMIANA II.

Pustynia. Wchodzi na scenę DON FERNAND ze szpadą Muleja i MULEJ rozbrojony z tarczą tylko.

DON FERNAND.

Tu, na tej ogromnej puszczy,
Co zdaje się grobem ludzi,
Gdzie krew z ciał pobitych pluszczy,
Koń leży i pan się nie budzi:
Sam zostałeś, Maurze młody,
Nad pobitymi narody.
I twoje gdzieś orle źrebi
Przez pola pobiegło krwawe,
Tocząc pianę i kurzawę:
Pod sobą kurz, a pianę z siebie...
I oddało cię bez broni
Łupem tej rycerskiej dłoni.
Horyzont, jak okiem objęty,
Podobien do jednej trumny;
A ja twojem wzięciem dumny,
Więcej dumny, żeś ty wzięty,
Niż, że te pola oblane
Są krwią, aż tam gdzieś w błękit giną,
Tak, że oczy, smętne tą ruiną
I czerwienią tą jak obłąkane,
Odwracają się, nie wiedząc, gdzie natrzeć
Ostrzem wzroku znużonych promieni;
Aby ciągle na nieszczęścia nie patrzeć,
Aby ciągle nie widziały czerwieni.
Ja, gdym cię silnem ramieniem
Wziął, mężnego tak wojaka,
Wybrałem sobie rumaka
Z próżnem siodłem i strzemieniem,
Którego ojciec był burzą,
A matka była płomieniem;
Bo płomienie i wiatry mu służą,
Równe jemu robiąc rodowody.
A ja jeszcze powiem, że był z wody,
Taką szerść miał i rzadkie tak piegi;
I tę wodę przemienię na śniegi
I znów powiem, że wody był synem.
A co do prędkości — delfinem.
A co do krwawości — był smokiem,
Co do lotu — był, mówię, obłokiem,
Co do nozdrza — był szczerym rubinem,
A był orłem, gdy puścił się lotem,
A gdy piersią uderzył — był grzmotem;
A pod dumnym — szedł z dumą szlachecką,

A pod starcem — jak starzec poważnie,
A pod cichym — spokojnie jak dziecko,
A pod silnym — jak rycerz odważnie:
I na jego kark i siodło jego
Siadłem z tobą, jak z broni kolegą;
A on, zda się, jak łódź, co się ślizga,
Pruł się piersią przez krwawe bałwany
I gniótł pole, co krwią naszą bryzga.
Ale czy to jego wnętrzne rany?
Czy ta myśl? zwyciężonych tak bliska,
Że kark jego zwycięsca uciska,
Czy nad tobą może zlitowany?
Gdy pomyślał, że obu nas wiedzie,
Obu włożył na kark swój niechętny:
„A ten Hiszpan taki wesół gdzieś jedzie!
„A ten Arab jedzie taki smętny!"
Ach i może ta myśl nie pozbyta,
Że ojczyznę zdradza, mnie unosząc,
Padł, oczyma litości nas prosząc
I załamał się na cztery kopyta
I dech oddał.

I powiedz mi teraz,
Czemuś taki smutny, przyjacielu?
Gdy się zwracam — a obracam się nieraz —
Choć mi taisz twą boleść, Arabie,
Widzę jasno, żeś pełny trosk wielu.
I podobnyś jest żelaznej sztabie
I tej stali, co zgięta odskoczy...
Lecz ból, wulkan, przez usta i oczy
Ciągle z ciebie jak ogień wybucha:
Niepodobna! by takiego ducha
Marna boleść poddała swej woli?
Abyś cierpiał tak na tej niewoli,
Ty, co wolność przedałeś tak drogo.
Inna jakaś być musi przyczyna?
Jeśli troski podzielić się mogą,
Jeśli sądzisz, żem na to zasłużył,
Mów, o! Maurze, dla trosk to jedyna
Prawie ulga... a jam serca nie zużył
I obaczę, widząc ranę twoją,
Czy ta rana jest z tych, co się goją.

MULEJ.

Widać, żeś równie szlachetny
Jak odważny, mój Hiszpanie.
Równie mieczem jak językiem
Umiesz czynić zwyciężonych.
Miecza twego niewolnikiem

Było ciało, co nie boli...
Teraz wziąłeś do niewoli
Mego ducha. Doskonały
Jesteś rycerz! Na dwie bronie:
Moc masz i w ręku... i w łonie...
Twoim jeńcem jestem cały.
A ponieważ ty wzruszony
Litością pytasz, Hiszpanie,
Czemu ogień i żal słony
Sypią mi z oczu perłami?
Uczynię tobie wyznanie
I sercu ulżę ustami.
Nie dla tego, że mnie boli
Serce i skarżyć się pragnie...
Bo nieszczęście do skarg mię nie nagnie...
Ale że to z twojej woli,
Ażebym ci się poskarżył...
Wiedz, że jestem urodzony
Synowcem króla Fezkiego,
A zowią mnie Mulej Chekke.
Królewska krew płynie we mnie
I serce mi wielkie grzeje,
Bowiem ród mój uświetnili
Różni basze, belerbeje.
A rodziłem się w tym roku,
Gdyście wy, Gelwy[1] tracili,
I ze smutnego wyroku
Matce kosztowałem życie,
Smętne fortuny igrzysko!
Gelwańskie, krwi pełne pole
Było mi pierwszą kołyską.
A odtąd... ciągłe niedole,
Nieszczęścia mnie ciągle gonią
I pokoju ciągle bronią.
Albowiem: kiedym do Fezu
Przybył, dziecko, z moim stryjem,
Przyjechała tam dziewica
I w bliskim domu, przez ścianę,
Stanęła, i odtąd serce
Zostało w niej rozkochane
I do śmierci tak zostanie.
Ach! bo ta miłość, Hiszpanie!
W zawiązkach swoich tak drobna,
Zaczęta w dzieciach tak tkliwie,
Taka, zda się, niepodobna
(Gdy sobie serce tłumaczy)
Ani się skończyć szczęśliwie,

[1] Miasto w Hiszpanji.

Ani się skończyć inaczej,
Ani się mogąca dźwignąć,
Ani zerwać, ni ostygnąć...
Z tą miłością wychowani
Rośliśmy, panie, oboje.
I dziś zarówno nas rani
Ta miłość w serc naszych dwoje,
Ciskając razy niemylne
Na serca słabe i silne...
Ach... z mojem tak uczyniła,
Jako woda z marmurami,
W które ciągle bije łzami,
I tak będzie ciągle biła,
Ciągle biła, aż je strawi
I w marmurze ślad zostawi;
Tak łzy me nowe i nowe
Na serce pięknej spadały,
Aż serce twarde, ze skały,
Serce jej djamentowe,
Na które sto razy spadły,
Przegryzły na wskróś i zjadły...
Ach, i nie moje to cnoty,
Że teraz serc naszych dwoje
Są, jakoby dwa powoje,
Wzajemnymi wite sploty.
W tym stanie przeżyłem lata,
Zapomniawszy prawie świata.
Rozpływając się w jej wdziękach,
W pierwszej miłości jutrzenkach,
Pijąc pierwsze tajemnicze
Troski i pierwsze słodycze...
Gdy oto, w nieszczęsnej chwili,
Rozstałem się z nią na czas krótki;
I stąd idą moje smutki,
Stąd płynie mój żal ogromny,
Bo ją z drugim zaręczyli,
Kiedym ja był nieprzytomny.
Teraz powiedz, czym szaleniec,
Że klnę fortunie bogini?
Tamten jest wolny... jam jeniec!
Jam jest daleko... on przy niej!

DON FERNAND.

Szlachetny Maurytańczyku,
Dobrze mi smutki wykładasz.
Jeśli tak kochasz... jak gadasz?
Tak cierpisz?... jak w serca krzyku
Słychać, gdy boleść malujesz,
Jeśli tak z ognia usychasz?

Ach! i tak tęsknisz? jak wzdychasz,
Ach! i tak wzdychasz? jak czujesz,
Widzę, że wiernie miłujesz.
Więc honorowi nie skłamię,
Wodzu maurytańskich gaier,
Idź i powiedz swojej damie,
Że portugalski kawaler
Przysłał cię za niewolnika,
A ją ci daje za pana.
A jeśli obligowana
(Bo to dziewic serce łechce)
Skarby swoje poodmyka
I płacić za ciebie mi zechce?
Ten okup weź, Maurze młody,
Bo będzie wielki, jak sądzę,
Zmień na miłości pieniądze
I miej z niego wieczyste dochody.
A teraz jedź mi szczęśliwie,
Oto koń twój własny wraca.
Ja wiem, że kto kocha tkliwie,
Temu czas płynie leniwie;
Więc ci czasu, Arabie, ukraca
Moja miłość, a ty się nie zmuszaj,
Siadaj na koń, rycerzu, i ruszaj.

MULEJ.

Słów mi teraz nie staje w potrzebie,
Ale wdzięczność ma inne oznaki;
Wiem, że daru przyjęciem pochlebię,
Lecz mi powiedz, proszę, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Portugalczyk i szlachcic... nic więcej.

MULEJ.

Pokazałeś to czynem i słowy,
Bądź co bądź, w grunt nie siałeś jałowy.
Twój niewolnik...

DON FERNAND.

Ujeżdżaj co prędzej.
Koń twój czeka.

MULEJ.

Więc otwierasz mi szranki?
Więc chcesz, aby serce w niewolniku
Uderzyło znów przy sercu kochanki?

Siada na koń za sceną.

DON FERNAND.

Tak, zaprawdę, szlachetnym być trzeba.

MULEJ, *z poza sceny, z konia.*

Hej! szlachetny mój portugalczyku!

DON FERNAND.

Co mi powiesz?

MULEJ.

Gdy pozwolą mi nieba,
To ci kiedyś za dar taki odpłacę.

DON FERNAND.

Bądź szczęśliwy!

MULEJ.

Teraz ja się bogacę...
Ale dar twój, panie, nie padł w wodę
I na końcu, na ziemi odbierze
Swoje żniwo i swoję nagrodę.
Mój Hiszpanie, niech Allach cię strzeże.

Odjeżdża.

DON FERNAND.

Jeśli Allach Bogiem, niech cię broni,
Lecz cóż to za tętent koni?
Co to za trąby i krzyki,
Którym powietrze przyklasło?
Tam, z drugiej strony kotły słychać, Marsa hasło.
Ta! mój brat Henryk.

Wchodzi DON HENRYK.

DON HENRYK.

Gdzie jesteś, Fernandzie?
Dawno cię szukam.

DON FERNAND.

Cóż tam za nowiny?

DON HENRYK.

Bracie, Fezanie idą i Murzyni,
Budząc te echa; Tarudant z wojskami
Królowi Fezu przybył dla odsieczy.
A król podparty z Maurytańczykami
Zrobił wycieczkę, bije nam na czoło,

Kiedy Tarudant nam odwrotu przeczy.
Zewsząd straszliwe nieprzyjaciół koło
W swoje żelazne objęło nas wieńce.
Oblegający my i oblężeńce,
Z tej ciemnej chmury, co się na nas toczy
Błyskawicami bici w same oczy,
Zmięszani... Cóż nam, Fernandzie, zostało?
Powiedz, co czynić?

DON FERNAND.

Co? umierać z chwałą.
Niech nacierają ci oba aljanci,
My na śmierć idźmy jako wojownicy,
Jako dwaj mistrze, jako dwaj infanci,
A choćby tylko jak Portugalczycy.
Idźmy i krzyczmy hasło dwóch zakonów:
Ave i Chrystus... hasło nasze stare,
I stańmy oba na czele szwadronów,
I umierajmy, mój bracie, za wiarę.

Wchodzi DON ŻUAN.

DON ŻUAN.

Złe lądowanie jest wszystkiemu winą.

DON FERNAND.

Nie czas się teraz zatrudniać przyczyną
Złego... gdy zewsząd wróg i krew i jęki...
Do poratunku trzeba użyć ręki
Przeciwko siłom Tangieru i Fezu.
Za mną!... W Twe Imię Przenajświętsze, Jezu!
Za mną!

Wychodzą wszyscy, z drugiej strony na pustą scenę wchodzi BRYTASZ.

BRYTASZ.

Otóż i śmierć! otóż i sztuka!
Pięknie ten rycerz swojem hasłem puka
W bramy niebieskie, klucze przenajświętsze
Pewnie otworzą mu te wielkie gmachy,
Gdzie święty mieszka aż na siódmem piętrze.
Co do mnie, czuję nieśmiertelne strachy,
Które mi sercem jak djabły szamocą,
Rozmyślam, na co my tutaj i poco
A z rozmyślania to wynika mego,
Że odtąd mam się już za umarłego.

Pada na ziemię i udaje zabitego. Wchodzi DON HENRYK w pojedynku z MAUREM.

MAUR.

Kto się broni tak uparty?
Szabla moja, piorun żywy,
Który spada aż ze sfery czwartej.

DON HENRYK, *depcąc Brytasza.*

Choć co krok ja nieszczęśliwy
Chrześcijańskie depcę ciała,
Ręka moja nie omdlała,
Nie straciłem mocy w duchu.
Jeśli ja piorun? ty trup... Ty piorun? ja skała.

Wychodzą z Maurem, bijąc się.

BRYTASZ.

I prawda, że mnie dobrze nadeptał po brzuchu.

Wchodzi DON ŻUAN w pojedynku z MULEJEM.

MULEJ.

O! rycerzu! twoje męstwo
Nie widzi, że słabo walczę:
Że chciałbym ci dać zwycięstwo.

DON ŻUAN.

Co mi powiadasz, zuchwalcze?
Nie przyjmuję takich danin.
Broń się!

Depce Brytasza.

O! straszliwa męka!
Gdzie nadepcę i spojrzę na trupa, Chrześcijanin!

Wychodzą, bijąc się.

BRYTASZ.

Nadeptał mnie, lecz o mnie niechaj się nie lęka.
A gdyby lżej mnie deptał, to byłby rozumny.

Wchodzi DON FERNAND, cofając się przed nacierającym KRÓLEM Fezu.

KRÓL.

Portugalczyku dumny,
Oddaj mi twoją szpadę;
Pod strażą cię zostawię
I rękę na sercu kładę,
Że obejdę się łaskawie,
Choć twojego miecza znaki
Na piersi rozdartej noszę.
Powiedz, mężny, ktoś ty taki?

DON FERNAND.

Nie dam ci mego nazwiska
Ani szpady... o śmierć proszę.

Wchodzi DON ŻUAN i ciałem swojem zakrywa Fernanda.

DON ŻUAN, *do króla.*

Ten miecz, o! panie, co w twem ręku błyska,
Już okręcon koło głowy;
Przez tę pierś chyba dostanie,
Jak przez mur djamentowy
Mego księcia. *(Do Fernanda).* O! mój panie!
O! mój książę! krzep się w sobie.
Teraz, teraz ja przy tobie
Aż do śmierci.

KRÓL.

Stój! co słyszę?
Księcia Fernanda oglądam?
Większego łupu nie żądam
I ten wielki dzień zapiszę
Pomiędzy najszczęśliwszymi.
Zatrzymać ludu zagładę...
A ty, królowi tej ziemi,
Fernandesie, oddaj szpadę.

Wchodzi MULEJ.

MULEJ, *na stronie.*

Co widzę? o! biada jemu!

DON FERNAND, *oddając szpadę.*

Królowi tylko samemu
Oddaję ten oręż święty,
Nie chcąc jak desperat ginąć.

BRYTASZ, *wstając.*

Jak widzę, próżne wykręty!
Z łańcuchem nie można się minąć.

Wchodzi DON HENRYK.

DON HENRYK.

Ach! co widzę? brat mój wzięty!

DON FERNAND.

Patrzaj, ale boleści nie wydawaj głosem.
Bo to, mój miły bracie, zwycięstwo nad losem,
Jeśli go człek wolny umie
Upokorzyć i poddać pod jarzmo swej dumie.

KRÓL.

Tak, Henryku, twój brat się dostał do niewoli...
A choć mogę i słuszność mi, sądzę, pozwoli,
Abym go na śmierć skazał, serce mam ruszone.
Bom tu przyszedł na własnej korony obronę;
A los, który mię panem niespodzianym robi
Waszej krwi, więcej waszą niewolą ozdobi.
Więc owszem z ciągłą myślą o tym niewolniku
Powracaj do ojczyzny i powiedz, Henryku,
Duartowi królowi, że temu poruczę
Więźnia, co mi przywiezie złote Ceuty klucze,
Nie inaczej. A teraz, jako moja własność,
Do Fezu ze mną raczy twa książęca Jasność.

DON FERNAND.

Jako u mojej sfery słońcem idę wszędzie.

MULEJ.

Ach! serce moje smutek dwojaki posiędzie,
W miłości i w przyjaźni mając swe powody.

DON FERNAND.

Henryku, ja zostaję tu pełen pogody;
Na zło i dobro... wytrwam jak ludzie niezłomni.
Jedź i proś brata, niechaj o mnie się upomni
Jako pan chrześcijański.

DON HENRYK.

On się zobowiąże...

DON FERNAND, *przerywając, mówi z powagą.*

Niech się upomni jako chrześcijański książę...
Jak katolik.

DON HENRYK.

Takim ja, mój bracie, powrócę.

DON FERNAND.

Teraz pozwól, że w twoje objęcia się rzucę
I uściskam, bracie mój, Henryku kochany!

DON HENRYK.

Ty wzięty, a mnie kładziesz na szyję kajdany?

DON FERNAND.

Bywaj zdrów, Don Żuanie.

DON ŻUAN.

Żywot mój bez celu...
Ja tu, z tobą.

DON FERNAND.

Więc zostań ze mną, przyjacielu.

DON HENRYK.

O! dzień pełny nieszczęścia!

DON FERNAND.

Wszyscy bądźcie zdrowi!
Jedź, Henryku, i powiedz odemnie królowi...
Nie nic nie mów! Słowom to powierzać daremnie,
O, tylko te łzy moje zanieś mu odemnie.

Rozchodzą się, Don Fernand z Maurami, Don Henryk ku brzegowi morskiemu.

DZIEŃ II.

Ogród króla. — Na ganku pokazuje się FENIKSANA.

FENIKSANA.

Zara! Estrella! Roza!... Cóż?
Nikogo niema oprócz róż?

MULEJ wychodzi z poza wzgórza.

MULEJ.

Piękna! w wołaniach imię zmień,
Ja ci odpowiem, lutni słodka!
I oko twoje mnie napotka,
Boś ty jest słońce, ja twój cień.
Za tobą chodzę nakształt chmur,
I słysząc echo twego głosu,
Wołanie twoje, zszedłem z gór...
Co dumasz?

FENIKSANA.

Ach! z mojego losu
Girlandy sobie czarne plotę.
W górach, gdzie jedno pochlebne,
Wolne, niewdzięczne i srebrne
I słodkie i szepczące tęsknotę
Źródło ma tajemną grotę,
I stamtąd strumieniem bieży
Kwiaty łąkom malujące;
Pochlebne, bo szepce coś łące
A własnym słowom nie wierzy;

Niestałe źródło i zwodne,
Bo chociaż szemrze, pogodne;
Wolne, bo otwarcie gada,
Gdy głos zefirom poruczy;
Szalone, bo ze skał spada,
A słodkie, bo w trawach mruczy:
A głośne, bo słyszane z daleka;
A niewdzięczne, bo ucieka;
Tam, przy tem źródle, zmęczona
Ściganiem za jedną sarną,
Z melancholją moją czarną
Ległam... a góry tej strona
Pokryta nakształt płomyków
Krzyczącą jaśnią gwoździków,
Jakoby falą karminów
I szmaragdami jaśminów
Błyszczała... Ledwo z tęsknotą
Smętnym się oddałam dumom
I samotnym źródła szumom
I wielkiej ciszy... gdy oto
Szmer usłyszałam za sobą:
Przelękła, skoczyłam z trawy
I twarz w twarz z ciemną osobą,
Z duchem kobiecej postawy,
Z czarną spotkałam się marą;
Z Afrykanką, suchą, starą,
W łachmanach, z pochyłym grzbietem;
Z cieniem człowieczej postaci
I z cienia tego szkieletem
Zeszłam się. Zda się, pień drzewa
Co korę spróchniałą traci
I bursztynem się oblewa.
Gdy czarne myśli naraisz,
Czarne wróżby ci przychodzą
I straszą i sercu szkodzą,
Nim się do nich przyzwyczaisz.
Gdy mię wzięła ta szalona
Za rękę, szatańskie plemię!
Myślałam, że wrosłam w ziemię,
Że byłam drzewem jak ona...
W oczach mi czarno i dymno...
Od jej rąk szło we mnie zimno;
I broniłam się daremnie,
Od niej strach przechodził we mnie
A jej głosy obłąkane,
Pełne urągań bezczelnych
I jadów pełne śmiertelnych,
Ciche, zaledwie szeptane,
W sercu się odbiły głucho,

Tak jak węże lazły w ucho.
„Nieszczęśliwa niewiasto!“ wrzasła,
„Nieszczęśliwa! śmierci będziesz łupem!
Proś, by piękność ta twoja zagasła
Wprzód, nim zmarłych zostanie okupem.
Tak... ta piękność twoja będzie ceną
A kupiony towar będzie trupem.“
To wyrzekła, a ja taką sceną
Zatrwożona i dotąd lękliwa,
Pół umarła a jeszcze pół żywa;
Ach! i lepiej bym cała umarła!
Niżby ta wróżba straszliwa,
Wiedźmie tej wydarta z gardła,
Była prawdą, nim wejdę w mogiłę,
Nim te oczy blask niebios utracą.
Ach! więc ciało ludzkie! ciało zgniłe
Oszacują i mną żywą zapłacą.

Wychodzi.

MULEJ.

Porzuć, piękna, te rozpacze,
Ja ci te sny pełne trwogi
Jedynie przez mój los srogi
Rozwiążę i wytłumaczę.
Tarudanta masz być żoną!
A jeśli go nie pokonam...
(Ach! na samę tę myśl konam!)
To pewnie, że moje łono
Na dwoje mieczem rozkroi,
Nim go twa miłość napoi...
Więc zawsze widzę z daleka,
Jak mi los okrutny grozi;
Za mnie, martwego człowieka,
On cię dostał i uwozi;
I tak... o moja Syreno!
Przyszłość wróżbę sprawdzoną zobaczy;
Bo ty mego trupa będziesz ceną,
Bo z miłości skonam i z rozpaczy.

Ustępuje na stronę. — Wchodzi DON FERNAND bez broni, ale w książęcym ubiorze. NIEWOLNICY, pracujący w ogrodzie, zbiegają się ku niemu.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W tym ogrodzie, kopiąc grzędy,
Skorośmy tylko postrzegli,
Panie, że przechodzisz tędy,
Wszyscyśmy oto przybiegli
U nóg twoich się położyć.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bóg nam pozwolił tej pociechy dożyć!
I tę nam ulgę w nędzy dał jedyną.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Tyś jest litosny! bo łzy twoje płyną,
Ty niewolników litujesz się męce.

DON FERNAND.

Bracia! podajcie mi ręce.
Bóg, co widzi ludzkie duchy,
On wie, że tymi rękami
Chciałbym zdjąć wasze łańcuchy,
Ale nie mogę... Bóg z wami...
Pracujcie cicho i skromnie,
A częściej o Nim niż o mnie
Pamiętajcie... Smętna chwila!...
Ale też miejcie nadzieję,
Bo zło, gdy nad miarę przeleje,
To się często na dobre przesila.
Pomnąc, że i w ostatecznym
Razie odwaga pomoże,
Idźcie z losem koniecznym,
Sercami nie bądźcie w sporze.
Uwaga ta niech was czyni
Odważnymi na fortuny upiora,
Bo to dziwna na świecie bogini!
Trup z niej dziś, a kwiat był wczora,
To się może znów jutro zaśmieje.
O! Boże! cóż dawać rady!
Kiedy ten tłum taki blady
I smętny... takie łzy leje!
Trzeba te nauki schować,
Aż ich serca jęk nie zgłuszy.
Chciałbym was czem udarować,
Ale nie mam nic przy duszy,
Przebaczcie mi, przyjaciele!
Nadzieją się z wami dzielę,
Bo sądzę, że nam z ojczyzny,
Co pewnie tam o nas pamięta,
Przybędą wkrótce okręta,
Zgoją cierpienia i blizny;
Wtenczas, co ja mam na świecie,
To będzie moje i wasze.
Wszystkich rękami opaszę!
Wszyscy ze mną pojedziecie!
Teraz idźcie już, biedacy,

Srogo bardzo spracowani;
Idźcie znów do waszej pracy
I bądźcie panom poddani.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Twoje zdrowie, panie nasz,
Nieszczęsnym nam dodaje sił.

DRUGI NIEWOLNIK.

Bogdaj ty setne lata żył!
Bóg ciebie weź pod swoję straż!

Niewolnicy odchodzą.

DON FERNAND.

Duch mój został pełny mąk
I w smętnem dumaniu stoi,
Żeście wy od moich rąk,
Biedni, tak odeszli z niczem!
Biedni! biedni, bracia moi!
Któż nad sercem niewolniczem
Ulituje się prócz Boga?

Mulej wychodzi z ukrycia, gdzie patrzał na poprzednią scenę.

MULEJ.

Tu byłem. I żałość sroga
Zdjęła mnie... i z uwielbieniem
Patrzałem, z jaką miłością
Traktowałeś niewolniki.

DON FERNAND.

Zaprawdę, żem przejęty litością
I przejęty był cierpieniem,
Patrząc na te męczenniki,
Które pan do taczek pędza...
I uczyła mię ich nędza,
Jak znosić więzy haniebne
I los swój dźwigać biednemu...
Kto wie? może mnie samemu
Wkrótce to będzie potrzebne.

MULEJ.

Co wasza Jasność powiada?

DON FERNAND.

Co?... któ się infantem rodził,
A dziś pan nim obcy władnie,
Niech wie, że los często spada,

I spadł już i jeszcze spadnie.
W infanctwo mię już ugodził;
A kto wie? może niżej pokłoni?...
Dzień za dniem nieszczęsny goni
I płacz z płaczem w łańcuch wiąże.

MULEJ.

Nie mniejszy mój ból, o książę!
Chociaż innego rodzaju,
Bo wasza Jasność do kraju,
Jak sądzę, wkrótce powróci...
Ale to, co mnie tu smuci,
Ratunku znaleźć nie może;
Troska moja bezimienna...
Fortuna jak księżyc zmienna.

DON FERNAND.

Gość jestem na waszym dworze,
I twój los mię serdecznie obchodzi,
A tyś mi nie dał nowiny,
Jak się tam tobie powodzi
Z sercem tej cudnej dziewczyny?

MULEJ.

Łaski były na mnie zlane.
Ale wielką tajemnicą
Usta przypieczętowane
I tą pieczęcią zamknięte...
Lecz przyjaźń ma prawa święte,
Więc z jakąm winien różnicą,
Tym dwóm a równym potęgom,
Obojgu serca przysięgom,
Powiem mowę nieudolną,
Ile mi powiedzieć wolno
I com ci winien istotnie.
Miłość ma cierpi samotnie,
I bogata jest i biedna,
Bo jak Feniks na świecie jest jedna
I niema podobnej sobie
Miłość moja jest na probie,
Bo dla oka, myśli, duszy,
Feniks jest skrą wyobraźni;
Feniks powodem katuszy
Dla czucia, miłości, bojaźni.
Feniks nadzieję mi niszczy,
Gdy wątpię i czuję trwogę...
Lecz gdy się na duchu wzmogę,
Feniks mi nadzieją błyszczy.

Feniks moją wieczną troską!
Feniks moją iskrą boską!
Tak mej przysięgi nie łamiąc,
Przyjaźni fałszu nie zadam,
Bo o Feniksie ci gadam
I nie milcząc i nie kłamiąc.

DON FERNAND.

Więc ci powiem bez ogródki,
Otwarcie, żeś nie wart litości;
Bo Feniksem są twe smutki
I Feniksem ty jesteś miłości.
Lecz mój ból, miły kolego,
Mój smutek, to co innego...
Ludzie go pojmą niejedni,
Bo to jest smutek powszedni,
I wielu już tak cierpiało.

Wchodzi KRÓL Fezu.

KRÓL.

Książę, oto za tą skałą
I tam za tymi parowy
Kazałem przyrządzić łowy
Nim słońce swój wieniec spali
Pośród pereł i korali,
Strzelce zaskoczą z przeciwka
I tygrysa nam napędzą.
Dla księcia to będzie rozrywka.

DON FERNAND.

Panie, twe ręce nie szczędzą
Ciągłych łask. Utrudzasz głowę,
Zawsze wynajdując nowe
Rozrywki rozrywkom bliźnie;
Jeśli tak zwykłeś, pan dziki,
Traktować twe niewolniki,
To zapomną o ojczyźnie!

KRÓL.

Więźniom takim jak ty, panie,
Którzy panów swoich szczycą,
Takiem winien traktowanie.

Wchodzi DON ŻUAN.

DON ŻUAN.

Panie, idź i spójrz strzelnicą
Na morze, a mówię szczerze,
Ujrzysz najpiękniejsze zwierzę,

W którem się i dzikość szczera
I ludzka maluje sztuka.
Jedna chrześcijańska galera
Do drzwi tego portu stuka.
A taka piękna i wolna,
Choć cała czarna i smolna,
Że nam pojąć niepodobna,
Patrząc na tego sokoła,
Jak ona razem wesoła
I w wesołości żałobna?
Wszyscy tam wysoko stańcie,
Portugalski herb ujrzycie.
Żałoba ta po infancie
Prędko nam pociechą zlegnie,
Bo z jej lotu po błękicie
Widać, że po niego biegnie.

DON FERNAND.

Przyjacielu, Don Żuanie,
Omyli cię ta rachuba.
Zły to znak to jej ubranie
I ta żałoba jej gruba.
Oj, byliby oni biali,
Gdyby po mnie przyjechali.

Wchodzi DON HENRYK z pergaminem w ręku, w grubej żałobie ubrany, ze świtą.

DON HENRYK.

Rąk mi pozwól, Tangierski mocarzu.

KRÓL.

W szczęsny czas wasza Jasność przybywa...

DON FERNAND, *do Żuana.*

Don Żuanie, już ja na cmentarzu.

KRÓL, *na stronie.*

Ceuta moja!

DON HENRYK.

Niech mi wasza mościwa
Łaska brata uściskać pozwoli.

DON FERNAND, *ściskając brata.*

Mój Henryku, czemu tej niedoli
Znak na tobie? i twarz taka blada?
Dość!... Twa postać mi to sama powiada.
Słów nie trzeba, bo mówią twe oczy...
Nie płacz, bracie, ja wiem, co cię boli,

Ja wiem, co ci serce tłoczy.
Masz mi donieść, że zostanę w niewoli?...
Ha! to dobrze, ja tego i żądam.
Niepotrzebnie cię w żałobie oglądam,
Mogłeś przyjść tu wesoło i w bieli
I mnie mogłeś uścisnąć weselej
I ucztować na każdym popasie...
Jak się ma brat mój miły i król mój?
Nic nie słucham, aż powiesz, jak ma się
Brat i pan mój...

DON HENRYK.

O! bracie, ach, ból mój
Bez wyrazów... ach! ty nie wiesz, co czuję...
Niech raz tylko poselstwo sprawuję,
A ty, bracie, co mi towarzyszysz
Sercem w mowie, raz me słowa usłyszysz,
I dość będzie jednego słuchania!

Do króla Fezu.

Panie, chociaż na tej górze,
Gdzieś przybył dla polowania,
Nie w stolicy twojej murze;
Podaruj mnie swą uwagą
A tego jeńca wolnością.
Kiedy wielką nawałnością,
Kiedy wielką fal przewagą
Bici, na morskich rozruchach,
Utraciliśmy armadę,[1]
Gdy infant został w łańcuchach;
Gdy te wieści, jędze blade,
Rozkołysane przez dzwony,
Przyleciały do Lizbony
Z wiatrem, co po morzu dyszał;
Kiedy król o nich usłyszał,
To bez żadnej prawie skargi
Wpadł w melancholje serdeczne,
A z melancholji w letargi,
A z letargów we sny wieczne.
I zwłoki jego dziś leżą,
Płacze go ciżba nabożna;
A ludzie, patrząc, dziś wierzą,
Że z boleści umrzeć można.
Niebieska mu świeci chwała!

DON FERNAND.

Tyle brata kosztowała
Moja niewola!

[1] Armada, wielka flota wojenna.

KRÓL.

Wie Alla,
Ile mię ta śmierć zasmuca.

DON HENRYK.

Otóż król, co świat porzuca,
W swym testamencie pozwala,
Owszem, każe dać fortecę
Ceuty za infanta osobę...
A ja, przywdziawszy żałobę,
Od króla Alfonsa lecę,
Jako od dziedzica tronu,
Którego jeszcze nie znacie,
Oto z tym aktem...

DON FERNAND, *wyrywając pergamin.*

Stój, bracie!
Słowa te pełne pokłonu
Nie tylko że nie są godne
Krwi królewskiej i wyrodne,
Nie godne są ust infanta,
Nie godne mistrza zakonu
Od którego wiara czeka
Wsparcia i wiecznego zelanta;
Lecz nie godne są człowieka
I nie godne barbarzyńca,
Co nigdy o Chrystusie nie słyszał,
Że mój brat (niech mu Bóg świeci)
Włożył ją do testamentu,
Tę klauzę — to tylko na to,
Aby u ludzi wiedziano,
Że brat dba o swego brata;
Nie na to, aby czytano
I tłumaczono to słownie.
Jeśli rzekł: oddajcie Ceutę.
To ma się znaczyć, że trzeba
Powolnie, albo gwałtownie,
Z pomocą ludzi i nieba
Upomnieć się o infanta.
Jakżeby król katolicki
Jak on, wierny, sprawiedliwy,
Taki król jak on? — nieżywy,
Na swój proch oddany laurom
Kładł taką okropną plamę,
By Ceutę oddawać Maurom,
Tę Ceutę — miasto to same,
Gdzie on pierwszy, zdjęty żarem,
W imię przenajświętsze Pańskie,
Ze szpadę i ze sztandarem

Przyskoczył i chrześcijańskie
Chorągwie zatknął na wieżach.
A teraz byłożby czynem
Godnym tej sławy w rycerzach,
By miasto, które wyznało,
Że Chrystus jest Boga synem,
Kościoły pozakładało,
Gdzie się imię Jego święci
Pośród serdecznych płomyków,
I męka się ma na pamięci,
Aby kościoły już stare
Przez ludzi, przez katolików,
Przez ludzi, co mają wiarę
I tego Boga wyznają,
Przez ludzi, co serca mają!
Przez nas! przez Portugalczyków!
Były?!... Aby te kościoły,
Które złoconymi czoły
Podpierają mleczne pasy,
Jak naszej wiary Atłasy:
I na krzyż złoty pobożny
Wieszają słońce czerwone;
Aby przez księżyc dwurożny
Były na niebie zaćmione,
Jęcząc tak jak męczennice!

Więc-że teraz te kaplice
Opuścilibyśmy tajnie?
Oddawszy na stodoły i stajnie;
Albo, czego ten Maur łaknie,
Na Mahometa meszkity?
Gdy to mówię, tchu mi braknie!
Gdy myślę, stoję jak wryty;
Język mi w ustach kościeje,
Włosy wstają, pot się leje
I drży całe moje ciało!

Bo choć to nieraz bywało,
Że jaka stajnia uboga
Ugościła Pana Boga,
I dała mu sen w swoim żłobie.
Lecz meszkity? Boże Panie!
Ach, toby na naszym grobie
Napisano: tu Chrześcijanie,
Przewrotnym podobni panom,
Wygnali Boga z kościołów,
Boga i jego aniołów
I oddali je szatanom!
I byłożby sprawiedliwie,

Ażebyśmy boże gmachy,
Gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat pod nami
W zatrwożeniu i podziwie,
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi
Chrześcijański a gorący
Z miasta wychodził płaczący,
Z dobytkiem, z całą rodziną:
A my, na te łzy, co płyną,
Patrzalibyśmy, gnąc szpady?
Aby osadnik nierady
Zmieniał wiarę dla majątku?
Aby tam Arab dzieciątku
Urodzonemu bez winy
Wlewał fałsz trupa z Medyny,
Za młodu kalać zaczynał,
Do swojej wiary naginał,
Do swych zapędzał namiotów?
Do swego zamykał płota?
Więc dla jednego żywota
Tyle chrześcijańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek!
Cóż ja? czym więcej niż człowiek?
Cóż mię równa z ludzi likiem?
Czy to, że byłem infantem?
Więc oto nie infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem,
Już nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy nikczemnie
Żyć i tu Pana bogacić.
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? Niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem.
Bo kto swoję wolność straci,
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja... dawno już umarłem.
Któż mię dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?
Daj! niech drę te pergaminy!
Niech drę na świstki tę kartę,
Niech drę na kawałki gadu,
I jeszcze je zjem już podarte,
Aby nie zostało śladu.

Drze pergaminy i kawałki połyka.

A teraz, królu i panie,
Rozkazuj mi, panuj srogo,

Jak chcesz... Niewolnik zostanie,
Którego kupić nie mogą.
Każ, niech mię łańcuchy strzegą,
Niech robią na rękach blizny;
Cierpliwością cię nasycę.
Henryku! wróć do ojczyzny
I mów: żeś mię tu w Afryce
Zostawił pogrzebanego
Bo ja z żywota mojego
Taką rzecz pokorną zrobię,
Jakbym na prawdę był w grobie,
Wspomnienia ludzi nie warty,
Z oczu ludzkich i z myśli już starty.
Chrześcijanie! książę Fernand już skończył!
Losom swoim on jeszcze nie sprostał,
Lecz co do was, czas służby już wybył.
Maury! oto niewolnik wam został.
Niewolnicy! brat jeden wam przybył,
Aby nędzę z niedolą połączył,
I łzy swoje połączył z waszymi.
Wy niebiosa! oto człowiek na ziemi
Panu swemu kościoły zakłada,
Założone podpiera na skale.
Morza! morza! do fal waszych pada
Jedna łza, co powiększy wam fale.
A wy góry! oto człowiek pospołu
Ze zwierzęty do jaskiń ucieka.
Wichry! wichry! oto nędzarz was z dołu
Westchnieniami zaklina i wścieka.
A ty ziemio! oto garstkę popiołu
Rzuca tobie i zewłok człowieka,
Co z robaków twoich włoży laury...
A to wszystko, by ten król i te Maury

I ten infant i ziemi gdzieś końce,
Chrześcijanie i księżyc i słońce,
I niebiosa i ziemia i chmury
I zwierzęta i morza i góry
I kto jeszcze na powietrzu przytomny
A pieczęć żywota nosi,
Tu widzieli: jak książę niezłomny
Wiarę swoją przeświętą podnosi,
W obronie praw bożych stawa,
I przed Maurami wyznawa
Jego Przenajświętsze Imię.
A choćbym w działowym dymie,
Śród mieczów i ludzkich grotów,
Bronił od ludzkiej obrazy
Niewymówionych przymiotów

Tej, co poczęła bez zmazy,
A miał w sobie sto żywotów,
Oddałbym żywot sto razy!

KRÓL.

Twardy, niewdzięczny człowieku?
Także mi za łaski moje
Odpłacasz? ... Jak śmiesz, robaku,
Tego mi właśnie odmawiać,
Czego najwięcej żądałem?
W państwie cię tak traktowałem
Jako brata, jako syna;
Nie czułeś prawie niewoli.
Lecz teraz przyszła godzina,
Że cię twój łańcuch zaboli
I los cię ukole srogi.
Tu, więźniu, z duszą robaczą!
Tu sam! niech wszyscy zobaczą,
Jak ty mi całujesz nogi ...

Fernand klęka mu do nóg.

DON HENRYK.

O! nieszczęście!

MULEJ.

O! cierpienie!

DON ŻUAN.

Boże! co za poniżenie!

KRÓL.

Do mnie twe należy ciało.

DON FERNAND, *wstając.*

Tak, zaprawdę, ale mało,
Mało to ci mocy doda,
Panować nad kościami moimi.
Bo ta ziemia to gospoda
W ogromnej naszej podróży;
I na to wyskoczył z ziemi
Człowiek, by się z losem kłócił;
I na końcu każdej burzy
Znowu do ziemi powrócił.
Więc, żeś mi kazał pochyłą
Twarzą paść tu, gdzie proch leży!
Za to ci wdzięczność należy,
Bo mię oswajasz z mogiłą.

KRÓL.

Ponieważ jesteś w niewoli,
Zatem więc idzie z porządku,
Że nie możesz mieć majątku,
Ni pieniędzy, ani roli.
Więc ponieważ ciebie trwoga
Może zmusić... lub bicz pana,
Czemu mi Ceuta nie zdana?

DON FERNAND.

Bo nie moja jest Ceuta, lecz Boga.

KRÓL.

Nie jest-że to pierwsze prawo,
Że niewolnik pana słucha?

DON FERNAND.

Nie przeciwko prawom ducha
Ma niewolnik słuchać pana.
To nie pies nęcony strawą,
Ale uchrystusowana
Natura z woli przymiotem,
Która służy... grzech ją maże.

KRÓL.

Podły jeńcze, zabić każę.
Dam ci śmierć...

DON FERNAND.

Śmierć jest żywotem.

KRÓL.

Więc życiem ciebie obdarzę,
Ale takiem, że się zlękniesz
I sam śmierci będziesz chciwy.
Bo jam srogi.

DON FERNAND.

Ja cierpliwy.

KRÓL.

Obaczymy — zaraz zmiękniesz.
Hej...
Wchodzi SELIM, dozorca niewolników.

SELIM.

Co, panie?

KRÓL.

W mgnieniu oka
Wziąć go, niech mi stóp nie plami,
I porównać go z jeńcami.
Niech jego postać wysoka
Ugnie się pod równą nędzą,
Niechaj go do łazien pędzą,
Niech moich koni dogląda;
Dać mu w ręce taczki, grabie
A zdjąć te jasne jedwabie
I ubrać w szarak ubogi;
Dać chleba, gdy jeść zażąda,
Spleśniałą wodę niech pije;
Łańcuch mu włożyć na szyję,
Łańcuchami okuć nogi;
W mazamorach bez podłogi
Na wilgoci niechaj lega;
Niech jego orszak służebny
Tym samym prawom podlega,
Co on.

DON HENRYK.

O! wyrok haniebny!

MULEJ.

O! żałości!

DON ŻUAN.

O! rozpaczy!

KRÓL.

Zobaczy ten jeniec! zobaczy!
Czy mi jego duma sprzeczna
I cierpliwość na tej próbie
Wytrwa.

DON FERNAND.

Wierz mi, wytrwa tobie,
Bo ta cierpliwość jest wieczna.

Wychodzi za dozorcą niewolników.

KRÓL.

Henryku, a co do ciebie,
To ci powrotu nie bronię.
Wracaj i powiedz w Lizbonie,
Niech się w popiołach zagrzebie,
Bo stracon ratunek wszelki,
Bo jej infant, jej mistrz wielki
Został tu... czyści mi konie.
Niech mu z ratunkiem przychodzą.

DON HENRYK.

O! przyjdą! klnę się przed światem,
Że przyjdą pod Boga wodzą.
A że ja tu z moim bratem
Nie został, choć serce boli,
To dlatego, królu fezki,
Że przyjdę, jak syn królewski,
Uwolnić brata z niewoli.

Wychodzi ze świtą.

KRÓL.

Czyń, co ci rozum poradzi.

Wychodzi.

MULEJ.

A teraz nic mi nie wadzi,
Ażebym się Fernandowi
Z długu wdzięczności uiścił.

Wychodzi.

ZMIANA I.

Inna strona ogrodu, zdala pracują niewolnicy i widać Fezu mury. Wchodzi DON FERNAND w niewolnika siermiędze i SELIM.

SELIM.

Król każe i to stanowi,
Abyś tutaj ogród czyścił;
Posłuszny więc bądź królowi
I schyl do pracy ramiona.

DON FERNAND.

Cierpliwość moja srogość królewską pokona.

Wychodzi z Selimem.

PIERWSZY NIEWOLNIK, *zbliża się, śpiewając.*

Oj, na Tangier wysłał król...
Jaki ból! jaki ból!
Na podbicie wysłał świata
Don Fernanda, swego brata,
Posłał król! posłał król!
Aby zawojował Fez,
Ile łez! ile łez!
Don Fernanda wysłał król...
Ile łez! jaki ból!

DON FERNAND.

Już z historji mojej jest piosenka,
Już ją słyszę żałośnie śpiewaną.
Smętny jestem i serce mi pęka,
Duszę jakby mam zaturbowaną
I zlęknioną...

PIERWSZY NIEWOLNIK, *nie poznając księcia.*

Co ci jest, niewolniku?
Czy ty nie wiesz, że wolność mieć mamy?
A tu na tym mogilniku
Nie zostanie z nas żaden! ż nas żaden!

DON FERNAND, *na stronie.*

O! jak prędko tę nadzieję stracicie!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Przynieś, bracie, wody na ten gradyn
Polać kwiaty.

DON FERNAND.

O wodę prosicie?...
O jak dobrze! jak dobrze! że do mnie,
Który z wami smętne życie wiodę,
Udajecie się, bracia, po wodę,
Bo zaprawdę... że choć cierpię niezłomnie,
Jakiś robak, tu, serce mi toczy,
Pełne serce i łez pełne mam oczy.

Bierze wiadra na plecy i wychodzi.

NIEWOLNIK.

Nam do łaźni iść teraz wypada,
Gdzie już poszli wszyscy niewolnicy.

Wchodzi DON ŻUAN, szukając oczyma księcia między niewolnikami.

DON ŻUAN.

Szukajmy, czy ta gromada
Gdzie mego księcia nie mieści?
Może go robotnicy
Widzieli?... szukam go wszędzie.
Przy nim i mniej mi boleści,
I siły w sercu przybędzie...
Bracia, powiedzcie mi, proszę,
Czyście tu gdzie nie widzieli
Noszącego kwiatów kosze
Księcia Fernanda?

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Nie, bracie.

DON ŻUAN, *na stronie.*

Pomóżcie, święci anieli!
Bo łez utrzymać nie mogę.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

W łaźni go pewnie spotkacie.
Pokażemy tobie drogę
Do tej gorącej piekielni.

DON FERNAND wchodzi z wiadrami na plecach.

DON FERNAND, *patrząc w niebo.*

Czy się nie zlękniecie, śmiertelni,
Widząc w takiem pohańbieniu
I mizerji infanta korony?
Mistrza Avis? czy w zastanowieniu
Czas nie stanie, jak stają zegary!!

DON ŻUAN.

O mój panie! jaki ty zbiedniony!?
O mój panie! w jakiem ty odzieniu!
O! mój książę, do jakiej ty mary
Już podobny? jak żal cię już strawił!

DON FERNAND.

W imię Ojca!... wielkiś smutek mi sprawił
Tem odkryciem, drogi Don Żuanie,
Ja się chciałem tu ukryć w łachmanie
Między ludźmi własnymi, w tym cebrze
Nosić wodę, jak człowiek, co żebrze
I pracuje, tak biedny jak oni.

PIERWSZY NIEWOLNIK, *klękając.*

Przebacz, panie! i daj mi twej dłoni,
Jam nie wiedział, kto jesteś; nas wielu
Nie wiedziało...

DRUGI NIEWOLNIK.

Całujemy twe nogi.
Przebacz, panie.

DON FERNAND.

Wstań, mój przyjacielu.
Ja ci równy, niewolnik ubogi,
Jak ty... pana mego teraz własność.

DON ŻUAN.

Wasza Jasność...

DON FERNAND.

Puść! jaka tam Jasność?!
Rzuć ten tytuł, mój drogi biedaku!
Jaka proszę mi Jasność w żebraku?
Jasność?!... jestem ci równy, kolego,
I ty teraz traktuj jak równego,
I wy wszyscy traktujcie jak brata.

DON ŻUAN.

Czemuż piorun mię w proch nie obróci!
Czemuż czaszki mi grom nie rozpłata!

DON FERNAND.

Don Żuanie, to serdecznie mię smuci,
Że utrzymać nie umiesz powagi
Jako szlachcic... i potępiam tę żywość...
Bo zwątpiłeś w nieba sprawiedliwość,
A tu trzeba spokojnej odwagi
Ufającej.

Wchodzi ZARA z koszykiem.

ZARA.

Chodźcie tu, niewolniki.
Feniks, moja pani, prosi,
Ażebyście te koszyki
Napełnili kwiatami.

DON FERNAND, *biorąc koszyk.*

Ja pierwszy
Będę kosił je tak, jak śmierć kosi.

NIEWOLNIK.

Idźmy tam, gdzie ogród szerszy.

ZARA.

Ja z ganku patrzę za wami,
Jak chodzicie za kwiatami
I polewacie je łzami.

DON FERNAND, *do niewolników.*

A wy bez tych już pokłonów,
Bracia moi ukochani;
Losem my już porównani,
A jeszcze królowa zgonów

Jutro we drzwi zakołace,
Szczerszą równość postanowi;
Więc, bracia, na co tę pracę
Zostawiać jutro grobowi?

Wychodzi z Don Żuanem i z niewolnikami.
Wchodzi FENIKSANA i ZARA.

FENIKSANA.

Czy posłałaś niewolniki
Po kwiaty?

ZARA.

Zaraz powrócą.

FENIKSANA.

Zasmuciły mnie słowiki,
Kwiaty może odesmucą
I kolorami zabawią.

ZARA.

Twe fantazje takie ładne
I piękne, że ach! nie zgadnę,
Jakie ciebie smutki trawią.
Gdy je kwiatami malujesz?
Cóż ty cierpisz? cóż ty czujesz?

FENIKSANA.

Nie sen to był... ale widzenie,
Ale mój los i przeznaczenie.
Bo czy nieszczęsnemu śni się,
Że znalazł gdzie skarby duże?
Brylanty jak jaja kurze
W perłowej leżące misie?
Czy mu się przyśni, że czyta
Napis literami krwawymi,
Że wszystko stracił na ziemi,
Tak że we śnie aż zazgrzyta?
Jeśli go nieszczęście tłoczy,
Zarówno obudzonemu
Spojrzy świat w zbudzone oczy
Nieszczęściem... Biada biednemu!
Ach! i mnie nieszczęsnej biada,
Na którą los taki spada,
Że za umarłego mię dadzą.

ZARA.

Na to płacze nie poradzą.
Jeśli ciebie takie smutki rozdarły,
Jakże cierpieć ma... ach, ten umarły?

FENIKSANA.

Któż słyszał o takim losie,
Jak ten, co nademną świta!
Nieszczęśliwa ja kobieta!
Wykąpana w kwiatów rosie,
Jako perła czysta, biała,
Biała jak srebrne łabędzie
Przy żółci trupiego ciała...
A ten trup — ach, kto on będzie?
Zda mi się, żem go widziała,
Ciągle mi się w oczach roi.

Wchodzi DON FERNAND z koszem kwiatów i staje nagle przed Feniksaną.

DON FERNAND.

Ten trup — tu — przed tobą stoi.

FENIKSANA.

Co widzę? anieli w niebie!

DON FERNAND.

Cóż cię trwoży?

FENIKSANA.

Ty! twoja twraz!
Strach mię zdjął, patrząc na ciebie.

DON FERNAND.

I zaprawdę słuszność masz
Dziwić się fortunie światów.
Przyniosłem ci, oto, kwiatów
W koszyku, garstkę pokosu.
Zbierałem, gnąc się ku ziemi.
Są niektóre między nimi
Hieroglify mego losu;
Wyciągnij, znajdziesz niektóre,
Co były rano szczęśliwe
Jak ja...

FENIKSANA.

Ręce moje chciwe
Lecą na tych róż purpurę
Jak gołębie. Ach, ten kwiat,
Który mi już w ręku spadł,
Znalazłam wczoraj śród łąk
I nazwałam: maravilją.

DON FERNAND.

Ach! tak nazwij każdą lilją,
Z moich niewolniczych rąk
Podaną... czyż nie jest cudem?

FENIKSANA.

O prawda! prawda! Lecz któż cię tak zmienił?
Kto ci te włożył łańcuchy na nogi?

DON FERNAND.

Seniora, mój los.

FENIKSANA.

Twój los, taki srogi?

DON FERNAND.

Tak twardy, pani!

FENIKSANA.

Ach, tyś mię skamienił!
Powiedz? za cóż to?

DON ŻUAN.

Jesteśmy skazani,
Rodząc się tu już, na mękę i ból.

FENIKSANA.

Czyż ty nie Fernand?

DON FERNAND.

Ja Fernand, tak, pani.

FENIKSANA.

Któż skazał?

DON FERNAND.

Prawo.

FENIKSANA.

Któż miał prawo?

DON FERNAND.

Sam król.

FENIKSANA.

Za cóż to?

DON FERNAND.

Jeniec, do niego należę.

FENIKSANA.

Zaledwo oczom zasmuconym wierzę!
Wszakże cię wczora król wysoko cenił!

DON FERNAND.

A dzisiaj serce, jak widzisz, odmienił.

FENIKSANA.

Ach, więc-że gwiazdom, co przy sobie siedzą,
Dosyć jednego dnia, by się rozeszły.

DON FERNAND.

Kwiaty, co z gwiazdą nieszczęśliwą weszły,
Same ci na to, pani, odpowiedzą.
Kwiaty, co wschodzą na ranek umyte
I tak się w zorzach rozwinęły jasno,
W objęciach nocy pomarszczone zasną
I dla nich już dnie nie wrócą przeżyte!
Lilije w tęcze kolorów spowite
I umoczone w złoto i karminy
Zejdą, jak duchy aniołów z doliny,
Z jednym dniem życia pięknego pozbyte.
A czy to rosy spadały obfite,
Czy otulone były mgłą i tęczą,
Śmierć je znalazła w godzinę urodzin.
Tak ludzie kiedyś przyjdą i zaręczą,
Że wieki, które się wloką i dręczą,
Nie były dłuższe nam od smętnych godzin.

FENIKSANA.

Ranisz mię... słyszę zdaleka
W twoim głosie wieków głos.
Kto cierpi na własny los,
Od cierpiącego ucieka.

DON FERNAND.

A te kwiaty? takie śliczne?

FENIKSANA.

Jeżeli pomiędzy nimi
Są kwiaty hieroglificzne,
Jak losy twoje, żałobne,
To je rozsypię po ziemi
I zdepcę...

DON FERNAND.

Cóż cię w nich rani?

FENIKSANA.

Ach, że są do gwiazd podobne!

DON FERNAND.

Przebacz im te grzechy, pani.

FENIKSANA.

Co?

DON FERNAND.

Niestałość, próżne blaski.

FENIKSANA.

Nie, wszystkie wypuszczam z łaski!
Z gwiazdami zarówno cenię.

DON FERNAND.

Jak to?

FENIKSANA.

Moje przeznaczenie
Z jedną smętną gwiazdą chodzi:
Dlatego, bo kobieta się rodzi
Gwiazdom podległa i kwiatom,
Co ją prowadzą do truny.

DON FERNAND.

Wiem, że w kwiatach są piołuny.
Ale ach! niebieskim światom
Wpływy przysądzam uczynne.

FENIKSANA.

Więc się dowiesz, że i gwiazdy są winne.
Ach gwiazdy! gwiazdy, co takie gromadne,
Niebieskie mają ze słońcem sojusze
I leją w słońce całą światła duszę,
Są także dniowi jednemu podwładne.
Kwiaty błękitu — bo są takie ładne
Jak te, którymi oto ziemię pruszę.
Kwiat ci powiada: przez dzień skonać muszę;
Gwiazda ci mówi: przez noc jednę spadnę.
Więc gdy się od gwiazd ludzkie losy sądzą,
Jeśli się od nich nasze losy winą,
Nie dziw, że często spadają i błądzą,
I gdzieś w mgły ciemne niewidzialne płyną.

I naszym losem tak niestale rządzą
One, co przez noc palą się i giną.

Odchodzi.

Wchodzi na scenę MULEJ, który przy końcu tej sceny stał za drzewami.

MULEJ.

Czekałem, aż się oddali
Feniksana. Pierwszy raz
Od jej oka, od jej kras
Uciekam jak orzeł smętny,
Gdy na słońcu oczy spali.
Fernandzie, czy jesteś sam?

DON FERNAND.

Cóż mi powiesz, Muleju szlachetny?

MULEJ.

Oto chciałem, abyś wiedział,
Że czasem i w sercu Maura
Znajdzie się miłość i wiara,
Radząca czyny rozpaczne.
Ach, nie wiem, od czego zacznę?
Nie wiem, czy ci mam powiadać,
Ile ja cierpiałem na to,
Kiedyś ty zaczął fortunie
Ulegać, pod nią upadać,
Jej niesłusznej podległ zmianie
I poszedł na urąganie
I stanął za przykład losów.
Ach, jak one z ludzi szydzą!
Tyle nędzy! tyle ciosów!
Niech mię tu ludzie nie widzą,
Że z tobą, Fernandzie, gadam.
Bo król wydał rozkaz srogi,
Aby ustępować z drogi,
Traktować cię bez respektu:
Lecz ja do nóg ci upadam
Fernandzie, pełny afektu
I wielkiej wiary dla ciebie;
Twój niewolnik, a w potrzebie
Twój przyjaciel. Nie chcę tracić
Tych chwil, więc krótko ci powiem,
Że przychodzę dług zapłacić,
Życie życiem, zdrowie zdrowiem,
Wolność wolnością: więc żądam...
(Daruj mi, że się oglądam,
Czy nas gdzie nie widzą z murów)

Weź ten nóż, ten wianek sznurów;
Weź je o! panie... a skoro
Noc się zaczerni, gotowa
Będzie łódź pod mazamorą,
Łódź dobra, silna i zdrowa,
Z rdzawym, pękniętym łańcuchem.

A wtenczas ty, panie, duchem
Napełń twoje niewolniki,
Rozkuj więzy; znajdziesz na to
Gotowe piły, pilniki,
Zapas ubioru, bielizny:
Weź ich i na łódź skrzydlatą
Wsiadaj i uchodź szczęśliwy
Do miłej tobie ojczyzny.
Ja zaś tu zostanę żywy
Odpowiadać życiem, zdrowiem,
I czem trzeba, tem odpowiem
I przed królem i przed prawem;
Gotów twoim być zastawem
Choćby głową, jestem gotów.

To wszystko. Ach, jeszcze sądzę,
Że ci potrzebne pieniądze?
Więc oto garstka klejnotów
Za mój okup niechaj służy,
Bo człowiek, gdy się zadłuży,
Połowę przyjaźni traci,
Gdy pieniądz serca przegrodzi.
Dopiero gdy dług zapłaci
I usunie tego rocha,
Z przyjacielem równiej chodzi,
Lepiej czuje, wolniej kocha.

DON FERNAND.

Mówisz mi o wolnej łodzi...
Chciałbym... Lecz patrz, król nadchodzi.

MULEJ.

Czy nas widział?

DON FERNAND.

Nie.

MULEJ.

O, panie!
Skryj się.

DON FERNAND.

Tutaj, w tej altanie.

Fernand kryje się do altany. — Wchodzi KRÓL i uważa to z daleka.

KRÓL, *na stronie.*

Gadali tajemnie oba.
Jeden skrył się do altany,
Drugi stoi pomięszany.
Wcale mi się nie podoba
To zejście obu, ta zmowa.
Jeden się przedemną chowa,
Drugi zlękły stoi, czeka.
Więc go podejdę zdaleka.
A słuszny, czy nie, powód trwogi
Usunę. *(Do Muleja).* Bardzo się cieszę...

MULEJ, *przerywając.*

Panie, pozwól uściskać twe nogi...

KRÓL.

Żem cię spotkał tu...

MULEJ.

Co mi rozkażesz?

KRÓL.

Wyznam tobie, żem mocno żałosny
Z niepoddania się Ceuty.

MULEJ.

O, panie!
Ceutę szturmem zdobędziesz bez trudu.
Siłom twoim nie oprze się miasto.

KRÓL.

Nie, Muleju, ta Ceuta się musi
Poddać sama, bez kosztu żadnego...

MULEJ.

Jak to, panie?

KRÓL.

O tak, przyjacielu,
Myślę nędzą i głodem okropnym
Tak przycisnąć Fernanda infanta,
Że mi sam tej fortecy da klucze.
Rzecz mię jedna tylko trwoży...
Oto infant, ten książę, Muleju,
W Fezie nawet mieć może przyjaciół.
Sami jeńce go widząc w niedoli

I w cierpieniu, gotowi lada dzień
Bunt mi podnieść... a baczę też na to,
Że pieniądze łakomą są rzeczą,
Więc strażniki przejęte zapłatą,
Mogą jeńca wypuścić... a nie mam
Pewnych ludzi...

MULEJ, *na stronie.*

W tej go myśli utrzymam.
A tak, widząc moję dobroduszność,
O mnie bać się nie będzie.

Głośno.

Masz słuszność!
Myśli twoje biorą dobry kierunek.

KRÓL.

Jeden na to jest tylko ratunek,
Jeden sposób, a o tym sposobie...

MULEJ.

Cóż to panie?

KRÓL.

Pod straż go dam tobie,
Bo wiem, że cię nie kupi brylantem
Ani kiesą... Więc ty nad infantem
Postanowion, bądź jemu alkadem...
Ufam tobie, a jedynym zakładem
Za infanta twój honor mi stoi.

Odchodzi.

MULEJ.

Słyszał wszystko i o mnie się boi,
Albo sam się domyślił wszystkiego.
O! Allachu!

DON FERNAND, *wychodząc z altany.*

Cóż tak smutny, kolego?

MULEJ.

Nie słyszałżeś, co pan ten okrutny?

DON FERNAND.

Owszem, wszystko słyszałem z altany.

MULEJ.

Czemuż pytasz, dlaczegom ja smutny?
Dlaczego stoję zmięszany?
Dlaczego rozmawiam z sobą?

Czemu żal mi pierś rozrywa?
Pomiędzy królem a tobą,
Posłuszeństwem a przyjaźnią
Straszna się walka odbywa.
Sumienie mi będzie kaźnią,
Jeśli króla mego zdradzę;
Węgle na głowę zgromadzę,
Jeżeli ciebie opuszczę...
Ach! zaszedłem w straszną puszczę!
Myśl zbłąkanego odbiega...
Król na mnie tylko polega,
Ty we mnie masz tylko nadzieję...
Radź, co czynić?

DON FERNAND.

Miłość grzeje,
I przyjaźń szczęście stanowi;
A choć obiedwie są święte
I zdradzone są ohydą,
Lecz w porównanie nie idą
Z wiarą należną krajowi
I klękają przed nią zgięte
Te anioły naszych dusz,
Więc radzę, królowi służ
Z tą wiarą niepokalaną.
A ja tu przyrzekam święcie,
Że choćby mi dziś dawano
Wolność na pierwszym okręcie,
Co do Portugalji płynie,
Odrzucę, bo na mnie leży
Twój honor i przezemnie nie zginie.

MULEJ.

Jesteś zwierciadłem rycerzy!
Ale mi nie dawaj rad,
Wszak ty mi wróciłeś życie!
Smętnemu wróciłeś świat!
A ja miałbym... Nie, mój książę!
Tej nocy, jak była zmowa,
U brzegu ci łódź przywiążę;
Uchodź, a moja tu głowa
Odpowie.

DON FERNAND.

Bracie mój miły,
Byłżebym ja sprawiedliwy?
Dałżebym ja dowód siły

I serca? wolności chciwy,
Z hańbą mego przyjaciela...
Hańbą się jego bogacąc,
Honor biorąc, serce tracąc?
Wolność, ten brylant wesela,
Jażbym jego łzami płacił?
Zostawiał tu męczennikiem?
Jeżeliś miary nie stracił,
Która czyny ludzkie mierzy,
To bądź mi sam poradnikiem
I mów, czy mi to należy
Uczynić?

MULEJ.

Ach! nie wiem, panie,
Co ci sam na to poradzę...
Powiem: n i e, to serce pęknie,
Powiem: t a k, to ciebie zdradzę,
Jak przyjaciel, co sam zmięknie
I w trwodze źle radzi może.

DON FERNAND.

Więc ja tu słowo położę
Niewzruszone, głaz ogromny.
Wiedz, że mię tu sądy boże
Skazały, bym wybrał miarę
Litości i tu za wiarę
Skonał jak książę niezłomny.

DZIEŃ III.

W pałacu króla fezkiego. — Wchodzi KRÓL i MULEJ.

MULEJ, *na stronie.*

Ponieważ pomóc nie mogę
Fernandowi niczem prawie,
Do króla się za nim wstawię,
Może on co postanowi
Litośniejszego z tym jeńcem.

Głośno.

Panie, służyłem ci wiernie
I na lądzie i na morzu;
Wszędzie, gdzieś mię tylko użył...
I jeszcze tę pierś postawię...
A jeślim na łaskę zasłużył,
Dziś wysłuchaj mnie łaskawie.

KRÓL.

Cóż tam?

MULEJ.

Fernand...

KRÓL.

Dosyć tego.

MULEJ.

Sądziłem, żeś mi łaskawszy?

KRÓL.

O Fernandzie tym wspomniawszy,
Jużeś tknął mię i zostawiasz smętnego.

MULEJ.

Jakto, panie?

KRÓL.

Bo przysięgam na duszę,
Że dać chciałbym, a odmówić ci muszę.

MULEJ.

Wszakże jestem strażnikiem książęcia,
Czyliż nie chcesz o więźniu mieć sprawy?

KRÓL.

Mów, lecz nie sądź, że będę łaskawy.

MULEJ.

Ten Fernand, co z niemowlęcia
Na króla był wychowany,
A dzisiaj tak podeptany
Żałośnie stopą fortuny,
I tak bliski, panie, trumy,
Takim straszliwym posągiem
Do grobu po stopniach zlata,
Że fortuny dziwolągiem
Wydaje się w oczach świata,
Który patrzy i drży z trwogi,
Widząc jej depcące nogi.
A myśli świat i o tobie,
O twojej mocy i sile,
Co takiej wielkiej mogile
Rzuca takie wielkie ciało.
Ty go sam trzymasz przy grobie
Tyś mu jest na piersiach skałą;
Ty, panie, pod twoje nogi
Wziąłeś piersi takie dzielne,

To czoło takie naczelne!
Rzekłeś, a on dziś ubogi,
Nieszczęsny żebrak i nędzasz,
W rdzawym na szyi łańcuchu,
Nie godzien twojego słuchu,
Oczu, które ty oszczędzasz,
Abyś nie stracił płaczących;
Litości u przechodzących
Prosi rękami obiema,
Litości prosi i niema
Nawet litości!... Bo jako
Rozkazałeś, panie srogi,
Aby wymiatał podłogi
I strawę miał lada jaką,
A potem odmówił strawy
I chleba dawać zabronił,
A do stajen twoich gonił
I w loch zapędził plugawy
Sypiać w mazamorach ciemnych,
Gdzie wilgoć ma gad i plamy.
Z członków się jego nikczemnych
Zrobił trup, a z oczów jamy...
Te oczy, niegdyś pogodne,
Dziś na ludzi patrzą głodne,
We łzach bolesnych czerwone,
Suche, głodem zapalone;
A ręce jałmużny proszą.
Rankiem swoi go wynoszą
Z mazamor jako kość bladą
I gdzieś go na słońcu kładą.
Gdzieś na słońcu, pod murami;
Potem uciekają sami,
Bo... (ach, głos mi w piersiach głuchnie)
Bo ten książę trupem cuchnie,
Gnije żyw, z kości opada;
Nikt z nim nie żyje, nie gada,
Nikt przy jego mazamorze
Od swądu wytrwać nie może;
Tak kość, ciało, co się cegli,
Trąci i tak się rozpada,
Że go już wszyscy odbiegli.
Jeden tylko, jeden sługa
Został przy tym panu biednym
I przyjaciel jeden jednym,
Szlachetny pewien kawaler.
Tych dwóch ani męka długa,
Ani dżuma, córka galer,
Nie odstraszyły od pana.
Ci dwaj, jeden mu kolana

Okrywa łachmany wielą,
Drugi pierś pod głowę daje.
Chlebem z nim się oba dzielą,
Choć dla jednego nie staje
Tej cząstki... Bogi to wiedzą,
Jak oni we trzech jedzą?...
Jeszcze często książę musi,
Gdy go chleb żebrany krztusi
A przyjaciele go śledzą,
Musi kawałek podany
Jak złodziej chować w łachmany,
Kryć się z tem, że przez obrożę
I gardło (o! jasne nieba!)
Tego żebrackiego chleba
Ten nędzarz przełknąć nie może.
A zaś owych karmicieli
Służba twoja srogo karze,
Kijem biją twoje straże.
Więc przy panu jeden czuwa
I słowami go weseli
Drugi żebrze i z nim dzieli
Chleb i łzę, co chleb zatruwa.
O! skończ, panie, już tę mękę!
Ulż więźniowi w imię Boga!
Spuść mu, panie, podaj rękę,
Nie stężaj tego powroza.
Bo to już nie żal, lecz trwoga,
Nie litość bierze, lecz zgroza!

KRÓL.

Przestań na tem.

Wchodzi FENIKSANA i rzuca się do nóg królowi.

FENIKSANA.

Królu panie!...

KRÓL.

Cóż tam, moja córko miła?

FENIKSANA.

Jeżelim ja zasłużyła,
Przez miłość i przez pokorę,
Na twoje, ojcze, kochanie,
Przychodzę o łaskę prosić.
Niech ją z twoich rąk odbiorę.

KRÓL.

Choćby królestwo! pół berła!...
Niechaj prosi wschodu perła.

FENIKSANA.

Ojcze! Fernand...

KRÓL.

Dosyć! dosyć!...
Dalej nie gadaj, bo próżno.

FENIKSANA.

Ojcze, zgrozą już przenika!
Daruj go jaką jałmużną,
Ulituj się niewolnika!
Nieszczęsny aż do łez wzrusza.

KRÓL.

A któż go do tego zmusza,
Aby cierpiał?... Nędzny, słyszę,
Lecz on sam swój wyrok pisze,
Sam swoję pieczęć przykłada.
A pod nędzą nie upada,
Choć wyszedł z głodu na marę;
Ale chce cierpieć za wiarę,
Co mu niebiosa otwiera...
Chce umrzeć, niech więc umiera,
Ja zeń mej nie zdejmę nogi,
Bo on sam nad sobą srogi,
Chce żyć w nędzy i plugastwie;
I nie ja się nad nim pastwię,
Ale on sam siebie męczy.
Niech mi Ceuty klucze wręczy,
Dziś wolno puszczę infanta.

Wchodzi SELIM.

SELIM.

Panie, przyszli dwaj posłowie.
Jeden z nich od Tarudanta,
A zaś Portugalczykowie
Drugiego przysłali w łodzi.

FENIKSANA, *na stronie.*

Ach! jeden po mnie przychodzi!
Tarudant po mnie przysyła!

MULEJ, *na stronie.*

Ach! w dniu jednym taka siła
Nieszczęść na serce mi spada!

KRÓL.

Wpuścić obu... Feniksanie
Tu miejsce, niech przy mnie siada.

Król siada z Feniksaną na tronie. — Wchodzi ALFONS, król portugalski w posła charakterze i TARUDANT, infant Fezu, również jako poseł.

TARUDANT.

Przepotężny Fezu panie!

ALFONS, *nie dając się wyprzedzić.*

Przesławny Maurów tyranie!

TARUDANT, *mówiąc razem z Alfonsem.*

Którego moc...

ALFONS.

Którego siła...

TARUDANT.

Bogdaj trwała...

ALFONS.

Bogdaj żyła...

TARUDANT.

O! zorzo tego narodu!

ALFONS.

O! jutrzenko jasna wschodu!

TARUDANT.

Obyć lata...

ALFONS.

Obyś wieki
Wielkie i nieprzeliczone...

TARUDANT.

Miał laury...

ALFONS.

Nosił koronę...

TARUDANT.

W każdej walce...

ALFONS.

W każdym czynie...

TARUDANT, *do Alfonsa z gniewem.*

Jak ty, psie chrześcijaninie,
Ważysz mi się głos przewlekać?

ALFONS, *do Tarudanta.*

Jak ty się tu ważysz szczekać,
Gdzie ja gadam?

TARUDANT.

Słuszność każe,
Że gdzie Arab tron zasiada,
Tam najpierwszy Arab gada.

ALFONS.

A gdzie znają gospodarze
Grzeczność, tam prawo stanowi,
Że głos pierwszy dać gościowi.

TARUDANT.

Nie znam ja takiego prawa.
Niech dla gości pierwsza ława,
Ale głos...

KRÓL.

Siadajcie oba
I niech poseł chrześcijanów,
Jako nieznańsza osoba,
Ma głos.

ALFONS.

Krótko powiem, panie.
Oto Alfons, Luzytanów
Król, którego panowanie
Sławne teraz po wszej ziemi,
A ustami bronzowymi
Sławy po morzach głoszone,
Pozdrawia twoją koronę,
Zdrowia ci życzy i błaga:
Ponieważ ma tutaj brata,
Który się wolności wzdraga
Kupionej Ceutą i duszą,
Aby teraz ta zapłata
(Nim się jędze wojny ruszą)
Dla zobopólnej ugody,
W innych mogła być pieniądzach.
Poszukaj, panie, w twych żądzach,

Oszacuj dwa takie grody
Jak Ceuta, rachuj na krocie,
Każ je złożyć w srebrze, w złocie;
Alfons je pewno wypłaci
I przyjaźń z tobą zachowa.
Lecz gdy tę nadzieję straci,
A z wiatrem pójdą te słowa,
Ten sam wiatr z ponad odmętów
Nagna tu tysiąc okrętów;
Flotę, co już brzegów sięga,
Krzyżami zaczęła błyskać,
I króla, który przysięga
Ogniem i mieczem odzyskać
Księcia i walczyć dopóty,
Aż więzień będzie rozkuty.
A te pola i doliny
Szmaragdów pozbędą kłosa
I ubiorą się w rubiny,
Nim słońce zajdzie w niebiosa.

TARUDANT.

Choć jako poseł zasiadam,
Lecz krewny tego mocarza
Jako taki odpowiadam
Na to, co Pana obraża
I rani. — Powiedz odemnie
Alfonsowi, jego rzeszy,
Niechaj się na pola spieszy,
Bo nim się w blasku lazurze
Jutrzenki pokażą róże
I ozłocą wschodnie chmury,
Na ziemi będą purpury.

ALFONS.

Gdybyś ku nam się podźwignął
Przez jaki wielki uczynek,
Możeby tu pojedynek
Tę całą sprawę rozstrzygnął.
I tak rzecz niech z nami stanie:
Niech Tarudant krwi nie skąpi,
Niech wasz król przyjmie wyzwanie,
A ja w tem, że mój wystąpi.

TARUDANT.

Kłamiesz! król się twój przelęknie.
Tarudant placu dotrzyma.

ALFONS.

Więc na pole . . .

TARUDANT.

Aż krwią zmięknie...

ALFONS.

Aż krew wytryśnie oczyma,
Będę patrzał, czy przybędziesz?

TARUDANT.

I nie długo patrzeć będziesz,
Bo ja piorun.

ALFONS.

Jam obłokiem!

TARUDANT.

A ja piorunowym smokiem!

ALFONS.

A ja wulkan z ognia łonem!

TARUDANT.

A jam jędzą!

ALFONS.

A ja zgonem!

TARUDANT.

Słuchasz... i żyjesz? to dziw!

ALFONS.

Widzisz mnie i jesteś żyw!

KRÓL.

Niech wasze Jasności obie
Na czas pofolgują sobie;
Bowiem i słońce już bliskie
Zachodu... A niechaj pomną,
Że bez mego pozwolenia
Na mojej ziemi nie mogą
Szranków mieć otwartych sobie.
A teraz niechaj pozwolą
Abym gościnnością służył.

ALFONS.

Kto mię ugaszcza niedolą
I podał czarę żałości,
Ten inaczej nie ugości

I gościną nie przynęci.
Po Fernanda tu przyszedłem
I miałem to na pamięci,
Aby ludzkiej krwi oszczędzić,
A zachować króla sławę:
Teraz czekam na odprawę.

KRÓL.

Odprawa, królu Alfonsie,
Będzie krótka. Jasny panie!
Jeśli mi nie oddasz Ceuty,
To infant u mnie zostanie.

ALFONS.

Ponieważ przychodzę zbrojny
Poseł srogi, wieszczby kruk,
Ogłaszam żałobę wojny.

Do Tarudanta.

A ty czy poseł, czy wróg,
Chodź w pole. Za godzin trzy
Cała niech Afryka drży.

Odchodzi.

TARUDANT, *do Feniksany.*

Wojny ognista pochodnia,
Która o czasie stanowi,
Twojemu niewolnikowi
Nie daje służyć inaczej,
Niechaj mnie więc perła wschodnia
Zgiętego u nóg obaczy
I ręką swoją obdarzy,
A weźmie duszę w niewolę.

FENIKSANA.

Nie przystoi dla mocarzy
Takich jak ty w takim dole
Zostawać, i w tej pokorze
Utracać godności miarę.

MULEJ, *na stronie.*

Słyszeć to i żyć! o! Boże!

KRÓL.

Wasza Jasność godzin parę
Niech przyjmie moją gościnę.

TARUDANT.

Królu! Zaledwo godzinę
Mogę czekać. I to jeszcze
Jak ambasador obwieszczę,
Że jestem umocowany
Wybiwszy mymi kolany
Przed tą pięknością dwa groby,
Prosić o dar jej osoby
I z sobą wziąć ten skarb drogi.
Przebacz, że tak krótko proszę,
I tę piękną stąd unoszę
Niby orzeł, pełną trwogi.

KRÓL.

We wszystkiem, panie, me żądze
Prześcigasz takiem życzeniem.
A ponieważ to być sądzę
Naszych długów skwitowaniem
I naszych wojen skończeniem,
Ugodę potwierdzam daniem
I unieść ją stąd pozwolę;
Ale spieszny odjazd radzę,
Nim wrogi zastąpią pole.

TARUDANT.

Swaty ja liczne prowadzę,
W swaty wiodę wojsko całe,
Tak, że puszcze mi za małe,
A z obozów stoją miasta,
Więc odjedzie ta niewiasta
Bezpieczna.

KRÓL.

Dla wszelkiej pieczy,
Nie będzie i to od rzeczy
Że, Muleju, weźmiesz Spachy
I odprowadzisz pod dachy
Małżeńskie tę narzeczoną.

MULEJ, *na stronie.*

Więc i to?... pęka mi łono!
Fortuna się koligaci
Z wrogami, a ze mnie się śmieje,
Ach! i Fernand we mnie traci
Przyjaciela i ostatnią nadzieję!

Wychodzą.

ZMIANA I.

Ogród przy mazamorach. NIEWOLNICY wnoszą DON FERNANDA i kładą go pod murem. DON ŻUAN i BRYTASZ.

DON FERNAND.

Połóżcie tu moje ciało
Na słońcu, przy białej ścianie,
Aby mię słońce ogrzało.
Wielki Boże! Boże Panie!
Bądź pozdrowion duszą całą
Za twoje słońce wiosenne,
Pełne złotego uśmiechu.
Hiob przeklinał światło dzienne,
Bo urodzony był w grzechu,
W nędzy, w upadku, w obawie;
Ale ja ci błogosławię
Za dzień, co mi żyć pozwala,
Miłości goreć płomykiem.
Każde drzewo się zapala
I tobie, Panie, goreje;
Każdy promień, co mię grzeje,
Płomienistym cię językiem
Na wysokości wychwala!

BRYTASZ.

Czy ci tak dobrze, o! panie?

DON FERNAND.

Dobrze, bracie... dobrze, ciepło.
Wielkie Twoje zlitowanie,
Boże! wielkie łaski Twoie!
Gdy mi ciało w lochu skrzepło,
Ty mi dajesz światła zdroje,
Ptaszkom twoim każesz śpiewać,
Słońcu twojemu ogrzewać.
Dobry jesteś! i łaskawy!

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Pozostalibyśmy dłużej
Przy tobie, ale z obawy
Nie możemy. Człowiek służy...
Czeka nas łańcuch i plaga.

DON FERNAND.

Bracie, niech wam Bóg pomaga
I szczęści.

PIERWSZY NIEWOLNIK.

Jakie katusze!

DRUGI.

O! jaka nędza na świecie!

Niewolnicy odchodzą.

DON FERNAND.

Wy dwaj ze mną zostaniecie!

DON ŻUAN.

Ach ja, panie, odejść muszę.

DON FERNAND.

Ciebie mi zawsze potrzeba
Przy boku, bez ciebie się smucę.

DON ŻUAN.

Panie, ja zaraz powrócę,
Pójdę tylko szukać chleba,
Abyś miał co jeść; dziś rano
Nie jadłeś. O! biada! biada!
Odkąd Muleja zabrano,
Ziemia, zdaje się, zapada
Pod nami, okropna puszcza
Szerzy się, wszystko opuszcza!
A straszliwa blada nędza
Ciągle nam karku dopędza;
Wczoraj jak straszydło krwawe,
Dziś suchsza, bladsza od trupa.
Bo kiedy biegnę po strawę,
To łajdactwa tego kupa,
Co po wioskach, panie, siedzi,
Pomna na zakaz surowy,
A bojąc się, że ją śledzi
Jaki argus stuokowy,
Od króla stawiony na to,
Chleba ani za opłatą
Nie chce dać... o twarda taka!...
Ani na prośbę żebraka
Nie chce dać, skruszona łzami,
Taki twardy los nad nami!
O! panie... Lecz ktoś nadchodzi.

Don Żuan wychodzi.

Brytasz klęka przy leżącym Don Fernandzie. Wchodzą KRÓL, TARUDANT, FENIKSANA i SELIM.

DON FERNAND.

Głos go mój w serce ugodzi.
Może litość wydobędę
I cierpiąc, dłużej żyć będę.

SELIM, *do króla.*

Panie, przechodząc tą drogą
Musisz tu nadeptać nogą
Infanta.

KRÓL, *do Tarudanta.*

Bądź świadkiem, panie,
Jakie moje panowanie.

TARUDANT.

Zamiary moje podróżne
Opaźniasz przez tę gościnę.

DON FERNAND, *żebrząc.*

O! dajcie jaką jałmużnę
Żebrakowi, z głodu ginę!...
Niech próżno rąk nie otwieram,
Pomnijcie, żem człowiek przecie!
A z nędzy, z głodu umieram,
W oczach mi głodnemu ciemno,
Ludzie! miejcie litość nademną
I nie odwracajcie oka.

BRYTASZ.

Książę, nie tak żebrać trzeba...

DON FERNAND.

A jakże?

BRYTASZ, *żebrząc.*

W imię proroka!
I w imię siódmego nieba,
Maury, dajcie nam jałmużnę,
A niebo wam będzie dłużne
I sam prorok wam zapłaci.

KRÓL.

Taki nędzny, a nie traci
Żywota, nie skłania czoła...
Mistrzu infancie!

BRYTASZ, *do Fernanda.*

Król woła.

DON FERNAND.

Mylisz się, więźniu, kolego,
Mistrzem ja nie jestem zgoła,
Ni infantem... trupem obu...
Ich trupem, to co innego...
Bowiem wyglądam z pod grobu;
Na piasku jak nędzasz drzemię
I proszę wody kropelki...
Lecz nie infant, nie mistrz wielki...
Tamtych grobowiec naciska,
Ja jestem człowiek z nazwiska.

KRÓL.

Więc mi odpowiedz na imię
Fernanda.

DON FERNAND, *wstając.*

Teraz, ubogi,
Wstanę całować twe nogi,
Prosić o posiłek skromny.

KRÓL.

Zawszeż-li taki niezłomny?
I wytrwały dziś jak wczora!...
Powiedz mi, to uniżenie,
Duma to jest? czy pokora?

DON FERNAND.

Króla godność w tobie cenię,
I każdym to stwierdzam czynem
To prawo, które zamyka
Zakon boży: że nad gminem
Król ma sobie berło dane,
I ma mieć od niewolnika
Posłuszeństwo... więc złamane
Członki przed twoją osobą
Prostując, stanę przed tobą,
Nim przed Panem Bogiem stanę...
Wiedz, że król, skąd nie bądź, nosi
Taką powagę, moc bożą,
Tak się w nim siły wielmożą,
Że krew, co mu ciało rosi,
Musi wstać w ciała nicestwie
I zaświadczyć o królestwie,
Do cnót królewskich się dostać.
Więc nietylko króla postać,
Ale i cnót świadczy żywość,
W sercu łaska, sprawiedliwość

I inne cnoty mocarza.
A to prawo, podług wzorów
Boskich, do natury tworów
Przechodzi i tak przeraża
Samę dotkniętą naturę,
Że prawa prosto idące,
O te twory królujące
Zbiwszy, nieraz cofa w górę
I cud robi niesłychany,
Jak niegdyś boże Jordany.'
I tak: pomiędzy zwierzęty
Lwu się królestwo należy.
Ten kiedy grzywę najeży
I kudłami stanie wzdęty,
Jak ogromna fala złota,
Co zwierzę przed sobą goni,
To mu królewska istota
Pastwić się nad jeńcem broni.
A patrz na mórz błękit siny;
Tam królami są delfiny.
Bowiem kiedy akwilony
Napędzą fale gromadą;
Fale te delfinom kładą
Srebrne i złote korony.
Jednak to królewskie plemię,
Co włada na wodnym świecie,
Nieraz na swym sinym grzbiecie
Człeka wynosi na ziemię
I wściekłym falom wyrywa.
Więc i orzeł, ten król trzeci,
Który po błękitach pływa
I zawsze na słońce leci,
A koronę ma nie lichszą
Od innych, z tych piór na głowie,
Które mu burze rozwichrzą!
A jednak, kiedy się dowie,
Że gdzie podłe żądło gadu
Do źródeł nalało jadu
I woda już śmiercią trąci,
By nie była ludzi grobem,
Rusza ją skrzydły i dzióbem,
I wichrzy, aż ją zamąci,
Aby swój kryształ popsuła,
Zbladła i ludu nie truła.
Królestwo roślin, kamieni
Tym samym prawom podpada.
Pani owoców, grenada,
Co z drzewnych niby promieni

Koronę nosi i wieniec,
Gdy ją dotknie jad zarazy,
Traci ognisty rumieniec,
A wewnątrz ziarnek rubiny
Wnet zamienia na topazy.
Więc śród kamiennej drużyny
Także król ma swój sakrament.
Oto, panie, ów djament,
Co jest nad kamienną zgrają,
Twardszy od granitów kości,
Przed którym magnesy stają,
Stają w jego obecności
Pomne na króla potęgę,
I tę mu zdają przysięgę
Poddaństwa, ów król tak twardy,
Tyle ma dumy i wzgardy,
Że nie pomny własnej siły,
Kiedy go stal z dziecka krzykiem
Zdradzi i dotknie pilnikiem
I o królestwo zalęka,
W drobne rozpada się pyły,
W proch się rozpada i pęka,
A biednej stali nie niszczy...

Taka więc szlachetność błyszczy
Wszędy w królewskich sumieniach.
W zwierzętach, w rybach i ptakach,
I w roślinach i w kamieniach;
Więc i w ludziach po tych znakach
Mają być znani królowie.
Nietylko że z wielmożności,
Nietylko z koron na głowie;
Ale, panie, i z litości
I ze szlachetnego serca.
Chrześcijanin, czy bluźnierca
Krzyżowy, gdy spojrzy we dno
Duszy, wyczyta to jedno
Prawo przez Boga wyryte,
Któreś ty w sercu zagłuszył.
Nie gadam, abym cię skruszył,
Abym do litości skłonił.
Ciało me bolem rozryte
Nie tyś, ale Bóg pokłonił.
Nie chcę u twojej osoby
Żebrać, życia już mam sytość.
Późna też byłaby litość;
Bo wiem, że żądło choroby
Aż w serce mię już raniło;
Oddech mi powietrzem szkodzi.

Jak nóż przez serce przechodzi
I rznie zapalone płuca.
Ja wiem, żem już nad mogiłą,
Że mię już żywot porzuca,
I żar wypala piekielny...
I to wiem, żem jest śmiertelny,
Jak ty, panie, robak drobny,
Nie żadna anielskość dumna.
I dlatego to podobny
Kształt ma kołyska i trumna;
Aby to ludzie wiedzieli,
Że na podobnej pościeli,
Gdy przyjdą na rozkaz boży,
Matka ich i śmierć położy.
Tak więc podobne do pary
Przy kołysce stoją mary!
Tak podobne u podwoi
Dwojga — dwoje łóż człowieka.
Kto to wie — czegóż się boi?
Kto słyszał to — czegoż czeka?
Kogo strzaskał los na ćwierci,
Naraził na nieszczęść krocie —
W czemże ufa! czy w żywocie?
O nie, zaprawdę, że w śmierci,
W śmierci ufa! Tę ofiarę
Zrób ze mnie, panie, o! proszę...
Daj śmierć — niech umrę za wiarę!
Oto ręce me podnoszę
I o śmierć, panie, cię błagam.
Nie dlatego, że się wzdragam
Żyć i cierpieć jestem nierad,
Że chcę umrzeć jak desperat;
Nie dlatego u nóg szlocham,
Ale ja się, panie, kocham
W takiej śmierci męczennika,
Co krwawe ciało odmyka
I Bogu uwalnia duszę
I na wieki ją ożywia.
Więc choć grzechu prosić muszę,
Miłość mię usprawiedliwia,
Że o śmierć nieszczęsną proszę...
Oto me ręce podnoszę,
A ty daj! Lwem będziesz wtedy,
Co widząc myśliwce śmiałki,
Napastniki ojców schedy,
Napada i rwie w kawałki.
Orłem będziesz, co się ciska
Na gniazd swoich rozbójnika,
W szpony mu czaszkę zamyka,

I dziób maluje rubinem
Tej krwi, co z oczu wytryska.
O! panie, będziesz delfinem,
Który na nieba lazurze
Zapowiada śmierć i burze
Ludziom grożące zalewem.
Królewskiem ty będziesz drzewem,
Co piorunami czerwone,
Ramiona ogołocone
W burzach rwie i tak się zżyma,
Że zda się piorun otrzyma
I nad światowym zamętem
Będzie spełniało gniew boży.
Panie! będziesz djamentem,
Co się na stal biedną sroży,
Gardząc kamieni motłochem.
Lecz syp się w proch i zrób mnie prochem!
Bo ja nie ulegnę prędzej;
Bo im więcej cierpię nędzy,
Im więcej mnie gną rozpacze,
Im boleśniej w nędzy płaczę,
Im przed tobą jestem mniejszy,
Im we wnętrznościach głodniejszy,
Im bardziej odarty z ciała
I z nadziei i z łachmanów,
Choćby ta ziemia gnać miała
Za mną szczękami kajdanów
Nawet — nawet w żywot dalszy;
Im więcej cierpię, tem stalszy
Muszę trwać przy mojej wierze.
Bo ona mnie jedna strzeże!
Serce nadzieją roznieca!
Słońcem w męczeństwie oświeca!
Palmy zawiesza nad czołem!
Nie przeważysz nad kościołem,
Ile go jest w mej osobie.
Z kości tych triumfuj sobie.
Gardło masz i moje łono.
Bóg ucieczką moją i obroną!

KRÓL.

To już przechodzi pojęcie!
Aby człowiek tak grobowy
Bawił się takimi mowy,
Wpadał na takie sentencje
I sam się cieszył w niedoli.
Jakże ty chcesz, abym bolał!
Gdy ciebie serce nie boli.
Jeśliś ty sam umrzeć wolał

Niż żyć? Nie, nie, nadaremnie,
Litości nie znajdziesz we mnie,
Pierwej miej ją sam nad sobą.

Wychodzi.

DON FERNAND, *do Tarudanta.*

Przed twoją, panie, osobą
Uniżam się, wspomóż jeńca...

TARUDANT, *odpychając go.*

Nędzarzu!

Wychodzi za królem.

DON FERNAND, *do Feniksany.*

Więc potępieńca
Ty się ulituj, o! pani,
Jeśli twa piękność jest z Boga,
A nie jest wzięta z otchłani.

FENIKSANA.

Ach! jaki widok!

DON FERNAND.

Ty sroga,
Odwracasz oczy?...

FENIKSANA.

We łzach mi
Toną... człowieku! ach! strach mi!
Duch mi cały z ust wyskoczy!

DON FERNAND.

I dobrze, bo są też oczy
Ach, nie do nędzy stworzone.
Dobrze! że twój wzrok roztropny.

FENIKSANA.

Puść mię. Jaki ty okropny!

DON FERNAND.

Okropny? Choć odwrócone,
Oczy masz pełne popłochu.
Dobrze jest, abyś wiedziała,
Że piękność twojego ciała
Tyle, co mój szkielet waży,
Tyle co ja... garstkę prochu.

FENIKSANA.

Puść mię, oddech mię twój parzy,
Głos zabija, szaty cuchną.
Puść mię ty, człowiecze próchno!
Szaty mi rękami skazisz,
Oddechem twoim zarazisz.
Puść, człowieku, bo omdleję!

Ucieka z Selimem.

Wchodzi DON ŻUAN pokrwawiony i w łachmanach, z chlebem.

DON ŻUAN.

Oto mię Maury, złodzieje,
Za kawałek tego chleba
Zbili — krew się ze mnie leje.
Panie, jedz.

DON FERNAND.

Już mi nie trzeba
Jadła, drogi przyjacielu.
Oto już jestem u celu...
Już idę...

DON ŻUAN, *padając mu do nóg.*

Panie mój drogi!
Czy ty już... o! ratuj, Boże...

DON FERNAND.

Płacz tu już nic nie pomoże,
Nie martw się — ziębną mi nogi —
Zaprawdę, jużem przy śmierci.
To serce, za godzin mało,
Robak śmiertelny przewierci
I znajdzie, że cię kochało,
Ciepło w niem jeszcze zostanie.
Nie martw się, mój Don Żuanie.
Ja się w długą podróż wybieram...
A dla Boga tu umieram,
Chóry anielskie bogacę
I dług Panu memu płacę.
Nie martw się i oczu rosą
Nie lej na ciało książęce.
Każ, niech mię wezmą na ręce
I do mej jamy odniosą.
Już konam...

DON ŻUAN.

Z tą ziemią nędzy
Ostatni mój węzeł pęka!

DON FERNAND.

Don Żuanie... czy później, czy prędzej
O tu.

Pokazuje na ziemię.

Daj rękę. Ta ręka
Karmiła mię — o! szlachetna!
Chociaż moja śmierć nie świetna,
Po śmierci może Bóg zdarzyć
Odmianę... więc w mazamorze,
Gdzie się sam jak trup położę,
Nie rusz mię, lecz po skonaniu,
W mistrzowem zawiń ubraniu
I zostaw tak okrytego
Cichym i spokojnym trupem,
Jeśli król pozwoli na to.
A kiedy przyjdą z okupem,
To znajdą mistrza martwego
Pod zwykłą krzyżową szatą,
I powiozą gdzieś przez morza
Do kraju garstką popiołów...
Już też, za tyle kościołów,
Da mi tam grób łaska boża!

Don Żuan i Brytasz wynoszą go.

ZMIANA II.

Lądują na brzeg morski ALFONS i DON HENRYK z rycerstwem.

ALFONS.

Zostawić falom zhukanym okręta,
Co podpierały żaglami obłoki.
I niechaj biją dział ogniste smoki,
I niechaj ludzi rzeka wyrzygnięta
Z okrętów płynie i ten kraj zalewa...

DON HENRYK.

Zły do lądunku brzeg wybrałeś, panie,
Radziłem lepiej te masztowe drzewa
Bliżej po srebrnym posunąć bałwanie
I z nich samemi Fezowi dać szturmy.
A tu, jak widzisz, maurytańskie hurmy
Rażą nas straszną szabel błyskawicą.
Tu sam Tarudant, z swą oblubienicą
Z Fezu wracając, bój nam wypowiada.

ALFONS.

Jasnych aniołów była to dorada,
Abym uczynił to, co teraz czynię:

W Fezie na oba natrafiłbym wrogi,
A tutaj jeden... o pół nie tak srogi,
Stoi na polu. Więc, nim się rozwinie,
Każ huknąć w trąby.

DON HENRYK.

Racz zważyć, że wojna
Zawczesna, panie, ludzie nie gotowi.

ALFONS.

Na nic nie zważam, dusza moja zbrojna,
A duch w mej piersi rówien piorunowi!
A duchy święte pilnują mych skroni,
A dla Afryki niosę śmierć w tej dłoni!

DON HENRYK.

Lecz noc zaciąga swoje smętne kiry
Na ogień słońca, na niebios szafiry;
Ona zwycięstwo tobie wydrze z ręku...

ALFONS.

Ha! więc zwyciężać będziemy po ciemku.
Niechaj noc idzie z czarnymi sztandary,
Ona nie wydrze z mego ducha wiary,
Że się o sprawę biię sprawiedliwą.
A jeśli Fernand mękę swą cierpliwą
Za nas, o bracie, Bogu ofiarował,
To Bóg pioruny te jasne ukował,
Którymi szyki będzie walił krwawe
A my zbierzemy zwycięstwo i sławę.

DON HENRYK.

Lepiej by w polu porobić przeręby...

Ściemnia się — słychać w powietrzu anielskie trąby i różne głosy duchów.

ALFONS.

Cyt... słyszysz, bracie?...

DON HENRYK.

Głosy jakby śnią się...

ALFONS.

Głuchną... i znowu.

GŁOS FERNANDA.

Alfonsie! Alfonsie!...

DON HENRYK.

Głos mego brata... i znów jakieś trąby
Smętne, powietrzne, rozpłakane głosy...

ALFONS.

A więc to Pan Bóg z całymi niebiosy
Schyla się ku nam, owinięty nocą.
Wchodzi DUCH FERNANDA z pochodnią.

DUCH.

Z błogosławieństwem tobie i z pomocą
Dla twojej, Alfonsie, wiary
Pan Bóg zesłał tę noc ciemną,
I zlitowany nademną,
Pozwolił opuścić mary,
Gdzie płakali... odejść od nich...
A tu z duchów ciżbą liczną
I z tą pochodnią gromniczną
U gwiazd zapaloną wschodnich
Iść przed wami... Za mną... za mną!...
Wychodzi.

DON HENRYK.

Bracie, opuszcza mię męstwo,
Zda się, że czaszkę dwujamną
Miał ten...

GŁOS FERNANDA *za sceną.*

Za mną...

ALFONS.

Słyszysz?...
Głos Fernanda ginący w odległości.
Za mną...

ALFONS.

Na koń, bracie, Bóg nam daje zwycięstwo!...
Wychodzą z wojskiem za duchem Fernanda.

ZMIANA III.

Galerja w pałacu króla fezkiego. Z jednej strony wchodzi KRÓL i SELIM, z drugiej niewolnicy chrześcijanie niosą w trumnie ciało Don Fernanda. DON ŻUAN idzie za trumną.

DON ŻUAN, *do króla.*

Napaś oczy tym widokiem,
Oto w czterech deskach leży

Bohater, perła rycerzy,
Twoim okrutnym wyrokiem
Zabity...

KRÓL.

Ktoś ty jest taki?...

DON ŻUAN.

Rycerz bez żadnej poszlaki...
Z nim oto dźwigałem biedę
I łez się wspólnych napiłem,
Do śmierci wierny mu byłem
I za ciałem jego idę.

KRÓL.

Patrzajcie się, ludzie krzyża
Bo oto trumna się zbliża,
Trumna, co do mnie należy,
A w niej oto przykład leży
Zgiętego aż do mogiły,
Pod nogą króla, oporu.
Niech teraz Alfonsa siły
Wyrwą go i ów sen moru
Odwalą... Niech kto wyzwoli
Z tej ostatecznej niewoli,
W której mu łańcuchy śnią się?
Chodź! chodź po brata, Alfonsie!
Chodź mu teraz z uwolnieniem!....
Co do mnie... choć Ceutę tracę,
To się tem książąt zgnieceniem
I starciem więcej bogacę
W sławie, niż tysiącem grodów...
Otom opór ich zwyciężył.
A jakom żywemu ciężył
Na piersiach... obaczą tłuszcze,
Że nawet tej garstce lodów
I po śmierci nie odpuszczę,
Ale kość zgnilizny bliską
I to nieszczęśliwe ciało,
Z tą trumną napół spróchniałą,
Oddam na wiatrów igrzysko,
Na słońca wystawię skwary
I wiatry...

DON ŻUAN.

Bliskiś jest kary!
Bo oto widzę z wysoka
Chorągwie twego proroka
Niżej... a krzyże u góry...

KRÓL.

Selimie... wyjdźmy na mury
Zobaczyć... co za nowiny?
Wychodzą.

ZMIANA IV.

Pole pod murami Fezu. Wchodzi DUCH DON FERNANDA z pochodnią, za nim zaś ALFONS z wojskiem, DON HENRYK. — FENIKSANA i TARUDANT wzięci w niewolę.

DUCH FERNANDA.

Przez ciemności i mrok siny!
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpiecznych.
Oto różana jutrzenka!
Oto Fez w ogniach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli...
Wykupcie mię u pogan z niewoli.
Znika.

ALFONS.

Zniknął w jutrzenki lazurze...
Hej... kto tam z ludzi na murze?...
Niech król do układów stanie.
Pokazuje się na murze KRÓL i SELIM.

KRÓL, *z muru.*

Czego chcesz? śmiały młodzianie.

ALFONS.

Wypuść infanta z niewoli
A ja ci oddam w zamianę
Twoje dziecko ukochane,
Które oto w mojej mocy...
Inaczej... choć serce zaboli,
Uczynię twój dom sierocy,
Śmiercią twojej córki pusty...

KRÓL.

Selimie... ach, tymi usty
Wydan wyrok sprawiedliwy...
Co zrobię? Fernand nieżywy
A moja córka u wroga.
Fortuno! fortuno sroga!
Jak ty się nagle odmieniasz!

FENIKSANA.

Ojcze! czy ty zakamieniasz
Serce na twej córki głosy?
Że widzisz mię w tej niedoli,
Widzisz z rozwianymi włosy,
Pod toporami, pod strażą
I spokojną patrzysz twarzą
Na córki twojej więzienie.
W twoim ręku los mój cały,
W twoim głosie me zbawienie,
A ty stoisz oniemiały?
Kiedy w jednem twojem słowie
Ratunek dla córki leży?
Widzisz miecz na mojej głowie
I czekasz, aż we mnie uderzy?
I milczysz? aż mię zabiją,
Aż mi nóż utopią w łonie
I szyję zetną bułatem...
Ach, lwem ty byłeś na tronie!
Będąc ojcem, jesteś żmiją!
Będąc sędzią, byłeś katem!
Nie król ty, nie sędzia, nie ojciec.

KRÓL.

O! Feniksano... ta zwłoka,
Choć z twarzy mej trudno dociec
Boleści... ach, na proroka!
Straszną mię rani katuszą.
Bo wiedz, Alfonsie, że wczora
Książę się wasz rozstał z duszą
O samym zachodzie słońca,
Po wyjeździe Feniksany,
I leży niepogrzebany...
A ja... wskrzesić go bezsilny
Wam... (o fortuno zdradziecka!)
Oddaję krew mego dziecka
Na zemstę...

FENIKSANA.

O nieomylny
Wyrok był!... jestem zgubiona!

KRÓL.

Nie h płynie ta krew czerwona,
Za jej duszą moja spieszy.

DON HENRYK.

Co słyszę! mój brat nieżywy!
O! więc już go nie pocieszy
Ta wolność... i pomoc próżna.

ALFONS.

Nie mów tak, twój brat szczęśliwy,
Girlanda go gdzieś podróżna
Duchów i gwiazd bratnich wita.
Co do mnie, treść jego woli
Nie jest mi wcale zakryta.
Prosząc, byśmy go z niewoli
Uwolnili, gdy w ciemnościach
Z pochodnią przed nami błądził,
Mówił o sercu i kościach...
Więc, królu, abyś nie sądził,
Że ten trup, po którym lament
Morskie podniosą Syreny,
Podlejszej jest u nas ceny,
Niż jaki wschodni djament
I cudne piękności lice,
Za Fernanda zewłok święty
Oddam ci twoję dziewicę:
Różę dam... za djamenty,
Śniegi dam... za te popioły;
Oddam tobie maj wesoły
A posępne wezmę grudnie;
Tę postać świecącą cudnie,
Co mi z rąk jak anioł ucieka,
Zdaiąc się młodością i chwałą,
Oddam ci za biedne ciało
Nieszczęśliwego człowieka.

KRÓL.

Co mówisz?...

ALFONS.

Każ spuścić trumnę...

KRÓL.

Ach! i czoło moje dumne
Pójdę... przed tobą uniżyć...
Spuścić tu ciało książęce...

Odchodzi.

Spuszczają trumnę z murów.

ALFONS, *przyjmując spuszczoną trumnę.*

Przyjmuję ciebie na ręce,
Święty! drogi męczenniku!...

Całuję twe rany i krzyże...
Proszę... pomóż mi, Henryku,
Tę trumnę...

DON HENRYK.

Witaj, mój bracie!...

Stawiają trumnę. Wchodzi KRÓL i uniża się do nóg Alfonsowi, który go podnosi z ziemi. — Wchodzą DON ŻUAN, BRYTASZ i NIEWOLNICY.

DON ŻUAN.

A mnież to nie powitacie?

ALFONS.

Witaj, don Żuanie stary?
Dobry nam zdajesz rachunek
Z opieki...

DON ŻUAN.

Prowadzę mary...
Póki żył, każdy frasunek
Podzieliłem z nim i nędzę...
A teraz (od łez mi ciemno!)
Oto on poszedł przedemną,
Ale ja go tam dopędzę,
Dopędzę...

ALFONS, *obracając się ku trumnie.*

Wuju mój drogi!
Fernandzie, pochodnio świata!
Na twoje ręce i nogi,
Jako na święte stygmata,
Kładę usta... i tę mroźną
Dłoń ściskam w królewskiej dłoni...
A choć przyszedłem zapóźno,
Miłość moja się wyłoni
W pośmiertnej dla ciebie cześci;
I z mojej wielkiej boleści
Wielkie, ze złotymi czoły
Wstaną dla ciebie kościoły.
Bowiem po śmierci się jasno
I przyjaźń ludzka pokaże...
Królu, a tobie zaś w darze
Oddając twą córkę własną,
Oddaję też Tarùdanta.
Ale przez pamięć infanta,
Któremu Mulej był miły,
Proszę... abyś ten kwiat złoty,

Który był ceną mogiły,
Uczynił nagrodą cnoty,
Wiary — i dał Mulejowi.

KRÓL.

Wszystko u mnie twa łaska stanowi.

ALFONS, *do niewolników.*

Teraz wy, coście w niewoli
Nosili z księciem łańcuchy,
Z niańczynymi teraz ruchy
Nieście to ciało, powoli,
Niech spocznie... a my za trumną,
Co jest jako Arka święta,
Rycerską idźmy kolumną,
Żałobni, aż na okręta;
Gdzie w srebrną złożymy skrzynię
Zewłok ten niezłomnej duszy...
I z prochem flota wyruszy
I do ojczyzny popłynie.

AGIS

DRAMAT
W TRZECH AKTACH.

OSOBY.

AGIS IV., król Sparty.
AGEZYLAUSZ, jego stryj.
ARCHIDAMIA, babka Agisa.
AGEZYSTRATA, matka Agisa.
AGIATIS, żona Agisa.
LEONIDAS II., król Sparty.
KRATERYKA, jego żona.
KLEOMENES, syn jego,
CHELONIDA, córka Leonidasa, a żona Kleombrota II.
KLEOMBROTUS II.
ARATUS, wódz achajski.
DEMADES
DEMOCHARES } przyjaciele Agisa.
ARCEZYLAUSZ
AMFARES.
SFERUS, filozof.

Efory. Lud. Mieszczaństwo. Chorus. Niewolnice. — Rzecz dzieje się w r. 240 przed Chr.

AKT I.

SCENA I.

Przed zamkiem króla Agisa.

PIERWSZY MIESZCZANIN.

Co tu robisz?

DRUGI.

Czekam na jakiego efora.[1]

PIERWSZY.

A po djabła ci efor?

DRUGI.

Mam długi...

PIERWSZY.

Długi nie powinny mieć miejsca w Lakonji. Likurg zaprowadził krótkość w mowie, a długi są przeciwko prawom Likurga. Nie czekaj więc waćpan na efora, ale krzyknij: — „Fora za drzwi!“ — na panów dłużników i skończ interesa bez efora w forum domowym.

DRUGI.

Żartujesz waść, a mnie długi jedzą...

PIERWSZY.

Agis twoje długi zniszczy, a zamieni je w pchły — bo, jak ziemię podzieli, a zaprowadzi powszechną nędzę, to nie będzie innych audytorów, oprócz robactwa, które cię schwyci za kołnierz i dopomni się o podział koszuli.

DRUGI.

Prawdę mówisz...

PIERWSZY.

Agis, mospanie — młody królik z czerwonemi
Oczyma (bo się spłakał), a dziecko na pasku
U matki i babuni — choć król, nic nie może;
Pieniędzy chce, to musi udać się do matki,

[1] Efor = urzędnik w starożytnej Sparcie.

A matka znów do matki za synem się wstawi —
Aż dopiero starucha Archidamia w czepcu
I w rantuchu — nałaje, naburczy i sama
Ze skrzyni grosz, albo dwa — a wszystko spleśniałe
Grosze, od gwiazd niebieskich starsze — wyjmie z kufra
I da... A pierwej spyta, na co — raz i drugi: —
„Na co chce twój Agisek pieniędzy?“ Starucha
Spartęby dziś kupiła dla swojego syna,
A nie chce kupić butów...

DRUGI.

Przesadzasz, mospanie...

PIERWSZY.

Wszystko się na tej ziemi przesadza: i ludzi,
I drzewa... Leonidas, król sam, przesadzony
Z opiekuna, którym był, na pana i króla.

DRUGI.

Tak, lecz Agis...

PIERWSZY.

Agiskiem go — mówię — nazywaj,
Bo młody szczygieł, choć król... I ten przesadzony
Z likurgowego wieku w ziemię tej epoki,
Która dlań jest prawdziwą opoczystą ziemią:
Bo chłopiec, zda się, w szkole był laurami bity —
Laurową, mówię, rózgą uczony rozumu
I powagi — a przecież...

DRUGI.

Cyt!... Agis nadchodzi
Z Agezylajem, stryjem króla. Muszę zmykać:
Agezylausz — to mój kredytor...

PIERWSZY.

Mój także...

Odchodzą.

SCENA II.

AGEZYLAUSZ — AGIS.

AGEZYLAUSZ.

Pozwól mi... Na tych ludzi wyrok mam — a dobrze,
Że ich tu przydybałem. Winni mi są.

AGIS.

Puść z Bogiem!

AGEZYLAUSZ.

Gdybyś wiedział, jak trudno jest zdybać dłużnika!
Kamfora!... To kamfora!...

AGIS.

Puść ich, mówię, z Bogiem —
Odpuść im, jeśli dłużni. Właśnie, po spartańsku,
Przyrzekłeś mi, że będziesz odpuszczał.

AGEZYLAUSZ.

Przyrzekłem,
Nie zaprę się — przyrzekłem. — Kiedy stanie prawo,
Kasujące dług wszelki, to ja — tak, jak drudzy —
Skrypta popalę:... Prawo — święta rzecz; ja prawo
Wydam i uszanuję. I dlatego właśnie
Dzisiaj, dopóki prawo jest płacenia długów,
Jako wierzyciel, ścigam moje debitory.

AGIS.

A oni uciekają...

AGEZYLAUSZ.

Bezsumienni ludzie!

AGIS.

Widzisz, trzeba poprawić spartańską naturę
Z gruntu — wziąć serce ludu i odmienić w ręku,
Jako jaje kamienne, w orła — i wypuścić,
Skoro uczujesz, że się w dłoni przemieniło...
Pomóż mi więc i sam się rozgrzej — bo, zaprawdę,
Jeżeli my przejdziemy nad tą Spartą biedną,
Jak niepłodne istoty — to same kamienie
Wstaną i, przywoławszy na pomoc ruinę,
Założą nowe śmierci królestwo...

AGEZYLAUSZ.

Tak sądzę...

AGIS.

W ręku kobiet są, jak wiesz, największe pieniądze —
I potrzeba to wyznać, że w kobiecych ciałach
Są najmocniejsze dusze — a zaś w trybunałach
I w szykach zamieszkały fałsze i tchórzliwość.
Idź... W moim własnym domu obudź wdzięk i tkliwość
Nieszczęściami ojczyzny!... Niech życia ostatki
Przepędzi po królewsku matka mojej matki,
Widząc, że swojem trzeciem pokoleniem budzi,
Jakby różdżką anioła, przedwiekowych ludzi
W kraju, gdzie je duch grobu przemienił na węże...
Jeżeli stara zadrży — powiedz, że zwyciężę,
Bo mi przyrzekły bogi snem. Agezystracie

Nic nie mów, sama za mną pójdzie... Duch jej dzielny,
Jak mój — zda się, do ciała wstąpił nieśmiertelny
I kilku wieków kwiatem rozkwitnął... Idź, proszę,
Do kobiet — i te prawa, które dziś ogłoszę,
Rozjaśń przed niemi! Powiedz, że sama Iryda[1]
Na tęczy je przyniosła.

AGEZYLAUSZ.

A ty?

AGIS.

Do młodzieży,
Która się już zebrała przy dawnej świątyni
Kolkoidos i czeka na mnie...

AGEZYLAUSZ.

Wielkie dzieło!

AGIS.

O, ileż dzień błękitny jeden mieści w sobie
Wypadków, nim doścignie Apollo ognisty
Fal, gdzie mu sen i srebrne łoże Oceanki
Zgotowały! O, ileż takich dni upłynie,
Obróconych na ten dzień twarzą i oczyma,
Zapatrzonych na czoło Agisa! O Sparto!...
Jakim ty czarem serceś mi rozmiłowała —
Jakiegoś ducha w mojej zamknęła koronie!

AGEZYLAUSZ.

Na Lakończyka, gada za wiele!

AGIS.

Co mówisz?

AGEZYLAUSZ.

Błogosławię, że Agis król się nam urodził —
I młody jest, więc długo dla Sparty pożyje...

AGIS.

Ci, których słońcem swojem Bóg w oblicze bije,
Prędko idą pod ziemię spać i szukać cienia...
Bądź zdrów, a nie trać serca!

Odchodzi.

AGEZYLAUSZ.

Mojego imienia
Był tu niegdyś król wielki... Imię moje stare
Winduje mnie na górę; czy chcę, czyli nie chcę,

[1] Posłanka bogów.

Muszę Agezylajem być!... A losy chciały
Rewolucją zwolnić mię od wierzycieli,
Których mam więcej, niż psów... O, szanowne wielce
Są wyroki i burze ogniste z płomieni,
Z których człowiek wychodzi, jak amiant, wymyty,
Bielszy, niż płótno, długo leżące na blechu
Dni zwyczajnych. — Do matek króla teraz spieszę...

Odchodzi.

SCENA III.

W zamku.

CHORUS. — ARCHIDAMIA. — AGEZYSTRATA. — AGIATIS. — NIEWOLNICE.

CHORUS.

Oto, jak w dawnej Polszcze, złocone wrzeciona
W ręku niewolnic burczą — na jedwabnej tęczy,
W głębi siedzi królowa, purpurą czerwona,
Matka matek. Wokoło rój domowy brzęczy,
A ona, zda się, wszystkim zarządza z oddali,
Jak Jowisz, pod którym się piorun święty pali.

Pod cieniem drzew oliwnych, których latające,
Małe, srebrne listeczki źle od słońca bronią,
Siedzi, jak Izys, w srebrne ubrana miesiące,
Nad młodością, nad światem kolorów, nad wonią,
I dziewczęta nazywa gromadą szerszeni,
Których pełen jest wszędzie dom i pełne sieni.

A jednak czujesz w sercu, że, choć głosem łaje,
Gdyby w domu ucichło to wieczne łajanie,
Dom byłby jako zegar, który nagle staje,
Przez niewidzialne uchy na szlacheckiej ścianie
Zatrzymany — śród wichrów wyjących i burzy —
Tak nagle, że cichością, zda się, piorun wróży...

ARCHIDAMIA.

Agezystrato...

AGEZYSTRATA.

Co, matko?

ARCHIDAMIA.

Powiedz Agiatis, żonie twego syna, że miałam o niej sen dziwny.

AGEZYSTRATA.

Agiatis!...

AGIATIS.

Jestem...

ARCHIDAMIA.

Pani Agisowa — chodź tu bliżej! — Tfu... jak włosy twoje słychać olejkiem achajskim!... Zostaw te pachnidła dla drugiej królowej. Niech się ta satrapka, niewolnica Seleuki, olejkami namaszcza, a Leonidas niech wącha, jeśli ma węch — a wiem że ma, bo ciągle wietrzy coś w moim synu Agisie — Niegodziwiec, szczepiciel rozpusty, paw spartański... Czy ty go nienawidzisz, Agiatis?

AGIATIS.

Jak węża!

ARCHIDAMIA.

Wiecie, czego on mi zazdrości? Agisa, wnuka... Bo jego Kleomenek, syn — łajdak wierutny i rozpustnik, sojka kolorowa, zimorodek — w zimie urodzony, zimnego musi być serca... — a co do rozumu, to wiem, że go nie ma, bo go tu raz przed czterema laty ojciec przysłał z guwernerem — to patrzał po kątach, jak złodziej, i śmiał się, jak dziewczyna — a gdym go pokręciła za ucho i myślałam, że ukąsi, to nie ukąsił, ale rozpłakał się — szczeniątko dwunastoletnie!

SCENA IV.

AGEZYLAUSZ wchodzi.

AGEZYSTRATA.

Matko Archidamio, — pan Agezylausz wita cię.

ARCHIDAMIA.

To ty, Agezylausz?... Mówiłam właśnie o Kleomenie, synu twego synowca, że w rozgardjasz taki wpadnie, jak ojciec i waćpan... Bo i ty pełny długów! A stary, a stary!... Wartoby się już poprawić...

AGEZYLAUSZ.

Razem ze Spartą...

ARCHIDAMIA.

Co?

AGEZYLAUSZ.

Razem ze Spartą...

ARCHIDAMIA.

Co?... Jestem głucha.

AGEZYLAUSZ.

Powiadam waćpani,
Że się ze Spartą razem, poprawioną,
Poprawię.

ARCHIDAMIA.

Kiedyż będzie ta odmiana?

AGEZYLAUSZ.

Od waćpani to zupełnie zależy
Mieć ją dziś, albo jutro.

ARCHIDAMIA.

Co wać gadasz?

AGEZYLAUSZ.

Waćpani, że na skrzyniach pełnych złota siadasz,
Nie wierzysz, że gdzie człowiek być może bogaty,
A nie chciwy...

ARCHIDAMIA.

Na moje stare klnę się gnaty,
Że ci tu nie pozwolę do mnie takiej mowy!

AGEZYLAUSZ.

Gdy posłyszysz waćpani, z jakiemi ja słowy
Przychodzę, jaka we mnie mówi druga dusza —
To wy wszystkie, kobiety — jak na Orfeusza
Pjane pieśnią bachantki — padniecie, jak kruki,
Miłością rozszalone, wściekłe, rwąc na sztuki
Ciało wiecznego ducha!

ARCHIDAMIA.

Prym z waszeci...

AGEZYLAUSZ.

Kobiety, Archidamio, zazwyczaj, jak dzieci:
Jeśli znajdą piszczałkę, do ust nie przyłożą,
Ale, szukając czaru i głosu, otworzą
Brzuch i patrzą, pytając, co w niej tak śpiewało...
I wy zaraz rade-by otworzyć mi ciało
I widzieć, czy jam skąpstwo wyrzucił i chciwość,
Czy mnie sława, czy jaka wewnętrzna zelżywość
Rzuca w rewolucją.

ARCHIDAMIA.

Horror i płomienie!

AGEZYLAUSZ.

Wymówiłem i słowa swego nie odmienię,
Zaczynam rewolucją...

ARCHIDAMIA.

Do kociub, dziewczęta!
Wyrzucić mi go za drzwi!

CHÓR.

Powstała natchnięta
I urąganiem niby pierwszą wieść odpycha,
Ale oczy jej gorą, pierś ogniem oddycha...

ARCHIDAMIA.

Gdzie król Agis!

AGEZYSTRATA.

Gdzie Agis?

AGEZYLAUSZ.

Zaczyna ofiarę.

ARCHIDAMIA.

Niech zacznie od nas; słabe jesteśmy i stare —
A podług praw Likurga wszelkie niedołęstwo
Wraca do piekła.

SCENA V.

AGIS wchodzi.

AGIS.

Pewne — o, pewne zwycięstwo!
Młodzież spartańska za mną!...

AGEZYSTRATA.

Agis!

AGIATIS.

Agis!

ARCHIDAMIA.

Sza mi!
Ja ze starymi gadałam królami —
Pierwsza do tego zagadam młokosa.
Chodź tu!... Kto ci to podszepnął?

AGIS.

Niebiosa!

ARCHIDAMIA.

Słyszałeś w nocy jakie duchów mowy?
Czy jaka nimfa w koronach błyszczących,

Czy jaki świętych hymn, przelatujących,
Zbudził cię ze snu?

AGIS.

Nie głosy grobowe,
Lecz upodlenia ludu coraz nowe,
Brak wszelkiej żądzy, próżnie wszelkiej chwały,
Ze mnie spartańską duszę wywołały,
Że się ruszyła, jak w matki żywocie
Bolące dziecko...

ARCHIDAMIA.

O ty, dziki kocie,
Który się rzucasz na własną ojczyznę,
Spokojną — świętą! Czy wiesz, co ty czynisz?!
Zadajesz może taką wielką bliznę,
Takim ją jadem namaszczasz i ślinisz,
Jeśli wolności ukochać nie zdoła,
Jako twardego, groźnego anioła,
Że może wieki przejdą, a czerwona
Ta wolność, ta kość, przez ciebie rzucona,
Będzie po rynkach się naszych tarzała —
A na niej resztki królewskiego ciała
Drgające... Słuchaj — myślał-żeś ty o tem,
Że ja i twoja matka, dwie królowe,
Teraz podparte perłami i złotem,
Jako przystoi na te czasy nowe,
Wszystko plamiące — teraz oto obie,
Jedynie tylko oparte na tobie,
Jak dwie żebraczki na jednym kosturze —
Wyidziemy — i gdzieś w pioruny i burze,
Widziane wszemu ludowi... żebraczki,
Na wszystkie może klątwy wystawione,
Jako Hekuby[1] dwie, w psy przemienione,
Albo na grobie twoim, jak dwie płaczki
W łachmanach?... Czy ty nam żywotem
Wyrobić spieszysz jałmużnę?! Precz, szczenię!
Bogów-ś nie słyszał — a tylko kamienie
Stare przed domu widząc kołowrotem,
Myślisz, że stawić potrzeba kościoły! —
Do wrzecion, dziewki! Widzę, że na poły
Pobity nasz król krzykiem i kłopotem,
Radby już cofnąć się — a nie ma drogi.

AGIS.

Gdyś, matko mojej matki, wspomniała ubogi
Los Likurga, a może straszniejsze łachmany —
Stanąłem w głębi serca mego zadumany,

[1] Hekuba, żona króla trojańskiego Prjama.

Nie wiedząc, jak obronić się nagłej żałości —
Bom przyprowadził tutaj ducha bez litości,
Któremu, jak król, oddam jutro ludzi mnóstwo.
Stoi na progu — imię jego jest: „ubóstwo",
Które pod jednym płaszczem cały kraj przytula.
Witaj go, matko moja — bo jest królem króla!
Przyjmij go! Jeśli zostać chcesz z lakońskim gminem,
Chcesz być królową — to go nazwij twoim synem
I przyjmij w dom, bom ja go aż z niebios przywołał!

ARCHIDAMIA.

Precz stąd, żebraku!

AGIS.

Jeślim nie podołał
Starym kobietom, tom nie wart być mężem
I królem Sparty!

ARCHIDAMIA.

Co? Myślisz orężem
Zdobywać twój dom i brać skarby moje?

AGIS.

Nie w domu jestem, lecz na rynku stoję,
Jako król ludu, wytryśnięty z bruku.
Idź i zapróbuj na bronzowym wnuku
Paznokci twoich!... Ani ruszę głowy,
Choćbym był cały, jak król, purpurowy —
Choćbyś...

ARCHIDAMIA.

Odarła cię, jak orzeł z ciała,
Co?...

AGIS.

Choćbyś nawet...

ARCHIDAMIA.

Co?

AGIS.

Choćbyś skonała!

ARCHIDAMIA.

Agezystrato, słyszysz, co on gada?!

AGEZYSTRATA.

Słucham...

ARCHIDAMIA.

Czy słyszysz, jaki głos?!

AGIŚ.

Upada...

ARCHIDAMIA.

Sparta — ach, Sparta!...

AGIS.

Z ust się leje piana...

AGEZYSTRATA.

Przez święte duchy wzięta i targana. —
Nie lękajcie się krzyków...

ARCHIDAMIA.

Sparta! Sparta!
Ho, ho, ho! Włóżcie mi w zęby wrzeciono!
Sparta! — Puszczajcie wnukiem oszaloną!
Sparta, ha!...

AGIS.

Chodźmy. Tu rzuciłem ducha,
A ta pierś jedna, cudownie otwarta,
Przywoła inne. Bóg muzyki słucha
I na gwiazdach mi ton słowiański daje.
Tak wszystko służy temu, kto z Boga powstaje!...

Odchodzą.

CHORUS.

O, wszystko służy temu, kto powstaje z Boga!
Nawet się Leonidas, drugi król, odmieni,
Nawet się Sparta cała, już w ogień uboga,
Pokaże, jak różowa kolumna z płomieni
I przez Achajską ligę[1] przejdzie strasznym krokiem,
Jak Bóg dawny, okryty mówiącym obłokiem.

Duch jednego człowieka, kiedy kraj owionie,
To mu czyni tę chmurę — straszną, tajemniczą,
W której błyskają tarcze i parskają konie
I szczękają oręże, znane hasła krzyczą —
A pieśń poetów wszystko dokoła odzwania,
Jako ton dalekiego płaczu i śpiewania...

Lecz oto macie Spartę kamienną przed okiem,
I lud, który się tłoczy około mównicy —
I dwa króle, stojące przed narodu tłokiem,
Oba z odkrytą głową — w miedzianej zbroicy —
Gotowi zdawać sprawę z serca i z zarządu,
Jakby wobec boskiego postawieni sądu.

---

[1] Zawiązana przez miasta achajskie w r. 280 przed Chr. celem utrzymania niepodległości.

SCENA VI.

Rynek.

AGIS. — LEONIDAS.

AGIS.

Niech Leonidas pierwszy głos zabierze.

LEONIDAS.

Tyś mię zawezwał na to posiedzenie.

AGIS.

Chciałem ci nędzę narodu pokazać.

LEONIDAS.

O, niepotrzebna troska; znam ją dobrze.

AGIS.

Idzie więc, sądzę, o prędkie lekarstwo.

LEONIDAS.

Widzę, że młodzież zebrałeś przy sobie.

AGIS.

A tyś starcami cały się otoczył.

LEONIDAS.

Więc bliższy jestem, jak widzisz, Plutona,[1]

AGIS.

Do ludu z naszą mową się obróćmy.

LEONIDAS.

Lud zawsze słyszy, gdy się kłócą króle.

AGIS.

Ja żadnej z tobą kłótni ne zaczynam.

LEONIDAS.

A jednak twój ton rąbie, jak siekiera.

AGIS.

Chcesz więc, ażebym cicho, jak oliwa,
Zaczął z mównicy lać mojego ducha?

[1] Pluton, władca podziemia.

LEONIDAS.

Jakiż to geniusz w tobie taki cichy,
Że, jak oliwa, dar Minerwy płynie?

AGIS.

Geniusz Likurga!

LEONIDAS.

O — groźne nazwisko!
Zanadto może płocho wywołane...

AGIS.

Lud mię usłucha w imię tego męża,
I ty sam przyznasz, że mam dobre plecy.

LEONIDAS.

Idźmy więc oba przed sądem eforów
Złożyć przysięgę...

AGIS.

Dobrze — na to zgoda!...

Odchodzą.

SCENA VII.

LUD. — CHORUS.

PIERWSZY Z LUDU.

Vivat! Vivat!

DRUGI.

Co słychać?

PIERWSZY.

Wolność i równość i podział ziemi i uwolnienie od długów raz na zawsze!

DRUGI.

Vivat! Vivat!

PIERWSZY.

Nikt więcej nie będzie wierzycielem i nikt nie będzie dłużnikiem! Stoły z czarną polewką, jak za Likurga — i panny nagie, certujące się w cyrku...

DRUGI MIESZCZANIN.

Bah, ja mam dwie dziewki.

PIERWSZY.

A cóż ci to szkodzi?

DRUGI.

Jedna krzywa pod prawą łopatką.

PIERWSZY.

W certamentach postawisz ją na lewem skrzydle; nie będzie widać.

TRZECI.

Ho, ho!

PIERWSZY.

A co tam znowu?

TRZECI.

Na ognisku świętym popalono skrypta: Agis swoje, Agezylausz swoje, Demades i Democharesswoje...

PIERWSZY.

Democharesz? A to musiał spalić żonine papiloty. On nigdy nikomu nie pożyczył grosza.

TRZECI.

Przyniósł, jak inni, załojone papiery i rzucił w ogień z fizjognonią nader smętnego człowieka.

PIERWSZY.

Democharesz?

TRZECI.

Domownik zwykły Agisa.

PIERWSZY.

W głowę zachodzę, jakie on skrypta rzucił w ogień eforów — w głowę zachodzę... I dlaczego był smutny?... Chodźmy-no popatrzyć na ten ogień i na twarze dłużników...

CHORUS.

O, biedna zgrajo, która nie widzisz w istocie,
Tylko same pieniądze, tylko ducha maskę —
I ofiarę, paloną dawniej świętej cnocie,
Bierzesz albo za głupstwo, albo też za łaskę!
Godnaś jest, abyś była przez jędze sieczona,

I szła, ciągle jęcząca, w królestwo Plutona.
Tam, pod laurowym gajem, przy gmachu eforów,
Odbywa się najświętsza kraju tajemnica;
W gaj ucieka wężowa Eumenida sporów —
Miłość podnosi serca, rozsłonecznia lica —
A ty, o biedny ludu, na końcu ogona
Czekasz, aż nędzę twoją śmierć pokona!

Lecz widzę Leonidasa,
Który z placu smętny wraca,

Zwyciężony przez Agisa.
Żona go, Krateryka,
Na progu domowym wita —
I królewna Chelonida
Srebrną mu podaje czarę —
I syn, Kleomenes młody,
Jako Hesperus[1] różany,
Zdziwiony jest, że mu w łonie
Spartańska się dusza ruszyła.

SCENA VIII.

W domu Leonidasa.
LEONIDAS. KRATERYKA. CHELONIDA. CHÓR.

LEONIDAS.

Na krótko wracam, żono. Daj mi, Chelenido,
Suplikanta ubiór — czarny płaszcz z kapturem;
Do Kalkioikos idę świątyni.

KRATERYKA.

Wygnany?

LEONIDAS.

Nie jeszcze. Noc głęboka zaziera w te ściany...
Spieszcie się i okryjcie mnie smutku kolorem!
O gwiazdy nieśmiertelne!

KRATERYKA.

Czy tak źle ze Spartą?

LEONIDAS.

Agezylausz został obrany eforem...

KRATERYKA.

Ten pies?...

LEONIDAS.

Świątynię Boga jeszcze mam otwartą.
Bądźcie zdrowe!...

CHELONIDA.

A mąż mój, Kleombrotus?

LEONIDAS.

Zdrowy.
Właśnie się teraz ubrał w mój płaszcz purpurowy
I, ukłówszy się w rękę swoją szpilką własną,

[1] Hesperus, Gwiazda wieczorna.

Pokazuje ludowi krwi perełkę jasną,
Klnąc się, że jest królewskim rubinem.

KRATERYKA.

Co? Kleombrotus twój, Chelenido,
Szpileczką twoją żyły przekala,
Krew pokazuje — i klnie się Bogiem,
Że jest królewską ta krew płynąca?...

CHELONIDA.

Djano, w złotym kręgu miesiąca —
Świeć mi posępnie! Za ojcem idę...

LEONIDAS.

Ty?

CHELONIDA.

Suplikantką idę za tobą —
I męża mego całą ohydę
Zasłonię tobie moją żałobą,
Moją miłością wierną, dziecinną.
Ty siędziesz smętny w gmachu Neptuna,
Jak bez piorunów — bożek pioruna...
Ja tobie jaką piosenkę gminną
Będę śpiewała w progu kościoła,
A harfą moją dorycką będą
Po czole gmachu rosnące zioła,
A siostry moje — pająki małe,
Które po gmachu Arachnie przędą
Płótna, jak gwiazdy, miesiące białe,
Drżące na każdy powiew wietrzyka...
Azylum twoje, ojcze, mi będzie,
Jak jaka nowa kraina dzika
Ciszy i cienia — gdzie smutno wszędzie,
A jednak wszędzie sercu spokojnie.

LEONIDAS.

Idźmy więc, córko! A ty zaś, synu,
Na placu pokaż się śmiało, zbrojnie
Gotów do walki, gotów do czynu!
A ty siedź w domu, Kratezylejo —
Aż wiatry nowe szczęścia zawieją
I znowu w żagle królewskie wioną!

CHELONIDA.

Przed tobą idę... i tą czerwoną
Pochodnią, jak duch wiecznego spania,

Oświecam tobie ścieżkę wygnania,
Smętniejszą bardziej, niż Styksu tonie.

Odchodzą.

KRATERYKA.

A ja zostałam, Spartanka w łonie,
Bez męża, córki — z tym jednym synem,
Który, młodości przechodząc szały,
Lata na orłach, pływa delfinem —
I nie wiem, czy dostąpi szaleństwa — czy chwały...

CHORUS.

O Sparto — cudowny kraju,
Gdzie pierwsza człowieka siła
Posągiem białym świeciła
Pośród laurowego gaju —
Kędy straszny głos eforów
Wychodził z ciemnej kaplicy,
Jak piorun po błyskawicy,
Z chmurną starości powagą —
Obudź się — i niech tęcza ostatnia kolorów,
Która posągu piękność przed ludem odmyka.
Przejdzie po twoim czole białym i nie znika!

SCENA IX.

AGIS. KLEOMBROTUS. AGEZYLAUSZ. LUD.

AGIS.

Uściśnijmy się tu, Kleombrocie!
Jam nie winien, żeś teścia utracił,
Królem został i nagle owdowiał.
Dawne prawo, przez stare efory
Obudzone, wyszło ze świątyni —
Leonida z ojczyzny wygnało...
A to drugie prawo, jeszcze starsze,
Które wiodło kędyś Antygonę,
Że za starym królem i żebrakiem
Szła po puszczach i piosnki śpiewała —
Wstało także, o cnotach budzonych
Słysząc w Sparcie — i do Chelonidy,
Niby gołąb, do serca wleciało...

KLEOMBROTUS.

O, przeklęta niech będzie!

AGIS.

Na miesiąc
Złoty, proszę — przebacz tej kobiecie!

KLEOMBROTUS.

Nigdy, nigdy!...

AGIS.

Więc się rozwiedź na wieki —
I ze Spartą się ożeń!...

KLEOMBROTUS.

Agisie,
To nie miłość święta Antygony —
Ale wściekłość przeciwko mężowi,
Ale zemsta — prawdziwie spartańska —
Żonę moją do tego podwiodła,
Że mię — słysząc już królem — rzuciła.
I gdzieś teraz z poza laurów kościelnych,
Jako satyr schowany, wygląda,
Niby szydząc: „A cóż, zimno ci, królu?...“

AGIS.

Lepszej serca ludzkiego połowie
Wolisz czyny przesądzać. — Żegnaj mi,
A przeciwko żonie nie burz serca...

Kleombrotus odchodzi.

AGEZYLAUSZ.

Jestem. Pomogłem ci wiele
Dzisiaj tą gwiazdą srebrną...

AGIS.

Nie żądałem wcale,
Przed eforami stojąc w ognistym zapale,
Gdy słowo moje grzmiało w ogromnym kościele —
Abyś mi tak pomagał, króla powaleniem.
Widzę go — gdzieś w świątyni, pod dębowym cieniem,
Na ułomku kolumny, którą przed nim zwalił
Jakiś wiatr — że przeciwko nam wytężył ducha,
Źrenice jasne ogniem mściciela zapalił,
I klnie — a córka stoi na wietrze i słucha,
Cała drżąca...

AGEZYLAUSZ.

Uciekną wkrótce do Tegei.

AGIS.

Czemu to mówisz?

AGEZYLAUSZ.

Snycerz, kiedy posąg klei —
Zebrawszy roztrzaskane piorunem kawałki,
Naprzód składa — a części, w pył rozbite miałki,

Innemi zastępuje. Tak królewska cnota,
Dwukoronowa, nową część ma z Kleombrota —
I z tą się musi trzymać, aby długo trwała...
Cóż, gdy się znajdzie tamten znów kawałek ciała,
A lud — pomiędzy dwoma — starą część wybierze?...

AGIS.

Cóż radzisz?

AGEZYLAUSZ.

Posłać jakie najemne żołnierze —
Zabić Leonidasa. Ja, który obalam
Posągi — radzę zabić.

AGIS.

Ja, król, nie pozwalam!

AGEZYLAUSZ.

Dobrze; więc o tem więcej nie będzie tu mowy.
(Stanął mi nagle w oczach, jak kto marmurowy).

AGIS.

Chodź ze mną. Agiatis napędzę, jak dziewkę.
Oby nam pierwszą czarną warzyła polewkę;
Ujrzysz i Archidamią przy saganie starą,
Od ognia purpurową, dymu kłębem szarą,
Jakby z kraju Plutona, gdzie porządek czyni
Likurgowy — przysłana do nas ochmistrzyni.
Potem ci wina małą czareczkę podadzą,
Jeśli pić zechcesz, zielem świętym dom wykadzą
I zasiądą do wrzecion wszystkie trzy królowe,
Nam zostawiwszy wielką o kraju rozmowę.

Odchodzą.

CHORUS.

O, ciesz się — bo, zaprawdę, w królewskie żywoty
Nemezis wprzęgła tylko jeden wieczór taki;
Jeden, co się zamieszał, łabędź, zorzą złoty,
Między chmurne, jęczące żórawiane ptaki.
Innych szczęść także ludzie kosztują niebieskich,
Ale im ku radości braknie serc królewskich.
Ciesz się więc, bo już słyszę, jako orły skalne
Różne jędze, lecące tu z piórnym klekotem,
Które mięszają moje muzyki choralne
I biją życia wielki takt odległym grzmotem.
Prędzej, prędzej! Na szczęścia odpoczywaj łonie,
Bo ci nieszczęścia z szumem kortyny odsłonie!

AKT II.

SCENA I.

Namiot Aratusa.
ARATUS. — CHORUS.

CHORUS.

Jako na tarczy Achilla
Malowidło Homerowe
Na srebro, ogniem różowe,
Tęczą żywota wybiegło —

Podobnie ta spartańska jasna życia chwila
Zda się cudem!...

Tam łąkę widzicie rozległą,
Gdzie lud, lasów laurowych i kościoła bliski,
Probuje sił. Tam grzmiące, srebrne lecą dyski;
Czasem który do gaju oliwnego wskoczy
I tam, jak miesiąc srebrny, po ziemi się toczy,
W laury wpadnie i coraz wolniejszym obrotem
Oświeca ciemnią krzewów, niby słońca złotem;
Nareszcie, zakreśliwszy koło już leniwe,
Posągom u stóp kładnie swoje ognie żywe.
Za nim młodzieńce biegną w las wilgotny, ciemny,
Gdzie chłód i odpoczynek znajdują przyjemny.

Tam, pod świątyń kolumnami,
Łabędzie dziewic gromady,
W siódemkach — jak Pelejady, —
Z lutnią, albo wrzecionami,
Obracają czarne oko
Na gładkie marmurów czoła;
Jak lilje, rosną wysoko
W górę — jak laurowe zioła.

Tam, na łąkach, gdzie słońce ogniste dojrzewa,
A pastuchowi w oczy patrzy pies rozumny,
Zabielił się owcami cień każdego drzewa,
A girlandą jest owiec — cień każdej kolumny;
A filozofy chodzą i oczyma mierzą,
Jak pięknemi te owce gromadkami leżą.

Najgłośniejszej braknie zgrai:
Rycerskiej braknie młodzieży,
Która wojuje w Achai
Z Agisem i Kleombrotem.
Oto wódz Aratus leży
Pod purpurowym namiotem —
I o spartańskich królach pierwszych wieści słucha.

ARATUS.

Mówicie, że Spartanie...

GONIEC.

Strasznego nam ducha
Niosą... Pasterze biegną za niemi, jak owce;
Skały podnoszą ręce, dziwiąc się; grobowce,
Których pieśń jest od nimfy Echa pożyczona,
Jeden tylko dziś mają głos: „Lecedemona!"
I te słowo śpiewają z smętkiem i uciechą,
Bo każdy siedm luteń ma — jak nimfa Echo,
A lutnie nakształt boskich rozstawione koni;
Ostatnia to powtarza, co pierwsza zadzwoni...
A choć najsłabsza — zda się, że na morzu kona.
Jeszcze słychać — gdy słuchasz: „O! Lacedemona!"
Gdzieś już na morzu niby, gdzieś już aż w Egei
Ten głos jęczy i pełny jest wielkich nadziei,
Choć przez nimfę przeszłości tesknej wymówiony.

ARATUS.

Tu, przed godziną, smętnie pochylony
Król, w suplikanta żałosnym ubiorze,
Z córką, na której podarta tunika,
(Kawałki cierniom leśnym dać musiała) —
Łzami wielkiemi zalani oboje,
Przedemną, jako przed wodzem Achai,
Klęczeli — prosząc przeciwko ojczyźnie
Greków pomocy. Ale ja, Aratus —
Który od pługa imie moje biorę,
A sławę moją ciężko wyorałem,
I Aratusem po dwakroć zostałem:
Przez urodzenie i przez moje czyny —
Ani litością dla młodej dziewczyny,
Ani zawiścią przeciw młodej sławie
Nie dam się ruszyć, ani się postawię
Przeciwko cnocie i sprawiedliwości. —
Czekam więc królów, jako moich gości,
A sam zobaczę, czy je zwać królami?...

SCENA II.

ARTUS. — Wchodzą AGIS i KLEOMBROTUS.

ARATUS.

Cóż to za ludzie?...

AGIS.

Weszliśmy tu sami.

ARATUS.

Pastuchy jakie, którym wzięto trzody?...
Piękną ma postać ten chłop — jasny, młody,
Okryty skórą zwierza, z piersią gołą,
Który hełm sobie miesięczny na czoło
Włożył — zapewne znaleziony w lesie,
Dar Djanniany...

AGIS.

Pozdrowienie niesie
Aratusowi — król Sparty,

ARATUS.

A gdzie on?...
Czyś gdzie uciekł przed nim, jak Akteon
Przed psami, żeś tu stanął tak spalony?

AGIS.

Jam jest król Sparty.

ARATUS.

Ty?...

AGIS.

Ja.

ARATUS.

A Lakony?...

AGIS.

Lakony moje są, jak dzikie woły:
Przestraszyła je namiotu purpura,
Brzęk instrumentów i słońc pełna chmura
Leżąca tutaj: między leśne gaje
Stanęli, mówię tobie, jak buhaje:
Patrzą i twarde wprzód spuścili rogi —
A ja sam, pastuch, król — tu...

ARATUS.

Dać mu czarę!

AGIS.

Nie jestem wcale głodny, choć ubogi.

ARATUS.

Siadaj! — Odsłońcie ludziom tę kotarę!
Zaprawdę — godne tego ludzkie oczy,
I nawet słońca Bóg słoneczny godzien
Oglądać tego rycerza! — O achajscy męże!

Oto jedynak świata, bo, choć dwaj są króle,
To oba jak bliźnięta w jeden posąg złoty,
W pitagorejską jedność przez boskość prostoty
W podobieństwo przelani, jeden posąg czynią:
A ta godność jest taką chodzącą świątynią,
I takie ma wśród Greków, jak wiecie, uczczenie!
Dziwne jakieś, przez duchy dane, namaszczenie!
Zdarzało się, że żołnierz śród bojowej burzy,
Kiedy się wiatr dzidami srebrnemi zachmurzy,
A ta się postać króla nagle przed nim zjawi,
Zamiast iść naprzód, tarczę przed sobą postawi,
A sam odwróci twarzy i, zgięty na stronę,
Jak drzewo, gradobiciem odwiane, schylone,
Na ramiona przyjmuje wszelki grad i czeka,
By nie uderzył w króla Sparty, jak w człowieka!
A ci królowie... królowie ci nigdy nie giną;
Ja sam pamiętam, kiedym był dzieciną,
Wielkości żadnej ludzkiej nieświadomy,
Nieraz wielkiego doznawałem strachu,
Tę świętość marząc, straszniejszą nad gromy,
Nad błyskawice — i oto dziś, stary,
Kiedy już myślom ognia i zapału
Braknie, oglądam twarz dziecinnej mary,
Którą Bóg (myśląc, że się, stary, zlęknę)
Ubrał w oblicze proste, ciche, piękne
I przyprowadził mi tu, jak pastucha,
Abym nie odszedł z ziemi — bez wspomnienia.
Jak Her Armeńczyk, mając mego ducha
Uwolnionego — jeśli wolno będzie
Brać nowe ciało, wyszedłszy z płomienia —
To muzykantom zostawię łabędzie,
A orle drugim, jako ja, Aratom,
A ludziom ludzkie, a tyrańskie katom
Zostawię ciała, z sercami tygrysa —
A sam zrzucony płaszcz z króla Agisa,
Albo ten drugi kształt ludzkiego ciała,
Jeśli się bogom podoba na niebie
Znów go urodzić — przywdzieję na siebie
I między kształtów tysiącem wybiorę.

AGIS.

Chwalisz mię?...

ARATUS.

Tylko przed Grekami biorę
Krok jeden naprzód; a to mi wypada,
Bom wódz — i wiek mam prawie twego dziada,
A więc cię, jako dziad gaduła, chwalę.

AGIS.

Nigdym nie sądził, że w takim zapale
Dla królów Sparty znajdę Grecję całą.
Gdziem szedł, to wioska lub miasto śpiewało,
Nad szmery leśne, nad strumienie skalne
Głośniejsze, lepsze — muzyki choralne,
Wołając dawne królewskie imiona.
A tu Aratus, do Agamemnona
Podobny ligi wodzowstwem i wiekiem,
Nazwał mię królem i zrobił człowiekiem,
Mnie, który dzieckiem tu służyć przychodzę!
O, jakże łatwo w kraju, gdzie są wodze,
Znawce z oblicza i zasług rachmistrze,
Iść człowiekowi przez cnoty najczystsze,
A nic nie stracić, zapomniawszy siebie!
Aratusowi więc tu nie pochlebię,
Bo się to czynić młodszemu nie godzi;
Ale mu się dam z garścią mojej młodzi —
I niech wojuje z etolską krainą
Królami, którzy, jak mówi, nie giną.

ARATUS.

Za nieśmiertelnych was w rachubę kładę
I obu zaraz wodzom prowadzę na radę.

CHORUS.

Smętek! Smętek! Widziałem nad Koryntu czołem
Ranną tęczę — słyszałem brzęk błękitnej fali.
Tam gdzie Agis miłości pierwszej apostołem
Stanął — widziałem chmurny, mroczny Parnas w dali.
Jako ptaszkowie, z miejsca na miejsce przenośni,
Czułem w łonie, że serce uderzyło głośniej.

Niby dziewczęta nasze na wybitym toku
Zmiatały w czarne kopce rodzynek granaty;
Kilka kolumn korynckich w przesrebrnym obłoku
Morskiej pary, w kamienne rozwiniętych kwiaty,
Świadczyło o Djanny srebrzystej uczczeniu;
Choć czyste bóstwo — serce me było w płomieniu.

Nie wiem... ale w tych miejscach był wdzięk niewidzialny,
Który na ustach moich ciągłą pieśń zaczynał,
Jak gdybym ja był jeden głos, dawniej choralny,
Który o wielu dźwiękach już pozapominał
I z wielą się głosami bratniemi rozłączył,
A teraz, jak samotny, przyszedł — aby skończył.

SCENA III.

W domu Agisa.

AGEZYSTRATA. AGIATIS. DZIEWICE. CHORUS. Nadchodzi ARCHIDAMIA.

ARCHIDAMIA.

O, biedna Sparta!...

CHORUS.

Ciszej! Kto mię woła?

ARCHIDAMIA.

O, biedna Sparta!

CHORUS.

Archidamji lament.

AGEZYSTRATA.

Wraca przerażona z kościoła Matka nasza...

ARCHIDAMIA.

Nieszczęście i zamęt!...

AGEZYSTRATA.

Archidamjo, mów!

ARCHIDAMIA.

Agezylausz...

AGEZYSTRATA.

Co?...

ARCHIDAMIA.

Ten efor przeklęty nie tylko że mego wnuka zgubi, ale Spartę całą do zguby prowadzi. Ach — my, kobiety, mamy serca Spartanek — i ta młodzież, która wyszła z Agisem, Spartę męską wyniosła; reszta, która tu została, schowałaby się pod moją spodnicę...

AGEZYSTRATA.

Cóż się stało?

ARCHIDAMIA.

Apollo ich przemienił w żaby. Siedzą około świątyni eforów i skrzeczą, a nie mają tu siły tego skąpca Agezylausza, który dodał do roku miesiąc trzynasty z łaski — i rozdziawił paszczę rokowi, aby mu trzynaście złotych wyciągnął języków — nie mają tu siły kalendarz mu wypisać na grzbiecie i na łbie łysym zrobić mu kompas czasu, zatknąwszy w nim dzidę miernika.

AGIATIS.

Agis wróci i wszystko naprawi,

ARCHIDAMIA.

Milcz mi, Agisko ty jakaś!... Panieństwo Agisowego rządu wzięte; Agis znajdzie serca skwaszone, zastanie trzynaście miesięcy w roku, a w kieszeniach spartańskich zaćmienie słońca...

SCENA IV.

Ciż sami. Nadto AGEZYLAUSZ, DEMADES i DEMOCHARES.

AGEZYSTRATA.

Agezylausz wchodzi.

ARCHIDAMIA.

Ha, to ty, astronomie?!...

AGEZYLAUSZ.

Słyszałem, żeś waćpani narobiła wrzasku w kościele.

ARCHIDAMIA.

Wrzasku i blasku, co?...

AGEZYLAUSZ.

Lud się nieco waćpani krzykiem poruszył.

ARCHIDAMIA.

Jak ja lud poruszę, to waćpan weźmiesz duszę na plecy i uciekniesz z czerwonego krzesła do świątyni strachu, pięcią ranami bolesnemi okryty.

AGEZYLAUSZ.

A kiedy to będzie?... Słyszycie, panowie Demades i panie Democharesie? Zapowiada rzeź eforów.

ARCHIDAMIA.

Zapowiadam ci czerwoną godzinę!...

AGEZYLAUSZ.

A za co?

ARCHIDAMIA.

Boś syna mego oszukał, prawo podziału ziemi zwlókł, a z długów się uwolnił.

AGEZYLAUSZ.

Bóg widzi, że podział ziemi był zawczesny.

ARCHIDAMIA.

Demady! Demochary! Wy, Agisa przyjaciele, w domu moim wychowani — powiedzcie, co było dawniej — a co teraz... Co

rok, o, tu, we framudze, sześćdziesiąt dzbanów oliwy — a tu sześćdziesiąt kopców rodzynek korynckich... Stodół moich bał się Bóg głodu, gdy przetrząsano cynamony w spiżarniach, miasto kichało... Teraz ja wymieść kazałam wszystko na ulice, z kieszeń nawet proszek wytrząsłam — klucze wrzuciłam do źródła Djanny... Ślubowałam na czystość spiżarni ja, stara Spartanka, pierwsza klucznica, do której Bachus przysyłał z nieba po wino stare dla Aleksandra Macedońskiego, gdy dostał żółtaczki, widząc sławę mojego Agisa... Jam wszystko wydała; nakarbowane długi odpuściła, arend się wyrzekła. Oleju nie mam na lampę — a tyś mi trzynasty ciemny miesiąc eforski wyforował — i podatkami astronomujesz, jak egipski magister...

AGEZYLAUSZ.

Nie widzisz waćpani, że ja, miesiącem dłużej zostając eforem, mogę być wielce użyteczny króla Agisa zamiarom?

ARCHIDAMIA.

Masz ty swoje własne zamiary — a ufasz, że cię syn Hipomedon od stryczka obroni. Ja stary duch; ja widzę twego ducha i widzę, co on widzi — i jeszcze coś więcej... Głupi jesteś starzec, bo myślisz, że oszukaństwo jest rozumem — i sam oszukujesz własną nieśmiertelność. Idź, idź i kop twoje doły kreciane! Ja sama nie mogę przeciw bogom, ani chcę czynić tego, co Bóg musi.

AGEZYLAUSZ.

W zupełny szał wpadła ta szanowna matrona.

ARCHIDAMIA.

Dziewczęta! Płótna bielić na łąki!...

DZIEWICE.

Idziemy, matko...

CHORUS.

Duch Sparty gadać zaczyna przez usta,
Co, jako róży zwiędłej listek siny,
Drżą już na wietrze. Z twarzy, co, jak chusta
Zmięta, śmiertelne ma pozłotowiny —
Błysnęła pierwsza błyskawica pusta,
Duch — świadek przyszłej i przeszłej godziny.

ARCHIDAMIA.

Demadesie! Panie Democharu!

DEMADES i DEMOCHARES.

Słuchamy cię, szanowna matrono, matko Sparty.

ARCHIDAMIA.

Matka ja nieszczęśliwa, bo mi dziecko odłączono, nim zębów dostało. Sakwy na plecy i spieszcie do Agisa, niech nie powraca bez Olimpu na plecach!

DEMOCHARES.

Co ona gada?

DEMADES.

Ot — bredzi, jak ślepa.

ARCHIDAMIA.

Olimp na plecach z błyskawicami niech przyniesie,
Niechaj rzuci go z góry na dom eforów —
Inaczej Sparta padła, Sparta padła!...

DEMOCHARES.

Co ta stara krzyczy?!...

ARCHIDAMIA.

Mówcie, żem ja siedziała przy ognisku,
Żem krzyczała z popiołów, aż bogi się ruszą,
Powiedzcie, że mnie w nocy duchy duszą,
I ze spiżarni szczury uciekły gromadą;
Trupem się poczuł dom mój —
Wbiegły tu Meduźnice
I przy ognisku siadły z twarzą bladą...

DEMOCHARES.

Co to za szał?...

ARCHIDAMIA.

Twarze ich były blade, jak błyskawice,
Oczy były zielone, jak grosz opleśniały;
Łzy purpurowe ciekły — ubiór, jak trąd biały,
Jako łuska na karpiu się skrzył pod skrobaniem...

DEMADES.

Horrendum jakieś!

ARCHIDAMIA.

I świstem, jako dwa węże, w ognisko uciekły:
Sz — sz — sz...

DEMADES.

Przyprowadzi chmury i wiatry z błyskaniem...
Mnie samemu zawraca się głowa... O Sparto!
Ufaj nam, przyjaciołom Agisa! Otwartą
Znaliśmy twoją rękę: jeżeliby kiedy
Los się odwrócił, a nas, przez dziwną fortunę,

Z Agisa domowników przerobił na stróży
I obrońców — ufaj nam, poważna matrono,
Że ja i Democharés i Arcezylausz,
W nieszczęsnej się godzinie znajdziemy przy boku
Wnuka twego i wierni dotrwamy królowi.

ARCHIDAMIA.

Bóg słyszy! Bóg was słyszy!

DEMOCHARES.

Miej dobrą otuchę! —
Agis wróci, zwycięstwo nad Etolczykami
Włożywszy tak na plecy, jakoby barana,
Którego tu beczenie usłyszą Spartanie,
Nim się Agis pokaże — i z lasów oliwnych
Od tarcz miedzianych słońce odbite przyleci.
Dobrej, dobrej otuchy bądź, stara matrono,
I piecz chleby i stoły publiczne nakrywaj.
My pomożemy tobie w domowej usłudze:
Czy ze dzbanami każesz do źródeł po wodę,
Czy do żaren nas zaprzesz obracać kamienie
I rzek nimfy wyręczać naszemi rękami...

ARCHIDAMIA.

Ja wam sakwy napełnię i poszlę górami,
W ślad za moim Agisem — a wy mu powiecie,
Aby się nie dał w życiu nikomu na świecie
Zwyciężyć, bo mi jego genjusz się złoty
Pokazał, cały w gwiazdy ubrany i w grzmoty
I prosił, mówiąc: „O, proś za mną twego wnuka —
Niechaj mi ani wobec tęczowego łuka,
Ani wobec Minerwy upadać nie każe,
Choćby się wszystkie duchów innych greckie twarze,
Które w Achajskiej lidze są, pokazywały!
Niechaj mną, niewidzialnym bogiem, stoi śmiały
I weźmie krok naczelny nad Achaje zdradne,
Bo, jeśli z jego winy tylko raz upadnę,
I zawstydzę się — będę przeciw niemu bił się..."

DEMOCHARES.

Co? Czy ci genjusz syna twego śnił się?...

ARCHIDAMIA.

Objuczeni strasznemi rzeczami — spieszcie się!
Wyprawię was, jak matka, nakarmiwszy brzuchy;
Chodźcie!...

DEMOCHARES.

Co mówisz na to?

DEMADES.

W kieszeniach mam słuchy
I rezolucją — rozum kieszeniami żywię —
Jestem strzałą na złotej potrzeby cięciwie;
Zrobię, co ona każe — skoro mi zapłaci!

CHORUS.

W każdym domu są ludzie, podobni z postaci
Do karjatyd białych, schylonych pod gmachem;
Dopóki dom słonecznych promieni nie straci,
Dopóki młodych dziewic oddycha zapachem,
Dopóki srebrnym brzękiem czar na ucztę dzwoni —
Są, jak osy około kwitnącej jabłoni.
Ale skoro się Panu twojemu i Bogu
Podoba dom zaciemnić — śmierć gdy przezeń wionie,
Albo piorun zawierci łono twego stogu,
Na zgliszczach cię posadzi, jak na czarnym tronie —
Bądź-że wtedy samotnym panem takiej cnoty,
Byś na przyjaciół zdradę — chował uśmiech złoty.
A pewny bądź — Co widzę?! Agis odprawiony
Przez Achajczyki, którzy mu zazdroszczą sławy!
Sam się Aratus zhańbił... i słodkimi tony
Pokrył zazdrość i pełne podłości obawy...
O, jak trudno... jak trudno z ludźmi nie boskiemi,
Którzy są upojeni na śmierć — czarem ziemi.

SCENA V.

Obóz pod Koryntem.

AGIS. — ARATUS.

AGIS.

Próżno oddajesz mi wielkie pochwały,
A nie otwierasz mi zasługi pola;
Jeżeli sądzisz, żem harfą Eola,
Do której greckie matrony dodały
Kilka jonickich strun — to się omylisz,
Bom jest jak dawna lutnia o trzech strunach...

ARATUS.

Choćbyś był o trzech słońcach i o trzech piorunach —
Mnie, starca, nie ustraszysz, ani mię nachylisz
W stronę, sprawiedliwości łaskawej przeciwną.

Etolczykowie przyszli z gałązką oliwną,
O pokój prosząc — a ja mam go pełne łono.

AGIS.

Obaczysz wkrótce z pochodnią czerwoną
I z mieczem krwawym wyłażący z rowu
Pokój etolski.

ARATUS.

Nie dbam wcale o to.
Otośmy teraz zżęli nasze zboża —
Chłopcy jagody bachusowe gniotą,
Ptaszęta małe w polu gospodarzą —
Niech je Etolczyk płoszy — mają skrzydła...

AGIS.

Dobrze — a więc ku Sparcie obrócę się twarzą,
Bo widzę, żeś nas wezwał, jak stare straszydła,
Stawiane w polu złotym ku żyta obronie —
A teraz, niepotrzebnych, odsyłasz.

ARATUS.

W tym łonie,
Jak widzę, wielka bardzo ambicja!

AGIS.

Aracie!...
W mojej spartańskiej, zadymionej chacie
Są dla żebraków długie, czarne ławy:
A wszyscy żebrzą nie grosza — lecz sławy.
A starą babkę mam, bez zębów, która
Chciałaby tarczę moją ssać i z miecza
Usta odwilżyć — jak orzeł, ponura
Macierz całego ludu, nadczłowiecza
Potęgą ducha. — Ta w progu zawarczy...
Kiedy mię ujrzy powracającego
Bez krwi, jak trupa — ale nie na tarczy.
A ja zaś przed nią — do pogłaskanego
W szkole podobny chłopca — spuszczę oczy
I, zrumieniony twojemi pochwały,
Powiem, żem wyszedł na korynckie skały
I, łatawcowi memu ogon smoczy
Zrobiwszy, puścił grzechotnikiem — smoka,
A sam Aratus, głaszcząc mię pod brodę,
Przestrzegał, iżbym nie wpadł w jaką szkodę,
Piorunów jakich nie ściągnął z obłoka —
Po cudzych żytach, ateńskich, nie chodził —
Bawił się — w sławę grał — ale nie szkodził
Sobie, ni drugim.

ARATUS.

Tak Spartanom radzę.

AGIS.

Spartańczyki ci moje kiedyś przyprowadzę,
Jak podrosną...

ARATUS.

Achajska liga na tem zyska.

AGIS.

Bądź zdrów.

ARATUS.

Zaczekaj jeszcze — niechaj się wybłyska
Twój duch i wygrzmi cała gniewu twego chmura.
Spokojny-ś niby, ale wszystkie pióra
Na hełmie twoim trzęsą się od gniewu;
Tak, kiedy chmura czarna grozi drzewu,
Korona cała trzęsie się liściana...

SCENA VI.

Ciż sami. Nadto AMFARES, DEMADES, CHORUS.

AGIS.

Cóż tam od Sparty?...

AMFARES.

Kwas, kwas; republika nowa zaczyna się zawracać, jak wino przeznaczone na ocet... Agezylausz stał się gniazdem octowym...

DEMADES.

Archidamja, prababka twoja, jak kania dżdżu, wygląda zwycięstwa.

AMFARES.

Agezylausz zatrzymał słońce i zrobił miesiąc trzynasty. Obywatele znudzeni są długością roku.

ARATUS.

Wyprawić chcą nową republikę do szkoły ateńskiej na naukę astronomiczną.

AMFARES.

Leonidas zaczyna jak wino stare, nabierać flaworu.

ARATUS.

A Sterus, filozof słowiański, wysiaduje Kleomenesowi, mówiąc, że będzie orzeł z jaja wroniego.

AGIS.

Słyszysz, Aracie, jakie mam nowiny
Z mojej ojczyzny? — Straszni są bogowie,
Którzy tak wiążą razem ludzkie czyny,
Jak Meduźnice, gdy sobie na głowie
Warkocze czeszą, a one się włosy
Wzajemnie między sobą pożrą ... Żegnaj!
Spartańskie tobie przyszłe kiedyś losy
Staną upiorem — a ty je odegnaj
Mieczem, lub — jeśliś jest przed Sparty bogiem
Słaby — to przyzwij sobie Antygona,
I wal nas, jak wróg, twoim własnym wrogiem —
Bo się z tą ligą już Sparta, zdradzona,
Nigdy nie złączy!

ARATUS.

Przyszłość to pokaże ...

CHORUS.

Wyrwana duchów pochodnia czerwona
Nie zgaśnie, aż tu zgaśnie duchów róża.

SCENA VII.

Rynek.

LUD. — SFERUS.

ARATUS.

Co tam?

GONIĘC.

Od Sparty ciągły krzyk i burza.

SCENA VIII.

Rynek.

EFOROWIE. LUD. AGEZYLAUSZ. CHORUS.

CHÓR EFORÓW.

Zwołać lud! Zwołać lud!

PIERWSZY Z LUDU.

Co się dzieje?

DRUGI.

Partia starego króla Leonidasa głowę podnosi; poszli do świątyni Eforów — zrzucą rząd stary ...

TRZECI.

W ciekawych czasach żyjemy; codzień jakaś odmiana.

CZWARTA.

Patrzcie, Agezylausz złożony z eforstwa; idzie tu w ubiorze prostego obywatela.

PIĄTY.

Słuchajmy go, niech się tłumaczy!

AGEZYLAUSZ.

Obywatele! Schodzę z eforstwa radośniej, niż byłem wszedł; a wszedłem na eforstwo, bom wiedział, iż potrzeba starej głowy tam, gdzie stare są prawa, a młodość chce nad prawami panować. Gdyby nie moje stare, opóźniające ręce — stary król Leonidas miałby wziętą głowę — zamiast wziętej korony. — Gdyby nie moje trudne rządy, nie poznalibyście trudności rządu, ani swojego utrudzenia pod złym zarządem. W obliczu Djany powiadam, żem zło obrócił ku dobremu celowi, a cel otrzymał przez mój własny upadek. Ofiaruję więc wam i bogom upadek mój i upadłego człowieka dalszą usługę w równem z wami obywatelstwie.

PIERWSZY Z LUDU.

Rozumiesz to, co gada?

DRUGI.

Pokorny zda się...

AGEZYLAUSZ.

Szczęśliwy jestem, obywatele! Leonidas wrócony z wygnania, porządek zachowany, winy przebaczone, próba odbyta bez szwanku całego kraju: oto są owoce dotkliwych dla nas wypadków, które młodość sprowadziła, a stary zwyczaj naprawił. Słodsze są owoce na starym drzewie i słodkie są czyny powolnej i rozważnej starości. Zachowajcie dla mnie w sercu waszym nieco życzliwości, a towarzyszyć mi będzie w cichym żywocie, na który jużem tylą pracami zasłużył. — Twardy chleb, ale dobrze wysłużony, gryźć będę...

GŁOS Z LUDU.

Archidamia tu biegnie!

CHORUS.

Zaprawdę — widać chmurę na końcu ulicy,
Jasną dziewic twarzami — i starą matronę;
Tu w purpurowych płaszczach i w białej spodnicy
Biegną — jak w błyskawicach upiory szalone,
Pośród zawieruch kraju na rynkach zjawione.

SCENA IX.

Ciż sami. ARCHIDAMIA, później GONIEC.

ARCHIDAMIA, *wbiegając.*

Gdzie jest Agezylausz?

AGEZYLAUSZ.

Przed panią stoję.

ARCHIDAMIA.

Bodajeś zdechł, lichwiarzu; bo gdyby nie twoje
Gardło i brzuch Pythona [1] i uszy Midasa. [2]
Nigdyby Sparta była na hańbę tak wielką
Nie przyszła. Brzuchomówco straszliwy... eforze,
Któremu siedział djabeł wyroczni w żołądku —
Rozprułabym cię nożem, a naród by cały
Widział, że prawdę mówię. O, wężu ty suchy,
Przez szczury zamieszkany, co-ć trzewa wygryzły
I pod serce się teraz dostały — poczekaj,
Wkrótce się rozpadniesz i Sparta obaczy,
Co w tobie było — przez co nie byłeś człowiekiem!

AGEZYLAUSZ.

Uhamuj się acani!

ARCHIDAMIA.

Garczkami na niego!

AGEZYLAUSZ.

Obywatele, proszę — przeciwko wściekłości
Tych kobiet tarcze swoje zastawcie przedemną!

ARCHIDAMIA.

Żółwiu i grzechotniku!

LUD.

Pod gradem czerepów
Cofajmy się z tym starym!

CHORUS.

O, ludu wichrzyco!

PIERWSZY Z LUDU.

Goniec, goniec z Tegei!...

---

[1] Pyton, smok z mitologji greckiej. [2] Midas, król frygijski, który zażądał od Bachusa, aby wszystko czego się dotknie zamieniło się w złoto.

DRUGI.

Co słychać? Co słychać?

GONIEC.

Leonidas tutaj król przybędzie wieczorem
Z Achajczykami, którzy mu na żołdzie służą.

PIERWSZY Z LUDU.

Wszystko się skończy wielką i okropną burzą,
Bo oto Agis wraca.

SCENA X.

Ciż sami. Nadto AGIS, KLEOMBROTUS.
Agis wchodzi.

DRUGI Z LUDU.

Jak pastuch strudzony,
Z obdartemi szykami, smętny, zapylony —
Bez gałązek laurowych wraca młokos prawy.

PIERWSZY.

Patrzcie, jakie to chodzą spartańskie wyprawy
Po złote runo!

DRUGI.

Cha! Cha!

PIERWSZY.

A coście zrobili?

AGIS.

A wy co, ludzie? jadnej nawet chwili
Niezdolni dotrwać tu wolnymi?
A wy — co, jako barany na ziemi,
Zawszebyście to pod berłem chodzili,
I pod psa byli wściekłego kąsaniem?!
Leonidasa wam, prawda, potrzeba?
Żabom lakońskim oto węża z nieba
Zesłać powinien Jowisz — z urąganiem
Nad tą zepsutą i podłą naturą!

PIERWSZY Z LUDU.

Efory nowe cię zrzucili z tronu;
Błagaj, a tonu nie podnoś zbyt górą
Nad ludem!

AGIS.

Królem będę aż do zgonu,
A was traktować, jak dzieci, z uśmiechem...
Królestwa tego nikt mi nie odbierze;
Tego uśmiechu nikt nie zetrze z czoła.
Jeżeli kiedy Sparta się zaśmieje
Z dawnego błędu i z wieku dawnego,
To będzie do mnie uśmiechem podobna.

PIERWSZY Z LUDU.

Rzućmy się — wleczmy go stąd przed efory.

DRUGI.

Daj pokój — młodzież zawsze się go trzyma.

AGIS.

O Kleombrocie! Smętnemi oczyma
Widzę, jak wolność spartańska w żałobie,
Pod miesiącem złotym raz ostatni wschodzi
I złoci stare mchy — kościołów runa.
Uciekaj, królu, do gmachu Neptuna,
Bo ci uciekać się przed teściem godzi.
Ja pójdę z moją żałosną rodziną
Jako król ginąć... Wszystko mię odbiegło.

KLEOMBROTUS.

Bądź zdrów — narody niech więdną i giną,
Bo żyć niegodne.

AGIS.

Wstyd — ty jesteś cegłą —
A przeciw gmachom gadasz, budowanym
Z takich, jako my...

KLEOMBROTUS.

— I Pan Bóg miał glinę
Na takich ludzi.

AGIS.

Nie truj mię, nim zginę!
Umiłowany przez umiłowanych,
Król nad królami żyłem — i w mogile
Nie będę mniejszy, niż w matki żywocie!
Żegnaj mi, królu, bracie Kleombrocie!
Ziemia oparła się miłosnej sile

I nasz grzech, że bram... nie dała.
Lecz kiedyś ruszy, by palcem dotknięta,
Przez króle — takie spartańskie bliźnięta,
Jak my...

PIERWSZY Z LUDU.

Cudowna! Cudowna nowina.

DRUGI Z LUDU.

A co?

PIERWSZY Z LUDU.

Leonid już w swoim pałacu.

DRUGI.

Cóż zrobił?

PIERWSZY.

Talent ofiarował złota
Za głowę zięcia swego Kleombrota.

DRUGI.

A za Agisa?

PIERWSZY.

Nic.

DRUGI.

Zręczny, niecnota;
Rzecz to jest jego — i wyrachowana,
Ta niby wzgarda, głęboko udana,
Która w narodzie drugą wzgardę rodzi
I Agisową powagę podmywa...
Chodźmy, bo czasem niebezpieczną bywa
Noc pierwsza, w której król nowy przychodzi
I dom z dawnego zakurzu wymiata.
Chodźmy. Ta noc zabiła kilka wieków świata!

CHORUS.

Zaprawdę, a spokojna jest; ostatnie krzyki
Zeszły z gajów i poszły z echami na morze —
I w srebrnych rosach dzwonić zaczęły świerszczyki.
Nawet w cedrowej króla zagrodzie i dworze,
Śpiewają ci bezsenni Djany śpiewacy,
Jakgdyby śpiew i brzęki były hymnem pracy.
Wszystko się trudzi i noc odpoczynku niema.
A cóż królewskie serce, przed czasem pęknięte
Siedzi i, twarz zakrywszy rękami obiema
Myśli i do rąk czary łzy wylewa święte —
A czasem je, spłakane, do Boga podnosi,
Biedny duch, który, widać, wypoczynku prosi.

SCENA XI.

W zamku Agisa.

ARCHIDAMIA. AGEZYSTRATA. AGIATIS. AGIS. ARCEZYLAUSZ.

AGEZYSTRATA.

Agisie! — Agiatis, przynieś mu dzieciątko jego, niech popatrzy! Nic nie odpowiada.

AGIATIS.

Pozwól mi, że ci nogi obmyję — i... Chcesz wina? Przekąś chleba kawałek!

ARCHIDAMIA.

A cóż, nic nie gada?

AGEZYSTRATA.

W głębokiej — o, w głębokiej jest syn mój boleści!
Ani na synka spojrzy, ani go popieści —
Ręką wszystko odpycha...

AGIATIS.

I mnie i dziecinę...

AGIS.

Dajcie wody lustralnej! W tę pozłotowinę
Miesiąca zapatrzony, śniłem dziwne cuda...
Kleomen! Dajcie wody — lepiej mi bez luda.
Jestem wszakże człowiekiem i mam ludzkie cele.
Ha, ha! Arcezylausz — moi przyjaciele —
Wszyscy mnie nie odbiegli, jak chciał zwyczaj stary...
Demades także... A to kto? To Democharyl
Na Bachusa! Przyjaciół trzech w takiej godzinie...
Agiatis! Stół — i niechaj nie braknie na winie!
Wy musicie być głodni — co? Głodni być muszą.

ARCEZYLAUSZ.

Co ty gadasz?

ARCHIDAMIA.

Słuchajcie go, on gada duszą —
Śmierć przeczuwa.

AGIS.

Nie — nie — nie, Archidamio. Nie, nie —
Ani nasza fortuna, ani nasze mienie,
Nie mogą zwalić śmierci. Siadajcie do stołu!
Przyjaźń ostatnia, która bluszczowemu ziołu
Każe opleść ruinę, was tu przy mnie trzyma.
Agiatis... ty, z czarnemi jelonka oczyma —
Nie patrz w ziemię! Zespól się tu i rozjaśń lice!

ARCHIDAMIA.

Nie czas, nie czas ucztować. W duchów błyskawice
Iść potrzeba. Wstań, królu — weź garstkę popiołu
Z ogniska i precz z domu...

AGEZYSTRATA.

Gdzie pójdzie mój biedny?

ARCHIDAMIA.

Nie pytaj się! Wy, proszę, trzej, idźcie z Agisem!
Ja was znam, myśli wasze wiem; idźcie z Agisem —
Jak nietoperze w czarnym kościele ochrony,
Siądźcie po kolumnach!... Mówią, że nietoperz
Do śpiącego się ciała przyczepia — wysysa
Krew i sam trupem tłustym odpada od trupa,
A księżyc biały patrzy na ciemne morderstwo.
Wy przeznaczeni lękać się własnego czynu —
I, klnąc nocy, po ciemnym uchrony kościele
Szamocąc się, jako trzy skrzydlate upiory...
Ale słuchajcie: cień, strach — a ja do was przyjdę!

ARCEZYLAUSZ.

To już czyste szaleństwo, szanowna matrono!

ARCHIDAMIA.

Ty, ty, Arcezylausz, na żadną czerwoną
Rękę nie spojrzysz; ale obaczysz, co będzie...
Precz mi z nim!

ARCEZYLAUSZ.

Bogom oto przysięgam, że wszędzie
Pójdę za nim i będę mu stróżem w wierności.

ARCHIDAMIA.

Agezystrato! Syna twego Bóg ugości —
A ty zaś wydaj z kufra kobierce, amfory —
Złoto mu i woń wschodnią i wschodnie kolory
Rozwinąć... Toż to przecie mój wnuk — i szczęśliwa
Dziecina — niechajże mu na niczem nie zbywa,
Niech odeń nędza szara duchów nie odstrasza!
Oto jest, patrz, kobierzec indyjski i czasza —
Weź to w ręce, a to sobie włóż na barki,
I pomnij na Plutona... O piekieł mocarki!
Jak wy mię tu gwałcicie! Wszystko złe, co czynię.

AGEZYSTRATA.

Matko, czy w Chalkioikos kościelnej ruinie
Będzie mój syn bezpieczny?

ARCHIDAMIA.

Róbcie, co ja każę!

AGIS.

Posłuszeństwo ci moje ostatnie pokażę,
Bo ta ostatnia z moich cnót jeszcze w polocie;
Żegnaj, duchu domowy!...

AGEZYSTRATA.

Dom cały w tęsknocie
Zostanie... Czyń, abyś prędko nam powrócił!
Patrzaj, synaczek ręce ci na szyję rzucił —
A trzy lat ma... Czy widzisz?

AGIS.

Czułem. Bądźcie zdrowe. —

Odchodzi z mężczyznami.

CHORUS.

Poszedł — a te niewiasty, posągi perłowe,
Wybiegłszy za nim, stoją pod drzewy dziedzińca,
Białe, jak sny, księżycem złote i różowe,
Ciche, jak mary... Cóż tam za odgłosy z gościńca?
Leonidas, siepacze z pochodniami idą
Zabijać Kleombrota... Płacz nad Chelenidą!
Leonidas grozi... Wartkie jest fortuny koło.

SCENA XII.

ARCEZYLAUSZ.

Co robić? Człowiek ten Dendery zioło
Zawraca głowę Sparcie — póki żywy
Zawsze zwan będzie człowiek sprawiedliwy
I wielki — a ja przy nim sługa podły,
Sługa? Dlaczego?... Nie z tychże ja członków,
Co on? — Nie z tychże myśli ducha biorę?...
Któż mi nałożył dziwną żywota pokorę
I służalstwo? Nie jestże to piekielną karą
Być flaszą, w którą nalał Bóg podłości wina,
Tak, że to każdy wącha, choć człek nic nie gada...
Myślom się nawet brudnym przechadzać zabroni
Po pustem sercu... — Jednak kto to jest? Cień? Mara?

DUCH.

Patrz, ten kobierzec i ta złota czara...

ARCEZYLAUSZ.

Te, co... do króla Agisa należą?

DUCH.

Jutro on trupem.

ARCEZYLAUSZ.

Stój!... W gaju oliwnym
Zniknął... Kto to jest? Ho, spokojnie leżą
Psy w chatach — a ten człowiek z szelestem dziwnym
Przeszedł; o czarze natrącił, przechodząc...
Pójdę za nim...

Pauza.

CHORUS.

O, jakże maleńką, się rodząc,
Jest zdrada! Jakże prędko w wielkie rośnie drzewo,
Do wybuchu przychodzi i do błyskawicy!
Zaprawdę, że najmniejsze nasienie gorczycy,
Ale, jeśli karmione ziemią i ulewą,
Taki ma wkrótce pałac zieleni na głowie,
Że w nim nawet niebiescy mieszkają ptaszkowie.

SCENA XIII.

LUD. CHORUS. LEONIDAS. CHELONIDA.

PIERWSZY Z LUDU.

A to co?

CHORUS.

Idą z pochodnią siepacze —
Leonid grozi, Chelonida płacze...
Ta jedna życie mężowi ubłaga.
I ojca zmiękczy... O, żałosne czasy,
Że we łzach nawet żony jest odwaga;
A łzy są, jako Wenusowe pasy,
I wiążą kobiet spartańskich tuniki
Tęczą, plecioną w gwiazdy i ogniki.
Oto Neptuna gmach, gdzie król schroniony
Obaczył teścia własnego i katy,
I spuścił oczy przed oczyma żony,
Którą pogardził, mając berło — światy...
A teraz ojca swego porzuciła
I tu nad mężem, jak wierzba pochyła,
Stoi, włosami go okrywszy swemi,
Na ziemi cała, kiedy mąż na ziemi.

CHELONIDA.

Ojcze — choć gwałcisz świątynię Neptuna,
A śmiercią grozisz mojemu mężowi,
Słuchajże, co ci córka twoja powie —
Twoja, a twoja — bóg mi za piastuna

Był, kiedyś, ojcze mój, błądził wygnany
I szukał w lasach Tegei schronienia.
Jam u pastuchów biednego płomienia
Siadała z tobą, patrząc na łachmany —
Strudzone twoje nogi łzami-m myła
I memi włosy, pomnisz, ocierała;
Co więcej, byłam, jak Hekuba, cała
W psa przemieniona i na męża-m wyła,
I sławę jego gryzła i wspomnienie,
Jeżeli jakie mi rzucił z litości,
Tom ja pamiątkę jego — pełna złości,
Gryzła, jak pies — co gryzie kamienie
Pastucha; wściekły obróci i chwyta,
I zęby na nich straszliwe połamie,
A jeszcze raz się obejrzy przez ramie,
Szczeknie na komin twój i w ząb zazgrzyta —
Tak ja na męża mego, urażona,
Szczeknęłam — i w tym była moja wola;
Lecz teraz męża mojego niedola
Już mnie nie córką robi, ale żoną.
A co mi łatwiej jest — że z tą żałobą,
Którą mnie twoje nieszczęście oblokło...
W odzieniu, które łzami tak przemokło,
Kiedym jak córka płakała nad tobą —
Teraz tu jako suplikantka stoję,
Lecz niepoznana, może cała drżąca,
Łaski u ciebie żałosnej prosząca,
Abyś pamiętał na ubiory moje...
O, nie chciej, aby żałoba ta sama
I to śmiertelne moje prześcieradło —
Kiedy nieszczęście, ojcze, z ciebie spadło,
Zostały na mnie, jako czerń i plama,
Podwójnej nędzy świadki. Ojcze drogi,
Jeśli ty, sam się o królestwo nowe
Starając, męża mego bierzesz głowę —
Toć właśnie i świat przekonasz i wrogi,
Szarpiące sławę twoją i zamiary,
Że mąż mój prawo miał z garsteczką młodzi
Bunt podnieść. Jeśli wszystko ci się godzi
Dla tej korony — nawet czarne mary
W ten święty kościół wnieść ręką zdradziecką,
Wygryźć stąd stróża Neptuna, anioła,
I na tych marach widzieć własne dziecko...
Bo ja tu weszłam łez wszelkich niewinną,
I suplikantką tu weszłam podróżną,
A już nie wyjdę stąd od męża różną —
A jeśli trupem on — nie wyjdę inną,
Jak trupem. To przysięgam na Neptuna!

LEONIDAS.

Podeszłaś mnie ty! Myślałem, że cała
Żółcią napięta, jako łuku struna,
Przeciw mężowi twemu będziesz stała
Świadkiem sądowym, krzywd własnych mścicielką —
A nie, to, milcząc, jak ludzka mogiła,
Zasmęcisz duszę mu — a tyś położyła
Głowę na jego głowie — z taką wielką
Burzą łez na mnie, przeciw mnie, wypadła,
Że ja... Cóż ja mam z tobą, z temi łzami,
Z żałobą, z temi białemi kwiatami
Wieńca, któryś ty wczora kozom kradła
Na skałach pustych, włócząc się, jak one?...
O, czemu tyś mię tu podeszła zdradnie —
Wiedząc, że miecz mi ten z ręki wypadnie,
Że oczy łzami będą zagaszone,
Że będę musiał uciekać z kościoła
Wstydząc się mojej litości w tęsknocie,
Jakby muzyką złaman...

Zwracając się do Kleombrota:

Kleombrocie
Precz stąd! A w Sparcie nie pokazuj czoła,
Póki ja żyję! A ty, Chelenido,
Chodź i bądź dla mnie aniołem opieki!

CHELONIDA.

O ojcze, ciebie ja żegnam na wieki.

LEONIDAS.

Co?

CHELONIDA.

Moje nogi znowu w podróż idą.

LEONIDAS.

Nie ze mną?...

CHELONIDA.

Ojcze, nie — znów do Tegei...
A już teraz bez żadnej, mój ojcze, nadziei
Ani prośby do Boga, abym tu wróciła —
Boś rzekł, że nas zawoła tu twoja mogiła.

CHORUS.

Jestże to jaka ręka duchów miła,
Która w tych srogich i morderczych czasach
Ten nam Neptuna kościół otworzyła —
I w nim cudowne, patrzcie, promienisko,
Jakoby w ustach tej płaczki płonące,
Złote i w światłach duchy gadające?...,

Któż ją nauczył łzami miękczyć granit
I spełnić takie dzieło cudu boże —
Mówić wilgotnym głosem Oceanid,
W ustach mieć perły i jasności zorze?...
Komu duch daje — a ów sam nie niszczy,
Ale używa podług Boga darów —
W tym wszystko, jako ogień boski, błyszczy,
Wszystko gra, jako harfa pełna czarów,
Wszystko moc światła w błyskawicę zbiera...
Wszystko...

AKT III.

SCENA I.

CHORUS. ARCEZYLAUSZ. AMFARES. DEMOCHARES.

CHÓR.

Są dnie, jakby czerwone i ciężkie — a kto je
Przeżył i czuł, jakoby nieszczęście parzyło,
I strach otwierał krwawym wypadkom podwoje
I ludzką wolę łamał niewidzialną siłą...
Kto takie dnie już przeżył, lub krwią je zapłacił,
Wszelki już smak ku światu słodkim rzeczom stracił...

Wzrokiem surowym rzeczy cielesne przenika,
A stoi pośród małych ludzi jako skała,
Szczęśliwy, jeśli jakie ciało się odmyka
Przez katy, a duch złoty wylatuje z ciała,
Zadrży chwilę i, piorun złamawszy fatalny,
Nad krajem swój rozciąga duch sakramentalny,

Niby z ciała wyrwane piorunowe bicie.
Któremu lżej i lepiej — przez wszystkie miesiące,
I przez wszystkie girlandy komet na błękicie,
I przez wszystkie tu serca, i przez rąk tysiące,
I przez szczepioną w podłych tyranach obawę,
Z ciała uwolnionemu — czynić bożą sprawę.

Pozwólmy jednak strachowi
Cielesnemu naszej sceny
I smutnemu księżycowi —
I dawne greckie Kameny
Przywołajmy tu rozpaczą;
Przy kościele w oliwnych lasach niechaj płaczą!

DEMOCHARES.

Gdzie Agis?

AMFARES.

Jeszcze się dotąd wylega,
Jak na królewskiej pościeli.

DEMOCHARES.

Jegomość...

AMFARES.

Sny dają rzeczy tajemnych widzenie.
Gdyby on teraz przez jakiego szpiega
Myśli człowieczych o tem się dowiedział,
Że my go w drodze oto porwać mamy...

ARCEZYLAUSZ.

Bah!

DEMOCHARES.

Oczy twoje są jak czarne jamy:
Całą noc, widać, duch zgryzoty siedział
Na twoim łożu.

ARCEZYLAUSZ.

Klnę się, żem spał głucho.

AMFARES.

Arcezylaju! Ta złota amfora —
Patrzaj przez dziurę...

DEMOCHARES.

Chodź, powiem na ucho!

ARCEZYLAUSZ.

Głupiś — nie można czekać do wieczora,
Nie można czekać.

DEMOCHARES.

No, to stukaj i budź!...

CHORUS.

Wstawaj — wstawaj, Agisie! Charona łódź
Już gotowa! — Przyjaciół zdrada czeka...
Wstawaj, wstawaj! Już anioł twój z ciała ucieka —
Już raz ostatni oczy otworzysz zaspane
I tu, na te ojczyzny szmaragdy zielone
I na twoje te greckie jutrzenki różane
Po raz ostatni spojrzysz... Jak perły stracone,

Uciekły już dni twoje; niewierni są brysie,
Które u wrót wołają.

ARCEZYLAUSZ.

Agisie! Agisie!
Wpadają i porywają Agisa.

AGIS.

Ha, jak się macie? wierni mi zawsze... Tak rano
Przyszliście? — tą jutrzenką witam was różaną,
I temi gwiazd perłami wam płacę... Co słychać?
Co robi matka moja i żona?

ARCEZYLAUSZ.

Oddychać
Zaczynają, bo wierzą, żeś oto zbawiony.

AGIS.

Sen miałem jednak dziwny: — siedziałem czerwony
Jak król na wózku złotym a moim zaprzęgiem
Był pudel i dwa wróble a wiozły tak szybko,
Że ziemia grzmiała wartką się zdając i chybką
W swym obrocie i cała ołowianym kręgiem,
Około wozu mego skręcona... sen dziwny!...
Bo kiedy w ten las zda się wjechałem oliwny,
Pudel zniknął, a potem i wróbel — a potem
Wóz mój już własnym pędem z potęgą i grzmotem
Leciał w miesiąc świecący za czarnemi drzewy,
I tylko już przed wozem wróbel został lewy,
I ten uciekał, niby przed wózkiem — kulawy,
Świat był czarny, powietrze czarne, mgła z kurzawy,
A jam leciał w ciemnego coś... jak duchów państwo.

ARCEZYLAUSZ.

Chodź do łaźni...

AGIS.

Czy żona zdrowa?...

ARCEZYLAUSZ.

Wszyscy zdrowi.

AGIS.

Idźmy bracia — a co Bóg ze mną postanowi,
To się stanie.

CHORUS.

Zamknijcie już ten kościół, duchy,
Już na wieki zostanie zabity i głuchy,

W te źródła, w te trawy jesienne,
Z czoła zrzucając liści — girlandy kamienne.

GŁOS.

Ruiną jest uczynion...

CHORUS.

Teraz między ludzi,
Gdzie na straszną się mękę dom Agisa budzi...

SCENA II.

ARCHIDAMIA. — KLEOMENES. — AGEZYSTRATA.

ARCHIDAMIA.

Wstawajcie dziewki, a tam na ulicę
Wyjdźcie posłuchać, kogo tam dziś rano
Niestało, kogo dziś zamordowano;
Kto miał na belce swojej szubienicę;
Czyje domostwo dziś wypustoszało;
Kto się z kim spotkał w Plutona płomieniach? —
Czyje brytany na śmierć wyją w ziemiach!
W jakich ulicach od krwi zacuchniało!...
Idźcie i wszystko mi wiernie donieście,
Abym wiedziała, gdzie śmierć stoi w mieście.

KLEOMENES.

Tobie dziś lament prowadzić przypadło,
Matrono Sparty.

ARCHIDAMIA.

Horor... dziecko kata!
Kto cię tu przysłał?

KLEOMENES.

Mać Agezystrata.
I śmiertelne oto prześcieradło
Przysyła tobie mówiąc, że Agisa
Ducha za swego bierze opiekuna.

SCENA III.

W zamku Agisa.

KLEOMENES. AGEZYSTRATA. ARCHIDAMIA.

ARCHIDAMIA.

Agis mój żywy — przy gmachu Neptuna
Został porwany przez tego tygrysa,
Przez twego ojca!...

KLEOMENES.

Kościół nie zgwałcony;
Właśni go... a za namową eforów,
Trzej przyjaciele pośród świętych borów
Pojmali — i przed święty sąd czerwony
Zawlekli.

ARCHIDAMIA.

Gdzież jest teraz dziecko moje?...
Nie wiem, co jej rzec... Kiszki się poruszą...
W świątyni strachu... tam, gdzie ludzi duszą...

AGEZYSTRATA.

W świątyni strachu!...

ARCHIDAMIA.

Ha! Ja się nie boję
I tego boga!... Czy egzekutory
Już poszli?...

KLEOMENES.

Spiesz się!

ARCHIDAMIA.

Hej, Agezystrata!..

AGEZYSTRATA

Co, matko?

ARCHIDAMIA.

Nasze dziecko wręku kata!...
Weźmy kadzidła, amiantowe wory,
Chodźmy... lecz ja wiem, że na śmierć idziemy!
Jeżeli jeszcze z niego co mieć chcemy!...

AGEZYSTRATA

Chodźmy... lecz ja wiem, że na śmierć idziemy!

ARCHIDAMIA.

A zaduszenia tego, albo ścięcia,
Godne my obie, stare i zgrzybiałe
Spartanki.

Wychodzą.

SCENA IV.

KLEOMENES. CHORUS, później SFERUS.

KLEOMENES, *wchodzi.*

Obie staruszki pobiegły;
A tam w ogrodzie jakieś widma białe,
Pod cieniem cytryn... Oczy się nie strzegły
I, przeciw domu świętym tajemnicom

Wielki grzech teraz popełniwszy, lecą...
Widzą, na słońce patrzą i słońcami świecą,
Tak zwarjowane, jakby trzem księżycom,
Albo Najadom się przypatrywały —
Albo podeszły jasne Oceanki
W kąpieli... Jakiś mi Bóg te krużganki
Otworzył!... Kwiatek ten, w murawach biały,
Gwiazdami niby jej nogi podściela —
Z wrzeciona tęcza się ognista leje
Z tych oberwanych róż — z listków — zawieje
Z niej ogień... Ze mnie drżąca, wryta skała...
Nie wiem, co czynię... Ha, Sferus!

SFERUS.

Kleomen
W Agisa domu!...

KLEOMENES.

Matka mię przysłała.

SFERUS.

Słuchaj, młodzieńcze! Jest to wielki omen
Twoja przytomność tu i twego ciała
Niby ogniste teraz rozwinięcie
W godzinie, gdy duch z Agisa wychodzi...

KLEOMENES.

Chodźmy stąd! Prawda, to mi się nie godzi
W takiej godzinie... ale wniebowzięcie
Ducha mojego, jakąś drugą siłą,
Czuję, że właśnie teraz się odbyło.

SFERUS.

Widziałem dawno ja z nad Borystenu
Myślący człowiek, że twój duch, w ohydzie
Żyjący, na te rozjaśnienie przyjdzie
I urośnie lub z Boga, albo też z hymenu

CHORUS.

Straszna duchów roboto!
Zakryta pół ciemnością,
Śmierć związałaś z miłością:
Afrodyte i Kloto...
By czas przyszły i przeszły,
Jak na tęczy, się zeszły...
A czas pod niemi płynie!...
O, smętna miłość, w takiej poczęta godzinie!...
Lecz o czem, o czem duch twój smętny marzy?...

Oto jest garsteczka zbrodniarzy —
Lecz jak podobna jest Żydów tłumowi,
Którzy Chrystusa do Piłata wlekli ...
Ów tłum, który tu strach przenika mrowi,
Wlecze Agisa; biczami go siekli ...
Nad inne wzroki, wzrok kosi i sowi
Mają ci zdrajcy, którzy się oblekli
W zgangrenowaną zieloność zgryzoty,
A włosy mają, by cierniowe płoty.

Tak okropnego dojrzawszy orszaku,
I takiej garści przelęknionych katów,
Bez krzyżowego chociaż idą znaku,
Choć nie włożyli na jeńca szkarłatów —
Każdy je pozna, że są duchy braku,
Z tych samych ciemnych wyrzucone światów,
Które — na świata aniołowe losy
Niepomne — wiodą na krzyż, lub na stosy
Bijące serca.

SCENA V.

AGIS. AGEZYLAUSZ. ARCEZYLAUSZ. EFOROWIE. SIEPACZE. LUD. CHORUS.

EFOR.

Nie chodźmy tam, abyśmy nie byli splamieni,
Trupa się dotykając i tych ścian okropnych
Krwią poplamionych. Niechaj egzekutorowie
Wchodzą sami z tym oto nieszczęsnym człowiekiem.
Macie powrozy? Czyście obejrzeli haki?

SIEPACZE.

Jest wszystko!

EFOR.

Idź, Agisie, i oddaj się w ręce
Egzekutorom prawa!

AGIS.

Kościół ten poświęcę —
Oczyma wleję słońce w te ciemne marmury;
Jak błyskawica będzie ten fronton ponury,
Fronton, owiany na pół tą srebrną topolą ...
Czasem zeń grzmot wyleci, jak gdyby Apollo
Tratował po bronzowych dachu tego blachach ...
Wtenczas, gdy Sparta będzie w jękach i przestrachach,
Gdy wyschną od przestrachu kobiet waszych łona
Gdy u bram zarży wściekły rumak Antygona,

Gdy tu nad skały, niby nad całą krainą,
W grom z macedońskich przyłbic węże się rozwiną,
A piekło wam zawoni — w siarczanym zapachu
Przyjdźcie po mego ducha do kościoła strachu.
Dam go z uśmiechem Bogu.

EFOR.

Prawu się sprzeciwia —
A z tego się przed ludem nie usprawiedliwia,
Że o mało praw naszych z gruntu nie wywrócił!

AGIS.

Dajcie pokój! Jam ducha w duchy wasze wrzucił,
A wy chcecie mię z siebie wyrzucić językiem!
Dajcie pokój! Baranek jestem przed rzeźnikiem.
Wiecie, że nie czyniłem wam, ludzie, nic złego.

EFOR.

Oto Agezylausz. Przed własnym kolegą
Tłumacz się, czyś z Lyzandra to czynił namowy?

AGIS.

Co płacę głową, wszystko wyszło z mojej głowy —
A coś ten Likurg prawnik mi podszepnął stary;
Ale go nie pójdziecie szukać między mary,
A on też tu nie przyjdzie przed sąd z dobrej woli.

EFOR.

Przynajmniej żal oświadczaj!

AGIS.

Serce mnie nie boli;
Owszem — oprócz przyjaciół mych niewiernych zdrady —
Wszystko mię rozwesela.

GŁOSY.

Precz z nim! do Dechady![1]

CHORUS.

Strach, strach!
Wołajmy ducha i Chrystusa Pana!
Strach! Krew błysnęła! Izba ta straszną nazwana!

EFORY.

Odchodźmy stąd!

---

[1] Miejsce stracenia w Sparcie.

CHORUS.

Spojrzeli w grożące obłoki,
I strach je zdjął!

EFORY, *do Arcyzelausza.*

Wykonasz te oba wyroki.

ARCEZYLAUSZ.

Ja?!

EFORY.

Masz być wykonawcą obu wyroków.

Odchodzą.

SCENA VI.

GŁOS.

Sam jeden w lochu ze swoim oprawcą
Król świata.

ARCEZYLAUSZ.

Ducha w las z wężowych krzaków!...
Słyszę za sobą stuk wbijania haków...
Duch w ciemnościach i w czerwonej chmurze!...

GŁOS.

Pan twój, niewinny, na ohydnym sznurze!
Boleści twoich duchowie nie zmniejszą...

ARCEZYLAUSZ.

Przedałem światu krew najniewinniejszą!...

GŁOS.

Lękaj się sądu!

ARCEZYLAUSZ.

Trwoga mnie ogarnia...
Ten trup w ciemnicy jasny, jak latarnia —
Sinego widzę na powietrzu ciemnym...

GŁOS.

On ci był niegdyś aniołem przyjemnym
W młodych godzinach.

ARCEZYLAUSZ.

O!

GŁOS.

Przedałeś pana!

ARCEZYLAUSZ.

Gdzie jestem? Straszna rozmowa szatana
Bawiła mię tu, żem opuścił głowę
I wszedłem z sobą w bolesną rozmowę
W sobie — jak pieniądz, brzęczący w szkatule.
Co, ja? Przedemną przedawano króle...
Świat idzie bojem, ludzie żyją z łupów —
Kto nie chce służyć, ten po szczeblach z trupów
Musi zdobywać wolność! Ha! Niewiasty
Same wpadają w paszczę — same lecą.

Wchodzą: Archidamia i Agezystrata.

ARCHIDAMIA.

Agezystrato! Czy tu już świątynia strachu?

AGEZYSTRATA

Jesteśmy u drzwi.

ARCHIDAMIA.

Mówisz, że Arcezylausz sam jeden siedzi na progu?

AGEZYSTRATA

Zbliża się ku nam z pokorą.

ARCHIDAMIA.

Wąż!

ARCEZYLAUSZ.

Kogo szukacie, szanowne matrony?

ARCHIDAMIA.

Czerwieńcze ty prawny! Darmozjadzie domu naszego!... Zdrajco zielony! Wiem, że mię zabijesz — ale mówię: puść mię do ciała! — Przyszłam do ciała! Wnuk mój bolesny na krzyżu!... Przyszłam z nim być powieszoną; ty wiesz, że w tym papierze, który trzymasz w ręku, napisano: „Babkę Agisa, Archidamię, w świątyni strachu zawiesić na haku, aby wisiała — z grozą dla bogów i potępieniem dla Sparty“... Według wyroku!... Puść — niech będzie według wyroku!...

ARCEZYLAUSZ.

To wszystko sny babskie i przywidzenia!... Pozwól, że tak powiem otwarcie, ja, stary przyjaciel twego domu. — O, wyroku żadnym przeciw królowi jeszcze nie słyszałem. Prawdą jest, że za niejaką niby namową moją Agis się oddał pod sąd eforów, przez uszanowanie dla praw narodu...

. . . . . .

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS RZECZY TOMU III-GO.

Pisma prozą.

Święcone u J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki 5
Preliminarja Peregrynacji do Ziemi Świętej (fragment) . . 15

Wiersze z lat 1838—1842.

Do A. M. Sonet I. i II. 18
Do Z. Krasińskiego 19
Na sprowadzenie prochów Napoleona . . . . . 19.
Do matki 21
Do E. : : 21
W albumie Elizy hr. Krasińskiej 22
Pogrzeb kapitana Meyznera 22
Do pani Joanny Bobrowej 24
Do Ludwiki Bobrówny 25
Testament mój 26
Beniowski:
Pieśń I. : 29
Pieśń II. 47
Pieśń III. 65
Pieśń IV. 83
Pieśń V. 96
Pieśń V a 110
Pieśń VI. 115
Pieśń VII. 120
Pieśń VIII. 132
Pieśń VIII b 147
Tak mi Boże dopomóż 150
Poeta i natchnienie 152

Dramaty.

Ksiądz Marek 168
Sen srebrny Salomei 280
Książę Niezłomny 357
Agis : : 447

JULJUSZ SŁOWACKI
PISMA

JULJUSZ SŁOWACKI

PISMA

WYDAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

DR. STEFAN KOŁACZKOWSKI
DOCENT UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

TOM IV.

KRAKÓW — WARSZAWA
BIBLJOTEKA KLASYKÓW

DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA W KRAKOWIE, ZIELONA 7.

WIERSZE Z LAT 44–49.

W PAMIĘTNIKU ZOFJI BOBRÓWNY.

Niechaj mię Zośka o wiersze nie prosi,
Bo kiedy Zośka do ojczyzny wróci,
To każdy kwiatek powie wiersze Zosi,
Każda jej gwiazdka piosenkę zanuci.
Nim kwiat przekwitnie, nim gwiazdeczka zleci,
Słuchaj — bo to są najlepsi poeci.

Gwiazdy błękitne, kwiateczki czerwone
Będą ci całe poemata składać.
Jabym to samo powiedział, co one,
Bo ja się od nich nauczyłem gadać;
Bo tam, gdzie Ikwy srebrne fale płyną,
Byłem ja niegdyś, jak Zośka, dzieciną.

Dzisiaj daleko pojechałem w gości
I dalej mię los nieszczęśliwy goni.
Przywieź mi, Zośko, od tych gwiazd światłości,
Przywieź mi, Zośko, z tamtych kwiatów woni,
Bo mi zaprawdę odmłodnieć potrzeba.
Wróć mi więc z kraju taką — jakby z nieba.

13 marca 1844. Paryż.

WSPOMNIENIE
PANI DE ST. MARCEL Z DOMU CHAUVEAUX.

(14 stycznia 1846).

Staruszko moja! o staruszko moja
Twoje mieszkanie takie wonne tobą,
Na murach twoich jak z obrazów zbroja,
A każdy obraz był jakąś osobą.
Dziś raz ostatni widząc pożegnałem,
Wszedłszy do domu — bym poszedł za ciałem.

Dawno bez męża — i bez towarzysza,
Który niedawno ciebie odszedł stary,
Przycichłaś w domu — dziś ta sama cisza
W domu — a w bramie stoją twoje mary.
Gdym wszedł... myślałem, że szata szeleszcze,
Ogień się palił — zegary szły jeszcze.

Lecz jakaś ciemność... dziwne jakieś mroki
Nad twym kominem — nad twoją kotarą,
Jakby te dziwne śmiertelne obłoki,
Które zmieniają dzień w godzinę szarą,
A człowiekowi bronią słów i ruchów,
Bo są z poważnych i ze smętnych duchów.

Lat dziewięćdziesiąt ciałoś ty nosiła,
Przez krew szły twoje panieńskie nożeczki,
Przez smutek starość szła twoja pochyła,
A w trumnie leżą już tylko kosteczki;
Wszystkoś wybrała ze skarbu żywota,
Czemuż po tobie — ta wielka tęsknota?

Może dlatego, że gdym twoje ściany
Odwiedzał... dawno światem niezabawne,
To spotykały mnie Republikany
I wielkich imion — dawne duchy sławne,
I wszystkie stały z odkrytemi głowy
Słuchając we mnie grzmiącej polskiej mowy.

Gdym nieraz siedział przy twoim kominie
A ty myślałaś, że ja sobie drzymię,
Jam na mownicy stał w tych duchów gminie
I brałem sobie między niemi — imię;
Od głów zaczynał — i do serc im sięgał
I znów na wielkąm ich sprawę sprzysięgał.

A ty jak trupek w krześle, pod zametem
Cicha, podobna do Park — życia matek,
Byłaś jakby tych sejmów prezydentem
Duchem — próchenko ciała i opłatek,
Co miejsca przez lat dziewięćdziesiąt bronił
A nie ustąpił — aż Pan Bóg zadzwonił.

Dlategom ja cię czuł pod suchą kością
Dobrą, choć ludzie o złość oskarżali,
Tyś sławne imię nosiła ze złością;
A ja sam także mam to, co mię pali.
Gdym jest wielkiemi burzami natchniety,
A w burzach nawet czuję się sam święty.

Wszystko to w głębi twojego pokoja
Czułem dziś, patrząc na złoconą ścianę,
Żegnaj-że, cicha staruszeczko moja,
A popamiętaj — na sejmy zerwane,
I pomóż zgrają twoich duchów tłumną
Mnie, który szedłem dziś jeden — za trumną.

DO PASTERĘCZKI,

SIEDZĄCEJ NA DRUIDÓW KAMIENIACH W PORNIC NAD OCEANEM.

Jak ty mi jesteś wdzięczna
Duszeczko moja mała,
Słoneczna i miesięczna,
Prawie bez krwi i ciała.
Gdyś wysoko siadała
Z główką w zorzy pierścieniach,
Na Druidów kamieniach,
Śród jałowcowych krzaków
Ćwieki twoich chodaków
Błyskały mi na lice
Jako dwa półksiężyce
Czerwoną zorzą ranną;
I byłaś mi zarazem
Chłopeczką i Djanną,
Zjawieniem i obrazem,
Kochanką i dziecięciem,
Smutkiem — i wniebowzięciem.

Włoski twoje jak zboże
Złote i przeźroczyste
Wiatr unosił na morze,
A we wioskach ogniste
Ranunkuły doliny,
Jak maki Ukrainy,
Zdawały się ogniami,
Które tobie do lica
Przypięła upiorzyca
Śpiąca w grobie pod nami.

Za tobą — szafir mórz
Dzielił kibić na dwoje;
Nad głową — jak zawoje
Jutrzenki pełne róż
I chwasty w djamentach

Około ciebie skrzyły,
A ty na monumentach
Stróżka — i duch mogiły,
Z niewinnością na licach,
Z nóżkami na księżycach.

ROZMOWA Z MATKĄ MAKRYNĄ MIECZYSŁAWSKĄ.

I.

Słysząc, że głos jej nożami przenikał,
Gdy swe bolesne męki powiadała,
Szedłem — nie przeto, abym ran dotykał,
Ani rozdrażniał zranionego ciała,
Ani świadectwo wydawał o ranach —
Ale był wierny, jak syn na kolanach,
Który dwojakie ma kadzidło w darze:
Łzy, albo zemstę — co matka rozkaże...
Szedłem, ażebym dla mojego czoła
Wziął uświęcenia od ręki anioła —
Bo mi się w nocy ta ręka czerwona
Pokazywała przeze mgły, skrwawiona,
Wyrzucająca takie strachu strzały
Z palców ognistych — że brak na to słowa,
Żem drżał, jak Mojżesz — gdyby mu Jehowa
Rękę był swoją pokazał ze skały.

Znalazłem w cichym siedzącą klasztorze
U suchych, obcych ludzi na gościnie
Prostą niewiastę, rzekłbyś — gospodynię,
Siedzącą sobie na szlacheckim dworze,
Kędy zarządza dziateczek hałasem,
W czepcu, w rańtuchu, z kluczami za pasem.
Wszakże, pomimo tak wielką prostotę
I dziwne z matką moją podobieństwo,
Na twarzy jasne widziałem męczeństwo,
Jakieś męczeństwo wielkie, boże, złote,
Które mię z góry uderzyło w ciemię,
Jak Pan, gdy rzuca zbrodniarzem o ziemię...
A wtenczas ona: „Cóż, ziomku kochany?
Przyszedłeś, mocno, jak widzę, wzruszony;
Siądź! — Powiem tobie, że zamknięte rany
Lepiej przystoją Polce, niż korony.
Ty młody jeszcze, nie tonionyś w Niemnie,
A już ty bladszy, mój synu, odemnie.

Widząc was wszystkich takich w tej stolicy,
Chociaż ja sądzę rozumem prostaczki,
Widzę ja prawie, że i wy biedaczki,
Widzę was jasno: i wy męczennicy".

Westchnęła — a ja: „Matko, powiedz, proszę,
Czyś ty do boskich nie zaniosła tronów
Skargi na tyle polskich miljonów?
Dwadzieścia ! ! ! Gdyby to miedziane grosze —
Świat prawie kupić! — Gdyby pozapalać,
O każdy dał krwi maleńka kropelkę —
A — na Chrystusa i na Zbawicielkę —
Świat możnaby tą krwią czerwoną zalać!
Gdyby błysnęły wszystkie ognie z lica,
Świat można spalić! A ty, męczennica,
Polka — w żołdackim utopiona brudzie?
Nie — car nie winien — to winni ci ludzie ! ! !"

A ona: „Nie skarż, o, nie skarż nikogo!
Nie skarż — bo oni, biedacy, nie mogą...
Wszyscy pod wielkim i krwawym uciskiem
Czekają tylko na pierwszą dogodność..."
Tu mię spytała: „Jakim zwać nazwiskiem?"
Nie dosłyszałem — a ona: „Jak godność!"
Zarumieniłem się cały i rzekłem:
„Godności nie mam — przed męką uciekłem..."

I nastąpiło ponure milczenie;
Ona z milcząca, a ja z twarzą ciemną...
Czułem, że cierpi ze mną i nademną,
Jak gdyby znowu dźwigała kamienie.

II.

. . . . . .
. . . . . .
. . . Tak mię pocieszywszy nieco,
Mówiąc o duchach, które w kraju rosną,
I obeznawszy mię z tą piękną wiosną,
Do której myśli jak żórawie, lecą,
Mówiła dalej: „Raz nam do klasztoru
Wieść przyszła, że nasz biskup zmienił wiarę..
Nie wierzyłyśmy. — Lecz w godziny szare,
Kiedyśmy poszły na modły do choru,
Strach jakiś przewiał nieznany kościołem
I powiał na nas niewidzialną siłą;

Każda myślała: „A gdyby tak było?..."
I przerażone, padałyśmy czołem,
Jak małe dzieci, które dziad przeraża,
Nie śmiejąc rzucić tej nocy ołtarza.

Potem, zostawszy ja sama w kościele,
Rzekłam: „Z biskupa duszą się rozprawię:
Myślą go sobie przed oczy postawię,
Wzrokiem zapytam, jakie on ma cele?"
Stanął mi — a ja sądziłam oczyma,
Która kość w nim drży, a która się trzyma.
Strach mię za serce przenikliwy ścisnął,
Bo stał wyraźnie — i oczyma błysnął,
A oczy były od zwyczajnych różne,
Jak szkła wypukłe, świecące i próżne...
Wtenczas w przestrachu mój duch osamotniał:
Rzucam się znowu — krzyżem, martwa, leżę —
A takie poty szły aż przez odzieże,
Żem wstała — a krzyż na ziemi wypotniał.

Wkrótce przyjechał do nas w odwiedziny
Biskup, w orderze krzyża czerwonego,
A ja raz tylko spojrzałam na niego...
(A trunek było czuć i woń stęchliny)
Raz tylko w oczy spojrzałam okropne,
Zimne — umarłe niby — lecz roztropne.
A choć przychodził do rzeczy z daleka,
Ja już wiedziałam wszystko, co mię czeka.

Po tylu latach męki i konania
Dziś nie powtórzę pierwszej z nim rozmowy.
To tylko powiem, że do przekonania
Trafiał i groźbą i słodkiemi słowy;
Siadł blisko — sztuczka podstępna i chytra,
Próbował i słów magnetycznych ze mną —
Była tam jakaś gregorjańska mitra...
Słowa, mówione z trwogą potajemną,
Jak węże, skórą szeleściły suchą,
Dziwne — ogniste — zaszeptane w ucho.
On szeptał, jak czart... wzrok miał obłąkany —
Szeptał... te słowa, mówię ci, szatany!
Nikt o nich nie wie, gdzieś po trumnach siedzą.
On tylko jeden i szatany wiedzą,
Jakie to słowa... Skryte, ślepe krety...
Jakie to słowa? Mówię ci, sztylety —
Nie słowa ludzkie!...

Pan Bóg mię obronił,

A on też inny ton wziął ze mną zaraz:
„Będziesz, powiada, tu miała ambaras". —
To rzekł i nisko kołpaka pokłonił
I wyszedł...
Ja też wnet zebrałam mniszki,
I przysięgłyśmy przed Panny obrazem:
Choćby nam przyszło umrzeć wszystkim razem,
To umrzeć — a te biskupy opryszki
Mocować, póki nam żywota stanie:
A nawet westchnąć i modlić się za nie,
Żeby przebaczył Bóg...

Tegoć, mój drogi,
Trudno ci będzie już dzisiaj opisać,
Jakie to były u mniszeczek trwogi.
Jedne radziły do Rzymu napisać,
Drugie — nasypać prochów do piwnicy,
Beczki postawić radzą pod ołtarze —
Straszne rycerki: chcą odprawiać straże
Przy beczkach z prochem, z ogniem na gromnicy.,
Wszystkie, jak szpaczki, zbiegają się, radzą,
Wszystkie — najlepsze pokazują chęci;
Lecz, gdy mi z poczty papiery oddadzą,
A ja się tykam rządowych pieczęci,
To stoją blade — drżące — z dreszczem ciała,
Strwożone laku samego zapachem,
I mnie na palce patrzą z takim strachem,
Jak gdyby święty sakrament łamała.

Przyszedł nareszcie rozkaz ostateczny:
Odmienić wiarę — lub się wybrać w drogę...
Gdzie? Co? — Nic więcej. — Uczułyśmy trwogę,
Jak gdybyśmy szły w ciemność na sąd wieczny,
Tak nic nie wiedząc, co się z nami stanie,
Czy gdzie w łańcuchy, czy gdzie na wygnanie,
Czy gdzie na nędzę, chłód i wichrów szturmy.
W Sybir? — Któżby się nas tam upominał!
Może, myślałam, posadzą do turmy
I tam oskarżą o jaki kryminał?
Dotąd mię jeszcze strach okropny bierze,
Gdy myślę, jaka to szatańska była
Ta ciemność wielka w rządowym papierze,
Która nie mogła, a śmiercią groziła.

Wszystko, co potem z nami nastąpiło,
Otwartą, groźną przedsięwzięte siłą,
Nie takim strachem nam na dusze spadło,
Jako to pierwsze zagrożeń widziadło.

Pomyśl: którażby nie zmieniła cery,
Spojrzawszy w trupie te białe papiery —
Papiery, pełne i groźby i siły,
A tak milczące, głuche, jak mogiły?
Strach nas, powiadam, dolatywał wszędzie,
W nas był — i szeptał strachami wygnania;
Męka to była nie do opisania!
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie.

Bóg upominał, lecz strzegł. — Wszystko potem
Było przynajmniej już jasne, widome.
Cierpieć? My cierpieć byłyśmy łakome...
Z głodu umierać? — A cóż, gdy pod płotem
Niewinny żebrak na mrozie przypieka?
Czasami żołnierz — zgłodzony, kaleka,
A psi go tylko, sami głodni, strzegą...
Umierać?... Cóż my, jak żebrak, lepszego?
Męka, gdy ciało już kąsać zaczyna,
To nic: duch wtenczas nabiera odwagi
I samby prawie poszedł na miecz nagi;
Ale ta pierwsza zagrożeń godzina,
Gdzie wsparcia znikąd, a ciemny strach wszędzie.
Powiadam tobie, że tak w piekle będzie!"

Zadrżałem — tak się ta święta podniosła,
I z takim gestem, zapalona cała,
Polskim duchowym językiem śpiewała
I w słowach, niby rozognionych, rosła!
Lecz się spostrzegła poważna matrona,
Że duch zebrany być musi do łona,
A nie ulegać zapału pokusie —
Jasny, spokojny, jak był duch w Chrystusie.

Więc zaraz, wziąwszy z siebie takich tonów,
Którymi zawsze człowiek rządzić może,
Rzekła: „Chcesz słyszeć o moim klasztorze;
Powiem ci krótko kilka naszych zgonów,
Kilka męk... Już wiesz zapewne od braci,
Że byłam sama przełożoną, ksienią;
Widzisz, czem jestem — sądź z mojej postaci:
Nigdy mię ludzie podli nie odmienią,
Ani też choćby złotem mnie przykryto!
Zwyczajną jestem, jak widzisz, kobietą,
I taką byłam — to jednakże powiem,
Żem niegdyś była panną myśli trwożnej,
Bom się rodziła w rodzinie zamożnej,

Psuta — na szczęście obdarzona zdrowiem
I wytrwałością“ . . . . . .
. . . . . .
Przyszedł dzień ofiary
Sam biskup zjechał, zwołał uroczyście.
Wszystkieśmy drżały, jak na drzewie liście,
Ja nawet jeszcze nie nabrałam wiary:

Trzęsłam się cała, zbiedzona, zalękła,
Strudzona, głowy znękana zawrotem —
Serce mi biło ciężko, jakby młotem;
Myślałam, że gdzieś wielka żyła pękła
I kropliskami ciężko w pulsa sieje —
Krew kapie — a, jak dokapie — zaleje.
Słucham — a czuję, że już coraz bladnę...
Strach! — A cóż poczną biedne siostry moje,
Jeżeli, trwogą zabita, upadnę?...
Nie! Przed biskupem żywa już dostoję!

Ale Bóg dobry — o, tak, Pan Bóg dobry!...
Zaraz mi weszło coś do serca mocy:
„Ha! — pomyślałam — z Mieczysława Chrobry,
A z Mieczysławskiej głaz w Dawida procy.
Niech czart próbuje. — Cóż — choćby i bito?
Stanę mu twarz w twarz — niech walczy z kobietą!“
I znów uczułam, że ten poryw ducha
Przydał Siemaszce odwagi i siły:
Więc znów zaciełam zęby — zimna, głucha,
Ducha do ciała, jak nogi stonoga
Zebrałam w sobie — jak na dno mogiły,
Zalękła poszłam do serca — po Boga!

A on, jak gdyby te straszne jaszczury,
Które złotemi jad oczami leją,
Spojrzał: my stały spokojne, jak mury,
A on, choć z małą, jak sądzę, nadzieją,
Zapytał: „A cóż, siostry moje drogie,
Chcecież przejść wszystkie na braterską wiarę?“ —
My nic. — On westchnął — i znów oczy szare
Obrócił na nas, ale już złowrogie.
Siostry mi potem mówiły, że, w miarę
Jak się zapalał i rwał piersi wzdęte,
One już radość jakąś czuły, wiarę —
Różane moje, biedne siostry, święte...,
Z umizgiem napół błagań i wyrzutów
Znowu zapytał jeszcze słodszym głosem:
„Któraż z was łaską pogardzi i losem —
A weźmie?...“ Tu nam rzucił pękiem knutów.
My nic. —

Oddechu wciągnął w schrypłe płuca,
Nareszcie nie mógł już więcej, wrzał skrycie;
Więc, jakby rynna, gdy błoto wyrzuca,
Wrzasnął i zawył: — „Cóż? Czy przechodzicie? !“
Nie skończył, targnął się, jak pies w łańcuchu;
My nic; milczałyśmy i rosły w duchu.

Wtenczas on uczuł, że przed nami pada
I my się czuły mocniejsze od niego.
Widzę go teraz: skry mu z oczu biegą,
Jak gdybyś widział gdzie żebraka dziada,
Który się na psy szczekające gniewa
I trzęsie, klaszcząc, jak kościotrup z drzewa.

„Ja was — zakrzyknął — w powrozy, w łańcuchy!
Wy buntownice, suki, polskie duchy!“
Wywierał na nas wszystko i wymiotał,
Zębami szczękał, kościami klekotał —
My nic. — On wtenczas porwał krzyż, zdruzgotał
I wybiegł — drzwiami trzasnął — ze krwią plunął
Rozkaz Moskalom, stojącym na dworze,
A echo od drzwi poszło po klasztorze,
Jak gdyby piorun za biskupem runął.

A my po sobie tylkośmy spojrzały,
Oczami mówiąc, że to wąż-lewiatan,
Żeśmy szatana zegzorcyzmowały,
Że to nie pop był, ale wiatr i szatan —
A wtenczas tylko już nam bez oporu
Przed żołnierzami przyszło wyjść z klasztoru.

Nie wiesz boleści, gdy rzucać przychodzi
Dom, gdzie nas Chrystus matkom z rąk odbierze
I duchem swoim, jak matka, odrodzi,
A potem jako swe jagnięta strzeże;
Nie wiesz, jak w domu takim pachną ściany,
Kwiatki się błyszczą, śpiewają organy...

Zebrałyśmy się: naprzód jedna z krzyżem,
Z Chrystusem, za nią my wszystkie strapione,
A na ostatku, tknięta paraliżem,
Staruszka — dobra, prosta; ta zdziwione
Oczy na wszystkie strony obracała,
Sucha, niesiona prawie, jak trup, biała,
Błyszcząca tylko w oczach, święta w duchu,
Ale bez władzy rąk i nóg i słuchu.
Jam tylko siostry zaklinała wzrokiem:
„Na miłość Boga, twarzami do mura,
Ażeby tego nie zabić praszczura

Naszemi łzami i naszym widokiem!“ —
Siostry też były dobre i rozumne;
Jedna szepnęła: — „Gdzieś wstąpim po kweście
I zostawimy ją u ludzi w mieście,
Albo do bramy gdzie rzucim, jak w trumnę;
Przyjmą staruszkę — chleba wszędzie dają —
Przytulą biedną, złudzą, oszukają,
Rzekną, że po nią powrócim — a ona
Tak gdzieś zagaśnie, jak lampa strawiona“.

. . . . . .
. . . . . Ja też tak myślałam —
A jednak — nagle patrzę na tę starą —
Ona coś szepce i źrenicą szarą
Pyta mnie srogo. — Nie odpowiedziałam —
Spuściłam oczy. — Klękłyśmy; ostrożna,
Kazałam cicho śpiewać „Ave, stellae“...
Buchnął płacz — wstrzymać łez było nie można —

Płacz tak szarpiący, jak piekło. W kościele
Jęków, łkania i modłów taka zawierucha,
Że usłyszała nawet ta biedna i głucha!
Wtenczas mniszeczki obie chwyciła za szyje,
Zgięła, nóg wydobyła z siebie, wzniosła kije
I, wywijając tymi kijami nad czołem,
Jakby rycerzem była, jakby archaniołem,
Chciała bronić. — Pobiegłam — zćmiło mi się w oczach —
Upadłam przed nią — zda się — cięta po warkoczach
Niby w gradzie pocisków — przerażona, drżąca,
Te białe kije trupa w tym gradzie widząca.
Chcąc te paralityczne pohamować złości,
Chwyciłam za kolana: nogi jej — dwie kości;
Spojrzałam w górę: trup był z papieru, wybladły —
Rozkrzyżowała ręce, kije z rąk wypadły —
Już jej nie było — życia ani w jednym włosku...
Spuściła ręce — na mnie upadła, jak z wosku,
I głową się na głowie mojej biednej wsparła;
Wzięłam na ręce — trup był ledziutki — umarła!
Oddałam Bogu...“

— Rzekłem: „O matrono,
Która tak straszne opowiadasz zgony,
Jakie ty harfy, jakie ty masz tony?!
Kto cię Dantejską nakrywa koroną?
Odsłoń przede mną chociaż do połowy
Tajemnic twoich — niechaj je zobaczę!
Czy ty, duch jaki stary, czy duch nowy,
Przyszłaś, jak Mojżesz, prowadzić tułacze?“ .

A ona: „We mnie sama Matka płacze...
Nic ja nie jestem, o, nic ja nie jestem!...
Ale posłuchaj, co się dalej działo!

Wyszłyśmy z wielką i spokojną chwałą,
Z tym trupem matki, jakby z manifestem,
Strach rozsiewając, podobny do mrozów,
Pomiędzy ludem zgromadzonym w tłumie.
A tu ci wyznam i każdy zrozumie,
Że spodziewałam się jakich powozów,
Bo przecież zbrojną otoczona rzeszą,
Nie pójdę z siostry we zbójecką jamę;
Pierwszy raz okiem rzuciwszy za bramę,
Postrzegłam, że nas będą pędzić pieszo.

Słuchaj! — Ty nie wiesz, co w niewieścich duszach
Strach wstydu rodzi — brzęk bagnetów w uszach;
Nie wiesz, jak drgają wszystkie żyłki ciała,
Gdy jakie brudne słowo w uszy wpadnie.
Słuchaj — gdym pierwszy raz ja w kark dostała,
To zabrzęczały zęby tak szkaradnie,
To piekłem zemsty zawrzałam — kobieta,
Ja Polka — pierwszy raz na rynku bita!...

To, mój kochanku, mówię tylko tobie,
Abyś nie myślał, że ja cała święta:
Ja także byłam i gniewem wzdrygnięta,
Nawet myślałam o zemsty sposobie,
Potem dopiero tak podniosłam duszę,
Że smakowały mi prawie katusze;
A Pan Bóg bronił mnie wielką prostotą
Przed kułakami, tak, jak zbroją złotą.

A jakie piękne było wonczas lato
I jakie piękne były łąki nasze!
Pomnę — na promie, pomimo pałasze,
Bagnety, zgraję kozaków brodatą,
Uczułam wielką i piękną pogodę,
Patrząc na lasy, na błękitną wodę,
I, przypomniawszy sobie czasy w domu
Ciche, wpatrzyłam się głęboko z promu
W płynącą wodę — a wzrok, widać, chciwy,
Wydał się ludziom głęboko szczęśliwy,
Bo zaraz biskup, spojrzawszy w me oczy,
Krzyknął do dońca: — „Dzierży! W wodę skoczy!"
A doniec się też dotknął mego włosa,
A biskup patrzał — kat w podłej postawie! —
Rzekłam do księdza już z litością prawie:
„W wodę? — Czy myślisz, że to są niebiosa?..."

Io rzekłszy, oczy znów swoje zakryła.
A ja: — „O matko! Jak mi twoja miła
Powieść, gdy z trwogi do płaczu sprowadza,
O, jakie myśli z niej słodkie się rodzą!
Więc, gdyby niebo — to tybyś skoczyła?
Więc, gdyby jaka ci niebieska władza
Rzekła: „O matko — patrz, obłoki schodzą,
Wstępuj do światła poza ziemskie ciemnie...“
— Podjęła głowę, wzrok wraziła we mnie,
Usta uśmiechem rozsładzając, rzekła:
„Widzisz — do nieba jeszczem nie uciekła,
A Witebsk bilsko był tej strasznej bramy,
Przez którą wskoczyć mogą męczennice...

Tam nas Moskiewki, okropne czernice,
Wtrąciły wszystkie do wilgotnej jamy,
A klasztor cały był ciemny, pijacki,
Głuchy i ciężki: wszędy smród żołdacki,
Łoju i skóry i prostej gorzałki
I wstrętu, który czynią zgniłe grochy —
A często kobiet bitych słychać szlochy
I świst wężowy smagającej pałki
I pocałunków na katowskiej ręce
Klask — i ćwiczonych skomlenie bydlęce.
O, czarne, ruskie klasztory — straszliwe!
Piekło, powiadam tobie, piekło żywe!...

Teraz-że pomyśl, co my w takim brudzie
Musiały cierpieć — i westchnij do Boga!
Westchnij — bo ileż to cierpią tu ludzie,
Nim na grób przyjdzie zmordowana noga!
Lecz to dziwniejsza, że takie są miedzie
W sercu tu ludzkiem ludzkich męczycieli!
Wiesz, jak dawali nam bez wody śledzie —
Wiesz, jak pokarmu zwykłego ujęli,
Jak obrócono ręce do mularki,
A grzbiety nasze pod kamień i chłostę...
To wszystko były męki bardzo proste,
Lekkie... Po ciele szły czasami ciarki,
A czasem głodem krzyczały aż brzuchy,
Lecz duch nie cierpiał — owszem, rosły duchy
I potężniały znoju i głodu żniwiarki.
I raz, gdy z lochu po miesięcznym głodzie
Wyszłyśmy nagle na słońce odkryte,
Tośmy krzyknęły; twarze były zmyte
Jakby w słonecznej i różanej wodzie;
Lubośmy żyły w lochu prawie gliną,
Rozpoił nas duch boży — tak, jak wino.

Wtenczas nie wiedział już biskup, co pocznie,
A chciał konieczne przełamać kobiety;
W rękach miał dzidy, a w oczach sztylety,
A w serca patrzał; zmiany chciał niezwłocznie.
Gdyby choć pozór, że z nas mniszka która
Weszła do cerkwi — obrazom się kłania!...
Żadna! — Dwie, biedne, spadły z rusztowania,
A jedną kamień, urwany ze sznura,
Z oczu nam prawie, jak widmo promienne,
Zdjął... lecąc, jako młyn okropny, z góry —
I tylko krwawe, purpurowe sznury,
Plamiące długo białości wapienne,
Aż od samego, samego poddasza,
Aż do samego dołu ciekną strugą,
Przypominały nam długo i długo,
Że tak zabita jedna siostra nasza!
A jednak mimo to, że tak szkaradna
Śmierć była, takie nagrobki straszliwe —
Wszystkieśmy były do końca cierpliwe;
Bóg dał, nie przeszła z nas żadna a żadna.

Wtenczas już biskup, nawet nieco trwożny,
(Bo się rozniosło: bo już Witebszczanie,
Już jakieś ruskie powiedziały panie,
Że to nie klasztor, ale dom katorżny)
Wtenczas już, mówię, biskupisko stare
Byłby dał krzyże już i gwiazdne znaki,
Byleby tylko chwycić pozór jaki,
Żeśmy ugięły przed nim naszą wiarę.
Więc raz znienacka do cerkwi nas wiodą
Głodne, trzęsące się od zimna, trwożne;
Zaraz-em czoło biskupa bezbożne
Ujrzała — topór ujrzałam pod kłodą...
O, na Chrystusa, co nam winy zmazał! —
Sądzę, że topór mi Pan Bóg pokazał,
Bom nic nie rzekła — a nad rozkaz słowny
Mniszkom znak dałam w tak jasnych wyrazach,
Że żaden biskup, choćby był duchowny,
Nie zrozumiałby. — W takich zwykle razach
Mniszeczki wszystkie czynią, co ja czynię,
Mówią, co mówię, wchodzą, gdzie ja wchodzę.
Teraz, jak gąski, stanęły na drodze —
Ja byłam woli całej monarchinią,
Pasterką owiec, a w chwili szkaradnej,
Kiedy uczułam w sobie taką władzę,
Rzekłam, jak Chrystus, że nie stracę żadnej,
A wszystkie razem w niebo zaprowadzę.

Rzekłam — i nagle, porwawszy siekiery,
Ku biskupowi poszłam: — „Weź Herodzie,
Weź, popie — ścinaj łby i rzucaj w dwiery[1]“
A do mniszeczek: — „Kładźcie się na kłodzie!“
Ledwiem wyrzekła, wszystkie buch na ziemię,
Każda na belce głowę, ku mnie oczy...
Myślałam wtenczas, że piorun wyskoczy
Z oczu biskupa, lub jakie złe plemię
Czartów ognistych, krwawych nietoperzy
Z pod brwi wyleci i na mnie uderzy.

Porwał żelazo — rękę wzniósł — skamienił —
I tak zacisnął, że zlodowaciała,
Zielona, jak trup — a sam się zapienił
I tym toporem mi tu, koło kłęba,
Cisnął i nogi — patrz — skroił kawała,
A potem w twarz mi dał i wybił zęba.
Ja tylko na to, nie zmieniwszy cery,
Choć z dwóch ran już krwią purpurową ciekłam.
Ząb mu podałam wybity i rzekłam:
„Zawieś to między twe wszystkie ordery!“

Ty może myślisz, że to duma świecka,
Mnie nieprzystojna? — Na to niema zgody.
Pomyśl: ja, Polka, ja, córka szlachecka!
We mnie gadały dawne moje rody,
W usta mi dziwne odpowiedzi kładły.
Ciało z nich było — a i od nich siła;
Walczyły za mnie, ja za nich walczyła;
Gdybym upadła, byłyby upadły.
Widzisz — potrzebne było nasze męstwo!
Widzisz, że przy nas zostało zwycięstwo.
Co? —

Drżałem cały — i z dalszego wątka
Powieści ledwo mogłem, pomieszany,
Spamiętać tylko jakieś straszne rany,
Które poniosły w brudzie niewiniątka...
We mgle rzucone duchy bez ojczyzny
Pomiędzy spite żołdactwo i diaki —
Wrzask, jęk i krwawe w powietrzu bielizny,
Jako sztandary i skrwawione ptaki;
A dół, nietknięty nawet już pamięcią,
Kędy świeciły, jak gwiazdy różane,
Wybite pięści biskupiej pieczęcią,
Butem żołnierskim przypieczętowane...

1 Carskie dwiery w cerkwiach. *(Przyp. Poety)*

Co mówię? — Głowy — te listy otwarte —
Mózgiem mówiły przez pieczęci zdarte;
Oczy, gdzieś w błocie świecące i słomie,
Ze krwi wystają, niby niezabudki —
A ciała — ciała, jak bez kształtu kłódki,
Tarzały sobą jęczące po domie:
Na widowisko tak strasznie zwierzęce
Wejrz, Chryste Panie, i rozkrzyżuj ręce!

A wy, o smętnych pamiątek anioły,
Mówcie wy ciągle nad ludzi łożami
Sennych to słowo okropne: „Dziedzioły!"
Tę wioskę mroźną, osłoniętą mgłami.
Gdzieś pod sosnowym śnieżącą się borem,
Z jedyną cerkwią ruską, jak z upiorem,
Z troistą wieżą, ciągle owronioną,
W prochach zorzanych błyszczącą, czerwoną...
Ciągle to ludziom przed oczy przynoście,
Ciągle stawiajcie przed źrenice obie:
Niech czują w duchu te wieczne nudnoście,
Które ma człowiek niespokojny w sobie!

„W Dziedziołach — rzekła Pańska męczennica —
Już nie byłyśmy z sobą wszystkie razem;
Wiele nas padło pod biczem i płazem,
Dziesięć zostało bez ludzkiego lica —
A upiorami wszystkie tak strasznymi
Były i kości tak miały popsute,
Że biskup nawet już sam za pokutę
Nie byłby żadnej pokazał na ziemi.
Te zostawiono w Witebsku, a drugie
Dziesięć w Połocku — a z tego już miasta
Ja szłam z dwunastu siostrami, trzynasta,
Pod jesień, wicher, śniegi, noce długie —
I stanęłyśmy w Dziedziołach, w klasztorze,
Znowu u czernic, lecz obmurowane;
Gdyby niezimne kopuły blaszane —
Turma, nie klasztor.

Przy ogromnym borze
Stał, lecz w dziczyźnie takiej zbudowany,
Przy takiej wiosce i na takiem polu,
Że strach był może mocniejszy od bólu...
Noc w noc rozboje; żydy, markietany;
Czasem na jutrznię dzwonią — ciemno w szybach,
Zimno w celicach, ołów tylko brzęczy,
Jak wóz z szynami, gdy idzie po skibach:
Słuchasz — a tam gdzieś na polach ktoś jęczy,

I, nim umilkną rozżalone dzwony,
Staje ci w myśli, że tam trup czerwony.

Raz na tych smętnych dziedzińcach klasztoru
W poranek szary, pomnę, rąbię drzewo,
A tu na prawo jęk i brzęk na lewo,
Jakby dwa głosy, obadwa do wtóru.
Słucham i patrzę. Otwierają bramę —
Patrzę, kto wejdzie. O, polski mój Chryste! —
Mniszeczki wchodzą, jak my, takie same,
Mrozem i wiatrem prawie przeźroczyste.
Podarte na nich płaszcze i trzewiczki,
Nogi skrwawione przez mróz i przez grudę,
A twarze takie chude — takie chude...
A oczy — jakby na opłatkach świeczki,
I znów, ostatnich niby wołokitów,
Wpędzono drugą bramą pięć straszydeł;
Ci weszli, jako puszczyki bez skrzydeł,
W łachmanach. — Było to pięciu unitów,
Biedniejszych od nas. — Jeszcze jakaś święta
Jasność kosteczek naszych się trzymała;
Ale ci ludzie... Skóra im zczerniała,
A twarze mieli takie, jak zwierzęta,
Już jakby Pańskiej męczarni niegodne
I przemienione przez bezczestne męki;
Nos wklęsł, a naprzód im wybiegły szczęki,
Jak gdyby kąsać chciały, jakby głodne...
Każdy miał taką czaszeczkę łakomą,
Dziób taki na żer, w oczach takie skrzynie
Żem pomyślała, jako po łacinie
Mój ojciec w czaszce ludzkiej czytał: H o m o..."

Tu pokazała mi na nos i wzroki,
Jak człowiek, który gestem powieść krasi,
A ja postrzegłem w oczach dół głęboki,
W złomach jej twarzy wyraz jakiś ptasi...
Wstrząsłem się cały, zadziwienia krzykiem
Świadcząc, że dobrym byłem łacinnikiem.
— „Te próby, rzekła, wściekłego biskupa
I różne męki, przezeń wymyślone,
Zniósłszy, byłyśmy nareszcie pławione..."
— „Matko! — krzyknąłem. — Jako czarownice?"
A ona: — „Dziw się katów wymysłowi!
Był staw, jezioro, puste okolice,
Jakby przystojne męczeństwa duchowi —
Nad brzegiem jego wierzby, jak upiory.
Tam nas, bywało, zaszywają w wory

I, tak zaszyte, obwiązują liną,
A potem diaczki w łodziach, wprzód posłani,
Płyną i płyną, daleko, daleko —
I na tych linach wleką nas i wleką,
A popy krzyczą: „Pastoj!“ albo: „Tiahni!“
Słyszę dziś jeszcze tę straszną komendę,
Słyszę, jak we mgłach smętnie się rozlega;
Lud się, bywało, ponad brzegi zbiega,
A my, jaskółki, pobrane na wędę,
W tej czarnej wodzie po pas, to po brodę...
Cóż robić? — Boską całujemy wodę
I milczym...

Dobrze to, kochanku, pływać,
Lecz strasznie, gdy cię w toń linami wloką.
Otóż tam, słuchaj, już mi się na oko
Anieli Pańscy jęli pokazywać —

A nie myśl, żeby widma jakie złote,
Albo zjawienia, lub gwiazdy i róże;
Nie— Pańscy jacyś posłańce i stróże,
Przysłani na tę okropną robotę —
Jacyś anieli, mówię, w ludzkich ciałach,
Co przez litosne patrzali się oczy.
Wśród tłumu zjawił się nam na uboczy
Szlachcic — ubrany w szarych samodziałach,
Ekonom niby; — ale ja ci ręczę,
Ja tobie ręczę synu, że ten człowiek,
Kiedy chce, strzela piorunami z powiek,
A z ramion, kiedy chce, rozwija tęczę.
Stał zawsze cichy i patrzał na popy,
Na nas — a wszystko poważnie uważał,
A mnie cichością swoją tak przerażał,
Że dziś go widzę — słyszę jego stopy.
Na milczącego więc kiedy wzrok rzucę,
To on w bok spojrzy, albo brwi podniesie,
Drogę mi niby pokazuje w lesie,
Oczyma mówi: „Żyj, bo ja powrócę!“
O, ten to człowiek jeszcze dotąd widzi —
A to, co widział, pewnie Bogu powie!
Raz się już zbiegli z miasta nawet żydzi,
Żydówki, ludu wszelakiego mrowie,
Bo się rozniosło, że my, bardzo głodne,
Już od trzech godzin mokniemy w stawisku,
W gliniastych mułach i w traw wężowisku
Grzęznąc, zielone jak grynszpany, chłodne.

A krzyki „Pastoj!“ na tych, co na łodzi —
A krzyki na nas: „Która z was przechodzi?“

I znowu krzyki na łódkarzy: „Thiani!“ —
A sznur się prężył i naszemi głowy
Pluskał po wodzie... Do swego Jehowy
Wrzasnęli tedy wielkim głosem żydzi,
Myśląc: usłyszy, jeżeli nie widzi!
Dobre żydziska, dobre żydowice
Lamentowały: „Aj waj!“ — bijąc w łono;
„Nu — one głodne, pomarzną, potoną.
Nu — a gdzie Pan Bóg — a gdzie błyskawice?
Czemu nie biją?...“ Słuchaj! Gdy, bywało,
Te żydy lament okropny zawiodą,
To serce moje, ot, tak aż skakało,
O, tak skakało me serce pod wodą!
Bo ci powiadam, że są jakieś czary
Dziwne w modlitwach nawet obcej wiary;
Chwyta cię obca, jak matczyna, ręka —
Łzy w oczach stają i coś w sercu pęka...
Biedne żydziska!...

Raz taki był lament
I taka niby muzyka wspaniała —
Ja z wody, zda się, że święty sakrament
Widzę na niebie; takem rozjaśniała!
Wtem woda plusła nagle i zalała
Jednę mniszeczkę... Powiadam ci — smoki
Te, sznury czarta, biły wód zwierciadło,
I jedno moje dziecko, o dwa kroki
Jedno maleńkie dziecko mi przepadło!
Krzyknęłam — i mróz przeszedł mi przez kości.
W takiej to wszystko stało się cichości —
Nikt nie obaczył; a choćby widziano,
Niktby nie skoczył z ratunkiem pod wodą;
Żywot tam ludzki tyle szacowano,
Że my już nawet nie byłyśmy trzodą;
Czy które pomrą, czy które utoną,
Nikt nie dbał — głów już naszych nie liczono.

Wyznam ci teraz, że mnie po tym zgonie
Strach wziął i zgroza dla ludzkich bezwstydów;
Wokoło czarne, ołowiane tonie
Tam gdzieś pisk popów — a tam gdzieś wrzask żydów;
A tu podemną trup — nie wyszła dusza!
Może się jeszcze gdzieś pod wodą rusza,
Może swe oczki we krwi jasnej kąpie —
A mnie tu ciągną dalej za obróżę...
Co krok, to może na biedną nastąpię,
Może nastąpię; oczy tylko mrużę,
A ona gdzieś mnie, ach — za nogi trąca,
Zimna... jak z wosku, biała — i świecąca...

O, strach! A tutaj ciągle prężą sznury —
Ciągle nas wloką w głąb i krzyczą: „Thiani!"
Już tylko nasze na wodzie kaptury,
Jak stado kaczek — już noc na otchłani,
Już jakieś dziwne, czerwone chmurzyska
Nadchodzą na tę mękę, tak okrutną —
A tak mi zimno, głodno — a tak smutno,
Że, ot, już chciałam pożreć te sznurzyska
Tam i, na poły niemi zadławiona,
Buchnąć w tę wodę — przepaść, jak zginiona...
W oczach już moich niebo nie świeciło,
Żadnego blasku, łez żadnych nie było;
Już ogłupiałam: myślę tylko o tem,
Jakby się zalać wodą, najeść błotem,
Bo taka głodna byłam, tak pożądał
Mój głód chociażby maleńkiej okruchy,
Że mi aż z oczu ognisty wyglądał;
Tak się łamały we wnętrznościach duchy,

Jak ci czartowie, węże z krwawą twarzą,
Które pod krzyżem z ciał ludzkich wyłażą...
Wtenczas już widok okolicy dzikiej,
Naszej męczarni, błotnisk, pławby, popów,
Poruszył nawet i żydów i chłopów:
Powstały głośne przekleństwa i krzyki,
I raz żydówka jakaś na brzeg bieży,
Obwarzankami złotemi świecąca,
Jak matka, wpada, rozrywa żołnierzy
I karabiny w koziołkach roztrąca —
Deszcz poszedł srebrny, pył, jak z kopca śniegu,
Z tych karabinów rozbitych — a ona
Już, już nad nami, już na samym brzegu,
Obwarzankami złota i czerwona,
Podniosła ręce — i tak, jak żniwiarka,
Tych obwarzanków nakryła mię snopem...
Ja wtenczas, jako Noe nad potopem,
Kiedy pod tęczę już wchodziła arka,
Podjęta szczerą tej kobiety troską
I zachwycona jej myślą matczyną,
Ujrzałam, mówię tobie, Matkę Boską,
Jakby nad całą już polską krainą!
I z wód podniosłam ku niej moje dłonie,
Krzycząc: „O, Polskę moją całą ratuj, złota!"
I do niej wzniosłam dłonie, jak sierota,
W tych obwarzankach, jak w złotej koronie.

Odtąd nie śmieli już więcej biskupy
Otwarcie czynić z nami takiej hecy,
Ale w klasztorze, jak na dnie fortecy,

Dręczyli żywe i chowali trupy.
Ku mnie zaś siła przystąpiła boża
I odpędzała odemnie te katy;
Możem zeświętła tą koroną zboża,
Może przez moje bolesne stygmaty,
Nie wiem — lecz pop już uciekał przedemną,
A, uciekając, sztyletował wzrokiem.
Bywało, kiedy w korytarzach ciemno,
To mój krok bywa najgłośniejszym krokiem,
A chody popów, jak mężów szelesty —
Tu i tam ślepie migocą i chresty.

Nareszcie dolne nam oddano cele
I tam już, same, w głodzie zostawiono.
Dwa garnce grochu, bywało, ja dzielę —
Wawrzecka sagan stawia i groch warzy.
A, mój braciszku, nie tłusto i słono
Jadłyśmy... ale było nam do twarzy,
Bośmy utyły na suchej grochówce
I były silne, jak aniołów hufce...

I zaraz wszczęły się jakieś narady,
Co czynić — czego próbować?...
. . . . . .
Na tem stanęło, że my trzy, najzdrowsze,
W poselstwo wielkie pójdziemy do świata:
Niektóre chciały czekać wiosny, lata,
Lecz my, na wiatry duchy najsurowsze,
Jak stare Polki, zaraz ruchu chciwe,
Pozapalane w ogniach, niecierpliwe,
Ciągle, bywało, kręcim z koszul sznury,
Ciągle gadamy: jak, co, gdzie i kiedy?
Wtem raz mnie jeszcze Bóg w popów pazury
Dał i wybawił, jak owieczkę z biedy

Pod wieczór idę po wodę z saganem,
A, prawdę mówiąc, to wyszłam na zwiady.
Patrzę — przy pompie sam biskup z polanem,
Choć grozą jasny, lecz, jak papier, blady.
Przy nim popiska: krwią po rękach cieką,
Kije czerwone — znać, że kogoś bili —
Kręcą się, szemrzą, czasem sobie szczekną,
Chodzą, jak gdyby głowy potracili.

Zbliżam się cicho — aż widzę unitów
Księży — pod pompą, z krwią jeszcze na brodzie.
Nadzy — już leżą, jak trupy, na lodzie,
Czarniejsi od tych lodowych błękitów!
Patrzę, co — a im woda na łby ciecze —

I marznie — że tak poranione głowy,
Jakby zamknięte w puhar kryształowy,
Skrzą się — a brody twardnieją, jak miecze...
A nie słyszałam jęku, ani krzyków,
Tylko te ruchy straszne spazmatyków..
A Bóg uczynił z nich okropną zjawę,
Że stali, jako wielkie trupy — złote —
I poplamione sińcami — i krwawe —
Niby przysłani na ciemne podwórze
Jacy okropni aniołowie-stróże...
Daruj — lecz, widząc te święte osoby,
Rzekłam: „Czy to wy, o biedacy głodni,
Coście w tak skrzące powchodzili groby,
Że mi jesteście tu nakształt pochodni?
Mówcie! Ja wasze poniosę żałoby
Na świat — jasności, złotych trumien godni!
Bóg też wspominał na pokorną cnotę
I oto wam dał takie trumny złote".
Tak ich żegnałam — a postanowiłam
Mniszeczek moich nie jątrzyć boleścią,
Ale aż na świat pójść z taką powieścią,
Aby świat wiedział, skąd idę, gdzie byłam,
Jaka swawola w popach wyuzdana,
I jak katują wierne sługi Pana.

Wreszcie nadeszła ta noc pożądana,
Że cała ciżba popów, czernic, pjana
Padła, snem ciężkim zdjęta, jak ołowiem.
Wszyscy morderce! Toż jednakże powiem,
Że jedna z czernic dobre serce miała:
Często ukradkiem do się zawołała,
A dała grochu, soli albo kłosów...
Patrzaj — mam jeszcze od niej krzyżyk włosów.
Ta jedna, sądzę, przeniknęła skrycie,
Że nam obmierzło już w niewoli życie,
Że już, ot, wolność nam w naradach wschodzi —
A nie wydała... — Niech jej Bóg nagrodzi!

Otóż, wylazłszy po drzewach na mury,
Prędko skoczyłyśmy aż na dół z góry.
Wiatry nosiły nas — i zwolna kładły,
Bośmy z trzeciego aż piętra upadły.
I zaraz, jako ptaki przestraszone,
Śnieg otrzepawszy z odzieży, jak pierze,
Każda-śmy poszły szybko w inną stronę,
Myśląc, że gonią popy i żołnierze.
Nic nie pamiętam, czy skrzypnęła brama,
Czy też duch jaki pędził strachu dłonią —

Ale sądziłam, że mię wiatry gonią,
I już dwie mile, jak wiatr, biegłam sama.
Tu się zaczęła nowa dla mnie męka:
Gdzie iść? — Nie znałam ni drogi, ni strony,
Przez trzy dni w lasach jadłam tylko szrony,
Dziwiąc się biedna, że ptaszków piosenka
Tak tam wesoło w lesie dzionek wita,
Ja mędrsza bardzo od ptaszków, kobieta,
A taka smętna...

Weszłam nareszcie raz do jednej chaty,
Gdzie nakarmiła mnie dobra niewiasta
I, obaczywszy na mnie siwe szaty,
Spytała: „Pewnie na odpust do miasta,
Matko?“ — Ja skłamać nie śmiałam wyraźnie,
Bojąc się wtenczas bardzo Pana Boga;
Co tu rzec? Smutek objął mnie i trwoga.
Ona mówiła do mnie tak przyjaźnie,
Pocałowała mnie, jak matkę, w ramię,
W imię przyjęła boże — a ja skłamię?
Wszakże, już w myśli pełna tego dymu,
Który ćmi oczy, gdy duch w nocy wzrasta,
Wspomniałam sobie, że idę do Rzymu,
I rzekłam: „Idę na odpust do miasta“ —
A Bóg mi zaraz wynagrodził trwogę,
Bo ta kobieta rzekła: „To nie blisko!“
I zaraz miasta dała mi nazwisko
I powiedziała jak najbliższą drogę.
Wszystko dar boży...

Potem o trzy mile
W lesie idącą spotykam kobietę.
Ta się tak do mnie uśmiechnęła mile,
Że w tym uśmiechu serce, jak odkryte,
Serce na dłoni. Z tą ja w rozhowory —
A ona: „Wiesz ty, co słychać w Dziedziołach?
W strachu są wielkim podleśne klasztory —
Popy biegają tu po wszystkich siołach
I rozsyłają po drogach opryszki
Łowić ubiegłe trzy Polaczki mniszki“.

To słysząc, z twarzą już bólem cierpliwą,
Rzekłam: „A czy już którą ułowiono?“
A ona: „Pędząc żołnierze tą stroną,
Znaleźli przy mnie jedną, lecz nieżywą.
Mówią, że sama najstarsza u ścieku
Jednej rzeczułki leżała śród mostu
Ot, może tego, matko, jak ty, wieku,
Z twarzy do ciebie podobna i wzrostu,

Właśnie, gdy dońce stali przerażeni,
Nadbiegła w pogoń biskupa kolaska.
Wysiadł i krzyknął, że to sama ksieni,
Sama klasztoru ksieni, Mieczysławska,
I kazał ścierwo rzucić do strumieni.
Proszczaj!" — I ścieżką poszła w głąb pustoży. —
Za odchodzącą patrząc w sosen cienie,
Rzekłam: „To boskie było ostrzeżenie!

To anioł boży!"

A ten trup zaraz mi zastąpił w głowie,
Bo pomyślałam, że się on nie rodził,
Lecz go rzucili z nieba aniołowie,
Że Bóg im drogę, goniącym, zagrodził.
Odtąd już śmielsza szłam aż do granicy,
A jeszcze Bóg mnie raz tylko spróbował:
Taki mróz spuścił, że aż ze źrenicy
Krew szła. Gdzie spojrzę, lasy — drwa na pował,

Ale zapalić niema czem ogniska.
Skostniałam — chleba nie miałam okruchy...
Wtem patrzę — jakieś przy lesie pastuchy
I niespędzone owieczki z pastwiska.
Wolałam ludzi uniknąć tą razą,
A u tych owiec rozgrzać moje ciało.
Jakoż się mnóstwo matek nazbiegało,
I na me nogi, zimne, jak żelazo,
Kładły swe ciepłe łona, swe kożuchy,
Tak, że ja tymi niewinnymi duchy
Byłam ogrzana od nóg aż do twarzy
I uzdrowiona, jakby przez lekarzy".

I tu umilkła — w górę tak patrząca,
Żem ujrzał srebro białego miesiąca
I tę zalaną radosnemi łzami,
Wpatrzoną w miesiąc — między owieczkami.
O, cudnie polski otwiera nagrobek
Ten nowy Pańskiej męczennicy żłobek!
— „To wszystko... Teraz tu, biedaczki moje,
Oto widzicie, jestem z wami, stoję,
Gotowa, chociaż jeszcze trochę chora —
Gotowa, mówię, iść napowrót w drogę...
Tylko się spieszcie, dziatki — bo dziś pora,
Dziś... Więcej mówić wam teraz nie mogę!

To jest historja cała mojej męki
I całej mojej tej biednej podróży.
Widzisz: kto Panu swemu wiernie służy,
Ten się dobywa cały z katów ręki.

Tu jestem z wami — lecz ci wyznam szczerze,
Że chciałabym się już dostać do Rzymu:
Tu wszyscy dobrzy, mam kadzideł, dymu,
Ale nie dzwoni serce, gdzie uderzę.
Przychodzą jacyś — jakby dziś z puchówek
Powyłazili — warzeni w dekokcie —
Patrzą, trefionych przekrzywiają główek,
Wzdychają w niebo i czyszczą paznokcie.
Słuchaj — ja prosta jestem, poraniona...
O, gdyby tu też gdzie jaka serdeczna,
Z doktorem swoim poważna matrona,
Z dziećmi... Ja dzieci lubię, jestem grzeczna...
Nie; wczoraj jakaś słodka, jak patoka,
Z migreną w głowie, z bólem w każdym członku,
Hrabina tak tu spojrzała z wysoka,
Jak gdyby miała sakrament w pierścionku.
Ona tam może bardzo Bogu miła —

Lecz szczebiotała o świętych, jak sroka,
A oczki żółte, jak prążki, mrużyła.
Wstałam — choć jeszcze na tę nogę chora,
A ona mi co? — Po francusku gada
I prezentuje swego konfesora,
Młokosa, mówiąc, że dobrze spowiada...
Ot, drugi raz mnie weź, w łańcuchy okuj,
A z temi tutaj ludźmi daj mi pokój!
Ja chcę do Rzymu..."

Rzekłem: „O, mistrzyni
Bolesnych tonów, czarownego rymu!..."
— Zakryłem oczy... „Matko, jedź do Rzymu,
Jedź! Twoje słowo może Rzym uczyni...
Lecz teraz ujrzysz na świętej fortecy
Wyżej złoconych tiarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pozastrzelane nikczemnie... przez plecy.

Ujrzysz ohydną wszędy cześć bałwanów,
Ujrzysz męczeństwo straszne ducha światów...
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu pierwszy krok — do Watykanów!...
A jeśli krwawej nie ustrzeżesz duszy,
A dasz ją, jako wosk, w tych ludzi ręce —
Królową ducha nam wyszłaś po męce,
Umarłą wyjdziesz po tamtej katuszy!...
Albo, jeżeli cię znowu gorąca
Dusza, jak matkę, porwie z tej mogiły —
To się uczujesz bez łez i bez siły!

Jeżeli święta — to już chyba klnąca...
Żegnaj!"

A ona, swe oblicze blade
Wyszkliwszy na mnie: „I gdzież ja pojadę? !"
A ten krzyk taką był wielką rozpaczą,
Że przy nim jednym — tamte tylko płaczą.

DO AUTORA TRZECH PSALMÓW.

Podług ciebie, mój szlachcicu,
Cnotą naszą — znieść niewolę.
Ty przemieniasz ziemską dolę
W żywot ducha na księżycu:
Głosem dziecka wołasz: czynu!
Czynu — czynu naród czeka.
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka...
A ty, który budzisz czyn,[1]
Gdy spojrzałeś w ludu oczy,
Rzekłeś, że z nich rzeź wyskoczy!
A kto inny jest — niż gmin?

Nie tak — nie tak, mój szlachetny.
Bo czyn ludu nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny,
To nie pieśni próżny twór,
To nie buntu próżna mara,
To nie chmurny lot Ikara,
Gdzie zasługą upaść z chmur!
To nie na słońc, gwiazd granicy
Z kochankami mdlejąc latać,
Włosy splatać i rozplatać,
Tchnienie tracić w błyskawicy;
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać,

W rękopisie mamy nadto wariant zamiast czterech ostatnich wierszy tego ustępu:

Lecz ty drżysz, gdy z ducha gminu
Błyśnie w ogniach twarz człowieka!...
Drżysz, gdy od kos ukraińskich
Długi, smętny brzęk zaleci
Do Warszawy — gdzie was, dzieci,
Straszy teraz twarz Kilińskich...

Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!
W drogę, choćby niepowrotną,
Ale prostą — naprzód twarzą,
Z piersią czystą, choć samotną,
Choć ją sztyletami rażą,
Z twarzą smętną, ale białą,
Chrystusową, choć zwiędniałą,
A ciągnącą lud do siebie
Niesłychanym bożym czarem:
Takim duchem i sztandarem
Być na ziemi — jest być w niebie!

A ty, jasny jakiś panie,
Bo cię nie znam, ale słyszę,
Słysząc twoje wierszowanie,
Że ktoś jak perłami pisze,
Że ktoś nakształt się proroka
Stawia ludziom — ale modny,
Jak historyk świata — chłodny,
Obejrzawszy świat z wysoka,
Wieszcze rymy, jako cugi
Posłał na świat równym kłusem
I napełnił wóz Chrystusem,
Jak Owidjusz Faetonem,
O rozesłał swoje sługi,
Swe kolory czcić pokłonem.

Honor myślom, z których błyska
Nowy duch i forma nowa!
Bo są światu, jak zjawiska,
Jako jutrznia są różowa,
Jak ogniste meteory
Stopom ludu podścielona,
By gościńce Irydjona
Pielgrzymowi, który od nich
Bierze ogień i kolory,
Gdy już gwiazd dochodzi wschodnich.

Taką była dawniej dana
Poetyczna karm dla ludu,
Objawienie pełne cudu;
Myśl, jak mara niespodziana,
Z piersi naszej wychodziła
Nakształt gwiazdy, lub miesiąca,
Narodowi dźwiękiem miła,
Ludu sen wspominająca.
To jak słońce w półobłoku

Oczom wschodziła i rosła,
To jak róża na potoku
Albo lekki Sylf bez wiosła.
Jakaś siła niewidzialna,
Przez poetę na świat lana,
Wolna — jako Anioł Pana!
Silna — jako skra zapalna!

Dziś co? — Każdy wieszcz z rozkazem,
Każdy patron... lecz za sobą;
Nie z promieniem, lecz z wyrazem,
Nie duch-duchem, lecz osobą,
Kiedy gore świat cierpieniem,
Kiedy wzbiera czynu fala,
On się kładzie sam kamieniem,
Na ruch ludzki nie pozwala;
Chce zawrócić w stare łoże
Nowe fale — rzeki boże;
Do zbolałych serc nie wnika,
Gromu ludu niema w dłoni,
Ale w uszy formą dzwoni
Albo dzwoni — albo syka
Jego dźwiękiem, jego mową
Nie odetchnie pierś szeroka,
Nie pomyśli jego głową,
Skier nie weźmie z jego oka;
Tylko nędzne ujrzy płachty,
Zamiast wieszcza — sztandar jego
I krzyk: „Na Boga żywego!
Ty, kto jesteś? nie rżnij szlachty!!..."

Któż i gdzie zagroził nożem?
Któż i gdzie ci stanął sporem? —
Możeś spotkał się z upiorem,
Z całem dawnem Zaporożem?
Może tobie zastąpiły
Krzyki krwawe i namiętne,
I księżyce nad krwią smętne
I sokoły w mgle, jak duchy?
Może tobie zastąpiły
W poprzek twojej sennej stecki
Same tylko ich mogiły —
A ty zląkł się! — wódz szlachecki!! —

Może tylko w noc półjasną
Upiór jaki nadlatywał,
Strzały sobie z ran wyrywał
I mgły krwią czerwienił własną,
Hełm rozpalił w błyskawicę,
Miecz potrząsał purpurowy,

A okropne cztery głowy,
Jako perły zausznice
Z twarzą nieznajomych plemion,
Niby róże — niósł u strzemion.
— A ty zaraz — w ręku kord.
W kosach przed nim cała wieś!
Duch ten, krzyczysz, jest to rzeź!
Duch ten, to czerwony mord!...
— Nie mord, nie rzeź: — to z girlandy,
Co leciała ponad Lidą,
Jakiś sługa dziewki Wandy,
Jakiś złoty husarz z dzidą,
Jakiś krzyża kapłan świecki
Z tęczy widzeń oderwany
Znów powracał na kurhany —
A ty zląkł się! — syn szlachecki!! —

Skądże taka w tobie trwoga
I od ludu rów i przedział?
Prawdę mówisz?... Nie, na Boga,
Wiem, żeś prawdy nie powiedział!
Tylko jakieś sny czerwone,
Zaludnione czartów gminem,
Twych firanek karmazynem
Owionięte, osłonione,
Jak róż jasne — jak sen płonne,
Pełne, mówię, mar szkaradnych,
Bez słońc, bez gwiazd, kwiatów żadnych,
Przestraszyły cię, żeś krzyknął:
„Stójmy tak — na Ojców kości!“
I twój Anioł, już w przyszłości
Zabłyśniony — jak sen zniknął.

Jeszcze co? ani zamachu —
Naród cały hasła czeka —
A krzyk pierwszy z ust człowieka
Był krzyk: stójmy! był krzyk strachu.
Bo to sen na końcu pieśni,
Że magnaty — kiedyś — staną
Z wielką tęczą chorągwianą,
Otrząśnięci z wieków pleśni,
Z wielką myślą w sercu — głowie —
Chatom — niby Aniołowie;
I bunt święty rozpłomienią,
I świat cały od nich zgore...
— W tych magnatach serce chore:
Wąż im sercem, a proch rdzenią!...

Kiedyś, ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica;
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcej.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo...
Dziś — i ten nie został z wami
I godności swej nie trzyma;
Poszedł gnić między królami,
Już go niema — i was niema!

Bądźże żywotniejszej cery,
Bo cię żywym być przymuszę;
Wygnaj z myśli Marjusze,
Cezary i Robespiery.
Z komet, z meteorów cyfer
Czytaj przyszłość, wieszczu młody,
Nie bądź w przyszłą noc pogody,
Jako gwiazda zła — Lucyfer,
Gdy słoneczny wóz wyciąga,
Jak pies, węża mając szyję,
I zła skrzy... i w oczy bije
I bezsennym się urąga. —
Bo my z bezsennego łoża
Wzrok rzucamy gorączkowy,
A ty łyskasz blaskiem noża,
Dziecko, lub zły duch Jehowy,
Bo nam tworzysz czarną marę
I w zrodzoną rodzisz wiarę.

Ten, kto ojcu powie: raka!
Ten przeklęty: — więc się bój!
Polski lud, to ojciec twój.
Zeń, jak z cierniowego krzaka,
Gotów znowu Bóg wybuchnąć,
Z wichru mając twarz i lice,
I na ciebie, jak na świecę —
Iść — i dalej pójść — i zdmuchnąć!

Więc się bój: — bo nie ja grożę,
Marny człowiek i twój brat,
Ale jakiś straszny świat
I widzialne światła boże,

Z ciszą, z wiatrem i z szelestem
Rzucające się na lud
Strachy, które mówią: cud!
Ognie, które szepcą: jestem!

Więc się bój: — bo duch się wdziera
Zewsząd i podważa wieże.
Słaby, mówisz, rzeź wybiera:
A czy wiesz, co on wybierze?
Może ludów zatracenie,
Może nam przyniesie w dłoni
Komet wichry i płomienie.
W których drży król, matka roni,
Działa, wozy, hufce, konie
Ogień pali, ziemia chłonie;
A nikt z mogił nie korzysta,
Jeno wszczynający ruch,
Wieczny rewolucjonista,
Pod męką ciał — leżący duch!

Duch, ogień, młodość
Orla i żywa
Ogniem porywa
I z ducha czerpie.
Nad nią na sierpie
Z blasków księżyca
Boga Rodzica
W zorzy czerwonej,
Na wywróconej
Tęczy porannej!
A pod nią mgła
Z ognia i szkła
W skrze nieustannej
Bałwany wznosząca,
By znieść ją z miesiąca,
Z gwiazdami złotymi
Postawić na ziemi,
Ogłosić królową,
Piękność z płomieniem w sercu, z gwiazdami nad głową.

Wyszła, wyszła z za obłoku,
Ludom się pokaże,
I na żniwie i na toku
Ujrzą ją żniwiarze!

Cała w słońcach, cała w błyskach,
Z kwiatem złotym w dłoni;
Pastuszkowie przy ogniskach
Zaśpiewają o niej!...

Ujrzą ją na polu trzody
I smętnie zaryczą;
Zadrżą drzewa, staną wody,
Sny z niej tęcz pożyczą!

I zgromadzą się włódarze
Z kosami na roli;
Bo się w sercach — w śnie pokaże
Człowiek dobrej woli...

A tu niżej
Pan poniży
Namiętnych.

Głos uciszysz,
A usłyszysz
Jęk smętnych.

Zebrzydowscy
I Zborowscy
W czerwonych delíach

Błyskawice
I dziewice
W bladych kameliach.

Chór przychodzi,
Zda się w łodzi,
O brzegi trąca.

Nad smętnymi
Lampa ziemi,
Okrąg miesiąca.

Zegar świata,
Ptak Piłata,
Godzinę pieje.

Strach i nudności,
W grobach drżą kości,
Bezduch szaleje.

Duch uciska,
Mroczy i błyska,
Aż uzupełni

Wiek idący,
Bogiem błyszczący,
Jak miesiąc w pełni.

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie.
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: „Nie ciśnij" —
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą !... błyśnij!
W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, jako Anioł, w człowieka
I staniem ludem świata !...

W takim hymnie wieszczu stój;
Bo pieśń taka pójdzie górą,
Nad podlejszych dusz naturą
Panująca — boży strój,
Do którego Bóg nagina
Wszystkie tego wieku struny,
Złączy dźwięki i pioruny,
Świat, co kocha i przeklina,
I błękitu rzuci na tła,
Przemienioną krwawość w światła.
Anioł się z Aniołem zetrze,
Chrystus wyjdzie na ciał złamy
I z Chrystusem się spotkamy,
A spotkania plac... powietrze ! —

ZAKOŃCZENIE TO ZOSTAŁO PRZEZ POETĘ W DRUKU PONIECHANE:

Lecz dopóki ty i twoi,
Duchem bożym nie skrzydlaci,
Chcecie stać na głowach braci,
Tak jak szatan dotąd stoi,
Ciałem — formą, która kuta
Od tysięcy lat we świecie,
Choć spróchniała — duchy gniecie,
Wyrobiona i przeżuta,

Przeświecona piekłem mara,
Dla was święta tem, że stara...
Póki wy, jakby z kamienia,
A kryjący strach kobiecy,
Opieracie wasze plecy
O ten wiatr z gwiazd i z płomienia,
Który się jak słońce pali
I lud niesie, a was wali —
Lecz dotychczas jeszcze szczędzi
Najpiękniejszych od zagłady,
Aż nie mogąc, dusz gromady
Przerażone z ciał wypędzi: —
To ja — pomny na potrzebę
Przyszłych ludzi, tych Cezarów,
Którym każdy stary narów
Kładł pod nogi kamień, glebę,
Męczenników pełną chatę,
Swój interes i prywatę;
To my święci, to my młodzi
Jutrzenkami i błyskaniem,
Charonowej twojej łodzi,
Pełnej trupów — poprzek staniem!

BIADA WAM, GDY SIĘ BUDZI DUCH...[1]

Biada wam, gdy się budzi duch i obudzony
Stoi świeżą krwią nową żywota czerwony,
Gdy okiem błyskawicy na wsze strony błyska
I świat do nowych, wielkich lotów powoływa,
Wyście wynieśli dawne królów prochowiska
Z kościami w trumnach; zamiast krzyczeć: Polska żywa,
Wyście krzyczeli: Niechaj żyje!... z cudzej pracy,
A tył wam szpikowali ołowiem Prusacy.

RADUJCIE SIĘ!

Radujcie się! Pan wielki narodów nadchodzi!
Radujcie się, bo prawdy wybiła godzina,
Strach się już boży rodzi,
Strachem Pan jako mieczem ognistym pościna.

Któż wytrwa, gdy go ognie niebieskie pochwycą?
Któż miecz podniesie, drżący jak listek osiny
Przed Pańską błyskawicą,
W strachu przyjścia Pańskiego i wielkiej godziny?

1 Wierz przeciw stronnikom Czartoryskiego.

Na obłokach się zjawią postaci człowieka,
Święci ogniści staną w chmurzycach za Panem,
Szatan na blask zaszczeka,
Trzody na polach drżące przypadną kolanem.

Pastuszkowie otworzą usta, światłością zdziwieni,
Widząc jasne obłoki i Pana w obłokach;
Świat się cały spłomieni,
Ujrzy swe archanioły na ogniach i smokach.

Chwała Panu, że z ciałem się zjawił rzetelny,
Że dotrzymał — a przyszedł ratować niewinne
Chrystus, Pan nieśmiertelny,
Nasz Pan, który nagrodził swym świętym uczynne.

Podnieście teraz czoła, od wieków trapieni,
A więcej się nie bójcie żadnego ucisku;
Pan ciała wam przemieni
I miasto swoje złote postawi na błysku.

Pan nasz zamieszka z nami i nigdy już więcej
Nie zostawi na ziemi, jak teraz, sieroty
Król tysiąca tysięcy,
Na stolicy słonecznej ognisty i złoty.

Król umiłowany — baranek łagodny,
Sędzia nasz sprawiedliwy, ciał naszych przemieńca,
Syn Boży pierworodny,
Wołający swe święte do chwały i wieńca...

LOS MIĘ JUŻ ŻADEN NIE MOŻE ZATRWOŻYĆ...

Los mię już żaden nie może zatrwożyć,
Jasną do końca mam wybitą drogę,
Ta droga moja — żyć — cierpieć — i tworzyć,
To wszystko czynię — a więcej nie mogę.

Dawniej miłością różane godziny
I w zorzach jeszcze jaśniejsze pochodnie;
Dzisiaj, przy schyłku dnia ważniejsze czyny,
Wielkie i smętne, jak słońce zachodnie.

Na nich się zegar życia zastanowi,
I puści ducha-skowronka w otchłanie,
Pomóż-że, Boże, temu skowronkowi,
Niech wesół leci — niech wysoko stanie.

A raczej powiem, — gdy się żywot zmierzcha,
Dusza-jaskółka daleko od ziemi,
Pomóż jaskółce, co mi z oczu pierzcha,
Z oczkami w światło rozweselonemi,

KIEDY SIĘ W NIEBIE GDZIE ZEJDZIEMY SAMI...

Kiedy się w niebie gdzie zejdziemy sami,
Naprzód cię spytam, czy jesteś bogata?
Bo ci w westnieniach oddawałem lata,
A ty płaciłaś je pocałunkami.
A dzisiaj temi ty pewno latami
Kupujesz sobie wieczność na błękicie,
Bo w twoje życie weszło moje życie,
I najpiękniejsze sny pomiędzy snami.

Ale ty jasna, błękitna królowa,
To tylko musisz znosić w słońcu ducha,
Że wszędy w tobie dźwięczy pamięć słowa,
A w słowie twój duch na błękitach słucha,
W słowie jest jego piosenka i skrucha
I niby ziemskiej przeszłości połowa.

ŚMIERĆ, CO TRZYNAŚCIE LAT STAŁA...

Śmierć, co trzynaście lat stała koło mnie,
Poszła i wbiegła do carskiej komnaty,
Car ją, jak warjat, przyjął — nieprzytomnie
I oddał ducha przy strzale harmaty,
Który gromowi Bożemu podobny
Poszedł na Moskwę, jako dzwon żałobny.

Moskwa w powietrze blade zasłuchana,
W czepcach złocistych, jak matuszka stara,
Słysząc to, rzekła: „Albo śmiech szatana,
Albo też pękło czarne serce cara".
I cała wyszła na zielone błonia
Czekać na jeźdźca pierwszego i konia.

Pierwszy koń leciał a był jako smoła,
I cały czarny jeździec na nim siedział,
Przez lud przeleciał i wpadł do kościoła,
Przez lud przeleciał — słowa nie powiedział;
A kiedy kościół odemknięto z trwogą,
W tej ciemnej Ławrze nie było nikogo.

Drugi przeleciał — lecz resztkami włosa
I chustą krwawą się krył przed narodem,
Jak człowiek, który niema ust i nosa
I twarz ma całą zgniłą jednym wrzodem.
Ten, jako zwykle car czynić przywyknął,
Wbiegł na zamek — usiadł na tronie i zniknął.

Trzeci przeleciał — ale był zdaleka
Widny ludowi... że był jak ruina,
Która ma okna tam, gdzie u człowieka
Serce się mieści i szyja się wcina...
Ten nie doleciał, bo nań wpadły kruki
I rozerwały przed ludem na sztuki.

Wtenczas lud krzyknął: To nasze trzy cary,
Które w człowieku teraz jednym były,
Najpierwszy: to duch i proch i car wiary
A drugi to proch i duch i car siły;
A trzeci — od tych rozerwany ptaków,
To car-kat... który był królem Polaków.

DUSZA SIĘ MOJA ZAMYŚLA GŁĘBOKO.

Dusza się moja zamyśla głęboko,
Czuje, że tu, jak słońcu, zajść potrzeba,
A innym ludziom zabłysnąć na oko...

Jakiego kraju i jakiego nieba
Światło powita mię w progu żywota?
Nie wiem — lecz radbym żył z polskiego chleba...

Bądź-że mi lepsza, o młodości złota,
Niż ta, która mi tutaj się skończyła,
Strzegącemu się szlachetnością — błota. [1]

Bądź-że mi blisko, o matczyna, miła
Duszo, abym mógł znów ukochać ciebie,
Nie wiedząc, żeś mię tutaj raz — rodziła.

DO MATKI.
(URYWEK).

W ciemnościach postać mi stoi matczyna
Niby idąca ku tęczowej bramie —
Jej odwrócona twarz patrzy przez ramię,
I w oczach widać, że patrzy na syna.
. . . . . .

BARANKI MOJE...

Baranki moje,
Zaświtał czas,
Nad piękne zdroje

1 Warjant: A jeszcze dzwoni echem, jak tęsknotą

Powiodę was.
Puszczę was, owieczki,
Na piękne kwiateczki
I będę pasł.

Baranki z ducha,
Ja pasterz wasz;
Pan Bóg mię słucha,
Ozłocił twarz.
Bogiem promienny,
Odprawiam bezsenny
Anielską straż.

PROROCTWO.

Kiedy róża[1] stanie złączona z kamieniem,
A nad niemi się dąb zakołysze:
Cała emigracja zagore płomieniem,
I o paszport do Boga napisze.

I wstanie jako człowiek i mocarze zatrwoży
I wywróci oddechem bezbożne;
Sam Pan Bóg wyda paszport, Chrystus słońce położy,
A Duch-piorun nam da podorożne.

I szable się zapalą, zasłonecznią się znaki,
Serca wszystkie jak lampy zagorą,
Jak miesiące zabłyszczą nasze biedne chodaki,
Jak w pioruny nas łachmany ubiorą.

I polecą zwiastować w Polszcze niebieskie ptaki,
Że idziemy jak chłopki z kijami:
A żelazni rycerze i brązowe rumaki
Nim zobaczą — już pierzchną przed nami.

Prędzejże, Panie Boże, Twym ognistym ramieniem,
Łam, a przemóż cielesne opory!
Niechaj róża zakwitnie połączona z kamieniem,
Niech dąb Bogiem zabłyśnie z pod kory!

Bo nie prędzej to będzie, aż się to wszystko stanie,
Co w poety ogniło się słowie,
Aż z duchów będzie chmura, a w tej chmurze błyskanie,
A w błyskaniu, jak Chrystusy, wodzowie.

---

1 Proroctwo to odnosiło się do pułkownika K. Różyckiego, pułk. M. Kamieńskiego i jenerała Henr. Dembińskiego (r. 1848).

ŚNI MI SIĘ JAKAŚ WIELKA POWIEŚĆ...

Śni mi się jakaś wielka a przez wieki idąca
Powieść... niby na twarzy ogromnego miesiąca
Ludy wymalowane... krwią swoją purpurową
Idące błagać Boga i wiekuiste słowo
Na niebiosach zjawione... O pomóż Zbawicielu,
Abym te wszystkie rzeczy... do gwiazdy i do celu
Doprowadził... a ludzkim się nie zmięszał oklaskiem
Ani łzami się zalał... ani śćmił Twoim blaskiem.

Ojczyzny nieśmiertelnej serce wielkie niech słyszę,
Ciągle w sobie bijące... a na wielką się ciszę
Przygotował... że żadnych stąd oklasków nie będzie...
Chyba gdzie jakie pary... białe, wodne łabędzie
Po stawach ukraińskich... albo też i nad nami,
Które są echem kraju... tych... i muzykantami
Niebios... Cecylji świętej... za życia poślubione...
Głos słysząc... złote palmy... niewidzialną koronę
Spuszczą z chmur turkusowych... i ze złotego nieba
Róż ognistych nasypią... więc też niepotrzeba
Kaznodziei poecie...

Prześwięte więc żywoty
Opiszę... i tych jasnych duchów słonecznik złoty,
Ciągle ku przejasnemu słońcu odwracający
Oblicze... więc i wielki ów kraj teraz płaczący
Wolności... i wierzbami rozwieszony nad grobem
Zbudzę... i ojce nasze nad Zbawiciela żłobem
W gwiaździe wschodniej zjawione... ubiorę w dawne ciała,
Więc i Litwę — co wtenczas nad jeziormi siedziała.

BO MIĘ MATKA MOJA MIŁA...

Bo mię matka moja miła
Na słowika urodziła,
A ja wziąwszy taki głos
Ze słowika jestem kos...
A to wszystko są nonsensa,
Te moje wierszyki nowe,
Gdzie się język mój wałęsa
I bawi zęby trzonowe...

NIEDAWNO JESZCZE — KIEDYM SPOCZYWAŁ...

Niedawno jeszcze — kiedym spoczywał uśpiony
A sen mój się zarzęsnił strzałem pełnym dymu,
I w dymie stanął anioł, jak ogień czerwony,
I szepnął mi do ucha: „Ja mord — [illegible] z Rzymu ...“

Jam uciekał i tęczę tak za sobą snował
Jak Irys... a po tęczach gnał mię ów przeklęty
Tak, żem spytać go musiał: „A któż tam mordował?“
A on mi znowu szepnął w ucho: „Ojciec święty“.

I znowu uciekałem... i kwiatów kielichy
I róże z ducha mego ciskałem za siebie,
Broniąc się... a on za mną, jak kurz i wiatr cichy,
Gnał i szeptał: „Spełnione tu... osądzą w niebie“.

JAK KAMIEŃ SZEDŁEM NA DNO...

Jak kamień szedłem na dno — oczy mi zagasły,
Ściemniała wnętrz — szatany w jej ciemnościach wrzasły,
Uczułem rozerwane serca... krwawy podział...
W purpurę mię i ciemność Jehowa przyodział,
Jam stał zlękły... i walczył z ciemności obłokiem.
Pruł go i sztyletował — błyskawicą — wzrokiem.

PRZY KOŚCIÓŁKU...

Przy kościółku,
Mój aniołku,
Koronka,
Żonka,
Pieczonka.

Przy organku,
Mój Bohdanku,
Szumka
I dumka.

Przy klasztorku,
Mój kaczorku,
Świętość,
Wziętość,
Nadętość.

Przy krzyżyku
Na stoliku
Fakta,
Dwa akta...

W OSTATNI DZIEŃ.

W ostatni dzień, w ostatni dzień,
Wyście podróżne tu ptaki
Spotkały suchy dębu pień,
Co od piorunów miał znaki.

Lecz gdy go śpiew poruszył wasz,
Gdy głos doleciał z ojczyzny,
Wylazła nagle człeka twarz
Z pod kory — ze spalenizny.

Z pod liści błysnął złoty łuk
I ręka — i kawał korony,
W dębie słowiański mieszkał Bóg,
I wam się pokazał zjawiony.

CHWAL PANA, DUSZO MOJA.

Chwal Pana, duszo moja
Z głębokości twych zdroja
Wychwalaj świętość Jego.

Chwal! chwal Nieśmiertelnego,
Za duch twój, za twe blaski,
Za wszystkie Jego łaski.

On cię usprawiedliwił,
Tylekroć ubezpieczył,
Nakarmił i uleczył.

O BOŻE OJCÓW MOICH, TOBIE CHWAŁA.
(FRAGMENT).

. . . . . .
O Boże ojców moich, Tobie chwała
Na wieki wieków od Twojego sługi —
Orlicy z ognia, która mię porwała,
Chwała i wieczny hołd i rozgłos długi.

Jak orzeł gniewny, Panie wiekuisty,
Zleciałeś na mnie i skrzydły przykryłeś,
Szelest był wiatru i trzask był ognisty
I cisza wielka pod ogniami . . . . .
. . . . . .

MATECZNIK DUCHA — GRÓD ŚMIERCI.

Oto Bóg, który łona tajemnic odmyka,
Podniósł wreszcie zasłonę czarną z matecznika,
I pokazał... okropną umysłów ruinę,
Oczy krwią zaszłe, twarze zielone i sine,
Dogasające oczy przy ofiarnej czarze,
Zabójstwa serc i skryte na trupy cmentarze,

Kijami po moskiewsku nasiekane grzbiety,
Żywe, zwierzęce widma — włóczęgi — szkielety,
Chodzące ludzi szczątki — ciał ruchome ćwierci,
Pełny wężowisk, d u c h a m a t e c z n i k,[1] g r ó d ś m i e r c i...

Tamże jest tron jako grób straszliwy i czarny,
Na którym się pokazał ów niedźwiedź polarny,[2]
Figura z krwi i z ciała, wewnątrz chora, pusta,
M o c a r z zapowiedziany w proroctwie o s z u s t a.[3]
Przed jego pożyczoną już od cara mocą
Szkielety warjatów kładną się, gruchocą,
Podlą się i za podłość mu składają dzięki.
Słychać trzask czaszek, grzechot piszczeli i jęki.
Któżby powiedział wczora, że ta, ach, kotara
Kryje takie tam uczty straszne Baltazara,
Że ten, co miał serdeczne niegdyś w Polsce państwo,[4]
Dzisiaj osławiony zapadł w ducha pijaństwo
I bachanalją kończy z uczuciem wieczności,
Nie wiedząc, że ma z trupów śmiejących się gości,
Że tam nieoświecony jest dom bez miesiąca,
I ręka carska ogniem po ścianach pisząca,
Że przy stole okropne zbierając okruchy
Siedzą ciała nie swemi napełnione duchy,
Liczba jakaś szatanów, która ciał używa.
Ten mówi j a, — a drugi duch się z nim odzywa, —
Drugi — którego przeszłość w siebie zajrzeć znęci,
Spojrzy — i cudzą pamięć znajdzie w swej pamięci.
Inny... gdzieś pod Grochowem naznaczony blizną
Zapomni się i Moskwę nazywa ojczyzną.

Tamten rozczochra włosy i podniesie pięście
I krzyknie jak kobieta: Boże! o! nieszczęście!
I zaszlochaniem, w którym już braknie oddechu,
Zakończy jak dziecinna harmonijka śmiechu,
Z tonu na ton spadając, aż głosem zaleci
W te jamy, gdzie psy wyją piekielne jak dzieci...

Tam, patrzaj, człowiek niby zachłyśniony Bogiem,
Ojczyzny, swojej matki dawnej, stoi wrogiem;
W serce, gdzie ona jeszcze święty ogień trzyma,
Swemi sztyletowemi utkwiwszy oczyma...
Warjat, a mądry! Sztandar zaguby rozwinie,
Wszystkich wyszle i straci, ale sam nie zginie, —
Jako płaz będzie pływał w skorupach i ślinie...

---

1 Koło Towiańczyków.
2 Aluzja do „Biesiady“ Towiańskiego.
3 Tak napiętnowany Towiański.
4 Mickiewicz.

I teraz stoi, patrzaj, jak trup w grobie cały,
Od którego robaki sto lat uciekały,
I nareszcie z przestrachem rzuciły trumnicę,
Gdzie kości wypróchniałe gorzały jak świece.

I nad okropnem, ciemnem piekła malowidłem
Szary tak machnął ręką, jak nietoperz skrzydłem.

MÓJ ADAMITO...

Mój Adamito — widzisz jak to trudne
Uprawiać cnoty pustynie odludne,
Jaki pot wielki z człowieka się leje,
Gdy o ideał stoi lub ideę.

Dawniej ci ręce Jezuitów plotły
Wianeczki i te świącemu wkładali,
Leciałeś jako komeciane miotły,
Sił nie zużywszy — byłeś coraz dalej.

Dawniej ploteczka szła nakształt zegarka
I ciągle twemi wiewała sztandary,
Lepsza niż sonet, plotka soneciarka,
Pełniejsza miodu — niż oba puhary.

Medale rosły w olbrzymie posągi,
K.... odeskie zmieniały grafinie,
Nie tak to widzisz, Adamitku, ninie,
Nie tak to ninie — jak to było ongi.

Dziś jezuityzm, jak wąż, ciebie łamie,
Sam go wskrzesiłeś... widzisz, mój Adamie!

BÓG DUCH, INNEGO ZWAĆ NIE BĘDZIECIE...

Bóg duch, innego zwać nie będziecie
W nieszczęściu waszem, o bracia moi.
Duch-Syn — objawion formą na świecie.
W gwiazdach, w miesiącach i w słońcach stoi,
A w nim miłości duch — duch święty,
Przemienion w róże i w djamenty.

Tym trzem się nasze duchy należą,
W tych trzech się rodzą, pracują, palą;
A nieśmiertelni — w co tylko wierzą,
Nawet że globy w słońcu zapalą,
Nawet że ruszą ciała z mogiły,
Wszystko mieć będą — w co uwierzyły.

Niechże twarz wasza nie będzie blada,
Niechże w was duchy nie drżą przed ciałem,
Niechże wam rozpacz krwi nie wyjada
Ani was rzuca wściekłych zapałem;
Boście strażnicy globu północni,
Wy słońc duchowie — w duchu wszechmocni.

BO TO JEST WIESZCZA NAJJAŚNIEJSZA CHWAŁA...

Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała,
Że w posąg mieni nawet pożegnanie.
Ta kartka wieki tu będzie płakała
I łez jej stanie.

Kiedy w daleką odjeżdżasz krainę
Ja kończę moje na ziemi wygnanie,
Ale samotny — ale łzami płynę —
I to pisanie...

USPOKOJENIE. [1]

Co nam zdrady! — Jest u nas kolumna w Warszawie,
Na której usiadają podróżne żórawie,
Spotkawszy jej liściane czoło śród obłoka;
Taka, zda się, odludna i taka wysoka!
Za tą kolumną we mgły tęczowe ubrana
Stoi trójca świecących wież świętego Jana;
Dalej ciemna ulica, a z niej jakieś szare
Wygląda w perspektywie sinej Miasto stare;
A dalej jeszcze we mgle, która tam się mroczy,
Szkła okien — jak zielone Kilińskiego oczy,
Czasami uderzone płomieniem latarni,
Niby oczy cichego upiora z pod darni.

Więc lada dzień, a nędza sprężyny dociśnie:
To naprzód tam na rynku para oczu błyśnie
I spojrzy w Świętojańską na przestrzał ulicę;
A potem się poruszą wszystkie kamienice,
A za kamienicami przez niebios otchłanie
Przyjdzie zorza północna i nad miastem stanie;
A za zorzą wiatr dziwne miotający blaski
Porwie te wszystkie zemsty i te wszystkie wrzaski;
Wicher jakiś z aniołów urobiony Pańskich,
Oderwany, jak skrzydło z widzeń Świętojańskich,
Przeźroczysty jak brylant, a jak ogień złoty,

1 Pisane w przewidywaniu przyszłego zwycięskiego powstania.

Który chwyci te zemsty, te światła, te grzmoty,
Zwinie i niemi ciemną uliczkę zalęże,
Jako brąz w niej zakipi, zaświszcze jak węże
I naprze tak, że będzie trzęsąca się cała
Jako wół sycylijski na miasto ryczała.

Usłyszycie wy wtenczas, serc naszych złodzieje,
Jaki wiatr z tej ulicy na miasto powieje:
Przez harmonijkę tonów swój krzyk przeprowadzi,
O kościół katedralny skrzydłami zawadzi,
Porwie królewski zamek, otworzy jak trumnę,
A potem na Zygmunta uderzy kolumnę
I z marmuru wyciągnie jakieś echo skalne,
Jakieś smętne, dalekie muzyki chóralne,
Które ja dziś już chwytam myślą na pół senną,
Słysząc ten wiatr i strunę pod wiatrem kamienną.
Więc kiedy kościół zadrży od stóp aż do skroni
I płaczącym się głosem na miasto rozdzwoni,
Więc kiedy ta kolumna w pomroku miesiąca
Zostanie gdzieś na placach, jak harfa grająca...
To wtedy co? — Krzyk jeden jak burza ponura,
Nie wiem, „Niech żyje Polska!“ czyli też krzyk „hurra!“
Wyleci, jak koń śmierci zerwany z wędzidła...
O katedralny kościół otrze głośne skrzydła...
A miasto co? — Słuchając z wyciągniętą szyją
Powie: że tam się ciemni aniołowię biją,
Że tam szatan ogniste przywoławszy moce
Koń swój brązowy ciska i piorun gruchoce:
Że jako Machabeusz pod zwalonym słoniem,
Tak szewcy pod piorunem padają i koniem
Zgruchotani; że księżyc na niebie odkryty
Pokaże tę ulicę pustą, lud wybity,
Piorun zagasły, walkę okropną skończoną,
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Więc kiedy miasto całe przestrachem ogłuchnie,
To znowu ta ulica jednym wiatrem buchnie,
Jednym krzykiem . . . . . .
A potem co? — Stojący uliczce na strychu
Kościół się katedralny odezwie po cichu,
Walkę i krzyk, różnymi wiejący głosami,
Jak organ rzuci miastu — głucho — akordami —
Coraz głośniej; — i całą tę harmonję senną
Roztrąci o kolumnę, tę strunę kamienną.

Wtem znów jeden z tych wrzasków, od których natura
Wzdryga się — jeden „vivat“ uliczny i „hurra!“
Jeden z tych krzyków, które czynią, że skrzydlata
Natura ducha w kościach tak jak ptaszek lata;

Że duch na ustach staje i już nie jest zdolny
Zatrzymać śmiech serdeczny i płacz mimowolny;
Jeden z tych krzyków, który wnikając w człowieka
Tak śpiewa w nim jak anioł, a jak szatan szczeka;
Jeden z tych krzyków... szumem błyskawic nawalnym
Uderzy, na kościele pęknie katedralnym,
Pójdzie mimo, lecz skrzydłem o kościół otarty
Kamienie w nim wrzeszczące zostawi jak czarty,
I wiele innych głosów, które zmartwychwstanie
Zapieją, jak anioły związane w organie.

I jeszcze ta harmonja nie zamilkła senna,
A już kolumna placu, ta struna kamienna,
Tym samym wichrem bita, z rozwahanem czołem,
Prym wzięła przed chóralnie jęczącym kościołem,
I dwa te śpiewy już bez odpoczynku
Będą miastu ogłaszać lud idący z rynku.
Jeśliż ma ta ulica taką ciasną szyję,
Że z niej — by słowo wyszło, to jak działa bije;
Jeśliż na każdą formę naszego uczynku
Tak srogo ona patrzy oczyma aż z rynku;
Jeśliż lada noc, a z niej wystrzeli powstanie
I w proch tego rozrzuci, kto na rychcie stanie;
Jeśliż jest taka mocna, że przez nocy cieni
Myzukę ciemną strachu wyrzuca z kamieni,
A kolumny na swoje muzykanty stroi;
To człowiek, który zawsze o zdradę się boi
I wszędzie widzi tylko postrachu upiory,
Albo dzieckiem być musi, lub na serce chory.

PANIE! JEŻELI ZAMKNIESZ SŁUCH NARODU...

Panie! jeżeli zamkniesz słuch narodu,
Napróżno człowiek swe głosy natęża:
Choćby miał siłę i odwagę męża,
Z niemiłowania umrze tak jak z głodu.

Próżno na ręce rękawice kładnie
I jako szermierz wystąpi zapaśnie:
Lica mu wyschną i oko zagaśnie,
Sprzepaści się pierś i głos w nią zapadnie.

Ale komu ty twoje namaszczenie
Włożysz na czoło, ten bez żadnej pracy
W powietrzu twojem jak powietrzni ptacy
Pływa, a święte karmią go promienie.

KIEDY PRAWDZIWIE POLACY POWSTANĄ...

Kiedy prawdziwie Polacy powstaną,
To składek zbierać nie będą narody,
Lecz ogłupieją — i na pieśń strzelaną
Wytężą uszy, odemkną gospody.

I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serce ludów pasła;
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś wielkie hasła.

Nie pojmie Francuz, co to w świecie znaczy,
Że jakiś naród wstał w ciemności dymie,
Choć tak rozpaczny — nie w imię rozpaczy,
Choć taki mściwy — a nie w zemsty imie.

Nie pojmie, jaką duch odbył robotę
W przeświętej serca ludzkiego ciemnicy,
I przez sztandary jest tłuczony złote,
I przez bój wielki przy dział błyskawicy.

Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogilniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku!

Nie, to nie ludzie z krwi i ciał być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
I ogniem biją niebieskim w pancerze.

POŚRÓD NIESNASEK PAN BÓG UDERZA.

Pośród niesnasek Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon,
Dla słowiańskiego oto papieża
Otworzył tron.
Ten przed mieczami tak nie uciecze
Jako ten Włoch,[1]
On śmiało, jak Bóg, pójdzie na miecze;
Świat mu — to proch!

Twarz jego słowem rozpromieniona,
Lampa dla sług,

1 Pius IX, który poprzednio gotów był stanąć na czele Włoch w walce z Austrją schronił się przed rewolucją rzymską 25 listopada r. 1848 do Gaety, sby oddać się pod opiekę królowi Neapolitańskiemu; w ten posób stawał się sprzymierzeńcem Austrji.

Za nim rosnące pójdą plemiona
W światło, gdzie Bóg.
Na jego pacierz i rozkazanie
Nietylko lud —
Jeśli rozkaże, to słońce stanie,
Bo moc — to cud!

On się już zbliża — rozdawca nowy
Globowych sił:
Cofnie się w żyłach pod jego słowy
Krew naszych żył;
W sercach się zacznie światłości Bożej
Strumienny ruch,
Co myśl pomyśli przezeń, to stworzy,
Bo moc — to duch.

A trzeba mocy, byśmy ten pański
Dźwignęli świat:
Więc oto idzie papież słowiański
Ludowy brat: —
Oto już leje balsamy świata
Do naszych łon,
A chór aniołów kwiatem umiata
Dla niego tron.

On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wziąwszy w dłoń;
Gołąb mu słowa w hymnie wyleci,
Poniesie wieść,
Nowinę słodką, że duch już świeci
I ma swą cześć:
Niebo się nad nim piękne otworzy
Z obojga stron,
Bo on na świecie stanął i tworzy
I świat i tron.

On przez narody uczyni bratnie,
Wydawszy głos,
Że duchy pójdą w cele ostatnie
Przez ofiar stos;
Moc mu pomoże sakramentalna
Narodów stu,
Moc ta przez duchy będzie widzialna
Przed trumną tu.

Takiego ducha wkrótce ujrzycie
Cień, potem twarz:

Wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość,
Robactwo, gad,
Zdrowie przyniesie, rozpali miłość
I zbawi świat;
Wnętrze kościołów on powymiata,
Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno, jak dzień.

TY GŁOS CIERPIĄCY PODNIEŚ...

Ty głos cierpiący podnieś — i niech w tobie
Krzyknie i naraz poważnie zaśpiewa
Wszystko, co naród sądził, że śpi w grobie,
Albo się ze krwią ludzką w krew przelewa.
Bo nie ten, który z rdzy pancerz oskrobie.
Albo w mogiły dawnej zajrzy trzewa,
A prochom dawny spoczynek naruszy,
Wiek pomknie — lecz ten, kto się dotknie duszy.

Mów, otwórz drogi Świętemu Duchowi,
Mów, a do niebios Bożych pokaż wrota;
Cały się naród z ducha niech wysłowi,
Cały o przyszłość niech się zakłopota;
Niech dusze kładą za siebie, aż nowi
Obaczą się tu, jaśni jak z pod młota
Hamerni złoto wychodzi świecące,
Jagnięta pańskie na słonecznej łące.

Stój! stój! — gdy przyjdzie w powietrzu ów święty,
Wróci raj, naszą utracony winą,
Liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty
Z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną,
Poganie ducha pójdą ze zwierzęty
Otaczać obóz ducha, lecz poginą:
Światłość je miasta świętego uderzy,
Odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.

Nie mów — leniwych duchów nie budź rzeszy,
Bobyś obudził ogień nienawiści;
Kto grzeszny teraz, niechaj jeszcze grzeszy,
A kto jest czysty, niech się jeszcze czyści.
Czas bliski, który święte z nas pocieszy,
A złymi pogna, jak wiatr chmurą liści;
I będą się jak zwiędły liść sypali,
W czarne jeziora, które duch zapali.

Biada tym, które koniec znajdzie świata,
Że jeszcze ciała takie, jak my, noszą;
Biada tym, które raz przez ogień kata
Dla prawdy Bożej nie przeszły z rozkoszą;
Biada tym, którzy chcą jednego lata
Owoców, a o męczeństwo nie proszą,
A o dar ducha do nieba kołacą
Jak ty, nie wziąwszy go czynem i pracą.

NARODZIE MÓJ...

Narodzie mój,
Coś widział miecz
Na niebie ciemnem świecący,

Powrócę ja —
Patrz, Furja zła,
Przyjdę jak płomień gorący.

Wezmę wichrzyce
I na stolicę
Wpadnę i dachy pozrywam;

W rzeki się rzucę,
W krew je obrócę,
W domy zlęknione powpływam.

Przez nocne cienie
Tak, jak płomienie
Pójdę, a wam wzroki wypalę —

Przez błyskawice
Mocarze chwycę,
Nagie postawię na skale.

Przepuść jeszcze ludowi,
On sędzie postanowi,
I proroki swe Boskie wybierze,

Oto leżą jak snopki
Błękitne twoje chłopki
I baranków duchowi pasterze.

Przez błękitne niebiosy
Rozwiń słoneczne włosy,
Nie trwoż biednych – patrz – jęczą znędzniali

Tysiąc lat w gwiazdę Twoją
Idą, a w miejscu stoją,
A tak drżą, jak gdyby po fali,

A jakiż to lud,
Który broni swych trzód?
Jak przewinił, że nie pomógł żadnemu —

Jeżeli mieczem władnie
A stoi, to upadnie
I blaskowi się pokłoni złotemu.

Obnażę jego wstyd,
Z pod sztandarów i kit
Oberwanych, twarz jego zawstydzę;

Bo on sam sobie płacił,
Z chwał się swoich zbogacił,
Kwiat swój wydał na ludu łodydze.

Duchu, na mały czas,
Proszę, pozostaw nas,
Pozwól dożyć spokojnie starości —

Właśnieśmy jak anieli
Wytrzeźwieli, dojrzeli
Krajów naszych cudownej piękności.

Promień nowej oświaty
Na tureckie makaty
W nasze ciemne uderzył alkowy —

Od stepów przyszły szumy
Wiatrów, smętki i dumy,
A od Litwy szum drugi sosnowy.

Ziemi wrócona siła
Oto nas upowiła
I wonnymi oblała balsamy;

Świat snem — snu ziemia łożem —
Ze snu powstać nie możem,
Ale z łoża do Boga wołamy.

DO FRANCISZKA SZEMIOTHA.

Nie zapominaj, że niegdyś ubogi
Twój przodek, włosy zarosły długiemi,
Miał swoją puszczę i miał swoje bogi
I swoich duchów opiekę na ziemi.

A kiedy mówił pacierz tajemniczy
I o potomstwo wielkie prosił ducha,

To krzyczał z piersi — tak jak morze krzyczy
A Bóg go słuchał, tak jak morze słucha.

Dziś, z jego domu rozwalonej ściany
Na krąg kamieni gdyś trafił w młodości,
Ciekawy byłeś, lecz nie zapłakany;
Nie ducha jego ciekawy — lecz kości.

Dziś, gdy cię ręka prześladowcza losu
Nad morze wiedzie, a tajemnic uczy:
W żywiołach — przodków ty nie słyszysz głosu,
Nie po litewsku tobie bałwan huczy.

Duchy twe jednak wodzą cię na pasku
I niańczą — i dziś to sprawiły rano,
Żem klął przed tobą i pisał na piasku
Te rzeczy, które w puszczy już wiedziano.

Pamiętaj ten dzień, gdy cię duch gołębi
Ostrzegał, własnych zapomniawszy krzyży;
Bo wkrótce w piasku tym ja jeszcze głębiej
Będę — i u nóg ludzkich jeszcze niżej...

Ale ci wtenczas tęsknota nakaże
Po mego ducha iść w duchów krainę,
Aż — odświeconych myśli moich twarze
Ujrzysz, i piasek ten i tę godzinę.

Dieppe, w niedzielę 1846, w dzień moich imienin

NIE UŻYWAŁEM LEKÓW i LEKARZY...

Nie używałem leków i lekarzy,
O! moi bracia, chcąc pozostać z wami,
Ale się tłukłem z wichrem i z falami
Pytając czasu: która moc przeważy?
Czy moje duchem napełnione ciało?
Czy morze, które wichrami szalało?

Wstydzę się wyznać! Morze zwyciężyło
Swoim bałwanem zimnym i szalonym,
A ja się wstydzę wyznać zwyciężonym
Wichrów szaleństwem i żywiołów siłą.

SNYCERZ BYŁ ZATRUDNIONY DIANY LEPIENIEM...

Snycerz był zatrudniony Diany lepieniem.
Stała już czysta, cała, miesięcznym promieniem
Świecąca z oczu; brakło już tylko na głowie
Położyć srebrną, jasną skrę — księżyca nowie.

Wtem do snycerni przyszedł człek, co wszędy biega
Tak, że doń zawsze błoto uliczne przylega.
Chodził, patrzał, trząsł sobą i błotem i światem;
Sam z gliny, więc posągów wnet się nazwał bratem,
Ojcem snycerza, który przed statuą ukutą
Stał cicho... oczy w ziemię spuściwszy i dłuto.
Już się mieli pożegnać, gdy snycerz, zajęty
Statuy skończeniem, marząc owe diamenty
I półkręgi srebrzyste, miesięczne różowe,
Które będą wieńczyły posągowi głowę,
A nie widząc, skądby miał w szaleństwie zapału
Na stworzenie miesiąca dostać materjału,
Nagle, z wielką pokorą, wielkiego człowieka,
Ujrzał na ziemi błoto, odpadłe od ćwieka

I od podkówki gościa, na ziemi leżące
(Zwykle po błotnych ludzi śladach półmiesiące).
Te snycerz wziął i z wielką położył pokorą
Tam, gdzie nad posągami zwykle gwiazdy gorą,
Albo przez lat tysiące, w kamień duszą wlany
Płomyk się genjuszu podnosi różany.
Zaledwo to uczynił, aż błotna istota
W gościu zaczęła krzyczeć o tę kradzież błota,
I pełny krwi na twarzy — w oczach błyskawicy,
Wrzeszczał ów gość: „Ja błoto przyniosłem z ulicy,
Jam przyniósł i wydeptał, i miesiącem zrobił,
A tyś skradł, abyś siebie u ludzi ozdobił
I zarobił majątek u polskich szlachciców
Tajemnicą, jaką mam, lepienia księżyców.
Więc nietylko, żeś plagjat popełnił haniebny,
Ale mnie w dom przyjmujesz, boć jestem potrzebny,
Bo twych posągów czoła byłyby bez wieńca,
Bez piękności..." — To słysząc snycerz, bez rumieńca
Na twarzy, wobec gościa, który się szamotał
Po snycerni, — ciął młotem w posąg i zdruzgotał.

DAJĘ WAM TĘ OSTATNIĄ KORONĘ...

Daję wam tę ostatnią koronę pamiątek
I łez i dawnych moich nadziei koronę.

Dawniej myślałem rzeczy uczynić szalone
Wami — założyć nowych narodów początek
Lecz mi teraz wystarczy mały ziemi kątek,
Gdzie w deskowej się zawrę muszli i utonę

WIERZĘ.

Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego,
Ojca naszego,
Przez któregom jest duch rodzony,
Twórczością i wolą udarowany,
Abym się objawił światłością.

Wierzę w Chrystusa Pana,
Słowo świata całego,
Który wszelką sprawę czyni,
Żywot ku Ojcu prowadzi,
A urodził się z Dziewicy
Przez natchnienie Ducha świętego
Zaś ćmieniem się ludzkiej natury.
I rozpięty był na krzyżu;
Trzy dni przetrwał w łonie ziemi,
A po trzech dniach zmartwychwstał,
I niesion jest z ciałem w obłoki,
Skąd przyjdzie rządzić Królestwo Boże.

Wierzę w Ducha Świętego,
Trzecią Świętej Trójcy osobę,
Nieśmiertelną i wszechmocną,
Z Ojca i Syna urodzoną,
Równą Ojcu i Synowi,
Przez którąm jest napełnion świętością.

Wierzę w święty Kościół Powszechny,
I w Najświętszego Ducha pasterstwo;
Wierzę w Świętych Duchów związek,
Widzialnych i niewidzialnych —
Wierzę w świata przemienienie.
W ostateczne zmartwychwstanie
Ciała wszelkiego na ziemi.
W Królestwo Boże widzialne,
Przychodzące z przemienieniem
Natury naszej cielesnej,
Z przełamaniem grzechu wszelkiego —
Wierzę i w żywot wieczny. — Amen.

NAJPIĘKNIEJSZY, NAJŚWIĘTSZY BOGA TRON NA ZIEMI...

(FRAGMENT).

Najpiękniejszy, najświętszy Boga tron na ziemi,
Na który Pan Bóg nieraz kilka wieków czeka,

Jest to duch ogromnego wieszcza i człowieka,
Wiatrak niby ze skrzydły jasno słonecznemi,
Ciągle porywający świat kamienny w górę.
. . . . . .

MŁODOŚCI, UWIERZ W SNY . . .

Młodości, uwierz w sny czyste i złote,
Które nad formy przelatują stare,
A masz broń pewną na świata ciemnotę,
Masz we snach twoich już stworzoną wiarę

PATRZ NAD GROTĄ . . .
(URYWEK).

Patrz nad grotą
Uwieńczona wstążką złotą,
W którą polnych róż natknięto
Wydaje się jakąś świętą,
Jakąś cudną mgieł dziewicą,
Duchem stepów . . . czarownicą,
Stepy te koronującą.
— Niech ją wiatry stepów trącą
A jak tęcza . . . wnet uleci;
— Niech noc spadnie — a zaświeci
Jako księżyc . . . taka biała,
Albo ogniem spłonie cała,
Taka w oczach, patrz, ognista,
Albo w źródło się zamieni
Kryształowe . . . taka czysta.
Lub jak gwiazda w sto promieni
Rozleci się duch niewinny,
A z promieni każdy inny
I w jasności i w kolorze . . .
Pod nią stepy . . . stepy . . . morze,
Co falami w słońce idą,
Ona traw Oceanidą
Bez łabędzi wodnych płynie,
Taki wietrzny w tej dziewczynie
Duch, i taka czarów siła . . . . . .
. . . . . .

CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, białością i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

Wtem Pluton ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery — a tyś nic nie rzekła:
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świecącą kłosów i promieni,
Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świeciła
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła — lecz jadła i żyła.

* * *

A ona bywało
Głowę mi piękną położy na ramie
I mówi: „Słyszę piosnkę doskonałą".
Ja patrzę w oczy — i wiem, że nie kłamie,
W promiennych oczach bowiem światło grało
Słoneczne, jakieś piękne było znamie.
Patrząc w twe oczy i w księgę twych losów
Pojąłem, czemu Pluton niegdyś chwycił

I żądze swoje ogniste nasycił
Córką Cerery — onej Bożki kłosów.
Wieńczoną makiem, ludy cię Połosów
Królową swoją piekielną uczuły,
Płacz cię nie zabił — jady nie otruły,
Ogień się nie jął twoich zimnych włosów.

Pluton cię kochał, boś mu w dom książęcy
Zarażającej miłości nie wniosła,
A nad ogień go nie kochałaś więcej,
Więc ci zaufał i użył za posła.
A matce oddał cię na sześć miesięcy,
Abyś piekielne w domu jajo zniosła.

GDZIE ŚWIATŁA GORĄ...

(FRAGMENT).

. . . . . gdzie światła gorą,
Dziwi mnie uczta, gdzie wino piją,
Dziwią mnie serca, co serc nie biorą,
Dziwią mnie żywi, co jeszcze żyją,
Gdy tyle nieszczęść i zbrodni tyle
Polskę trzymają w głuchej mogile,

Czemuż nie mogę jak trup u wezgłowia
Powstać i głową ruszyć potężną,
Jako trup powstać i piciem zdrowia
Z grobu poruszyć Polskę orężną?
. . . . . .

ZACHWYCENIE.

(URYWEK).

. . . . . .
Bo mój Stworzyciel znalazł mię na ziemi
I napadł w nocy ogniami złotemi..

Bo Pan, mówiący w objawieniu: jestem,
Napadł mię w ogniach z trzaskiem i szelestem.

Przetoż się, Panie, wiecznie upokorzę,
Pomnąc na ono płomieniste łoże.

Gdy Pan nademną stał w ognia oponach,
Gdym był jak ptaszek w Pana mego szponach,

Gdy stał nademną jak ogień straszliwy,
Kiedym się w strachu sądził już nieżywy —

Dlaczegoż bym się, o Panie, zapierał,
Żem drżał i cały z przestrachu umierał...

Dlaczegoż bym się miał zapierać strachu,
Żem drżał jak listek w Pana mego gmachu?

Takiej bojaźni bym nie doznał, Panie,
Choćbym się dostał pod mieczów ścinanie.

Choćbym czuł w sobie to, co ludzie święci,
Takbym nie stracił wiedzy i pamięci.

Przywalon byłem Twej lekkości skałą,
Serce jak ptaszek zlękniony latało.

Światłem zalały się moje alkierze
A jam był porwan, jako lekkie pierze.

I przez wiatr lekki i przez szelest święty
Byłem pochwycon a z łoża nie zdjęty.
. . . . . .

NA DRZEWIE ZAWISŁ WĄŻ.

Na drzewie zawisł wąż,
I rzekł szatan do Ewy:
„Patrz, pod ciemnemi drzewy
We śnie leży twój mąż.

Jemu mówił Jehowa
Tajemnicę stworzenia
Ze światła i z promienia,
Z miłości i ze słowa.

Ja ci dam tajemnicę
Duchów, Jehowy sług,
Że duch w Trójcy — to Bóg,
Słowo — trzy błyskawice.

Zwycięż na ziemi zgon,
Rozwesel cały Eden;
Ja w was dwóch będę jeden.
A we mnie ty i on.

Zdołaj duchy spłomienić,
Spokojny ciała dom
Chwilę zamienić w grom!
Trójcę w jedność zamienić!

Sama ogniami stlej,
A gdy się mąż zamroczy,
Patrz mu ogniście w oczy,
Usta z ustami zlej!

Szepcząc do ucha wciąż,
Czyń bez żalu i skruchy,
Ty i on — to dwa duchy,
Z wami trzeci ja, wąż.

Jeśli masz ognia mało,
To ściągnij oto dłoni
Po owoc tej jabłoni,
Jej duchem podkarm ciało.

Ty będziesz świata panią!...“
Lecz już z jabłkiem od drzewa
Biegła w płomieniach Ewa,
A szatan poszedł za nią.

Oto z ziemią się stało,
Co z gwiazdy trapionemi:
Promienność poszła z ziemi,
A duch węża wziął ciało.

GDYBYM SIĘ NIE CZUŁ NIEŚMIERTELNYM DUCHEM.

Gdybym się nie czuł nieśmiertelnym duchem
Rozrzuciłbym świat grzechów mych wulkanem.
Ha...
Gdybym nie czuł się natury panem
A czuł naturę na woli łańcuchem,
Tobym się rzucił jak lew... na tym ścierwie
Ciał... i gryzł żywcem — i gryzł nawet trupa...
Ha?...
Moja biedna, gliniana chałupa
Gdziem żył jako wilk... a światowe czerwie
Pozwalał, że mię toczyło powoli,
Póki nie doszło aż do serca rdzeni.
Teraz ta chata, jak pałac z płomieni,
Wachlarzem wodnych, złocistych topoli
Od różanego księżyca zakryta
Niby dziewica... patrz, ta chata w bluszczach
Nad tym jeziorem — sama jedna w puszczach,
Jak Świtezianka albo Amfitryta,
Żyje... i moim duchem gra na stawy,
Staruszka, patrzaj, takie głosy roni
Jak skrzypce z starych deszczułek jabłoni.

WIESZ, PANIE, IŻEM ZBIEGAŁ ŚWIAT SZEROKI... (FRAGMENT).

Wiesz, Panie, iżem zbiegał świat szeroki,
Szukając jednej prawdy człowiekowi,
Śród tęcz chodziłem skalnych — przez obłoki,
I rzekłem: „Wola ich nie zastanowi,

Człowiek nie wyrwie piorunu z chmurzycy,
Lecących niby stadami srebrnemi,
Gwiazd nie zatrzyma — ani z błyskawicy
Miecza ukuje, chcąc być panem ziemi...“

I byłem jeszcze tam, gdzie Ateńczyki
W lasach oliwnych gwarzyli poważnie,
Duchem być sądząc wodę lub płomyki,
A prawdą: przeciw nędzom stać odważnie.

Więc i tam, Panie! pod temi niebiosy
Turkusowemi, kiedym słuchał blady,
Leciały do mnie różne prawdy głosy,
Jak echa od harf umarłej Hellady.

A jednak smętny odszedłem od echa
Parteońskiego, gdzie marmur różany
I gładki — wiecznie z nieba się uśmiecha,
Jak Wenus w srebrne wracająca piany,

Skąd była wyszła kwiatem. — I tak, Boże!
Słuchałem znowu lecących bocianów,
Które się wlekły girlandą przez morze,
A niosły mi pieśń z mych ojczystych łanów.

Ale i głosy ptaków nic nie rzekły
Rozumieć tworów nieumiejącemu,
Tylko girlandy smętnych jęków wlekły,
Szum skrzydeł dając wiatrowi wielkiemu

A smętek morzu... Lecz teraz, o Panie,
Radosny jestem i rozweselony,
Przyszedłszy na to natury poznanie,
Które mi staje za skarby i trony

A z Ciebie wyszło...
Niechże nie powiada
Człowiek, że w moich słowach kościołowi
Jaka nienawiść jest lub jaka zdrada
Albo strach jaki...
Bośmy w nim nie nowi,

Bośmy go dawniej pełni złotej wiary —
Ani krwi nie żałując, ani stali —
Stroili w straszne tureckie sztandary,
A sztandarami w miesiące ubrali,

A miesiącami dzisiaj błyszczy temi
I tą odwieczną sztandarów purpurą,
Błyszczy jakoby pióry anielskiemi
Pod Apeninu rozwinięty górą.

Oto więc proszę, aby mi na progu
Pozwolił z mego narodu żebraki
Usiąść, a nie siał tam ciernia i głogu,
Gdzie człowiek zbity niby orzeł jaki

Piersią upadnie... Proszę, niech już przecie
Z litości nad swą wiarą wyziębioną
Pozwoli, że kto czarta w nim rozgniecie
I z błyskawicą się zetrze czerwoną,

Pozwól, że strzegąc krzyżowego znaku
I polskiej wiary i Boga Rodzicy

Polak aż w kościół wjedzie na rumaku,
Z szablą dobytą na pół i w przyłbicy.

Ledwom to wyrzekł, ktoś wykrzyknął: „Roma!
Nie jesteś ty już Panią i królową,
Boś jest, jak szatan cielesny łakoma,
A niższa sercem od ludów i głową“.

Spojrzałem wtenczas, kto w powietrzu gada,
A oto obok jednego grobowca,
Na którym w locie paskółka usiada,
Tak jest samotny, a biały jak owca,

Na ciemnej tych pól kampańskich zieleni,
Na którą słońce, gdy bije, to broczy,
I niby dawną, rzymską krwią rumieni
I niby w jakiś sen wtrąca proroczy,

Ujrzałem mary dwie, niby młodzieńca
Z dziewicą, cudnej i smukłej urody,
Braniem łącznego zatrudnionych wieńca,
Albo czerpaniem łez źródlanej wody,

Która z fontanny dawnej po Rzymianach,
Rzadkie już perły srebrzyste sypała,
Oboje bowiem byli na kolanach
Przed nią, a ona ta fontanna stała

Płacząca... Rzekłem więc: „Czego szukacie
I czemuście tu klękli przed źródłami?“
Na ten głos obie cudowne postacie
Wyprostowały się mówiąc: „My sami

Nie wiemy czemu u źródeł tej wody
Schylamy kolan, nie mając ni dzbanka,
Ani potrzeby picia i ochłody,
Ani trzód, jako gdzieś Samarytanka“.

Na to im rzekłem: „Wiem, czego szukacie,
I czego chcecie od źródeł“. — A oni:
„Od źródeł, które są w powojów szacie,
Piękności tylko żądamy i woni“.

„O biedni! — rzekłem — piękność, woń i świeca
Jest w duchu... a wy na zewnątrz wyciekli,
Jak rozwiązana w chmurze błyskawica“.
. . . . . .
. . . . . .

GDY NOC GŁĘBOKA WSZYSTKO UŚPI..

Gdy noc głęboka wszystko uśpi i oniemi,
Ja ku niebu podniósłszy ducha i słuchanie,
Z rękami wzniesionemi na słońca spotkanie
Lecę — bym był oświecon ogniami złotemi

Podemną noc i smutek — albo sen na ziemi,
A tam już gdzieś nad Polską świeci zorzy pręga,
I chłopek swoje woły do pługa zaprzęga,
Modli się. — Ja się modlę z niemi i nad niemi.

Tysiące gwiazd nademną na błękitach świeci,
Czasem ta, w którą oczy głęboko utopię,
Zerwie się i do Polski jak anioł poleci;

Wtenczas we mnie ta wiara — co w litewskim chłopie,
Że modlitwa w niebiosach tak jak anioł kopie,
A czasem ziarno ducha wrzuci i zanieci.

DAJCIE MI TYLKO JEDNĘ ZIEMI MILĘ...

Dajcie mi tylko jednę ziemi milę,
Może, o bracia, za wiele zachciałem!
Dajcie mi jednę bryłę — na tej bryle
Jednego — duchem wolnego i ciałem,
A ja wnet z siebie sprawię i pokażę,
Że taki posąg — dwie będzie miał twarze.

Dajcie mi gwiazdę mniejszą od miesiąca,
Kometę złotym wiejącą szwadronem,
Niechaj po lasach będzie latająca,
A tylko święta jednym polskim zgonem,
A ja wnet siły dobędę nieznane,
Skrzydłą wyrzucę — i wnet na niej stanę...

O bracia moi! kiedy krzyżem leżę,
A proszę Boga o kraj, o człowieka —
To mi się zdaje, że tętnią rycerze,
A wróg z piorunem przed niemi ucieka...
Chcę biedz — lecz kiedy na blask gwiazd wynidę,
Gwiazdy mię drwiące pytają, gdzie idę.

O gwiazdy zimne, o świata szatany,
Wasze mię wreszcie niedowierstwo zwali...
Już prawie jestem człowiek obłąkany,
Ciągle powiadam, że kraj się już pali,
I na świadectwo ciskam ognia zdroje, —
A to się pali tylko serce moje!...

MÓJ KRÓL, MÓJ PAN — TO NIE MOCARZ...

Mój król, mój Pan — to nie mocarz żadny,
Ni ten — na którym trzy koron się piętrzy,
Ale duch pierwszy globu — światowładny,
Chociażby w chłopku — duch świata najświętszy;
Czy on na świecie żyw — czy gdzie nad światem?
Wiem, że duch taki jest — i dość mi na tem.

Skądkolwiek jego duch na mnie uderzy,
Gdziekolwiek jego wołanie usłyszę,
Czy to zjawi się w siermiążce pasterzy,
Czy jeszcze w żłobku matka go kołysze,
Gdziekolwiek ono dziecko światowładne
Poczuję — klęknę i na twarz upadnę.

DAJCIE MI TYLKO JEDNĘ ZIEMI MILĘ...

Teraz pod żadną światową się władzę
Nie mogę poddać — nie przeto żem dumny,
Ale że duch mój bezoczny prowadzę
Od wielu wieków przez słońca i trumny.

JAK DAWNIEJ — OTO STOJĘ NA RUINACH...

(URYWEK).

Jak dawniej — oto stoję na ruinach
Dawnego miasta... zorze wschodzą ranne,
Ptaszęta małe śpiewają w leszczynach,
Niebiosa blade — przejrzyste — jak szklanne.
Kilka łabędzich chmur na wschodzie świeci
I czerwienieje — o zognia się w zorzy,
Wróżąc — skąd słońce wstające wyleci.
Wszystko spokojne — Bóg serca nie trwoży
Nawet w ptaszętach...

Któżby rzekł, o Boże,
Że tak cudownie dzień zapowiedziany
Jutrzenki różą — ma być o wieczorze
Dniem ostatecznej na globie przemiany,
Że te — o gwiazdy takie migające,
Te piękne perły błękitne i kwiaty
Będą... ale nie — ja myślą nie trącę
O te ogromne duchów majestaty,
Godzina moja jeszcze nie wybiła...
. . . . . .

JEŻELI CI PAN NIE ZBUDUJE DOMU...

(URYWEK).

Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu,
Próżno składają ci cegły mularze:
Jeśli nie broni miasta od pogromu,
Próżno czuwają po szyldwachach straże.

Napróżno wstajesz przed świtem, człowiecze,
A przy świeczniku nad robotą ślęczysz:
Z gorzkiego żyta chleb ci się upiecze,
Bo ty, o Panie! te, co kochasz, wieńczysz!

Zaprawdę, niema hojniejszej nagrody
Nad narodzone w domu twoim plemie,
Nad syny, które mąż i człowiek młody
Jak winne grona wyprowadza z ziemie.

Synowie jego powadze przystoją,
Potęgę mnożą, miłość k'niemu niecą,
W kołczanie jako złote strzały stoją,
W poselstwa, jako złote strzały, lecą.

A kiedy takich strzał mnóstwo w kołczanie
Pan mu dozwoli mieć — ubranych w ciało,
Przeciw wrogowi swemu śmiało stanie,
Odepchnie napaść i powróci z chwałą.

O Panie! rozpuść twoje wielkie moce
Przez lud się twój rzuć ognia strumieniami.
. . . . . .
. . . . . .

TA RĘKA, KTÓRA KRZEMIENIEC WYSTRZYGŁA..

Ta ręka, która krzemieniec wystrzygła,
Bogdajbym kiedyś ją uścisnął szczerze
I ukłuł, jako magnesowa igła,
Która od słońca swój kierunek bierze.

Róże, fjołki i nieśmiertelniczki,
To nic, bo świeżych w Paryżu dostanie,
Lecz miłe mi są Gustawa nożyczki
I to żelazem serdeczne władanie.

Bo wszystko w czasu rosnącego pędzie
Zwiększyć się musi, w ducha wchodząc sfery,

Urośnie nawet strzygące narzędzie
Jak osty, strzygąc w pół kirassjery.

Wtenczas idąca za widzialne kresy
Dusza Gustawa pozna w jednym rzucie,
Co znaczą ręki przyjaznej magnesy
I to w uścisku posłane — ukłucie.

WIELCYŚMY BYLI...

Wielcyśmy byli i śmieszniśmy byli,
Bośmy się duchem Bożym tak popili,
Że nam pogórza, ojczyste grobowce,
Przy dźwięku fletni skakały jak owce,
A górom onym skaczącym na głowie
Stali olbrzymy — miecza aniołowie.

Ustały dla nas bić godzin zegary,
Duch nie miał czasu, a czas nie miał miary;
Szedł błyskawicą do wieczności progu
Duch — a stał wieczność — kiedy stanął w Bogu.
Zaprawdę powiem, bracia moi mili,
Żeśmy się duchem przeświętym popili.

Teraz jesteśmy z ducha wytrzeźwieni,
Bracia rozumni — czciciele pieczeni...
W głowach się nie ćmi, jak pierwej słonecznie,
Fletnie nie grają, mogiły śpią wiecznie,
Czas nasz zgodzony z ziemi zegarami —
Stoim i śpiemy... a świat śpi pod nami.

ANIOŁ OGNISTY, MÓJ ANIOŁ LEWY...

Anioł ognisty — mój anioł lewy
Poruszył dawną miłości strunę,
Z tobą! o! z tobą, gdzie białe mewy,
Z tobą pod śnieżną sybirską trunę,
Gdzie wiatry wyją tak jak hjeny,
Tam gdzie ty pasasz na grobach reny.

Z grobowca mego rosną lilije,
Grób jako biała czara prześliczna, —
Światło po nocy z pod wieka bije
I dzwoni cicha dusza muzyczna.
Ty każesz światłom onym zagasnąć,
Muzykom ustać — duchowi zasnąć.

Ty sama jedna za szafir święty
Modlisz się głośno — a z twego włosa,
Jedna za drugą, jak diamenty,
Gwiazdy modlitwy lecą w niebiosa.

JEST NAJSMUTNIEJSZA GODZINA NA ZIEMI...

(URYWEK).

Jest najsmutniejsza godzina na ziemi,
Która na morzu po północy dzwoni,
Kiedy Dianna z oczyma złotemi
Świta mi rankiem i wynika z toni.
W niej smętek — i ci, którzy szerokiemi
Morzami płyną, gdzie je wicher goni
Półsenni...

Takie uczucia mojemu duchowi
Znane, bo nieraz przed czystości Panną
Stał, kiedy inni zorzami różowi
Świecili gwiazdą na morzu poranną; —
Noc, nachylona ku nowemu dniowi,
Fala, wznosząca na wiatr szybę szklanną.

NARODU MEGO KRWIĄ PISANE CZYNY..

Narodu mego krwią pisane czyny
Słowo mi całe ubrały w rubiny,
. . . . . Polski niebieskie pokusy
Słowo mi złote ubrały w turkusy.

O POLSKO MOJA! TYŚ PIERWSZA ŚWIATU...

O Polsko moja! tyś pierwsza światu
Otwarła ducha tajemnic wrota,
Czeluść, co błyszczy święta i złota,
Królestwo potęg i majestatu.
(I w) tobie widać bijące serca,
Zjawisk ci widać otwarte łona,
A ty jak orzeł w duchy wpatrzona.
W stronę prawdziwą stworzeń kobierca,
Widzisz jak silna dłoń robotnika
Napina postaw, wiąże tkaninę,
Złotą i srebrną nicią przemyka,
Wieki sprowadza w jednę godzinę.

Nie zna przypadku ani humoru,
Ani się cofa, ani kołysze —
Według jednego Chrystusa wzoru
Wszystko na ziemi wiąże i pisze.

Raduj się Polsko! Tobie słodycze
Wiedzy i mądrość i moc przychodzi, —
Anioł twój patrzy w Boga oblicze,
W Bogu panuje, z miłości rodzi
Tą siłą, która skrą jest przed Panem,
Zaledwo w duchów świecie zjawiona...
On tu widzialnym tryska wulkanem,
Świat w piorunowe ciska ramiona.

DO AUTORA SKARG JEREMIEGO.

Ojczyzna, twoja święta kochanka,
Chodzi po łąkach, Pani słoneczna;
Ty idziesz za nią, jak duch baranka,
I wołasz: Wieczna!

Jeżeli drogę tęczami znacząc
Wyżej poleci i tonie w mgłę,
To ty baranek, stajesz i płacząc
Wołasz: We! we!

Jeżeli z kwieciem ona swawoli,
I dłoń litosną o cierń rozporze,
To ty jak dziecię wiesz, co ją boli,
I wołasz: Boże!

Gdy owies polski jak srebro brzęczy,
Grusza szeleści i szumi kłos,
Słyszy Marja pod bramą z tęczy
Baranka głos.

Słyszy i mówi: Głośniej niż Święci,
Głośniej niż luteń anielskich strój,
Woła mnie z Polski od sianożęci
Baranek mój.

Trawki nie skubie, kwiatków nie zrzyna,
Lecz oczy podniósł w słoneczną mgłę,
I wciąż się skarży jako dziecina:
We! we! — we! we!

Przezeń więc światu moja przytomność
Rozbudza czucie, porusza czynność,
Bo w ustach jego baranka skromność,
W głosie niewinność.

Paryż, w listopadzie, 1847 r.

DO LUDWIKA NORWIDA.

Wracają dla nas piękne Chrystusowe
Gwiazdy, a razem korony cierniowe;
Więc że to ciebie, Ludwiku, zasmuca,
Że tam ktoś czapki przed tobą nie zrzuca,
A jać powiadam: niechaj cię to cieszy,
Żeś wyszedł z ludzi pospolitych rzeszy,
Gdzie dobry złego rad nazywa panem
I czci ukłonów fałszywym liczmanem.
Źli ludzie, pełni zabójczego szału,
Złości i żółci, uznali konieczność
Postawić zimną między sobą sprzeczność,
Jakoby ścianę z grubego kryształu:
A tak się widzą i czczą dla zabawki,
Jak napełnione woniami karafki,
Które na drogę kupcy zaszpuntują:
Bo tylko widzą, ale się nie czują.
Gdzie ręka ukłon przez wiatry posyła,
Jeszcze tam z dłoni w dłoń nie przejdzie siła.
Lepiejże, bracie, żeś uderzył śmiało,
A w gwiazdę się szkło rozbiło, spękało,
Bo teraz zawsze powie ci sumienie,
Które miłością będzie pozdrowienie,
A złe zobaczysz twarze niezakryte
Tych, którzy cię klną za zwierciadło zbite,
Które je dzieli, ale nie zasłania —
Stąd idą zimne bez łez pożegnania.
Śluby bez ducha — bez serca przyjaźnie,
Odwaga na świat wyjść poważny — w błaźnie,
Ta sama w podłym i w szpiegu odwaga;
Bo kto nie daje nic — mało wymaga.

DO LUDWIKA NORWIDA
W BRATERSTWIE IDEI ŚWIĘTEJ.

I.

Bracie Ludwiku, módl się gorąco,
A podnieś ducha wysoko:

Na trzeźwe myśli, na czyste oko
Witajmy prawdę świecącą:
Podwoje wiedzy już otworzyła,
Z miesięcznej wyszła topieli,
Już jest na ziemi, już się zjawiła
Myśmy ją pierwsi ujrzeli!

Świat nam duchowy stanął otworem,
Widzim skąd moce te biegą,
Które tu snem są albo upiorem,
Lub ogniem Ducha Świętego.
Widzim, i cali drżym przerażeni,
Gdy nam widzenie ukaże
Powietrze puste, pełne płomieni,
W szkłach wichru lecące twarze.

A cóż, gdy duchy, które przed Panem
Są prawie niczem i ciszą,
Tu nam wybuchną z pod gór wulkanem,
Albo miastami kołyszą,
Cóż, gdy te burze, któremi szklanna
Otchłań się morza porusza,
My widzim w duchu — krzyczmy: Hosanna!
Hosanna! żyje już dusza!

II.

Nad wszystkie światа wzleciał szatany
Ocknięty, ze łzą u powiek,
Jeden w ojczyźnie rozmiłowany,
Cierpiący nędzarz i człowiek.
I trwa na skrzydłach swoich cierpliwie,
Słysząc sąd o globach nocnych,
Które karane są sprawiedliwie,
Bo są dziełem nas — duchów wszechmocnych.

III.

Nieśmiertelność i Wszechmocność —
Oto dwa nowe żywioły!
Dotąd cielesnych czynów bezowocność
Wyżarła ducha stodoły,
Świat był bez plonu — lecz teraz manna
Nową przywraca mu dzielność:
Wszechmocność i nieśmiertelność!
Hosanna Panu! Hosanna!
Przez nie świat uwiązany do girlandy globów,
Które czas zachwyceniem miłości pożarły;
Przez nie słońca nie umarły,
Przez nie już nie będzie grobów,

Ciało nie uzna skażenia,
Bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.

IV.

A ty rozrzuć twoję glinę,
Nieszczęsna formo człowieka!
Już zmieniasz się w ruinę...
Próżno cię piękności twoje,
Jak pasożytne powoje,
Próżno cię mgła cudowną szatą przyobleka;
Próżno cię ręka przychylna
Stroi — stoisz ty żałobna,
Niedołężna, zamogilna —
A choćbyś była podobna
Jowiszowi z brwią zmarszczoną,
Nakryta gromów koroną —
Mgłami idejskiemi srebrna,
Próżno! jużeś niepotrzebna —
Już do piękności zjawionych
Nie wejdziesz na eter lżejszy,
Bo najmniejszy z odrodzonych
Świętszy niż ty — i piękniejszy!

V.

Lecz w jakimże biednym żłobie
Położym, o mój Ludwiku,
To dzieciąteczko na grobie,
Na ojczyzny mogilniku
Zrodzone? Czy go nam ptacy
Wykarmią? Czy jeszcze łzy nasze?
Ileż wieków, ile pracy
I starań Bóg nam poruczy?
Kto je tęczami opasze?
Wyniańczy — chodzić nauczy?
Kto poda mądrości czaszę?
Kto mu będzie pierwszym sługą,
Ojcem — kto otworzy ręce?
Jak długo jeszcze, jak długo
Popędy świata zwierzęce
Zepchną glob na dawne tory,
Iść nie pozwolą za blaskiem?
Jak długo krwią okryte na świecie aktory
Będą witane oklaskiem!

VI.

Do pracy! a więc do pracy!
Wy, co mi jesteście bracią,

Duchy słoneczne, Polacy!
Najwyższą was inkantacją,
Najwyższą — własnym aniołem —
Na nieśmiertelność zaklątem.
Oto miesiąc wschodzi blady
Nad Polską — cały już nowy,
Jak dawna lampa Hellady,
Jak obraz Rafaelowy
Piękny i srebrnego łona —
W nim piękność stoi wsławiona,
Kolor wzięty — ton zdobyty.
Teraz co? Dalej w błękity
Pracować na całą wieczność...
Otwarta dla duchów droga —
Skrzydła mamy — dalej w Boga!
Po dar ostatni — słoneczność.

VII.

Bo patrzcie! tak jak orlice,
Patrzcie na dolinę z góry:
Oto są dzieciątek chmury,
Oto są globu dziedzice.
Każdy za bańką formy, która oczy mami,
Ozwierciadlona form wizerunkami,
Leci z pradziadem i dziatwą,
Głupi i śmieszny na poły...
O jak łatwo! o jak łatwo
Wam, co jesteście anioły,
Zarządzić tą gromadą, ich ruchem, pośpiechem,
Zdjąć im ich ciężar ze skroni!...
Miecza na to nie potrzeba,
Ani piekła, ani nieba;
Miłością dosyć — uśmiechem, —
Patrzcie tylko, jacy oni!
Patrzcie tylko, co je bawi!
Patrzcie, jacy są ciekawi!
Jak patrzą w każdą foremkę,
W każdą jamę oczy włożą,
Każdy proszek biorą w rękę,
Ważą — próbują, czy stworzą;
Cieszą się, że piorun pali,
Że gwiazda na czas przychodzi,
Patrzcie — starzy już i młodzi
Krzyczą, że wszystko poznali!
Wyschły im wiedzy strumienie...
O anioły! o anioły!
Czyńcie sobie z nich wesoły
Śmiech — i pozwólcie czoła stroić w zamyślenie.

VIII.

Lecz wy! wam wszystko nowe rozkwita,
Jaśni się forma na świecie,
Świat szuka, a wy już w i e c i e.
Wam . . . . . .
. . . . . .
Wam się już listek różany
Tłumaczył z nauki słowa.
Wam już oto noc majowa,
Przez owadów święte Jany
Muszeczki swe jakieś złote,
Apokalipsy śpiewała.
We wszystkiem już m y ś l i chwała,
Zasługa świeci lub wina,
Grzech widać ducha lub cnotę.
Wam, oto, stoi cytryna
Na strzałki słoneczne, złote,
Jak rycerz przed prochu przyjściem,
Odstrzelająca się liściem,
Kiedy ją Febus obarcza...
A kolor — a światło — a tarcza?
Na to woli błyskawica,
Na to wam myśli kuźnica,
Wulkan duch w globie wystarcza.
A wy w nieśmiertelne końce
Idźcie, a duch je wam kreśli...
Czy kształt? to go macie w myśli,
Czy światło — to w duchu — już słońce.

IX.

Do Boga ręce podnieśmy,
Język rozwięzujemy niemy.
Synowie Boży jesteśmy!
Czem jutro, jeszcze nie wiemy...
Każdy silny, o pół kroka
Ku Bogu świat pchnąć dzisiejszy,
A jutro jeszcze silniejszy! —
Każdy jak przepaść głęboka
Zamiarów pełna gorących,
Przepaści i uwidomień...
O Boże, któż zerwie płomień
Na hełmie p i e r w o - i d ą c y c h?
Kto tarcze postawi rzędem?
Kto drogę założy dzidą?
Kto strąci? — Duchy w nas idą
Z nieśmiertelności rozpędem.
Dlatego, żeśmy Jehowę
Przywołali na ołtarze,

Oto się już potęgi duchów piorunowe
Przy naszym kręcą sztandarze;
A gdy go wiatr odwinie, to tak jako wczora
Ludzi, którzy grobów strzegą,
Przeraził twarzą Boga żywego —
Przestrachem — Boga-upiora.

X.

Ale kto, bracia, pogardzi słowem,
Siłą u słowa czerpaną,
Komu dziś w ciele błysnąć nie dano,
Kto wierzga dawnym narowem,
Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko,
Jeno przez oczy ciekawe:
Taki dziś, bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko;
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głaz, co ducha obarczał,
On siedział, głupi, kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał.

Dnia 8 lutego 1848.

SŁUCHAJ MŁODY...

Słuchaj, młody człowieku,
W kaweczkach piosnka wieku
Duchowi twemu dzwoni,
Żeś wieczny, światowładny,
Oliwny, winogradny,
Myślący — już w jabłoni.
Duszeczki twojej siła
W dębie już się liczyła,
W kryształe brała miary,
Któremi się dziś mierzy
W brylantowej odzieży.

WYJDZIE STU ROBOTNIKÓW...[1]

Wyjdzie stu robotników,
Oborzą miasta grunt,
Wyrzucą łokieć — funt —
Klatki, pełne wróblików,
Otworzą — i przed tłuszczą
Ptaszki na wolność puszczą...

1 Tu Słowacki daje wyraz swej wierze w przyszły ustrój ludowy.

Muzyka nieustanna:
„Wolność! Wolność! — Hosanna!"

Święci staną w katedrze
Trzej... i zawezwą ducha,
Lud księgi praw rozedrze,
Próchno kart porozdmucha —
Weźmie stare sztandary,
Wyprowadzi, jak mary,
Za kościół, na mogiły —
Zapali, by świeciły
Światu dawnemi dzieły,
Błysnęły — i spłonęły.
Bije godzina ranna,
Masy rzekły: „Hosanna!"

A JEDNAK JA NIE WĄTPIĘ...

A jednak ja nie wątpię — bo się pora zbliża,
Że się to wielkie światło na niebie zapali,
I Polski Ty, o Boże, nie odepniesz z krzyża,
Aż będziesz wiedział, że się jako trup nie zwali.

Dzięki Ci więc Boże — że już byłeś blisko,
A jeszcześ twojej złotej nie odsłonił twarzy,
Aleś nas, syny twoje, dał na pośmiewisko,
Byśmy rośli jak kłosy pod deszczem potwarzy.

Takiej chwały od czasu, jak na wiatrach stoi
Glob ziemski — na żadnego nie włożyłeś ducha,
Że się cichości naszej cała ziemia boi,
I sądzi się, że wolna jak dziecko, a słucha.

MŁODYCH ŚMIERĆ NIE MOŻE MINĄĆ.

. . . . . .

Młodych śmierć nie może minąć,
Tak nam ojców mądrość gada, —
Gdyby spytał, jaka rada,
Leonidas, wódz spartański,
Powiedziałbym: iść i ginąć. —
Bo ja jestem Anioł Pański,
Duszę mogę wziąć na siebie; —
Ziemi bryłkę nie pogrzebię
Tych, co wierzą, jak ja wierzę...

NIEDAWNO JESZCZE WASZE MOGIŁY...

Niedawno jeszcze wasze mogiły
Trąciłem piosnką moją, wygnanko,
I wnet się ze snu grobów ruszyły,
Wnet się ruszyły, o Krakowianko!

Niedawno mój duch ogniami dmuchnął
Na górę Heklę, tak jak prorocy,
I wnet z pod ziemi wulkan wybuchnął,
Od stu lat śpiący... wulkan północy.

O NIESZCZĘŚLIWA! O UCIEMIĘŻONA!

O! nieszczęśliwa! o! uciemiężona
Ojczyzno moja, — raz jeszcze ku tobie
Otworzę moje, krzyżowe ramiona,
Wszakże spokojny, bo wiem, że masz w sobie
Słońce żywota.

ZWIĄZANO WIENIEC...

(FRAGMENTY).

Związano wieniec z rzeczy przeklętych,
Lamp pogaszono tysiące świętych,
Pod jeden topór ludzkość się kładzie,
Zegary wszystkie stoją na zdradzie,
Prac przenajświętszych łamie się moc:
O! wielka noc! o! wielka noc!

Czujmy — bo kur wnet zapieje trzeci,
Ciemności wiecznych anioł przeleci...

I WSTAŁ ANHELLI Z GROBU...

I wstał Anhelli z grobu — za nim wszystkie duchy,
Szaman, Eloe... cała ćma z grobów wstawała
I wszystkie brały dawno porzucone ciała.

A Sybir był zaćmiony jakby zawieruchy
Ciemnemi i powietrze się ciągle mięszało
I chmury szły i grady błyskały i grzmiało.

Wstaliśmy i ku Polszcze szli — a na cmentarzu
Zątrzymał Szaman ową straszną duchów zgraję
I spytał głośno: Kogo z mogilnych nie staje?

A wszyscy byli; — straszny i zimny grabarzu
Śmierci, gdzież jest twój oścień, gdzie zwycięstwo twoje?
Wszyscyśmy byli — i krwi naszej poszły zdroje.

SOWIŃSKI W OKOPACH WOLI.

W starym kościółku na Woli
Został jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I wrogom się broni szpadą;
A w około leżą wodze
Bataljonów i żołnierze,
I potrzaskane armaty
I gwery: wszystko stracone!

Jenerał się poddać nie chce,
Ale się staruszek broni,
Oparłszy się na ołtarzu,
Na białym Bożym obrusie,
I tam łokieć położywszy,
Kędy zwykle mszały kładą,
Na lewej ołtarza stronie,
Gdzie ksiądz Ewangelję czyta.

I wpadają adjutanty,
Adjutanty Paszkiewicza,
I proszą go: „Jenerale
Poddaj się... nie giń tak marnie"
Na kolana przed nim padli,
Jak ojca własnego proszą:
„Oddaj szpadę Jenerale
Marszałek sam przyjdzie po nią..."

„Nie poddam się wam panowie —
Rzecze spokojnie staruszek —
Ani wam, ni marszałkowi
Szpady tej nie oddam w ręce,
Choćby sam car przyszedł po nią,
To stary — nie oddam szpady,
Lecz się szpadą bronić będę,
Póki serce we mnie bije.

Choćby nie było na świecie
Jednego już nawet Polaka,
To ja jeszcze zginąć muszę
Za miłą moją ojczyznę,
I za ojców moich duszę
Muszę zginąć... na okopach,

Broniąc się do śmierci szpadą
Przeciwko wrogom ojczyzny,

Aby miasto pamiętało,
I mówiły polskie dziatki,
Które dziś w kołyskach leżą
I bomby grające słyszą,
Aby, mówię, owe dziatki
Wyrosłszy wspomniały sobie,
Że w tym dniu poległ na wałach
Jenerał — z nogą drewnianą.

Kiedym chodził po ulicach
I śmiała się często młodzież,
Żem szedł na drewnianej szczudle
I często stary utykał.
Niechże teraz mię obaczy,
Czy mi dobrze noga służy,
Czy prosto do Boga wiedzie,
I prędko tam zaprowadzi.

Adjutanty me, fircyki,
Że byli na zdrowych nogach,
To też usłużyli sobie
W potrzebie — temi nogami,
Tak, że muszę na ołtarzu
Oprzeć się, człowiek kulawy,
Więc śmierci szukać nie mogę,
Ale jej tu dobrze czekam.

Nie klękajcie wy przedemną
Bo nie jestem żaden święty.
Ale Polak jestem prawy,
Broniący mego żywota;
Nie jestem żaden męczennik,
Ale się do śmierci bronię,
I kogo mogę, zabiję,
I krew dam — a nie dam szpady . . "

To rzekł jenerał Sowiński,
Starzec o drewnianej nodze,
I szpadą się jako fechmistrz
Opędzał przed bagnetami;
Aż go jeden żołnierz stary
Uderzył w piersi i przebił . . .
Opartego na ołtarzu
I na tej nodze drewnianej.

VIVAT POZNAŃCZANIE!

Gotują się na powstanie —
Pobłogosław Panie Boże,
Tak jako kaczki za morze
Wybierają się — na wroga
Już! już! vivat Poznańczanie!

Potrzeba pierwej, mospanie,
Obliczyć wielu nas stanie
I na koniach i bez koni,
I trzeba zakupić broni
I haj! vivat Poznańczanie!

Obliczyli i bez sprzeczek,
Co jest w Polakach nielada,
Że kupić broni wypada,
Broni na takie powstanie
Aż całych trzydzieści beczek.

Toż to są ludzie, mospanie,
Prawdziwe światu lamparty,
Gdy się bić, to nie na żarty,
To nie muchy bić na ścianie
Lecz łby! — vivat Poznańczanie!

Toż to ludzie w Borostanie,
A pełni są ekonomji,
Bo chociaż chcą antynomji,
To mają też i poznanie,
Że źle jak broni nie stanie.

Toż to jest, mospanie, śliczny
Do polskiej dawnej natury
Przylew: mysł filozoficzny,
Mysł filozoficzny, który
Radzi — ostrożnie i z góry...

Wprawdzie jakiś tam półgłówek
Krzyknął na radzie wojennej,
Że można broni kamiennej
Użyć — albo dubeltówek,
Chciał zdradzić — szelma półgłówek.

Przez warty obluzowanie
Śmielszy, ów syn sukinsynów,
Radził dostać karabinów
I zaraz zacząć strzelanie
I ruch. — Vivat Poznańczanie!

WTENCZAS W POZNANIU...

(URYWEK).

. . . . . .

Wtenczas w Poznaniu był ruch nieustanny,
Ale przez inne zapały sprawiony,
Wcale nie z mózgu — ruch cybernetyczny,[1]
Ani też modny ruch — ale uliczny ..

Szewcy, Mospanie... dawali ton, który
Chociaż sprawiony w bardzo niskiej strefie
. . . . . .
. . . . . .

ANIOŁY STOJĄ...

Anioły stoją na rodzinnych polach
I, chcąc powitać, lecą w nasze strony,
Ludzie schyleni w nędzy i w niedolach
Cierniowemi się kłaniają korony,
Idą i szyki witają podróżne
I o miecz proszą, tak jak o jałmużnę.

Postój! o postój hułanie czerwony,
Przez co to koń twój zapieniony skacze,
— To nic... to mojej matki grób zhańbiony,
Serce mi pęka, lecz oko nie płacze.
Koń dobył iskier na grobie z marmuru
I mściwa szabla wylazła z jaszczuru.

1 Aluzja do Cybernetyki Trentowskiego. *(P. W.)*

I.

GENEZIS Z DUCHA.

MODLITWA.

Na skałach Oceanowych [1] postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego, a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertelnym [2], Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie — a jam był w Słowie.

A my, Duchy, słowa zażądaliśmy kształtów i natychmiast widzialnemi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy iżeśmy sami z siebie z woli naszej i z miłości naszej wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności, i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z której Ty, Panie, odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

Tu gdzie za plecami mojemi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie, przyśnione oczom Homera, tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu, tu, gdzie duchy tą samą co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota; nad temi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojej przeszłości.

Albowiem Duch mój, jako pierwsza Trójca z trzech osób, z Ducha, z miłości i z woli złożony, leciał powołując

---

1 Pomysł tego utworu powstał w Poznic nad Oceanem.

2 To zn. przypomniał sobie wszystkie poprzednie żywoty, poprzedzające życie obecne.

bratnie duchy podobnej sobie natury, a przez miłość wolę w sobie obudziwszy, zamienił punkt jeden niewidzialnej przestrzeni w rozbłysk sił magnetyczno-atrakcyjnych.

A te przemieniły się w elektryczne i piorunowe.

I rozciepliły się w Duchu.

A gdy oto zaleniwiony w pracy mój duch słoneczności z siebie wydobyć zaniedbał i z drogą się twórczości rozminął, Tyś go, Panie, walką sił wnętrznych i rozbratnieniem onych ukarał, nie światłem już, ale ogniem niszczycielem błysnąć przymusił, a dłużnikiem miesięcznych i słonecznych światów uczyniwszy, zamieniłeś ducha mego w kłąb ognia i zawiesiłeś go na przepaściach.

A oto na niebiosach drugi krąg duchów świecących, kręgowi ognia podobny, lecz czystszej i odkupionej natury, anioł złoty z rozwiniętemi włosami, silny i porywający, uchwycił jedną garść globów, zakręcił nią jak tęczą ognistą i porwał za sobą.

A wtenczas trzej aniołowie, słoneczny, miesięczny i globowy, z sobą zetknięci, ułożyli się o pierwsze prawo zależności, pomocy i wagi, a jam odtąd począł porę oświeconą nazywać dniem, a czas światłości pozbawiony nazwałem nocą.

Wieki minęły, o Panie, a duch mój ani jednego z tych dni minionych nie spoczął, lecz ciągle pracując, myśl nową o kształcie zamieniał w kształt, zgodziwszy się ze słowem globowym stanowił prawo, a następnie prawu się poddawał własnemu, aby na tak położonym fundamencie stanął i nowe wyższe duchowi drogi obmyślał.

W skałach więc już, o Panie, leży Duch jako posąg doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany na człowieczeństwo formy, a tęczami myśli Bożej spowity niby sześcioraką girlandą. Z bezdna tego wyniósł on wiedzę matematyczną kształtów i liczb, która po dziś dzień leży najgłębiej w ducha skarbnicy i zdaje się być wszczepioną w Ducha, bez żadnej jego wiedzy w tem i zasługi, ale Ty wiesz Panie, że forma diamentowa ułożyła się z żywych, a wody poczęły się z ruchomym, lekko związanych i uczących się równowagi, a na globie wszystko było żywotem i przemianą — a tego co dziś zowiemy śmiercią, to jest przejścia Ducha z formy do formy, nie było.

Oto zapozywam przed Ciebie, Boże mój, te kryształy twarde, pierwsze niegdyś ciała ducha naszego, dziś już przez wszelki ruch opuszczone a jeszcze żywe, chmurami i piorunami ukoronowane: bo to są Egipcjanie pierwszej natury, którzy na lat tysiące ciała sobie budowali, ruchem pogardzili, w trwaniu i w spoczynku rozmiłowali się jedynie. Ileż Ty, Panie, użyłeś piorunów bijących w skały bazaltowe pierwszego świata, ile ogni podziemnych, ile wstrząśnień, abyś te kryształy rozbił i zamienił w proch ziemski, będący dziś odruzgiem pierwszych

przez atrakcję ducha postawionych kolosów. Kazałeś li Duchowi samemu zniszczyć się? czy przerażony sam walił na siebie wybudowane sklepienia? aż ze stłuczonych skał dostał ognia, skrę pierwszą, która może miesiącowi wielkiemu podobna, wybiegła z gruchotu kamieni, zamieniła się w słup ognisty i stanęła na ziemi jako Anioł Niszczyciel, a dziś jeszcze leży w głębi ziemnej, pod siedmiodniową prac naszych i popiołów skorupą.

Wtenczas to, o Panie, pierwsze a idące już ku Tobie duchy w umęczeniu ognistem złożyły Ci pierwszą ofiarę. Ofiarowały się na śmierć. Co zaś dla nich śmiercią było, to w oczach Twoich, o! Boże, było tylko zaśnięciem Ducha w jednej, a obudzeniem się jego w drugiej doskonalszej formie, bez żadnej wiedzy o przeszłości i bez żadnej przedsennej pamięci. Pierwsza więc ofiara tego ślimaczka, który prosił Cię, Boże, abyś mu w kawałku kamiennej materji, pełniejszym żywotem rozweselić się pozwolił, a potem śmiercią zniszczył: była już niby obrazem ofiary Chrystusa Pana, i niestraconą została; albowiem Tyś, Panie, nagrodził tę śmierć pojawioną w naturze po raz pierwszy, darem, który dzisiaj nazywamy organizmem. Z tej śmierci jako z najpierwszej ofiary wyrodziło się najpierwsze zmartwychwstanie. Z łaski zaś Twojej, Panie, przydaną została duchowi cudowna moc odtwarzania podobnej sobie formy, przez którą to potęgę, w różnej liczbie ujedynione duchy uderzając na siebie i zogniając moce swoje, zostały twórcami kształtów sobie podobnych.

Umierać więc i zmartwychwstawać Duchy a już nie składać się, lać się, łączyć się i roztwarzać się w gazy poczęły. A chociaż ja wiem, Panie, że złożony w skrze pierwszej Duch mój w kamieniu już żył całkowicie, dla moich wszakże nędznych oczu, od tej dopiero śmierci i od tej pierwszej ofiary śmiertelnej, Duch widomie żyć zaczyna i bratem moim staje się.

Jedno więc ofiarowanie się Ducha na śmierć, uczynione z całą potęgą miłości i woli, wydało potomstwo niezliczone kształtów, cuda tworów, których ja dziś usty ludzkiemi nie wyliczę Tobie, Panie, ale Ty wiesz o wszystkich, żadna bowiem forma następna nie urodziła się z poprzedniej bez wiedzy Twojej. Tyś ducha proszącego wziął wprzód w ręce Twoje, wysłuchałeś dziecinnych żądań jego i podług woli kształtem go nowym udarowałeś. A mądre i dziecinne zarazem są te kształty. Każdy albowiem Duch długiem cierpieniem w domu swoim, i niewygodą jego doczesną udręczony: wiedział i ze łzami prosił Cię, Boże, o poprawę jego ścian nędznych; a czy te były z perły, czy z diamentu, zawsze coś ofiarował Tobie, Panie, z przeszłych wygód swoich i ze skarbów swoich, aby wziął więcej dla Ducha wedle jego potrzeby.

Stary Oceanie powiedz mi jako w łonie twoim odbywały się pierwsze tajemnice organizmu? pierwsze rozwinięcia się

kwiatów nerwowych, w których duch rozkwitał? — Ale ty podwakroć zmazałeś z oblicza ziemi te dziwotworne i nieumiejętne ducha pierwszego kształty, i dziś zapewne nie wyjawisz dziwów, które w łonie twoim Oczy Boże oglądały. Gąbczaki olbrzymie i roślinopłazy wychodziły z fal srebrnych; zoofity setnemi nogami stawały na ziemi, usta ku dnowi ziemnemu obróciwszy. Ślimak i ostryga u głazu ojca swego wziąwszy ciała obronę przylgnęły do skał, zdziwione życiem, kamiennemi tarczami nakryte. Ostrożność pokazała się najpierwsza w rogach ślimaczych, potrzeba opieki i przestrach sprawiony ruchem żywota przylepiły do skał ostrygę. I porodziły się w łonie wodnem monstra ostrożne, leniwe, zimne, opierające się z rozpaczą ruchowi fal, oczekujące śmierci na miejscu, gdzie się porodziły, nie wiedzące zgoła o dalszej naturze. A Ty powiedz mi, Panie, jakie były w tych tworach pierwsze prośby do Ciebie, jakie dziwne i potworne żądania? Bo oto nie wiem, które z tych straszydeł niekształtnych, uczuwszy w systemacie nerwowym ruch i rozczulenie, zażądało troistego serca, a Tyś mu je dał, Panie, a jedno umieściwszy na średnicy, dwa drugie umieściłeś niby na straży po bokach, i odtąd duch, który takową formę przebywał, we trzy serca radość urodzenia i we trzy serca oścień i boleść śmierci od Ciebie, Panie, przyjmował. Powiedz? których to męczennik z serc onych Ci dwojga złożył ofiarę, a jedno tylko w łonie zostawiwszy, całą twórczość i żądzę zwrócił ku ciekawości i stworzył te o c z y, które dziś w wykopanych molluskach dziwią doskonałością, a w pierwszych dniach stworzenia świecić musiały na dnie wody niby karbunkuły czarodziejskie, pierwszy raz na dnie morza zjawione, kamienie niby żywe, ruchome, obracające się, patrzące na świat; a odtąd ciągle już otwarte, aby się stały patrzące na świat; a odtąd ciągle już otwarte, aby się stały latarniami rozumu; dopiero teraz, o Boże, przez wątpiących ludzi nieraz dobrowolnie zamykane, pierwszy raz w sceptyku nazwane zdrajcami rozumu; oszukańcami doświadczenia. O! Boże! oto w polipie, oto w atramętniku widzę zjawienie się mózgu i słuchu, widzę w podmorskiej naturze cały pierwszy zarys człowieka, widzę wszystkie członki moje już gotowe, już ruchome, zrosnąć się kiedyś przeznaczone, a teraz porąbanego ciała strachem i zgrozą przenikające. Aż wreszcie umęczony duch walką z olbrzymiemi falami oceanu, trzy serca Panu ofiarował, oczy wydarł z rozpłakanej na męce źrenicy, usta wprzód wzdychające ku niebiosom, posłał i poopra wiał w nogi swoje, aby w stopach już będące a w liczbie do kilkuset pomnożone soki ziemne pompowały i stanął grzybem zoofitowym na ziemi, duch zleniwiały, zwrócony z drogi postępowej, systemat swój nerwowy (i ten nawet) ofiarując za spokój, za kształt nowy, trwalszy i mniej bolesny: a Tyś, Boże, zniszczył wtenczas tę całą naturę i ze zwierzęcia podobnego drzewu, drzewo uczynił.

Oto znowu powtórzony, o! Boże mój, upadek ducha. Albowiem zleniwienie się jego w drodze postępu, chęć pobytowania dłuższego w materji, dbanie o trwałość i o formy wygodę, były i są dotąd jedynym grzechem braci moich i duchów synów Twoich. Pod tym jedynym prawem zaklęte pracują słońca, gwiazdy i księżyce; a duch wszelki naprzód idący, chociażby skazę miał i niedoskonałość, przez to samo, że już twarzy swej ku celom ostatecznym odwrócił, choćby daleki jeszcze był od doskonałości, wpisan jest wszakże w księgi żywota.

Dobrotliwy Ty jesteś, Boże, że pod dalekiemi warstwami potopów, pod warstwą na węgiel spalonych lasów, przechowałeś mi tę pierwszą próbę ducha zdobywającego ziemię, to pierwsze jego oprawienie się w pierścień nerwowy, to potrójne naopatrzenie się jego w serce, w człowieku dopiero zakrwawione, w Synu Twoim, Chrystusie, pierwszy raz nie nad sobą cierpiące. Błogosławieni ci, którzy, acz bez ducha Twego, Boże, wydobyli tę dziwną pierwotworów naturę, oświecili ją latarnią rozumu i mówili o trupach, nie wiedząc, że o żywocie własnym rozpowiadają. Latarnia, którą po sobie w tych ciemnych podziemiach zostawili, świeciła mi, kiedym w nie wstąpił; koście znalazłem złożone, wszystko już prawie w życia porządku, oprócz ducha Twojego, o! Panie, o którym Ty sam tylko rozpowiadasz, jako czujący dziś jeszcze boleście, które się działy na dnie czasów minionych. Ty sam wiesz, ile te koście cierpiały!

O! Boże — więc ofiarował ci Duch organizm, a resztką siły nieśmiertelnej zdobył ziemię i skrę życia w kształtach roślinnych przechował. Olbrzymiość jego pokazała się we wrzosach, a gniew i opór naturze w twardych ostach, które ziemię wysokiemi lasami przykryły. Śród gwiazd Twoich biegł ten glob szumiący, rozwarkoczony, ciemny, albowiem mgły i wilgocie wieszały się jak płachty kiru śmiertelnego na czołach tych pierwszych przestępców natury. Oko moje nie śmie zajrzeć w te lasy. Tam albowiem gałąź z urąganiem przeciwko wichrowi wyciągnięta, tłukła powietrze hukiem gromów, a rozszczepione wrzosu nasienie gdy pękło, to rozchodził się głos jakoby stu piorunów; tam wyrastała z pod ziemi parość z taką siłą, że porwane skały i wyrzucone przez nią na powietrze góry bazaltowe, upadłszy rozbijały się na proch i na miazgę piaskową. W chmurach, w mgłach i w ciemnościach widzę tę olbrzymią pracę ducha, to królestwo leśnego Pana, gdzie duch więcej na ciało niż na własne pracował anielstwo. To, co po śmierci zeń opaść miało, spalone na węgiel kłody i liście przegniłe, te były największym pracy jego wyrobem, gdy duch sam, już nad formę wzniesiony, czekał zlitowania się Bożego, czekał pożaru i potopu.

Na obumarłe więc kształty pierwszego stworzenia, na skamieniałe ciała dziwotworów morskich, wleciał słup ognisty, niszczyciel i Encelad walczący z żywotem... Czoło jego chmurami uwieńczone lunęło potopem — nogi ogniste wysuszy[illegible]

morskie łożyska, i przez wieki całe paliła się ta ziemia, czerwonym pożarem świecąca Panu na wysokościach, ona, która po wiekach duchem miłości przepracowana i rozpromieniona, zabłyszczy ogniem dwunastu drogich kamieni, w rozpromie-(nie)niach, w jakich ją widział Jan Święty, na otchłani światów gorejąca.

O! duchu mój, w bezkształcie więc twojego pierwszego zawiązku była już myśl i czucie. Myślą przemyśliwałeś o formach nowych, czuciem, i ogniem miłości rozpalony prosiłeś o nie Stwórcy i Ojca twojego. Tyś obie te siły sprowadził w jedne punkta ciała twojego, w mózg i w serce; a coś zdobył niemi w pierwszych dniach stworzenia, tego ci Pan już nie odebrał, lecz uciskiem i boleścią do tworzenia lepszych form zmusił twoją naturę i większą siłę z ciebie twórczą wywołał. Przelękniony więc i rozdrażniony oporem ciała, zacząłeś snuć w głębi morza taśmy srebrne i rozpocząłeś trzecie straszliwe węży królestwo. Zda się, że kłody owych drzew spalonych zmartwychwstały same na dnie morza, rdzeń drzewną zamieniły w systemat nerwowy, myśl i serce położyły na ziemi, a wprzód myśl, jako przewodniczkę wychodzącą na zwiady, opatrzoną oczu latarniami, posłały przed sercem, z ostrożnością, która o przerażonym duchu świadczyła... Panie! widzę oto głowę olbrzymiego płazu, pierwszą głowę ze spokojnego morza wyzierającą, która się czuje panią całej natury, królową wszelkiej doskonałości. Widzę — jako z powagą obziera całe niebiosa, oczyma się z kręgiem słonecznym spotyka i chowa się przerażona na dnie ciemności... A dopiero po latach stuletniego węży żywota — ośmieli się, ta sama głowa, wyjść na powtórną walkę ze słońcem... Rozdarła paszczę... syknęła — i w tym syknieniu dowiedziała się o darze głosu, który miał być także pracą ducha zdobyty. Powróciła więc trwożna w łono wody, myśląc, azali w przeszłych skarbach wypracowanych, znajduje się cokolwiek godnego, Panie, aby Ci było ofiarowanem za głos, za tę pieśń czucia i rozumu, która dziś po wiekach śpiewa Ci Hymny i jest związkiem i hasłem duchów idących ku Tobie.

Odtąd słyszę, Panie, świat napełniony jękiem rodzącej się natury, słyszę Lamantyny na urwiskach skał nadmorskich, że wołają w mglistem powietrzu o zlitowanie się Twoje. Albowiem mocno cierpi w nich duch coraz większym czuciem napełniony. Oto już przy sercu pokazała się pierś karmicielka jako pieczęć miłości matczynej, oto krew płazów czerwieni się i w mleko się zamienia (krew przeznaczona bielszą jeszcze i w brylantowy płyn zamienioną wytrysnąć z ran ukrzyżowanego Chrystusa). Oto nareszcie rodzi się ów porządek, czyniący nie głębokiemu wzrokowi wieczne przerażenie i utysk, duch, albowiem, doskonalszy kształt sobie wysłużywszy, uczuł podległość porzuconej przez siebie formy, wzgardził nią i najczęściej położył się jak Kaimita, aby gryzł mózg i ocierał usta krwawe włosami swojego

młodszego brata. To było pierwsze kaimostwo natury, szkodliwe wyższemu duchowi, albowiem łączyło go z duchem niższej natury, lecz w oczach Twoich, Panie, nie czynił się przez to żaden uszczerbek w łańcuchu przyrodzenia, bo przez przyspieszenie śmierci ciał przyspieszał się pęd duchowy żywota, a śmierć jako prawo formy została, że tak powiem, królową mask, powłok i szat duchowych i dotychczas jest marą bez żadnej rzeczywistej władzy nad stworzeniem.

Ty wiesz, o! Boże, żem nie przedsięwziął opisywać tworów natury; będzie to albowiem zadaniem wieków rozwiązać jakiemi drogami szedł duch twórczy? jakie składał Tobie ofiary? co brał? co tracił? a co znów napowrót odzyskiwał. Łańcuch ten nateraz tajemnicą jest; i przeraziłby się duch ludzki, gdybyś mu odrazu Panie pokazał te wszystkie dzieje jego, musiałbyś go za rękę trzymać jak dziecię, otworzywszy mu nagle pod nogami taką przepaść wiedzy i olśniwszy mu oczy takiemi błyskawicami prawdy Twojej.

Ja błędny i zamyślony o Tobie, zaledwo w kilku poczuciach prawdy rozweseliłem się, przeglądając twory około mnie będące; często liść trawy albo ptaszynę, która na płocie świegotała... Ale z jaką radością, o! Panie, widziałem, że mi się rzecz każda niby z jednej idei o twórczości ducha rozwija, Ty wiesz! któryś zatrzymał ducha na ustach moich i pozwolił, że jeszcze dni kilka pożyję zatrudniony tą ciągłą rozmową z tajemnicami natury.

Nie postawię, o! Panie, przed oczy ludzkie już tych drugich podziemnych królestw i katakumb, gdzie trupy drugiej formy leżą, często na długość motyki od nas odległe, ale długością wieków niezliczonych przedzielone od żyjącego dziś świata. Duch, który w nich żył, jak wielki i pijany nektarem Bogów poeta, odrysował się Tobie, Panie, w dziwotwornych i olbrzymich postaciach. W każdem kształcie jest wspomnienie niby przeszłej i rewelacja następnej formy, a we wszystkich razem kształtach jest rewelatorstwo ludzkości, śnicie niby form o człowieku. Człowiek był przez długi czas finalnym celem ducha tworzącego na ziemi.

Wszystko jednak w bezładzie jest i wysileniu... Zdaje się, że duch tworzy w rozpaczy, nie przekonany jeszcze o własnej mocy i twórczości. W przeskokach właśnie z królestwa do królestwa okazuje się ta potworność... tak, żeś Ty, Boże, wszystkie te prawie pośrednie formy poniszczył, chcąc jakoby większą tajemniczością dodać naturze powagi a zakrywszy przeszłość, więcej ducha naszego ku przyszłości skierować.

Odśniwają mi się, o Panie, te smętne księżycowe noce pierwszej natury, bezłady wężowego królestwa: widzę, o Panie, nie złamie skały tego pierwszego jaszczura, w którym duch już o głowie ptasiej, już o skrzydłach Ikarowych przemyśla... Albowiem idącemu na ziemię duchowi, potrzeba wprzód ptakiem ją oblecieć, potrzeba mieć syntetyczne poznanie natury.

wiedzieć jak rzeki płyną, jaka jest lasów rozległość, gdzie idą gór łańcuchy? — A przez natchnienie wiedział o tem pierwszy wódz Izraela, pierwszy śpiewak epopei stworzenia, że ptakom dane było pierwszeństwo rodu przed zwierzętami... że duchy ziemi na skrzydłach się wprzód podniosły — obejrzały przyszłe swoje stanowisko, potem zaś złożyły z lotu ofiarę, za kształt lepiej na ziemi umocowany, zdolny zupełniejszego nad ziemią panowania.

Uśmiecham się dziś, o! Panie, widząc odkopany szkielet, któremu imienia niema w dzisiejszym języku (albowiem wymazany jest na zawsze z rzędu form). Uśmiecham się — widząc pierwszego jaszczura, z dziobem ptasim, z jednem skrzydłem u nogi, lecącego w kolumbową podróż odkryć na świecie, aby opatrzył stanowisko dla tych ciężkich potworów, które szły za nim objadać całe łąki z traw, całe lasy z liści i z gałązek. A kto wie, czy zatracony dziś przez ducha wyrób światła, nie czynił onego kwatermistrza tworów, straszną, nad ziemią palącą się, latarnią — smokiem ognistym, o którym do dziś dnia jest w duchu ludzkim, niby jakaś pamięć ciemna i pełna przerażeń... Za tym to smokiem lazły na ziemię te straszne, wybudowane przez ducha, z kości okręta — rozmiłowane w żywocie, z oczyma roziskrzonemi na pokarm, gotowe pożreć ziemię; trzoda olbrzymia, którąś Ty, Panie, trzy razy strącał falami, i pod trzema dziś prześcieradłami popiołów, w trzech niby trumnach przechowujesz nam ku trwodze i ku pamięci.

Jakiż duch, o Panie, był piątego wieczora, onym Noem, który do arki, zbudowanej nie wpuścił jaszczurów i słoniów olbrzymich, ale zebrał twory będące teraz w harmonji i w jedności... kształty, które wypracowały formę ludzką? — Tajemnica ta zakrytą mi jest o Boże; widzę wszakże w tym osobistą wolę Twoją, i położenie ręki Twojej na świecie, którąś dopiero w dzień ostatecznego przymierza z człowiekiem odjął z przyciśnionej natury, zostawiwszy jej prawa własne, a człowiekowi podług tych praw twórczość i wolność ducha.

Z szóstym więc dniem zaczęła się w duchu myśl o człowieku, a najmniejsze źdźbło trawy już ją ma logicznie napisaną w kształcie swoim. Duch, robotnik ten Pański, zaczął tworzyć i postępował zwolna, albowiem w pracy tylowiecznej z materją, rozkochał się nieraz w kształcie, rozezłościł się i zaraził żądzą, powstając przeciw własnym prawom, które rządziły przeszłością. Nieraz zleniwiał i usnął na drodze twórczości, nieraz cofnął się, Panie, i pierworodzeństwo swoje przedał za jadło, za miskę soczewicy; drugi zaś śmielszy, choć później urodzony, brał na siebie runo owcze i zyskiwał błogosławieństwo Ojca, a następnie wyprzedzał potomstwo brata swoim potomstwem. Tak się ma rozumieć owa Mojżeszowa niesprawiedliwość, którą on czuł z natchnienia, że była w świecie duchowym sprawiedliwością... Albowiem w historji ludzi powtórzyła się jak w zwierciedle cała historja ducha w przyrodzeniu.

Wskrzesić by trzeba tamtych pięciu dni umarłych trupy, a z duchami form zatraconych rozmawiać, chcąc z pewnością opisać ów łańcuch formy, o którym mądrzy już się cieleśnie dowiadywali; bo Ty wiesz, Boże, że niektóre z królestwa do królestwa przenośne formy jako potworne, nie wpuszczone bvły do arki żywota... Dla samych więc tych zatraconych ogniw w łańcuchu stworzenia próżne będą usiłowania foremnych dostrzegaczy; a ten jedynie kto z ducha pocznie rozglądać naturę, o tajemnicach jej, w głębi ducha własnego z pewnością się dowie.

Pozwól mi teraz, o Boże, drugi raz, jakoby odczuć pracę moją przedludzką... pracę dnia szóstego, którą duch mój odbył, mądry już pięciodniową nauką, tworząc wszystko na nowo, tak wszakże, żeby mu nic z wypracowanych już darów i własności nie zaginęło...

Każde d r z e w o jest wielkiem rozwiązaniem matematycznego zadania. tajemnicą liczby, która w niedoskonalszych roślinach przez parzyste, w postępowych zaś przez nieparzyste ilości postępując, w drzewie całem rozwiązuje się j e d n o ś c i ą. Uczucie to wnętrzne rozwiązania mnogości przez jedność, jest pierwszem zadaniem roślinnego ducha, rozkoszą jego wnętrzną i zadowolnieniem. Ta pierwsza barwa, którą dziś na drzewach widzimy, jest logiczną, jest bowiem wynikłością żółtego światła, którem się karmią rośliny, w pomięszaniu z powietrzem błękitnem i wodą... Jakoż dwa te kolory atmosferyczne skondensowane i zbite w tkankę roślinną, utworzyły duchowi drzew oną pierwszą szatę, one to szmaragdowe płaszcze i włosy, odmalowane już w księgach Mojżeszowych, przez liść figowy, z którego sobie człowiek pierwsze robi odzienie.

Nie obojętny więc, o Panie, jest im kolor każdy i kształt listka każdego, albowiem odkrywa mi ducha naturę, i pracę mi własną niegdyś w roślinie odbytą opowiada... każdy ząbek listka wiem co znaczy — każdym się bowiem kształtem duch mój z pracy swojej wytłumaczył...

I tak, jeżeli wytknę drogę złemu a pełnemu sił duchowi, który rozpacznie walczy z wichrem morskim, zwycięża opór elementów, idzie w górę, i znów oporem zwyciężony wraca i skupia się, aby znów mocą w sobie zebraną wystrzelił w górę i odparł elementów przewagę — jeśli ten, jego, pod ostremi kątami zygzak, około linji prosto idącej do celu, dwa razy odrysuję, będę miał liść kolczasty o s t u, bladość jego i rysunek niby drogi złego a mocnego ducha, który w tej roślinie, pod bodącemi kątami, na zdobycie formy pracował.

Jeżeli duch ten, nie zły, ale silny i większą mocą opierający się naturze, wyobrażę, to mi da zaokrąglone po obu stronach liścia dębowego wykąty, w których duch okrągło ugina się przed siłą elementów, i podnosi moce swoje niby fala morska z powagą i mocą.

Jeżeli zaś duch z małą siłą i z małym też oporem świata walczący, ścieżeczkę mi swoją około linji środkującej opisze, obaczę listek krzewu różanego, ząbkowany drobno, i pomyślę, iż to jest duch, w którym nie jad węża, nie siła dębu, ale własność lekka piękności, a może już jej uczucie, po raz pierwszy rodziło się na świecie.

A taką jest dziś droga ducha człowieka, jaka była przed wiekami ścieżka przezeń wybita, gdy szedł do celów ostatecznych liściem rośliny.

O! jak cudownie, o! Boże mój, w tych pierwszych usiłowaniach, duchy roślinne, tworzyły formy, które się miały potem powtórzyć w organizacji świata, z których niektóre stały się chwałą dziś wymysłu ludzkiego. Oto s t o k r o ć jednym się kwiatkiem wydaje, w rzeczy zaś samej jest n a r o d e m kwiatków, osadzonych w jednym kielichu, rządzonym przez jednego zapłodnika, jest narodem, którego środek zajmują kwiaty o b y w a t e l e, albowiem pracują i rodzą, a brzegów strzegą listki białe, bezpłciowe, niby wojsko Hilotów. O! Panie, patrząc na ten pierwszy dziw twórczego ducha, już widzę, że ten sam duch w postępnej pracy rój pszczoli, królestwo pszczelne, niewolą ula i rząd w nim królewski zaprowadzi; że to samo w stadach ptaków powtórzy, że nareszcie formą podobną objawi się między ludźmi, nie wiedząc, iż myśl pierwsza związku i rządu w roślinnej się pracy poczęła, i przez łańcuch form przechodząc, musiała się rozwinąć w ludzkiej naturze.

I ty, respubliko ateńska, przebacz, że początek twój widzę w tym kwiatku koniczyny, który się składa z równych, osobnych, nie w jednym kielichu, ale na jednej łodydze trzymających się obywateli, między któremi jednak Temistokles, choć niczem nie różny od innych, siedzi na czele piramidy i zajmuje najwyższe stanowisko.

Dotychczas myśl sama tworzyła w duchu roślinnym, rachowała się trzema listkami idąc po łodydze, a pięcią tłumaczyła się w kwiecie; myśl osadziła kwiaty około jednej matki, stworzyła rodzinę i przeczucie narodowości. Myśl zda się sama matematyczna rozwijała się w roślinach — a uczucie zdziwione, ta rdzeń, która wszędy dochodzącem jest sercem, od wyrobionych myślą własności brało pierwszą dalszej pracy naukę. Kwiat jednak już i owoc są wypływem pracy obustronnych sił ducha; słodycz w ostatecznym rośliny wyrobie lub jad gryzący w ciernistego krzewu jagodzie już pod sąd moralny podpadają... Już jabłko mogło być wskazane człowiekowi, jako symbol mający w sobie cnotę i grzech ducha własnego, już je zjadłszy można się było z duchem winy lub zasługi połączyć. W wydaniu bowiem kwiatu i owocu duch już miał wiedzę złego i dobrego, uczucie piękności lub bezkształtu, już zasługiwał się lub zawiniał celowi ostatecznemu ducha. O! księgo pierwsza stworzenia! wszystko w tobie jest niezgłębioną tonią wiedzy i praw-

dy! wszystko, z pod zasłon odkrywających się zwolna dorastającym do synostwa Bożego dzieciom wyjaśniasz i pokazujesz!

Gdzież się kończy praca twoja, duchu roślinny? Oto w zamyśleniu się twojem nad doskonalszym organizmem, oto w stworzeniu roślin rodzaju, które zamienione w systemat nerwowy, mogły by się odrazu między organicznemi istotami objawić. Boże mój! nie ten owad w księgach gdzieś widziany, a liściowi zupełnie podobny, rozwidniał mi oną ducha tajemnicę; albowiem mógł on być prostą igraszką natury, prostym przypadkiem tworzących się rzeczy; ale oto, Panie, widziałem pod płoty wiejskiemi ów groch, który z ziarna zgniłego wyłazi i niby zielona gąsienica idzie z ostrożnością robaka po tykach opiekuńczych. Wszystko, co mogła już z organizacji swej roślinnej ofiarować Panu, ducha natura, już zda się, za żywot doskonalszy ofiarowała. Liczby w niej nieparzyste już są ostateczną myśli doskonałością, żadnej już w nich dalszej poprawy ani przemiany duch uczynić nie może. Ale patrz Panie, jak ta roślina wątła i krucha i blada z zapomnieniem o własnej trwałości, rzuca na powietrze rozpaczne ramiona; a kwiatek jej — już oto chce ulecieć z łodygi — już skrzydlaty, jak Psyche, prosi Ciebie, Panie, o lot motyla. Ty ducha tego wysłuchasz Boże, i stworzyć mu pozwolisz kształt, o który Cię błaga, a on formę swoją choć tak kruchą ale wieczną, dla duchów braci idących za sobą, zostawi.

O! Panie! a ileż to jeszcze mądrości widzę w pierwszych a spełnionych prośbach ducha roślinnego! jakie doskonałe rzemieślnictwo jego na ziemi! Tam, nadmorskie duchy, gdzie sól w rosach gryząca, cegły nawet pomników ludzkich wyjada, wymyśliły sobie aksamity, w które się ubierają, i nimfom podobne, na włosach niby zjeżonych, utrzymują w powietrzu nad głowami, srebrne perły z Oceanid warkocza lecące; i tak powietrzne te brylanty słońce wypija, te łzy zjadliwe morza osychają wprzód, nim na serce roślinne upadną... Ówdzie zaś przeciwko palącym słońca promieniom, zwierciadła sobie porobiły cytryn drjady, i złotemi strzałami obsypane odstrzelają się słońcu, gładkim i błyszczącym liścia lakierem... Pokażcie mi naturę, gdzie szał elementów panuje, gdzie wichry z falami walczą, gdzie roślinom na skałach rozczepionym trudna jest praca żywota; a nie pytając żadnej driady — z ducha mego odpowiem tę modlitwę, przez którą się one duchy o kształt doczesny do Boga modliły... Duch mój bowiem od wieków modlił się i pracował jak one i teraz smętny jest, gdy śród dzikiej natury, tę straszną pracę w bladych roślinach zobaczy.

Tu mi pozwól, o! Boże, że wydam jedną z małych ducha tajemnic na przedwczesne może szyderstwo sądu. — Oto zmysł woni, świadectwem mi jest — przedwiekowego w formach roślinnych pobytu, gdzie duch ciała (które mam teraz) krwiste naczyńka, zarazem z uczuciem piękności lub bezkształtu i jadu wypracował. Uczuwszy woń róży zapominam na chwilę, jakby

w odurzeniu, żądz i smutków ludzkiej mojej natury, a powracam niby w te czasy, w których celem dla ducha mego było utworzenie piękności, a odetchnięcie wonią było mu jedyną ulgą w pracy i rozkoszą... A tak, o Panie, powracam niby na chwilę w dzieciństwo moje — i przychodzi mi niby z otchłani genezyjskich wiatr orzeźwienia i młodości... A napróżno mi, o Panie, nauka tłumaczyła ten fenomen — przez działanie woni na zmysł powonienia; jam pytał o działanie zmysłu na duszę moją, która w uczuciu woni rozwesela się lub smętnieje.

Taką to drogą, o Nieśmiertelny, pracował anioł najuboższy i pokorny syn Twój w roślinnym królestwie, aż nareszcie ostateczną formą swoją wyszedł w świat wyższy i spotkał się z innemi strumieniami prac globowych, które wszystkie do ostatecznej ludzkiej formy dążyły.

Tam, o Panie, ślimak, pierwszy morza mieszkaniec, ostrożny i pewny pod swoją tarczą kamienną długiego żywota, ofiarę ci nareszcie z perłowego domu swojego uczynił, przepracował go (duchem pożądania) na rogową żółwia skorupę — a następnie jeszcze coś z bezpieczeństwa swego ustąpił Ci, Panie, a skrzydła sobie podstępnie pod rogową tarczą wypracowawszy, żukiem (tym Bóstwa u Egipcjanów obrazem) wyleciał w motylowe ducha krainy... Przez całą tę bolesną drogę przemian i pracy, nie poświęcił Ci on, o Panie, swojej płodności, a jakieś niby podobieństwo kształtów tradycyjnie zachował — i z morza przeniósł je aż w niebieską lotów krainę...

A oto węży królestwo, które w pierwszych dniach stworzenia w petrodaktylu już na dziw lotu zasłużyło, składa Ci skrzydła swoje jaszczurcze w ofierze, uniża się przed Tobą, krew swoją czerwieni i całą klasą annelid wczołga się w doskonalszą insektów naturę...

Albowiem w insektach, o Panie, duch zaczyna wypracowywać pierwsze cnoty moralne, pracowitość w mrówce, porządek socjalny w pszczołach. On potem cnoty te same zgromadza i łączy niby w pary, tak że odwaga i szlachetność w koniu, wierność i pokora w psie wyrobione, już na zawsze są nierozdzielne, i jako siostrzane cnoty w duchach nawet ludzkich mieszkają... Ty wiesz, o Panie, że cała tablica szkoły filozoficznej materjalistów, wszystkie władze, instynkta i cnoty, pracą genezyjską wyrobione, gotowe już prawie, ale w postaci grubego materjału dane zostały człowiekowi, aby je z wiedzą przepracował, ogniem miłości Bożej rozpalił i do nowej twórczości prowadził... Cnót tych i prac ducha nie będę opowiadał, albowiem je duch każdy, w bliskim siebie stworzeniu wyczyta: opowiem tylko niektóre, a zda się fenomenalne w postępie ducha wydarzenia.

Oto niekiedy duch, zażądawszy nowej formy i organizacji — wymówił sobie m a ł ą, a najczęściej kolorem tylko odznaczoną r ó ż n i c ę w indywiduach. Niektóre z kwiatów i zwierząt zachowały sobie, że tak rzekę, przez konstytucyjną

u Boga wydartą koncesję, różnicę sierści i barwy. Bóg żądania duchów nie odrzucił, ale niepełność ofiary ukarał słabością ducha niezjednostkowanego w jednej i pewnej formie; kwiaty albowiem takie są najczęściej bez owocu, a ptaki i zwierzęta poszły na służbę domową, i u wyższych duchów zażądały opieki. — Kot ofiarowawszy Panu tę jedną drobnostkę, panem jest pustyń — tygrysem... A my, o Panie, stokroć oddamy to wszystko, co nas niepodobnemi Chrystusowi uczyniło, do jakiejże godności i potęgi zostaniemy podniesieni, w świętej hierarchji słowa Twego?!...

Lecz oto Ty, Panie, na duchach nawet, które zdały się w niewolę zaprzedane, położyłeś dłoń łaski Twojej szczególnej i opieki. Arab zbliżony do konia, wykształcając w nim ducha szlachetności i odwagi, jest mu niby ojcem wyzwolenia; a pasterz z psem siedzący na polu, podnosi do siebie i wyzwala ducha pokory i wierności... W tej tajemnicy — kryje się cała historja egipskiego Józefa, który mizerniejszy od braci, i na służbę skazany, staje się potężniejszym w zaprzedaniu i wychodzi na dobroczyńcę własnej rodziny.

Widzę także, o Panie, że na rzadkie dziś w ludziach cnoty, rzadkie znajdują się przygotowawcze formy w dawnych królestwach stworzenia, a to mi jest świadectwem, żeśmy ci sami w duchu, którzyśmy te formy dawniej tworzyli... Oto na cnotę pracowitości w ludziach, pracował duch, w mrówkach, w pszczołach, i w całej niezliczonej liczbie zwierząt domowych, gdy przeciwnie rzadki bohaterski duch szlachetności i mocy, rzadką miał lwa formę, lub pierś orła rozkochaną w burzach i w piorunach.

A teraz, o! Boże, czuję tę całą, duchem już przeciążoną naturę, że woła do Ciebie najdoskonalszemi usty o formę ostateczną człowieka; albowiem wie ona, że przez podniesienie jednego ducha, podniesionem jest w najodleglejszych kończynach całe stworzenie. Oto na ostatnią modlitwę, dla ubłagania Twego, o! Panie, drzewa ubrały się w najpiękniejsze owoce i kwiaty, aby Ci zasługę i pracę ducha w najdoskonalszych formach pokazały. Oto najdumniejsze twory zeszły się na łąkę Edenu, zapomniawszy o żądzach i wściekłościach i krwiożerstwie, modlitwą w duchu podniesione, westchnieniem ducha wzbite nad własną naturą. Oto zlecieli się orłowie z orszakiem girland łabędzich i żórawich i stanęły na niebiosach, otoczone kręgami migocących się ptaków, niby dwór Twój Anielski, niby udając otoczenie tronu Twego przez tęczowe Anioły. I była to jedyna chwila spokojności i Edenu na ziemi, i oto Ty, Panie, wywołałeś ku sobie tego ducha, który już był wart ludzkości, wysłuchałeś go, osądziłeś i pozwoliłeś mu wziąć formę nową na ziemi, a w ciało jego, jak w jedną księgę, wpisałeś wszystkie tajemnice dawnej przedludzkiej pracy. Ta księga do dziś dnia złożoną jest na dnie ducha wszelkiego w człowieczeństwie, a gdyby ród cały i stworzenie zaginęło, o Panie, to jeden czło-

wiek ostatni, znajdzie w duchu swoim pracę przeszłości; i oprócz form żadnej straty nie poniesie globu dziedzictwo. Hosanna więc Tobie, o! Panie, albowiem Tyś jest Stworzyciel — i mój duch ma zarazem zasługę własnego stworzenia... Gdzież mi teraz z tej wysokości powrócić i czy na dawne stanowisko wiedzy... w to bezdno, gdzie mi przedkołyskowy żywot był tajemnicą, a przyszłość żadnych celów nie miała... Gdy oto tu, z przeszłości wychodząc, stanąłem niby na skale stworzenia... Widzę, com wypracował i co mi jeszcze do wypracowania pozostało... A oto wielką część tej pracy duch mój pracujący z ludzkością już odbył; już mu nad instynkta i cnoty zwierzęce, przybyło wiele ducha ludzkiego wyrobów, wiele mocy już ludzko-anielskiej. Tę pracę w innych księgach opowiem Tobie, Panie, a teraz pozwól, że się odwrócę jeszcze raz, ku sześciodniowym otchłaniom spoczywającej i stężałej natury i pożegnam ją w przyszłość idący.

O! duchu mój, gdyś ty jeszcze w krzemieniach czynił ofiarę z kształtu i trwałości, myśląc, że z wieczności twej czynisz ofiarę... Gdyś, mówię, ofiarował się na śmierć; Pan przyjął dar twój, ale oszukał Ciebie, jak ojciec, który ukochanego syna oszukuje. Przez tę albowiem ofiarę nietylko, że uzyskałeś w postępie wieków c z ł o w i e k a i mogłeś wykrzyknąć jak Ewa: c z ł o w i e k a P a n u z y s k a ł a m, lecz Pan przydał ci jeszcze, to, o czem ty nigdy nie śniłeś... udarował cię wiecznością odradzających się kształtów — mocą odradzania podobnej sobie formy... Skutkiem tej łaski, człowiek nie tracąc swej nieśmiertelności ani cząstki żadnej ze swej duchowej potęgi, odtwarza podobną sobie formę i ta staje się podobnego mu ducha mieszkaniem. Albowiem nie rodzi on ducha, tylko gotowemu się już urodzić a podobnemu sobie duchowi, podobny kształt spładza, i ducha brata wniściem do widzialności obdarowywa. W owem to podobieństwie jest cała tajemnica przechowujących się cnót w rodach, które nie są jakoby z ciała w ciało ze krwią przelane, ale z prawa tego, że w podobnych ciałach tylko podobne naturą duchy mieszkać mogą, wynikają. Nieśmiertelność ta kształtów przez śmierć uzyskana, pokazuje, iż przez ofiarę duch otrzymuje nad śmiercią panowanie, a omijając niby prawa bezwładnej materji, zwycięża je i niszczy. Oto Boże, przeraziła mię niegdyś wielka moc rozwalin na dawnych polach rzymskiego cesarstwa — oczy moje szukały choćby jednej kolumny, któraby na źrenicach moich te same kształty nakreśliła, które się malowały niegdyś na źrenicy Cezara... ale dzieła ręką ludzi robione odmieniły oblicza swoje... pomniki na przetrwanie wieków stawione rozpadły się... krople rosy wyjadły oczy marmurowym posągom... Niepewny — czyli co widzę z widzianych kształtów przed wiekami — ujrzałem wróbla, który zleciał na piaszczystą drogę i usiadł śród rozwalonych grobowców... A duch mój wnet był pewny, że tenże sam piór rysunek, takie same czarne podgardle widziane były, przez le-

gjony Warrusa... A zaprawdę, że morza się od tych czasów cofnęły i Rzym pod dwudziestą stopami prochów zatonął.

Duchu! pracowniku przedwiekowy! ty wiesz także, iż w tobie leży pierwiastek światła, uwieczniający ciało — święty przeciwnik ognia, twój kiedyś w dniach ostatecznych przemieńca... Pierwiastek ten odkupienia, który w przyszłości twarze formy cudownie ozłoci, cieniem tylko pokazał się w głębi żywiołów — niektóre roślinki morskie ubrał w niepewne tęczowe jasności — niektóre motyle psychicznemi gwiazdami uczynił — następnie zagasł — za potrzebniejszą jaką własność przez nędzne duchy wymieniany... Już go nie widać w ptakach — już przewodniczące girlandom ptaków żórawie, gdy nocą odprawiają jęczące i smętne podróże, nie przemieniają się w lampy i w pochodnie, ani rzucają wstęg i tęcz płomienistych obłąkanym we mgle żeglarzom... A ten — wyższy od głosu, bo zdolniejszy do wydania Bożych zachwyceń żywioł — światło złote o Panie — w przyszłości nam się pokazuje — jako najdoskonalsze śpiewu świętego narzędzie — jako karmiciel nasz... w owej to stolicy, która nam z obłoków zlatuje.

Z takich to prac wiekowych, o! duchu mój, z takich zwycięstw nad bezładem i burzą — jest pierwszy wieniec twój i pierwsza twoja u Boga zasługa. Nie zapomniał Pan o dziełach twoich — owszem uszanował je i formy stworzone przez ciebie zachowuje, nie pozwalając nadal żadnej w nich uczynić poprawy. Pieczęć trwałości swojej położył na zapisanej przez ciebie księdze; a gdyś jest godnym, a wyrozumienia prawdziwego natury zapragniesz, otwiera przed tobą złote i zapisane przez ciebie różnemi charakterami księgi tej genezyjskie karty — abyś je odczytał, zgłębił, i z drugą tajemniczą księgą na dnie ducha twojego złożoną porównał... Cieszysz się więc, o! duchu, ilekroć odkryjesz którą z prawdziwych tajemnic drogi bolesnej; a sumienie ci twoje zaświadczy, żeś prawdziwą myśl Boga w formach zamkniętą wyczytał. Niczem jednak jest nauka przeszłości, jeżeli przed tobą całej przeszłości nie odsłoni... Oto w księgach tych odkryta leży śmierci tajemnica i zapisane jest wyraźnie prawo następnej twórczości, to jest: o f i a r a. Nie odłączaj się więc od początku swego uwidzialniony Aniele, i miej wiarę w sumienie prawdy przeciwko nałogowi z nauki. W świętości bowiem twojej leży wyzwolenie ducha i moc jego przyszła... i mądrość i forma czynu wszelkiego na przyszłość... i zwycięstwo, i wolność i wyswobodzenie z pod jarzma fałszu i mocy.

O! Panie, który kazałeś szumowi morskiemu i szelestowi wietrznych pól bladym kwiatkiem okrytych, aby mię uczyły słów tej księgi... a wiedzę na dnie ducha mego uśpioną obudziły — spraw, aby te słowa westchnieniem pisane, przeszły jak wiatr i szum morski; a przechodząc i mijając, niektóre wielkie duchowe moce, w ojczyźnie mojej uśpione, z nieświadomości własnej, na światło wiedzy własnej wywiodły... Aby z tej

Alfy... i z Chrystusa i ze Słowa Twego wyprowadzon był świat cały — aby mądrość jasna, miłością Bożą w duchach tworzona, rozwidnieniem dla każdej nauki stanęła... O to proszę Boże i Panie mój! o widzącą wiarę a zarazem o uczucie nieśmiertelności z wiary widzącej w duchach zrodzone. O słońce mądrości Bożej proszę, w którym widzę już mieczowego anioła przyszłej ofiary. Albowiem na tych słowach, iż wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza święta narodu mojego... a w jedności wiedzy pocznie się jedność uczucia... i widzenie ofiar, które do ostatecznych celów, przez ducha Świętej ojczyzny prowadzą.

Ojcze Boże... według świadectwa Chrystusa Pana przez nikogo jeszcze na ziemi nie widziany, a który teraz przez krwawe i udręczone tłumy kształtów genezyjskich, ciemną dla formy — ale łaskawą i sprawiedliwą względem duchów i ducha mego, a stąd jaśniejszą i niby zbliżoną twarzą spojrzałeś: Spraw, aby ta jedyna droga rozwidnień i oświeceń, droga miłości i wyrozumienia, coraz mocniej jaśniała wiedzy słońcami... i lud twój wybrany a drogą bolesną teraz idący, do królestwa Bożego zaprowadziła.

SAMUEL ZBOROWSKI

(FRAGMENTY DRAMATU).

W zamku księcia Polonjusza.

EOLION kładzie się i usypia. Wchodzi ojciec książę POLONIUS z uczonymi.

KSIĄŻĘ.

Teraz tu za tą siadajcie zasłoną!
Oto już zasnął mój najukochańszy,
Ale od ptaszka on leśnego rańszy,
Wnet się obudzi... Czy te światła płoną
Dobrze?... Czy dobrze będziecie widzieli?
Twarz jego pełna tej okropnej bieli,
Która sny wróży... Już to śnicie trzecie...
Gdy będzie mówił, pytać go możecie
O to, co związek ma... z jego widzeniem
A on odpowie... z szaleństwa natchnieniem
Rzeczy dziwaczne,

DOKTOR.

Stan somnambulizmu,
A często skutek w piersiach anewryzmu,

EOLION, *zrywając się.*

Że na strumieniu krwi błogosławieństwo,
To wiem... więc, kiedy ogniste bałwany
Z łon wyrzucały straszne Lewiatany,
Gdy Duch przez pierwsze męczeństwo
Natury się do Boga przedzierał...
Gdy łono ziemi otwierał...
I z ognami rzucał skały,
Kiedy na burzliwem niebie
Pioruny odpowiadały
Duchowi, co szedł do ciebie
Widziałem tęczę na niebie
Twojego ze mną przymierza...
A ty teraz chcesz pacierza?

Za podstawę przyjęto tekst ustalony przez Stanisława Cywińskiego.

Pacierz mój — trzaskaniem skał,
Pacierz mój — to piorun chmur,
Pacierz mój — wulkanem stał...
Płomieniem stał na szczycie gór...
Nie zmarszczyłeś wtenczas brwi,
Gdy wchodził duch w kolumnę krwi.
A teraz... odrzucasz to morze...
I zamknąłeś obietnicę
W twoje ukochańce Boże...
Wyklęty więc, naturę w ramiona pochwycę,
Na różne kształty rozdrobię —
Świat wezmę... ręką rozrobię
Niby z każdego kamienia,
Niby szyją wytrysnę jaszczurczą...
I pokażę ci moc moją twórczą
Przez wiekowe pokolenia.
A ile razy rozpłonę
Cały, jako słońce złote
Spotkam twe błogosławione
I spalę ogniem i zgniotę
I wejdę... i wstanę z mogiły,
Aż mię przyjmiesz... ducha siły —
Choćbym był od gadu krwawszy,
Za żywot i moc ukochawszy...

TEOLOG.

To jest rzecz moja; jestem teologiem.
On widzę, rozmawia z Bogiem
Zapytam go... więc, co widzi...
Lepiejby tu starzy żydzi
Pomogli i talmudyści...
Powiedz co widzisz... młodzieńcze...

EOLION.

Nic... Widzę... ognistą tęczę
I to mię o tu, o tu boli...
Ta tęcza nim świat okoli...
Różnopromiennemi pióry,
Nim go dokoła obleci
To ja przejdę przez tortury
I duch się we mnie rozkwieci
I cisnę nieanielską tęczę...
— Ja się w mej twórczości męczę...
A oni... patrz... pełni mocy,
Na górach Boga prorocy...
Piorunami nakryci... kościołem...
Nad tęczowym stoją kołem
I lud jako owce pasą...

DOKTOR.

Maluje rzeczy z nadzwyczajną krasą
I nie brak mu w słowach siły...

OJCIEC.

Już teraz się w nim te sny wyjaśniły,
Już śni, jak człowiek... ale była pora,
Że świszczał, jak wąż przed piersią upiora
Wyprostowany. Wtenczas na ciemnotę
Świeciły dziwnie oczy jego złote,
Straciwszy zwykłą czarność i nalane
Słońcem...

EOLION.

Dajcie mi tarcze zwierciadlane,
Dajcie mi złotą mitrę ojca Ramazesa,
Zaprzężcie konie białe, jak mleko! Atessa,
Siostra moja, niech ze mną na wóz złoty wsiądzie...
Niechaj położą dary na czarnym wielbłądzie,
A łodzie niech, okryte tyryjską purpurą,
Czekają przy sfinksowych alejach. O góro
Karnakowa![1] Twych kolumn jaspisowych krocie,
Twe granity różane, twe piaskowce w złocie,
Błękitach i rubinach, niby las bogaty,
Gdzie pnie całe okryte tęczowemi kwity,
A liść cały różowy, z granitów syeńskich,[2]
Zorzy wielkiej podobny wstędze i bóstw żeńskich
Rumieńcowi. O! góro... gdzie piramid twarze,
Najwyższe tutaj słońca złotego ołtarze,
Są zapisane czynów moich wyliczeniem,
Ducha mojego pracą — wielkiem przemienieniem
Granitów w moje myśli o wieczności ducha
Na ziemi! Góro ludzka, skąd duch mój wybucha
Stu bramami i na świat się na złotych wozach
Toczy, tratując wszystko — zapomnij o zgrozach
Życia mojego! Tutaj z płonącego gmachu
Wyszedłem, jak król ludzi — bez serca i strachu
Po ciałach ludzi żywych, co się kładli sami
I byli mostem. Słyszę pod memi nogami
Trzeszczące ciał wilgocie, kiedy ogień z ciałem
Walczył — ale żadnego jęku nie słyszałem,
Anim zabolał sercem, bo mój duch fatalny
Z głazów i z ludzi czyni świat piramidalny
I ma spokojność stwórcy. Ale śmierć przemaga.
Zawołajcie mi tutaj Tyfońskiego[3] Maga. —

[1] Karnak = dzielnica Teb, w której znajdowała się świątynia Ammona, boga słońca. [2] Syene, miasto egipskie. [3] Tyfon, bóg zła i ciemności.

Chodź, chcę pomówić z tobą — chodź, starcze uczony!
Widzisz ten wóz? Białemi końmi zaprzężony,
W alei sfinksów czeka, a już na nim stoi
Atessa, siostra moja.
Jak ona się boi
Tych koni, co pod drżącą i mleczną powłoką
Mają krew, ogień, dumę królewską, gdy wloką
Trupy królów i, na wiatr rozpuściwszy grzywę,
Lecą przed złotym wozem, by furje straszliwe,
Piekielne.
A dziś patrzaj — jak, zda się, spokojne;
Wiedzą, przeczuły, że nie wyjeżdżam na wojnę,
Ale już ku grobowi dyszel obrócony...
A patrz, Atessa moja do złotej korony,
Do mitry, cyprysowych przydała gałązek.
Miłość żony przeczuła smętny obowiązek
Skonania, lecz się piękność — nawet na śmierć stroi
Pamiętajże, o Magu, ty i bracia twoi,
Aby się wasza wiara w zmartwywstanie ciała
Sprawdziła i piękności tej nie oszukała,
Bo...

Dobywa miecza.

Więc ty mi przysięgasz, że za trzy tysiące
Lat ta góra... kolumny... to niebo i słońce...
Nawet, o, ta żórawi girlanda płynąca,
Jak hieroglif, na niebie — i tam, to miesiąca
Oko srebrne, które się za palmami jawi,
W tym samym wszystko kształcie znowu się postawi,
Gdy z alabastrowego będę sarkofagu
Budził się z siostrą moją, Atessą, o, Magu,
Budził się z siostrą moją, Atessą, po wiekach
Snu, spoczynku?...

Zamyśla się.

Mówiłeś mi, starcze, o Grekach.
Ten ślepy harfiarz, który tu, pod moim tronem
Śpiewał — nowym językiem, nowym ducha tonem
Utkwił mi i zejść z oczu nie może. Ja w jego
Głosie słyszałem, Magu, coś nieśmiertelnego
I dlatego w grobowca rytym malowidle
Ten starzec z harfą złotą przy odwianym skrzydle
Srebrnej brody, przez moich rzeźbiarzy wykuty,
Trwa między pamiątkami.
Niech ten duch, poczuty
Duchem, zostanie kształtem, który grobowcowa
Cichość przy sarkofagu na wieki zachowa,
Aż się obudzę.
Teraz do sennego łoża!

Postępuje niby we śnie, idzie ku oknu gotyckiemu.

Coraz ciemniej — jak słońce, gdy leci do morza,
Coraz ciemniej — konie mnie do przepaści niesą —
Coraz ciemniej i smutniej..., Atesso! Atesso!
Tu nan zostać na wieki, tu położyć ciała!
Atesso! Ty mię w złotej tiarze kochała
I, nieprawda, że w jednym zaśniemy uścisku,
By się zbudzić z miłością? Patrz: na obelisku,
Co się nad sarkofagiem od pochodni złoci,
Niby duch — tam, w ciemnościach i w grobu wilgoci
Skazany stać przez lata trzytysiączne w ciszy,
Aż nasze znowu głosy ocknięte usłyszy —
Patrz: na tym obelisku pracownicy prości,
Nie rozumiejąc, ryli historją miłości,
Historją naszej duszy, jasnej, rozkochanej,
Historją tej małżeńskiej razem i siostrzanej
Pary serc naszych. Siostro! Obejmij w ramiona
Ten kamień! Tam są nasze miłosne imiona,
Tam wypisana wierność i imionka dzieci.
On jest pomiędzy nami teraz, jak brat trzeci;
Wszystko wie i zapomnieć się nigdy nie boi
I nad naszym grobowcem, jak piastunka, stoi —
Więc go pocałuj, siostro, bo to brat nasz niemy!
Teraz nam spać — i w jego opiece zaśniemy.
A gdybyśmy wstawali ze snu nieprzytomni,
Gdybyśmy zapomnieli czego — on przypomni.
I nie przemoże grobu ta ciemność i zgniłość;
Obudzimy się znowu na słońce i miłość —
I dawne życie w tęcze się rozleje nowe;
Zdejm więc róże z tiary i włóż mu na głowę:
Tyś skończyła z kwiatami, ze wszystkiem skończyła.
Chciałem, aby nas młodych zamknęła mogiła,
Abyśmy, młodzi znowu, do żywota wstali.
Weź tę truciznę, serca ci dotknie i spali...
Ja sam... Skonałaś? Ha! Już, na pozarzeczu
Tyfońskim. — Tyś otruta! Ja skończę na mieczu.

OJCIEC.

Jezus Marja! Upadł...

DOKTOR.

To nic — pulsy biją!
Niech go teraz położą na łożu, okryją —
Ja będę mu lekarstwa me administrował,
Gdy się obudzi.

OJCIEC.

Niańki zawołajcie! Niańki!

DOKTOR.

Wyznam, że mię ten dziwny sen zelektryzował,
Trzeba będzie na karku postawić mu bańki.

Odchodzą.

CHÓR DUCHÓW.

O, smętny — o, kochany,
Srodze ty oszukany!
Przez sfinksowe aleje
Piasek stepowy wieje,
Jaszczurki łuską brzęczą
I ludzi się nie boją —
Palmy przy sfinksach stoją,
W palmach wielbłądy klęczą —
Na Luksoru wyżyni
Cicho, jak na pustyni.

Przeszło lat trzy tysiące;
Te same złote słońce
Przez niebiosa się pławi —
I girlanda żórawi
Ta sama na niebiosach —
I kolumn głowy ścięte —
I groby odemknięte —
I harfiarz w srebrnych włosach
Nad harfą swoją złotą
Duma, niby z tęsknotą.

O, smętny — o, kochany.
Srodze ty oszukany!
W naszym chórze boleści
I płacz słychać niewieści,
Bo przy pochodni błysku
Ktoś do grobu zawitał
I stanął — i coś czytał.
Na smętnym obelisku
Twój dawny poznał Eden
I zapragnął, on jeden...

Lecz ty z boleści zgrzytasz,
Bo nigdy nie wyczytasz
Tego z dawnych kamieni —
Lecz na serca czerwieni
Zapisana ci będzie
Piosnka obelisku grobowa,
Wszystkie łzy, wszystkie słowa,
Pierwsze w pamiątek rzędzie,

Zapisana przez Pana —
Miłość czysto-siostrzana...

O, smętny — o, kochany,
Srodze ty oszukany!
Grób twój wygląda blado,
Niby gmachów kaskadą,
Cichą, a jednak grzmiącą,
W kraj cieniów i upiorów,
Z całą tęczą kolorów,
Pod ziemię wlatującą.
I tak wisi pochyła,
A stoi, jak mogiła...

O, duchu smętny, śliczny,
Duchu mój letargiczny!
Możesz ty w ducha męce
Kąsać piersi i ręce,
Jeśli brak ci odwagi
Zacząć życie podróżne:
Bo dawne groby próżne
I twoje sarkofagi
Straciły... twój proch — ciało —
Nic z nich nie zmartwychwstało,

Ani Atessa, ani
Miłością wy siostrzani,
Obróceni ku sobie
W alabastrowym żłobie,
Piersią waszą i usty
Do siebie obróceni,
W grobowcu znalezieni,
Jak leśny orzech pusty,
W którym nic nie zostało,
Choćby też muszki ciało.

CHÓR.

Błogosławiona jest ta, co się zowie
Między duchami Boga „Moje zdrowie“ [1]
Błogosławiona łaską nad jej synem.
Sen jego nawet jest pieśnią i czynem.
Przechodząc we śnie przedwstępne żywoły,
Do Boga idzie, jako anioł złoty,
A cóż, gdy ta pierś, co myślą zagrała,
Oblecze puklerz Anhełła Michała —
Gdy na koń czynu i cudu usiędzie,

1 *Salus mea* — Salomea. Poeta ma na myśli swą matkę.

Na barkach skrzydła rozepnie łabędzie,
Umalowane tęczami po końcach,
W tarczy i w hełmie, jak w podróżnych słońcach,
Z kopią, w płomień boży zakończoną —
I ta wyjedzie na łąkę zieloną.
I tak wystąpi, jako anioł Pański,
Na ten, kwiatkami złoty, ług słowiański?...
O, wtenczas kwiatki różne, małe, łączne,
O, wtenczas perły na kwiatkach tysiączne,
O, wtenczas wonie z łąk różanych wstaną
Przed mieczem jego, przed twarzą różaną —
I rzeki cofną się srebrne w korytach,
Gdy przyjdzie w zorzy ducha i w błękitach!
Lecz jeszcze nie czas, jeszcze przed nim stoją
Te sny, które go, jako harfę, stroją.

AKT II.

POLONIUS — MĘDRCE.

POLONIUS.

Choroby nie odgadliście,
Nie zachodźcie więc do sporów.
Różne są drzew leśnych liście,
Różne są gatunki tworów —
I umysły ludzi różne,
Jako żórawie podróżne
Przelatują ponad światem.
A kto nie jest serca bratem,
Ten nie pozna ze słów duszy. —
Proszę więc was — nim, jak wiecie,
Ojczyzna się ta poruszy
I pożar zacznie na świecie —
I my na polach czerwonych,
Gdzie czas rzuci krwawe kosy,
Pójdziemy ostatnie kłosy
Zbierać — i z rzeczy szalonych
I haniebnie rozpoczętych,
Wyciągać mądrość — mądrością;
Przed tą wielką okropnością,
Przed ogniem tych, wybuchniętych
Na całej ziemi, wulkanów,
Przed tym czasem, dla szatanów
I dla nas uciemiężonych,
Przed tą porą żniw czerwonych —

Zapomnijcie o przyszłości,
A dla mnie i dla miłości,
Jakąście dla mnie uczuli —
Żem odrostek waszych krów,
Że we mnie jest węzeł ludu —
Nie żałujcie pracy, trudu
Około mojego syna!
Chodźcie za nim niewidzialni!
Niech jego myśli kraina
Stanie się waszą! Są dzieci,
Co, jak orłowie nadskalni,
Gdy słońce myśli zaświeci,
Lecą i w błękitach giną;
Lecz potem, gdy skrzydła rozwiną,
A do słońca nie dolecą,
Wracają w świata ciemnotę
I, pierwszą przebywszy tęsknotę
Śród świata realnych cieśli,
Oczyma rozumu świecą,
Bo w oczach słońce przynieśli.

CHÓR MĘDRCÓW.

Zaprawdę, z twego dziecięcia,
Po tej chwili duchowzięcia,
Nim dojdzie z dziecka do trumny,
Może być człowiek rozumny.

POLONIUS.

Otóż on, bez żadnej zmazy
Na duszy i na swym ciele,
W cedrowym klęka kościele,
Odbiera różne rozkazy.
Potem — chodzi sam po górach,
Gdy niebo w zorzy purpurach
Nad lasem bukowym gore —
Albo w nocną idzie porę
Z zadumanym, jasnym licem,
By się rozmówić z księżycem,
Nad naszym skalnym jeziorem,
A nie sam, lecz z jakimś chórem.

CHÓR.

Orzeł to z mocnemi pióry!
Pójdziemy za nim na góry,

Chorów jego wysłuchamy
I zgubić mu się nie damy.

Wychodzą.

* *
*

Skalna okolica, zamglona. — Jezioro. — Pora przed wschodem miesiąca. — DWIE WALKIRJE z błyskawicami na głowie.

PIERWSZA WALKIRJA.

Na szczycie gór —
Gdzie świata brzeg
I orłów chór,
Piorunów ścieg —
Gdzie morskie oko
Pod lodów tarczą
Jęczy głęboko,
Gdy chmury zawarczą —
I całe się krwawi,
Gdy tęcz błyśnie szarfa —
A jęczy jak harfa
Pod wstęgą żórawi;
Tu, w bieli, w śnieżycach,
Przy morskich straszydłach,
Ja, duch, w błyskawicach,
W piorunach, na skrzydłach,
Na was, wichry moje,
Stanęłam i stoję.

DRUGA.

Ja także — duch losów,
Twa siostra i wężów,
Piorun lejąca z włosów,
Krew sącząca z orężów,
Najstraszniejsza na niebie —
Tu czekałam na ciebie.

PIERWSZA.

A skąd lecisz? Z daleka?

DRUGA.

Z północnego bieguna,
Na przebłysku pioruna.

PIERWSZA.

Siostro!... Tego człowieka...

DRUGA.

Wiem, wydarto nam z ręku;
Lecz ten człowiek nasz będzie,
Nasz, nasz, zawsze i wszędzie,
Jak harfa, pełna jęku,
Jako gwiazda stracona,
Nasz będzie, nasz, aż skona!

PIERWSZA.

Czy widziałaś Chrystusa?
Włóczy się przez ciemnotę
I sieje gwiazdy złote —
Dla dusz białych pokusa.
Jak chłop w kraj przeorany,
Rzuca gwiazdy w kurhany.

DRUGA.

Niech wejdą kłosy świetne,
Niechaj wejdą czerwone!
Mrozem je ducha zwionę,
Sierpem je ducha zetnę.
Cóż tam więcej na ziemi?

PIERWSZA.

Wrzask i nędza i burza...

DRUGA.

Patrz, księżyc się wynurza,
Malowany świętemi,
Jako tarcza tęczowa.
Niknij!

PIERWSZA.

Siostro, bądź zdrowa!

Wchodzi EOLION.

EOLION.

Tu rozkazały duchy przyjść i czekać.
Raz mi się ciemne niebo wyiskrzyło,
Gwiazdy zaczęły w różnych stronach szczekać...
Serce mi w łonie zatrwożone biło,
Jakby na sądzie — i rozpaczą zdjęty,
Jakoby wirem głosów ogarnięty,
Stałem. Nareszcie tak mię owe głosy
Dręczyły, żem stał, wyrywając włosy,

Jak potępieniec. Teraz okolica
Cicha ... i srebro różane księżyca,
Zda się, tęczami wewnątrz wskróś przesiąkło
Coś w tej nautrze niby serce zmiękło
I zesmutniało i nie jest tak ciemną,
Jakby litością przejęta nademną.
Cyt! Słyszę głosy, lecz bardzo z daleka.

ŚPIEW.

Gdy wyrośniesz na człowieka,
Staną ci sny, jak liczny wróg —
I stworzysz świat, jak tworzy Bóg,
Ale nie świat ... realnych scen,
Lecz nikły świat, jak ze snu — sen.
I złamiesz świat i pójdziesz wbrew,
Wojskami mar przeciwko ciał
I będziesz myśl ... przemieniał w krew,
Nam dawał moc ... i od nas brał;
I będziesz król — lecz będziesz sam.
Albo więc idź, albo się złam!
Lecz, jeśli duch przełamiesz twój,
Jeśli ty nas odgonisz w mgłę,
To wtenczas drżyj, a silnie stój,
Bo my jak psy jesteśmy złe!
Z pękniętych serc, z serdecznych cisz
Drwimy, jak grom, co bije w krzyż!

EOLION.

Pyszne to głosy! Głosy, jestem z wami!

GŁOS Z DOŁU.

Muszelki są z perłami
W naszym srebrnym jeziorze;
Zbieram je, wydobywam
I jedwabiem przyszywam
Na jedwabnym ubiorze,
W kościółku, Matce Boskiej —
A inne, czystszej wody,
Wkładam we złote włoski
Chrystusowi ... a zato
Rybek mi korowody
Pod rybaczaną chatą
Przychodzą, przed niedzielą,
I dno całe zabielą.

EOLION.

Jaki głos czysty! Jak do nieba płynie!

GŁOS Z GÓRY.

Zbliż się ku tej dziewczynie,
Rzuć na nią ręce ducha!
Mocniejszego posłucha,
Za mocniejszym popłynie
I poleci — bez końca.
Ciągnij za sobą w słońca!

EOLION.

Jeden z tych głosów, czuję, świat pokona!

GŁOS Z DOŁU.

Dziwnie ja przemieniona
Wstałam dzisiaj z pościeli!
Przyszli we śnie anieli
I oczął mi zamkniętych
Lilijami dotknęli —
I zobaczyłem świętych.

EOLION.

Kto jesteś, ty, co gadasz o aniołach?

DZIEWICA.

Rybaka jestem córką; żyję z niemi —
W tęczowych mi się pokazują kołach,
W nocy z tęczami przychodzą srebrnemi
I mówią do mnie.

EOLION.

Ubiór twój ubogi,
Koszula prosta, szara, bose nogi —
A jednak perły, we włosach rozlane,
Są, jako gwiazdy, pełne, świetne, duże —
I lekkie twoje rumieńcowe róże,
Jakoby wstydem na pół pochowane
W białości lica, tajemnemi wschody
Dziwią, jako róż, z perłowej jagody
Słońcem dobyty.

DZIEWICA.

Ja nie zawstydzona,
Alem od wiatru górnego czerwona,
Albo od moich snów... świecąca... w nocy.

EOLION.

Więc ty sny miewasz? Bądźże ku pomocy
Mnie, bom jest także dziwny i duchowy,
A w marach, w głosach, które dotąd słyszę,
Piękniejszej niby brakuje połowy;
Tej, która daje harmonją i ciszę.

DZIEWICA.

Gdzież mnie prowadzisz? Silna twoja ręka!
Serce mi bije i duch mój się lęka...

EOLION.

Jak sen prowadzę. Gdzie? Sam nie wiem wcale...
Jeśli duch powie — wstąpimy na fale,
Jeśli pochwyci — polecim w niebiosa,
Jeśli roztopi — spadniemy, jak rosa,
Jeśli zaśpiewa chór, co teraz niemy —
W echo się jego głosów rozlejemy...

DZIEWICA.

Lękam się... Pozwól mi odejść... Przepadnę,
Jeżeli z tobą pójdę, boś mocniejszy.

EOLION.

Wszakże ty widzisz, że ja jestem mniejszy,
Że ci na szyję rękę dziecka kładnę
I, uwiesiwszy się tak w całej sile,
Ledwo nad sobą, jak kwiatu, nachylę;
I tak, okryty w twym złotym warkoczu,
Mam gwiazdy z twoich uśmiechnionych oczu
Dziwnie błękitne.

DZIEWICA.

O, rozwiąż twe ręce!

EOLION.

Perłami cię łez związę,
Różami cię snów znęcę;
Światy moje pokażę,
Snom każę z mgły się jawić —
Będę, jak dziecko, bawić,
Zachwycę i przerażę,
Pochwycę i poniosę.

DZIEWICA.

Dziecko ty czarnowłose,
Strasznych duchów dziecina!
O, ja dobra dziewczyna,
Prosta, jak kamień chłodna,
W głębi serca pogodna.

EOLION.

O, więc ty z mego ducha!
Oderwana śród burzy,
Stracona gdzieś w podróży
Z żórawiego łańcucha,
Gdym leciał do miesiąca —
Mewa, za mną lecąca,
Stracona w mgle...

DZIEWICA.

Cud ze mną!
Gdy słucham, jestem nowa.
Świat jakiś widzę ciemno...
Czekam jednego słowa...
Powiedz, a weźmiesz na wieki!

EOLION.

Zamknij teraz powieki
I do dna duszy własnej patrz, aż jaw się zjawi!
Widzisz gmachy, błękity, girlandę żórawi,
W dziwnym kluczu lecącą po bladych niebiosach?
Czy słyszysz szelest śmierci gałązek we włosach?
Czy widzisz grób, co wejściem ogromnym przeraża,
I posągi — i przy tych posągach harfiarza,
Po złotych strunach srebrną lejącego brodą?

DZIEWICA.

Konie lecą i ludzi z pochodniami wiodą...
Jak mi straszno!

EOLION.

Czy widzisz różaną kolumnę
Pomiędzy nami?

DZIEWICA.

Widzę.

EOLION.

Teraz — białą trumnę
I podziemne gdzieś, ciche tęczowe pokoje?

DZIEWICA.

Trumna, gdzie spać będziemy, nieprawda, oboje,
Cicho i długo, słońcu odjęci złotemu?
Jedno się położywszy na sercu drugiemu,
W jednej trumnie — nieprawdaż, jak gołębi para?
O, ty blady, gdzie twoja wysoka tiara?
Dlaczego ty się później zbudził, dziecko cudze?
Myślałam, że ja ciebie pocałunkiem zbudzę,
Że rozkwitniemy razem w tym podziemnym grobie,
Opowiadając, żemy tam śnili o sobie,
O — duchy, które trupy oszukują, złe są!
Jam się zbudziła sama!

EOLION.

Atesso! Atesso!
Ty martwa? Wstań, przy tobie ja jestem, na ziemi!
Ty taka sama czysta, z usty różanemi,
Z oczyma, co szmaragdów podobne ogniskom.
Ja twój duch, ja winienem twym martwym uściskom,
Sen cichy i spokojność winien pod mogiłą.
I pamiętasz, że w grobie nic się nie ruszyło,
Tylko raz serce, kiedy Jezus wstawał z grobu?

DZIEWICA.

A moje wtenczas, gdy Go kładziono do żłobu,
I gdy Mu pasterz kwiatki maleńkie podawał.

EOLION.

Moje silniejsze wtenczas, kiedy zmartwychwstawał.

DZIEWICA.

Moje, kiedy Go pasterz w żłóbeczku wychwalił.

EOLION.

Moje straszniejsze wtenczas, gdy kamień odwalił
I wstał z grobu.

DZIEWICA.

Boże! Więc my rozdzieleni!

EOLION.

We mnie jest moc płomieni,
Co rozerwane zwiąże.
Nie wiesz ty, gdzie ja dążę,
Nie wiesz ty, co ja stworzę.
Dziecko ja jestem boże,
Idę, gdzie przeznaczenie.
Wiatr świszcze i odrywa
Ze mnie wielkie płomienie
A każdy z nich odpływa,
Po niebie leci, skłębia,
I kształt sobie zdobywa,
I w marmur się oziębia,
I zostaje.

DZIEWICA

Ja widzę
Także moje pacierze,
Jako kwiateczki świeże,
Na srebrzystej łodydze
Rozkwitające w ciemni.

EOLION.

My równi i nadziemni,
Odtąd nierozerwani!
Schodźmy razem w dolinę,
Schodźmy w powietrze sine,
Do tej wielkiej otchłani
W bukowych lasów morza,
Schodźmy silni i młodzi;
A za nami ta zorza
Różana niechaj schodzi
I skronie nam opasze —
Zorza, powietrze nasze!

Schodzą.

W zamku.

KSIĄŻĘ.

Mówisz, że mój syn z przechadzki powraca
Z córką rybaka?

LUCYFER.

Niechaj książę patrzy
Tam kędy zorza różana ozłaca
Most, zawieszony nad kaskadą ... bladszy

Niż mara, księcia syn w płaszczu brunatnym
I z orlem piórem, jak góral...

KSIĄŻĘ.

Nad zamęt
Kaskad z różanych mgieł — zda się nadświatnym
Zjawiskiem. Wielki ojców mych diament
Na piersiach jego, niby ta przedwschodnia
Gwiazda, którą lud zowie Lucyferem,
Pali się, straszna, czerwona pochodnia
We mgłach porannych...

LUCYFER.

(Moim go orderem
Ozdobił!) Przy nim oto, mości książę,
Cień srebrny, niby która z Oceanid,
Kiedy perłami swój warkocz podwiąże,
Korale smokcze w ustach i na granit
Wyjdzie, oblana morskiemi światłami,
W miesięcznej szacie.

KSIĄŻĘ.

O, jak ród mój płami
Takie szaleństwo!

LUCYFER.

Wkoło zieleń świeża
Łąk, a nad niemi czarne stoją buki
I oto tęcza z pod kaskad uderza
I anielskiemi się zakreśla łuki
Nad młodą parą.

KSIĄŻĘ.

O, straszna korona
Synowi memu, który za żywota
Już jest w niebiesiech!

LUCYFER.

Ach! Kłoda, rzucona
Mostem...

KSIĄŻĘ.

Co?

LUCYFER.

Pękła!... Para cieni złota
Upadła w przepaść!... Starzec nie dopędzi,

Bo rozwinęli skrzydła na błękity
I polecieli, jak para łabędzi,
Syn Apollina z córką Amfitryty.

Nad kaskadą. — KSIĄŻĘ, lamentujący.

Niechże mię teraz w grobowcu położą,
Niech stare kości moje tam próchnieją!
Ciemne mię bramy piekielne nie trwożą —
Tu się rozstałem z jedyną nadzieją,
Tu, w tej przepaści, dziecko mi jedyne
Leży, niechże ja z moim dzieckiem ginę!

Nie mówcie mi już o mękach narodu!
Cóż naród dla mnie, bezdzietnego człeka?
Serce się nagle moje stało z lodu
I myśl od ludzi, jak zbójca, ucieka
I brata w żadnym człowieku nie widzi
I, zamiast kochać ludzi — nienawidzi!

Pójdę i skarby moje będę kopał w ziemię
I będę myślał o złota kopicach,
Jakby to było moje nowe plemię
Ze mnie, leżące pod ziemią, w trumnicach.
Z temi garnkami myśli moje ciemne
Siądą, jak czarne upiory podziemne —

I już przed świata piorunowym końcem
Nie zadrżę, ani już podniosę czoła,
Gdy wszystko, co tu umarło pod słońcem,
Piorun ostatni do życia zawoła;
Bo proch napełnił ciała mego skrzynię,
Bo dziś wymarłem cały... w moim synie.

Nie bierzcie mię stąd, ale na tych skałach
Pozwólcie zostać, a przykryjcie dachem —
Albo na słońca tak zostawcie strzałach
Skałę, kwiateczków tych leśnych zapachem
Nieorzeźwioną, i mówcie, kto spyta,
Że stary książę trup!...

* * *

AMFITRYTA.

W królestwie podwodnem Oceanid.

W świecie duchów nie więcej dziś, nieszczęsna ważę,
Jak martwe prawo. Duchy mają swoje twarze,
Swoje serca — ja jestem bez serca, bez lica,

Bez miłości. Okropna żywotna martwica,
Przed wiekami już w ręce Jehowy umarła,
Bom chciała żyć i śmiercim się wielkiej wyparła.
Przelękniona imieniem jej. A ot różana
Córka moja, to pierwsze dziecię, ta Heljana,
Jeszcze dzieciątko, w małej kołyseczce śpiące,
W zwojach muszel, gdzie perły były, jak miesiące,
W tęczach pooprawiane — sama się wydarła
Blaskom i oto pierwsza pod falą umarła —
Z pereł pierwszych w najpierwsze przemieniona róże,
Na pierwszym krzyżu, który w pierwszej był naturze,
Umarła!

NEREIDA.

O, królowo, patrz, to światło krągłe!

HELJANA.

Jęczenia mię tu przeciągłe
Pod wasze fale zwabiły.

NEREIDA.

Heljana! Skąd ty?

HELJANA.

Z mogiły
Podwodnej.

LUCYFER.

Ludzie ją popsuli.

NEREIDA.

Co? Ona w chłopskiej chodziła koszuli?

LUCYFER.

Mieszkała w ciemnej chacie zadymionej;
Innych korali, prócz życzki[1] czerwonej,
Nie znała, innych pereł, prócz jemioły;
A często, gdy ją parobek wesoły
W pół chwycił, kręcąc obertasa, to się
Ta dusza, tutaj w aniołowym głosie
Objawiająca, tam z chłopaka ręki
Chciała na wolność — tfu, przez jakie dźwięki,
Aż wspomnieć mi strach!

1 Życzka — tasiemka czerwona, kraśna, włóczka czerwona, zawiązywana na szyi.

NEREIDA.

Co?

LUCYFER.

Tak, Nereido!
Ciało perłowe jej stało się kredą
I wapnem. Alma mater, matka ciała,
Djabelnie ją źle w ostatku ubrała
I niski stopień ciału naznaczyła.
Patrz, ta złotawość cała, patrz, ta bryła
Z ogni płonących, to gwiaździste ziarno
Wyszło na świecie kłosem, chłopką czarną,
Córką rybaka.

NEREIDA.

Co? Jasna Heljana?

LUCYFER.

I byłaby tak dotychczas odziana,
Gdyby nie jeden — niechaj go pioruny! —
Warjat, co trącał w różne świata struny
I natrafił w niej tę, która się zowie
Reminiscencją.

NEREIDA.

Ach, patrz, ma na głowie
Dwie złote gwiazdy!

LUCYFER.

Lecz trzeciej nie będzie,
Chociaż przez róże przeszła i łabędzie
I była, jako ptak rajski, na ziemi;
Bo, gdyby z trzema gwiazdami złotemi
Przyszła, to wiesz ty, o, to całe morze
Przed jej obliczem pierzchłoby, a boże
Królestwo . . .

NEREIDA.

Co ty mówisz!

LUCYFER.

Czas daleki;
Jeszcze ty możesz lać zielone rzeki
Z alabastrowych dzbanków, albo, blada,
Wieszać się mgłami, prochem, jak kaskada

Około Jungfrau i duch rzucać świeży,
Podwiana wiatrem, na sennych pasterzy,
Około których trzody, jak ze srebra.
Leżą — a w duchu twym tęcza i febra
Może się jeszcze lać na biednych ludzi
Przez dwa tysiące lat, aż się obudzi
Ta, widzisz, z trzema gwiazdami na głowie.
A jednak...

NEREIDA.

Cóż?

LUCYFER.

Gdy się w parowie
Karpackim zeszła z tamtym paliwodą,
Musiałem kładką się sam stać i kłodą
I żebra sobie samemu połamać,
Bo nagle duch w nich młody przestał kłamać
I już dochodził tajemnic żywota —
Gdyby zaś doszedł, to ja, Iskarjota,
Mógłbym... lecz to być nie może w tym wieku!...
Lecz, gdyby doszedł, to jabym na ćwieku
Drugi raz, albo gdzieś na starej gruszy
Musiał się wyrzec tej czerwonej duszy
I kędzierzawych włosów, niezbyt czarnych.

NEREIDA.

I czegóż tu chcesz od elementarnych
Pan, gwiaździc morza?

LUCYFER.

Abyści tę złotą
Zajęły jaką podwodną robotą
I nie puszczały na świat, bo gotowa
Uczuciem dostać ostatniego słowa
I razem, jako potężna i święta,
Zatracić nawet — nawet — elementa
I was.

NEREIDA.

Królowej to mów, oto wchodzi!

Wchodzi AMFITRYTA.

LUCYFER.

Błogosławiona, z której się narodzi —
Dalibóg, nie wiem, kto?... Handel.

AMFITRYTA.

O, szczenie!
Jakie mi dziwne niesie pozdrowienie!
Ach, to ten, patrzcie go — słowami szczypie,
A niegdyś, w pierwszym czerwonym polipie
Zgoniwszy brata na morskim błękicie,
Jako krew na krwi i sito na sicie,
Błoto na błocie, warkocz na warkoczu,
Położył na nim sto rąk, paszczęk, oczu
I tak pod spodem gryźli się, nędzarze,
Aż moich białych nimf srebrzyste twarze
I mój płynący wóz srebrnym delfinem
Oblał się cały jasnym karmazynem
Krwi, co na piękne wód błękitnych łono
Pierwszy raz twarzą ciemną i czerwoną
Wyszła! On to jest! Jeszcze dziś go widzę,
Jako mózg pierwszy na nogi łodydze,
Nalany myśli czerwonych obłokiem,
Bez serca jeszcze, a już z jednym okiem,
Poglądający na braci męczarnie,
Jakby chciał pierwszą zapalić latarnię,
Świecącą pierwszym boleściom podziemnym!
A już w tym oku, a już w tym nikczemnym
Pierwszym kawałku szkła, który wyciągał
Z ręką, jak żebrak, blask jakiś urągał
Męczarniom braci i przez krwawe światy
Blask jakiś dziwny rzucał zezowaty,
Niby pół wzgardy, niby pół-litośny,
Przelatujący jak piorun ukośny,
Albo nóż jaki krwawy rozbójnika,
Który do wody chowa się i znika
Razem z krwią, którą świeżo był oblany!
On to z pierwszemi żywota szatany,
W których już wyrok był, mózg i warkocz smoczy,
Powydzierali sobie ze łba oczy,
Mózgi potłukli na skałach, a sami
Ssącemi w ziemię wrośli warkoczami,
Sok cały z ziemi ciągnąc w zgniłe trzewa —
Z pierwszych aniołów fali pierwsze drzewa
Na trzecim świecie...

LUCYFER.

Wszystko, jasna pani,
Jest bardzo wierną historją otchłani,
Iljadą płazów.

AMFITRYTA.

Cóż, kawałku drewna?

LUCYFER.

Jesteś, jak morze rozhukane, śpiewna,
Lecz próżno twój głos fal tysiącem szczeka,
Wiesz ty, że mówisz już z duchem człowieka,
Który nad tobą ma — o widmo stare —
Stokrotną z ciała swojego ofiarę,
Łamanie nieszczęść wściekłych akwilonów,
Wieniec z tysiącznych dobrowolnych zgonów,
Jaśniejszy dobrze od twego miesiąca —
I ze zmartwychwstań ma wieniec tysiąca
I ma te z śmiercią pokonaną boje,
Z krwi, o, takie morza, jak to, twoje,
Może pokazać dzisiaj przed Jehową!

AMFITRYTA.

Ty — płaz, co ziemię podłą ssałeś głową!
Ty — wrzos!...

LUCYFER.

A pomnisz, jaki?

AMFITRYTA.

Z piołunów!

LUCYFER.

Łżesz! Mój najpierwszy strąk z hukiem piorunów
Pękał! Gdy czoło z pod ziemi podniosłem,
To tak, jak skała wystrzelona, rosłem,
Zaraz w niebiosach pokazując głowę.
Ja w drzewie siły moje piorunowe
Trzymałem, jak Bóg. A kiedy, bywało,
Podniosę korzeń, przyduszony skałą,
I głaz odeprę, co mi członki ciśnie,
To skała aż gdzieś pod gwiazdami błyśnie,
Zaskrzy się, skręci, jak iskra w niebiosach —
I znowu spada — i znów mi na włosach
Leży — a ja się pod górą nie zegnę.
A pomnisz, jak ja, bywało, przybiegnę
Cały w płomieniach aż na twoje brzegi,
A ty na złotych muszlach i szeregi
Twoich Amfitryt, twoich Oceanid
Znikają? Wtenczas ja zapalam granit
Piorunem, kręcę się aż w morskiej czarze,
Jak słup dusz, który wstąpił na cmentarze
I własnym kościom świeci. Bo, na ducha,
W tym morzu wyschłym i polip, ropucha

I płaz, co ze mnie miał warkocz szeroki,
Grzyb mój serdeczny i mózg jednooki,
I wszelkie dawne formy, jak zjawiska
Martwe, do mego przybiegły ogniska
Grzać się, jak trupy.

AMFITRYTA.

Ha, ojcze Heroda —
A czy pamiętasz, jak ja, srebrna woda,
Wbiegłam na cmentarz ten?

LUCYFER.

A czy pamiętasz,
Jak się obudził pod falą ten cmentarz
I żywot zaczął okropny na spodzie?
Jak ja — duch, w pierwszej obudzony kłodzie,
A już ostrożny — z wewnętrznej dorady,
Naprzód myśl z głową posłałem na zwiazdy,
Latarnie wielkie w łeb wprawiwszy sobie,
A za tą głową i te gwiazdy obie
Przeszły? Gdzie ciało już drogę znalazło,
Tam serce moje dopiero polazło
I drogę własnym zmiatało ogonem?
Bo ja sam pierwszym byłem Salomonem,
I pierwszą mądrą na tym świecie gliną,
I pierwszą, niegdyś najwyższą, gadziną
W czwartym żywocie.

AMFITRYTA.

Do mnie, Oceanki!

NEREIDA.

Królowa mdleje!

LUCYFER.

Stójcie! Z tej poganki
Ja, człowiek, muszę drwić myślą olbrzymią,
Patrz na mnie! Ja wąż, moje usta dymią,
Wężowe oczy skrzą, kark się wyprężył,
Jam wstał i twoje otchłanie zwyciężył —
I zostawiłem cię, jak wieki, starą,
A sam poszedłem do góry, ofiarą,
W królestwo boże, a tyś tu została,
Gdy ja sam, ciągły stwórca mego ciała,
Tworzyłem siebie — kawał po kawale,

AMFITRYTA.

Precz stąd! Niechaj go pochłoną fale!

LUCYFER.

Cóż stąd, gdy w moim duchu leży na dnie
Całe stworzenie?

NEREIDA.

Nie niszcz go! On bladnie:
Zobaczył ducha jasnego.

Wchodzi DIANA.

AMFITRYTA.

Diana!...

DIANA.

W noc świętego Jana
Przychodzę do was, matki,
Po muszelki i kwiatki,
Dzieciątka Amfitryty,
Które palą się blado
Anielskiemi błękity...
Szukajcie mego ciała pod zieloną kaskadą,
W waszym królestwie leży.

AMFITRYTA.

Nie gardzisz nami?

DIANA.

Duch wasz błękitny i świeży
Dobrze mi tu.

AMFITRYTA.

Zapalcie jej, co w morzu świeci!

DIANA.

Z twoich ja jestem dzieci,
Choć teraz bliższa Pana;
Na śmierć ofiarowana,
W pierwszej, złotej muszelce,
Podobna zbawicielce
Świata ukrzyżowanej.

AMFITRYTA, *wskazując na Lucyfera.*

A ten co?

DIANA.

Jeden z duchów obłąkanej
I odwróconej od Boga natury.

AMFITRYTA.

Zniszcz go!

DIANA.

On cierpiał...

AMFITRYTA.

On zły!

DIANA.

Szedł do góry.

AMFITRYTA.

Ale złe płodził!

DIANA.

Ale szedł z cierpieniem.

LUCYFER.

Zaprawdę, ciągłym błotem i płomieniem
Rzucałem w niebo, jak wulkan. A oto,
Głos, wymówiony cicho przez tę złotą,
Wydarł mi z ducha łzy, choć jestem dumny...
Miłości wiatru — a wszystkie kolumny
Padną! Oto ja sam — serce mi pęka...

AMFITRYTA.

Ty go żałujesz?

DIANA.

Boża nad nim ręka
Ciężyła srogo. To mój brat kochany,
Lecz biedny. Cała ziemia jest powieścią
Jego żywota.

LUCYFER.

Na Boga! Gdy z piany
Podniosłem pierwszą moją węża głowę,

Pierwszą myśl, wtenczas latarniami sześcią
Już uzbrojoną — gdy te lazurowe
Fale pod moją szyją grać zaczęły —
Gdy oczy kołem obiegły błękity,
Kołem obiegły błękit i stanęły
Na złotym kręgu słońca — jak zabity
Upadłem w morze i skryłem się na dno,
Skąd, po stu latach aż, stałem się śmiały
Wyjrzeć z otchłani. Dzisiaj, człowiek mały,
Dziś dzieci nawet już małe nie bladną,
Obznajomione z tą złotą pochodnią,
Ale pierwszy raz ja, wężem pod nią,
Z łuską, co strachem stanęła na grzbiecie,
Z tym słońcem pierwszy, sam na sam na świecie,
Pierwszy raz (cóż są dziś rycerze świetni!)
Musiałem mój strach ogromny, stuletni,
Krwią moją wężą, mój strach, wtenczas chłodny,
Strach ciemny, mój strach, stuletni, podwodny,
Czuciem powzięty, sam myślą osłabić,
Przeżuć, pod serce wziąć i sercem zabić,
Jako gadzinę. A gdy po stu latach
Ujrzałem złotą marę, taką samą,
Krągłą, co była niby dnem i jamą,
Żrącą mi oczy — gdy znów na bławatach
Morskich ujrzałem ten krąg z ognia duszą,
Tom ziewnął całą mą ognistą duszą —
Ziewnąłem, niby zwąc z sobą do walki
Tę słonecznicę, gdzieś mojej rywalki
Duszy słonecznej tarczę — a świst węża
Był pierwszym głosem z pierwszego oręża
Myśli dobytym... Wy, co dziś śpiewacie,
Z mojego świstu, z mego zadziwienia
Macie pieśń, struny, co serce kamienia
Kruszą, a żaden mi nie powie — „bracie",
Kiedy upadłem.

DIANA.

Ach, ja, siostra twoja,
Ja, z tego samego zdroja,
Co ty, stworzycielka róż,
Żałuję ciebie.

LUCYFER.

I cóż?
Czy mi smutek był nieznany,
Gdy w piątym dniu nad limany
Błotne wyszedłem na nowo,
Spokojność moją wężową

Oddawszy Bogu w ofierze
Za głos, za tę pieśń, co bierze
Serca — a gdy nieszczęśliwa,
To z niebios anioły zrywa
I znosi, jak gwiazdy, na ziemię?
Ja — wąż, ja — wężowe plemię,
Zarodziłem ten świat siny,
Gdzie pierś, pierwszy znak matczyny,
Jak pierwsza pieczęć miłości,
Przypieczętowała twory...

AMFITRYTA.

Ach, duch go porwał i świata kolory
Są w jego słowach!

DIANA.

Zapomniał o złości;
Sama cierpiąca moc w nim teraz gada.

LUCYFER.

I tam, bywało, gdy noc mgłami blada
Padnie, gdy księżyc wielki, jasny, siny,
Patrzy, a tam, gdzieś, krzyczą Lamantyny [1]
Na skał urwiskach, to ja, już na górze,
Z pierwszą chorągwią ducha, w tej naturze,
Z pierwszą boleścią ducha, naprzód idę,
Jak pierwszy jaszczur. Dziś tę piramidę
Tworów, stworzoną dziwnie, a ogromnie,
Bóg zniszczył, ale są gdzieś wszakże gnaty,
Które tam jeszcze w ziemi świadczą o mnie,
Gdy burza wejdzie w Sybir lodowaty
I te mogiły trochę popodnosi,
Są ślady, że mój duch o skrzydła prosi,
Robi je sobie myślą, czuciem stwarza
I leci, nakształt pierwszego mocarza,
Pierwszym jaszczurem w podróż Kolumbową,
Pierwszą gadziną jakąś z ptaka głową
I z jednym skrzydłem, które może było
Z ognia, bo pamięć moja pod mogiłą
Z myślą takiego smoka spała w ziemi,
A, zmartwychwstawszy, dziś jeszcze pamięta
I kolorami go sobie złotemi
Pisze w powietrzu.

AMFITRYTA.

Ach, smok!

1 Lamantyn, krowa morska nad morzami Ameryki północnej.

LUCYFER.

A okręta,
Wybudowane z kości, ciał, mięs, trzewów,
W tę podróż za mną, latarnią i smokiem
Szły całe pola objadać z zasiewów,
Świat cały z lasów obedrzeć. I krokiem,
Gdy na nie piorun szedł boży i woda,
Nie ustąpiła ta straszliwa trzoda,
Gotowa pożreć świat, rozmiłowana
W pokarmie. A ja — na świętego Jana
Klnę się! — leciałem przed nią, jak latarnia,
Jej wódz, lecz większy, niż brat...

DIANA.

O, męczarnia —
Jak ten się straszny duch z wspomnieniem łamie!

LUCYFER.

Patrz! Na mym czole brylantowe znamie
Tych wszystkich rzeczy, pamięć moja cała,
Przed Panem Bogiem moja wielka chwała,
Moje ojcostwo względem duchów bratnich,
Jako zagadka rozwiązań ostatnich,
Bliska, pisana stoi! Kto przeczyta?

AMFITRYTA.

Korony mojej i władzy pozbyta,
Drżę cała przed nim.

DIANA.

Nie drżyj, morska perło!
Ja mu wydarłam pierwsze ducha berło,
Ja mu wydarłam pierwsze świata słowo,
Ja z pochodnią purpurową
Szłam przez szósty dzień stworzenia,
Z kryształowego kamienia
Razem wyrwana z Helionem.
Naszym są dziś złotym tronem
Natury formy ostatnie,
Wszystkie, harmonijne, bratnie,
Mające za cel człowieka.
Dlatego, patrzaj, ten anioł się wścieka,
Że większy od nas postacią i żarem;
Jako poeta, upity nektarem,
Tworzył... okropność z szalonego ducha,
A my, złotego łańcucha

Nie puszczając z naszej dłoni,
Od białej sadów jabłoni
Do dębu, co w lasach stoi
Okryty pszczół harfą złotą —
Od ptaszka, co liścia się boi,
Od orła, co chmur ciemnotą
Otoczon i piorunami —
Wszystkośmy stworzyli sami.
A on... przeciskał się przez tę naturę...

AMFITRYTA.

Skończ!

DUCH.

Wężem...

AMFITRYTA.

Świat mi cały rozwiniecie
W waszej pamięci.

DIANA.

Ach, ja na tym świecie
Gdy jestem, to jak pierwszy raz kwitnąca.
Czasem się tylko jakiej tajemnicy
Dowiem od gwiazdy, albo od miesiąca,
Albo błękit okolicy
Czasem mi ją zaśpiewa, albo, jak pochodnia
Nad lasami świecąca, biała gwiazda wschodnia
Powie, gdym... niepamiętna...

AMFITRYTA.

Ach, Diana! Ty smętna,
Jak ci pomódz?

DIANA.

Siostrzyce!
Koralową trumnicę
Zróbcie mi na dnie fali,
Dajcie bukiet z korali
I poduszkę perłową,
Dwie morskie gwiazdy w nogach
I dwie gwiazdy nad głową,
Na czterech trumny rogach,
Niechaj mi świecą we śnie!
Bo, choć na świat bym chciała,

To dzisiaj jeszcze wcześnie,
Wcześnie do łez i ciała.

AMFITRYTA, *wskazując na Lucyfera*

A ten?

DIANA.

Ten... między ludzi;
On mię kiedyś obudzi.

LUCYFER.

O wielki Boże! Ona w sen kamienny
Idzie, nabywać żywota i siły;
A ja, jak ogień i wulkan bezsenny,
Zawsze bez ciała, zawsze bez mogiły,
Mgłą muszę wstawać i do ludzi chodzić!
Ani mi umrzeć, ani się narodzić!

Dopókiż ja w mgłach, gdzie mi władze gorą,
Będę się czołgał pod litością bożą
I żył w tych ciałach, które ze mnie biorą
Siłę natchnienia i tą siłą tworzą?!
Dopókiż będzie to żądanie we mnie,
Ażeby ten świat nic nie mógł bezemnie?!

W każdym nieszczęściu ludzkim moje pchnięcie,
W każdej łzie ludzkiej jest moja trucizna,
Mój duch jest każde zimne strachem zdjęcie —
Nawet, gdy zadrży przed wrogiem ojczyzna,
To ja poruszam jej kością spróchniałą
I strach jest ze mnie, a na niej drży ciało...

Lecz cóż to? Piorun znów otwiera wrota —
I duch mię jakiś woła?

GŁOS.

Iskarjota.

LUCYFER.

Idę... W powietrzu widzę tysiąc cyfer
Baltazarowych. Ktoś woła.

GŁOS.

Lucyfer!

LUCYFER.

Idę... I jeszcze obłok się piekielny
Przybliża, pełny głosów.

GŁOS.

Nieśmiertelny!

LUCYFER.

Lecę w płomieniach, ja, duch skazitelny.

Znika.

CHÓR DUCHÓW.

Gdzież piekło, to widmo babie,
Ten dawny gobelin stary,
Te blade słońcem jedwabie,
Gdzie z mar się już stały mary,
Z kolorów słońcem wypite?
Gdzie jest to zwierciadło zbite,
Gdzie obraz na pajęczynie?
Widzałże kto trumien skrzynie
Z cedrów starych smolnej rdzeni,
Pełne trupów i płomieni,
Ogniem nakryte i gadem?
Szedłże kto grzeszników śladem,
A zląkł się ogni piekielnych?
Gdzie i który z nieśmiertelnych
Wierzył w nieśmiertelność żywą,
Ognistą i robaczliwą
I żywotowi wydartą?
Kto, nad tą spaloną kartą
Żywota stojąc u brzega,
Widział, jak skra za skrą biega
I ogniów mrowisko chodzi?
Kto był na Charona łodzi
I w mgieł okropnych zamęcie
Słyszał tej łodzi stuknięcie
Żałosne o brzeg piekielny?
Kto ze mną w łódź pełną trupa
Nie wstąpi, jeżeli dzielny,
I nie odbije od słupa,
Na którym życia latarnia,
Obaczyć, co za męczarnia
Żre tamte głupie mary,
Co tu żywota sztandary
Dla próżnych strachów rzuciły?
Gdzie są te stracone siły?

Która z dusz na ziemi zgasła?
Czy ojca? Krzyknijcie hasła,
Których duch umarły łaknie
A wrócą, — żaden nie braknie;
Czy żebrak, czy pan, czy książe,
Czy człowiek ubogi z dyma...
Żadnego proch nie zatrzyma,
Żadnego ogień nie zwiąże
Wąż, nie przykuje do trumny.

ANTYSTROFA.

Duch życia, to rycerz dumny
I ciągle idzie do góry.
Czasem przed prawem natury,
Jako przed piorunem, stanie,
Zbladnie, i siły natęży,
I skoczy w ognia otchłanie,
Wskoczy — i piorun zwycięży
I powraca z błyskawicą,
Aniołem i gołębicą
Spokojną. Po jaki wieniec
Nie pójdzie z męża orężem
Ten duch, ten wieczny młodzieniec,
Co dzieckiem uleci w burze,
A z burz tu powraca mężem
I królem całej naturze,
Odartej ze strachów, z ciemnic,
Rozdziewiczonej z tajemnic
Dziewicy, co wiek za wiekiem
Rumieni się przed człowiekiem,
I drży, i staje się blada,
I na pierś miłosną pada
Paląca, lub jak pochodnia,
Jako niewolnica wschodnia,
W koronie z gwiazd i z miesiąca,
W ramionach człowieka mdlejąca,
Wieczna kochanka rycerzy?

STROFA.

Bo nie ten, kto w piekło wierzy,
Tej starej siatki pajęczej,
Gdzieś na płomienistej tęczy
Płonącej, duchem się lęka —
Ale ten, przed którym pęka
Ten świat, objęty ramiony,
Miłością serca skruszony,
Z tajemnic wyspowiadany,

Jak nimfa jasna i złota —
Ten tylko będzie wpisany
W ostatnie księgi żywota.

* *
*

W zamku księcia Poloniusza.

BISKUP.

Co za smętne zdarzenie! Książę stary wrócił
Zupełnie bez rozumu.

LUCYFER.

Duch mu się przyrzucił...

BISKUP.

Jakto?

LUCYFER.

Jak w stare drzewo puste, wlazł duch nowy.
Uważałem go, gdy pękł nagle most sosnowy;
W tym starcu była jedna chwila, błyskawica,
Że duch jego pierzchnął z ust, jak gołębica,
A w niestrzeżone ciało mógł...

BISKUP.

To przeciw wiary!
Kto wacan jesteś?

LUCYFER.

Strzelec.

BISKUP.

Jak imię?

LUCYFER.

Bukary.

BISKUP.

A metryczne?

LUCYFER.

Na buku jest moja metryka.

BISKUP.

Jakto? Niechrzczony jesteś?

LUCYFER.

Jestem spowiednika
Syn, a więc nawet nieco wyświęcon na księdza...

BISKUP.

O, jak ta niereligja, ta okropna jędza,
Już nawet w lud się wkrada! Oto już lokaje
Przestają wierzyć...

Wchodzi do pokoju księcia.

LUCYFER.

A ksiądz księdzem być przestaje,
Bo już w Ducha nie wierzy. Powiedz mu: „Duch rośnie",
A on to wszystko weźmie za mowy przenośnie
I powie, że to w chłopie krew rozgrzana bryka.

HELION (Eolion) wchodzi.

Ha! Helion!

HELION.

Czy posłano już po spowiednika?

LUCYFER.

Już poszedł do sypialni.

HELION.

O, na smętnym świecie
Żyjemy! Mnie kaskady uniosły na grzbiecie
I leciałem, jakoby po tęczach wygiętych,
Słysząc śpiew gwiazd i niby głosy Pańskich świętych,
Aż na kwiaty upadłem i sen mię owinął
Srebrzystemi skrzydłami. A mój ojciec...

LUCYFER.

Płynął
Przeciw wody i rozbił o nią swój łeb stary.

HELION.

Słuchaj, nie lubię tego tonu, mój Bukary!
Prędko się rozejdziemy, jeśli go nie zmienisz.

LUCYFER.

Pomieniali na duchy...

Wchodzi KSIĄŻĘ stary, zupełnie obłąkany, za nim BISKUP.

KSIĄŻĘ.

Królu! Sam ocenisz
Moje czyste zamiary...

HELION.

O widok bolesny!

BUKARY.

Ogolono mu resztę siwych włosów i pozwolono wdziać te jaskrawe kolory, które wybrała myśl jego, błąkająca się po przestworach!

KSIĄŻĘ.

Tak, królu, w jasnych kolorach
Widzisz mię, lecz nie mieniących,
Jak na wężu.

HELION.

O, niebiosa sprawiedliwe! Patrz! Z giestem dawnego dworzanina trzyma czapkę w ręce nisko, tykając kolan biskupich, bokiem niby zniżywszy się ku królowi, a drugą rękę na szabli głowicy.

KSIĄŻĘ.

Jeżeli ci grzechotnicy [1]
Nie pomrą, to, mości królu,
Oto pieczęć...

HELION.

Patrz, z jaką dumą odwrócił się, podniósł głowę!
Ojcze drogi!

KSIĄŻĘ.

Waćpani u mojej nogi
O litość — próżno! Acani
Udaj się na mnie do prawa;
Król mi pan tego nie zgani,
Że...

BUKARY.

Cały odmienił lica
I strupiał —

---

1 Tu przemawia Jan Zamoyski, wielki kanclerz koronny i hetman.

KSIĄŻĘ.

Żem ściął — szlachcica![2]

BISKUP.

Chodzi, ręce założył w tył i czasem stawa.
O czem on myśli? Dziwna, straszna tajemnica
Piekielna!...

LUCYFER.

Cudze krwawe sumienie w nim siedzi.

KSIĄŻĘ.

Mówisz, że odmówiłem ostatniej spowiedzi?
To nieprawda, kazałem przyprowadzić księdza.

HELION.

Patrzaj, jaki gest ręki! Zda się, że odpędza
Od siebie obwinienie ludzkie garści błyskiem.

KSIĄŻĘ.

Zajechał mi w ulicy przed wielkim ogniskiem;
W rynku smalono wieprza... wieprza... wieprza... słomą...
Cała ulica była wtenczas tak widomą,
Jak jasny dzień. Zajechał w ognistej ulicy,
Ja zrobiłem gest taki: „Ustąp!“ W błyskawicy
Widzę tego człowieka. — Zrobiłem giest taki!
Ściąłem go.

HELION.

Patrz, jak wszystkie te rąk jego znaki
Piszą jakąś historją.

KSIĄŻĘ.

A miał sen, jak słyszę,
Miał sen, co go ostrzegał — Pan Bóg snami pisze
Naszą przeszłość i przyszłość — miał sen, a nie słuchał.
Gdy się gdzieś z Kozakami po morzu bałuchał,
(Szelma była przed ludźmi i przed Bogiem — dumna!)
Przyśniła mu się jasna, koralowa trumna —
Słyszałem sam od chłopca Kózaka. Korona
I trumna koralami wylana, czerwona:
Czerwona, za to ręczę wam duszą i ciałem —
Że czerwona, oświadczam to, bo ją widziałem.

---

1 Samuela Zborowskiego.

HELION.

O, straszliwe świadectwo!

BISKUP.

Doktor mi powiada,
Że tu żadnej nadziei karmić nie wypada.
Mózg ruszony. Opuszczać go jednak nie można.
Przyślę dwóch księży. Wasza rodzina pobożna
Aż nadto zasługuje. Przyślę wam dwóch księży.

Wychodzi.

BUKARY.

Zostaw mi pan tu nad nim rząd,
Niech na mnie cięży
Odpowiedzialność wszelka. Ja na siebie biorę
Chorego i tych księży. Zapewne nie chore
Będą braciszki. Książę, każ nam przynieść wina,
Noc długa, ba, i straszna! Niech książę zaczyna
Oswajać się z tą myślą, że liść z drzewa leci —
I bez ojców na ziemi muszą zostać dzieci.

Helion wychodzi.

BUKARY, *sam.*

Że też nikt, widząc warjata,
Nie trafił na tajemnicę
Ducha i całego świata —
Że te straszne błyskawice
Dusz nie odkryły wszystkiego!

Po chwili.

Patrz, jaki duch straszliwy i czarny wszedł w niego,
Jaki duch wielki, a nic jednakże nie może;
Przywdział spróchniałe ciało i w tej nowej korze
Nie wie, jak stąpić. Gdyby to był duch dewoty,
To kręciłby wrzecionem i śpiewał godzinki —
Gdyby lichwiarza, mógłbyś mu pokazać złoty,
A poszedłby do piekła. Przez jakież czynniki
Ma być zbawiony człowiek, jeżeli nad ciałem
Nie trwa łaska i odeń duchów nie odpędza?

Po chwili.

Ba, a tamten, pod którym ja kłodę złamałem;
Gdzie w nim ta tęczowa przędza
Snów, gdzie ten żywot upiorny?
Dusza zlękła się o ciało
I ta, jak przeor klasztorny,

Zaczęła żyć pomiędzy czterema murami.
Dawniej — gdzieś nad czarną skałą
I nad słońcem i nad mgłami
Ujrzawszy orła, a niżej
Kwiatek, lub tęczę kaskady —
Widziała cały świat blady
Duchów, który orła zbliży
I z widmem kaskad ożeni.
Dawniej, gdy kilka płomieni
Błękitnych ujrzy w moczarach
I gdzieś na krzyżu bociana,
To zaraz, jak obłąkana,
Błąka się po różnych marach,
Których girlanda duchowa
Łączy te dwa smętne słowa,
Z których jedno jest płomykiem,
A drugie, jak anioł skrzydlaty,
Łączy ducha wiejskiej chaty
Z duchem, cmentarzy strażnikiem.
Cała dziewiczość natury,
Cała harmonia zaklęta.
Harfa przeklęta i święta,
Świat słońca złotego i chmury,
Świat pieśni, płaczu i grzmotu,
Wabił tę duszę do lotu.
Dziś nic — jak puhar szampana,
Brylantem skrzący, wyszumiał —
Nawet, nawet nie zrozumiał
Ojca, gdy jak harfa, targana
Przez duchy piekielne zajęczał.
Ha, otóż są braciszki. Będę was wyręczał
W pracy waszej. A jak się, ojcze, nazywacie?

TEOLOG.

Ja frater Theologus.

BUKARY.

Dobrze. A ty, bracie?

LOGIK.

A ja frater Logicus.

BUKARY.

Brawo! Jak dwie księgi!
A czy lubicie miodek?

TEOLOG.

Ba, jeżeli tęgi...

LOGIK.

Bah, jeśli stary...

BUKARY.

Brawo! Siadajcie, fratery.
Oto jest sześć butelek wina i patery.
Umiecie po łacinie?

TEOLOG.

Kuchenną.

BUKARY.

Musicie
Wiedzieć, że „pater" znaczy...

LOGIK.

Ojciec.

BUKARY.

Wyśmienicie!
Od „pater", ojca idą — patery kielichy.
Więcej nie potrzebują wiedzieć dobre mnichy.

TEOLOG.

A zwłaszcza bonifratry.

BUKARY.

Brawo! Cóż tam w świecie?

LOGIK.

Książę podobno chory.

BUKARY.

Aha, to już wiecie?

TEOLOG.

Cały klasztor najmocniej nad tym ubolewa.

BUKARY.

Dobrze, płaczcie, jak beczki,
A który z was śpiewa?

LOGIK.

Jakto?

BUKARY.

Który z was śpiewa, powiadam, dyszkantem?

TEOLOG.

Oba basy.

BUKARY.

Siadajcie, będę koryfantem,
Bo ja dyszkant. Powiedźcie mi, mnichy, dlaczego
Wy nie wskrzeszacie ludzi?

TEOLOG.

Do Boga samego
Należy wskrzeszać.

BUKARY.

Brawo! Tak, do Pana Boga.
A dlaczego bierzecie wy tabakę z roga,
Nie z tabakiery?

LOGIK.

Taki zwyczaj. U nas różki,
A tabaka od czasów się krakowskiej Włoszki
U nas robi najlepsza; sekret mamy sami.

BUKARY.

Świat cały postępuje zawsze sekretami —
I prawda jest sekretem i wasza tabaka.
Daj niuch! Niechaj was djabli, mnichy!
A to taka,
Jakby ogień piekielny!

TEOLOG.

Dobra!

BUKARY.

Wyśmienita!
A wierzycie wy w duchy?

LOGIK.

Czy pan żartem pyta,
Czy poważnie?

BUKARY.

Poważnie.

TEOLOG.

Są.

BUKARY.

A, bah!

LOGIK.

Są duchy.

BUKARY.

Dowód? Ty, Theologus!

TEOLOG.

Młynarz widział.

BUKARY.

A ty,
Logicus — jaki dowód?

LOGIK.

Jakto, czy z wulgaty?

BUKARY.

Z czego bądź!

LOGIK.

Nie dowiodę tego, ale wierzę.

BUKARY, *wstaje i idzie do okna.*

Wiaro, ognista wiaro! Gdziekolwiek uderzę,
Dawne serce narodu odzywa się szczerze,
Jak gołębica. Zmienić tylko myśli sferę,
A to wszystko cudowne Boga archanioły. —
Cóż ja jestem, ja, owoc z czarnymi popioły —
Cóż ja jestem, ja, harfa wszystkich ludzkich tonów,
Ja, pan gwiazd i brat ruin i pan akwilonów,
Przed tą wnętrzną dobrocią ludzi i prostotą,
Która mię do łez kruszy?! Jednak tą istotą
Moją ja za nich cierpię.

Wraca.

A czy sen wam służy?

LOGIK.

Spytać się o to łóżka...

BUKARY.

I lica, jak róży,
Rozjaśnionego. Dobrze, śpijcie bracia moi!
Apostołowie spali.

TEOLOG.

Kto się Boga boi,
Ten się nie boi ludzi; kto śpi, ten nie grzeszy.

BUKARY.

Gdym się zbliżał na czele Herodowej rzeszy,
To spali...

LOGIK.

Co to panu jest? Brwi się zmarszczyły...

BUKARY.

Słuchajcie mnie! Gdyby tu kto teraz z mogiły
Wszedł, czybyście się bali?

KSIĘŻA, *chwytając za kielichy.*

A, niech Pan Bóg strzeże!

BUKARY.

Przez tę salę duch przejdzie.
On wam nie zabierze
Tych kielichów!

LOGIK.

Bez myśli chwytaliśmy, za co
Pierwszego było schwycić.

BUKARY.

Mnichy głowę tracą.
Słuchajcie! Byście mogli widzieć jego ciało,
Opiszę wam. Otyły, wielki, w delję białą
Ubrany, z koralowym płaszczem na ramieniu,
Przy szabli, — co ja mówię? — przy wielkim płomieniu
U boku, z szyją grubą cokolwiek i tłustą,
Która dziś może będzie obwiązana chustą,
Chociaż zwykle za życia gołe nosił garło,

Z twarzą smętną i groźną, chociaż obumarłą,
Pełny skier, biegających po białek przeźroczach,
Patrzący na was, jak trup... Patrzcie! Reszta w oczach.

Duch przechodzi przez salę.

Widzieliście?

TEOLOG.

Czy za nim takich jeszcze wielu?

BUKARY.

Sala pełna, słuchajcie!

PIERWSZY GŁOS.

Janie!

DRUGI.

Samuelu!

TEOLOG.

Słowo stało się ciałem!

BUKARY.

Tak, tak, już się stało.

LOGIK.

Ty sam drżysz!

BUKARY.

Idzie do tej sypialni po ciało księcia.

TEOLOG.

Tam duch...

BUKARY.

Obadwa poszli jedną drogą.
Idźcie, w sypialni niema już teraz nikogo.

Mnichy wchodzą do sypialnego pokoju.

Oswoić się nie można, chociaż można dociec
Przyczyn.
Ha! Helion.

HELION.

Cóż tu? Czy zasnął mój ojciec?

BUKARY.

Zasnął.

HELION.

A przy nim niema nikogo?

BUKARY.

Są księża.

Nic, książę, nie słyszałeś?

HELION.

Nic.

BUKARY.

Szczęku oręża?

HELION.

Nic.

BUKARY.

Ani żadnych głosów?

HELION.

Prócz nocnego stróża,
Który zawołał: „Północ!"

BUKARY.

Nic więcej?

HELION.

Z podwórza
Ktoś głośno krzyknął: „Jezus!"

FRATER I.

Jaśnie oświecony
Pan niechaj tam nie chodzi!

FRATER II.

Trup cały czerwony,
Teraz dopiero bladnie.

HELION.

Ach, mój ojciec...

BUKARY.

Z niebem!
Wy się mnichy zajmiejcie pogrzebem.

* *
*

MGŁY.

W jednej duchów kolumnie
Dziś wielki sąd i strach;
Cała w ogniu i w skrach.

TWARZ MEDUZY.

Gdzie zagrzmiało?

GŁOS.

Nie u mnie!

GŁOS.

Ciemno, wietrznie i ciemno.

TWARZ MEDUZY.

Gdzie błysnęło?

GŁOS.

Nademną.

GWIAZDA.

Przeleciałam przez ciemnie.
Gdzie zabolało?

GŁOS.

We mnie.

GWIAZDA.

Więc boleść się natęży,
Bo tam cierpią i drżą.

GŁOS.

Czy to piorun?

GŁOWA MEDUZY.

Świst węży

Znika.

PIERWSZY GŁOS.

Gdzie pożar?

DRUGI.

Serca skrzą.

PIERWSZY.

Lecz nic się nie odmienia
I nic w nas nie wybucha.
Zawsze ta moc płomienia,
Zawsze jeden ton ducha.

DRUGI.

Upadła nam korona —
I duch na świecie zgasł!

PIERWSZY.

Kto ubył?

DRUGI.

Duch Heliona.

PIERWSZY.

Co, czy trup?

DRUGI.

Nie, lecz głaz.

Jęki i błyskawice.

BUKARY.

Duch się mój tu wpromienia,
Przez mgłę piorun rozpruty,
W Chrystusowe cierpienia,
W duch, włócznami tu skłuty,
W cierpienia mi rówieśne,
Między krwawo boleśne.

MGŁA.

Kto ty?

BUKARY.

Ja!

MGŁA.

Gdzie?

BUKARY.

Na pasją
I spazm wielki, serdeczny.

GŁOS.

Powiedz twe imię!

BUKARY.

Wieczny.

GŁOS.

Za tą marą w atłasie
Idź, wyżej, nad otchłanią!

BUKARY.

Właśnie tu idę za nią.

Idzie.

MGŁY.

W błękitny za nim ślad
I my, duchy, i świat.

Podnoszą się z błyskawicami.

BUKARY.

Co za widok z tych wschodów!
Cały teatr narodów!
Światowych stwórca dzieł
Pełny światła mgieł,
A z ognia każdy próg.
Nie, ja nie duch, ja — Bóg!

Zstępuje z jednego wschodu.

O ten lew bazaltowy
Oprę się. Widzę stąd
Mgłę i ogień i sąd...
Pluton boi się głowy,
Uciekł w płomienie i głąb,
A woźni są od wnijść.

WOŹNY.

Samuelu!

BUKARY.

Sto trąb!

WOŹNY.

Samuelu!

BUKARY.

Jak liść,
Cały drżę. — Jaki ruch!

WOŹNY.

Samuelu!

BUKARY.

Blask! Duch
Błysnął tu pancerzem.

WOŹNY.

Sprawa z wielkim kanclerzem

GŁOS.

O co?

WOŹNY.

O gardło.

BUKARY.

Ach!
Kanclerz stanął, jak strach,
Z laską, w złotym żupanie.

PLUTON.

Idzie o porównanie
Prawem zapozwanego
Z tym, którego tu zgon
Dostawił.

SAMUEL, *chwytając łeb własny i oświecając trupa.*

Ze łba mego
Masz latarnię. To on!
Widzicie ten sam trup,
Którego już dwa razy
Ciągnę pod pręgierz, słup,
Za me dawne urazy,
Chcąc na nim wyrok zyskać.

BUKARY.

O, strach! Ta w ręku głowa
Okiem zaczęła błyskać
I lać krwią ...

PLUTON.

Ja, ogniowa
Potęga i Pan czarnych
I Bóg elementarnych,
Muszę się trzymać prawa.
Kto adwokatem stawa
Od stron?

SAMUEL.

Za mnie mój łeb...

PLUTON.

Kto adwokat?

SAMUEL.

Mój szczep
Rodowy już wymarły;
Patrzcie, a ci od świata.
Pomiędzy temi karły
Gdzie znajdę adwokata,
Któryby mię ratował
W ucisku i obronił?
Sam będę instygował!
Ja, com ojczyznę włonił
I całą nosił w sobie,
Leżę w skrawionym grobie,
Żadną w narodzie wzmianką
I chwałą nie uczczony.
Leżę w grobie czerwony,
Ścięty gdzieś pod Lubranką,
Pod bramami Krakowa.
A oto moja głowa,
Jak świadek oczywisty,
Która przez potok krwisty
Oświadcza... Kto zaprzeczy?
Dawniej w Polszcze bywało,
Kiedy król zabezpieczy
Jakie szlachcica ciało —
Ciało, bo duch człowieczy
Do króla nie należy —
To człek uczciwy leży
W łóżku swoim spokojnie.
Jeśli umrze, to śmierć sroga
Przychodzi mu od Boga,
Albo-li też na wojnie
W ogniu szabel mu błyska,
Lecz kat — jeszcze mi drży ciało —
Lecz kat... co za gardziel ściska
I w budowę doskonałą,

Która jest Chrystusa wzorem,
Jak rzeźnik, wali toporem,
I rujnuje razem sławę!...
Lecz kat, co w ręce plugawe
I upiorne bierze człowieka,
Wyjmuje topór i czeka,
Aż człowiek skończy pacierze...
Bo jeśli w Polsce kanclerze
Byli katami, to kaci
Serce Chrystusowych braci
Mieli dla ludzi ścinanych.
Bo i ten jeden z wybranych
I spity winem Cherezu,
Człek jakiś — powiem — litośny,
Czekał, aż wyrzeknę: „Jezu!"
A gdy, ukrzywdzeniem głośny,
Klęcząc na drżącym kolanie
Zawołałem: „Jezu, Panie!"
To zamiast ciąć, nieprzytomny,
Już prawie stojąc z zamachem,
Zdjęty Jezusowym strachem,
Miecz swój porzucił ogromny
I uciekł, jak od barana,
Nie śmiejąc dorżnąć ofiary.
Więc sługa tego szatana,
Jakiś jego lokaj szary,
Co w łaskę Boga nie wierzył,
Mieczem mię srogim uderzył
Po mojej czerwonej dołmie[1] —
I nadciął, a potem ściął mię.
Więc oto cała straszliwość
Jest mego zgonu i męki.
Gdzież Pan Bóg i sprawiedliwość?
Bo, jeśli ja z jego ręki
Poniosłem śmierć sprawiedliwą,
To niech mi ojczyznę żywą
Pokaże! Niech ją obudzi!
Niech mi ją z serca wyrzuci —
Niech odda — to się pocieszę,
Albo niech mi życie wróci,
Odda tamten wiek i ludzi
I głowę moją, to wskrzeszę,
Choćby jej nie było u Boga!

KANCLERZ.

Mości panowie, to jest badzo sroga
Suplika dla mnie! Kto mię tu oskarża?

[1] Dołma, dołman = płaszcz.

Jakiś buntownik, któremu łeb zdjęto!
A to was wszystkich, jak widzę, przeraża
I czyni bladych. — Więc zaduszne święto
Będą triumfem mieli wichrzyciele?
W domu mię porwał...

SAMUEL.

Ale w cudzym ciele,[1]
Jako złodzieja.

KANCLERZ.

W najwyższym ma ziemi.
Więc przyszedł do mnie z ogniami złotemi,
Przeraził strachem, strzaskał krzyż w kaplicy,
Buchnął płomieniem, porwał w błyskawicy
I tu postawił. Skarży! O co skarży?
Wszak byłem wtenczas, jak bocian na straży,
W moim narodzie pierwszy, czujny, groźny,
Kanclerz pokoju, a hetman oboźny,
Stróż krwi i prawa. Niechby się mogiła,
W polu ze szwedzkich kości usypana,
Tu na mnie usty setnemi skarżyła,
Że z mego pola i z mojego dzbana
Tę śmierć karmiłem, która, na mym żołdzie
Żyjąc, broniła państwa swoją kosą!
Więc niechaj wszystkie tu sztandary zniosą,
Które ojczyzna ma odemnie w hołdzie,
A przed człowiekiem, co łeb krwawy niesie,
Pójdę i skryję się, jak w czarnym lesie,
W tym lesie chwały! A to jest męczarnią
Niezasłużoną, że mię z tą latarnią
Ten szlachcic goni. Wszakżem go ostrzegał,
Ale mi, jak kot, wszędy skakał w oczy —
Ani mi ten łeb, co się teraz broczy
I już się karku tłustego nie trzyma,
Ciągle, jak słońce, stawiał przed oczyma
I piekł mię jakąś zaporoską sławą...
Więc raz mi zabiegł, w ulicę, jaskrawą,
Ogniem, a pełną krakowskich rzeźników...
Proszę was, jeśli który z nieboszczyków
Był tam, niech świadczy. Drogę mi zajechał.
Proszę go giestem: „Zjedź!“ A on do góry
Laską, na której djabeł się uśmiechał,
Wielki łeb, koral ognistej purpury,
Jakoby socjusz drugi tego śmiałka,
Podniósł — i, o, tak, w płomieniach, ta gałka

1 Księcia

Na lasce, jakby na wielkiej łodydze,
Chwiejąc się, drwiła ze mne, że ją widzę
Po wiekach męki, czoło przed mem czołem!
Więc go kazałem w domu wziąć i ściąłem
Na wieki wieków.

BUKARY.

Dreszcz poszedł przez duchy...

SAMUEL.

Czy Pan Bóg będzie na me skargi głuchy?
Księdzaś mi nawet nie dał!

KANCLERZ.

Był posłany.

SAMUEL.

Przyprowadzono mi, patrzę — on pjany,
Z nóg się zatacza i oczami wodzi.
Rzekłem: „Mój ojcze, mnie o wszystko chodzi,
A tobie, widzę, co innego w głowie.
Idźże i wyśpij się.“ Niech ten ksiądz powie,
Jeżeli tu jest. Mnie tam szło o wszystko,
A on był pjany.

KANCLERZ.

Nad tym księdzem chłystką
Był biskup. — A ja wszakżem się ukorzył
I, gdy ty już szedł do strasznego celu,
Wołałem z bramy: „Odpuść, Samuelu!“
A tyś — tak — ręce do pacierzy złożył
I rzekł ponurym głosem: „Nie odpuszczę!“
A więc, nie dbając o katowskie tłuszcze,
Prawie otarłszy o katowskie sługi,
Prosiłem: „Odpuść!“ A ty mi raz drugi
Rzekłeś ponuro, twardo: „Nie odpuszczę!“
Więc biegłem jeszcze: „Na krew, która pluszcze
Z boku Chrystusa, odpuść!“ A ty głośno
Rzekłeś: „Odpuszczam, ale przed miłośną
Sprawiedliwością bożą dojdę prawa“.

SAMUEL.

I oto, widzisz, jest przed Bogiem sprawa —
I oto, widzisz... bo nie o mnie chodzi,
Ale o tę myśl, co narody rodzi,
A była we mnie twoim mieczem ścięta.

Więc oto moje biedne niemowlęta,
Dzieciątka moje, ty ohydny kacie,
Gdy postawiono przy trumnie w senacie,
W koszulki czarne ubrane od matki,
Gdy jęły płakać w senacie te dziatki,
To tam zadrżała wtenczas izba cała.
Bo w moich dziatkach moja krew płakała,
Bo serca mego wrzask niedomówiony,
Ostatnie jakieś mojej myśli słowo,
Coś, co tu było, jak piorun czerwony,
Coś tu... ja nie wiem... ot, cisnę tą głową!
Ja byłem cały sercem!...

BUKARY.

Duchy klaszczą.

KANCLERZ.

Za adwokata cię sobie przywłaszczą
Wszyscy pośmiertni — ale za żywota
Kto mi u prawa sąd o to wytoczył,
Że ciebie ściąłem? Wszakże gdzieś mówiono,
Że ktoś tam w twojej krwi chustę umoczył
I z tą kurzącą się płachtą czerwoną
Poprzysiągł zemstę, jak ciemny archanioł.
A czemu, powiedz, ten człowiek nie stanął
I nie pokazał się z tą chustą krwawą?
A czemu on to twarde moje prawo
Tak ucałował, jak krzyż Zbawiciela?
Bo we mnie był duch, co części wydziela,
Granice kreśli, ledwo Chrystusowi
Ugięty, prawa narodu stanowi
I ma moc z Boga!

BUKARY.

Sprawa poszła wyżej —
I schodzi kilka gwiaździc złotych krzyży,
I chmura srebrna cudownej świętości.

GŁOS.

Któż z was miał, duchy, najwięcej miłości?

SAMUEL.

Panie! Przez miłość ten świat cały stworzon,
Lecz ja przez język jestem upokorzon.

GŁOS.

Jeżeli pełne miłości masz usta,
To się twej sprawy kto podejmie boży.

SAMUEL.

Panie! Ten człowiek, u którego chusta
Krwawa, jeżeli ją przed tobą złoży,
Krew mówić będzie, podobna kolumnie
Krwi sprawiedliwej...

BUKARY.

Ta chusta jest u mnie.

SAMUEL.

Hic advocatus cordis mei!... Hic est!

BUKARY.

Panie! Oto jedyny manifest
I rzecz za czasu swego dobrze znana.
Lecz teraz ją tu kładę pod kolana,
Prosząc o wolny głos za mym narodem,
Który o to tu, przed niebieskim grodem,
W tych dwóch osobach stoi. Przeszły wieki
Sławy, a on już w grobowcu, o Panie,
Jako głos harfy wygląda daleki
I dawne, proste pastuszków śpiewanie
Kolędujących, w świecie już nieważne.
Dajże mu siłę i głosy poważne,
Adwokatowi już nie szczęścia, sławy,
Ale oto tej wielkiej, bożej, sprawy,
Która musi być wygraną w niebiosach,
Nim ją anieli na tęczowych rosach
Zniosą na ziemię, czem piekło zatrwożą
I serca w ludzi gorejące włożą! —
Quis advocatus est? Człowiek, nikczemnie
Przed tobą, Panie, chylący to ciało;
Lecz jeśli cierpiał kto więcej odemnie,
Jeśli kto twardszą był na piorun skałą,
Jeśli w kim serce wzgardą głośniej grzmiało
Na fałsz, co fałsze tu szatańskie wspierał,
Jeśli kto większe łzy w źrenicach zbierał
Nad nędzą wielkich we wnętrznościach powiek,
Jeśli jest taki tutaj duch i człowiek,
A jeśli nędze go ojczyzny ruszą,
Niech stanie! Głos mu oddam, choćby z duszą.

CHÓR WIELKICH.

Słyszysz? Trąbami grzmią całe niebiosa
I grzmi oklaskiem ogniste scenarjum.

CHÓR MAŁYCH.

A bąk adwokat gdzieś uciera nosa
I liczy, jakie dostanie salarjum.

CHÓR ANIOŁÓW.

Sprawa wychodzi, jak jutrzenka ranna
Z obłoków pańskich. Hosanna, hosanna!
Słuchajcie! Sprawa u Pańskich podwoi,
Przed sądem Boga w adwokacie stoi.

JA.

Trąby od Twego grzmiące majestatu,
Słońca, co u stóp przelęknione gorą,
Przypominają mi, Panie, quo foro
Sprawa się toczy; że to już nie światu,
Ale aniołom opisać należy,
Przez jakie drogi ta rzecz prawna bieży,
Ile już razy rozsądzona była,
Gdzie, jakie czoło, lub jaka mogiła
Leży zapadłym już na niej wyrokiem.
Muszę iść za tą sprawą krok za krokiem,
Wszędzie jej dotrzeć, iść nakształt widziadła
Chwytać ją duchem tam, gdzie jest bez ciała,
Cierpieć na miejscach, gdzie ona upadła,
A triumfować, gdzie triumfowała,
Być bratem wszelkiej duchowej krainie,
A prawie ginąć tam, gdzie ona ginie.
Ale nie ginie ona. Si ab ovo
Pozwolisz, Panie, wywieść ród ubogi,
Ecce, od wieków w Bogu było słowo,
A myśmy w słowie byli, jako Bogi,
A przez nas forma jest.
Więc, oto, zda się,
Że ta daleka rzecz stosunku nie ma
Z tym oto, który tu w białym atłasie,
Z wytrzeszczonemi, jak upiór, oczyma,
Z głową uciętą stoi i dochodzi
Sprawiedliwości po trzechsetnym roku
Swego grobowca... Zda się, że w obłoku
Ten upior krwawy do Charona łodzi
Wsiadł, gdy mu świat się błękitny uśmiechał,
Jęknął i we mgły ogniste pojechał,
Odchodząc z ludzi smętnych trybunału —

A sprawa o to, że się jego ciału
Niesprawiedliwość stała, tu się wlecze
I cała kątem się podpiera!
Przeczę,
A to na prawdy wywiodę zwierciadło,
Że nie o głowę — bo sto głów upadło
Niesprawiedliwiej — nie o jego łono,
Bo mnie na świecie gorzej gdzieś raniono
W serce, a przecież nie dochodzę sprawy —
Że nie o jego ród — bo większej sławy
Jest oskarżony, niźli oskarżyciel:
O cóż więc stoję tu ja, jego mściciel,
A pan mściwości mej miłośnie słucha?
O cóż ja stoję tu? O jego ducha
Stoję, przez który duch szła Polska w górę!
A to niejako przez formy strukturę
Mądrą na wielkim świecie stać się miało,
Że nowa forma boska nowe ciało
Narodu stworzyć musiała na ziemi;
Lecz duch, lecący pióry anielskiemi
Z pod formy, co go zaczynała cisnąć,
Lecąc do Boga, formą miał wytrysnąć
Nową, jak złoty kwiat na grobowisku,
Formą piękniejszą tem, że z pod ucisku
Wstać i z serc samych wielką mocą wziętą
Rosnąć już, gwiazdą zaczynała świętą
Błyszczeć na ziemi...
Jak w noc jaką chłodną,
Gwiazda, co twarzą wychodzi pogodną
Świecić, tak była oczom moim miła!...

CHORUS.

Cyt, cyt! Słuchajcie!

CHORUS.

Upadł... Ta mogiła
Cięży mu zawsze, na duchu upada.

ADWOKAT.

Od czasu, jak duch na ziemi zakłada
Różne królestwa formy, mocarz stary,
Nowe i nowe składając ofiary,
A biorąc więcej, niż odda w ofierze —
(Bo wiecie, że duch zawsze więcej bierze,
Niż złoży, a, gdy bardzo się zbogaci,
Chcąc trzymać, co ma, nieraz wszystko traci
I znów, strącony niżej, w górę dybie...)

Od czasu, jak się w diamentu szybie
Pierwszy tęczowy anioł na śmierć zgodził,
A Stwórca go sam podług jego woli
Z niemrącej wyrwał bryły i urodził
Pierwszym robakiem... Notuję atoli,
Że Stwórca, jako ojciec, co dogadza
Dziecku, gdy, głupie, chce strzały lub łuka,
On niewidomie dzieciątko oszuka
I na końce strzał łakocie powsadza
Zamiast żelaza. Podobnie Jehowa
Zadrwił podobno coś z naszego słowa,
Kiedy w ślimaczku małym chciało krzyża;
Bo zamiast śmierci...

GŁOS.

Stój! Ta rzecz przybliża
Królestwo Boże, mówić jej nie wolno!

ADWOKAT.

Więc patrzcie — oto, oto różę polną
Wnoszą mi tutaj srebrne Amfitryty.
Ten cudny pierwszy kształt zabity,
Mający gwiazdę żywota w warkoczu,
Będzie wymową — dicitur — do oczu,
Zastępującą rzeczy ominięte,
Które ominąć muszę, jako święte
I położone na ustach Jehowy
Pod zagrożenia palcem.

GŁOS.

Więc bądź nowy,
Lecz nie bądź wczesnym kamieniem zgorszenia.

ADWOKAT.

Więc dobrze, niech pod palcem zagrożenia
Będą te rzeczy! Niech się duchy rodzą
I same prawdy przedwiecznej dochodzą!
Niechaj czytają sami w kształtów księdze!
Na świecie będąc, wężami popędzę
Tę smętną ducha leniwą naturę,
Która opiera się idącym w górę
I wieczny opór z dawnej formy stawi.
Na świecie mój trup, pod strażą żórawi
I krzyżów w stepach z braterstwem się szargać,
Za wszystkie serca nieboląco targać,
Próbować, które mi do tonu jękną
I stroić wyżej i wyżej... aż pękną,

Jeśli gliniane.
Więc dobrze. To, Panie,
Ta sprawa, gdy me ciało zmartwychwstanie
Na świecie, z ciałem moim się podniesie.
To dobrze. W jakim ciemnym, pustym lesie,
Gdzieś na mogile, gdzieś w blasku księżyca,
Odrazu, jak duch, jako błyskawica
Przenikającą świat, zdziwiony mrowiem
Stanę i głosu dobędę i powiem
Ostatnie słowo. — Tu wrócę, do prawa.
Panie! Ty duchem wiesz, że Pańska sprawa
Jest sprawą ducha, który się wielmoży
Tobą i coraz nowe kształty tworzy
I w tych się kształtach znów wyżej podnosi,
A, będąc pierwszym, znów o nowe prosi,
A swoje duchom leniwszym zostawia.
Więc, kto chorągiew ducha wyżej stawia
I przedstworzoną objaśnia ciemnicę,
Kto stawia — mówię — nową ducha świecę,
Do której lud ćmy powoli dochodzi,
Ten — mówię — jakby nową gwiazdę rodzi,
Do której wszyscy my powoli dążym —
I może nazwać się boskim chorążym,
Jeśli na drodze boskiej znalazł drogę.
Więc przed Chrystusem — a oto wam mogę
Dowieść: Tych duchów, srebrnych girlandami,
Kiedyś my byli stworzyciele sami,
Nowych gwiazd! Chociaż, przez ziemi pochyłość
I ciężar duchów, w dół leciała fala,
To, oto, patrzaj! Ten duch stworzył miłość
Ojczyzny, a ten, co mię słucha zdala
I w ręku dla mnie czarę cykut trzyma,
Ten, w niebo gdzieś tam spojrzawszy oczyma,
Nieśmiertelności dojrzał i tu zjawił.
Panie, Tyś krzyż Twój cierpiący postawił —
Ten krzyż, nad którym gwiazdy same zbladły —
Na głowach, które dla ojczyzny spadły,
Na sercach, które były twoją skałą,
Bo ukochały coś więcej, niż ciało,
I nie ulękły się wiecznej mogiły,
Więc pod Twym krzyżem leżeć godne były
Jego podporą, jako pierwsza cnota.
A jeśli nie tak, to czemuż Golgota,
Czemu nie Alpy znaczył ci Jehowah,
Czemu ci kazał stać na trupich głowach?
Powiedz, jeżeli mówić się nie boisz!
A czemu teraz krzyżem w Polsce stoisz,
Naszych ubogich chateczek ozdobą?

Bo ta góra głów trupich poszła z tobą
Lejąca z oczu serdecznemi łzami
I krzyż musiał iść za trupów głowami
I stanąć u nas, jak chorągiew Boga.
Primo: Probandum est, że ducha droga
Przez Polskę idzie, za nią ginąć każe.
A to finalnym tu celem wykażę,
Choć mam pisane na to dokumenta.
Secundo: Dowieść muszę, że ta święta
Sprawa w skrażącym była żywą, czerstwą,
Młodą — a na niej spełniono morderstwo.
Do którego się defendent przyznawa.
Tertio: Dowiodę, że odtąd ta sprawa —
Przez odebranie tu duchowi ciała
I przez wzrost tamtych — we krwi zatrzymała,
A stąd ponosi swoje wielkie szkody
Sam Bóg. A na to pokażę dowody
Staraszne, przez żaden sąd nieodepchnięte —
Ciała szlachetne, a z szubienic zdjęte,
Duchy szlachetne, a skalane błotem,
Krzyż naszej męki, grożący wywrotem
Nawet aniołom...

GŁOS.

Gwiazdy klaszczą złote...

ADWOKAT.

Kto nieśmiertelną ma w sobie istotę,
Czuje, widzący ten świat we starej korze,
Że coś większego ze świata być może,
Gdy się urodzi w nowość z ducha cudów,
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów,
Które za jadłem ciągle łażą chciwe;
A te są głupie, a te niegodziwe,
A te są dalej, a te bliżej krzyża,
Tam się podnosi duch, a tam się zniża.
A tam pod formą, jako anioł ciemny,
Pod twardą formą ciągle grzmi podziemny,
A tam zaledwo taka mała dusza,
Że formą rządu gdzieś cokolwiek rusza,
Jak kret podziemny.
Ergo dwie przyczyny:
Wstrzymanie ducha jest — i podłość gliny,
Która uciska formę. Gdzież zbawienie?
Od klęczącego tu biorę anioła
Księgę i oto cudowne widzenie,
Które jest niby kopułą kościoła
I celem wszystkich dalszych ducha kroków

Stoi wyraźnie: „I schodzi z obłoków
Miasto, żyjące pod boskiemi berły,
A bramy wszystkie stoją z jednej perły;
Pełno jest ulic złotem brukowanych,
A w fundamentach są drogie kamienie,
A miastu świecą tylko dusz płomienie.
A w tym się mieście i krew pościnanych
Znachodzi wszelka i wszelkie sumienie
Duchów słonecznych, a zamordowanych;
A, którym żadna ludzka moc nie szkodzi,
Wstaje i znowu po ulicach chodzi,
Z lekkością czyniąc sprawy Boga dzielne
I bez boleści, bo już nieśmiertelne
I duchy one są i miasto duchów.“ —

Kładzie księgi.

A więc słuchajcie! Gdzieś, nakształt łańcuchów
Żórawi, albo tęcz trwających wiecznie,
Ukazał się gród, cicho i słonecznie
Trwający w niebie, bez miejsca i czasu.
A raz w te jasne, szkliste djamenty
Włożył swe oczy orle sam Jan święty,
A raz w te jasne, szkliste diamenty
Widzieli mury i perłową bramę:
A zawsze miasto stoi takie same
I światło rzuca na pastuszków twarze.
Czasem lat tysiąc przetrwa poza mgłami
I znowu ze mgły cicho się pokaże,
Tęczą podparte, albo piorunami,
Albo się w słońca opromieni ramę —
A zawsze — mówię — miasto takie same
Jak przed wiekami.
Cóż jest ów gród? — Mara,
Panie? Oto ty, jako na Ikara,
Podniosłeś na mnie twój krzyż z diamentów.
Czy myślisz, że mi braknie dokumentów
Na intromisją do takiego grodu,
Jeśli spokojną? A jeśli na czele
Chcę wjechać z mieczem mojego narodu
I z sztandarami następować śmiele,
Szablami rąbiąc owe perły święte,
Myślisz, że świętych zabraknie mi szabel?
A jeśli zechcę i sam — bez karabel,
Tylko przez pieśni ogromne, natchnięte
Pioruny, co mi kruszą całą duszę, —
Kruszyć te bramy, myślisz, że nie skruszę?
A jeśli do tych bram pozamykanych
Płynie się łodzią po krwi pościnanych

I z wielkim żaglem się owartym wchodzi,
Myślisz, że braknie mi krwi, albo łodzi?
A jeśli piorun mię w bramie uderzy,
Myślisz, że po mnie zabraknie pacierzy
I łez? Nie będzie klątew?

CHORUS KOBIET.

O! Nie będzie!...

ADWOKAT.

Cicho, wy, białe, płaczące łabędzie,
Z pożałowaniem! A wiecie wy, o co
Sprawa się toczy i serca druzgocą
I włos siwieje na głowach
I żywot oto ulatuje w słowach,
Jako rzecz marna?... a one nie klaszczą
Panie... ci którzy za formą przywłaszczą,
To miasto święte i swemu duchowi
Pokażą, że tam sztandar zastanowi
I nad murami go zatknie złotemi,
A jednak — jeszcze będzie stał na ziemi,
Z gromadką pańskiej owczarnej czeladzi,
A niebo duchem na ziemię sprowadzi
Ten lud, obaczy zaraz cały przedział,
Cały gościniec od złotego grodu,
I wnet o wszystkich formach będzie wiedział,
Które tam wiodą...
Z ludzkiego narodu

Ty jeden dotąd tam w perłowej bramie
Straszny, krzyżowy, pośledni Adamie
Pierwszy nie w duszę stworzon ożywioną,
Ale w boleśną i ożywiającą
Już stoisz... wszystkie twoje rany płoną,
Wszystkie pochodnią zdają się błyszczącą,
I na perlicy krwawą ciernia plamą,
Co mówię, tyś jest krwawą — perłą, bramą.
Dziwnym, cierniowym krzakiem i kagańcem,
Jedynym grodu pustego mieszkańcem,
Sam dotąd królem i obywatelem,
A nam... dla duchów podniesionych celem
Abyśmy doszli, po wężach i skałach,
I ogniach ziemi — jak ty będąc w ciałach
Więc patrz, idziemy — lecz wprzód dowieść muszę,
Że ta pochodnia i tęczowa karta
Musi być przez nas niebiosom wydarta.
A nie przez cud tu zlaną być na duszę,
Że nam pomyśleć o tym diamencie

Trzeba, a nie zaś czekać go od Boga,
Bo na prawach ciał stoi nasza noga
A było głośne Jechowy zaklęcie,
Który się zaklął na tęcze i siebie,
Że nie pozwoli sobie nawet w niebie
Poruszyć trupa... Bo cóżby to było,
Gdyby on ciągle ruszał tą mogiłą,
Nie zapytawszy nas o czas i wolę.
Gdybym ja oto kamień chwycił w dłonie,
A kamień oto wziął skrzydła sokole,
I gdzieś roztrzaskał mego brata skronie
I oblał mię jego mózgiem i oczyma,
A na mnie sąd był jako na Kaima
Przed ludzkiem prawem — i przed Bożym sądem...
Nie, prawo stoi pod naszym zarządem,
Pókiśmy mali, to jest naszym panem
Lecz gdyśmy silni, to nam pod kolanem.
Jak wywrócony anioł ognia leży
Więc jeśli cud jest, to do nas należy,
Byleśmy z łona Boga wzięli ducha,
Więc nas to miasto błękitne posłucha,
Gdy zawołamy, gdy wszyscy gromadnie
Opłomienimy ten świat ducha żądzą
A trupom, z niebios że żyją, nie spadnie.
Jeżeli błądzę, niech mnie duchy sądzą
Co? jabym kiedyś duchem nie miał siły,
Wydobyć jęku z pod zdrajcy mogiły?
Duchem w grobowcu mu potargawszy trzewa,
Albo mu w sadzie jego przekląć drzewa,
I widzieć, że żyw duch całego sadu
Trzyma się jako wąż mojego śladu,
I przestraszony z ogrodu ucieka,
I oto trupy drzew... u tego człeka
Trupy drzew, moją porobione mocą,
W okna, strasznemi liściami łopocą,
Gorszym go niż śmierć napełniając strachem.
Więc jabym nie miał mocy zatrząść dachem,
Kolumny jakiej zamyślonej czołem,
Wiosczyną, miastem, zamkami, kościołem,
Gwiazdami — słońca wschodem i zachodem,
Ja sam... A jabym ci nie miał z narodem
Tych praw natury, jeśli chcę zawieszać,
Ludu mojego ogniem, ścinać, wskrzeszać
Rozbijać wszystkie duch dzielące szyby,
Serca rozmnażać jak ty Panie ryby,
A zaś uciszać je gdy są w zapale
Tak, jak Ty, Panie, uciszałeś fale
Gdy ofuknąłeś się na wiatr... i burze

Co ja, w miljon serc rosnąc nie powtórzę...
Twojego życia i twojego cudu.
Ja... ja — na strasznych skrzydłach mego ludu
Jak orzeł z Karpat zlatujący brusów
Ja... w sto tysięcy — w miljon Chrystusów
Nie miałbym zostać takim zbawicielem
Więc cóż jest ducha ostatecznym celem?
Za co my bierzem męki, zaco rany,
Czemu ten złotem, a ten krwią zbryzgany,
A tego krwawca anieli się boją.
Więc nad duchem który legł pod Troją,
Jerozolimskie nic nie mają wzrostem
A te nie sąż nam podstawą i mostem
Do spokojności większej — wobec zgonu?
Więc musi jakiś być kraj, gdzie się schodzą
Duchy już godne najwyższego tronu.
Które swój żywot jako harfę godzą
Nie żadną ciała kruszonego troską
Ale z harmonją — nieśmiertelną, Boską
Nie z celem ziemi już... lecz z celem światów,
Jeśli ja nędzny i bez antenatów
Zyskałem, żem tu zrobił wielką ciszę,
I mój mówiący głos jedynie słyszę,
Nie przerywany tu żadnym szelestem,
To mi ty powiedz Boże skąd ja jestem,
I skąd mi w słowach tyle serc i krzyków.
Jeśli nie z ludu — i nie z męczenników,
Jeśli nie z Rzymian, jeżeli nie z Greków,
Jeśli nie z całych ja umarłych wieków
Jestem wyrwany? to skąd...

ADWOKAT.

Panie, oto więc pokazałem w górze
Ten ostateczny wschód, ostatni z wschodów.
Więc to nietylko cel złoty narodów,
Ale i duchów jest to cel konieczny,
Jakiś ostatni, wielki i słoneczny,
Atmosferyczny, mgłom rzucony na tło.
Co? Może większe, niż słoneczne, światło,
Pełne pierwiastków, jako duch nasz, wiecznych,
Na ziemię w czarach zniesione serdecznych
I z serc wylane naszej atmosferze!
Może ta miłość, z której dziś duch bierze
Twórczość i ogień i moc swą i dzielność,
Zmieniona w jakąś światłą nieśmiertelność,
Już jako dzień tu nieskończony, wielka,
Nowa nam matka-opromienicielka
Ciał nieśmiertelnych, nowe światło dzienne!

Więc jeśli nie tak, to co te promienne
Białe postacie pod szmaragdów drzewy?
Co są te ciągłe, te nabożne śpiewy,
Które tam słychać, niby śpiewy z raju,
Gdy wiatr powieje od tamtego kraju,
A my gotowi chwytać dźwięk harfiany?
Co jest ta jabłoń lecząca pogany,
A czyje to są te pogańskie dzieci,
Którym ogromna ta stolica świeci,
Jak słońce boże, a ma blask człowieczy,
Które z ran wszystkich owa jabłoń leczy,
Podobna wiedzy i miłości drzewu?
A oni w lasach gdzieś słuchają śpiewu
Wielkiego miasta, wszędy dostrzeleni
Brylantowemi strzałami promieni,
A które ścierwo i krew zwierząt żywi?
Ja sądzę, Panie, że to są leniwi,
Że to są męty ducha, czerń zepsuta,
Gromada, do form dzisiejszych przykuta,
Co ze krwi żyje, a z łez ludu czerpie,
A oto cierpi w ciałach, — o, tak, jak ja cierpię,
Żem jest człowiekiem.

GŁOS.

A one w klask.

ADWOKAT.

Panie!
Jeśli kto pierwszy u wrót miasta stanie
I w bramę z perły ogromną zastuka —
To oto człowiek ten, zda się, przez kruka
Zdziobany, oto ten kawałek ciała,
Oto ten ułan o krwawych wyłogach.
Krew jego poszła tam na własnych nogach
I już stanęła i już zaśpiewała,
I już zmartwychwstał, już śpiewał ten święty!
Kto słyszał? Ja sam. Kto drugi? Jan święty.
Jeśli dowodów trzeba, dajcie księgi.

Bierze księgi i czyta.

„I ukazał się znak wielki na niebie. Niewiasta obleczona w słońce, a księżyc pod jej nogami, a na głowie jej korona z gwiazd dwunastu".

Azaż nie Polska to, już bez potęgi.
Taka, jaką jest w gwiazd wiecznych łańcuchu,
Która świętemu się Janowi w duchu
Ukazywała przez jutrzni rubiny?
Więc przed wiekami jej największe czyny:
Wstrzymanie słońca, zgniecenie księżyca,

Pokazywała jakaś błyskawica.
Jakże to dawno! Myśl spojrzeć się boi,
W ciemność tych czasów, gdy się to zjawiło.
Więc-że w tym piśmie też wyraźnie stoi,
Że krew, będąca pod świętych mogiłą,
Krew pościnanych, w mieście się obudzi!
Jan święty widział w tej niewieście ludzi
Tej samej wielkiej, co ona, pieczęci
I widział także to, że byli ścięci.
Za co? Że z ducha szli jasnej kobiety
Przeciw smokowi. Cóż jest smok? Prawidło.
A oto człowiek ten został zabity!
Za to ucięto jemu srebrne skrzydło,
Za to ucięto mu, orłowi, głowę,
Że w nim leżało wszelkie prawo nowe,
Prawo, co wolność ducha zabezpiecza!
A przy tym drugim było prawo miecza,
Więc go ściął, a ten dziś z ducha się rodzi
I prawa swego wiecznego dochodzi
Jako duch wolny w Bogu, a nie lennik,
Jako duch wolny, straszny i męczennik —
Przed trybunałem.
Patrzcie, o to klęczy
I ręce do was wyciąga i oczy,
Ale on gadać nie może, on jęczy,
Płakać nie może, a jednak się broczy!
Chwila, a gadał tą krtanią uciętą;
Teraz przypomniał o to, co mu wzięto,
Co stracił, leżąc w niepłakanym grobie,
I już nie może uspokoić w sobie
Łez i tu dysze przez krwawioną bliznę.
Co wzięto? — Wy mnie pytacie? — Ojczyznę!
On ją miał w sercu!

SAMUEL.

Tu . . .

ADWOKAT.

Tak, mój krwawniku,
Tu, tu, ją miałeś, tutaj, pełno było
Wielkiego bardzo na nieprawość krzyku,
Tu wielki ducha bój z cielesną siłą
Odprostowanym wstawał archaniołem,
Tu myśl, już żadnym nie objęta kołem,
Tu każda piękność, dziś na ziemi znana,
Odśniła znowu, napół zapomniana,
Ale ci swoje kwiaty dać gotowa,
Kiedy do serca skarbu pójdzie głowa,

Chcąc ognia od tej niezgasłej latarni.
Ja wiem, co było w tej krwawej spiżarni,
Co w niej przez wieki gwiazd i tonów weszło!
Nie gadaj o tem, duchu, — to już przeszło,
Jesteśmy nowi.
Już z tego kontusza
Nic, ani z tego, ot, widzisz, dołmana;
Chyba im powiem, że ta oto rana,
Przez którą się wyjść gotowała dusza,
To szwedzkiej jakiejś czarnej szabli dziura.
A oto, patrz, na dołmanie pióra —
Patrz, ta pióreczek przylepionych para,
Rzekłbyś — z piór wnoszą czasami sąsiedzi —
Że są od strzały czarnego tatara,
Której ci ostrze dotąd w kościach siedzi.
Co? Może powiesz, że to listki puchu
Z pierzyny, którą ty sobie, leniuchu,
Posłałeś w trumnie?

SAMUEL.

Cztery deski gołe!...

ADWOKAT.

Wiem, mój sokole, wiem, cztery tarcice —
A ty, ptak, głowę włożywszy pod połę,
Skąsałeś szabli żelazną głowicę,
Zjadłeś turkusy i złociste gały,
Aż ci nareszcie zęby popróchniały
I kolor głowy twej się odczerwienił!
Jaki ty blady, jak się ty odmienił!
Patrzcie na niego, nieśmiertelne duchy,
Jaki on teraz wynędzniały, suchy!
Czy jest kto z dawnych tu jego husarzy?
Niechaj mi powie, czy z tej trupiej twarzy,
Z tej schorowanej męką twarzy jego
Poznałby, gdyby obaczył żywego
Na czele hufców, pod chorągwią złotą?
Boże! Co robi z nas grób, gdy z tęsknotą
Czas się połączy, a godziny wiodą
Nad grobem taniec, nie przynosząc zmiany!...
Ten człowiek słynął za życia urodą,
Był najpiękniejszy pomiędzy hetmany,
Twarz miał, co gromem powagi uderza,
Źrenica czarna, a, jak słońce, złota...
Jam go nie widział, nie znał za żywota,
Ale spytajcie wielkiego kanclerza,
Który tu stoi, lub inne panięta!
Lecz kanclerz — kanclerz najlepiej pamięta.

Bo żył z nim, razem urósł na rycerza,
Razem przez całe poszedł kawalerstwo;
Potem rozeszli się — ów na kanclerstwo,
A ów do trumny... Spytajcie kanclerza!
Jeśli potrzebne tu żywota śledztwo.
On da najlepsze o żywym świadectwo.
Ja stoję, jako świadek pogrobowy,
Nic nie wiem, głosu publicznego bronię.
Gdym go zobaczył, to już był w koronie
Męczeńskiej, już był krótszy, już bez głowy.
Chciałem go jednak oglądać po zgonie.
Zwłaszcza, że jakaś trapiła mię zmora.
Lud szeptał głucho: „Ścięto senatora
I na przedmieściu trup leży czerwony".
Wyszedłem — słyszę jakieś głuche dzwony,
Widzę lud w kupach u Wisły zarzecza.
Słucham — ci szepcą: „Kat uciekł od miecza"...
A ci: „Kazano głowę uciąć katu!"
A ci, że niosą trumnę do senatu,
A trumna krwawą zdaje się potworą,
A za nią idzie małych dziatek czworo,
W koszulkach czarnych; dziatki jeszcze drobne,
Mówią, a mówią, do ojca podobne —
I nauczone rozpłakać się w izbie.
Wszystko fałsz! Trumnę znalazłem na przyzbie
Jednego domu — w czarnej stała sionce.
Myślałem, że się przez tłum nie przetrącę.
Mając myśl w trumnie umoczyć tą chustą;
Nieprawda! Przy tej trumnie było pusto,
Tak wszystkich zlękła ta śmierć kanclerzyna!
Oprócz sług kilku i małego gmina
Nie przyszedł tam nikt zawrzeć jemu powiek.
A miał przyjaciół za życia ten człowiek,
Wielu przyjaciół, więcej, niźli Krezus!
Widząc się prawie sam, podniosłem wieka,
Myśląc, że ujrzę ściętego człowieka,
Myśląc — w insygniach ujrzę senatora...
Patrzę, przedemną leży, jak Pan Jezus...
Zda się, że śpiąca woskowa pokora
I jakiś człowiek wielki, ale cichy.
Oczy nabrzmiały, niby łez kielichy,
Cokolwiek sine były, lecz zamknięte.
Powietrze było przy nim całe święte
I mgła, coś niby duchowa, niebieska,
Czerwoność tylko dołmana królewska
I trochę łzawej krwi pociekło w trumnie...
Ecce! Ta jego krew jest teraz u mnie.
Hoc signum!

CHÓR.

Naprzód z chorągwią!

ADWOKAT.

To jeszcze
Małe są rzeczy, to was krew ruszyła;
Tę krew już dawno gdzieś ziemia wypiła,
Grobowiec dawno już chwastem szeleszcze.
Lecz oto ten duch miał źrenice wieszcze!
Amfitryty go wodziły po morzach
I na różanych mu przyszłości zorzach
Pokazywały koralowe trumny.
On jednak, Cezar polski, śmiały, dumny,
Podobny dawnym rycerskim półbogom,
Przeciwko trumnom i przeciwko trwogom
Szedł naprzód, słysząc głośne bicie łona.
Nieprawdaż, krwawcze, że ci ta czerwona
Trumna zabiegła nieraz w oczach drogę
I rzekła tobie: „Stój!“ A ty: „Nie mogę“...
O tak, na sercu położywszy rękę,
Patrzajcie, o tak! — I poszedł na mękę,
Choć mógł ominąć.

SAMUEL.

Wszystko prawda święta.

ADWOKAT.

Nawet maleńkie twoje niemowlęta
Nic nie wymogły płaczem, twardy ćwieku;
Nic nie wymogły! W tym dawnym człowieku
Był jakiś dziwny duch, twardszy od kości.
Idź precz! Nie godzien ty jesteś litości!
Napróżno płaczesz tu krwawemi łzami!
Jakto? Zostawić dziatki sierotami,
Maleńkie gniazdo i pisklęta w pierzu?
Prawda? Niegodzien ten człowiek, kanclerzu,
Nazwać się ojcem! Dziatki w gnieździe gołe,
A on mieczowi nie ustąpi drogi!
Cóż? Nie mógł, widząc wszędy los złowrogi,
Dziatki te swoje zabrać w jedną połę
I dom swój cały postawić na nogi
W jakim spokojnym, pogranicznym kraju,
Gdzie głos był polski nigdy niesłyszany,
I tam swój smętny łańcuch żórawiany —
Długi, jęczący zawsze, kiedy w maju
Zbliża się pora wrotu do ojczyzny?...
W kanclerzu nawet widzę z ręką krwawą

Stojące jakieś straszne, twarde prawo;
Tam, jakieś prawo kardynalne ciała,
Prawo strasznego widzę kardynała,
Przy tym kanclerzu, co tu czoło mieni
I cały poci się — widzę w czerwieni
Prawo, przed którym wszyscy nie ucieczem.
Patrzcie, czerwony stoi prawnik z mieczem!
Więc-że mój klient, co człowiek szalony,
A sprawiedliwiej jeszcze powiem: głupi,
Nie powiem nawet, że nieostrzeżony, —
Targował tę śmierć, nie wiedząc, co kupi.
Nie powiem nawet, że, idąc jak ślepy,
Jasnemu się gwiazd przypatrując kołu,
Do czerwonego nagle wleciał dołu,
Albo szedł w gniewie, jak dzik na oszczepy;
Nie, on w młodości, a już, jak wygnaniec,
Chcąc sobie ująć godzin, co z rozpaczą
Ciągnąc się zwolna, jak żórawie, płaczą
I ulatują z łańcuchem żywota —
On — mówię — poszedł na tatarski taniec,
Myśląc, że lepsza to rzecz, niż tęsknota,
Ta gra strzał, myśli żądająca pilnej
Na przygranicy ojczystej, mogilnej,
Skąd człowiek, jako harfa, rządzi słuchem
Całej ojczyzny, często całym wiekiem, —
Skąd wraca albo ojczyzny człowiekiem,
Albo ogromnym, nieśmiertelnym duchem,
Który w ojczyźnie swojej szuka ciała,
Co podług jego własnych czynów rosło.
Więc oto człowiek ten chwycił za wiosło
I czajka mu się, jako łabędź, dała;
Ojcem go uczuł ród Kozaków stary.
I — patrzcie! — oto srebrne Eleary, [1]
Jakoby słońcem gdzieś dawnym blaszani,
Duchem przez niego popieczętowani,
Które zwał niegdyś cesarz „swoje kwiatki",
Wstanęli, myśląc, że wołam na świadki
Za mym klientem.
Niech mię Pan Bóg broni!
Świadki z szablami ognistemi w dłoni,
Świadki, co, gdyby tu, w niebiosach świętych
Stanęli przy swych hasłach okrzykniętych,
To tam najwyższe nawet złote wieńce
Duchów mogłyby zadrżeć... Precz płomieńce!
Prawda, mój duchu, nam tej krwawej czerni
Już nie potrzeba. Czernia pod kolczugą.
Aleś zesmętniał, widząc, jak ci wierni

[1] Harcownicy, później Lisowczyków zwano Elearami. *(P. W.)*

Przybiegli zaraz z mieczową usługą.
Jak oni ciebie pamiętają długo!
Jak nawet teraz buławą nie gardzą!
Cóż, mój człowieku? Cóż, smętno ci bardzo?
Duch serca niby dawną piosnkę nuci —
Rzuć! To już przeszło dawno i nie wróci
Nawet po wiekach!
Sądzie nieśmiertelny!
Otóż do tego moją rzecz prowadzę,
Że za żywota ten człowiek był dzielny,
W sercu miał ducha moc i świata władzę,
Że jemu by się ten świat, pełen złości,
Poddał jak dziecko, krzyczące z miłości.
Bo nawet o to, co miesiącem gore,
To, sławne w ludu myślach, Czorne more,
Które, tam widne, aż tu oto gwarzy —
Czarne, z miesiącem czerwonym na twarzy,
Z nim było ślubne, a przynajmniej powiem,
Że zaręczone, gdy z Kozactwa ćwietem
Morze rodowym zaślubił sygnetem,
A potem drażnił, jak hetman, ołowiem.
A na małżeństwo to kładę dowody,
Kładę kanclerza jedno ziemskie słowo,
Że mu ten pierścień krwawnikowy, z wody,
Oddany, rozbił trumnę krwawnikową.
A oto w prawach naszych jest pisana,
Że podarunków małżeńskich zamiana,
Błahych, chociażby wstążeczek i kwiatków,
W braku ważniejszych dowodów i świadków,
Chociaż o wielką idzie i posażną
Pannę — przed prawem zeznana, jest ważną.
A tu, przez wielki na świecie trafunek,
Świadczy sam koral małżeńskiego łoża,
Że podarunek był za podarunek.
Od niego sygnet, a trumna od morza.
Jeśli mi tego przeczysz, Boże, Panie,
To tu małżonki zawołam i stanie.
Co? Póki w duchu moim słów gorących!
Co? Nikt tu nie chce widzieć fal wchodzących?

CHÓR.

O żart, a cała duchów ćma wzdrygnięta!

ADWOKAT.

Nikt! A więc zejdę do mego klijenta,
Któremu oto defendent tu wsprzecza,
Że, wiedząc, winien był unikać miecza —
On zaś przeciwnie, na sen nie pamięta,

Bieży, jak ślepy, śmierci zajrzeć w oczy,
Miecz widzi i sam kark na mieczu broczy,
Sam się obrzytew wyroku podrzyna,
Jak ślepy, albo warjat, lub gadzina,
Okręcająca się o kij pastuszy.
Tu próg, tu stoi sprawa, stąd nie ruszy,
Aż się w tę straszną trumnicę z korali
Albo obrońca albo prawo zwali.
Tak, mój klijencie! A nie mogłeś ty to
Posłuchać widzeń lub dzieciątek płaczu,
A twych klejnotów nasypawszy sito,
A twoje lochy, starego maślaczu
Pełne, włożywszy na chłopskie podwody
I zostawiwszy ściany zamku gołe,
Dzieciątek czworo wsypać w jedną połę
I pójść — gdzie? — między postronne narody,
A możeby ci tam i dobrze było,
Nowe zrobiwszy związki i przyjaźnie.
Czasamiby się tylko niewyraźnie
Dziatkom coś ciemno o ojczyźnie śniło,
Czasami tylko-by ciebie spytały,
Patrząc na twoje dawne czarne blizny:
„Czemu ty, ojcze, porąbany, cały,
A nie umiałeś dziatkom dać ojczyzny?"
Cóż ty? Za ciebie odpowiedzieć muszę.
Odpowiedziałbyś, że w Polszcze jest prawo,
Które wygania ciało albo duszę
I nad krwią pastwi się albo nad sławą
I karę duszy za mniejszą uważa.
Więc ty wybrałeś sobie mniejszą karę.
O, horror! Panie, on złożył ofiarę
Z ciała, on wolał wygnanie z cmentarza,
Niż tamto drugie; on dziatkom w puściznę
Zostawił drogą po sobie ojczyznę,
A sam — nie mogę mówić — wybrał trumnę...
Panie, są wichry, co wielką kolumnę
Łamią, są burze, duchom niebezpieczne;
Ja je znam, czoło się moje słoneczne
Od nich, aż do Twych tu stóp pochyliło —
Ale przed martwą, prawną uledz siłą,
Ale z przerwanym tu serdecznym głosem
Być zatrzymanym katem albo stosem,
Albo od miecza poledz lub płomienia,
Gdy człowiek czyni dla Twego imienia,
Gdy Twego ducha w sercach świata budzi
Gdy duszę gotów położyć za ludzi —
O, takiej więcej nie będzie męczarni,
Albo ja padnę tu, jak martwy pada.
Panie! Tu była wielka Polski zdrada,

Tu w tym człowieku, co nakształt latarni
Używa teraz głowy i roznieca
Krew swą, a teraz kanclerza oświeca
I pokazuje trupem: Polskę ścięto!
A ja wybrałem dziś zaduszne święto
I przez umarłych rządząc, bo mam siłę,
Otwarłem dawną przedwieczną mogiłę,
A ta, otwarta, była moją sługą
I szła — i, oto, otworzyła drugą —
I, oto, stają tu otwarte obie,
A ja muszę drzwi zamknąć w jednym grobie,
Nim stąd odejdę.
Lecz kanclerz powiada;
„Cóż ja zabiłem? Czy jakiego Greka,
W którym wyrocznia bogów wielkich gada?
Czy mistrza myśli? Czy ludów człowieka?
Kogoż zamknęła ta czerwona trumna?"
Powiada kanclerz: „Czy sztuk opiekuna?
Czy akademiów zakładowcę? Gdy ja
Byłem jak człowiek, który kwiat rozwija."
Powiada kanclerz: „Do jednego celu
Pędziłem czyny, gdy krwią Polska mokła;
Jak te obrazy na mojem weselu,
Z których się wielka, jasna tęcza wlokła
Przez cały Kraków — tak z wielkiemi czoły
Przez Polskę czynów moich archanioły
Szli, a lud patrzał. Więc niechże się chowa
Ta jedna blada i ucięta głowa,
Przed bożym sądem furja jakaś blada,
Na moje teraz cierpienia nieczuła,
Która przez trzysta lat tę zemstę żuła,
A teraz żółcią tutaj i krwią gada!"
Chryste! To kanclerz przed sądem powiada;
A ja wyznaję, że mnie słowem kruszy,
Bo ja dla jego smętnej, wielkiej duszy
Mam łzy, jak perły, wielkie. O, człowieku!
Czemuś ty w innym nie wstał jasnym wieku?
Czemuś, o, teraz w innym nie wstał kraju,
Gdzie prawo rządu jest w króla lokaju,
A ten, jeżeli ma rozum i płuca,
To narodowym mieczem, gdzie chce, rzucą?
Tam byłbyś wyższy nad lud całym czołem;
Dla nas ty szatan — tam byłbyś aniołem!
U nas ty jesteś nie ludzki, nie bratni
I za ostatnim Polakiem ostatni!
Bo u nas, gdy duch przyjdzie, to już stary;
Przez wszystkie wieki i przez wszystkie wiary,
Jak żóraw, ciężki i smętny wędrował:
Tam naród cały z grobu wyratował,

Tam o miesiące krzyżowe sztandary
Rozbił, tam tęcze boże kładł na murach,
Tam deptał morze, a tam śnieg na górach
Przechodził z wojskiem, z tęczy mając bramę,
A świadkiem czynu tylko słońce same.
Więc, kiedy przyjdzie, dla nowego losu
Przybrawszy ciało, miej klucz, co odmyka,
A w jednym ciele znajdziesz męczennika,
Który wyleciał z płomiennego stosu,
Gdzie ciało swoje i kość suchą, twardą
Porzucił katom z powagą i wzgardą:
Drugi ci powie — że ma wszelkie prawo,
A już duchowych tylko praw posłucha
I zaprzeczenie ci położy z ducha,
Przeciw któremu ty nic ręką krwawą
Nie zrobisz, choćbyś piorun trzymał w ręku;
Trzeci — poznasz go po łzach i po jęku,
Z jakiej nieszczęsnej ojczyzny przychodzi,
Gdzie się nie krzewi nic i nic nie rodzi,
Wszystko trzymane pod cielesną ryzą,
A wielkie duchy same siebie gryzą,
Tęsknią i kują pod formy fortecą,
A gdy wylecą, to do Polski lecą
Odetchnąć, jako błękitem sokoły.
Cóż ty robiłeś tam z twojemi szkoły?
Jakimże sztukom tyś był za obrońcę?
Gasić ty piorun, czy objaśniać słońce
Przyszedłeś? Klijent mój, gdy stawiał stoły,
To w stołach było piękności sumienie,
Złocone chleby, złocone jelenie,
Placki ogromne, wyłożone w kwiaty
Rubinem wiszeń, szmaragdem cykaty,
Około których żona miała prace,
A takie piękne, jak stoły i tace
U królów, z drogich florenckich kamieni.
A to, jak marna rzecz i bez deseni
Żadnych, w szlacheckim robiło się domu —
I krócej żyło, niż błyśnienie gromu
I uśmiech dziecka.
Sztuka! Rzecz to wielka,
Narodów całych często zbawicielka,
Przechowująca na dnie duszę duszy.
Lecz, kto kamienia gdzie z ruin odkruszy
I krzyczy: „Patrzcie, pięknoty kaganiec“ —
A nie wie, że ten kamień, to wygnaniec
Bez żadnej mowy, a mściwy, jak węże,
W kącie gdzieś czarny milczący zalęże,
Piękności tęcze na nici rozprzędzie
I drugiej duszy szatańskiej dobędzie

I tą fałszywą formą ciągnie śladu —
Kto taki kamień i takiego gadu
Przyniesie, winien jest sądu i piekła...
Cóż twoja wielka sztuka Polsce rzekła?
Jakie odkryła duchom tajemnice?
Polak w obrazie to chciał trzy księżyce
Widzieć i żądał, aby obraz mowny
Razem mu przestrach pokazał cudowny,
Przestrach — o którym dusza czasem waży
Od trzech miesiąców lub od świętej twarzy
Uderzający. Więc chciał tę nadbrzeżną,
Widzieć krainę, co trumien dotyka,
Więc chciał Najświętszą Pannę widzieć śnieżną,
Którą łańcuch gwiazd w niebiosach spotyka,
Okrąża... tęczą jej białości plami,
I chciał rozmowę jej słyszeć z gwiazdami,
Śnieżną, w posępnych mgłach mówioną smutnie —
A wszystko to chciał zobaczyć na płótnie,
Nim nazwał mistrzem jakiego malarza.
U nas, gdy sądzą jakiego pisarza,
A on na chwilę głos i lutnię złoży,
To mówią: „Milczy, bo niebo otworzy —
Milczy, bo zbiera teraz siłę duszy,
Którą kraj wskrzesi i z mogiły ruszy".
Więc, choć upadnie jaki brat Ikara,
To przy narodzie poezja i wiara.
Gdyś architektem, a jest jakaś bryła,
Z której lud sobie mieć kolumnę marzy,
To myśli zaraz, że będzie świeciła
W nocy, jak miesiąc, z płomieniem na twarzy,
I chce, ażeby w niebiosa ubodła
I gwiazdy wszystkie mu do kraju wiodła,
W pokorze niemi ogirlandowana,
Jakby cudowny gród świętego Jana.
U nas gdy powie wieszcz: „Kolumny głowa",
To się kolumna ta duchowi kryśli
Z ustami, z których lecą wielkie słowa,
Z głową, gdzie wielkie, kolumnowe myśli,
Z oczyma. I wnet spytaj się gawiedzi:
Powie, że serce w tej kolumnie siedzi,
Serce, co wiecznie się pęka i broczy,
Taka jest wielka moc błyskawic w łonach,
Że dotknij, a wnet piorun ci wyskoczy,
Z każdego serca.
Więc już o Syjonach
Taki duch marzył, że Bóg go używa
Za miecz, wichrami entuzjazmu zrywa,
Prawa natury pozwala zawieszać
I o szaleństwo dziś zamordowanych,

Że nie zabijać chcieli, ale wskrzeszać,
Fantazją do gwiazd dostać się różanych,
Pięknością czynów dolecieć do Boga.
I w tym to była tajemnicza droga
I nie wiedzących naszych serc sumienie,
Że przez ojczyznę naszą szło zbawienie,
Że ona była ostatecznym końcem
Żywota ducha ludzkiego, że ona
Mogła tę ziemię jedna wziąć w ramiona
I umiłować i oddać ją słońcem.
Ona to jedna mogła, a nikt inny,
Bo była prosta, piękna, jak cud gminny,
Niepokalana!...
Teraz, kto mię słucha,
To widzi, żem ja zaprowadził ducha
Do Jeruzalem niebieskich podwoi.
Przez duch albowiem wszystko ziemskie stoi.
Duch wszelkie ciało na tej ziemi sprawia
I sam się w formie widomie objawia.
Pan Bóg o ducha dba i formy krwawe
Niszczy, a swoją z nich wyciąga sprawę.
Z pod tej pieczęci się nie wyłamiecie,
Choćbyście klęli. — O, tak! Nie Ty, Boże,
Sypałeś formy, które są na świecie,
Form tysiącami zasrebrniłeś morze,
Zakryłeś ptaków tęczami błękity
I rządzisz słońcem i rządzisz gwiazdami.
Bo wam odpowie Pan Bóg, że wy sami
Winniście formy. Więc, kto jest zabity,
Ten już umarły stał przed ciała gwałtem,
A trup, jak forma, jemu stał się kształtem.
Tak konkluduję przy niebieskich świadkach,
Żem stawał wolny tu, przy sądu kratkach,
Pierwszy za ducha wolnością i władzą,
Nie dla zapłaty, ani próżnej chwały,
A jednak tam mój ojciec we łzach cały...
Dosyć mi na tem. Teraz niech mi dadzą...

GŁOS.

Co?

CHÓR.

Cały bladniesz...

LUCYFER.

Gasnę, niech mi dadzą
Czarę...

CHÓR.

Co?

LUCYFER.

Gorzką, od...

CHÓR.

Chryste! On gaśnie.

CHRYSTUS.

Kto ducha swego wyleje i zaśnie,
Ten jest...

Znika w obłokach.

CHÓR.

Wyroku nie domówił, zniknął.

SAMUEL.

Ja przy nim z szablą, już jasny!
Kto krzyknął,
Że on umarły, albo potępiony?
On mi dał jasnej męczeńskiej korony,
To jakaś wielka duchowa osoba!
Kanclerzu, rękę daj, my przy nim oba
Będziemy lecieć z szablami obiema!...
Gdzie kanclerz? Gdzie jest kanclerz?

GŁOS.

Już go niema.
Sędzia przez niego przeszedł.

GŁOS.

Nic nie wrzasło.

SAMUEL.

Jak wiatr przez światło — przeszedł — światło zgasło...
Jan, kanclerz, taki wielki duch, ogromny...
Z sercabym wskrzesił go.

KANCLERZ.

Jestem przytomny...

KRÓL-DUCH[1]

RAPSOD I.

[1] Za podstawę przyjęto tekst ustalony przez Marjana Piątkiewicza.

PIEŚŃ I.

Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy, wężową napełnione zdradą,
Powiem, wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte.

Ja,, Her Armeńczyk, leżałem na stosie
Trupem przy niebios jasnej błyskawicy.
Kaukaz w piorunów się ciągłym rozgłosie
Odzywał do ech ciemnej okolicy.
Niebo zczerniało, ale świeciło się
Grzmotami, jak wid szatańskiej stolicy.
A ja, świecący od ciągłego grzmota,
Leżałem. Zbroja była na mnie złota.

I duch, niewyszły z umarłego ciała,
Czuł jakąś dumę, że spokojnie leży;
A nad nim ziemia poruszona grzmiała,
I unosiły się duchy rycerzy.
Trójca widm mój stos ogniem zapalała,
A ja czekałem, aż piorun uderzy;
Tak byłem pewny, że w owe rumiane
Grzmotem powietrze, jak duch, zmartwywstanę.

Już przybliżały straszne czarownice
Chwast zapalony i suche piołuny
I moje blade oświeciwszy lice,
Wrzeszcząc, posępne swe śpiewały runny:
Kiedy je trzasły aż trzy błyskawice

---

[1] Król-duch, zanim się wcielił w Popiela, żył w ciele Greka, Hera. Postać tę (zmyśloną) wziął Słowacki z Rzeczypospolitej Platona, akcję jednak przeniósł do Armenji.

I trzy siarczane, ogniste pioruny;
I tak strzaskały płomienie czerwone,
Żem je nie martwe sądził, lecz zniknione.

Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie
I o swe ciało już nieutroskana,
Ale za ciałem płacząca daremnie,
Cała poddana pod wyroki Pana,
W Styksie, w letejskiej wodzie albo w Niemnie
Gotowa tracić rzeczy ludzkich miana,
Poszła: — a wiedzą tylko wniebowzięci,
Czem jest moc czucia, a strata pamięci!

Tam, kędy dusze, jasne jak brylanty,
Swe dobrowolne czyniły wybory:
Moc, utrudzona biegiem Atalanty,[1]
Szukała tylko szczęścia i pokory;
Orfeusz[2] między ptaki muzykanty
Szedł umęczony i na sercu chory;
A jam pomyślał, że mu śpiewem będzie
Składać i skrzydła rozszerzać łabędzie;

Ulises poszedł w prostego oracza,
Aby odpoczął po swych wędrowaniach,
Tak ludziom Pan Bóg zmęczonym wybacza
I odpoczywać daje w zmartwywstaniach!
Niech wyniszczony pracą nie rozpacza,
Że mu na ogniach braknie i błyskaniach,
Ani też myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki, nad spoczynek.

Ja sam, z harmonją obeznany młodą
Własnego ciała, nie chciałem odmiany.
I siadłem smutny nad letejską wodą,
Nie usta moje myjąc — ale rany.
Odtąd już nigdy nad cielesną szkodą
Nie płakał mój duch z ciała rozebrany,
Ani za wielką sobie brał wymowę
Otwierać tych ran usta purpurowe.

Wszakże letejską przykładając wodę
Do ran, by pamięć boleści straciły,
Niejedną poniósł na pamięci szkodę,
Niejeden obraz stracił senny, miły.
Jutrzenek greckich różaną pogodę
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,

[1] Atalanta = sławna z chyżości biegu łowczyni (podanie greckie).
[2] Orfeusz, śpiewak-poeta, który wcielił się w łabędzia (mit grecki).

A pokazały, jako świt daleki,
Umiłowaną [1] odtąd — i na wieki!

Ani gwiaździce, co się w morzach palą,
A mają w świetle tęczowe kolory
I są gwiazdami w ciemnicy pod falą
Tak błyszczącemi, że mórz dziwotwory,
Delfiny, w morzu swoje łuski skalą
I obchodzą je cicho, jak upiory.
A płynąć wierzchem nad niemi nie śmieją,
(Tak mocno w morzu te gwiazdy jaśnieją!)

Ani tych gwiaździc jasność tajemnicza
Tak nie przeraża owe pierwopłody,
Jak piękność, którą-m ja poznał z oblicza
We mgłach letejskiej zapomnienia wody.
Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza;
Pod nią — jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły,
Na kwiatki jasne pod ciemnemi jodły. [2]

Z tych łąk i z tych puszcz jakby wiatr poranny
Pieśnią zapraszał na ziemię szczęśliwą:
Szedłem, choć strzały numidzkiemi ranny,
Niepewny, czy śmierć? czy żywota dziwo?
Czy Irys, [3] którą na świat znosi szklanny
Obłok? a tęcze świecące nad niwą
Tyle kolorów i słońc tyle mają,
Że ją nad ziemią na światłach trzymają?

Ona przede mną do lesistych zacisz
Weszła, a harfy śpiewały wiatrzane;
„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jedną, tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jedną, smętną ranę, że Jej niema!

Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie,
Serce ci damy, ale spustoszeje,
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mającym nadzieję".

---

[1] Umiłowana, zwana również przez poetę Panią Słoneczną, jest zarazem kochanką Króla Ducha i wyobrażeniem idei świętego, duchowego piękna. Miłość ku kobiecie stanowi tu jedność z tęsknotą do ostatecznego idealnego celu. [2] Ta idealna kochanka wiedzie Króla-Ducha ku krainie, gdzie dokona się jego nowe wcielenie, ku Polsce. [3] Irys = jutrzenka, posłanniczka Hery, mit grecki.

Na to Ja: „Niechaj me oczy rozwidnię
Rubinem, który z jej ust światło leje,
A nie dbam o to, co mię czeka:
Żywoty ducha, czy męki człowieka.

W jednę girlandę męki me uwiążę,
Jak człowiek, który za tysiące czuje
I tą girlandą, jako świata książę,
Czoło uwieńczę i ukoronuję;
Niechajże na mnie idą duchy węże!
Niech mię świat walczy otwarcie lub truje!
Niech mię ognistą otoczy otchłanią,
Choćby aż w piekło wiodła — pójdę za nią!"

Pamiętam ten głos i straszne zaklęcie,
Na które odwrzasł mi duch: „To Królowa!" [7]
I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło... A wtem jasność przyszła nowa
I w tym powietrzu, jako w diamencie,
Ukazał się wid... Piękność... córka Słowa... [8]
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką judejscy widzieli prorocy.

Słońce lecące trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła;
Szła nad lasami i leciała dołem,
Nad chaty, jako komeciana miotła;
Tęcze ją ciągłem oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły - jaśminy i maki - korale.

Błękit się cały zdawał uśmiechniony,
Pełny języków złotych, niby fala.
Jak atłas, który bierze różne tony
I drżąc, swe hafty gwiaździste zapala,
Tak niebo za Nią od północnej strony,
Gwiazdy swojemi łyskające zdala,
Różnym się dało gwiazdom pozłacanym
Ukazać, w ogniu do zorzy rumianym.

Więc czego woda letejska nie mogła,
To Ona swojem zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowe się wzmogła
Loty i nowym buchnęła płomieniem.
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,

Opowiem: — Ja, Her, powalony grzmotem,
Nagle, gdzieś w puszczy, pod wieśniaczym płotem

Budzę się. Straszna nade mną kobieta[1]
Śpiewała swoje czarodziejskie runny.
„Ojczyzna twoja — wrzeszczała — zabita...
Ja jedna — żywa, a ty zamiast trunny
Miałeś mój żywot. Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i piołuny,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem!
Synu popiołów, nazwany Popielem!

Sam jeden jesteś, ale cię przymioty
Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj, ty trzeci i mój głos jak grzmoty,
Pędzący w zemstę". To mówiąc, pieluchy
Moje chwytała i trzęsąc nad głową,
Rzucała dzieckiem, jak skrą piorunową.

Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada.
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada:
Gdy spójrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada
Czasem na moją pierś tumanem runie —
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie.

O! pierwsze mego ducha nawałnice,
Jakże wy straszne wstajecie w pamięci!
Widzę tę straszną krew jak błyskawicę,
W której się mój duch niby gołąb kręci.
Dziś nieraz, kiedy w czarną okolicę
I w puszczę wejdę, to mię coś tak smęci,
Że radbym własne wyrywał wnętrzności
Albo u bolów swych prosił litości!

Do gwiaździc morskich tajemniczej jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach, próżen wszelkiej waśni,
A miał z jabłoni swój napój i cienie.
Królowie jemu panowali właśni,
Cudowne jakieś Lecha pokolenie,
Mające w sobie całe Polski Słowo
I moc i rózgę cudów Mojżeszową.

[1] Roza Weneda.

Teraz wiem, jako duch pod ziemią widzi;
A w ślepym często ten cud ujrzysz dziadu,
Którego wiejski ci pies nienawidzi,
Żórawianemu gdy podobne stadu
Za nim się wleką duchy: — świat zeń szydzi,
Ale go chłopek czuje królem gadu
I wie, że na te źrennicy blachmany
Bije świat duchów, tęczą malowany.

Te oczy, ręką zasłonione Bożą,
Czasem pod ziemią idą złota żyłą,
Aż im się ciemne kurhany otworzą,
Jak gdyby słońce pod ziemią świeciło.
Blachy się złote na wzrok ludzki srożą,
Proch ludzki wstaje pod wziętą mogiłą
I w kształt człowieka znowu się układa,
Na nogi wstaje i w proch się rozpada.

Oni to widzą właśnie, gdy gromada
Urąga, śledząc zamyślone czoło.
Ta Mądrość, która cały świat spowiada,[1]
Dawniej, perłową wieńczona jemiołą,
Z królem na tronie lub przy królu siada
I w płomieniste się upiorów koło
Zamyka: nie czar, nie próżna guślarka,
Lecz Mądrość — chorób duchowych lekarka.

Więc wkoło — wioski, w wieńce kaliniane
Strojne i roki,[2] poświęcone duchom,
Mogiły, kozom i pasterzom znane,
Trzody, dziwiące się ptaków rozruchom,
Mogiły dawne! dawno zapomniane,
Dawno oddane mgłom i zawieruchom!
Z darni odarte.....

Czasami tylko jaki zwyczaj dawny,
Indyjski nakształt złotego upiora
W lasach powstanie. Kiedy rycerz sławny
Umrze, to lud go grzebie jak Hektora;
Dwanaście koni bije i krwią spławny
Stos gdzieś pod lasem, pod mgłami wieczora,
Ubrany w rogi jelenie i w głowy,
Zamienia w ogień i w słup purpurowy.

---

[1] Słowacki za źródło całej swej wiedzy genezyjskiej podawał przypomnienie poprzednich żywotów swego ducha lub spowiedź natury. „Każdy listek mu się spowiadał". Taki- też jest źródło każdej mądrości wieszczów i przewodników. [2] Święte gaje.

Wieszczé się jawią w ogniu i guślarze
Przepowiadają przyszły świat nieznany.
Co w pieśni stworzą, to się wraz pokaże,
Przyprowadzone na świat przęz szatany.
Każdy wiek wielkie miał prawdy ołtarze,
Cześć ducha, fałszu namiętne kapłany,
Którzy, wyroki uprzedzając Boże,
Dla ciał nie krzyże mieli, ale noże.

Wzgarda je wielka ku ciału paliła,
A duch upajał, jak sok bachusowy,
Niejedna teraz Druidów mogiła,
Którą oplata wkoło krzew różowy,
Kiedy ją słońca strzała wskróś przeszyła,
I przeszył ogień zorzy brylantowy,
Gdy wejdziesz w ciemne, granitowe bramy,
Pokaże ci swe słońca; krwawe plamy.

A jednak ty się nie cofasz przed niemi?
A choćby miesiąc był, nie czujesz trwogi?
Ale jak żóraw skrzydłami ciężkiemi
Próbujesz nowej po błękitach drogi,
Między głazami, dawniej czerwonemi,
Między miesiącem i polnemi głogi
Srebrne się ciągle jakieś wstęgi snują,
Po których myśli jak sny przylatują.

W takich kościołach, duch z wysokiem czołem,
Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą klątem,
Nogą trącałem czoła tych kamieni;
„Padajcie, głazy, przed ducha aniołem!“
Krzyczałem: „Jako gromada jeleni
Przed mą niszczącą myślą uciekajcie!
Trupy grobowców tych, gińcie lub wstajcie!“

I nic! Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi.
Nad południowych gdzieś łąk zielonością —
Bom przewędrował kraj, który mię rodzi —
Inaczej z trupów postępował kością
Lud, który palił umarłego w łodzi
I w mgieł krainę posyłał gościnną
Z umiłowaną kochanką niewinną.

Ja, syn wyrżniętych ludów, ja, istota,
Nieznana wtenczas na ziemi nikomu,

Gdy obaczyłem, jako ta łódź złota
Lepszą się zdaje od ziemskiego domu,
Jak płomień pod nią huczy i druzgota
Garście suchego liścia, pęki łomu,
A na te śpiące, we śnie rozkochane,
Rzuca swe straszne jutrzenki różane;

Gdym to obaczył a wysłuchał śpiewu
Dziewicy (grobów smętnego słowika),
Która złotemu się tej łodzi drzewu
Tak wydawała, jak kwiat słonecznika,
A już od krain zaświatnych powiewu
Brała głos nowy i światłość płomyka,
Już tchem — już ogniem była — już bez ciała —
Już mgłą — a jeszcze za światem śpiewała: —

Gdym to obaczył, tom kupcowi temu
(Bo kupiec jakiś to był, który gorzał)
Zazdrościł drogi, sam nie wiedząc czemu,
Drżąc, abym kiedyś duchem nie zubożał.
Skrzydeł nie stracił, które ku złotemu
Światowi niosą, jak lew nie zesrożał,
Nie szedł na tamten świat z szatana trwogą,
Jak duch, na czarnej łodzi bez nikogo.

Przerażon w lasy wróciłem rodzinne,
A wkrótce wziął mię Lech, król, za pachołka.
Jam oczy groźne miał i ręce czynne
I uwiązany cel do wież wierzchołka.
Trucizny wlano w to serce niewinne!
A zemsta, jako pierwsza apostołka,
Ciągle kłóciła mię z ludźmi i z losem,
A głos jej czasem nie był — ludzkim głosem.

Więc ile razy posłucham jej rady,
(A rada była dla ducha fatalna).
To widzę, że mi na świecie zawady
Usuwa jakaś ręka niewidzialna.
Na działającą moc patrzałem blady,
Sądząc, że biała mi orlica skalna
Zlatuje na hełm, usiada na czele
I drogę moją piorunami ściele.

Żądałem wodzem być, i wraz dwa wodze
Krwi rozszalonej piorun w mózg uderzył,
Ja, co bywało za stadami chodzę,
Kiedym się z duchy ciemnemi sprzymierzył,

Teraz tak straszny, że komu Ja szkodzę,
Choćbym się tylko nań myślą zamierzył,
Choćbym oczyma uderzył po stali,
W pancerz i w serce ruszył — wnet się wali.

I szczerniał cały świat, a Ja, syn borów,
Patrzałem, jako na las do wycięcia.
Z pod przyłbic wielkich bladość mię upiorów
Trwożyła. Byłem pierwszą ręką księcia.
Przed sobą dalszych nie widziałem torów
Ani dalszego już celu do wzięcia.
W zamku cedrowym, nad gopłową wodą
Byłem najpierwszym złotym wojewodą.

Tu patrz! jak straszne są duchowe sprawy!
Jakie okropne zastawiają sidła!
Raz, gdy z dalekiej wracałem wyprawy,
A piorunów się różne malowidła
Przez długi deszczu włos świeciły krwawy,
Ja i rycerze ujrzeliśmy skrzydła
Orłów pobitych w tak wielkiej ilości,
Jak na cmentarzach gdzieś Germanów kości.

Pierze leżało zmokłe, lecz niektóre
Skrzydła sterczały z piasku takiej miary,
Że, gdym na dzidę wziął i podniósł w górę
Jedno, to jako wielki upiór szary
Wierzchem o ciemną kity mej purpurę
Dostało, wstając leniwe z moczary:
Niby wyzwany czarodziejstwem runnów
Duch, śpiący w błocie przy blasku piorunów.

Taka w tym skrzydle była tajemnica
I ludzkość, żem się spytał: „Powiedz, sępie,
Czy was na wiatrach paląc błyskawica,
Rzuciła w takie nic i w takie strzępie?
Czyście się bili o państwo księżyca,
Idąc na siebie zastęp przy zastępie?
Czyście tu jaki bój toczyli krwawy
O ścierw? czy tylko gryźli się dla sławy?!

Powiedz, jak nazwać to pamiętne pole,
Dziś od błyskawic czerwone rumianych,
Gdzie tyle górnych duchów — dziś na dole
I tyle skrzydeł leży połamanych?“
Tom rzekł, w nieszczęścia nauczony szkole
Litować się łez i mogił nieznanych.
A wtem ujrzałem, że rycerstwo bierze
Skrzydła i wtyka sobie za pancerze,

Widok ten nowy, wspaniały!... czas poźny!...
Błyskawic blaski wszędy!... wojsko w dali,
Gdzie każdy człowiek był, jak upiór groźny,
Skrzydlaty, w czarnej rozświeconej stali...
Wszystko tak straszne, żem dreszcz uczuł mroźny
I krzyknął: „Sława Bohu! świat się wali!
Ja pierwszy moją piersią go roztrącę!
Ja, duch! a za mną — wojska latające".

To mówiąc, skrzydło zmoczone i krwawe
Przypiąłem sobie tak, że hełm nakryło.
Ja, biorąc skrzydła, ze cel brałem sławę,
A oni chcieli sobie lotu siłą
Pomóc do domów. O! jakże ciekawe
Powody, które rządzą ciała bryłą!
O! jak są różne przed prawdy mistrzynią
Orły, choć wszystkie jeden hałas czynią!

I lecieliśmy do domu weseli,
Mijając drzewa i sady i chaty.
Rycerze moi przed zamkiem stanęli,
Jam wszedł, jak anioł czarny i skrzydlaty.
Karmazyn, który świat od króla dzieli,
Cały się w gwiazdy rozleciał i w kwiaty.
Pokazał się król w odblaskach rubinu,
Spojrzał — i berło upuścił z bursztynu.

Widziałem, jako Łaskawość pogodna,
Jaskółka siwych włosów, Dobroć cicha
Znikła. A nagle twarz trupia i chłodna
Zmroziła mię tak, żem stał nakształt mnicha,
Spuściwszy oczy, patrząc w siebie od dna,
Zali zwycięstwa mego nagła pycha
Jakich tajemnych myśli nie wywiodła
Na jaw i króla w źrenice nie bodła?

A on, na moje skrzydła, na te pióra
Patrząc, (które blask wieczorny zapalił
I okrwawiła tronowa purpura)
Pobladł i berłem mię wskazawszy — zwalił.
Wzięto mię. Dusza ma czarna, ponura,
Już mi radziła, abym się ocalił
Wtenczas, gdy tłumy stały przerażone,
Z mieczem na króla wpadłszy i koronę.

Alem się w jednej błyskawicy gniewu
Na taki wielki czyn nie śmiał posunąć.

Wolałem, że mi, jak wielkiemu drzewu,
Przyjdzie tu głową zachwiać się i runąć,
Niż z domowego ciemnej krwi rozlewu
Korzystać, mój miecz w łono starca wsunąć
I wyjść z wyjętym na słońce orężem,
Coby się zdawał nie bronią, lecz wężem!

Wzięto mię, a ja w podziemnej ciemnicy
Sam, do filarów przykuty kamiennych,
Jako pający, ciemni robotnicy,
Zacząłem z myśli gryzących, bezsennych,
Snuć długie pasma. Widmo mi przyłbicy,
Nakryte orłów skrzydłami płomiennych,
Pokazywało się. Naramiennice
Osiadły blade, ścięte Meduźnice.

Dusza tak była silna i bogata
I taką wielką rządzicielką kości,
Że ciągle echem duchowego świata
Gadała, ciągle z jego okropności,
Z tych głębin, gdzie ćma niewidzialnych lata
Jasnoczerwonych słów, sztyletowości
Szepczących, brała straszną siłę sztychu
I tę, jak piorun, ciskała po cichu.

Kto myślał, że mię więzieniem uciszał
I goił burze ducha, ten się mylił.
Z ducha mi ciągle szedł grzmot, a Lech słyszał
I czuł, żem ja go gryzł, do ziemi chylił.
Chociażem wtenczas tylko w sobie dyszał,
A żadnej mocy ducha nie wysilił,
Gromadą duchów zarządzałem ciemną,
I te, jak sługi moje, były ze mną.

O! wy, którzy się nigdy nie spotkacie
Z prawdziwą twarzą waszego tu stróża,
Dla których żywot widzialny jest w chacie,
A Bóg w błękitach próżnych się zanurza,
Dla was są próżne tych czynów postacie;
Dla innych — ducha ton i straszna burza,
Owiewająca moją pieśń żałobną,
Z twarzy do innych rapsodów podobną.

Raz o północy, kiedym dyszał gniewny
I sądził, że tu jakaś mara biała,
A tam kształt jakiś czarny i niepewny,
Ówdzie zaś gwiazda biegła i spojrzała —

Ujrzałem lice przecudne królewny,
Której z rąk blasku różanego strzała
Przez proch więzienia i przez pajęczyny
Szła, zamieniwszy jej ręce w rubiny.

Splecione do nóg, złociste jej włosy
Wlekły się prawie po głazów zieleni,
Gdzie zakończone, jak dwa złote kłosy,
Kwiatkami z drogich, błyszczących kamieni.
Te kwiatki, — rzekłbyś — że dwa żywe Losy
Twarzą aniołów ze światłych pierścieni
Patrzą się w górę, uczepione skrycie
Do nóg idącej falą Amfitrycie.

Te kwiaty z żywych klejnotów się jawią
W pamięci mojej przed rysy innemi.
Reszta mgłą. A mgły moje tak ją krwawią,
Żem nie spróbował o niej śnić na ziemi;
Lecz szaty jeden fałd wiecznie mi stawią
W oczach pamięci duchy i z białemi
Nóżkami do mnie te kwiaty idące,
Jak dwa tęczowe na ziemi miesiące.

A Ja gdzieś w głębi, do granitnej nory
Schowany, niby kłąb piekielnych duchów
Wyzwany światłem w ohydne kolory,
Jak zbiorowisko członków i łańcuchów,
Skrzydły zjeżony, jak piekielne twory,
(Które my znamy na ziemi z posłuchów,
Słysząc, że niegdyś rodziła natura
Smoki, w płomienie ubrane i pióra)

Ja, pomny na to, żem tronowi służył
A doznał zdrady, choć nie miałem winy,
Sądząc, że mi się Lech aż krwią zadłużył
Dotknięty okiem królewskiej dziewczyny,
Aż skrzydłami na nią moje brudne wzburzył
I z piór pokazał oczy, cały siny,
Z takiem sił moich gniewnych natężeniem,
Żem ją mógł wzrokiem spalić, jak płomieniem.

Biedne my duchy! Zawsze z jednej schedy
Brać musim nasze co piękniejsze szaty.
Oto błyszczący kłem smok Andromedy![1]
Oto ów drugi straszny wąż skrzydlaty,

[1] Andromeda, mityczna córka króla Etjopów przykuta do skały jako ofiara za ocalenie kraju przeznaczona potworowi morskiemu, którego Perseusz zabił i Andromedę oswobodził.

Który na słońce idzie w księgach Edy
I gwiazdy, niebios lazurowych kwiaty,
Ogonem zbiera, w swe czerwone płuca
Wchłania i z ogniem serdecznym wyrzuca.

Na nią ja straszny, piekielny i mocny,
A tem straszniejszy, żem był nieszczęśliwy,
Wyiskrzył cały oczu blask północny,
Więcej wtenczas jej, niż wolności chciwy.
Jak mi ów czysty duch wtenczas pomocny
Otworzył wrota, (cichością oliwy
Do zamilczenia jęków przymuszone),
Nie wiem; to wszystko poszło w mgły czerwone.

On jednak — ten duch — nie wiedząc, co czyni,
Jednem niebacznem słowem pchnął mię w górę.
Ona, ta dziwna na harfach mistrzyni,
Mająca duchów niebieskich naturę,
Czytała w jakiejś Sybilijnej skrzyni,
(Może przed wieki będąca za córę
Rzymianom), że jej koronę na głowie
Zerwą na koniach lecący orłowie.

A ten Sen dawny tak jasno wyrzucił
Z drugiego ciała swoje dawne twarze,
Że ojcu rzekła. A ojciec zasmucił
Czoła i miał już przywołać guślarze,
Sny tłumaczące, gdym ja nagle wrócił,
Skrzydlaty orzeł, i moje husarze
Przed zamkiem rzędy długiemi ustawił
I sen jak w jasnej błyskawicy zjawił.

To mi nieszczęsna powiedziała Pani,
Jakoby sama siebie winująca,
Że wtenczas śniła, gdy, w skrzydła ubrani,
Spełnialiśmy sen przy blasku miesiąca,
W ogniu piorunów. Lecz ciemni szatani,
Których moc jedną mocą ludzi trąca.
Sprawili, że Snu na nią malowidła —
Na orły spadła rzeź — a na mnie skrzydła.

PIEŚŃ II.

Księżyc był pełny i gwiazdy świeczniki
Świeciły jasno na niebios lazurze,
W trawach śpiewały skrzeczki i świerszczyki,
Zamek stał cichy na piaskowej górze;

[1] Mowa tu o Wandzie.

Zimno północne i traw zapach dziki
I serce, smętnie bijące w naturze,
Dwa razy mocniej zagadało do mnie,
Gdy ona przy mnie i koń był koło mnie.

Na jednym ręku niosła swe warkocze
A drugą — północ wskazała odludną.
Na to ja rzekłem: „Na północ nie wkroczę,
Bo tam jednemu przeciw burzom trudno;
Lecz w koniu do krwi ostrogi umoczę
I będę pędził, aż drugą tak cudną.
Jak ty, pokażą mi ziemskie narody,
Choćby królowę ognia albo wody.

Jeśli nie, wrócę, jak straszydło krwawe,
A ty pamiętaj, jaki stąd ucieka
Cień, obalony miesiącem na trawę,
Z konia, ze skrzydeł orlich i z człowieka,
Miesiąc mu daje tę straszną postawę,
Wiatr stąd wypędza, a nieszczęście wścieka,
A jeśli Pan Bóg go wichrem oszczędzi,
Może napowrót grom go tu przypędzi".

To mówiąc, ręką pogroziłem światu
A tem wścieklejszy, że sam i bezsilny.
Gwiazdy na polach czystego bławatu
Oczy otwarte i słuch miały pilny,
Na wschodzie wstęga smętnego szkarłatu
Świeciła, szarym równinom omylny
Kształt nadawając, że pod owe zorze
Tak się zdawały płynące — jak morze,

Dianna jak liść wierzby już zielona,
Już jako róży liść różanozłota,
W ognistych się mgieł zanurzała łona,
Zmienna, jak w sercu młodzieńczym tęsknota.
A jam skrzydlate obrócił ramiona
Wschodowi, chciwy nowego żywota,
I uciekałem, jak duch, z bladą twarzą,
Więcej przed myślą moją, niż przed strażą.

Dzisiaj przez ducha cały świat odkryty,
Cały wiadomy. Wtedy tajemniczy,
Jak upiór złoty, a we krwi umyty,
Złotem cię dziwu wabił ku zdobyczy.
A krwią ohydzał wszelki czar zdobyty,
Krzycząc, jak dziecko przydławione krzyczy,
Gdyś go uścisnął, a tarczy błyśnieniem
Takiś wywołał strach, jak objawieniem.

Po ciemnych puszczach, gdziem się błąkał — gnana
Wichrami, straszna przyszłości orlica —
Kto mię napotkał, myślał, że szatana!
Bo wszystko widział wprzód, niż moje lica,
Zbroję i skrzydła i młot u kolana
I dzidę, która gorzała, jak świeca
Między sosnami, samych niebios blisko,
Miedziane mając ostrze, jak ognisko.

Na jednym pustym śród sosen smentarzu
Spotkałem smętne i dzikie Germany,
O! duchu! dawnej przeszłości malarzu!
Ty jeszcze widzisz te sosnowe ściany,
Wozy, ogniska, twarze przy rozżarzu
I rzymskie z białych piszczeli kurhany
A na nich orły, wydarte legjonom,
Podobne lampom złotym i koronom.

Ty jeszcze widzisz i dziś pytasz siebie:
Kto ci przyczynił głosu i języka?
„Liczni — krzyknąłem — jak gwiazdy na niebie!
Straszni jak piorun, gdy niebo odmyka!
Przez was świat wytnę! pod wami pogrzebię!
Ja, syn popiołów — ojciec mogilnika!
Urra — ha!“ Gwiazdę pokazałem białą
Dnia wschodzącego lasom. Wszystko wstało!

Wszystko! Dziesiątki całe groźnych kroci
Wstały, gotowe na rzeź urahanną.
Wszystko! Na boku tylko śród paproci
Białością swoją mnie zadziwił szklanną
Kształt jakiś śpiący, cudownej dobroci
I ciszy, zorzą oświecony ranną,
Zwalony w dzikich trawach, przy strumieniu,
Posąg w jutrzenki światłach, jak w płomieniu.

Rzekłem więc: „Czy to jaka jest królowa
Wyrżniętych ludów, nieskalanej bieli,
Którą tu smętnie czarujące słowa
Na fiołkowej uśpiły pościeli?“
Wtem barbarzyniec ją tak ciął, że głowa,
Jak lampa, która ciemność rozweseli,
Skoczyła, chwilę na błękicie trwając
Jak gwiazda, potem błysnęła, spadając.

A ja, zawrzawszy gniewem i brzeszczota
Dobywszy, tego barbarzyńca w czoło

Tnę tak, że jako grenada się złota
Rozwalił ów łeb, tu połą, tam połą.
A ja, ów zegar widzący żywota
Z tajemnicami, żył czerwonych zioło,
Idące jeszcze wszystkich sprężyn ruchy,
Porównywałem dwie głów, jak dwa duchy.

Ledwom uczynił to, nowe mi moce,
Zapewne statuy zwołane zemszczeniem,
Przybiegły w pomoc, tak, że chociaż proce
Cisnęły na mnie za ów mord kamieniem,
Jam był jak piorun, gdy lasy druzgoce!
I napełniłem ten lud przerażeniem,
A w przerażeniu takim wielkim żarem,
Że mię ukochał i nazwał — Kiejzarem.

Dziś tam głęboki sen w tej puszczy lata,
A może jeszcze posąg biały leży!
A może jaka nadistrowa chata
Mówi powiastkę moją... i nie wierzy
Ani wie, jako na zniszczenie świata
Posąg zemszczony przysłał mi rycerzy
I obaczywszy mnie, jak burzę ciemną,
Duchy gwiażdżące zawiesił nade mną.

Nie wiedzą ludzie, przez jakie ja tony,
Przez jakie czyny, przez jakie męczarnie
Zebrałem owe duchów miljony,
Które, gdy wezwę, to mię strach ogarnie!
Bo ze słońc różnych są i z różnej strony;
Jako girlandy w chmurach i latarnie
Pokazują się, kiedy sam nie zdołam
Czynić, a one na pomoc przywołam.

Z barbarzyńcami sam na uroczyskach,
Człowiek — duch, pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda;
Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą, jak pianie kurów u Piłata.

Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny;
Przedrannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcej wychodzi gwiazd na błękit siny;

Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny,
Gotowi zaprzeć się Bożego ducha,
Obzierają się, jak zbójce — czy słucha.

Jam to czuł mimo, że krew moja biła
Jak piorun w żyły, że hełm od niej dzwonił,
Kiła się ogniem czerwonym paliła
A młot skry takie, jak miesiące ronił;
Koń gadał, dzida rosła, szabla żyła,
Wiatry dawały rady, obłok bronił,
O złym dniu wrzaski ostrzegały krucze,
O dobrym — złote, żórawiane klucze.

Przez wszystkie władze ziemskie ostrzegany,
Wpadłem na ziemię moją nieszczęśliwą,
Lech nie żył, a lud jego zabijany
W królewnę patrzał, jako w gwiazdę żywą.
Ona też pancerz złoty, malowany
Kwiaty różnemi, jak słoneczne dziwo,
Pokazywała w strasznych walk kurzawie,
Podobna białej Anhelicy — Sławie.

Koło niej ciągły tabor z żywych ludzi,
Zbrój czarnych, mieczów, tarcz, nad nią sztandary.
Hekroć wieczór mgłami się zabrudzi,
To jako ptaki nocne albo mary
Wstają po bagnach Wenedy i Czudzi,
Żółte Połowce, nadmorskie Tatary,
I w twarze nasze strzał tysiącem brzęczą;
A nic, gdy biją — straszniejsi, gdy jęczą.

Jeszcze pamiętam ten wrzask i to wycie
Różnych narodów i różnych języków,
Gdy te ludyszcza przy Wisły korycie
Przyparłem do fal falą moich szyków,
Aż mi o jasnym wyprawili świcie
Najstarszych z wojska swego tysiączników,
Prosząc o pokój i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę.

Ja wtedy pod lwią skórą rudozłotą,
Siedząc na prostej powózce Germanów,
Rzekłem: „Niech pierwej dziewczęta rozplotą
Warkocze, córki najpierwszych supanów,
Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina. Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą;

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnej księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwyca,
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,
Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanemi,
Co chce: niebiosa całe — i pół ziemi!"

Z tem stary Śwityn i Czerczak posłowie
Odeszli. A mnie jej postać, wprzód senna,
Zaczęła jaśnieć, jako słońce, w głowie
I coraz bardziej jawić się płomienna.
Więc potem, kiedy ległem na wezgłowie,
Cała mi w oczach ognista Gehenna
Błysnęła, ciągle piorunami pruta,
Ciemna, czerwona parami, jak huta.

Na piersiach darłem skórzane odzienie,
Ale do łoża byłem jak przykuty.
Wtem ona weszła w te straszne płomienie,
Jak duch, tęczami różnemi osnuty;
Nad nią niby z gwiazd grających pierścienie
Wiązały jedną pieśń na różne nuty —
Dzwoniące, cudne, jakieś gwiazdy śliczne.
Niby powietrzne narzędzia muzyczne.

Słysząc te głosy, z któremi dziewczyna
Szła na mnie, z ciała mego wyleciałem.
A ona w ogniu czerwona i sina,
Obracająca powietrznym chorałem,
Jako skrzydłami powietrznego młyna
Kręcąc, przywiodła duch, że włosy rwałem,
Przez wszystkie jęki i tony i zmiany
Idący za nią w toń — jak zwarjowany.

Jeszcze noc była — a ja, hełm na głowę
Włożywszy, wsiadłem na koń, pędzę cwałem.
Pamiętam szare powietrze perłowe
I zamek, wieży sterczący kawałem
Nad Wisłą, gdzie lud tę swoją królowę
Otoczył ludzkim i ceglanym wałem.
Tam przyleciawszy, w róg mosiężny dzwonię,
Grzmię, aż mi wszystkie oderżały konie.

Wychodzi siwy Switvn, wojewoda,
Ze snu czerwone przeciera źrenice,

„Idź — rzekłem — bo mi słów wczorajszych szkoda,
Za nadto ostre pokazałem lice;
Niech mi królowa wasza jasna, młoda
Naleje czary, podniesie przyłbicę,
A może łatwo ten rozkaz wykona;
Pieśń mi zaśpiewać, paść w moje ramiona".

Nic nie rzekł Switryn, lecz mię brzegiem wody
Prowadził, kędy stał tłum ludu mały,
Rybacy srebrne trzymali niewody;
Kilka świec (choć już ranek błyszczał biały)
Nieśli kapłani, z lutniami rapsody
Siedli na zrębie jednej małej skały,
Pod bladą wierzbą, mgłą ranną okryci,
Na wzgórzach w zmroku zapalono wici,

Na łące dziewy i panny służebne
Ujrzałem, tam i ów się krzątające.
Te niosły kwiaty, kadzielnice srebrne,
Diadematów złotych półmiesiące;
Inne — bławatki, do wieńca potrzebne,
Zbierały w trawach, kolorów tysiące
Rzucając w srebrne powietrze, w mgły szare,
Niby wiślanym duchom na ofiarę.

Dawny świat! Obraz dawny wywoływam!
Lecz ileż razy różaność przedwschodnia
I kwiaty, które mgłą okryte zrywam,
I leśne ptaszki, budzące się do dnia,
I tęcze, których do myśli używam,
Gdy się zapali mój duch jak pochodnia,
Przypominały obraz on tak rzewny;
Ubranie martwej na łąkach królewny.

Jak miesiąc była, kiedy z niego zetrze
Pierwszą pozłotę słońce w dzień jesieni,
A on się topi w błękitne powietrze
I lekko swego czoła zarumieni
I nad girlandą lasów, gdzie na wietrze
Drżą liście złote przy liściach z płomieni,
Pełny, okrągły, blady się przemienia
W mgłę, jak cudowna twarz srebrnego cienia,

Taka jej bladość, nieco ku błękitom
Nachylona już zgonu okropnością,
Takie ust perły. Wisły Amfitrytom
Z upiorną niby odśmiechnione złością,

Zresztą — spokojnie się onym kobiełom
Dawała stroić modrzewiów ciemnością,
Koroną złotą, wieńcami z bursztynu,
A strach powiększał trupa w oczach gminu.

A cóż dopiero, gdy Ja groźne lice
Odkryłem, z hełmu spójrzałem surowo
I połamawszy miecza, w błyskawicę
Cisnąłem jego kawałki nad głową;
Nade mną ducha mrok i złote świece
Miecza nad kitą moją purpurową,
Jak zawierucha olimpijska, wstały:
Mój duch na hełmie stanął w ogniach cały.

Krzyk pierwszy, który z ust wyszedł zwierzęcy
Już niepodobny krzykowi człowieka,
Zbudził Germanów całe sto tysięcy;
I szli jak morze huczące zdaleka,
Stos wystawiłem okropny! książęcy!
Taki wysoki, że wiślana rzeka
Na bladych trupów zatrzymana murze
Stanęła — cała jak upior w purpurze.

Lecz pierwej, nim ją oddałem płomieniom,
O! ileż strasznych słyszała lamentów!
„O! włosy! nie dam ja waszym pierścieniom
W ogniu z wiślanych oschnąć diamentów!
Każę podziemnym zamienić się cieniom
W gmachy, filarów pełne i zakrętów,
W alabastrowej cię położę trumnie,
Każę strzec wieków śpiewaczce — kolumnie.

Zbalsamowaną, wiecznym zdjętą spaniem,
Cicho na białych atłasach położę.
Sam przyjdę, jak lew legnę i wzdychaniem
Śmiertelnem twój sen spokojny zatrwożę.
Więc może wstaniesz? i pocałowaniem
Dasz mi ocknienia światłości i zorze?
I słuch mi weźmiesz, w tych podziemnych cieniach
Coś czytająca wiecznie na kamieniach?

W kraju bez słońca, bez gwiazd i księżyca,
Gdzie wiecznie smętno, posępnie i głucho,
— Ja — rycerz jako śpiąca nawałnica,
Z otwartą, szklanną źrenicą i suchą,
A ty — jak moja smętna czytelnica,
Perła po perle, ton lejąca w ucho,
Taka wyrazów i pieśni mistrzyni,
Że pieśń z tysiąca lat chwilę uczyni".

Tom rzekł, pośmiertne przeczuwając rzeczy
I głosy. I znów zajęty pożarem,
Chciałem ją złożyć na gwiaździcach z mieczy,
Upowić krwawym, rycerskim sztandarem
I z onej ziemi, gdzie ciało kaleczy
Słońce niewczesnym i nieludzkim skwarem,
Uciec w Iślandów wyspę zamrożoną,
Ogniami siedmiu wulkanów czerwoną.

„Tam ją — krzyczałem — gdzieś na lodowiskach
Złożę, jako kwiat, ujęty w kryształe,
I przy wulkanów rubinowych błyskach
Opłomienioną posadzę na skale,
A sam z dzikiemi orły na urwiskach,
Dzikszy niż burze, straszniejszy niż fale,
Gdy góry będą swoje ognie zionąć,
Mrozom się dam zgryźć i ogniom pochłonąć!"

Tak mój duch w kształty się piramidalne
Wyrzucał, dawną tryskając naturą;
Tak nowe ciała łańcuchy fatalne
Targał i piorun zawsze miał pod chmurą, —
Potem więc roki się zebrały walne
I mnie okryły Lechową purpurą.
Lud cały strachem ohydnie znikczemniał.
Jam siadł na tronie, zmroczył się i ściemniał.

I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
Dla sławy marnej, a nie dla spowiedzi:
Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo tak, jak w tarczę z miedzi,
Zbrodniami przedrzeć błękit i otworzyć
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady

A nie Bóg nad tą żywota fortecą
Zgwałconą twarzy pokaże, to przecie
Komety złote na niebie przylecą
I bliżej oblicz ukażą na świecie,
Nad zamkiem swoje ogony zaniecą
Jak widma, jedno i drugie i trzecie.
Jeśli nie zlęknę się, a krew mię splami...
Kto wie?... jak słońca przyjdą tysiącami!

Niebiosa, pełne widziadeł i twarzy
Słonecznych! może z krwawemi oczyma!

A tu koło mnie powietrze cmentarzy
I ciągła burza, wiatr, ognie i zima,
Wichry skrwawione, głos trupów z kościarzy,
Słońce poblednie, księżyc się zatrzyma,
Gwiazda zajęczy jaka lub zaszczeka?
Wszystko pokaże, że dba o człowieka!

„Jeśli nie, — rzekłem — jeśli z tym motłochem
Postąpię sobie, jak król zwarjowany,
A żywot, jak wąż, schowa się pod lochem,
Jak gdyby nie czuł w sobie żadnej rany,
To ludzie są proch! i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień, jak miecz, ukochany!
A tem straszniejszy, że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły".

Zaledwo ta myśl poczęła się we mnie,
Wzrok zaraz wydał ją jasny i suchy,
Wchodzący w myśli ludzkie potajemnie,
Aby tam widział w kościach, czy są duchy,
Więc naprzód Czerczak, u nóg mi nikczemnie
Proszący o łeb, pod katów obuchy
Poszedł, a za nim jacyś dwaj prorocy,
Których dziś krwawe łby widuję w nocy.

Za wojewodą cały dwór i sługi
Posłałem, niby z nim będące w zmowach,
I z wież patrzałem na ten łańcuch długi
Idących na śmierć z świecami, w okowach.
A niebios!... niebios błękitne framugi,
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche, obojętne!
Mnie się wszelako zdawało, że smętne!

Ogromny szereg tych wymordowanych
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę,
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,
Od których jęczy powietrze i płacze;
Albo, że ze ścian, ogniem zapisanych,
Wyjdą pająki z ognia, straszne tkacze,
Na ściennych ogniach się swych zakołyszą
I wyrok jakiś ognisty napiszą!

Myślałem, że me noce niespokojne?
A dnie, jak noce bez gwiazd, będą czarne?
W ciemnościach jęki? albo chrzęsty zbrojne?
Tchnienia na czoło chłodne? albo parne?

I nic!... Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć z Bożą wzgardą.

Przez dawne oczy widzę to ohydne
Pierwszego ducha dzieło z czasów onych...
Gdy stepy, całe dziś w mogiłach widne,
Wzięły u ludu nazwisko Czerwonych...
Wtenczas ujrzano mię, że w ciele brzydnę
I biorę postać duchów utrapionych.
Ludzie myśleli, że mi gniją trzewa,
A jam był senny, jak wąż, gdy poziewa.

Czasami z góry... na kolec blaszany
Wieżycy wstąpię i tak, jako owce,
Najpierwsze państwa Karacze, Supany
Każę prowadzić przez różne manowce.
Tam je kładziono w skrwawione kurhany,
Na stos znoszono chwast, czarne jałowce,
A ja, bywało, z góry, jak sęp dziki,
Widzę te w ogniach ruchome mrówniki.

Dziesięć czasami gwiazd i słońc czerwono
Zagore, dziesięć wrzasków razem słyszę;
I nie podnosi mi się duchem łono,
A ni się serce strachem zakołysze.
Jako Lucyfer z błyskotną koroną
Stoję, a zbrodni mojej towarzysze
Na większą, niż te wszystkie okropności,
Patrzą — na mą twarz śmiertelnej bladości.

Dziwią się wszyscy, że jak pies nie szczekam,
Jak lew nie ryczę, jak człowiek nie zgrzytam;
Nie wiedzą, że Ja, duch natchniety, czekam
Gwiazd, deszczów krwawych; i znów za miecz
I znowu cały świat na siebie wściekam! (chwytam
I znów się niebios zamroczonych pytam:
Czy mieczem, który w łono ludzkie wrażam,
Którą tam władzę niebieską przerażam.

Co tylko mocy ma ten mózg napięty,
Tom Ja na męki wynalazek użył.
Stosy, na Wiśle spękane okręty,
Kołowrót, który ciał długość przedłużył...
Wszystko, w męczeństwie ten kraj niepojęty
Swą cierpliwością wytrzymał i zużył!

A niebo wszystko to cierpliwie zniosło,
Póki kruszyłem duchom; łódź i wiosło.

Poszedłem dalej i w męki wyborze
Już nic nie mogąc straszniejszego stworzyć,
Zacząłem łamać większe prawa Boże,
Myśląc naturę samą upokorzyć,
Matkę mi z lasu stawiono na dworze,
A ja, zamiast się u nóg jej położyć,
U tej w łachmanach podartej orlicy,
Ciała użyłem za knot smolnej świecy.

Rzekłem ludowi, że mnie czarowała,
Że serce jadła, że żony mi truła.
Z włosem palącym się, jak ptak, latała
I zgasła. Wtenczas twarz mi się popsuła
I pokazała zielonością ciała,
Że się duchowi memu szata pruła;
On jednak w ciele nie wiedział o sobie,
W letargu niby i w czarnej chorobie.

Raz tylko byłem tak na niebie śmiały,
Że się przejrzałem, w tarczy patrząc lice.
A byłem cały jako trup szczerniały,
Który stoletnią miał w ziemi trumnicę.
A już robaki z niej pouciekały,
Bojąc się oczu jasnych, jak gromnice,
I czerwonemi przerażone łzami
Trupa i kości spróchniałych ogniami.

Lecz co dziwniejsza, że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity
Tę ziemię, jako anioł wzlatujący
Z pieśnią, co była jako szklanne zgrzyty
Harmonik i szła w ton coraz boleśniej,
Aż upadała w śmiech — w szaleństwo pieśni!

Gdy mię, bywało, taki czar omami,
A stoję, ręce wyłamawszy z ramion,
Choć tylko piana toczy się ze łzami,
A usta milczą, to mój duch omamion.
Wszystkiemi, zda się, kręci księżycami,
A gwiazdy nakształt muzykalnych znamion
Chwyta i w głosach tu ziemskich wyraża:
Tworząc już nie *Pieśń Sen* lecz *Pieśń Mocarza*.

Jeden był tylko przy mnie giermek mały,
Jeden był tylko i ta pieśń go struła.
Głosy okropne w niego wlatywały,
Kości roztrzęsły, pierś mu się popsuła.
Chodził i przez sen gadał i drżał cały,
Jak instrumentu cedrowa szkatuła,
Którą muzykant napełnił przelotem
Tonów i zamknął napełnioną grzmotem.

A tymczasem mię wielki Pan niebieski
Ubierał w grozę i w powagę strachu.
A strach był jakiś ciemny i królewski,
Który napełnił wszystkie kąty gmachu.
Pod stopą moją suche komnat deski
Grzmiały jak trumny. O komnat zapachu
Gadał po wioskach z trwogą lud ciekawy,
Że był zaduszny, tajemny i krwawy.

Na świecie o mnie śniono. Śród czeladzi
W podziemnych kuchniach gadano, żem blady
Jak miesiąc, gdy się przejrzy w krwawej kadzi,
W której pływają gniazdem wężogady,
Że gwiazda złota jakaś mię prowadzi
(Purpurowe tu tłoczącego ślady)
W ciemny kraj — gdzie się wszelka dusza wściekła
Na Króla Duchów czerwonych — do piekła.

A co dziwniejsza, że mię ukochano
Za siłę i za strach i za męczarnie.
Gdym wyszedł, lud giął przede mną kolano,
Lud owiec, który się k' pasterzom garnie!
Przed twarzą moją straszliwą klękano,
Widząc dwa skrzydła hełmu jak latarnie
I między niemi w środku zawieszoną
Tę twarz, jak lampę trupią i zieloną.

W powiekach rubin i błysk dziwny gore,
Powieki nożem zdają się rozcięte,
A przez czerwoną, rubinową korę
Patrzy duch... widmo przeszłości przeklęte!
Przez jakież, Panie! męki i pokorę,
Przez jakież później ciała z krzyża zdjęte
Musiałem ścierać strach z mojego czoła?!
Z oczu wydzierać ciemną skrę anioła?!

Żem wyzwał słońca Twoje i księżyce
I meteorów ogniska i burze,

I przeciw gniewom Twoim niósł przyłbicę.
I chciał zobaczyć, sługa, komu służę,
Żem chciał zobaczyć, Panie! Twoje lice,
Cztery pioruny Twoje, świata stróże,
Wszystkie potęgi Twoje o świat drżące
I wszystkie słońca i wszystkie miesiące;

Tyś mną pogardził, Panie! i ominął
I do straszliwej śmierci doprowadził. —
Swityn żył jeszcze. Starzec sławą słynął,
Bił wrogi moje, winy moje gładził,
Granicę mego królestwa rozwinął,
Na dwu srebrzystych morzach mię posadził;
Stary — a miecza do pochwy nie chował.
Jam go, jak ojca, kochał i szanował.

Pamiętam, biła północna godzina
I konstelacja Łabędź, jak krzyż złoty
Nad wieżą, gdziem był, leciała, jedyna
Sufitów próżnych lampa śród ciemnoty;
Wtem myśl ohydna o śmierci Swityna
W serdeczne moje wstąpiła zgryzoty
Z taką potęgą, żem wnet ku niej dłoni
Podał, jak dziecko uśmiechnął się do niej.

Potem ją chciałem zmazać, ale ona
Już jako pani mego serca była.
„Sprobuj — wołała — jeżeli ten skona,
A żadna zorzaby nie zaświeciła,
A żadna gwiazda z tych gwiazd przerażona
Nie przyleciała, krwi się nie napiła,
To wtenczas będziesz spokojny o ducha;
Ziemia proch! — człek z niej jak wulkan wybucha.

Płomieniom wolno chodzić po dolinach
I błyskawicom wolno bić w cnotliwe,
Za myślą twoją idź, nie myśl o czynach!
Probuj, czy niebo martwe jest czy żywe?“
Tak mi ktoś szeptał. Gdyby w stu Świtynach
Stu ojców moich własnych głowy siwe
Patrzały na mnie z grobu jego wzrokiem,
Nie byłbym cofnął się przed krwi potokiem.

Wysłałem katy; lecz myśl, gdy się kwieci,
W coraz straszniejsze rozwija się drzewo.
Posłałem drugie: dwór, żonę i dzieci
Wyciąć. Był ciemny dzień i grad z ulewą.

Czasami słońce ponuro zaświeci,
I gradem złotym, jak zwichrzoną plewą
O pancerz chłośnie i z kitą się zetrze,
Bom stał, czekając tych katów, na wietrze.

U progu mego żebractwo się szare
Skupiło. Patrzą — król na progu stoi.
Przez deszczu struny widzą jakąś marę,
Jęczącą gradem, bijącym po zbroi.
Wtem wyszło do mnie suche widmo stare,
Żebrak i blisko stanąwszy podwoi,
Jak posąg, który wiecznym być zaczyna,
Skościał i podał mi list od Swityna.

PIEŚŃ III.

Na dworach wówczas nasze wojewody
Trzymali sobie nadwornych gęślarzy,
Ci byli jako rycerstwa rapsody,
Zazwyczaj mądrzy, ślepi już i starzy.
Jako pancerze śrebrne, długie brody
Na piersiach mieli a słoneczność w twarzy.
Liry nosili małe, ale sławne,
W koral lub w srebro lub w bursztyn oprawne.

W ręku trzymali niby pastorały
Długie, wierzbowe, ostrugane kije.
Temi, bywało, chłopczyków chorały
Pędzą i wiodą takt przez harmonje;
A kiedy w górę kij podniosą biały,
Wtenczas z choralnej pieśni piorun bije;
A kiedy spuszczą na dół berło dziada,
To na kolana pieśń jak anioł spada.

O takim kiju, z lireczką u pasa
Stał stary rapsod Swityna u proga.
Na płaszczu, pomnę, była różna krasa
I łaty różne: zda się, że płaszcz z Boga,
Na którym zorza w błękitach dogasa
I różne światła płoną. Jego noga
Bosa dziś świeci przed memi oczyma,
W obwiązkach, srebrna, jak muszla pielgrzyma.

Tak z wystawioną naprzód nogą bosą,
Podróżny żóraw, na białym kosturze
Oparty, z twarzą jasną, srebrnowłosą,
Stał w płaszczu starym, jak w błękitnej chmurze,

I list podawał. Iryda, za kosą
Wlekąca tęczę, gwiaździce i róże.
Nie jest mi piękną tak, gdy z niebios spada,
Jak to wspomnienie dawne tego dziada!

O! złote serce śpiewaka i sługi,
Tak po męczeńsku cierpiące dla Pana,
Miej grób, którego nie rozorzą pługi,
Do zaklętego podobny kurhana;
Wiecznie tu wstawaj w pieśni! i wiek długi
(Aż znowu ta pieśń będzie zapomniana)
Przykładem ludzi do miłości znęcaj!
Śpiewaj! a liry też czasem pokręcaj!

Niech mi przypomni czary tobie znane
I słowa dobre na serc otwieranie,
Porządne, ważne i uszykowane
Rzędem, jak dźwięku anioły w organie;
A przebacz mi już tę okropną ranę
I to straszliwe nóg przyćwiekowanie,
Które-ć odjęło (to, co-ć najboleśniej!)
Twój najpiękniejszy czar — wędrowność pieśni!

On mi podawał list, a ja na nodze
Jego oparłem miecz żelazny, krzywy
I czułem, że mu między kości wchodzę;
A on stał, jak Bóg wielki, bo cierpliwy!
Mieczem przygwożdżon w kamiennej podłodze,
Którą czerwienił krwawy koral żywy,
Stał obwinięty ów żebrak w błękicie
I tak się na mnie patrzał, jak na dziecię.

A ja, nie zdjąwszy miecza z jego rany,
Owszem głębiej go zapędzając w koście,
Czytałem słowa, które jak szatany
Paliły mi mózg i gryzły wnętrznoście.
Ten list, na sercu mojem zapisany,
Nad wszystkie ducha mego okropnoście
Głębiej swe straszne zarzuty wykował,
Bo mną ten człowiek gardził, choć miłował!

„Kacie ojczyzny mojej i tyranie!
Mój królu wczora! (pisał Swityn stary)
Na dobrowolne poszedłem wygnanie,
Abyś przez mój zgon nie dopełnił miary,
Ty mię wyganiasz? a ja, o mój Panie!
Żołnierzy wszystkich serca i sztandary
Zostawiam tobie; sam znikam bez wieści,
Sam nic nie biorę z sobą — prócz boleści.

A byłbym chętnie dał głowę strudzoną
Pod miecz twój; chętnie w ręce twoje złożył
Tę głowę ściętą ale uśmiechnioną,
Której Bóg nigdy śmiercią nie zatrwożył,
Gdybyś ty jeszcze miał człowieka łono
I nad kościami ludzi się nie srożył
Gardząc miłości ostatniem spojrzeniem.
Mszcząc się nad kością, jak pies nad kamieniem.

Aniołowie mię dziś ostrzegli złoci
We śnie. Twój sam duch stanął pod kotarą,
Tak, jak pochodnia świecąca w wilgoci,
Cały oświecon ogniami i parą,
Tyś mię sam ostrzegł! a to nie z dobroci,
Ale żeś taką dziś stał się poczwarą,
Że słychać ciebie i czuć, choć zdaleka,
Kiedy pomyślisz o śmierci człowieka.

Duch litośniejszy twój jest Ci za szpiega,
On naprzód zgniłe twe serce wypyta,
A potem chodzi i ludzi ostrzega,
Gdy twoje ciało śpi, a ząb twój zgrzyta;
Duch twój wychodzi i po kraju biega
I targa włosy, jęczy jak kobieta;
Ty, zmordowany jego lamentami
Wstajesz, nie wiedząc, żeś płakał nad nami.

Jakiś cię anioł okropny odmienił
I przysłał dzieło wypełniać straszliwe,
Lud rozhartował — a ciebie skamienił
I kazał ludy orać jako niwę.
Abyś co? — wiatry wiejące spłomienił
Duchami, które wyszły z ciał — a żywe
Wkrótce w anielskiej zjawią się ozdobie,
Jak wiatr na ciebie i przeciwko tobie!

Miej więc dzień jeszcze ten jeden w zarządzie
Siłę, która jest w mieczu i toporze.
Ja ciebie czekam na ostatnim sądzie
Z tym listem, który w mogiłę położę!
Czekam za światem ciebie, na wylądzie
Brzegu, o który grzmi ogniste morze,
Krwią twoją jasne i zafarbowane!
Czekam! z tym listem przeciw Tobie stanę!

Tu ci nie błyśnie więcej moje lice,
Choć niedaleko lecę, żóraw szary.

Pobytu mego mają tajemnicę
Ja tylko, mój koń i mój rapsod stary.
Prędzejbyś zgonił letnią błyskawicę,
Niż mego konia. Człowieka zaś wiary,
(Jeśli cię starość i pieśń pełna wdzięku
Nie skruszaj) spróbuj, królu, masz go w ręku!"

Taki był straszny starego Swityna
List; ja w nim groźbę jęczącą słyszałem
I opór ducha, który się zaczyna
Od jęku tylko, a staje się ciałem.
Więc jak skrzydlata skoczyłem gadzina
Z całą wściekłością, z całym ducha szałem!
Choćby królestwo całe przyszło ruszyć!
Wszystko!... a złamać harfiarza lub skruszyć!

Stary był, pomnę. Zorjan się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucał ani wydobywał
Głosu wielkiego z maleńkiej lireczki,
Głaskał ją tylko (wyjaśniwszy lice),
Niby zlęknioną, białą gołębicę.

Zdawał się mówić i twarzą i ręką,
Jakby nad brzegiem szemrzącego zdroja;
„Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką!
Ani się lękaj cielesnego zboja!
Nie bój się, moja maleńka lirenko,
Nie bój się, siostro! nie bój, córko moja!
A na tożby to nasza mądrość była,
Gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?

Przyjmowano cię po domach i chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą,
Bądźże dziś wdzięczna, a nie płacz przy katach,
Bo s'ę ucieszą i ton twój pochwycą,
Czekaj, wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą!
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfiarzy, co jak anioły śpiewają!

Czekajże, liro!... śpij!... Błogosławiona
Ta błyskawica jasna i rumiana!"
Tu wzięły w złote, ognisté ramiona,
Zniknął. — A mój duch uczuł wtenczas Pana.

Czeluść okropna mych ust otworzona,
Suchość i jakaś pożarność gardlana,
Pierś, która wiatru w się więcej nie bierze,
Ostrzegły, że już do piekła należę.

Dysząc, na konia siadłem, od popiołów,
Które pożarły pieśń, obsypan, w szale,
A tłum siepaczy, jakby archaniołów.
Ubrany w złoto, w bursztyn, w miedź i w stale,
W skrzydła, w moc wielką tortur, gwoździ, kołów
Zaopatrzony, za mną w Wisły fale
Rzucił się, gotów mordować do końca,
Wszyscy na koniach, jaśniejszych od słońca.

Ja przodem. W czerep czarny, ołowiany
Ukrywszy głowę moją, jak w kapturze,
(Bom w sobie uczuł wstyd nieopisany,
Twarz mieć jak gryszpan, wzrok jak ogień w chmurze.
Przypadłem w zamek jeden nadwiślany,
Który zastałem cały już w purpurze,
Że trupy swoje wyrzezane chował,
Duch mój przede mną tam był — i mordował.

I przestraszyłem się, bo mi z pamięci
Wczora wydane rozkazy wypadły.
Katowie stali wszyscy trwogą zdjęci,
Stali blademi przede mną widziadły;
Jam wrzeszczał: „Kto tu prędzej, niż me chęci,
Niż myśli moje? kto srożej zajadły
Na krew Swityna, niż ja, wpadł w pokoje?
Kto tu wypełnił, jak Bóg, myśli moje ?

Duchowi memu to przypisać muszę,
Bo ziemia nie ma takich rozbójników!
Zmiękczyłyby ich te dzieciątek dusze,
Ta wyspa, pełna wierzb, olch i słowików,
Te sionki z cedru, które głosem ruszę —
A one, pełne ech, jęków i krzyków,
Swityna głosem brzmią na każdem piętrze,
Jakby starego instrumentu wnętrze.

Ja jeden, który do szaleństwa skłonność
Mam, wpadłem tutaj o jutrzenki świtach;
Ani sal cisza, ani belek wonność,
Ani pieśń rodu śpiewana w sufitach.
Ani mię zemsty nieudolnej płonność,
Ani szatan tu, ani Bóg w błękitach

Nie zatrzymali. — Nic niema na niebie!
Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!"

To mówiąc, kostur wraziłem okuty
W ścianę i rzekłem do moich oprawców;
„Tę noc na ucztę; jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was, zbrodni wykonawców"
Tu zamek cały błysnął nakształt huty
Ognisk czerwienią. A ja tych bladawców,
Zbrodniami bladych, otoczony wieńcem,
Siadłem — trup, jasny pijaka rumieńcem.

I ucztowaliśmy w zamku wygodnie,
Swityna własne nam służyły misy,
Stągwie, kobierce, czary i pochodnie
I krwią cuchnące wonnych ław cyprysy.
Czary nam do rąk podawały Zbrodnie —
Widma, w płaszczach z krwi, z zielonemi rysy,
Stojące z boku upiory czerwone,
Wyraźne, a gdyś spojrzał wprost — zniknione.

A wtem przyleciał giermek zadyszany
I te wyrazy z ust wyrzucił skore:
„Panie! Ogromny znak jest ukazany!
Na niebie miotła płomienista gore".
Jam zbladł i kostur wyrwawszy ze ściany,
(Sądząc, że widzę ducha albo zmorę,
Która mi wróżbę nieszczęśliwą szczeka)
Na wskróś przeszyłem w pierś tego człowieka.

A sam wybiegłem na ganek odkryty,
Z którego widok szedł po okolicy.
Na drżące wielą gwiazdami błękity,
Poddane jednej, ogromnej gwiaździcy.
Ta, jako wielki miecz z pochew dobyty,
Karbunkuł miała czerwony w głowicy,
A ten się błyskał i mienił na zarzy,
Jak oko w ducha niewidzialnej twarzy.

Wtenczas w tej gwieździe oczyma usiadłem
I mocowałem się z nią jak z szatanem;
Truciznami ją serdecznemi jadłem,
Trawiłem jadów duchowych gryszpanem.
Więc czasem ona, a czasem ja bladłem.
Ażem nareszcie padł, jednem kolanem
Przyklękły, dysząc, przejasnemi świty,
Jak rycerz w szrankach, dzidą w pierś przebity.

I obaczyłem w gwiaździe niby znamię
Ognistsze, powiek mgnięcie i błysk oka;
Wtenczas uczułem, że mi ducha łamie
Na wieki jakaś moc — straszna — głęboka.
Więc obróciwszy ku ludziom przez ramię
Twarzy — i palcem ognistego smoka,
Który w niebiosach wił jasnym ogonem,
Wskazując, rzekłem: „Przyszła z moim zgonem

Kometa". — I tu, coraz bardziej blady,
I mieszając się już, rzekłem ponuro:
„Świat zwyciężyłem! i oto są ślady,
Żem duch, mający moc nad tą naturą!
Gwiazdy tę gwiazdę wysłały na zwiady,
Czym żyw? czy jeszcze, okryty purpurą,
Czynię rzecz króla, człowieka i zboja?
Niebo się zlękło o świat. — To śmierć moja.

Idźcie... Już więcej nie jesteście sługi
Mojej wściekłości, lecz rycerze twardzi.
Kupiłem naród krwią i nad jej strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi.
Niejeden sobie wieśniak wieczór długi
Umili pieśnią — i tem się rozhardzi,
Że będzie o swych ojcach przypominał,
Jak śmiało na śmierć szli, gdy król wyrzynał!

Co do mnie?... jam jest bicz okropny, Boży
I będę cierpiał, co mi przeznaczono.
Za chwilę jednę otchłań się otworzy!
Piorun rozerwie moje wielkie łono!
Wściekłoście — jak psy spuszczone z obroży!
Żądze — jak słońca ogniste rozpłoną!
Ogromne ze mnie na wiatr pójdą cienie,
Wszechmiłość zmyta w krwi — i wszechcierpienie!

Duch mój odpowie. Lecz wy jak dzieciątka,
Jak białych jagniąt jesteście gromada.
Wszystko, com czynił, szło z jednego wątka,
I cały ciężar zbrodni na mnie spada.
W kurhanach tylko zostanie pamiątka
I w pieśni długiej wędrownego dziada,
Żem żył. — Chwasty mi porosną na grobie...
Inny was anioł rozmiłuje w sobie...

Ale po latach!..." Chciałem mówić więcej,
Wtem się zaczęła kości targanina.

Przez ołowiany kaptur sto tysięcy
Szło iskier... topniał na mnie drut i cyna,
Chciałem zachować dumny kształt książęcy,
Lecz tak pękałem się, jak w ogniu glina.
Oczy się chmurą zasłoniły czarną,
I duch się cały skupił w jedno ziarno.

Nic więcej. — Straszne zaćmienie i głusza!
Na sercu ręki Bożej położenie:
Docisk ostatni, pod którym się dusza
Pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie.
Więc jako robak, co się w ogniu rusza,
Tak ona — póki w ustach było tchnienie —
Leżała na dnie swej serdecznej plamy,
Aż Bóg otworzył jej — wieczności bramy.

Taki był koniec mojego żywota,
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czem była istota
Czynów? w czem wyższość od rzymskich Herodów?
Nade mną była myśl słoneczna, złota,
Do niej moc ciemnych, okrawionych wschodów
Wiodła mię prosto w złotych celów progi:
Jam szedł, jak rycerz, krwawo — i bez trwogi.

Życie dźwięczało w każdej ducha strunie,
Moc słychać było w każdem moim kroku;
Choć być na takiej drodze? — lepiej w trunie!
Choć z myślą taką? — lepiej z włócznią w boku!
Prędzej, czy później, deszcz piorunów lunie
Na orła, który słońce miał na oku;
Na mnie — żórawia z wyciągniętą szyją
W przyszłość — pioruny Boże jeszcze biją.

Ale przeze mnie ta ojczyzna wzrosła,
Nazwiska nawet przeze mnie dostała
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie: Polska — na ból — skała.
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła,
I duch jej święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe, lecz com ja wycisnął
Pod krwią, tem zawsze zwyciężył, gdy błysnął!

Śpijże mój kształcie pierwszy, z ducha zdjęty,
Świecący w dali, jak księżyc na nowiu,
Upiorny, za krew wylaną przeklęty,
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.

Klątwa na ciebie! jak na diamenty,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun ubrane.

Lecz ja na tobie nogę postawiłem
I dalej szedłem; a jużem był Boży. —
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem,
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

RAPSOD II.

PIEŚŃ WSTĘPNA.

A teraz tobie cuda niesłychane
Opowiem, moja piękna Przenajświętsza.[1]
Bez ciebie nigdy sam nie zmartwychwstanę
W ten świat, który się podług blasków spiętrza.
Ty, przez jutrzenki widziana różane,
W miesiąców złote utopiona wnętrza,
Ciągle mię wznosisz do się, różo złota,
Zawsze widziana w przededniach żywota.

Jeśliś uciekał przed czarnemi snami,
A wiesz, że strach się taki wielki stanie
I przed takiemi zatrzyma progami,
Że już ty ciało budzisz, krzycząc: Panie!
Wiedz, że bez ciała duch, który się splami,
Na tym się progu ujrzy niespodzianie,
Którego nie mógł przestąpić w ułudzie,
I stamtąd w ciemny ten strach dalej pójdzie!

A już nie jako mara, lecz rzetelnie
(Bo rzetelnością jest duch, ciało — marą),
Pójdzie, a sobie nie postąpi dzielnie,
Ani pomoże sobie formą starą.
Ja przerażony byłem tak piekielnie,
Że pierwsze chwile, które były karą,
Gnały mnie. — Jam się wydawał olbrzymem
W sobie — a byłem tylko krwią i dymem,

[1] Pani Słowa

Potym stanąłem, jakby brzęk pieniążka
Złotego słysząc, w dłonie chwytał obie
Za słuch... wzrok, niby z ognistego krążka,
Pełny kolorów strasznych, śnionych w grobie.
Myśl, jakby jaka dziwna, złota wstążka
Z pszczół, uciekała mi z rąk...
. . . . . .

Potem ustąpiła niby duch z ciała
Pamięci — a złe, jak kamienie gniotły.
Widziałem, jak mię gwiazda zawołała,
A ciało zaraz gadziny oplotły.
Nade mną wielka ćma duchów latała.
I różne złote, straszne komet miotły
Pędzały mego anioła szelestem
Skrzydeł, żem wcale nie wiedział, gdzie jestem.

W czerwonych niby mgłach i śród jaskółek
Urągających ujrzał się jak mara,
Rzucona w bezdno — w próżnię — w bezprzytułek,
Rosnący jako mgła — i dym i para;
Myśl, jako promień, pełny złotych pszczółek,
Brzęczała i tak, jak gałązka stara,
Strącona z drzewa swojego, uciekła
I poleciała dzwoniąca do piekła.

Ani tę chwilę pojmiesz, odbieżany
Teraz przez cały świat, — chwilę rozpaczy,
Gdy sam, jako już zegar zatrzymany,
A ból — godzinę zawsze jedną znaczy.
Serdeczne ci się otwierają rany,
A myśli anioł już nic nie tłumaczy;
Z świata cię żadne nie dochodzą wieści,
Wszystko ucichło w duchu — prócz boleści...

Jednak jakieś sny o losach ojczyzny
Wstawały dziwne, jak wianek upiorów,
Podobne do tęcz, które ze zgnilizny
Wodnej pokażą się marą kolorów.
W najniższych sferach zgniłemi bielizny
Okryte duchy, nakształt gladjatorów,
Rżnęły się ciągle i gryzły jak kruki,
Szedłem — pocięty być przez nich na sztuki.

Bom myślał, jakąś boleścią podobną
Do tamtej, która tylko w ciele była,
Zagłuszyć mękę krwawą i żałobną,
Która mię piekła — gryzła i paliła.

Chciałem od serca głowę mieć osobną,
Chciałem, by każda sama sobie żyła
A nie szła skarżyć się tam każda blizna
W to jedno miejsce, gdzie cierpi ojczyzna.

Lecz próżno bito mnie i mieczem cięto
I gorzej jeszcze mieczami chłostano,
Czułem, że serca ze mnie nie wyjęto,
A serce było tylko jedną raną.
Więc zostawiłem to upiorne święto,
Gdzie duchy bito — a nie zarzynano,
Na te upiory wszystkie krzycząc srogo,
Jak król, że sieką — a zabić nie mogą.

A potemem się z mieczów wydobywał,
Lecz skrzyżowały błyskawic oblicze:
Jeden ciął, drugi syczał i przeszywał,
Inne wiązały się w węzły jak bicze.
Duch się w czerwone sztuki rozlatywał
A czuł boleście takie tajemnicze,
W mgle latające jak węże rumiane,
Boleścią jedną czute... i związane.

Potem poznałem, że mi to od świata
Boleść i mieczów cięcie przychodziło,
Kraj zarażony przeze mnie i kata,
Toczył się dalej straszną, krwawą bryłą.
Jak trup, na którym okrwawiona szmata,
A on się toczy swoją własną siłą
I ściga we śnie czerwonym człowieka —
Spojrzysz — na nogi staje i ucieka.

Jam tak obrócił przeciwko strachowi
Oczy, i zaraz strach wyznał przede mną,
Że to są duchy, przeciw Switynowi
Niosący moją myśl — chorągiew ciemną.
Dwunastu katów, jak ja, ludzie nowi,
Z moją postacią, lecz z duszą nikczemną
Wzięli to ze mnie, co każdy morderca:
Trup porzucony uczynków — bez serca.

Wtenczas tę walkę we mnie Bóg wnaturzył,
We mnie krzyk, we mnie blask — i mieczów rznięcie,
We mnie się obłok zakrwawiony kurzył,
We mnie szło z pola trupów ducha wzięcie.
A jam zacierpiał jak szatan — i stchórzył,
W iskrze duchowej, niby w diamencie,

Mając boleści różnych tajemnice,
Kolory, krzyki, jęki, błyskawice.

Cały się stałem ojczyzną i cały
Stałem się prochem i cały rozpaczą!
Fraszka te węże, co w piekle kąsały
Dawne anioły. Niech ludzie zobaczą
To ziarno męki i ten proszek mały,
W którym się miasta palą, matki płaczą,
Dzieciątka swoje własne gryzą z głodu,
Niech pojmą ducha jęk — słowo narodu...

Na moim sercu, jak na złotej tarczy,
Sto dzid się łamie i sto mieczów kruszy
I sto utkwionych strzał boleśnie warczy
I sto aniołów upada bez duszy,
Myśląc, że serce za wszystko wystarczy,
Wszystko uzbroi sobą, wszystko wzruszy!
A ja co? — anioł na dnie mgieł czerwonych,
Pan niewidzialnych duchów, brat szalonych.

O tej krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utraca,
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Zniszczyła ciało gorzej, niźli praca,
Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca.
Dla mnie zniknęło męczarni oblicze
I od świtania w niej... znów czasy liczę.

Niechże ta męka moja przedwiekowa
I to stchórzenie ducha — ludziom służy,
Już za tą chmurą jutrzenka się słowa
Pokazywała, jak tęcza po burzy;
Już krwią nabrzmiały, jak mgła purpurowa,
Rosłem do nowej walki i podróży,
Gdy Pani słowa, gdzieś w gwiaździstym wichrze
Skryta, przysłała dwa duchy najlichsze.

Gdzieś z ostatecznej krainy zachwyceń
Przyszły te duchy — i nauczyciele,
Bez słów i dźwięków i bez tych przesyceń,
Które duchowi są od nauk w ciele.
Ci zapomocą różnych się oświeceń
I blasków, szybom podobni w kościele
Wymalowanym, z myśli tłumaczyli,
By kwiat, gdy zamknie się — i znów rozchyli.

Język z słonecznej był miłości wzięty,
Nią złoty, gdy się zniżał — malowany,
Lecz cały wielki, otwarty, natchniety
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany,
Jak dziecko krzyczy „ach!“ na diamenty,
Tu ogień widząc złoty — tam rumiany,
Bo wszystkich złowić płomyków nie może:
Tak ja, słysząc twój język ducha, Boże,

Ścisnąłem chmurę purpurową, chłodną,
A to ściśnięcie było znakiem słuchu;
Z całą dzikością moją pierworodną,
Pogańską — cały ścisnąłem się w duchu.
A taką siłę podłą i niegodną
Uczułem nagle w tych potęg łańcuchu,
Że byłbym zniknął, gdyby to na chwilę
Której z duchowych było wolno sile.

A oni do mnie przez różne błyśnięcia
Zaczęli, czuciem we mnie tłumaczeni:
„Ty świat i berło duchów masz do wzięcia
I bramę ciała — do wyjścia z płomieni.
Przedurodzone więc stąd bierz pojęcia
I kształty czynów bierz ze świata cieni;
Z niemi cię oto na świat posyłamy
Przez błysk miłości — i przez Trójcy bramy.

Wielką masz spełnić w twej ojczyźnie sprawę.
Z upokorzeniem twej strasznej natury,
Pamięci nie bierz, a twych myśli wrzawę
Uśmierzaj, a patrz, jak anioł, do góry!
Ofiaruj Bogu w myśli — miecz i sławę,
Ofiaruj miecza twego błysk ponury!
Nową żywota jutrznią się rozraduj
I błyszcz — a dawnych kształtów nie naśladuj!

Nic teraz jeszcze tobie nie powiemy
O wielkich celach żywota, ostatnich;
Sam szukaj! — gdy się zmylisz, zapłaczemy.
Miej serce — a nas rozradujesz bratnich.
My jedni świata cały zarys wiemy
I podług tkaczy — z pasm albo blawatnich
Albo ze złotych nić w świat przędziwo
Wpuszczamy, tu kwiat czyniąc — a tam dziwo.

Lecz nikt nie może nieumiłowany
I tą miłością na dół nieściągnięty

Pójść — nawet wielkie duchy i szatany —
I dla nich nawet świat formy zamknięty,
Dopóki anioł jaki, krwią rumiany
I w myślach swoich nieczystych przeklęty,
Nie ukocha je i grzechu martwice
Nie zaklnie przez chęć — grzmot i błyskawice.

Idź więc... grzechy twe są ci odpuszczone!
Małoś tu cierpiał, boś był jeszcze mały
I tak, jak dziecko, czyniłeś szalone,
Bniegnąc za mocy upiorem i chwały.
Błysk mieczów, te mgły, te światła czerwone,
Goniące widma, piorunowe strzały
Za dzieciątkami tylko w nocy gonią;
Biadać, gdy strachu twarz wielką odsłonią!"

Tu natężywszy mówiące płomienie,
Zaczęły gadać tak te cudowniki,
Że ja, równając nagle to natchnienie,
Pękałem się w grzmot, rozrzucałem w krzyki;
Mój śrzodek ogniem był, blask i krzemienie
Członkami; cały rosnący w płomyki,
Gdyby mię ręce nie zgasiły ciemne,
Stanąłbym wielki, jak słońce podziemne.

Kto zimną wtenczas dłoń na mnie położył,
I kto zagasił okropne świecidło?
Czy który z martwych, który na to ożył?
Czy jakie ducha lecącego skrzydło?
Czy te anioły, którem ja zatrwożył
Przez nagłe mych władz i sił malowidło?
Czy Bóg? — Ja nie wiem, ale taka trwoga
Wielka nie mogła mi przyjść, jak — od Boga.

Znowu stchórzony i sam — a już nisko —
Uczułem, że się w czemś zwiniętym plączę,
Że oczom moim ciemno, nogom ślisko,
A do ucieczki ciągną chęci rącze.
Wszedłem na jakieś straszne wężowisko,
Gdzie trupie resztki, drucianą opończę
Nadeptał mój duch i przejął się trwogą,
Czując, że własne kości ruszył nogą.

Spłynąłem, jako czarna mgła i, w chmurze
Stojący, nagle słyszałem, że krzyczą
Woźniki wodne i ponocni stróże,
Którzy tę kępę trzymali słowiczą:

„Upiór się czarny pokazał w kapturze
I szedł przez wieżę śmierci tajemniczą,
Gdzie byli gwiazdą królowie zabici;
Oczy miał białe, w nich ognie jak nici".

Wtenczas pojąłem kształt mego upiora
I pełny strachu po lasach i karczach
Błądziłem — a kraj cały był w pomorach,
Bitwach i rzeziach, zboża niedostarczach.
Więc w dwunastu się pojawiłem dworach
I w dwunastu się pokazałem tarczach;
A twarz w najbladsze ubrała się chłody,
Na obudzone patrząc wojewody.

W jednym mię tylko błyśnięciu widzieli,
Lecz w tym błyśnięciu Król-Duch spojrzał na nie,
I wszyscy... wszyscy, jak ciemni anieli,
Szli na bój. Każdy chciał w drugiego ranie
Dostać korony. „Trupaśmy widzieli,
Który za nami po królewsku stanie,
(Tak mówił każdy z nich do zaufanych
Dworzan pod wstęgą chorągwi rumianych).

Jeśli się zjawi w swej ciemnej osobie".
Jak gdybym ja się chciał pomocą zmazać
I ducha mego znalezioną w grobie
Twarz na tych tarczach miał znowu pokazać!
O! raczej byłbym ja na strony obie
(Gdybym duchowi memu mógł rozkazać)
Siał strach z oblicza i z wężów korony,
We wszystkich razem tych tarczach zjawiony.

Ohydna walko zwierzęca, nad którą
Wyższą chorągwią byłem ja, duch dawny,
Jak łachman jakiś skrwawioną purpurą
Powiewający, dzami ludu sławny. —
O! ty cudowna i cicha naturo,
Któraś pokryła ten kraj, krwią uprawny,
Płaszczem ogromnym z płynącego złota,
Po którym w duchu jest szmer i tęsknota. —

O! uciszcie mi tę żałość, przemarłą
Wiekami, a dziś jeszcze w sercu żywą!
Był to bój, gdzie psy chwytały za gardło,
Konie latały z ukrwawioną grzywą,
Tysiące duchów po śmierci się żarło,
Wychodząc z ciała duszą niegodziwą,

Wyrwaną z ciała szatańskim zachwytem,
Z psa skowytaniem, szczekaniem i zgrzytem.

Tu Pomorzanie, Lutyki i Serby,
Tam czarne jak żuk Jadźwingów narody, —
Różne chorągwie i zwierzęce herby
Na złotych tarczach, — ogień, palacz wody,
Rzucany ręką, — a przez ognia szczerby
Na wozach widne różne wojewody, —
Na wielką pola krwawego rozwlekłość
Rzucali głosy z trąb, a w głosach wściekłość.

Aż mię ta burza, na różne obozy
Tam rozdzielona, we mnie jak wichrzyca,
Wzięła i duchem zapaliła zgrozy
I uczyniła piorunem bez lica;
Na dusz widmami obwieszone brzozy
Wpadałem jak wiatr, żarł jak błyskawica,
Zmuszał je, w piekło aby szli ogniści,
Z dusz okrwawionych obrywał jak z liści.

Z siebiem otrząsał, jak podłe robaki,
Do moich wielkich skrzydeł uczepione,
Łamał błyszczące miecze, palił znaki,
Burzył krew, fale podnosił szalone;
W siebiem przemieniał, jak w upiora, krzaki
I pokazywał żywym rzeczy śnione,
Władze piekielne w tych duchach poruszył,
Wściekłość zamienił w przestrach i zagłuszył.

Stanęli... Z wielu trąb i z głosów wiela
Jedno wybiegło imię... Lecz na Boga!
Wolałbym znowu słyszeć, jako strzela
Na mój rodzinny domek działo wroga,
Niż zatrąbione to imię Popiela,
Któremu wtenczas posłużyła trwoga,
Przez mój rzucona duch i te zjawiska,
I pomógł próżny, dziwny brzęk — nazwiska!

Obwoływali go księciem — a ja się
Ściągałem z pola, jako chmura czarna,
Która się parą bagnistą napasie
I zakręcone jak skry porwie ziarna
I wszystko skręci i w tęczowym pasie
Chodzi nad lasy ciemnemi, pożarna
W głębi i wielu piorunami wrąca,
Czekając na nów dżdżystego miesiąca.

Tak straszliwościom i zbrodniom zwysoka
Byłem osłoną i groźbą zarazem,
I szerokością wielkiego obłoka
Ciężąc i moim na chmurach obrazem
Jednego tylko na dole proroka
Oczy, utkwione we mnie, i przekazem
Mojego ducha tchnęło wielkie łono,
I twarz miał ogniem moim ozłoconą.

Dziś jeszcze widzę, jakby w tajemnicy
Najgłębszej ducha mojego, tę chatę
Na szmaragdowych łąkach, przy Kruszwicy,
Zapraszającą bociany skrzydlate.
Kat wielki wężów, król tej okolicy,
Miał gniazdo, trawy srebrnemi brodate,
Dziwnie świecące, na wysokiej tyce
Koło, ubrane w komina iskrzyce.

Nie szkodziły mu jednak ognie złote,
Lecz jako źródło szły prosto do góry
I przebiwszy się przez dymu ciemnotę,
Czyniły różę ognistą z purpury.
Widziałem dziwną aniołów robotę
Około ptaka, ich tęczowe sznury,
Czyniące nieraz, że chata — kościołem,
Koło miesiącem było, ptak — aniołem.

A w chacie głębsza jeszcze — sprawa Pana,
Którą piastował — (jak dziś jasno widzę
Pełny pamięci) — anioł Zorjana,
Ten sam, na nowej kwitnący łodydze.
W nim jeszcze dawna pieśń — niedośpiewana
I miłość ludu razem z sobą w lidze
W mądrość się jedną, wielką zamieniły,
W serdeczność wielką i w powagę siły.

A coś — jak w danym wodzu Izraela:
Ludowe, z dziwną twarzą tajemnice —
Zaklęcia gadów — i dotknięciem ziela
Trzaskane czary, a czasem zbroice —
Ptaków ogromnych pogrzeby, wesela,
Jak nadpowietrzne girlandy — różyce
Pozawieszane, aż się starzec zjawi,
Głos wyrozumie i pobłogosławi.

Wszystkie te cuda, już pomiędzy ludem
Dawno — dziś tylko w powieściach — żyjące,

Były widzialną mocą, żywym cudem.
A o cud były tak niebiosa drżące,
Że gdyby serce zaszło jakim brudem,
Serce, które ma w sobie serc tysiące,
A brakiem wiary cudotwórcę zlękło:
Nie byłby karał Bóg — serceby pękło!

Któż za skłamaną między ludźmi sławę
Odda prawdziwą moc ruszania światem
Przez Bożą siłę i przez Bożą sprawę,
Która tak rządzi nawet wonnym kwiatem,
Że narcyzami łąki się ciekawe
Patrzą, gdy zorzy okryty szkarłatem,
Na białym koniu, aniołom na przedzie,
Prawdziwy świata Archanioł wyjedzie.

Zorjan!... w samym już ducha nazwisku,
Które tu było ludziom niewiadome,
Jak w diamentu różanego błysku,
Był świt przyszłości; a duchy, łakome
Braterstwa, choć są w ciele i w ucisku,
Łatwo jest z obcych przemienić w znajome,
Tym samym głosem zawoławszy na nie,
Z którym przychodzą tu na zmartwywstanie.

Pamiętam chwilę, gdy cudowni goście
Zaszli do świętej chaty kołodzieja.
Jam stał i cały smętny na jasności
Patrzał: a wielka była gwiazd zawieja,
Wielkie czerwonych meteorów złoście,
Wielkie rozruchy swoje miała knieja,
Wielkie rozruchy ptaków na niebiosach:
Natura cała w westchnieniach i w głosach

Wołała: „Boże, wiekuisty Panie!
Podnieś mię całą, podniósłszy człowieka!
Daj mi przez oddech wyższy — oddychanie!
Daj krok, na który już czekam od wieka!"
Jam się przyłączył; i całe śpiewanie
Szło, jak harmonja słyszana zdaleka,
Coraz mocniejsza strunami złotemi,
Niby drgające łono wnętrza ziemi.

Wtenczas ja z moich zachwyceń dobyty,
Zacząłem składać moje wszystkie moce:
„O! Panie, który rozwidniasz błękity,
Czyń świat, a mnie tu niech piorun druzgoce;

Może ja stary i może zużyty,
Niegodzien struną być w harfie nieszporów,
Któreć śpiewane są przez trzódkę polną,
Tyś mię natężył — tobie zerwać wolno.

Niech panem duchem mej ojczyźnie będzie
Ten oto, który leje słodkie mipdy,
Któremu oto obrusy łabędzie,
Jak od jutrzenek zapalone wody
Rumiane, słońcem rumienią się wszędzie
Śród nawiedzonej anielstwem gospody,
Niechaj ten stanie przy twym Bożym prawie
. . . . . .

Choćby już nigdy myśl zbrojami świetna
Nie powróciła na tę ziemię ze mną,
Znienawidzona za to, że szlachetna
Chce jasnej broni, a gardzi nikczemną. —
Choćby już tylko miodem prostym kwietna,
Z myślą, jak chłopek prostą, ale ciemną,
Ojczyzna ta wstać miała i w postawie
Chłopka się kłaniać Panu — *błogosławię*.

Równy chłopkowi małemu prostotą,
A niższy jeszcze aniołów pokorą,
Jak oni, skrzydeł wewnętrzną pozłotą
Nakrywam chatę, skąd miód ludzie biorą.
Gotów, jak gołąb, zostać nad ciemnotą,
Łonem świecący nad suchą ugorą,
Gdzie sobie trzody ciche śpią na trawie:
Ludziom i trzódkom cichym — *błogosławię*.

Tam — walka krwawa o ścierwo i jadło!
Tu — cisza, pokój, błękitna pogoda
I w ogniu moim strzaskane widziadło:
Duch nieznajomy dawnego rapsoda.
Niechajże, Panie, i socha i radło
I niestrudzona myśl, bo jeszcze młoda
A piękna, jak sen widziany na jawie,
Wstaną, niech wieczni kwitną! — *błogosławię!*

Niech będzie piękną, niech będzie wesołą,
Choćby już nigdy w niej nie zaświeciło
Rycerza mgliste, ale piękne czoło,
Między oczyma z piorunową siłą,
Choćby tak, jako te żórawie koło,
Które się skrami chaty oświeciło,

Kolumny drżące budowała sławie
Bez innych świateł, jak te: — *błogosławię!*

W mroku zostawiam ją, lecz pod aniołów
Skrzydłami, które w tęcze ją oprzędą;
Sam idę... i gdzieś, z rykiem smętnych wołów,
Gdzieś przy miesiącu z pastuszków kolędą
Wyglądać będę, aż ze złotych stołów,
Do których prosi Bóg — a chłopki siędą,
Przyniosą mi chleb wędrowne żórawie:
Ptakom i stołom ludu — *błogosławię!*

Gwiazdom, gwiżdżącym po łąkach, i kwiatom
I lasom, które w ciągłych płaczą szumach,
I pięknym wiosnom i złocistym latom
I starcom, którzy pogrążeni w dumach,
Wesołym sercom i dworom i chatom
I ogniom, które dziś rodzą się w tłumach,
Bez czasu będąc, ale w Bożej sprawie:
Siódmy raz zdaję moc i *błogosławię!*"

Tom rzekł — a na mnie Pan spojrzał litośnie,
Bo to uczułem, czego nie ma dusza,
Że mi ojczyzna cała w duchu rośnie
I rosnąć ducha mojego przymusza;
I zacierpiałem, ale tak radośnie,
Że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza;
Jam tylko rosnął i ofiary składał,
A sto lat we mnie duch uśmiechem gadał.

Tak odebrane sobie mając oczy
Ojczyzną, przed mym uśmiechem stojącą,
Ani widziałem, jako miód się toczy,
A te patoki brudzą się i mącą,
Jak z pod anielskich, tęczowych warkoczy
Ta chata, którą — ach — wieki roztrącą,
Bo jest za ciasną pomieścić wiecznośćie,
Zwolna traciła swoje złote gośćie.

Jam duch, już tylko w sobie okiem porę,
W swoich jutrzenkach się czasami mącę,
A czasem w morzu jakieś perły biorę,
Dziwne, zaklęte, ogromne miesiące
Podnoszę — rzucam o drzew twardą korę,
Myśląc, że nimfy wystraszę błyszczące,
Które o swojej piękności nie wiedzą
A jako w ciałach, w starych drzewach siedzą.

I tak czekając, bez męki objawu
Znów czułem męki okropne ogrójce;
Aż mię schylone ku wielkiemu prawu
Dwa zawołały duchy — mieczobójce.
Wtenczas jam wyciął, jak grom w śrzodek sławu,
I spłomieniwszy je, zamienił w Trójcę
I zniknął na dnie, kiedy duchów wrzawa
Wrzasła: „Ofiarą twoją — M i e c z i S ł a w a!"

PIEŚŃ I.

A kiedy mój duch runął powalony,
Wstała na ziemi moc Antychrystowa.
Noc była — pomnę — księżyc z pod korony
Lipowej wstawał; jego purpurowa
Twarz rozpalona, jak węgiel czerwony,
Cała w płomieniach, jak Jowisza głowa,
Napoły w modrej utopiona chmurze,
Wróżyła jakąś obelgę naturze.

Kmieć Piast przed hatą dobrego wieczora
Używał, stary kmieć, pełny dobroci;
A wtem skrzypnęła domowa zapora,
I weszli do wrót aniołowie złoci.
Wnet przed niemi stół, stągiew miodu spora,
Pełno mięsiwa i mącznych łakoci,
Pełno owoców rozsypano różnych,
Duchów przyjęto jadłem — jak podróżnych.

Oni też światłość utaiwszy w sobie,
Opowiadali wielkie Boże sprawy,
O różnych ludach chodzących po globie,
Walki, podboje, zamorskie wyprawy,
O Hunnach, Gotach, o tajemnym grobie
Kraka — o wielkim kopcu Bronisławy,
Na który nieraz zlatywał nieznany
Lud, jak jęczący wieniec żórawiany.

Mówili, jako każdemu z narodów
Stawał na czele pan myśli — i miecza,
Po dwóch; a jedne szły z krainy lodów,
A inne od słońc lub Istru zarzecza.
Piast słuchał onych cudownych rapsodów
I poznał, że pieśń była nadczłowiecza.
Więc rzekł: „Nie kryjcie się, wyście nie z ziemi,
Lecz aniołami jesteście złotemi.

Świadczą mi wasze śpiewane powieście,
Odpisywane przez was ludów wieńce,
Że aniołami złotemi jesteście,
Którzyście przyszli od słońc, jak zjawieńce.
„Pozwólcie, że tu każę przyjść niewieście,
A przez was żonę i dziatki poświęcę".
Rzekł i zawołał Pychy, a ta stała
Skryta za drzewem i podsłuchiwała,

Jak wąż ciekawy, w trawach utajony;
Na korab złoty, wieżę Cybellaną,[1]
Rzuciła fartuch swój gruby, czerwony,
I stała skryta pod drzewem, za ścianą;
A tylko czasem od miesiąca strony
Łysnął się na niej pozłotą rumianą
Przez krokosowe fartucha drylichy
Ów korab, wieża, znak słowiańskiej pychy.

Więc tylko czasem tym ogniem świecąca
Błysła twarz, niby jakiej płomiennicy,
Ciekawa, bladsza bielą od miesiąca,
Dumna, w słowiańskiej na głowie wieżycy;
A gdy mąż wołał, obszła milcząca
Dom, potem z wiejskiej wracała ulicy,
Udając, niby powraca do chaty
A nie wie, że dom Bogiem stał bogaty.

I dzieci swoje wyniosła z alkierza
I przed anioły Bożemi stawiła.
„Ten pierworodny — rzekła — na rycerza,
Czarny jako stal, ciemny jak mogiła;
Ten drugi — róża rozkwitła i świeża,
I w nim jest miłość — ale w tamtym siła;
Ten pierworodny Wodanem się zowie,
Tamten — Ziemowit z światełkiem na głowie".

Rzekła. — Lecz anioł ominął Wodana
W błogosławieństwie, a na Ziemowita
Młodszego zlał duch z obietnicą Pana
I odszedł. — I wnet jak róża rozwita
Stał się ów chłopiec; wnet jak wyzłacana,
Różana gwiazda, gdy na zorzach świta,
Jak tęcza, w mglistym gdy świeci padole,
Stało się ono świecące pacholę.

---

[1] Cybele matka Zeusa przedstawiona była z wysoką koroną w kształcie wieży.

Więc się z okolic zebrali Słowianie
Widzieć ów Boży cud — dziecinę świętą.
Gdzie ona — tam blask, kwiatów rozkwitanie,
Powietrze wonne różami i miętą.
Wieniec bocianów czasem w chmurach stanie
I tkwi girlandą niby z gwiazd zwiniętą,
Powietrzne hołdy dzieciąteczku składa,
Skrzydeł nie rusza, a z niebios nie spada.

Ku niemu ptasząt pogrzeby, wesela
Lecą, ptaszynki pięknie malowane,
A on je rączką na niebie rozdziela
W gwiazdy i w różne litery pisane.
Chata się błyszczy, trzoda rozwesela,
Jagnięta, blaskiem tęcz pooświecane,
Kiedy przechodzi — matek odbiegają,
A za nim patrzą, biegną i wołają.

I rósł i w łaskę Bożą się pomnażał
I pokazywał w sobie moc zwysoka;
Schorzałe leczył, szatany przerażał,
Chmury zdejmował z niewidnego oka,
Piosenki jakieś bardzo piękne stwarzał,
Ludowi swemu stanął za proroka,
Rok Pański wróżył, za onemi laty
Blisko idący — rok piękny odpłaty.

Wszystko to Pycha do swej duszy kładła
I zarzucała tem serce matczyne;
Jak upior cichy przy ognisku siadła
I wosk topiła w ogniu albo cynę;
Potem na jakąś straszną myśl napadła,
Na straszną przyszła stracenia godzinę:
Wstała, a już noc panowała głucha,
Gdy ona poszła kraść Bożego ducha.

Naprzód prześwięte dziecko obudziła,
Zgasiwszy świecę; potem, sama drżąca,
Fartuchem jasnym Wodana nakryła,
Stanąwszy tyłem do drzwi i miesiąca,
I rzekła: „Oto Pan Bóg mię przysyła,
Pan Bóg, który mój duch miłością trąca,
Abym przed tobą upadła na progu
I hołd złożyła jak samemu Bogu.

Jeśli cię, Panie mój cudowny, wzruszę,
Ja, biedna wdowa zmarłego pastucha,

To możesz z rączek twą świecącą duszę
Wylać na grzeszną i dać twego ducha".
Rzekła — a Pan Bóg wietrznej zawierusze
Kazał wyć. Wstała błyskawica sucha,
Wiatr się zapalił za wrotyma chaty,
Szatan się w ogniach przechadzał skrzydlaty.

A ona ciągle, żebraczka straszliwa,
Przed dzieckiem włócząc po izbie kolana,
Dyszała cała żółta jak oliwa,
Przybita duchem lejącym się Pana,
Zatchnięta w sobie, pełna, jeszcze chciwa,
Ogniami wstydu na twarzy rumiana;
Gdy się uczuła w duchu silna cała,
Wyszła i z chaty jak wiatr uciekała.

I uciekała i za rękę wlekła
Syna Wodana; a mąż ją u proga
Spytał: „Gdzie biegniesz?" A ona mu rzekła;
„Idę na mostek, na koniec rozłoga,
Idę a wrócę; gdzieżbym ja uciekła?
Wszędy na ziemi widzi oko Boga!
Tak tylko wzięłam Wodana za rękę,
Pójdę — na wschodnią podziwięś jutrzenkę".

I puścił ją mąż, a ona na głowie
Zwinąwszy fartuch, poszła w mgłę i wsiękła.
I napotkali ją dwaj aniołowie
I rzekli: „Gdzie to?" A ona się zlękła
I rzekła: „Gdzieżbym ja szła? niechaj powie
Dziecko — na górę idę, bym uklękła
I pomodliła się do Bożej mocy;
Także podziwięś na gwiazdę północy".

I zeszły z drogi we mgłę duchy złote;
A ona dalej biegła, a skłamanie
Już przemieniało w niej ducha istotę
I piękność, której równa dziś nie wstanie.
Czarną się stała, jak miedź; na zgryzotę
I na trapienie poszła i zgrzytanie;
Biegła, a nieraz obracała czoła
W powietrze mgliste, myśląc, że kto woła.

Za nią daleko lipa rosochata
I pola, które par owija błotny,
Daleko święta i świecąca chata
I zadumany w mgłach bocian samotny.

Przed nią mgła, wicher, potępienie, strata,
Los nieodzowny i czas niepowrotny,
Wrota od ludzkich chat pozamykane,
Noclegiem — wieńce kurhanów ceglane.

A potem noce w strasznych błyskawicach,
Strachy chodzące przez lasy po cieniach,
Niebo w mgłach, a mgły całe w świętych świecach,
A świece w hełmach, a hełmy w płomieniach,
Szwadrony jakieś aniołów w zbroicach
I w ustawicznych chmury poruszeniach;
Straszniejszy jeszcze ogień kometowy,
W kometach gwiazdy — nie gwiazdy lecz głowy.

Obelgę ducha przeświętego czują,
Są jakby drżące, są jakby ciekawe;
Więc z tajemniczych niebios przylatują,
Patrzą i oczy obracają krwawe,
Oddechem wiatry zarażają, trują,
Kłos czernią złoty, palą kwiat i trawę.
Przed nią i za nią trzody mrą i dzieci,
Przed nią i za nią śmierć — a ona leci.

Owszem nabiera straszliwej odwagi,
Na cmentarzyska opuszczone wbiega,
Koście łaskoce, i co szkielet nagi
Ma jeszcze ducha, to do niej przylega.
Duch się układa z nią do równowagi,
Służy, pomaga, szpieguje, ostrzega;
Trup każdy martwy ją wyznaje panią,
Kurhan opuszcza, błyska, leci za nią,

Więc już nie sama, lecz grobów świetliska,
Jak niewolniki, za nią lecą, służą,
Same chcą więzów, wstają z uroczyska,
Ogniem mogiły rozwalają, burzą.
Tam z pod kurhanu skrzydło złote błyska,
Tam duch kobiecy skrzy siarczaną różą;
Ona te kwiaty zrywa, wiąże w słowa
I leci — duchów okropna królowa.

PIEŚŃ II.

Była w Słowiaństwie wówczas osławiona,
Zober nazwana, czarodziejska góra;
Skalny szczyt miała, na buków ramiona
Włożony, w chmurach wisiała, jak chmura.

Na niej pustelnia stała postawiona,
Ubrana w osty i w paproci pióra;
I trzej mięszkali, mówią, pustelnicy
Pod strażą orła, gadziny i lwicy.

Świętopełk[1] niegdyś, król Czech i Morawy,
Po stracie wojska zniknąwszy cudownie,
Gdy wiatr go porwał w oczach za hełm krwawy
I uniósł jako palącą się głownię —
Ów król bez grobu, człowiek wielkiej sławy,
Mówią, nawiedzał skały tej lodownie
I pustelnicze groty i las wonny
Odwiedzał jako mieszkaniec pozgonny.

Te pustelniki, których stara chata
Błyszczała próchnem, kładli mu ofiary.
Więc na ciemnościach pogańskiego świata
Od lat pięciuset śnił się ów król stary
Jako trup, który na płomieniach lata,
I z ciałem wchodzi w niebo między mary,
A pustelniki te żywemi trzyma,
W niebo wpatrzone szklannemi oczyma.

Nie dziw, że taka wieść o strasznej górze
Aż do Słowianki Pychy doleciała.
Ta chata — i te pustelniki w chmurze,
Którzy od wieków nie złożyli ciała,
Ale przeciwko śmiertelnej naturze
Czynią, że się w nich dusza odmieniała,
A kiedy jedna poszła do mogiły,
To cudze duchy im do ciał wchodziły —

To straszne Zober nazwisko się Pysze
Natchniętej zdawna było spodobało;
Więc tam przybiegła i lasów zacisze
Straszne ujrzała, szczyt przykryty skałą,
Pustelnią, duchy i one derwisze
Z duszą żyjącą i z kością spróchniałą
I widok cudny z onego ugora
Na lasów wieszchy, padoły, jeziora.

Jeziora jako srebrne się świeciły
Tarcze, a czasem podziemnemi dzwony
Niby z pod ziemi wyszły i dzwoniły
Na różne jęki i na różne tony;

---

[1] Słowacki posługuje się tu legendą o Świętopełku, twórcy Wielkich Moraw, który rzekomo na górze Zober w Słowacczyźnie jako pustelnik życie zakończył.

A czasem dusze, co zaklęte były,
Wyszły ubrane w tak piękne korony,
Jakich nie miała dawna Amfitryte,
Z morskich, świecących roślinek uwite.

Na tej to górze Pycha się z Wodanem
Osadowiła, a te pustelniki
Wnet uderzyli przed piękną kolanem
I ducha dali, jako niewolniki.
Królowa duchem, choć kmiecianka stanem,
Urosła w dumę tak, jak orzeł dziki,
Na onej skale królująca zdradnie,
Czująca w duchu, że światem zawładnie.

Więc często z ogniem lub ptakiem na głowie
Wyjdzie i wróży, jak kapłanka kmieci;
A ile ptaków na niebie zapowie
I skąd przylecą, to tyle przyleci.
Czasami świateł zorzanych przyzowie,
To wnet horyzont zapalony świeci,
Na niebo wchodzą jakieś uroczyste
Płamy, rumiane, złote, przeźroczyste.

Sklep się niebieski oblewa płomieniem,
Farbuje wszystko: skały, drzewa, smugi;
Świat pod rubinem i pod przerażeniem,
A ona śpiewa: „Stworzę taki drugi,
Mam siłę Bożą z wiedzą i natchnieniem!
Króle mi będą wielcy, jako sługi;
Ten tylko jeden, co mój czar wykona
I myśli mojej pomoże — nie skona.

Ten tylko jeden, co mi ziemskiej mocy,
Pókim ja słaba na świecie, pożyczy,
Wyrwany będzie z ostatecznej nocy
I część ziemskiego globu odziedziczy;
Owszem zgodzę się, że jako prorocy
Nad nim ster ducha wezmę tajemniczy,
A jego panem na ziemi zostawię".
To mówiąc, w tęczach błyszczała, jak pawie.

I wnet te mowy i te obietnice
Rozniósł po świecie czar — duch niewidomy.
Usłyszał Otton i wraz wdział zbroicę,
Wojska pościągał, wielki cesarz Romy.
Mam — rzekł — Słowiany, państwo Słowian schwycę,
Złotem nakarmię żołądek łakomy!

Przez Pychę będzie mi ziemia wydana,
Wydan mi będzie ten kraj przez Wodana".

Rzekł i rycerze swe pod Zobra górą
Poustawiawszy, w ciemnych borach skryte,
Sam z berłem w ręku, odziany purpurą
Szedł onę straszną pozdrowić kobietę.
„Wiem — rzekł — że trzęsiesz zlęknioną naturą,
Wiem, że masz siły, siłą niepożyte,
Wiem, że pod tobą świat zlękniony stoi,
A tobie ziemska korona przystoi.

Powiedz, a w skały te berłem uderzę,
I ludzie zbrojni z kamieni wyskoczą,
Słońce rozniosą złote na puklerze,
Strzał gradem całe powietrze zamroczą.
Ja, Pan wojsk, z tobą uczynię przymierze,
A oni ten glob wezmą i potoczą,
Choćby przez niebios trzeba toczyć pole,
Gdzie ty rozkażesz — a gdzie ja przyzwolę.

Syna twojego, jeśli chcesz, Wodana,
Wezmę jak szczenię w lwią, cesarską paszczę
I tam zaniosę, gdzie mu być za Pana,
Świętym, cesarskim olejem namaszczę;
Ale chcę wiedzieć, czyś nie oszukana,
Czy cię pochlebstwo tych trupów nie głaszcze,
Czy świat, głoszący takie wielkie dziwa,
Nie łga — czyś duchów ty Pani prawdziwa.

Oto dzień jeden uczyń to na ziemi,
Aby sen — urok spadł na kraj Popiela!
Niech go samego twoja moc oniemi,
Uśpi, a z duchem ciała nie rozdziela;
Niech posągami staną się pięknemi
Królewny, z twarzy nie stracą wesela
Ani ładności ni łez, które leją:
Niechaj nie umrą — ale skamienieją.

Niech będzie żywot — ale zatrzymany
I pomóc sobie uczynkiem bezsilny;
Niech jego wojsko tak zaśnie i Pany
I ten, kto mu wróg, i ten, kto przychylny!
Gdy to uczynisz — to ja, twój poddany,
Ja, twoja ręka, twój posłaniec pilny,
Gdzie każesz, twoje poniosę rozkazy,
Hasła i w czyny przemienię wyrazy".

Rzekł, a Pycha się nie posiadła w sobie
Z wielkiej radości i rzekła: „Pod zorzę
Ujrzysz mię tutaj w płomiennej osobie,
Hymn śpiewającą, którym świat zamrożę.
Sen taki rzucę i czar taki zrobię,
Że nawet duchy drzew zastygną w korze,
Nawet lecące z tęczą malowaną
Strumienie, ze skał spadające — staną!

A wojska? króle? sam ujrzysz oczyma,
Czy który piersią albo ręką ruszy,
Czy dziecię w ogień lecące zatrzyma,
Choć będzie patrzał jeszcze ojciec w duszy.
Ani tak łańcuch żelazny poima,
Którym ty pętasz, bo się łańcuch kruszy,
Ale pod moją ręką ołowianą
Uśpieni, choć Bóg zawoła, nie wstaną!

Ja sama rzucę czar i zdejmę sama,
Skoroć przekonam, żem uczynić mocna.
Przeze mnie wyjście jest ze snu i brama,
Ja na sen świecę, jak gwiazda północna!“
Rzekła i zaraz szła, gdzie była jama,
Gdzie pustelnicy i błyszcz niby nocna
Próchen i Wodan siedział niemy, głuchy,
Ciemny, a koście w nim łamały duchy.

I tam runianych głosów próbowała,
Wprzód cicho, potem głośniej nad szum drzewa,
Myślałbyś, że to pod niebiosy skała,
A w skale tej trup niewidzialny śpiewa.
Taka pieśń ciężka, podziemna, wspaniała,
Kamienne góry napełniła trzewa:
Taki słów ciężar, ołowianość, siła,
Strach — a to jeszcze tylko próba była.

Sam Otton, który szykował rycerze
I sprawiał szyki gestem i oczyma,
Staje i słucha, czuje, że czar bierze
I glob zamraża, alę czy dotrzyma?
„Jak oszust wszedłem w nieświęte przymierze,
— Powiada cicho Pan martwego Rzyma —
Śmiercią sam jestem i snem, A czar dziki,
Sen i śmierć ducha mam za pomocniki.

Więc może mię strach jaki wielki zdziwi,
Gdy będę rżnął te ludzie nieruchome;

Może się Pan Bóg sam wielki sprzeciwi
I swe oblicze pokaże widome,
Może miecz w trupie tak jak ołów skrzywi,
A wieże, Boską ruszone komendą ,
Może przed mury przyprowadzi strome,
Staną — i mieczów ognistych dobędą.

Cokolwiek ma być, senne czy nie senne,
Dzisiaj, przed nocą z wojskami napadnę,
Bo mi to państwo powinno być lenne
I poprzeć moje chęci światowładne".
Rzekł; a już niebo jakoby płomienne
Toczyło chmury miedziane, szkaradne,
I cień od słońca przez ludzi rzucony
Był jakiś martwy, cichy i zielony.

Słońce okrągłe zaczynało gasnąć
I coraz bledszym z siebie świecić złotem;
Natura się już gotowała zasnąć
Wespół z uśpionym w narodach żywotem;
Wojsko ruszało — a skały przyklasnąć
Nie mogły echem, brzękiem i łoskotem.
Wszystko się w wielkiej odbywało ciszy,
Zbrodnia się działa w duchu — sam Bóg słyszy.

O! ziemio słowa, niczem niepożyta,
Zwyciężająca nawet one zdrady,
Które w powietrzu duch od duchów chwyta,
A wykonywa w ciele — szatan blady.
Pozwól, że powiem, jak snem upowita,
Pięknaś ty była, bez znaku zagłady
Na twoim ciele, owszem zamyślona,
Owszem piękniejsza jeszcze, gdy uśpiona!

Ten, który jadu w żywocie nabierze,
Straszny jest we śnie — mgła go kryć powinna;
Ale śpi pięknie dziecko, póki świeże,
Młoda dziewica, dopóki niewinna.
Dopóki anioł snu ludzkiego strzeże,
Dopóki na lirach gra piosnka gminna,
A straszny anioł, co jest ludu wiarą,
Stoi z płomiennym mieczem za kotarą,

Dopóki światła w duchu nie wyżarły
Duchy żądz, ogień miotając przeciwny,
Piękny jest śpiący, chociażby umarły,
Piękny — i w swojej piękności przedziwny.

Więc się, śpiąc, duchy narodowe wsparły:
Ten o kolumnę, ten o pług pożywny,
Trzeci o sztandar oparł się pobladły;
Wszystkie stanęły, ale nie upadły!

Nie — nie upadły, lecz wszystkie stanęły:
Ten w polu, a ten na zamku, a drudzy
Schyleni stali nad marnemi dzieły,
Wieczni — zwyczaju i form dumnych słudzy.
A inne, które się na palcach wspięły,
Patrząc daleko na kraj jakiś cudzy,
Niepomne swojej narodowej chwały,
Śpiąc nie upadły, ale tak zostały.

PIEŚŃ III.

Gdy tak sen oną biedną ziemię chwyta
I wiąże, czynu i ruchu pozbawia,
Przyszedł błyszczący dúch do Ziemowita
I rzekł: „Przez ciebie Pan świeci i zbawia.
Wstań — oto jedna mocarka, kobieta,
Swą mocą wielką noc narodom sprawia
I ducha przeciw duchowi używa,
Bo nie jest czysta, lecz zła i kłamliwa.

Więc skoro zorze obaczysz wieczorne,
A jeszcze blady róż na polach będzie,
Gdy pług porzuca ciche pola orne,
Gdy dolatują gniazd dzikie łabędzie:
Wstań i weź z płótna ubranie pokorne,
Które ci sługa twa domowa przędzie,
A świecznik także w rękę weź wesoły,
Które pozłacasz ty — a czynią pszczoły.

I zapaliwszy ono światło złote,
Idź w zamek senny twojego książęcia;
A oświeciwszy całą sal ciemnotę,
Nic nie bierz, choćby co było do wzięcia,
Nie łudź się blaskiem, nie wpadaj w tęsknotę.
Chociaż tam smętno żyć pod snem zaklęcia,
Strzeż się pokalać jakim ziemskim grzechem,
Lecz stań, a wszystko obudzisz z uśmiechem.

A gdy obudzisz, strzeż się, aby która
Z Popiela córek do kolan nie padła,
A nic, pawiego nawet nie bierz pióra
Ni kwiatka, ani patrzaj się w zwierciadła.

Króla gdy zbudzisz, mów, że wrogów chmura
Granice wzięła, zamki już napadła;
Król obudzony niechaj państwo budzi,
Reszta — jest dziełem lat i dobrych ludzi".

To rzekł i piękne powietrze zostawił
I szedł, a z nim szedł ów różany wieniec.
Ziemowit patrzy: naprzód go zabawił
Powietrzny chaty oblask i rumieniec,
Potem woń, potem w puszczach mu się zjawił
W palmach zielonych aniołowy wieniec;
Dziwi go natur nieznajomych przyście,
Blask, świętość i drzew nieznajomych liście.

Świętość go jakaś napełnia, oświeca,
Podnosi w jaśnie, w niebo, w duchu stawia;
Idzie — a wręku jego złota świeca
Świeci i sama w kwiaty się oprawia
Taka twórczości rajskiej tajemnica
Ani go dziwi ani zastanawia.
Wyszedł na pola żyt i czarnoziemu,
Szerokie, miłe wzrokowi wolnemu.

Miasteczka ciche i pousypiane,
Wioski o wiekach może złotych śniły,
Tak jako sady owocem rumiane
W cichy, jesienny dzień, albo mogiły
Zdają się smętne i pozamyślane,
Myślą, czem będą, i pomną, czem były;
A tylko czasem listki na nich wstają
I niby muzyk globowych słuchają.

Nic nie ryknęło po bydła zagrodach,
Ciekawość nigdzie okiem nie otwiera;
W stawach — jak cyna i ołów na wodach,
Woda nie spada nigdy i nie wzbiera;
Gościnność czujna nie czuwa w gospodach;
Nic się nie rodzi i nic nie umiera;
Aż w święte, złote serce Ziemowita
Lała śmierć — ziemia na duchu zabita.

Idzie jak sen, a tu horodyszcze
Mija z rycerstwem sennym na okopach,
Ówdzie moczarę, gdzie stęchła nie świszcze
Trzcina, tam pole zżęte, lecz nie w snopach,
Przez pola ścieżek jakieś złote błyszcze
Wiodą go ciągle, świecą mu przy stopach

I świecą dalej, idąc przez ugory,
Aż w straszne, śpiące, Popielowe dwory.

Zorze nie zaszły, a on już przed gankiem
Stoi. Bogactwo go dziwi i chwała;
Sen się nie śmiercią zdawał, lecz kochankiem,
Tak pięknie uśpił młodych dziewic ciała.
Najmłodsza córka jeszcze za barankiem
Goniąca, sama jak baranek biała,
Motylem wielkim, tęczowym goniona,
Stała: baranek, motylek i ona.

Na szmaragdowej trawie ono dwoje,
A motyl wisiał i trwał na błękicie.
Druga — wchodząca w kryształowe zdroje;
Oddech w niej ustał, a zostało życie
I wstyd, bo jedną ręką srebrne stroje,
Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,
Trzymała silnie, ku piersiom je cisnąć!
Drugą dłoń miała na wodzie — jak prysnąć.

Nie tylko ona, lecz nawet ciekawe
Te rybki, które wszelka białość nęci,
Skrzelki czerwone i łuski złotawe
Pokazywały na dnie wód; snem zdjęci
Motyle wodni, gdy na nóżki zjawę
Lecieli, teraz do nóżki przypięci,
Wstążką błyszczącą na dnie wód świecili,
Jak tęcza do nóg przypięta Dziedzili.

Trzecia — (dwanaście król Popiel miał córek)
Trzecia po piękną, najświetniejszą różę
W ogrodzie weszła na najwyższy wzgórek,
Rękę podniosła — a kwiat wisiał w górze,
Lecz obwinięty pierścionkiem z jaszczurek:
Kwiat ją przeraża, wabią pączki duże,
Tak ją zastała ta chwila straszliwa,
Że chce i nie chce, boi się i zrywa.

Inna już w sali, najdumniejsza z rodu,
Przy złotym, małym siedząca organku,
A obrócona oknem do zachodu
Ku zorzy, w pawich piór świecącym wianku,
Bita blaskami mrocznemi z ogrodu,
W półśnie myśląca może o kochanku,
Gdy palce już ton na klawiszach biorą,
Zastygła. Wszystkie pawie pióra gorą.

Jak gwiazdy. Z jej ust jeden ton wylata,
Ton jeden, ale już najwyższy w śpiewie,
Ton może zdolny porwać serce świata,
Ten ton, o którym ona jeszcze nie wie!
Czeka nań. Już swe rysy z dźwiękiem brata,
Już w zachwyceniu Bożym, jakby w gniewie,
Siedzi cudowna w Sybilli postawie,
Muzyką błyszczy, jak te pióra pawie.

Inne, uczone, nad księgami siedzą,
Lecz z literami oko nic nie czyni,
O duchu w księgach zamkniętym nie wiedzą.
Jedna skończyła kartkę, palec ślini,
Widać ciekawa, co wieszcze powiedzą
Na drugiej karcie, od natchnień bogini
Już rozkwilona stoi i zaklęta,
Z perłami w oczach, ciekawością zdjęta.

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy
Królewnom), cała zlękniona i drżąca,
Widać giermkowi pozwoliła twarzy
Na chwilkę tylko, już uciekająca.
Giermek też usta, gdzie ogień się żarzy,
Przybliża, koral już w alabastr trąca,
Już — wtem stwardnieli w piękność monumentu,
Ustom jednego zabrakło momentu.

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość zjawione
Drugi raz w głębi czarownego dwora;
Oboje w jedną pochyleni stronę,
On ku niej, ona do ucieczki skora,
Nie tak jednakże, aby usta one
Nie miały w mroku wonnego wieczora
Czuć co słodyczy. Wszakże się nie nagną,
Ona ucieka — usta jeszcze pragną.

Takiemi czary otoczony w koło
Ziemowit widzi te i drugie jeszcze,
Te z twarzą smutną, złą, a te — z wesołą,
Te kwiaty — te z rąk sieją pereł deszcze.
Wtem ujrzał księcia, który miał pod połą
Rękę na mieczu, w oczach gniewu dreszcze,
I biegł, jak gdyby duchem poczuł wroga,
I zatrzymany był z nogą u proga.

W tego utopił piękne oczy swoje
Ziemowit, w tego swoje duchy wkłada;

On wnet się budzi i woła na boje,
Chorągiew chwyta i konia dopada.
Budzą się córki, szmer wchodzi w pokoje,
Echo wesołe po sklepieniach gada,
Zdaje się zrazu, że nie szmer z człowieka,
Ale wleciała jaka srebrna rzeka.

Patrzą na siebie — już nie kamienieją
Ani je mroźny czar wzajem odpycha,
Lecz się ściskają, całują, łzy leją,
Wstyd się rumieni, miłość znowu wzdycha,
Broń znowu szczęka, chorągwie znów wieją,
Koń hamowany kopie grunt i prycha.
Przed nocą wszystko w szeregach, na wieżach,
W polu, na czatach albo na harcerzach.

Miesiąc ogromny blasków swych nie traci,
Bo mu je wszystkie od tarcz odesłano.
Więc naprzód czarni rycerze skrzydlaci
Szli na cesarską ciżbę pozłacaną.
Starto się. Bracia ginęli za braci,
Lecz hełmy cięto, chorągwie ścinano.
Przez Niemce jako przez łamane żyta
Poszła chorągiew złota Ziemowita.

Reszta w popłochu, we krwi i w rozgoni
Na krew mostami złote tarcze ciska.
On za cesarzem przez mgły ciemne goni,
Przez pola, debry, góry, uroczyska.
Miecz ma nad głową, sztandar w drugiej dłoni,
Na hełmie krzyżów słońcowych zjawiska
Jawią się ciągle jak ogromne słońca
W oczach cesarza — na hełmie pogońca.

Już go dopadał, gdy nagle ponura
Jak szatan, cała w płomieniach i grzmotach,
Stanęła wielka nad cesarzem góra
I las go w łono wziął i ukrył w błotach.
Ziemowit trąbił, ale mu natura
Ech nie oddała w tych wielkich samotach,
Tylko coś w ogniach w górze niby skała
Jękła i głosem matczynym jęczała.

Serca swojego zatrzymać nie zdołał
I swej miłości; stanął, podniósł czoła
I w puszczy głośno swojej matki wołał
I ciągle wołał, a głos miał anioła:

„Matko, gdzie jesteś — mówi — jam podołał
Wrogom ojczyzny, jam święty kościoła,
A tu jęk słyszę, widzę tę pożogę,
Tę skałę w ogniach — a pomóc nie mogę".

Wołał i płakał i smętniejsze słowa
I gwałtowniejsze prośby rzucał w chmury
I szedł, a ciągle jasność purpurowa
Stała na szczycie tajemniczej góry.
Więc szedł w ten ogień; a wtem matki głowa
Na prześcieradle ognistej purpury
Stanęła lub jak blada trupia plama
Bez rąk i piersi — głowa tylko sama.

Usta otwarte miała, a z otworu
Ust jakby ciemność i strach wylatywał,
Twarz zielonego jak trupi koloru
I oczy zmarłe, z których strach przeszywał;
Straszna zjawiła się nad szumem boru,
Włosy strach podniósł a wicher rozrywał;
Potem ją jasność z oczu syna zdjęła,
Nic nie wyrzekła straszna i zniknęła.

On widział; nie wie, co począć, dech traci,
Pada jak martwy. A już trąby dzwonią,
Sam król nadjeżdża, rycerze skrzydlaci
Za królem w zbrojach purpurowych gonią,
Król, dłużnik wielki, królestwem zapłaci,
Może królewny, której piękną dłonią,
Byle się zbudził ów kmioteczek młody,
Który uśpione obudza narody.

Zbudzi się kmiotek w duchu swego Pana
I kiedyś całe królestwo otrzyma,
Tymczasem stawią przed królem Wodana
Opętanego, z krwawemi oczyma;
Pytają, a w nim kość duchem łamana
Pomimo woli rzuca się i zżyma;
Ciemnym wydany władzom na igrzysko
Cały się rusza, tak jak wężowisko.

Widział, jak matka natężyła woli,
I póki trwał czar, cała w mocy rosła
I kraj cisnęła z uwagą, powoli,
Z całą rachubą strasznego rzemiosła.
Nie tylko króla — skowronka z nad roli
Chciała, aby spał, na ziemię go niosła,

Pod kamień kładła, przywalała pleśnią,
A wszystko duchem czyniła i pieśnią.

Nagle, gdy zdało się, że już w natchnieniu,
W triumfie niebo i ziemię posiada,
Wstrzęsła się cała w jakimś otrupieniu
I zbladła jak trup i jeszcze pobladła
I jeszcze bladła, bo choć po imieniu,
Wzywała duchów, które są, nie zgadła,
Że jeden anioł powietrzny, rumiany,
Globowy przyjdzie, choć niezawołany.

Przyszedł, zdaleka widny jak kropelka
Małych płomieni, potym już opona,
Chmura i niebios błyskawica wielka,
Straszna, podstępna, cicha i szalona,
Zgwałconych duchów natury mścicielka,
Mocna jak żywioł, jak duch obrażona,
Wyższa niż góry, szaleńsza niż morza,
Szła i na skały wstępowała — zorza.

„Jam jest — okropne wołało ognisko —
Jam jest — wołał duch okropny, rumiany —
Jam jest — powiadał, przylatując blisko —
Jam jest niewolnik, ale zbuntowany".
To mówiąc, wleciał i na uroczysko
Wszedł, jak na okręt falami rzucany;
Ogień się zmięszał z drzewami i skałą,
Światła się starły, skłębiły, zawrzało.

W płomienia łonie jakieś miecze siekły,
We wnętrzu ognia jakieś wichry wyły,
Potem te wichry i ognie uciekły
Od niepokrytej a pełnej mogiły,
I tak jako mgła nad skałą się wlekły
I do północy rycerzom świeciły.
Potem płomienne odwrócili twarze
I poszli straszni, globowi mocarze.

I wszystko znikło, jak sen w księdze Pana
Wpisany, w ludach śniony dla przestrogi,
I wszystko znikło, i tylko Wodana
Duch o tem wiedział, zwiędły, pełny trwogi.
Więc jako sarna biedna, postrzelana,
Gdy chudy ma bok, utrącone nogi,
Chroni się ludzi, do lasu ucieka,
A serce bije w niej, jak u człowieka.

Podobnie Wodan znikł i uciekł w lasy,
Do reszty stał się ludziom niepodobny,
Jako zwierzątko na wszelkie hałasy
Drżący, jak jaki dziki ptak — osobny.
Jesienne, mgliste, z tęcz znikome pasy,
Miesiąc, gdy zimno a deszcz sypie drobny,
Liście, które drżą w chodzie na osinie,
On lubił i kwiat, który w puszczach ginie.

Niewysłowione, lecz bolesne drgania
Myśli tajemnej jemu były znane;
Halcjon, gdy jak Anioł się odsłania
W mgłach i swe pióra rozwiał malowane,
Mech zimny, w puszczach migająca łania,
Orły samotne lub spiorunowane
On widział; wszystko,- czem natura smuci,
Zna. Straszny kiedyś anioł smętny wróci.

Teraz jak jeleń (gorszy od żebraka,
Bo nie śmie przyjść nad ognisko pastusze,
Ale od liścia woli i od krzaka
Mieć swą obronę przeciw zawierusze),
Błąka się, ginie, dola jego taka,
Jak wszystkich, którzy własną zdradzą duszę,
A nie dotrwali w duchu swoim święcie,
Lecz wzięli obce na czoła pieczęcie.

Czasami wieniec smolnego łuczywa
Zapalał i szedł po lesie, a kmiecie
Mówili, że to postać słońca żywa
I wczłowieczona w jakieś Pychy dziecię,
To jakieś lirki struga i wygrywa
Swoje boleści i rzuca po świecie,
A nikt wyraźnej pieśni nie dosłyszy,
Tylko sny jakieś szklanne w lasów ciszy.

Potem jako cień leśny w lasach zginął,
Jak paralityk w ogień patrząc Pański,
Ale się z niego w Słowiaństwie rozwinął
Ów cały dziwny, smętny ton słowiański.
Przeciw słońcowi, jak łódź biedna, płynął,
Wzięty szatanem, a nie był szatański;
Mogiła jego gdzieś mchami pokryta.
Inaczej z jasnym duchem Ziemowita.

On to słoneczny posadził na tronie
Szczep, w który miały duchy Święte wchodzić;

A ta się jabłoń nad wszystkie jabłonie
Rozrosła w kwiaty i zaczęła rodzić.
Jakie tych duchów piękny były wonie,
Jak zaczęły kraj budować i grodzić,
Jako na węża Pychy startej głowie
Stanęli, inny z odwiecznych opowie.

RAPSOD III.

PIEŚŃ I.

Z zaświatnych krain powrócony prawem
Trójcy, która tu w płaszcz duchy ubiera
I czyni, że sił duchowych objawem
Ziemia upada albo się podpiera,
Jam przyszedł, Król-Duch, zwany Mieczysławem,
Z królewską razem dolą i Homera,
Bo kolorami ten świat tak przyjemny
Nie błyszczał w moich oczach: byłem ciemny.

Duch przerażony, jako na dnie truny,
W dziecięciu siedział, jak na dnie mogiły;
A kiedy gadki gadali piastuny,
Jemu się jakieś dawne duchy śniły:
Niepewne blaski i pożarne łuny,
Nie ciała z ziemi zadusznej — lecz siły,
Pioruny, które śpią cicho w podłodze
Snopem płomieni, a nie szkodzą nodze,

Ludzie gadali do mnie jak obłoki,
A gdy znaleźli płomieniste słowa,
Ze słów rodziły się lwy albo smoki
Lub na psach — orłów ognistych połowa;
Nie śmiałem stąpić, bo ktoś moje kroki
Wodził po morzu z gwiazd, gdzie mi szła głowa,
Patrząca w przepaść strasznie i ciekawie,
Pierwej, nim nóżki na światłach postawię.

Czasem miesięczna noc — dziwne głębiny
Błękitne, a gdzieś na skalnych urwiskach
Jęczą wyjące, jak psy, lamantyny,
Gwiazdy we włosach chodzą i w ogniskach,
Potem świat ludzki, ale cały siny,
Bezbarwny, szary, w księżycowych błyskach
Zjawia się, niby tłumna ćma upiorów,
Zdjęta z miesiąca, bez krwi i kolorów.

I raz słyszałem, jak moja piastunka
Mówi do ojca: „Czarnoduch w nim siedzi!
Złotego nigdy on nie widział słunka,
Nigdy dziecięcia anioł nie nawiedzi".
Tak ta mówiła okropna piastunka,
A jam słyszał brzęk głuchy, straszny miedzi:
Widać, że ojciec na takie nieszczęście
O mur druzgotał hełm, o puklerz — pięście.

I krzyczał: „Niech mi Pan Bóg zamknie oczy!
Niech mi królestwo moje weźmie całe!
Niech mię wężami jak Popiela stoczy,
Niech jak od Piasta weźmie duch i chwałę;
Tylko niech spełni ludu sen proroczy
O tem dzieciątku i światło mu białe
Da i władanie berła i oręża!
Wszakże potrzeba tej ojczyźnie męża!

Siedem już lat ma, jutro go postrzygę,
Lecz chyba wezmę nie grajków, lecz płaczek!
Ja stary jestem, już ledwo się dźwigę,
Już ledwo chodzę, a on co? ciemniaczek!
O! biednąż mój ród nowy ma łodygę!
Szczęśliwsze stokroć są chaty wieśniaczek:
Choć w gniazd bocianich ubrane koronie,
Ciężkie zdrowemi dziatki — by jabłonie".

Pierwszy raz ojca lament z brzękiem zbroi
Słysząc, dziecinna myśl, zobaczyć chciwa,
Roiła sobie, że to burza stoi,
Brzęczy i wyje i wichrem porywa,
A piorunami uderzyć się boi
We mnie, bo ojcem moim się nazywa.
Więc się ukryłem pod piastunki szatę,
Sądząc, żem dziecko smoka — nieskrzydlate.

Ani wiedziałem, co to wzrok, którędy
Dusza wyziera. Anioł się dziś śmieje,
Kiedy pomyśli, na jakie obłędy
Szedł, domysłami tworząc ciała dzieje.
Wzrok jest to ogień — mówiłem — ten wszędy
Musi wytryskać, z włosów, z rąk się leje,
Ciało w promienne szaty przyobleka,
Świeci z człowieka i patrzy w człowieka.

Takiego wzroku, myślałem, dostanę,
Kiedy o wzroku myślałem, ślepotka.

A już mię jakieś duchy rozbłyskane
Uczyły, gdym spał. O! nauko słodka!
Jeżeli kiedyś ciemny zmartwychwstanę,
Niech ta pieśń, tkana z promieni i wiotka,
Smętnie dzwoniąca, słońcami zatrwoży
A takie światło w mego ducha włoży!

Właśnie tej nocy, która poprzedzała
Obrzęd postrzyżyn, ja, Boży odrzutek,
Kładłem się do snu, a piastunka brała
Ton na luteńce zwykły, ludu smutek
Nad mogiłami królów, i śpiewała,
Struneczki one albo kołowrotek
Czyniąca sobie taktem, dawne dzieje,
Smętna, jak wioski ptak, gdy w nocy pieje.

Właśnie po setny raz Popiela wieża
I biały narcyz, Wanda, i Sypany
Pomordowane i napad rycerza,
Który był Ryżym Tygrysem[1] nazwany,
I to, co w oczy ślepe lud uderza:
Miłostki królów, bez serca tyrany,
Strachy, po zamkach otwartych chodzące,
Krok cichy trupów, tarcze jak miesiące —

Właśnie te wszystkie stare ludu dzieje
Nade mną brzmiały, po setny raz może
Zmartwychwstające, a ja, na koleje
Rymów nieczuły, głuchy szedłem w łoże,
Gdy mnie na nową żywota nadzieję
Wywiodły we śnie złote duchy Boże,
Że nie wyszedłszy z ciemności obłoku,
W duchu się wprzódy nauczyłem wzroku.

Jakaż mi, Panie, wtenczas dziwna zmora
Przyprowadziła świat ciemny, ponury,
I postawiła w oczach jak upiora
A potem słońcem nań lunęła z góry?
Mig jeden tylko, a ja, ciemny wczora
I niewidzący kolorów natury,
Podniosłem pełne już kolorów łono,
Jasnością we mnie przez duchy wstrzeloną.

Chwileczka jedna a rozweselnica
Ciemności moich, ta chwilka jedyna,

---

[1] Ryży Tygrys — Rytygier utożsamiony przez Słowackiego z Popielem.

Przysłana z nieba jako gołębica,
Na szyi złota, rubinowa, sina,
Tak się zażegła w oczach jako świeca
I swój tęczowy wachlarz z piór rozgina
I z ducha, który jak spowity leży,
Rozwija jak kwiat na świat — coraz szerzej.

Czy to był ludzki świat czy jakie raje
Zjawione, nie wiem; lecz w pamięci stoją
Z wielkoróżanych drzew ogromne gaje,
Które się czołem w gwiazdy iść nie boją;
Z perłami na dnie świecące ruczaje
Cieką a w oczach jak brylanty broją
Wszędy, gdzie woda załamana spada
Lub w górę tryska i w kwiat się rozkłada;

W górze jakoby różne, rajskie ptaki,
Feniksy dziwne, błękitnym niebiosom
Czyniły słońcem przezłocone szlaki
Lub malowały wstążki — słońca włosom;
A co dziwniejsza, że świat cały taki
Był, jako harfa, różnym ludzkim głosom
Oddana niby na walkę i bitwę,
Aż szły i w jednę zlały się modlitwę.

A ja słyszałem: „Hosanna! Hosanna!
Hosanna!... Panie, tworom daj człowieka!"
I cała tych łąk różaność poranna
Zasłoneczniła się, w słup poszła rzeka,
Ptaki spadały, jak mgła nieustanna,
A inne od słońc leciały zdaleka;
Natura cała była w zawierusze,
Świat cierpiał, drzewa szumiały jak dusze.

Nagle już miałem obaczyć tę chwilę,
Na którą ów raj z wielkim szumem wchodzi,
Gdy jakiś starzec — duch większy o tyle
Od człeka, który się z mogiły rodzi,
Jak miesiąc, kiedy na jakiej mogile
Otumanionej w kręgu duchów wschodzi
I krwawą tarczą mgłę smętną roztrąca,
Większy się zdaje ludziom od miesiąca —

Gdy taki starzec, mówię, swe ogniowe
Szaty postawił mi przed wzrok jak ścianę
I oczy bystre, orle, lazurowe,
Kryształy ogniem piekielnym rumiane,

Wrył we mnie, cichy, i na moją głowę
Chciał swoje ręce kłaść pozapalane,
Sprawiwszy tyle nad duszą przelękłą,
Że oko mego snu jak kryształ pękło.

Pękło jako szkło, gdy wytrwać nie może
Ogniowi, staje wnet w gwiaździstych ranach,
Tak mój duch rzekłszy: powieki otworzę,
Obaczył się ciemny, jak trup w kurhanach.
Pomnę, chociaż to w królów było dworze,
Świerszczyki sobie śpiewały po ścianach,
Jak zwykle, kiedy chłód i miesiąc siny
Wziera przez belek cedrowych szczeliny.

Pomnę, ci smętni, nocni muzykowie
Dzwonili, pełną muzyk była ściana,
A tam, gdzie było ciemnemu wezgłowie,
Druga pieśń stała przez niańkę śpiewana;
Stała jak upior z ogniami na głowie,
Natrętnie dzwoniąc imię Zorjana;
Stało na ducha nazwisku śpiewanie
Jak zegar, kiedy na północy stanie.

Właśnie że strofa szła o jego męce,
I śpiew przez usta Zorjana gadał,
Ten sam, który kładł na mnie we śnie ręce,
Na zbudzonego swe przekleństwo wkładał;
Przeczucia jakieś odgadły dziecięce,
Czegoby rozum zbudzony nie zbadał,
Że między pieśnią a snem związki były,
Że pieśń ta i sen z jednej są mogiły.

Oboje razem zmartwychwstały mary,
Gdy przyszła pora na nie nowej pracy;
Oboje razem pod ciemne kotary
Weszły, oboje razem, jak żebracy
Sprawiedliwości Boskiej. Duch mój stary
Świętego Jana głowę miał na tacy
I odtąd ciągle na powietrzu, blady,
Widzi wzniesioną perłę Herodjady.

Pieśń zawołała go i wszedł straszliwy
Mimo zamknięcia, zioła, niańki, straże.
Rano do gontyn szedłem, napół żywy,
Pewny, że mi się ów starzec pokaże.
Szedłem i niosłem z tęczowemi grzywy
Gołąbki bogom opiekalnym w darze;

A one, bijąc skrzydłami daremnie,
Strach czuły, a ich serce biło we mnie.

Sen nawet jakiś miejsc powstawał na dnie
W ciemności, jakby gdzieś Cezarów grody,
Na które w nocy błyskawica padnie,
Ozłoci mosty, pałace i wody,
Potem zagasa nad miastem i bladnie,
I miasto całe ze swemi narody
Niknie, jak gdyby pod ziemię się skryło,
Skąd było wyszło snem i zaświeciło.

Koło mnie wielki gwar, a potem cisza,
Jakby skinięciem berła nakazana,
Dziś czuję, jak się we mnie duch zadysza,
Czeka i cały już drży najściem Pana.
Krok jakiś, który nie miał towarzysza,
Krok jakiś dumny, ciężki, krok kapłana,
Zbliżał się ku mnie; jam ręce niemocne
Postawił naprzód, czując widmo nocne.

On szedł i coraz bliżej w moich oczach
Błękitniał się płaszcz, a u kolan nisko
W złotych, zielonych i sinych warkoczach
Po pas wchodziło dziwne płomienisko;
W ręku coś, jakby w dymu nadobłoczach
Narzędzie pieśni; przede mną już blisko,
Już tylko o te rączek wyciągnienie
Ten starzec, ten płaszcz, ta twarz, te płomienie,

Już rączki moje w nich, jak w mgle, już toną,
Już jest nade mną, przy mnie, już dotyka,
Już główkę czułem dotknięciem zmrożoną,
Już czuję zimne dotknięcie nożyka;
Całą moc wtenczas w źrenicę wyszkloną
Posłałem, jak grzmot, który drzwi odmyka,
Chciwy tę postać widzieć, nim w blask wskoczy:
I dusza wyszła mi, jak grzmot, przez oczy!

Wyszła! nie widział jeszcze nikt, że patrzę!
A ja patrzałem już i zadziwiony
Ujrzałem widmo przy sobie najbladsze,[1]
W bieliźnie, które mój włos ustrzyżony
Trzymało w ręku, a w drugim najrzadsze
Wonnoście, w ogień zmienione czerwony,

[1] Widmo najbladsze = była to Oda, kapłanka z Arkony.

Objęte czarą złotą, bursztynową,
Wyżej trzymało w pomroku, nad głową.

Kapłanką była i podług obrządku
W kwiaty ubrana i w białą symarę,
Włoski, ucięte nożem niewinniątku,
Do tych wonności boskich kładła w czarę;
Te, do olejów przyrzucone wrątku,
Miały pójść razem z czarą na ofiarę;
Ona zaś czarę, którą blask przeniknie,
Trzymać powinna, aż spłonie — i zniknie.

Patrzący na to, nie wydałem głosu;
Gołębie z rąk mi pierzchły, a me wzroki
W tej czarze, jako w złotej gwieździe losu,
Z tą gwiazdą, jakby idące w obłoki;
A czara w kole jasnym z jasnowłosu
Złotego miała wielki krąg, szeroki,
Niby grożąca jakaś gwiazda Boża,
Jak kropla jasnej krwi z zabójcy noża,

W jej rękach skrzyła się, trzaskała, piekła,
Wtenczas krzyknąłem: „Ach!“... Ojciec przyskoczył,
Dusza zeń cała łez strumieniem ciekła,
Wziął, ramionami mnie dziecię otoczył.
Co rzekł, co jęczał, co kapłanka rzekła,
Nie wiem, strumień łez wzrok i słuch zamroczył;
Oczom, co jasność obaczyły złotą,
Znów pocałunki zostały ślepotą.

Lud cały krzyczał, ojciec jak orlica
Porwał mię w szpony i uciekał ze mną.
Jam patrzał smętnie, cicho w jego lica,
Bom jego nie znał, a on był nade mną,
Myśl moja zaraz, jak dawna tęsknica,
Z martwych powstała. Wszędy głucho, ciemno,
Słońce te same świat cały pozłaca,
Ale świat nowy, nowa na nim praca!

Sosnowe ojca domy jakoś niskie
Ku gospodarstwu więcej, zda się, dążą;
Szpichlerze jakieś i sady są bliskie,
I dziwnie belki się wysokie wiążą,
Sionki wysokie, a glinami śliskie,
Wyżej krużganki jakieś złote krążą,
Ubrane w szyby, a szyby w ołowie,
Jakby w bladawych szatach aniołowie.

To był cud jeden, który przypominał
Duchowi memu niewidzialne rzeczy;
Na te krużganki patrząc, śnić zaczynał,
Gdy na dół spojrzy, to znów jest człowieczy.
Tam czasem król sam barana zarzynał,
Albo królowa swe żebraki leczy,
Torby napełnia, opatruje rany,
Niższa od starców siedzących — kolany.

Teraz ja widzę, jak się owa cała
Kraina, rosnąć w niebo przeznaczona,
Bogu służyła i zasługiwała
Duchem uczynków, jak ziarenne łona.
Już mają ducha, lecz duch wtenczas działa,
Kiedy moc jego gniciem zatrwożona,
A on już w zgniłym prochu spać nie może,
Lecz sił dobywa i wyżej się porze.

Jak on duch, mówię, w orzecha trumnicy
Wiekiby całe spał na skronia obie,
Nakształt egipskiej, wonnej balsamicy,
Tem tylko różny, że ma gwiazdę w sobie,
Gdyby go nie wstrząsł ręką błyskawicy
Pan, gdyby gniciem nie zatrwożył w grobie
I znów nie wyzwał do pracy i ruchu
I do potęgi sił, które są w duchu,

Podobnie, jak te ja ptasie lub orne
Śpiące, a sobie jeszcze nieświadome,
Lud mój uczynił formy swe pokorne,
Śpiące a minął wszystkie góry strome,
Nie wiedząc, że się przez kształty wytworne
Zdobywa cudo piękności widome,
Świętość, która się nie zna, ale czuje
I cicho z niebios różanych zlatuje.

Co do mnie, Pan mi drogi niebezpieczne
Zakrył, prostoty mię owiawszy wonią,
Abym fundament na gmachy słoneczne
Miał pewny a te zasługi miał bronią.
I oczy moje były jakby mleczne,
I krwią mię Pan Bóg porównał z jabłonią,
Która nie idzie prędko pod obłoki,
Lecz ma ciężarny płód i słodkie soki.

I jako zboże mię w ziemi zatracił
A dobrze wprzódy krwią uprawił ziemię,

Abym stem ziaren na ziarno zapłacił
I szedł spokojnie naprzód przed me plemię
A w myśli ważne zwolna się bogacił
I umiał kiedyś krzyża dźwigać brzemię,
Kiedy narody całe staną zdradne
I będą patrzeć gdzieś z gór — czy upadnę.

Służyłem ludom, cierpiałem — i oto
Poranek moich cierpień nie przeminął.
Przez wszelką jasność odbieżany złotą,
Gdy sny odbiegły, a wzrok się rozwinął,
Objęty byłem nieznaną tęsknotą
Za marą ducha — za snem, który ginął,
Jakoby zwolna ustępując kroku
Rzeczom będącym w oczach na widoku.

O starcu już tym błękitnym ni wieści
We snach, a jednak czułem, że powróci.
Zresztą rozkoszy wielkiej ni boleści
Nie znałem. Często pługom przy uwróci
Sam nalewałem czary — czar czterdzieści,
Bo tylu pługom skowroneczek nuci
Wiosną, gdy drzewa cień rzucają długi,
A w pole wyjdą nawet króla pługi.

Ziemomysł — dźwięk był imienia niepróżny!
Oracz król — sędzia spraw pod jabłoniami;
A często obcy człowiek lub podróżny
Pytał się chłopka: „Który jest nad wami
Król?“ tak był mało od poddanych różny.
Gdy sąd na sprawy kładł, brónione łzami.
Zasiadł pod lipy pachnącą framugą
Na stołku, a jam zamyślał się długo

I rzekłem: „Wszędzie tak na całej ziemi
Królowie sądzą, ludzie żyją, orzą,
Świat śpi i żniwy porasta złotemi,
Błogosławiony cichą ręką Bożą“.
I pomyślałem: któż to brzęki temi,
Które mię od zbrój tak, bywało, trwożą,
Przerażał niegdyś ciemne słuchy moje? —
Mój ojciec musi brać miecz i kłaść zbroję.

I zaraz szereg myśli niespodzianych
Na moje oczy myślące naskoczył,
Zajrzałem w szpichlerz, gdzie pełno miedzianych
Tarcz było, szyszak się ze ścian potoczył;

Z powiek wydartych przyłbic, rdzą rumianych,
Jakiś rycerski duch dzieciątko zoczył
I chcąc je pewnie powołać ku sławie,
W przyłbic tych dziury kładł swe oczy pawie.

Rzekłem to ojcu, a on: „Tak to było
Niegdyś. Teraz mię duch oświecił nowy,
Światło mię jakieś dziwne rozbroiło
I szyszak zdjęło z mojej siwej głowy.
Do grobu już mi śpiesznie i pochyło;
Kraj umniejszony mam już do połowy,
Lecz wolę, że tak lud się uwesela,
Niż jako było niegdyś — za Popiela".

A ja: „Cóż było, ojcze?" A on, srogi,
Położył palec na ustach, zabronił
Pytać o tego ducha wielkiej trwogi,
Który kraj z siebie jakby z krwią wyłonił.
Rzekł mi też, że w dom zaprosi ubogi
Synową, którą anioł mu odsłonił
We śnie i kazał wziąć z Czech Chrześcijankę.
To rzekł i odszedł. A ja na kapłankę

Postrzyżyn wtenczas wspomniałem i twardy
Zastrzegłem w sobie przeciw zaślubinom
I przeciw ojcu memu, pełen wzgardy,
Podobny czary spłonionej bursztynom.
I byłbym poszedł na różne hazardy,
Gdyby nie ciało ciężkie, ku dolinom
Ziemi chylące mię i krew uboga,
Dane mi wtenczas w dar od Pana Boga.

PIEŚŃ II.

O dziwnie! z jaką cichością Bóg sprawia
Swe wielkie rzeczy przez nas duchy wolne,
Które prowadzi a sobie zostawia,
Umiłowawszy te, co jako polne
Kwiaty na ziemi, gdzie je Pan Bóg stawia,
Miłośne miody są wyrabiać zdolne
A czołem jasnym nad inne wybiegą
I kwitną z siebie i żyją ze swego.

Dziwnie, jak Pan jest dobry i litośny,
A ducha, co się na pracę poświęci,
Ubiera w kolor, w głos piękny, roznośny
Zaopatruje a do nieba nęci

A do nóg mu świat przywiąże miłośny,
Tak że on coraz wyżej, jako święci,
Idzie, w swej pieśni wyzniesiony powiewie,
I świat pociąga, a sam o tem nie wie.

Taki nade mną był Pan w one czasy,
Gdy światłem nowej, Jezusowej wiary
Miałem oświecić łąki, góry, lasy,
Rycerzy zbroje, czoła i sztandary.
Pamiętam ranek ów, gdy pełne krasy
Poselstwo swatów, jak chciał zwyczaj stary,
Na co w prostocie tej króla stać było,
Pieszo i konno do Czech wychodziło.

Wybiegłem nad brzeg jednego jeziora,
Na kurhan stary wstąpiłem, wysoki;
I stamtąd widzę, jako kształt kaczora,
Który prowadzi gęsi przez obłoki,
Szedł rzępolista, a za nim ze dwora
Młodzieńce w parach szli równemi kroki,
A każda para swój kolor właściwy
Miała, jak w tęczy, odmienny i żywy.

Dwóch szafirowych, a zaś dwóch w purpurze,
Szło dwóch podobnych do jasnych płomieni,
Za niemi złotych dwóch, a potem w róże
Ubrana para, a potem w zieleni;
Siedem par było; zda się, pańscy stróże,
W długie, barwiste szaty obleczeni.
Za prowodyrem szli spokojnie w rzędzie,
Ci złote gęśle nieśli, ci — łabędzie.

Z ptakami swadźby różne instrumenta
Świeciły swemi struny na blask słońca;
Pięknością sobie równi jak bliźnięta,
Po nadjeziornej ścieżce szli bez końca,
Bo duch mój, który tę wstęgę pamięta,
Ciągle ją widzi i w ciemność nie wtrąca,
Widzi, jak idą ci świętości słudzy
Nad fal błękitem — a w błękicie drudzy.

Bo fala była gładka, a po skraju
Szła ścieżka owa i szli owe swaty;
A nieco dalej pokazał się z gaju
Na białym koniu jeden pan bogaty,
Supan w szkarłatnym jak ogień kuczbaju,
Zastępujący króla majestaty,

Wyobraziciel ojcowstwa w orszaku,
A przy nim mój brat także na rumaku.

Mój brat Cydebur, młodszy jednym rokiem,
W zbroję złocistą ubrany, w czerwieni,
Koniem srebrzystym wywijał jak smokiem
I leciał, choć w świat, jakby do pierścieni;
Potem do starca wracał stępo — bokiem,
Hamując konia, od drogich kamieni
Tak oblanego, że się zdało, niby
Wyskoczył w tęczach z oceanu szyby

Koń słońca! Na nim wszystkie skarby wiszą,
Które miał ojciec a chciał oddać Czeszce.
Ranek błękitny był i wielką ciszą
Owiane pola; a ja się tej ścieżce
Przypatrywałem jak ludzie, co słyszą
Muzykę duchów w kolorów zamieszce;
A cichość jakaś mię ruszała święta,
Kiedy brzęczały w polu instrumenta.

I pomyślałem: do Czech idą, gędzą,
Z palmami do Czech idą, tak daleko!
Jakież to losy w tamtę stronę pędzą,
Ten orszak? Wstałem z nabrzmiałą powieką;
Jakaś mię smętność, dawną moją jędzą
Będąca, wzięta nad letejską rzeką,
Znów ogarnęła, i westchnęło łono
Za jakąś dawną w błękitach zjawioną.

Ranek... spokojność pól, błękitów, wody...
Szesnąstoletnie serce moje żywe...
Za mną leżące cmentarne narody
I czyny zmarłe, wielkie, lecz straszliwe...
Pode mną kurhan stary... ja znów młody,
Jak garnek, nową mający poliwę,
Na słońce z ciemnych wydobyty lochów,
Świetny pozłotą, ale pełny prochów....

„Któż mię odświeży? — pytałem... i głośno
Pytałem — kto mi ducha odpromieni?"
„Ja! — rzekła mową piękną i żałośną
Stojąca za mną mych postrzyżyn ksieni —
Lecz na tę krzywdę ty nie pozwól sprośną
I na obrazę naszych ojców cieni
Nie pozwól! Jam ci otwarła powieki!
Jeśli chcę, zamknę — i zamknę na wieki.

Ja wiem, że teraz Pan Bóg nas nie słucha
I klęte duchy z gajów nie wychodzą,
Wyroczniom naszym odebrano ducha,
Węże nie służą, gołębie nas zwodzą,
Ogień z pod źrzódeł naszych nie wybucha,
Klątwy wiatr czynią, a zbożom nie szkodzą,
Piorun nie bije, lecz tylko wyświetnia
Pierś, jak w boleściach błyskawica letnia.

Anioł ognisty nad lasami leży,
Piersi rozedrze, ogniem z łona buchnie
A pokazanych palcem nie uderzy!
Świateł nie mamy, prócz tych, co są w próchnie,
Bo duch największy na ziemi — nie wierzy!
A ten duch — to ty!... Wierz Lijady druchnie
I kapłanicy poświęconej w Retrze:
Do ciebie całe należy powietrze!

Ty wielki — wielkie duchy masz pod wodzą;
Ale przyszedłeś wcześnie — oszukany,
Ty już — a one teraz w ciała wchodzą
Do miecza i do krwi. Stuknij w kurhany!
Zażądaj: a z tych kości się narodzą
Rumiani ludzie, lecz bądź sam rumiany!
Mówię ci: podepc tę białą lilję,
Około której złoty się wąż wije".

Tak uderzywszy mię ta piękna z góry,
Zaczęła ciągnąć potem mową wdzięczną,
Piękną, jak różne oblicze natury,
A mglistą jakąś dziwnie i miesięczną.
Cierpiała sama, a jam się, ponury,
Bronił prostotą hardą i niezręczną,
Nie chcąc wyraźnie ulec tej wróżbiarce;
Ażem ją wtrącił w gniew — i wrzasła: „Skarcę!

Twe własne duchy przeciw tobie ruszę!
— Rzekła — a nie myśl, że mi brak mścicieli!
Jako jesiennych liści w zawierusze
Mam pełne włosy duchów! Jam z topieli
Wyszła, wlekąca duchy, które muszę
Karmić jak matka, która serce dzieli
A wszystkim chleba daje domownikom,
Tak ja i gwiazdom — wężom — i płomykom.

Ten warkocz za mną wyciągnięty z morza
Teraz z fal jeszcze słońcami wychodzi.

Ujrzałbyś, gdyby nie ta jasna zorza,
Ujrzałbyś, żem jest na tęczowej łodzi,
Że skrzydła mi z plec, z głowy rosną zboża,
Około której wąż złocony chodzi,
Że jestem z wszystkich tworów razem zwita,
Jak łania i wąż — gwiazda i kobieta.

Za mną, powiadam ci, z mórz się wywlekły
Tęcze, a z rąk mych sypią się promienie,
A z piersi gwiazdy mi karmiące ciekły,
A ze mnie czystej rodziły się cienie;
Aż mocy moje, jak te łzy, uciekły,
Żem jest niemocna na twoje sumnienie,
Ja, która dawniej bez jęku i głosu
Za twoim duchem szłam przez płomień stosu.

Ileż ja razy byłam oszukana
I przez płomieni czerwonych zwierciadło
Przebita! Ciebie nie znalazłam — Pana,
Lecz jakieś inne rycerskie widziadło!
Wtenczas w mgłach, sama ze świateł ulana,
Gdy mi z rąk tysiąc ptaszków złotych jadło,
Ja obracałam za tobą z tęsknotą
Twarz moją wielką, jako miesiąc złotą.

I teraz oto na kolana padam!
I z groźby znowu do płaczu przychodzę.
Z ducha ci gadam i nie wiem, co gadam,
A jednak ja tych słów sama nie rodzę!
A że wiem wszystko, to ci zapowiadam,
Że przyślę tobie moje duchy — wodze;
Jeden u ciebie już był — starożytny,
Jak ja — ty dobrze wiesz kto — ów błękitny".

Gdy to wyrzekła, wszystkie moje włosy
Zadrżały. Rzekłem do siebie: nie kłamie!
Widuje duchy i zna ludzkie losy
I ma twarz złotą i ma silne ramię.
I to uczułem, że mię jako kłosy
Chce siłą ugiąć i złamać — i łamie
I to uczułem, że wysoki czołem
Anioł mój nie paść chce przed jej aniołem.

A piękną była!... Przez one grobowce
Stare wzniesiona nade mną wysoko,
Kamienie szare i czarne jałowce
U kolan miała — a błyszczące oko.

Szczęściem, że jeden pasterz, pasąc owce,
Pieśnią spokojną, smutną a głęboką,
Gdy mię już chwytał w szpony duch skrzydlaty,
Przypomniał mi to wesele i swaty.

Jakby promieniem czystej wesołości
Rozjaśnion, rzekłem: „Sam wybiorę drogę,
A teraz czekam z Czech tu nowych gości,
Z któremi sobie jak mogę pomogę.
Jeśli mi wiara ta nowa uprości
Żywot a zdejmie z serca żal i trwogę,
Przyjmę ją, jeśli cudów nie pokaże,
To ciebie wezwę na nią — i przerażę".

„Dobrze! gotowam do walki — zawrzasła —
Ale w tej walce niewidzialną stanę!
Drogi twe trudne, sława twa zagasła,
Oczy zamknięte i kraje porwane,
Niesłuchające ludy twego hasła,
Myśli ściemniałe, nieporozkwitane,
Usta krzyczące do niebios daremnie:
To będzie mój dar i wyleci ze mnie!"

Rzekła i smętna odeszła. I biegły
Znów dnie, a jam czuł jakąś w sercu żałość
I czułem w duchu jakiś śpiew rozległy,
Który przez ciała się niedoskonałość
Zatracał. Myśli moje nie uległy,
Lecz się obudził w sercu szatan — stałość,
Stałość ta druga i niedoskonała,
Która duch nowy kładzie w stare ciała.

Dziwnie na dwoje jakoby rozbity
I rozebrany na dwa instrumenta;
Tu mię spokojne, ciche pól błękity
I skowronkami dzwonne firnamenta,
Tam ciemne lasy, czarem tej kobiety
Zmienione w czartów księżycowych święta,
Wabiły w swoją półmroczną tęsknotę,
Jak widmo z chmury, które ma dno złote.

. . . . . Wracali posłowie
Z oblubienicą tym samym porządkiem:
Z posagiem panny w koszykach na głowie
Młodzieńce w parach i przed niewiniątkiem
Supan i brat mój, jak dwaj aniołowie:
Jeden młodością złoty, a rozsądkiem

Drugi, jakoby ze srebra ulany
Jowisz, purpurą gromową rumiany.

Sama Dobrawna na białym rumaku,
W kolebce złotej, niby pani święta,
Na turkusowym jak niebo czapraku
By kwiat przypięta,
Drzewiną była najwyższą orszaku,
Wyższa nad wszystkie pany i panięta,
Na jaśni niebios błękitnych dziewica,
Prawdziwie wschodnia Syjonu palmica.

Jakby na skały siedząca wierzchołku
A nieco tylko wiatrem kołysana,
Sługi mająca zwykłe na przystołku,
Idące z lewej strony — u kolana,
Patrzała w prawo, kędy na osiołku
Biskup i święty ów Chrystusa Pana
Męczennik, święty Wojciech, wówczas młody,
Apostołować szedł nasze narody.

O! hosanna wam jeszcze dziś, o goście
Anielscy, ludzie obcy, dobrej woli!
O! aleluja wam, których tu koście
Pozasnowane śpią na ludu roli!
Oto dziś jeszcze te wiary jasnoście,
Które mam od was, świecą mi w niewoli
I z duchowego zaświeciwszy rdzenia,
Wywodzą świętą tę pieśń — z objawienia.

Nie mogę dziś was tak jako przed wieki
Przyjąć w prostocie serca — w moim dworze,
Bo nie mam dachu i nie dam opieki
Nawet jaskółce. Ani wam położę
Miodu złotego z królewskiej pasieki
Ani rozsypię w progach złote zboże;
Z przyjęcia niegdyś Król-Duch byłem sławny:
Bóg teraz widzi, żem syn marnotrawny!

A jednak wy mię znowu nawiedzacie,
O, duchy, patrząc tu na moje ściany,
Zdziwione prawie, żem jest w cudzej chacie,
Podły jak żebrak jaki i nieznany!
Napróżnoż wy się nad tym rozczulacie,
Bo mię nie bolą wcale moje rany;
Owszem nad sobą płaczcie, że nie mogę
Was tam wprowadzić jeszcze, gdzie mam drogę.

Przyszliście dawniej, a ja święte gaje
Posiekłem, na wschód porąbałem drogi,
Byście widzieli, jako słońce wstaje
W puszczach, gdzie groźnie grzmią Jadźwingów rogi.
Złote, weselne w kwiatach korowaje
Znosił wam chłopek dobry i ubogi;
Wszystkoście mieli — i serca otwarte,
Ciche, choć dawnym pamiątkom wydarte.

Przyszliście dzisiaj, jako aniołowie,
W ciało dla sprawy Chrystusa ubrani,
A my wam miód serc i jabłeczne zdrowie
Krwi naszej i moc naszą nieśli w dani,
Dawno gdzieś w duchu o Chrystusa Słowie
Wiedzący, dawno przez ducha złamani,
Syjonu duchy z posągów kamieni
Wyrwani, przez was w drogę obróceni.

Pokora, cichość, te najrzadsze cnoty
Dla ducha, który już się czuje Bogiem,
Wpadły do wnętrznej nam duchów istoty,
A ciało pierwszym pokazały wrogiem.
A więc na ciało, jak żubr rogozłoty,
Rzucił się anioł, nastawiony rogiem
Jak żubr, gdy burza czyni zamieszanie,
A on przeciwko piorunowi stanie.

Jak żubr, gdy w piorun rogiem się zapędzi,
W tumany liści zawichrzonych kole,
Takem ja chciał być wraz anioł łabędzi
I dostać ognia świętego na czole.
Święci mówili, że Pan nie oszczędzi
Ducha mojego, lecz na wielkie bole
Puści, z hańb wielkich serca i owdowień
Probując złota moich postanowień.

Jam krzyczał, wznosząc w górę moje pięście,
A nie dziw, bom był wtenczas duch młodzieńca,
A twarz cudownie piękną ma nieszczęście
Nieznane, z pod gwiazd patrzące się wieńca.
Jam krzyczał: „Sława, miecz i to zamęście
I złote moje szaty oblubieńca
Niech idą Panu, jako wieczne dary,
Jeśli Pan żąda z ducha tej ofiary!

Uczucia moje ludzkie podruzgotam,
Serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię,

Sławą rycerza od siebie pomiotam,
Koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię;
Tylko niech sobie tym dniem zarobotam,
Wieczyste światło i to złote znamię,
Które się w Bożym Królestwie pokaże,
Zmartwywstającym kościom złocąc twarze.

A tę ofiarę chcę mieć postokrotną
Nie tylko za się, ale i za ludzi,
Abym tę otchłań niebios nie samotną
Miał ale z braćmi, których Bóg obudzi".
Pan przyjął łzami mojemi wilgotną
Ofiarę i dziś kości moje trudzi,
A duch na wszelkie boleście zatwardził,
Aby pokazał, że darem nie wzgardził.

I zaraz... Lecz wprzód zejdę na doliny,
Gdzie było moje anielskie wesele,
Przy schyłku jednej pogańskiej gontyny,
Gdzie łąka miała różne, wonne ziele,
Dziedzili niegdyś ogród i kwiatyny,
Wyścielające wschody przy kościele —
Rzekłbyś, że tęcza, którą ta Driada
Wchodząc do gontyn, przed progami składa.

Na zieloności smugach, na strumieniach
Kwiatów, na żwirach goplańskich najbielszych,
Przy lipy szmerach i brzozy westchnieniach
I przy błękitach niebios najweselszych,
Przy kwiatkach, w których jak w drogich kamieniach
Był blask, przy ptaszkach śpiewniejszych i śmielszych
Był ślub, gdzie czysta z najczystszych na ziemi
Stała z oczyma w ziemię spuszczonemi.

Dwa z ametystów blaski jak z krynicy
Lały się ciągle, choć rzęsą przykryte.
Dziś tej mistycznej nie wiem tajemnicy,
Jako z tych oczu węże złotolite,
Jeziora złote w całej okolicy,
Lasy blaskami na wylot przebite,
Kwiatki błyszczące jak drogie klejnoty,
Jak owo rodził wzrok miłością złoty.

Dziś jeszcze nie wiem, czy dusza uległa
Większej, miłosnej mocy, cała drżąca,
I z ciała mego na chwilę wybiegła,
Aby przez oczy jej była widząca;

Lecz gdyby wtenczas ręka mię nie strzegła
Kapłańska, dusza z ust wylatująca
Byłaby, mówię, upojona chwałą
Wyszła i nigdy nie wróciła w ciało.

W tej błyskawicy i w tym zawichrzeniu
Sądziłem, że głos stu aniołów słyszę,
Sto harf dzwoniących na mnie po imieniu
Przez cichy kryształ i błękitną ciszę,
Sam wielki, duży szmaragd na pierścieniu,
Jak źrzódło, gdy się pod słońcem kołysze,
Dwa wielkie blaski rzucał na dwie strony,
Jak skrzydła złote, a sam był czerwony.

W ogniach, w szelestach, w zachwyceniach, w śpiewie
Uczułem wielkie stchórzenie serdeczne,
Bo się duch święty rzucił, cały w gniewie,
I zapłomienił na nas światło wieczne;
Jak szelest, który jest przed burzą w drzewie,
Tak w duchu wszystkie pierwiastki słoneczne
Zawrzały szmerem, gdy Pan się nasunął
W ogniach i z ognia niewidzialny runął.

Wieki minęły, a to tchnięcie Boże
I to owiane ogniem naszych ramion
Wraca, ilekroć w prochu się położę
Na mych mogiłach, na łachmanach znamion;
Dlatego z ducha nigdy się nie trwożę,
A bladnę, kiedym ciałem jest omamion,
Na walkę z formą przeznaczony wieczną,
Aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.

Jakoż zaledwo z tej złotej kąpieli
Wyszedłem z jasną moją gołębicą,
Pan, który smuci i który weseli,
Nawiał ogromną nieszczęść nawałnicą.
Jak ojciec, który wie, że piorun strzeli,
Bo we śnie Bożym gadał z błyskawicą,
Więc gdy się burza ognista zaczyna,
Patrzy na syny, w którego to syna?

Tak ja na mój lud pod moją ofiarą
(Bo mi już ojciec wtenczas zdał koronę)
Patrzałem myślą moją smętną, starą,
Jak dziecko mając piersi rozkwilone.
Ludzie ze starą żegnali się wiarą
Płacząc, i bogi też były wzruszone!

Że nie odeszły z duszą obojętną,
To wszelkie echo świadczyło i tętno.

Jeszcze się uczta kończyła zaślubin
W owej to sali dawnych sakramentów,
Gdzie jako w Kanie Galilejskiej rubin,
W kielichach szmaragd i blask diamentów,
Gdy ów duch pierwszy egipski, Anubin,
Z brzękiem cymbalnych różnych instrumentów
Przeszedł jako wiatr nad wierszchami gmachu
Z muzyką smętną i z urokiem strachu.

Ludzie wybiegli, a inne strach mrowi
Przeleciał, inni na gankach słuchali;
A on, jak harfa, leciał ku wschodowi
I w cieniach niknął i grał coraz dalej!
Już za puszczami — a instrumentowi
Przybywał jakiś dźwięk, który się żali! —
Widziano nawet niby gwiazd przeloty,
Czar błyski i liść winogradów złoty —

Duch uczt. Zmartwieli niektórzy supani
I nie wrócili już więcej do stoła. —
Potem Siwanna, księżycowa pani,
W pełni zabłysła nad gajem kościoła
I jako ludzie nagle krwią zalani,
Krew pokazała z okrągłego czoła
I nie odkryła, aż po dwóch godzinach,
Twarzy zaćmionej — w noc po zaślubinach.

Taka zieloność trupia tej bogini,
Jakby przez duchy gontyn nakazana,
Ludowi zaraz, który gadki czyni,
Serca zatrzęsła i zgięła kolana. —
Właśnie przy domu nocnej monarchini
Wesele było w dzień świętego Jana,
A jeszcze do dziś gadki są prostacze,
Jak po tej nocy słońce gra i skacze.

Dotychczas jeszcze chwila owa wschodnia,
Wtenczas widziana, trwa w duchów pamięci;
Słońce jakoby gaszona pochodnia,
Którą na niebie wichru Bóg zakręci,
Ludowi w trwodze zebranemu do dnia,
Pełnemu wstecznej ku bałwanom chęci,
Jakoby grożąc, w pomrok zorzą szary
Przed sobą swoje dwie wysłało mary.

A potem same pomiędzy obiema
Wyszło, i trójca słońc na niebie stała!
Patrzała na to ciżba chłopków niema,
Już chrztem obmyta, ale strachem biała.
Ja sam, na one złote diadema,
Które na czole Światowida pała,
Patrząc, patrzałem — i zdjęła mię trwoga,
Żem na trzy części rozbił głowę boga.

A wszystkie myśli te chowałem w sobie
I byłem smętny, jak lud. „Oto siedzę
— Rzekłem — na bogów moich dawnym grobie
I utraciłem wszelką od nich wiedzę!"
Przeto myślałem o jakim sposobie,
Jak człowiek, który chce rozorać miedzę,
A sporne głazy wyrwawszy i koły,
Pogodzić o grunt dwa nieprzyjacioły.

I wnet stanęła mi w myślach gontyna
Ody, kapłanki postrzyżyn, straszliwa,
Kędy posągów wypalona glina,
Ich różna, żywot kłamiąca poliwa —
Oczy mający z jednego rubina,
Z bawolą głową w ręku, bożek Siwa
Stał, a wokoło święte były ptaki
I węże na łbach posągów, jak krzaki,

Tak nauczone, że na księdza głosy
Wychodzą wszystkie do świętych twarogów
I są jakoby zwite, srebrne włosy,
Podnoszące się zgrozą z czoła bogów,
Gdy w środku różna tłuszcz skwarnemi głosy
Skwirczy z miedzianych lamp, kotłów, trójnogów
I rzuca swój blask różnofarbny, wielki,
Na dziwne belek sosnowych ciesielki.

Tej jednej starej, gnezneńskiej bożnicy
Pożałowałem. Próżna łza nad pychą!
Węże spotkano wszystkie w okolicy
Gdzieś w las idące porządnie i cicho.
Jak księża, kiedy wychodzą z kaplicy
Z krzyżami, tak się ze swą guślarzychą
Zmówiwszy ów gad, na wielkie niedole
Ważył i wolał iść przed wzgardą w pole.

Dziś jeszcze widzę, słyszę, jak lud blady
Kiwa głowami. „Tam trzy słońca wschodzą!

I tam — powiada — poszły nasze gady
I tam się duchy nasze znów narodzą".
O! smętny jest świat!... o, dziwne przykłady!
Po gadach nawet smętno, gdy odchodzą!
Wieki! a tego bolu nie zwyciężę,
Że mną wzgardziły wtenczas — nawet węże.

Zmiłuj się, Chryste, dosyć już! Ta czysta
Dusza nie mogła wtedy wiedzieć, Panie,
Że mi na puszczach gdzieś, za lat czterysta
Przyjdzie wojować to emigrowanie!
Że i powietrzny ów duch cymbalista
I trójsłoneczny znów Światowid wstanie.
Że, ile ciało ma zmysłowych wrogów,
Tyle na tarczę ducha wezmę bogów.

Ze smętku, który w ludzie był niemały,
Urodził się strach i wieść tajemnicza,
Że niewidome duchy zabijały,
Nie pokazując ręki ni oblicza:
Bez bolu, bez krwi zabójstwa się działy!
Ja świadek, że Bóg szatanom pożycza
Czasu na nocne, niewidzialne zbrodnie,
A ci zdmuchają żywotów pochodnie.

I najstraszniejszy ze wszystkich przestrachów,
Anioł ów, który nad Egiptem śmigał
I jedną duszę wziął ze wszystkich dachów
A przed baranka się krwią jedną wzdrygał,
Bo z lwa, do ludzkich przywykły zapachów,
Podług natury bił i szedł i ścigał,
A dom, który się krwią niewinną zbroczył,
Poznał i wichrem owiawszy, przeskoczył.

Podobny anioł, lecz z orła wyjęty,
Z gadów zdradzieckich czyścił ducha zboże
I brał, kto był chrztem fałszywym przeklęty
I wziął Chrystusa a znosić nie może.
Naładowane bocianie okręty
Temi smętnemi duchy szły za morze,
W dzień spoczywały nad kurhanów darnią,
W noc szły za duchem żórawim — latarnią.

I długo potem po szczeblach (i) schodach
Drzeć się musiały znów do Polski raju,
Gdzie święty jest duch na łąkach i wodach
I pełno kwiatów przy każdym ruczaju,

Gdzie ptactwo w lasach jest jakby na godach,
A człowiek lutnię ranną słyszy w gaju
I pełny świętej miłości się budzi
I dla natury kwietnej i dla ludzi.

I gdy wybite już były te węże,
Pan rzekł: „Obaczę jeszcze tego króla,
Obaczę jeszcze, czy mieczem zwyciężę;
Gdzie on sieroty swoje poprzytula,
Gdy mu kraj wezmą straszne trzy oręże,
Powyganiają pszczoły wszystkie z ula.
Próbę na serce królewskie przypuszczę:
Jeżeli zgrzeszy sercem — to odpuszczę".

Rzekł; i straszliwy gdzieś lud ode wschodu
Wstał, a ja miałem o nim już widzenie.
Wstawał i głucho gdzieś zaszczekał z lodu
Głosem, który ci czasem wiatr przyżenie,
Gdy noc, gdy włosy ci wstaną od chłodu,
A gdzieś od wioski na łańcuchu szczenię
Słyszysz, że wyje na wiatr albo szczeka:
Snać wilka zapach poczuło zdaleka.

Tak one wieści zimne dzisiaj słyszę,
Najpierwsze. Jakiś lud, mówią mi, dziki,
Jakieś książęta — Normandy — Łotysze —
Jakieś straszliwe, morskie rozbójniki —
Burza je rodzi, a morze kołysze,
Bogi je straszne w chmurach, słoneczniki,
Po tęczach wiodą w śmierci tajemnice
I zapraszają przez cudne dziewice —

Tacy książęta, przez lud zaproszeni,
Który O wielkie już na A zamienił
I cały Słowa wyrzekł się promieni
A cały w Sławę ducha przekamienił, —
Tacy książęta gonią do pierścieni,
A lud je z własną wolnością ożenił,
Dziewicę swoją najczystszą dał za nie,
Jak ojciec, który popadł w obłąkanie,

I ojców ojciec — a gdzież niema duchów,
Którzy ojcowstwo narodowe biorą
I targaczami są wielkich łańcuchów
I chcą zapalić, ale sami zgorą?
Taki był jeden, który z tych okruchów
Wolności dawnej wziął kosza siedmiorą

I te kawałki chciał jeszcze rozmnożyć
A nie mógł więcej — jak duszę położyć.

Nowogrodzianin Wadim! Niech to imię
Przez wieki na tej pieśni sobie płynie,
Jak łabędź, który na rzece zadrzymie
I gdzieś obudzi się aż w słońc krainie.
I wstały zbrodnie północne, olbrzymie
I od monarchów krwawsze monarchinie,
Którzy umieli krew pozłocić swoją
Krzyżem złoconym i błyszcącą zbroją.

Lecz długo się duch narodowy, luty,
Bronił natury samej straszną siłą,
Cudami, przez płaszcz cielesny, rozpruty
Miecz pokazując, że jest, gdzie nie było.
Oleg na kościach końskich wężem skłuty,
Igory straszną nakryte mogiłą,
Ciągłe nieszczęście mogił pod Kijowem:
To walka Sławian północnych ze Słowem!

Król-Duch, słuchałem przerażony, blady,
Że już ci sami, lud niegdyś ubogi,
Którzy łodziami szli na Carahrady
A łodziom dali złote z wozów nogi
I na Carogród tak jak białe gady
Biegli z szelestem a suchemi drogi,
Że błękit cały nieba stanął cichy,
Lecą — a błyszczą kół ogniste sprychy —

Ci sami, których wielka czarownica
Wywiodła z ziemi i gdzieś na kurhany
Wstąpiwszy, wzięła radę od księżyca,
Gołębi ogniem zapalić Drewlany —
A którą teraz mi ta błyskawica
I ogień, śladem gołębiów posłany,
Olśnił, gdy piszę, swym pożarem sennym
Czarną, na krzyżu złotym, trójramiennym, —

Ci sami gdzieś, z wron krzykiem, orłów skwirem,
Na mą granicę wschodową napadli
I wrzaśli hasło swoje: „Władymirem!"
Mordując chłopka, który ziarno radli.
A już od Karpat — Rzym! A pod szafirem
Bałtyku pruscy poganie, zajadli
Na Chrystusową wiarę, rżną i palą!
Wojna! kraj cały — wiatr, błyszczący stalą.

Cydbur od wschodu, ja od Karpat — księża
Na północ poszli ze świętym Wojciechem,
Bo już nie było żelaza i męża;
Więc poszła kraju swego bronić echem
Ta pieśń, która dziś narody zwycięża,
Choć z niedowiarków śpiewana uśmiechem,
Jak gdyby uśmiech był to, co należy
Tym świętym pieśniom, na których krew leży.

PIEŚŃ III.

Chorągwie moje krzyżowe podarto!
Gdy mówię, jeszcze serce we mnie lata:
Musiałem z krain, leżących za Wartą,
Hołdować, abym szedł wydobyć brata;
I część królestwa trzecią albo czwartą
Nakryła moja pokrwawiona szata,
Kiedy popiołu nasypawszy wiele,
Siadłem w sienicy mojej — na popiele.

Mówią, że złoto i w popiele świeci.
Gdy to przysłowie powiesz, to mi wstaje
Ona mogiła dawnych przedstuleci
I one dawnych smutków obyczaje,
Gdzie król lilją złotą z liści leci
I popiołowi wielkość tronu daje,
Kiedy usiądzie i zakryje twarzy,
A nikt prócz Boga cieszyć się nie waży.

I rzekłem: „Pan Bóg mię uniżył srodze!
Śródze mię dotknął Bóg mój, świata książe!
Jestem jak żebrak zatrzymany w drodze:
Nie wiem, skąd idę, nie wiem, dokąd dążę.
Jeśli niewolnik podły ma obrożę,
Cóż ja lepszego jestem? Pan mię wiąże!
Kwiat jestem podły i łzy podłe cedzę,
Krynicą jestem łez, na prochu siedzę.

Nic podlejszego, jak król hołdujący!
Nic biedniejszego nade mnię człowieka!
Król jestem łaską upokarzający,
Niosę do morza mój lud, jako rzeka!
Ze skał się rzucam w ocean gorący,
Gdzie mię wieloryb niepamięci czeka!
Ślepemu dobrze nie widzieć, gdzie skoczy:
Wydarłeś sławę, Panie, odbierz oczy!“

I otoczyli mię kołem panowie;
Widzę ich: jacyś starzy Sędziwoje
W hełmach lub w lisich kołpakach na głowie,
Widzę ich szaty długie, widzę zbroje...
Nagle ujrzałem oczy, jak ołowie,
Blaszane... ogień... twarz białą... rąk dwoje...
Potem nic... tylko wielki krąg czerwony.
Wstałem — jak lampa powstałem — zgaszony!

Szmer strachu poszedł, bom ręce otworzył
Jak Samson, który szuka gdzie kolumny,
I zatoczyłem się i wszystko trwożył
Mych rąk zamachem, ślepy, bezrozumny.
„Pan mię — krzyknąłem — żywego położył
Na sen w ciemnicę wiekuistej trumny!"
Chciałem przeklinać, lecz mi straszne słowa
Ręką zamknęła na wyjściu — królowa.

I dziw!... usiadłem znowu na mogile
Czując, że niby kwiat wyrasta wonny
Z popiołów, który ja ku sobie chylę,
Człowiek już nowy jakiś i pozgonny.
Kiwałem głową: a ciemność nie tyle,
Ile nad krajem ból, a wtenczas płonny,
Uciężał sercu memu, lecz ból cichy,
Ból ojca, próżen wszelkiej ludzkiej pychy.

I pokazał mi Pana, na jaką sprawę
Zamknięciem oczu ducha mi przeznaczył;
Bo oczy ducha stały się ciekawe
I wzrok mój twarze swych myśli zobaczył,
Pięknoście jakieś dziwne przez mgły krwawe,
Które sam sobie anioł wnet tłumaczył
I póty w myśli pracował zamierzchu,
Aż stanął ducha świat — a duch na wierzchu.

A gdym budował, sny mi jakieś złote
Budować one rzeczy pomagały.
Duch zaczął w ziarnie granitu robotę
Twórczą i stanął pod Chrystusem cały;
Każdy twór jakąś wypracował cnotę,
A wyższe już ją bez trudności miały,
A Chrystus wszystko ma w jasnym beztrudzie:
I to, co słońca mu robią i ludzie.

I przyszedł mi sen, jakoby sprawdzenie,
Żem był jak anioł prowadzący twory,

A gdzieś u spodu były aż kamienie,
A na kamieniach różne dziwotwory,
— Zwierzęta dziwne, ubrane w płomienie, —
A na nich drzewa różne i kolory,
Wszystko w mgle jakiejś na dole i w zmierzchu,
A ja na ludziach słonecznych — na wierszchu.

I w miarę, jakem Pana Boga prosił
O przybliżenie słońc, o treść słoneczną,
Duch mój się wyżej i wyżej podnosił;
A kto wstępował — w zorzę ciała wieczną!
Lecz gdym ja takie aleluja głosił,
U dołu śmierć się stawała konieczną;
W nizinie, gdzie form była zawierucha,
Smokom, lwom, gadom nie stawało ducha.

Takiego strachu wam nie wyobrażę,
Jaki szedł od tej pierwotnej natury,
Która traciła skrzydła, ognie, twarze,
Oczy z błyskawic, języki z purpury.
Straszne robiły się jakieś cmentarze
Pod tą kolumną, która się u góry
Stawała w formie duchowi poddaną,
Lepszą, jutrzenką przyszłą — już różaną.

I rzekłem żonie o wizji mistycznej;
A ona: „Właśnie miałam taką drugą,
Która mię róży na niebiosach ślicznej
Także wiodącą uczyniła sługą;
Ja przyprowadzam górze seraficznej
Duchy, kwitnące jeszcze dziś nad strugą,
Jam jest dawczynią nawet ptaszków rzeszy:
Gdy lecę w niebo, jaskółka się cieszy.

To sami — a cóż gdy całym narodem
Zaczniemy ducha ku Bogu podnosić?
Co wiek podwyższać twory jednym wschodem,
Jako anioły winy ludzkie nosić?
Żywot na górze mieć, a śmierć pod spodem,
I duchy niższe w wyższe ciała prosić,
I wierszch obdarzać nowej formy chwałą,
A tam zabijać w dole grube ciało?“

Któżby zrozumiał!... Gdy my tak do siebie
Gadali snami, żywota królowie,
Już więcej ducha, niż jest ku potrzebie,
Mieliśmy w ciele. Więc już w naszym słowie

Była ta siła, która jest na niebie,
A zdolna podnieść do góry ołowie,
Siła, która nas, zniżonych kolanem,
Porwie i w niebie postawi przed Panem.

Już tylko chciałem duchów naszych własnych
Dzieje i wszelkie wiedzieć tajemnice,
Nie myśląc wcale już o wzrokach jasnych,
Ciesząc się, że mi ducha błyszczą świece.
Z naszych ciał obu, jak z dwóch klatek ciasnych,
Leciały białe ducha gołębice
I gdzieś w błękitność podniesione wieczną,
Stały na skrzydłach pod trzecią słoneczną.

I rzekłem do niej: „Pan Bóg nas wysłucha
I miejsce nasze zastąpi wspaniałe.
Oto zaprośmy w dom wielkiego ducha!
Ty w róż go malin, a ja w krwi korale
Święte ubiorę: spełni się otucha
Duchów, świętością zlanych doskonale
W trójcę tworzącą, która ciało ciśnie
I dzieli, aż się w jednę skrę — trzy zbłyśnie".

I Pan wysłuchał i w małej dziecinie
Przyszedł ktoś wielki, lecz w wielkiej zasłonie.
Ten nie odejmę, aż świat się rozwinie
I zacznie jasno czytać w ciała łonie,
I w alabastrach ciał i w serc rubinie
Widząc tę światłość, co jest na Syjonie,
A którą wszelka natura podchmurna
Świeci, jak lampą świecąca się urna.

I znów, o Panie, zgrzeszyłem w niedoli
Cielesnej będąc, bo kiedy go chrzczono,
Gdy zapytano mej królewskiej woli,
Jakie mu imię dam razem z koroną,
Ja w smutku rzekłem: „Ach! sława mię boli",
Pomnąc na sławę oręża straconą;
Jak człowiek, który ze snu nagle wstawa,
Trąc oczy, rzekłem: „Ach! boli mię sława".

I ksiądz rzekł: „Niechże królewskim cierpieniem
Będzie ochrzczony ten duch nieśmiertelny,
I niech mu sławy ból będzie imieniem,
A tą boleścią niechaj będzie dzielny!"
Tak moim bolem i upokorzeniem
Nazwane dziecko, bo sługa kościelny,

Trzymając w ręku dziecinę kochaną,
Poczuł, że Chrystus przeze mnie dał miano.

I odtąd jakaś moc podniosła państwo:
Cydbur zwyciężył margrabię Udona
I rozdarł w ręku cesarskie poddaństwo,
Ze krwią wydarte z niemieckiego łona;
Potem się rzucił na pruskie pogaństwo,
A ja trzymałem, jak Mojżesz, ramiona
W górę wzniesione, skamieniony ciałem,
Dopóki walkę na puszczach słyszałem.

I wyszła ze mnie siła, i myślano,
Żem był umarły; a mnie na szkle oczu
Jakieś anielskie wizje malowano,
Cudownie złote w anielskim przeźroczu.
A żona moja pod cedrową ścianą,
(Która drży na dźwięk), w kącie i w przymroczu
Organek złoty w liljach i ziołach
Miała, wiszący na srebrnych aniołach.

Te mu skrzydłami czyniły podstawę,
Klejnoty niby z piór srebrnych trzęsące
Pierwsze mistrzowe to dzieło ciekawe,
Upodobane mej drogiej małżonce,
Pomiędzy ludem wielką miało sławę,
Bo tak świeciło zdala, (jak) miesiące
W domu trzymane, a śpiew tajemniczy
Miało w girlandach tonów, jak słowiczy.

Ona więc leje ton, drżą suche ściany,
Sklepieniem trzęsie ton ostatni, Boży;
Zda się, ów piorun (lub) ptak zabłąkany
Probuje głową w ścianę, aż otworzy;
Potem go jakiś anioł i dźwięk szklany
Rozbija, nową pieśń płaczącą tworzy;
Już nie dźwięk, nie szmer, lecz głosu ruczaje,
Ja ducha — anioł *ja* — z rozdźwięków wstaje.

Rozmiłowany tak, że już się jemu
Należą całe niebiosa — zjawione.
Czem jest rząd dany kruszcowi złotemu
Nad metalami, czem kryształy słone
Muszą ustąpić diamentowemu,
Czem gasną światła na słońcu — czerwone:
Tem właśnie święty głos ducha przemaga,
Że w nim jest czystość cudowna i waga.

Słysząc głos taki, sny mię anhelliczne
Brały całego. Raz dwunastu ludów
Widziałem twarze dziwne a tak śliczne,
Że na nich była cała boleść trudów;
Każdy zaś jakieś zwierzę symboliczne
Albo kwiat, z ziemskich oczyszczony brudów,
Wcale duchowy już, na czole sadził
Albo niósł w ręku lub ziemią prowadził.

Naprzód szedł anioł Judy, a słoneczny
Był mu baranek w kwiatach przewodnikiem,
Za nim szedł wielki anioł, twarzą wsteczny,
Ścigany wielkim, genezyjskim krzykiem,
Blady i mało, zdaje się, bezpieczny
Nad swoim dawnym, własnym mogilnikiem,
Nad tą otchłanią, gdzie się forma mąci,
Gdzie węże świszczą, a krok każdy strąci.

Za nim szedł trzeci, już z człowieczym lądem
Obeznan, cichy, podły, pracowity,
Wołem Apisem i złotym wielbłądem
Podparty, mrówką na stopach okryty,
Jak trup przed Bożym powstający sądem,
Jeszcze z trumnianych prochów nieobmyty,
Wiecznie pod biczem mocarza pogonny,
Jak trup z grobowca czarny ale wonny.

A czwarty za nim — młodzieniec z oliwą,
Która to wiecie, że nam w lampach świeci;
Młody, jak tęcza i dziecinne dziwo
I kwiat, gdy go lód ujmie i obleci,
Piąty wiódł u nóg wilczycę straszliwą,
Żelazną, która mu karmiła dzieci,
I węża czasu, który w złotych kłębach
Wił się a ogon swój chciał ugryść w zębach.

Szóstemu rosło jakieś straszne skrzydło
Już z ducha, jako pół miesiąca, złote.
W ręku kwiat jakiś dający kadzidło,
A bez owocu... Szedł, czyniąc ciemnotę,
I starły z oczu był jak malowidło;
A pierwszy wielką zostawił tęsknotę,
Bo stał na ducha prawego granicy,
A nie stało mu woni — w kadzielnicy.

Jeszczem się dziwił temu, a już oto
Szedł siódmy, dziwny, że bez ziemskiej treści!

Tęczę miał ciałem i całą robotą
Swoją miał tęczę, na krzyż się boleści
Owijającą. Przyszedł, zda się, po to,
Aby dał pierwszy o aniołach wieści.
Ten mi się dziwnie, jak sen jaki zjawił,
Poszedł, a cień swój na ścianie zostawił.

I cień ten jeszcze, jakby człowiek żywy,
Ruszał swe członki z cedrowego drzewa,
A jeszcze duch w nim był objawu chciwy,
Gdy nie mógł blaskiem — słyszałem, że śpiewa.
Ósmy mi anioł sprawił mniejsze dziwy,
Chociaż od świata większych się spodziewa;
Ten jak winograd z krzemieni rozkwitał,
Z ziemi nic prawie — z wiatru wszystko chwytał.

I rzekła mi twarz jasna, że był czynny
Na wszystkie strony, jak pająk stuoki,
I gotów zawrzeć w sobie, jak szał winny,
I błyskawicą pójść aż pod obłoki;
Lecz gwiazdy na to zadrżeć nie powinny.
Ani uważać Jehowy proroki
Ani ust moczyć w tych jagód rubinie,
Puśćcie! niech przejdzie ten anioł — i minie!

A był dziewiąty, jak na morskim smoku
I wężu i lwie; ten srodze mię zlękał,
Bo szedł spokojnie w burzy i w obłoku,
A nie drżał ani, z form złożony, pękał.
Dziesiąty był z psem i miał go na oku,
A psa na więzi wiodąc, knutem nękał;
Już go rozdrażnił tak na zamach przyszły,
Że pies jak góra rósł — a z oczów skry szły.

A jedenasty, mój, w wielkiej pokorze
Szedł, ale razem i w mądrość ubrany,
W ręku nic — tylko trzymał złote zboże
I karmił, wiatrem ku ziemi przywiany.
Gdy szedł, jam poznał go i krzyknął: „Boże!
To mój...“ Wtem nadszedł dwunasty, nieznany,
I był objawion mi pod tajemnicą,
Bez znaków, tylko wiem, że był dziewicą,

A gdy te wszystkie przeszły, Syn Człowieczy
Stanął i patrzał na mnie i rzekł: „Janie!
Widziałeś teraz w duchu ziemskie rzeczy.
Przeciw ostatnim dwóm dziesięciu stanie.

Masz syna, czas jest srogi, nakup mieczy,
Zostań, aż przyjdę". I rzekłem mu: „Panie,
Przyjdź!..." Wtem mój synek w kołyseczce krzyknął,
Żona przestała grać i Chrystus zniknął.

Na takie mi sny zamykał powieki
Pan Bóg — nie przeto, abym szedł w niebiosa,
Zostawiwszy tu pracujące wieki
I wiatr wiejący ziarno złote z kłosa.
Czułem zgon mego próchna niedaleki,
A coraz większa mię zwilżała rosa;
I kwiat mych myśli czułem coraz słodszy,
Ciało zużyte, a duch coraz młodszy.

PIEŚŃ IV.

I już na łożu śmiertelnym, król ślepy,
Leżałem, kiedy przyszła do mnie żona
I różne swoje podawszy ulepy,
Rzekła: „Snem jednym byłam przerażona.
Wczoraj wspomniawszy na Boga oszczepy,
Które miał w sercu, prosiłam ja, żona,
Aby nim przyjdzie śmiertelna godzina,
Tyś jeszcze spojrzał na Polskę i syna.

I po tak wielkiej zbolałości krwawej
Dostałam próżnych snów niby dzieciątko,
Które od duchów ma różne zabawy,
Kraszone złotem, smętne gwiazd pamiątką.
Nie wiem, jak takie niesłychane zjawy
Przychodzą, kiedy żywota użątko
W stodołach, a ścierń i cierniowe krzaki
Na polu, jedno puste kwitną maki,

Nie wiem, jak tobie, któryś tu na tronie
Płaszcz purpurowy po męczeńsku nosił
A liljami złotemi miał dłonie
Zberlone a moc Pana swego głosił,
Na tym popiele, jako na Syjonie,
Czekał, ażby cię czas lecący skosił —
Nie wiem, jak tobie takie sny należą,
Pogańskie prawie blaskiem i odzieżą.

O tem ja śniła, — a sen był tak długi,
Jak żywot cały — że byłam dziewicą
Z dwoma jasnemi mych warkoczów smugi,
Z dwoma gwiazdami, pod jakąś ciemnicą;

A w kącie leżał wąż zielony, długi,
Syczący na mnie skrą i błyskawicą,
Zaryty w ziemię skrzydły, które były
Z rogu a jako ogniste świeciły.

Oczy widząca w tym wężowym ptaku
Wyszklone na mnie, litością ujęta,
Odjęłam łańcuch, który był na haku,
I rozwiązałam jego wszystkie pęta;
Potem dziw, w gadzie tym i w dziwnym krzaku
Różnych form jakaś twarz błysnęła święta,
Bo ludzka, złota, mimo resztę cielska
Skrzydły do nieba lecąca, anielska.

We śnie z nim, zda się, żegnałam na wieki,
Patrząc na jakąś gwiazdę dziwnie piękną;
Potem on zniknął, a moje powieki
W perłach — jak róże, gdy rosą nabrzękną,
I modliłam się, gdzieś nad brzegiem rzeki,
W zamku czekając, aż lody w niej pękną,
Myśląc, że na tym zdjętym lodowisku
On błyśnie w kwiatów rozjaśnionych błysku.

I ducha mego stało się żądanie:
Zaledwo lody pękły na tej rzece,
A piorunowe ich we śnie pękanie
Słyszałam, jak grzmot, zdało się, że lecę,
Że się ten rycerz — smok niespodziewanie
Zjawia, uderza na moją fortecę,
A tej fortecy ludzie moi bronią,
A smok przez trupy sięga po mnie dłonią.

Już nie smok, ale ptak, w oknie mię widzi,
Srebrne podnosi skrzydła, do mnie leci;
Lecz w oczach jego znać, że nienawidzi,
A siły tylko piorunami świeci.
Wtenczas, przydomek mająca *„jad — widzi“*,
We śnie, jako kwiat, kiedy się rozkwieci,
Wonności lejąc, w tym oknie stojąca,
Zaczęłam mocno wzdychać do miesiąca.

I coraz silniej, zda się, coraz wyżej
W niebo się darłam przez one westchnienia,
Aż jakieś miasto z tysiącami krzyży
Złotych, z brukami złotego kamienia,
Jak słońce, gdy się ku aniołom zniży
I dotknie się tęcz jasnego pierścienia,

Blaskiem słonecznym rażące i chwałą.
Zeszło i coraz niżej zlatywało.

Na fundamentach jakiś blask, ten samy,
Który w kamieniach drogich, ziemskich gore,
W tych fundamentach jakieś ciemne jamy,
A w jamach jakąś srebrną widać korę,
Jak gdyby z jednej perły były bramy
Na hakach, złotą mające zaporę;
We śnie myślałam, że gród jakiś Boży
Zamknięty, a Bóg — cóż, gdy się otworzy?

Panie! zalękła, twoje widząc właście
Słoneczne, twoje wielkie, złote wrota
I za wrotyma słoneczne przepaście
I nad gmachami ze szklanego złota
Drzewo a na nim miesiąców dwanaście,
W których był i blask i lekarska cnota,
Widząc słoneczne takie malowidła,
Jak dziecko z rączek porobiłam skrzydła.

I we śnie, cała zatchnięta rozkoszą
I trwogą, stojąc już na oknie wieży,
Już czując, że mię błękity podnoszą,
A szata jaśniej błyszczy się i śnieży,
Szłam w błękit: ręce składają się, proszą,
Ramiona jakiś wiatr owiewa świeży,
A reszta członków w błękit i w pogodę
Idzie, jak ryba lecąca przez wodę.

A wtem na środku powietrznej czeluści
Nie stało mi sił, próżno ręce składam!
Czuję, że błękit lekki mię upuści,
A czując, że mię upuści, już spadam.
Reszta snu mego gdzieś na dnie czeluści,
A elementu już tego nie zbadam.
Który mię, spadłą z błękitów, zdaleka,
Z gwiazd uniósł smętną, zda się, jakaś rzeka,

Rzeka, na której ja, płynąca, patrzę,
Myśląca, że brzeg w drugą stronę bieży,
A wszystko w ogniach, ale coraz bladsze
A straszne jak sen. Ten rycerz na wieży,
Cień czarny w ogniach, gdy nań szatan natrze,
I on w szatana ogniami uderzy,
Na dole ciemność i mrok i żałoba,
Oni na zamkach, w mgłach biją się oba.

Dzwon taki idzie i jęk taki pędzi
Za mną, że dusza mi od żalu ginie,
A ciągle jakaś gromada łabędzi
Duchów przybywa, jęczy, za mną płynie:
Pożar gdzieś wielki na kurhanach swędzi,
A kiedy jeden kurhan z oczu zginie
I już błękitne mam przed sobą ługi,
Z powietrza znowu jak duch wstaje drugi.

Dwanaście takich mogił przeminęło,
Wszystkie jak z jękiem wyrzynane miasta,
Dwanaście mogił ogniem się zajęło
I zgasło, wstała straszniejsza — trzynasta.
„Powiedz, — krzyknęła — że ja Pańskie dzieło
Niosę", a mimo płomieni urasta.
Tu ognie z wielkim buchnęły szelestem,
I znów krzyknęła na mnie: „Pieśnią jestem!"

I znów ucichła, i gdym ja w zamgloną
Już odpłynęła krainę, pod drzewa
I księżyc, jeszcze krzyknęła: „Spaloną!..."
Krzycząc, jak tylko ludzkie mogą trzewa.
A wtenczas księżyc mi łabędzie łono
Olśnił, i ptaszek, który w nocy śpiewa,
Polał grilandą tonów długą, smętną,
We śnie słyszaną, a wiecznie pamiętną.

Wtem patrzę, rycerz ów znowu nade mną
Na jakiejś wieży, pośród jodeł wianku,
Twarzą zmienioną i strachem nikczemną
Świeci, jak miesiąc zielony, na ganku:
Przez głowę moją gada, lecz nie ze mną
Ale gdzieś z wiatrem lub z gwiazdą poranku
Albo kometom rzuca groźne słowa:
Straszna, w powietrzu klaszcząca rozmowa.

Głos jego wielki raz jak piorun runął
I echa wszystkie jak głazy potoczył.
Z za drzew kometa straszny się wysunął,
Oczy wyiskrzył na niego i zbroczył
A on znów głosem, który z krwią wyplunął,
Wyszedł na niebo a mnie ani zoczył,
Że ja, biedaczka, jako łabędź płynę,
Widzę go, sercem żałuję — i minę.

Minęłam; co się z nim stało, ja nie wiem,
Bo zaraz jeden anioł przyszedł złoty

I rzekł: „Wy wszyscy, spaleni zarzewiem,
Wchodźcie na łąki te pierwszej tęsknoty!
Tutaj czekajcie, biali, pod modrzewiem
Wielkiego miasta ze złotemi wroty,
Które Pan długo na wiatrach nie stawi;
Wołajcie głośno sercem, aż się zjawi

Pierwszą masz hostją, — rzekł — która te miasto
W siłę duchową waszych natur wkłada;
Bierz teraz pierwszą, gdy weźmiesz dwunastą
Jednemi usty, ty i ta gromada,
Obaczysz, wielka narodów niewiasto,
Jak się w słoneczną gwiazdę świat rozpada,
Jak drży i grozi ostatecznym końcem
I ducha twego wylatuje słońcem".

To rzekł; a jam już otworzyła usta,
Już jakaś wielka chwila była blisko,
Już z krwi natura moja była pusta,
Już — jakieś złote, jasne promienisko...
Wtem niańka, która moje dziecko huśta,
Krzyknęła: „Jezus!...", a ja nad kołyską
Widziałem, jako Boża stoi chwała —
Te ognie były na mnie, kiedym spała.

Jakieś płomienie... ty nie wiesz, w przestrachach
Jakie się ognie ludziom jawią w nocy,
Jakby płomienie bijące na blachach,
Szelestu pełne, rąk pełne i mocy..."
Wtenczas krzyknąłem ja: „Widzę się w gmachach
Przeszłości!... jestem jak dawni prorocy!
Przeszłość i przyszłość widzę, człowiek żywy!
Bóg ojców moich jeden, Bóg prawdziwy!"

I powiadając to, na jedną chwilę
Zamknąłem mocno ściśnione powieki
I rzekłem: „Czasu mi zostaje tyle,
Ile ty miałaś na strugach tej rzeki;
Oczy me zaraz jak prorok rozchylę,
Bo wzrok widzący tajemnicze wieki,
Kiedy powraca w szyb cielesnych bicie,
Ledwo ma czasu raz spojrzeć na dziecię.

Przyprowadź tu mi wszystkie moje pany,
Na rękу moje mi przynieś pacholę.
Nie wiesz, coś śniła i jakieś mi rany
Pootwierała i na jakie bole,

Teraz wiem, za co byłem ukarany,
I za co ślepy byłem na prestole;
Teraz rozumiem wziętą ze mnie sławę
I miecz... Mam wielką do spełnienia sprawę

I wielką drogę". To rzekłem, a ona
Przyprowadziła wszystkie stare pany;
Sama stanęła z dzieckiem rozkwilona,
A jam się modlił, srodze sturbowany,
Nie chcąc, aby mi zadrżały ramiona,
Ani w spojrzeniu wzrok był obłąkany,
Zwłaszcza, że żona i moja królowa
Miała mi w oczach stanąć — duchem nowa,

I przyszli wszyscy... Zbawicielu Boże!
Dajże mi teraz to wielkie wejrzenie,
Które ostatni raz znowu położę
Na ludzie moim, gdy utracę tchnienie;
Daj taki dawny wzrok i takie zorze,
Kiedyś podobne znowu dał cierpienie;
Daj mi te same znowu widzeć twarze,
Choć w duchu, jeśli je mają smentarze!

Wzrok, który w ciągu żoninej powieści,
Chcąc widzieć, ciągle bił krwią we źrennice,
Otworzył sobie drogę bez boleści
I znów zapalił w głowie swoje świece.
Pany trzymali już na rękojeści
Ręce i mieli na głowach przyłbice,
I duch się nowy w źrennicach płomienił;
Jam śnił, i wedle snu Pan Bóg odmienił.

Dzieciątko moje nie na rękach, ale
Przy jednej tarczy, z głową na bok zgiętą,
Zmarszczone, dumne, jak orlik na skale,
Gdzie ma z ptaszeczków małych swoje święto,
Patrzał mi w oczy, w te straszne opale,
Które dwa razy na ziemi zamknięto
Rękami duchów z Bożego rozkazu,
Choć nie zgrzeszyłem wzrokiem ani razu.

Teraz w tych oczach chciwość jakaś wzroku
I łza królewska świeciła dla syna;
I przyszła żona, stanęła u boku,
Widząc, że milczę i drżę jak dziecina,
A nie wiedziała, że moc dawszy w oku,
Bóg, który z ciała duszę brać zaczyna,

Zeszklił mi włosy, usta mi otworzył,
A w piersi głosu żadnego nie włożył.

Trzęsły się tylko otwarte, a lice
Ciemniało, duch się chwiał, jak światło migał.
Patrzałem na lud i na okolicę:
Błękit był czysty... lato... sad dościgał;
Wtenczas nie perły już, ale krynice
Stanęły w oczach, ciężkom głowę dźwigał,
Bom szuł, że śmierć mię ta cicha zwycięży,
Już głowa moja jak sennemu cięży.

Nagle z całego ciała, z wszystkich kości
Rzucił się wichrem duch w usta otwarte;
Krzyk ze mnie wyszedł takiej wspaniałości,
Że gmach spękany, chorągwie rozdarte.
Wiatr wstał, krzyk sądu i sprawiedliwości,
Który nad światem wziął berło i wartę
I ducha mego był wydany lotem,
A wszystko siłą napełnił i grzmotem.

RAPSOD IV.

PIEŚŃ I.

Z krajów, gdzie złota, Pańska błyskawica
Owiała ducha, gdziem ja, król w purpurze,
Stał Dawidowi tak podobny z lica,
Że dwóch jakoby widziano na chmurze,
Pańska mię wola znów i tajemnica
Posłała, ducha będącego w górze,
Do cieni, które czekały na Pańskie
Przyjście; jam wrota otworzył pogańskie.

Zeszli się wszyscy, ale już nie znali
Tego języka, który we mnie śpiewał,
Wszyscy się jednak do mnie zlatywali,
Pytając, gdziem był i w co się odziewał,
Czy gdzie jak Jazon pływałem po fali,
Czy jako Ajaks grom na się rozgniewał,
Widzieli bowiem ci żywota wodze,
Że walką straszną zmęczony przychodzę.

Wtenczas ja do nich: „Przeważni Grekowie,
Słuchajcie pod tą jutrzenką różaną

I pamiętajcie, żem mówił o Słowie,
W którym te duchy wasze zmartwychwstaną.
Już ja nie w smoku miedzianym na głowie
I nie za tarczą jak miesiąc rumianą
Ducha ludzkiego broniłem powagi,
Lecz jak widzicie, król ślepy i nagi.

Z popiołów czarnych były moje trony,
W męce serdecznej było moje męstwo,
Przez duchy święte mój wzrok oświecony,
Nad krwią, nad gniewem zwierzęcym zwycięstwo.
Ten hełm, co na mnie z cierniowej korony,
Wywiera na was takie czarnoksięstwo,
Że wszyscy za nim w mgłę pójdziecie bladą,
Jak rozpłakane, żórawiane stado.

Hektory wasze i Agamemnony
I Achillesy wnet zapragną skrzydeł".
To mówiąc, szedłem, a Tartar zamglony
Ruszył się za mną tysiącem straszydeł.
Z niemi dna złote i komet ogony
Przelatywałem, pełne malowideł,
Cieni, postaci ludzkich i zwierzęcych
I dusz, jak małych światełek jarzęcych,

Radośny, że już do ojczyzny nowej
Prowadzę duchy, które ciał nie mają.
A tymczasem się na jutrzni różowej
Pokazywała nad pogańską zgrają
Święta, w koronie niebieskiej królowej,
Nad którą ciągle ranne gwiazdy wstają,
Wylatujące cicho w szafir święty,
Jedna za drugą jako diamenty.

Tę ja lecącym duchom pokazałem,
I wszystkie miłość zażegła gorąca.
Pierwszy raz widzą nieskalaną ciałem
Na drżących złotach wielkiego miesiąca,
Piękność tę, która napełnia zapałem
I w struny wszystkie duchów naszych trąca,
Że odpoczynku na wiatrach nie mają,
A tak jak wielkie, złote harfy grają.

Pierwszy raz widzą i wnet zmieniają się
W naturach; każdy jako proch zapalny,
Każdy zapomniał już w sobie o losie,
Pod którym wyrok trzymał go fatalny.

Tak śpiewakowi objawia się w głosie
Moc nowa, gdy go tonów krzyk choralny
Porwie i w piersi mu wpadłszy rozprute,
Zadziwionemu wyrwie nową nutę.

Tak i ci wszyscy nową świata sprawę
Czują, złamania praw cielesnych proszą,
A już pod nami jutrznie jakieś krwawe,
Pełne srebrnych gwiazd, ciągle się podnoszą
Błyskania ciągłe w oczy nam ciekawe
Biją, wybłyski duchów ciągle płoszą,
Ciągle ku złotej naszej piramidzie
Od ducha ziemi wielki ogień idzie.

Widząc w ognistą tonących purpurę
Homerejczyków, że już prawie płoną,
Pierwszy rozdarłem ostateczną chmurę
I na świat wiodłem zgrają zadziwioną.
O, widok!... straszne szyki, orlopióre,
Zdają się niby powietrzną koroną,
Z żelaznych jakich ptaków uwiniętą
I zawieszoną ponad ziemią świętą.

Duch jakiś, większy od Macedończyka,
Tym wielkim kręgiem latającym kręci;
Tu miasto przed nim, jak sen marny, znika
Nie tylko z oczu, ale i z pamięci,
Tam Cymbryckiego półwysep Duńczyka,
Jak okręt, którym wicher z orłów kręci,
Swą Walkyryjską walczy błyskawicą
Z żelazną, straszną, Słowiańską wichrzycą.

Na szczycie ducha — hełm i miecz... Anioły
Wszystkie z pomocą lecą i wiatr krają;
Czasem w złocistych słońcach apostoły
Przechodzą w chmurach czarnych i znikają;
Czasem — noc, tylko nad ludzkiemi czoły
Palą się światła, z hełmów ognie wstają.
Cała ta czarna świata zawierucha
Dziwnie świeciła się w krainach ducha.

Coś cudownego miały one boje,
Na cztery strony ziemi rozesłane,
Jako sny, które przez białe podwoje
Z kości wychodzą całe malowane,
Tak onych ludów się skrzydlate zbroje,
Puklerze jako miesiące różane,

Hełmy, złotemi owite ogniami,
Snem wydawały nam, którzyśmy snami,

Ujrzałem wtenczas straszną tajemnicę.
Że duchy wszystkie lecą tam, gdzie boje,
Gdzie się trzaskają serca i przyłbice,
A z miejsc, gdzie ducha sen ma łoże swoje,
Uchodzą; dziwna w pośmiertnych różnica
Z temi, co wieczne tu marzą pokoje,
I chcieliby mieć świat opasły, zdrowy,
Piekielni, z których drwi anioł globowy.

O, fałszu, ludziom z ciała niewiadomy!
Tęsknoto, królów spokojnych płacząca,
Wiedz, że ten lepszy, co na krew łakomy,
Zda się, jak orzeł, lud o lud roztrąca.
Od czasu, jako wygnaniec Ilomy
Płakał swych murów przy blasku miesiąca,
Już niema duchów, któreby raz chciały,
By żywot już był w krwi jak księżyc cały.

Raz tylko w locie zatrzymany, smętny,
Uczułem jakby za straconym ciałem
Tęsknotę, dworców cedrowych pamiętny
I tych lip, co mi były trybunałem.
Dziwny sen złoty, ale nie natrętny,
Jakby zwierciadła srebrnego kawałem
Zjawiony na mgłach złotych i upiorach,
Jak miesiąc, cały w ogniach i w kolorach.

Pamięci moja powiedz, coć na złocie
I mgle duchowej dziś najjaśniej świta.
Oto raz, zda się, spalonego w grzmocie
Wzięła na łono wodna Amfitryta.
Ty znów pod wodą nimf widziałeś krocie
I Dniepru falą grające koryta,
W losie to mając, abyś serca bliźnie
Wiązał a wszędy był świadkiem ojczyźnie.

Więc że i słupów żelaznych wbijanie
Nie odbyło się bez twej przytomności,
Zielone ciemnie i Najad błyskanie
Pamiętasz, jakieś lampy na ciemności,
Jakieś miesięczne i upiorne panie,
Ubrane w ciało przez myśl bez miłości,
A drżące z kształtu na tych falach drżących,
Z lampami z morskich roślinek świecących.

Pomnisz, jak twemu ludzkiemu duchowi
Świeciły, zmysłów dziwiąc się potędze,
Pomnisz tych Najad pieśń podobną snowi
I fal brzęczącą przez paluszki przędzę.
Na te muzyki często fala łowi
Duszę w żywota niewpisaną księdze
I z biednej dziewki czyni topielicę,
Ubraną w nikłe, podwodne księżyce.

Ja pomnę, jak te ręce przeźroczyste
Przez fale idąc, ciągną struny złote
I tony z tych strun wyciągają szkliste
I ziarno ducha wprawiają w tęsknotę.
Pomnę, z płomienia jak maki ogniste
Wieńce, i nieraz w morską idąc grotę,
Nie mogę sprostać, aby moje włosy
Nie drżały, słysząc niewidzialne głosy.

Tak niewidzialność, straszna zapłodnica
Ducha naszego, rządzi nim na ziemi,
Dziś jeszcze córki złotego księżyca
Z fal patrzą na mnie oczyma złotemi,
I wiatr morski mię jak lutnia zachwyca,
Gdy kwiateczkami nad morzem blademi
Szeleści, a tam drugi ton na falach
Brzęczy na perłach, muszlach i kolorach.

O dziwy srebrne! przez was mi zapewne
Ten sen jest dany, że mi dziś tęsknota
Fale Dnieprowe rozbudziła śpiewne
I ciągły, wielki huk dawnego młota:
Za każdym stukiem sny moje powiewne
Coś tracą i mgły kolorów i złota
I w nowe niby mię ubrawszy ciało,
Twarz w twarz stawiają przed narodu chwałą.

Słupisko jakieś z księżycową twarzą
Przede mną wodę rozsiekło w dwa pręgi;
W żelaznej marze tak się oczy żarzą,
Jako czerwonych miesiąców okręgi.
Wkoło sen. Nimfy zbiegają się, gwarzą
I tęcz podwodnych różanemi wstęgi
Opasują go. Duchowa kraina
Brzmi cała wielką pieśnią Słowianina.

„O, fundamencie! — mówią — tobie wieki
Na twojej głowie nosić będzie dano,

Z Dnieprem ty się łam, aż przyjdzie daleki
Czas, że te fale przed prorokiem staną;
Ty wtenczas wyjdziesz na świadectwo z rzeki,
Jak upior z twarzą wstydem rdzy rumianą,
A pierwej każesz, aby ciebie z pleśni
Obtarłszy, srebrnym pokazano w pieśni.

Wtenczas to z lampą onę Amfitrytę
Przywoła Król-Duch i ludom pokaże
Te srebrne orły, na tobie wybite,
I tych napisów odwieczne żołtarze".
Taka pieśń państwa podwodne i skryte
Smęciła, kiedy przy żelaznej marze,
Która do wody szła, pianami biała,
Druga straszniejsza upiornica wstała.

Tam, gdzie słupowi pod nogami było
Mulisko wodne i czarne rośliny,
Straszydło jakieś straszne się ruszyło,
Straszne, wodnemi obwieszone śliny.
Niespodziewany pod wody mogiłą
Ruch spłoszył srebrne wodnice — dziewczyny;
Wszystkie rozbiegły się na wód zielenie,
Roniąc za sobą kwiaty i płomienie.

Zbielała woda, jakby po odlocie
Łabędzi, a w tej zamroczonej bieli
Jam patrzał przez gwiazd i przez kwiatów krocie
Na straszne widmo, wstające z topieli.
Jakiś sławiański bóg, zbudzony w błocie,
Wstawał powoli i z czarnej pościeli
Podnosił piersi, ciesielską robotą
Rzezane, jedną dłoń i głowę złotą.

Był to bóg dawny gniewu perunnego,
Stojący niegdyś nad Kijowa zgliszczem;
Włodzimierz kazał bałwana złotego
Zrąbać i zrzucić w Dniepr pod horodyszczem.
Tocząc się, jęczał, a od jęku tego
Górę nazwano *bałwana bremiszczem*
(Brzemieniem jego). Dzisiaj polska noga
W bagnie ruskiego nadeptała boga.

I wstał i postać się okropna wzmogła,
Świecąc łbem złotym na wodnej zieleni,
Lecz ręki jednej wydobyć nie mogła,
Którą słup trzymał wbitą do kamieni.

Jedna ze śmielszych Rusałek pomogła
I gryzła ząbkiem w granitowej rdzeni,
Aż dłoń zjedzoną mając przez korale,
Wypruł się straszny złotogłów na fale.

Krzyk poszedł straszny z wszystkich gór Kijowa,
Które rycerstwem i ludem okryte,
Patrzały, jako słup do wody chowa
Czoło, młotami huczącemi bite.
Krzyk wstał, gdy naprzód złota, Boża głowa,
A potem ciało, po pierś wydobyte,
Pokazało się z wód i wyżej łona
Dłoń koralami dziurawa, zjedzona.

Zda się, bóg stary miastu przypominał,
Jako wleczony był ze świętej góry,
Jak lud urągał, jako mu przeklinał
I kazał czynić to, co czynią chmury:
Bić piorunami. — A grzmot już zaczynał
Wężykowemi po niebie purpury
Dodawać bogu płynącemu mocy
I strachu, że był płynąc, jak prorocy.

Tam gdzieś, na górze, Chrobry w złotej zbroi
Z rycerstwem swoim skrzydlatym — pan świata,
Tu niżej ruski lud pod chmurą stoi,
A błyskawica gniewu nad nim lata;
Tu bóg drewniany gromów się nie boi,
Lecz błyskawicę w boże włosy wplata
I płynie w ogniach, jakby rzeczywiście
Pioruny na łbie miał i złote liście.

My w górze, straszni duchowie, słuchamy
Groźby i gwaru ludzkiego na ziemi;
Z nas piorun i chmur ozłoconych błamy,
Z nas ciemność błyska mieczami białemi,
W zapałach jak szkła strzaskane pryskamy,
Oddycha nami świat i formę plemi.
Ja sam z ogniami na ustach i z hasłem
Wpadłem z rumakiem w grobowiec — i zgasłem.

Nie domówiłem słowa, które miało
Krainą duchów zarządzić na wieki,
A już duch wielki poszedł w trumnę — w ciało
I czuł, co łabędź na strumieniach rzeki,
Kiedy mu wcześnie słońce zajaśniało,
A on przed słońcem zamruży powieki

I skrzydło srebrne na oczy zawali
I śpi, a słońce mu się we snach pali.

Jak ów ptak, mówię, który nosi w sobie
Sen słońca, marę światła purpurową.
Podobnie anioł-duch w cielesnym grobie
Widział świecące mu wieczyście słowo
I widział długo jego niańki obie,
Prawdę słoneczną i piękność różową,
Aż stracił oną błyskawicę Boską,
Dbaniem o ciało zajęty i troską.

Skręconym czuł się smokiem i skrzydlaty
Czuł się jak orzeł i znów jak lew ślepy,
Aż wyszedł nowy wzrok — na nowe światy
I pierś — na nowe boleści oszczepy,
Nie więcej już sen, nie więcej już kwiaty,
Ale żywota krzemieniste stepy
Widzę i moje dwie natury święte
Czuję, chorobą cielesną dotknięte.

Wokoło nowa już jakaś kraina,
Cała żelazna i cała ceglana,
Śpiewa żałosną pieśń do hospodyna
O raj, o żyto, o dobrego pana.
Na tarczy srebrnej królewska dziecina,
Przez chłopki i przez pasterze witana,
Wid aniołowy swój powoli traci....
Niańczą ją czarni rycerze skrzydlaci.

Czasami dusza wyjrzawszy oczyma,
Na jakiej tarczy wielkiej, słonecznicy,
Albo na strasznej twarzy się zatrzyma
Albo na miecza strasznej błyskawicy,
Jeszcze nie mówi, ale już się zżyma
I świat zahacza oczyma orlicy
I duchy swoje w ciałach rozpoznawa,
Dziwnie uważna, sroga i ciekawa.

Już nie przez mękę i cierń i pokorę
I żywot króla — żebraka — harfiarza,
Ale przez myśli, w czyn zmienione, skore,
Chce zdobyć niebo: świat był dla mocarza.
Na karmazynach mnóstwo orłów gore
Srebrnych i mnóstwo kwiatów z trybularza
Przed obrazami świętych czyni tęcze,
Wesołość wszędy i lica młodzieńcze.

Czasem król z tronu Ewangelje prawi
I świętą ręką chorągwi dotyka,
Czasem spędzonym trzodom błogosławi,
Jak morzom srebrnym, lub słucha lirnika.
Czasem się gwiazda rozczochrana zjawi,
Wojnę zapowie ognistą i znika;
Kraina — pełna zamków i kościołów,
Z niebem związana wstęgami aniołów.

Na takim świecie anioł mój zbudzony
Uczuł, że przyszedł czynić sprawę Bożą,
A dostał miecza i wielkiej korony.
Jak sługa czujny, wstający przed zorzą.
Wiatr wróżył ranek chmurami czerwony:
Czuć było, że się aniołowie trwożą
I drżą o człeka, jak o sztandar wieczny,
We krwi człowieczej zmyty, lecz słoneczny.

PIEŚŃ II.

Do miecza już i do przyłbicy rosłem,
Przez jakąś matkę ruską wychowany,
Którą odpychał ciągle Charon wiosłem
Od mglistej Styksu płomienistej ściany.
Ta, posłem żółta, w ciało, które niosłem,
Wlała mi ogień, ruską krwią rumiany,
I na modlitwach schła, jak stare drzewo,
Marja, nazwana przez lud Dobro-gniewo.

Jej oczy wielkie jasnością zieloną
Dziś za mną chodzą, upięknione czasem,
A na tych oczach krzyże złote płoną,
A szata brzęczy i szumi atłasem.
Ona mię w salę raz wniosła czerwoną
W habicie mnisim, przewiązana pasem,
I na tron polski, pusty, wszedłszy ze mną,
Sama uklękła na ziemi przede mną

I rzekła: „W tobie jest krew Włodzimierza
Świętego; miałam z ducha objawienie,
Że ty za Rosją weźmiesz mękę krzyża
I cierń i ćwieki, ocet i ościenie.
Przysiąż, bo śmierć się moja szybko zbliża.
Że ty za moje dalsze pokolenie
Weźmiesz zgon taki dobrowolnie krwawy,
Jak Chrystus, z ducha wiem, u złotej — hławy".

Słysząc te straszne, ciemne, krwawe słowa,
Nie rozumiałem nic prośby matczynej,
Tylko ta złota, jakaś straszna głowa,
Krwi żądająca, na mrok wyszła siny:
Przysiąż — krzyczała. A sama królowa,
Oczy topiąca we mnie, jak bursztyny,
Krzyczała: „Przysiąż!“ Rączki mi podniosła;
Jam drżał i przysiągł, a przysięga rosła

Aż przez trzy wieki. Któżby, nie zajrzawszy
W krainy ducha, wiedział, co to znaczy,
Że jednych słów jest kolor w oczach krwawszy,
(Jeszcze jakoby z tęcz wite prze tkaczy),
A drugie całą woń swoją wylawszy,
Gdy przyjdą na ton wieszczowi w rozpaczy,
To w długą rymów kładną się kolumnę,
Bezwładne, ciche, jako trupy w trumnę.

Więc kiedy trzeba, to ci w ludzi usta
Duchowie kładą żyjące wyrazy,
Czasem są jako błyskawica pusta,
Monumentalnie rumieniąca głazy.
Czasami niańka małe dziecko huśta
A w pieśni Boże mu daje rozkazy
A sama nie wie, jakie w pierś dzieciny
Wrzuciła ziarno, aż zeń wyjdą czyny.

Lecz biada matkom, które się nie bronią
Piekielnym duchom, w przeszłość odwróconym,
A małe dziatki do przysięgi skłonią
Takim wyrazem strasznym i zjawionym!
Im większy jest duch, tem hojniejszą dłonią
Szafuje serca rubinem czerwonym,
W chwili podpisze rozdać to na braci,
Czego przez roków tysiące nie spłaci.

O! straszne duchy, obciążone srodze
Własną miłością, wszechmogącą wolą!
Oto wam dawne skrypta wynachodzę
I pokazuję, czemu serca bolą;
Albo wy, albo wasi więksi wodze
Poprzysięgali i sobą i rolą
Łamać przed niebem stojące zapory;
Dziś — poszła rola już na kredytory.

Przysiągłem matce, jak człowiek w pośpiechu,
Kiedy mu wielki cel na oczach stoi,

Dar z tego robi, co ma, i uśmiechu
Nie traci, bo już głodu się nie boi.
Nie tak z biorącym: ten się czuje w grzechu,
Że jako żebrak czyhał u podwoi,
Żeby płaszcza już ukroił połowę
Z tego, kto idzie za świat dawać głowę.

Wnet na tę Ruską Księżnę duchy wpadły
I mordowały za wziętą przysięgę:
Ja tylko jeden z temi się widziadły
Widziałem. Czasem wzięła świętą księgę,
A na tych kartach jak szarańcze siadły
Czarty. Czasami przez większą potęgę
Swe kościotrupie skrzydła, piersi w ranach,
Cienie okropne jawiły na ścianach

Woskowe świece, kijowskie, cerkiewne,
Pomalowane, w kwiateczkach i w złocie.
Na siostrę moją. Świętochnę królewnę,
Raz zaszeptały, a dziecko w tęsknocie
Stało się blade, posępne i rzewne
I jakby Anioł jakiś na odlocie
Śpiewało dawne swoje smętne biedy
W ruskich piosenkach z imieniem Łabedy.

Nikt jej nie uczył, lecz matki komnata,
Pełna obrazów, świec, kadzidł i ziela,
Jakby z innego, podziemnego świata,
Z ziemi kryształów, kruszców, a od wiela
Świateł rozgrzana, a ciężko bogata,
Z czarną, indyjską twarzą Zbawiciela,
Wywiodła swój duch i pod obce dachy
Swe wnikające przyniosła zapachy.

Ileż mię razy potem cerkiew ruska,
Gdzie pop krzyżami się jak szatan łamie
I świecą swoją w świętej wodzie pluska,
Jak trup brodaty, blady, w złotej bramie,
(A na bramach coś jak węży łuska
Błyska, a trupy mnichów leżą w jamie)
Pomimo, żem się czuł pod Bożym dachem,
Smętnym i dziwnym odepchnęło strachem.

Zdawało mi się, że mię znowu bierze
Ta matka, kornie na kolana pada
I swój duch, w swojej sczerwienionej wierze
Błyszczący, swemi ramionami wkłada,

Duch chwytający, kto się nie ustrzeże
A w sobie głośniej miłością nie gada,
Niż one głosy mających obroże,
Krzyczące z prochów, z krwi: pomiłuj Boże

Szczęściem, że prędko oną pustelnicę
Ruską wyniosły od nas duchy nasze.
Poszła, a w sieniach puste błyskawice
Zamiotły puste już po niej poddasze.
Wszakżem ją kochał przez tę tajemnicę,
Którą, pomimo ciał troistą czaszę,
Na bliski zawsze ton ponastrajane,
Trzyma trzy duchy, już raz w jeden zlane.

O! czemuż nie mam dziś tej władzy Pana
I tej młodości i tego żelaza
I szczerbatego u boku polana,
Na którym była wiekopomna skaza?
Żelazna cała i cała ceglana
Była już Polska, a każda obraza,
Która w niej ducha jednego pobrudzi,
Zaraz rozlana szła na wszystkich ludzi.

I straszna jakaś ta czystość związkowa
Rosła i wszystko trzymała jak w snopie,
Tak że ja, straszna wtenczas ludu głowa,
Mogłem być nawet obrażony w chłopie!
A ze mnie też szła dusza narodowa
I w dziada mego stawała okopie;
A ten szeroki duch miał wtenczas skrzynię
Na Elbie, Sali i Dnieprze i Dźwinie.

Na każdej wieży czułem, co się dzieje,
Chociażby stała na granicy rogu.
Żadni mię podejść nie mogli złodzieje,
Bom wszystko widział wtenczas w Panu Bogu;
Ani mnie podłe bawiły turnieje,
Gdzie sobie duma skacze po rozłogu
Na białym koniu i duch niewiast bierze,
Kiedy się w kwiatki złocone ubierze.

Blichtr sława! droga narodom daleka,
A na zabawki ludzkie niema czasu!
To też do króla, śmiałego człowieka,
Obracał się świat, który był z atłasu.
Nie będę mówił, bo mgła nie powleka
Sprawiedliwości ani też hałasu,

Który czyniły króle pospadane,[1]
Ciągle przeze mnie na tronach stawiane.

Raz taki Bela, który swym okrętem
Nie umiał płynąć, chciał mi na ramiona
Miecz włożyć z ducha swego sakramentem,
A Boga może mi wypędzić z łona!
Próżno! Mój anioł wielki z wielkim wstrętem
Odrzucił ludzkie a ważne znamiona,
W które szedł człowiek jako w trumny chłodne,
Tracąc dziewictwo ducha samorodne.

Czucie wielkości, które we mnie było,
Wyobraziłbyś, marząc sam o sobie,
Że jesteś wielką, granitową bryłą,
A czas cię swemi dłuty zwolna skrobie,
A ktoś podnosi wielką bardzo siłą
I [illegible] już napół żelaznej osobie,
Czołem ją w ciemnię postawiwszy chmury,
Za nóg podstawę daje Karpat góry.

Bracia duchowi tego nie przeczuli,
Na czem stanęło moje biedne zdrowie,
I gdy najstarszy, choć najmłodszy z króli,
Stałem żelazny na rynku w Krakowie
I sądził sprawy, na złoconej kuli
Trzymając rękę, jak na świata głowie,
(Bo sprawiedliwość z Bogiem przed oczyma),
Przez duchy nasze ten świat w ręku trzyma),

Gdym stał żelazny wyżej mego gminu,
Jako kłos prosty, z orłem na przyłbicy,
Na rubinowej szmacie karmazynu,
Spojrzawszy w ciemność rogatej ulicy,
Duch zadrżał we mnie i berłem z bursztynu
Dał drogę jednej cudownej dziewicy,
Myśląc, że jakiś płacz idzie bezbronny,
Któremu ja dam głos i plac przestronny.

Ucisk, myślałem, który się w sierocie
Do tronu spieszy, dostać się nie może.
Stanęła; oczy czarne były w złocie
I tak błyszczały otwarte, jak zorze;
Włos miał ten związek, który bywa w grzmocie.
Gdy po pośrzodku wężmą ręce Boże;

[1] Aluzja to do osadzania przez Bolesława Śmiałego na tronach: Beli i Władysława (na węgierskim) i Jaromira na — czeskim.

Na samym czole własnym zwity pętem,
Błyszczał, jak gwiazdą, jednym diamentem;

Z tej gwiazdy, z oczu, jakieś niby błędne,
Rozpajające ducha szły płomienie;
Szaty, jak na wiek, miała nieoszczędne,
Ale królewskie, a w uszach pierścienie,
W licu — tę bladość, która mówi: więdnę,
Chcąc być na słońcu, a ukryta w cienie;
Na ustach — koral z najświeższych szkarłatów,
W ręku — ulotne dwie girlandy kwiatów.

Myśląc, że piękną, a przez moje panki
Wstydzoną, moją dobrocią ośmielę,
Rzekłem: „Dzieweczko, wstąp tu na te ganki
I mów, czego chcesz? śmiało, jak w kościele".
A wtenczas ona, swe kwiatowe wianki
Wiejąc tam i tu, uszki swe jak skrzele
Zarumieniwszy rubinami piekła,
Nie odwracając oczu ze mnie, rzekła:

„Mieszczanka jestem, z kupca urodzona,
Ochrzczona na chrzcie imieniem Chrystyny,
Miasto wie całe, żem prawie szalona
Bom jest odważną na nieznane czyny!
Słysząc, że ty masz mądrość Salomona,
Przyszłam cię podejść podstępem dziewczyny.
Oto są wieńce: jeden jest prawdziwy,
Drugi skłamany; poznaj, gdzie był żywy?

Sama kłamałam ręką jasne róże
A tchnienie mi też pomogło dziewicze
Otwierać serca, schowane w purpurze,
I złocić białym liljom oblicze.
Te drugie kwitły na wiślanej górze
I z trupów mają wonie tajemnicze.
Poznaj, jeżeli jesteś Pan nad Pany,
Które ja rodzę? a które kurhany?"

Skończyła. A ja (o! najpierwszy grzechu!)
Całego ducha wnet użyłem na to,
Abym tę sprawę, tak wartą uśmiechu,
Rozsądził jako Brutus albo Kato.
I nic... Me oczy, sądzące w pośpiechu,
Widziały pannę, kwiatami skrzydlatą.
Ulatującą gdzieś na rynku cieniach,
Całą w iskrzycach, w gwiazdach i w płomieniach.

Wstyd rozczerwienił mi twarz moją ciemną,
Barwą z natury podobną do cegły;
W płomieniach byłem, a ona przede mną
Ciągle, a oczy w moje oczy biegły.
Wtenczas ja myślą westchnąłem nikczemną
Do tych aniołów, które ducha strzegły,
A ci, zaklęci duchem nieśmiertelnym,
Zaraz mi dali pomoc w roju pszczelnym.

Właśnie te złote owadów żórawie
Leciały sobie nad placem z tym brzękiem,
Jaki ma trąba dzwoniąca o sławie,
Smętna, z narodu pomięszana jękiem,
Gdy o nieszczęsnej dla ludu rozprawie
Zdaleka mówi wołaniem i dźwiękiem;
Takim leciały otrąbione krzykiem
Pszczoły — złocistym po niebie strumykiem.

I zrozumiawszy aniołów przestrogę,
Zaraz z uśmiechem rzekłem do dzieweczki:
„Ja twoich kwiatów rozeznać nie mogę
Ani rozsądzić o prym takiej sprzeczki;
Lecz oto pszczoły tędy mają drogę,
A ja moc w berle zakląć te pszczołeczki,
Aby królowe z Boga naszych ulów
Zjawiły mądrość — nad mądroście królów.

Bo wiedz, że pszczoły są sędziami kwiatów,
A kwiaty sądzą też niższe żywioły:
Ziemię i strumień, jak my z majestatów
Sądzimy niższe, nas — tylko anioły!
A sądy też są między sobą światów,
I są też słońca rozcięte na poły
Mieczami komet, których wielkie kroki
I twarze pełnią złotych słońc wyroki.

Drżyj, żeś tu śmiała, gwiazdo osrebrzona,
Pokazać twoje promieniste lice!
Bo oto leci kometa czerwona,
Ta, która jak kat rozcina księżyce.
Już tu...“ To mówiąc, podniósłszy ramiona,
Rzuciłem brzmiące ulów robotnice;
Te zaś (niewielkie to u mądrych dziwo)
Wybrały kwiatów girlandę prawdziwą.

Zrazu brzęk tylko w różach i organki
Głosów z liljów szły, jak źródło szemrze;

Nagle sczerniały one jasne wianki,
Zgrubiały i złe stały się, jak węże.
Potem brunatnozłoty włos mieszczanki
Zabrzęczał. Jak chłop, gdy rzuca oręże,
Gdy opadnięty jest gdzie na podjazdach,
Tak biegła na mnie w pszczołach, niby w gwiazdach.

Nie!... dotąd widzę... widzę... roziskrzoną,
Lecącą w gwiazdach, w kolorach, w mamidłach,
Czuję, jako duch duchowi obroną
Był, a już drżący, jak ptaszyna w sidłach.
Jam ją z powietrza wziął na moje łono,
Jak ogień i wiatr muzykalny w skrzydłach,
I chwilę czułem, jak na mojem łonie
Przestrach mię mrozi jej — a miłość płonie.

Nagle rzuciłem od łona jak węża
Tę mieszczkę i z krwią, błyskawicą w oku
Krzyknąłem, by jej znaleziono męża
A dano posag! A wzrok mój w obłoku
Widział to, co świat Homera zwycięża:
Bogi w płomiennym rozemdlone mroku,
Piorun przelany do niebios szkarłatów,
Sen gwiazd i nagłe urodziny kwiatów.

I od tej chwili stałem się ponury,
Miałem dla ludzi chwile niewidome.
Miłując miesiąc, gdy na czarne mury
I tarcze — srebra swoje kładł ruchome,
Sam jeden w płaszczu, jak dawniej, z purpury
Witałem myśli dawno gdzieś znajome;
A tych straszliwa krwawość i pokusa
Straszniejszą była — przy blaskach Chrystusa!

Toczyłem walkę; a jeszcze nie była
Miłość, lecz pożar mi krwi ducha palił.
Ta mieszczka piękna zamąż wychodziła,
A jam się na to Panu Bogu żalił,
Żem nie był kupiec. Tak to Bóg przysyła
Los, który tronem duchowi podskalił,
A duch się ogniem pożarnym zapali,
Na czarny zgore proch — i sam się wali.

Zamiast w związku być z duchowym ogniskiem,
Oto duch niebo nad sobą zamyka,
A duchów błyskań szuka ducha błyskiem,
Jak ogień końcem złotego języka,

A ziemia mu jest wichrowym igrzyskiem,
Mało co lepsza już od wężownika,
Skoro ojcowstwo nad duchami straci
I nie za dzieci ma złe, lęcz za braci.

Wteiczas to duchy przedemną zadrżały,
Widząc, że jestem na wszystko odważny;
I rzekły sobie ludy, żem był Śmiały,
A jam był tylko człowiek nieuważny;
I piorunowe ducha mego strzały
Ja, duch wiekową boleścią posażny,
Począłem ciskać na cnoty obrońce,
Na świat, jak straszne, zwarjowane słońce.

Właśnie szła pora, i Bóg mi nastręczał
Wielkie ogromnej rzeczy dokonanie:
Kijów pod mieczem już Warehów jęczał,
I chcieli miasta złotego Słowianie,
Gdzieby kto Boga na sądach wyręczał
A łączył ludy przez prawdy poznanie,
Łącząc nie żadnym knutem i obrożą,
Ale przez miłość i myśl jedną, Bożą.

Któż ją ma? Czasem gdzieś w pastuszku siedzi
Ta myśl najczystsza, więc władnąca światem,
A nikt jej krokiem ziemskim nie wyprzedzi,
Choć owce ludem jej, a berło kwiatem.
Widziano-więc raz, jako hełmom z miedzi
I królom, drogim okrytym szkarłatem,
Przyszła na pomoc taka bohaterka,
Jedna słoneczna i święta pasterka.

Wtenczas przeze mnie Bóg chciał większe czasy
Zaszczepić; bo też większe miałem duchy,
Włożone w dzbany twardsze, wyższej rasy,
Na większe ognie zrobione i ruchy
Anioł żywota takie ciał zapasy
Kryje pod biegun, w mgłę i zawieruchy,
I od słońc wszystkich im zasłania twarze,
Aby nie biegły, aż większe pokaże.

U Rzymian był ten posłuch, że boginie
W zorzowych wieńcach czerwonych na skroni
Pracują ciągle w mglistej oficynie
Z piorunem w ręku, jak z młotami w dłoni;
Już w alabastrze przeczystym, nie w glinie,
Kują kształt, zdolny większej w sobie woni,

A jedna siedzi wężownica, jędza,
I ciągle od ciał szatana odpędza.

On chce te dzbany wraz z pod zasłon zorzy
Wyjąć i ruchem ducha psuć fałszywym;
A onych kształtów duch pilnuje Boży
I nam dziś (jeszcze) obiecuje — żywym.
Gdy męka ducha już nam kształt zuboży,
Pokoszlawionym uczyni i krzywym,
Wtenczas maleńkie te duszeczki złote,
Ciche, aniołów przyniosą robotę.

„Patrzajcie — rzekną — otośmy przez wieki
W tych pięknych urnach ledwo się ruszały;
Wy wtenczas krzyże mieliście i ćwieki
I bój z waszemi boleśnemi ciały
Bierzcież te cichsze na siebie opieki,
Noszone przez nas z trwogą, jak kryształy;
Patrzcie, jak świecą, jaką różną twarzą
Na nich się kształty od lampy pokażą!"

Jam o tem wiedział wtenczas z Boga wiedzy,
Że taki szereg jeden, czysty, nowy,
Stanął i czeka na kaukaskiej miedzy
Na jedne słowo, jak na grzmot Jehowy.
To słowo jam miał, gdy dwaj ruscy zbiedzy,
Książęta, lud ów dręczące surowy,
Przybiegli do mnie, dwa przewrotne Greki,
Przeciw ludowi temu chcąc opieki.

Stary na wszystko był gotów, krwi bał się,
Lecz skarby przywiózł, by kupował złotem:
Młody szatanem potem wielkim stał się
I wszelkiej zbrodni podstępnej namiotem.
Gdy klękli, mój miecz tak nad niemi chwiał się,
Jakoby ściąć chciał, a oni wywrotem
Całego ciała uniknęli trwogi,
Czyniąc tronowi memu z siebie progi.

Pierwszy Izasław, kniaź, do mnie przemowę
Uczynił ruskim, żelaznym językiem,
Prosząc, abym mu nastąpił na głowę,
A potym zrobił moim hołdownikiem.
Odpowiedziałem dwa słowa surowe,
Bom nie był wtenczas harfą ni słowikiem.

Ale strzelałem pioruny z pod powiek,
Król nad królami, a nad ludźmi człowiek.

Odpowiedziałem: „Nie ze Słowian rodu,
Ale z Łotyszów, miast ruskich złodzieje!
Prę się, żadnego nie chciałbym zachodu
O to mieć, abym łatał wasze dzieje.
Co do obietnic — to posągi z lodu,
Których srebrzystość od słońca topnieje;
Gdy wam źle, jak psy chwost zwieszony macie
I podłość w ustach; gdy dobrze — kąsacie.

Inna to jest rzecz u Słowianina,
Który, gdy dobrze, to się koligaci,
A kiedy mu źle, dumnym być zaczyna
I niby wielki król gada do braci,
By nie myśleli, że chce jak gadzina
Darmo wziąć tego, czego nie zapłaci.
Więc jest nieszczęście, które łask unika,
A niema u nas innego dumnika.

U was przeciwnie, jeden grosz w kalecie
Już dumę, dziura w płaszczu — podłość rodzi.
Raz to już drugi na tym złotym świecie
Miecz polski za was po koronę chodzi.
Nie wiem, czy kiedyś waszę wnuki trzecie
Pomogą naszej przechylonej łodzi;
Jednak los teraz wam biedny odmienię.
A na niewdzięczność schowam — przebaczenie".

To mówiąc, gościć kazałem w Krakowie
Te pany, które pijąc w wielkich czarach,
Rzucali w nie łez nie perły — ołowie!
Bo fałsz był nawet u nich w wolnych darach!
A już pocichu między sobą w zmowie
Gadali z sobą o krwi i pożarach
I swoje siostry przyżywali śliczne,
Rzucać snu na mnie wieńce balsamiczne.

PIEŚŃ III.

Ojczyzno moja! raz tylko cię w dłoni
Miałem jak piorun — i to wtedy właśnie,
Gdy szeregami uskrzydlonych koni
Zatętnił rynek — zaszumiał hałaśnie
Na Żębocinie Pan z chorągwią w dłoni,
Masław, od czeskiej oderwany waśnie,

Straszny jako tur, oba Miechowici
W kapturach czarnych, skrzydłami nakryci.

Ciężka konnica — w hełmach złotych cała,
Lekka — w kolczykach żelaznych na głowie;
Girlanda koni pierwsza jak śnieg biała,
Druga — czerwona, ruchoma jak mrowie.
O! jaka, Panie, była moja chwała!
Wszyscy mojego typu aniołowie,
W zbrojach schowani — myśli moich bliscy,
A w jednym duchu króla byli wszyscy.

Nigdy już więcej takich niepopsutych
Nie dasz mi, Panie! bom je sam zaraził,
I strute duchy poszły do ciał strutych,
Albo kształt będąc skazą, ducha skaził.
Mało dziś takich, tak prostych a lutych!
A król się ciałem już nie wyobraził,
Ale przez boleść i upokorzenie
W pieśni się ubrał i w ogromne tchnienie.

Łamiąc i bijąc, szedłem do Kijowa,
Na Bugu, jak mój dziad, toczyłem boje.
Choć powieść nie chce być krwią rubinowa,
A ja o chwałę oręża nie stoję,
Powiem jednakże, że sam, jako głowa,
Rzuciłem w nurty rumaki i zbroje
I miałem wtenczas, przebywając rzekę,
Dziwną od duchów przestrożną opiekę.

Pamiętam jeszcze, jak na śrzodku rzeki
Wstrzymałem konia chwilę w zawierusze,
Czując jakoby jakiś dźwięk daleki
I wołające z za błękitów dusze.
Na mieczu moim były wtenczas wieki,
Wichrem szumiały moje pióropusze,
Czułem, czegoby żaden duch nie skłamał,
Czułem, że Pan Bóg świat pode mną łamał!

Mig — błyskawica... może duch rumaka
Drżący pode mną, jak czart purpurowy,
Może przeczucia bliskiego oznaka,
Że stracę wkrótce w mieczu — duch Jehowy...
A wtem z tylnego krzyknięto orszaka
W trąby mosiężne: „Toną złote głowy!“
I po dwa razy w mroku otrąbiono,
Na zorze trąbiąc, że łby złote toną.

Chrapanie słysząc trąb, anim się rzesko
Do miecza rzucił ratować przeprawy,
Bo mi się trąba wydała niebieską,
Echem matczynej, ciemnej, złotej hławy,
Bóg gadał z myślą zwichrzoną, królewską,
I w jednym łączył oba Bolesławy,
Cudownym mi to pokazując głosem,
Że mój duch — ludu jest duchem i losem.

Bryk mego konia na śrzedzinie Buga,
Przez wszystkie wojska powtórzony konie,
Sprawił, że prądem rozkrojona struga
Wir uczyniła z przepaściami w łonie;
Tam ciężka wpadła niejedna kolczuga
I zostawiła wyciągnięte dłonie,
Długo stojące na obrusie wodnym
Z mieczem, który stał jak kłos w ręku chłodnym.

Po większej części połykała woda
Ciężkie kolczugi na ciężkich rumakach,
A stąd — ta trąba i w krzyku ta zgoda,
Głosząca wtenczas o złotych szyszakach;
Bo lud był nakształt wielkiego rapsoda,
Który o kształtu najjaśniejszych znakach
Wie i swe duchy gdy na świat wyprawia,
To je przed ludźmi jednem słowem zjawia.

Taka przygoda innej też nie miała
Wstęgi za sobą, tylko żeśmy nasze
Odkryli wcześniej w bój idące ciała
A zbroją sobie zrobili pałasze;
Nie przymusiły nas do tego działa,
Które ja, Duch-Król, krwią bolesną gaszę;
Samiśmy wzięli ten pomysł od wieka:
Stawiać wrogowi miecz i pierś człowieka.

Owoż z tej strasznej wyskoczywszy wody,
Szedłem, pędzący przed sobą kniaziki
I Włodzimierze te i Nowgorody
I te Wołhary i te Suzdalczyki;
Aż na błękitach cudownej pogody
Swemi złotemi błysnął słoneczniki
Kijów, matuszka miast, w złotych obręczach
Na głowie, po pas cała w sadów tęczach.

Jakaś cudowna piękność, serce krając,
Przez cichy błękit szła, w duchowym wzroku

Niby Homera pieśni odmładzając
I jawiąc znowu tęczami w obłoku;
Woda to miasto z brzegu porywając,
Myła w srebrzystem Łabedy potoku,
A potok dziwną jakąś tajemnicą
Nazwan Łabędzim, w myślach był dziewicą.

Wokoło — moja zrycerzona sława
W skrzydłach, gotowa spaść furją i błyskiem,
Ja sam, Bożego pilnujący prawa,
Czułem, że miasto-duch drży pod uciskiem;
A więc kazałem, by syn Izasława
Szedł, nim ja w bramy uderzę pociskiem
I to cudowne słońce ludzkiej ręki
Krwią zgaszę własną i wydam na męki,

Kazałem, by szedł a gniew z serca złożył
A miłością wziął swemu ojcu grody
I miasto kluczem przeświętym otworzył,
Wynagrodziwszy łzy i wszystkie szkody,
On się przede mną wtenczas upokorzył
Jak wąż i szedł nam gotować gospody,
Bo go przyjęło miasto w swoje łono,
Głód czując w brzuchu, a mnie już przed broną.

I otworzyły się bramiska złote
Cicho, nie mówiąc nic zawiasów krzykiem,
Że gdzieś kaciska czerwoną robotę
Czynią po domach sznurami i strykiem.
Jam wszedł, na twarzach widziałem prostotę
I łzy, padali przed mną, wojownikiem;
Koń mój szedł zwolna i nogę, ostrożny,
Podnosił, by lud nie deptał nabożny.

Jam go po grzywie głaskał, on wesoły,
(Dziś mi ta dobroć jeszcze serce rani)
On, pogłaskany, między przyjacioły
Czuł się i ciągle ten swój krok bociani
Stawiał a często przed siwemi czoły
Uginał grzywy i oczyma łani
Spłakanej (mówią, że łania łzy toczy)
Często ludowi temu patrzał w oczy.

Duch konia wtenczas czuł, że w piersiach tłumu
Była zamknięta jakaś wielka skarga;
Lecz lud serdeczny już był bez rozumu,
Już w kłódkach była tego ludu warga;

Jam, prosty człowiek, nie rozumiał szumu,
Anim zapytał: kto za łańcuch targa?
Owszem myślałem, że kajdan niezdolni,
Widząc mie, króla, już czują się wolni.

Wjechałem w zamek i wziąwszy za brodę
Starego kniazia, wstrząsłem go jak gruszę,
„Pamiętaj — rzekłem, — żeć na tron twój wiodę,
A nie za brodę trzymam, lecz za duszę!"
Od tego czasu jakoż się w pogodę
Ubrał ten starzec i szedł na ratusze,
Bo mu wzrok syna szklany, zyzowaty
Odkrył to zaraz, że są w mieście katy.

Ja nie wiedziałem nic, bo wraz z wieczora
Wzięto mię w wonne księżniczek świetlice;
Tam, gdyby niebo przemienić w upiora,
A tym upiorem oświecić źrennice,
Nie widziałby wzrok w przymroczu wieczora,
Patrząc na onę świętą błyskawicę,
Tak cudownego w złotach malowania
I takich odmian i takiego trwania.

Nie byłbym jednak uległ tej ponęcie
Ja, duch żelazny i anioł wysoki,
Stojąc w tym jasnym z wiatru diamencie,
Co mię błaskami rwał na wszystkie boki,
Gdyby nie jedno rozkoszne ujęcie,
Oczy błękitne i światła potoki
I jeden tam głos niby z pieśni gminnej
I jedna wielka niewinność niewinnej.

Ta zbrodnia, która na człowieka dybie
A na niewinność czystą duszę łowi,
Bogdajby w ognia strasznego siedzibie
Ślepa uściski dawała ogniowi!
Wieki minęły, a na ciemnej szybie
Dziewczę to memu błękitnieje snowi,
Z usteczek strąca zbladłe listki róży,
Łonem tak śnieży, że oczy aż mruży.

Cicha złożeniem rąk na złotym pasie
Świętą się zdaje, jednak myśli pali,
Różami niby je białemi pasie
I niewinnością ust swoich zuchwali.
Alabastr w jasnym, niebieskim atłasie
I dziwnie na tej gronostajów fali

Pierś jej świecąca wprawia w obłąkanie,
Niewinność krzyczy od niej: precz, szatanie!

Mścisława — dziwne dla niewinnej imię,
Jednak prawdziwe! Jak mię ułowiono,
Jak moje myśli krzyczące, olbrzymie,
Prędzej niż piekłem i prędzej niż żoną,
Lepiej niż sławą, która stoi w dymie,
A doskonalej niż świata koroną
Zapchać, nakarmić umiano w świetlicy
Książęcej jedną wielką łzą dziewicy.

Nie, tego nigdy nie wyjawię światu,
A i to dosyć, żem ten wstyd wygadał!
Na ostrzach mego czarnego bułatu
Szczerba zarosła się, i duch mój spadał.
Straciłem zaraz z mego majestatu
Pozłotę: ruski car już przy mnie siadał,
Panowie, którzy wiedli moje roty,
Mieli wzrok często winogradem złoty.

Jakiś duch chwytał, by garncarskie koło
Ciągle kręcące się po myślach, ludzie
I naprowadzał na strunę wesołą
Wszystkie rozmowy, toczone w beztrudzie;
Duch natchnień przestał wiać na polskie czoło
I zostawił je smętne — w ciągłej nudzie.
Byliśmy jako czarnych ptaków kupa,
Która tem żyje, że ma ciągle trupa.

Jak wrony, jedliśmy wesołość cudzą
Albo pieniądze albo cudzą cnotę.
Dobrze to duchom, które się zabrudzą,
Pod biczem jędzy wejść w Cyrcejską grotę!
Tam się powszechnym podobieństwem łudzą,
Myśląc, że każdy w sobie ma zgryzotę
I fałsz i tylko tyle ducha bierze,
Ile potrzeba na kształt i na zwierzę.

Na gankach, z czarą w ręku, upior blady,
Z chorałem czarnych w szkarłacie Greczynek,
Nad wielką rzeką, nad rajskiemi sady,
W mgle miałem smutek, a w ogniu spoczynek.
Ręce tych kobiet, jak perłowe gady,
Chwytały z mych rąk każdy upominek,
A jam się wzdrygał, i ziębnąc jak głazy,
Rękom proszącym dawałem sto razy.

Piekło, mi zda się, widzę malowane,
Z ukryciem swoich boleści dla oka;
Na trupach — twarze srebrne i różane,
Śniegi na piersiach, pod śniegiem opoka.
Fałsz jakiś czynił, że jako blaszane,
Trące się łuski u wielkiego smoka,
Wszystkie te mary, owinięte tęczą,
Brzęczały... jeszcze dziś jak srebro brzęczą.

Pustki duchowe to mają do siebie,
Że kiedy szczęście jasne cicho leci,
Jak anioł złoty na błękitnym niebie,
Które rumieni, oświeca i kwieci;
Blichtr, który ducha do mogiły grzebie,
Wielki swój ogień na mogile nieci,
A gdy go tłuszczą i próchnem utuczy,
Słup wstaje w niebo, skręca się i huczy.

W ogniach ja takich zacząłem na drugą
Fałszywą ducha piękność znowu godzić:
Szatanów chciałem panem być, nie sługą,
Ogień mieć w sobie i z ognia się rodzić
I szczęście, że Bóg nie dał mi tą strugą
Po większe siły te piekielne chodzić:
Szczęście, że woli nie dał z siebie dostać,
Bobym się w straszną był spłomienił postać.

Już miałem w oczach przed sobą tę marę,
Stworzoną niby gdzieś na świata kuli,
Rycerza, który z losu zrobił wiarę,
Z mnichów narzędzie — a oszustów z króli
I ma najwyższy tron świata za karę,
A nigdy się łzą ludzką nie rozczuli,
I ma koronę jakoby z korali,
A gwiazda mu się jedna w mózgu pali.

Już byłem prawie mu podobny z lica,
Z gwiazdy i z chłodu i z zimnej rozpaczy,
Gdy nagle ducha ta straszna wichrzyca
Z rąk rozłamanych, jak wystrzał kartaczy,
Poszła na Polskę. Kapłani księżyca
Jęli uwodzić znowu lud prostaczy!
Straszniejsze jeszcze, bo dawno przeklęte,
Błysnęły w czarnych lasach ognie święte!

Żony poczęły mężom łamać wiarę,
Dziewczęta rzucać z się niewinność dusze,

Widziałeś kiedy, jako wróble szare
Pierzchają, jabłoń rzuciwszy lub gruszę,
I niby harfy mając rytm i miarę,
Lecą?... Podobnie polskie animusze,
Do gromad bratnich, do braterskiej miary
Przywykłe, choćby rzucały sztandary,

Gdy jeden nad nim duch wodzostwo straci,
Wnet wspólny zapał sobie wodzem stawi,
Tak i tu było, że bracia za braci
Stanęli, krzycząc: „Niech Bóg błogosławi!"
Chorągwie w takiej zostały postaci,
Jak krzyże mogił po wzlocie żórawi:
Nagie się zdały drzewka, na podwórzach
Kwater lub w polu stawiane po wzgórzach.

Mała już liczba przy koronnej głowie
I przy królewskiej została osobie
Kto tracił berło w mieczu albo w słowie
I czuł, że już sam był złamany w sobie,
Niechaj się skarży, niechaj to opowie;
Ja z tego pieśni na ziemi nie zrobię,
Bom tego ducha związaniem zmocował,
Wziąłem go za krtań i zasztyletował.

Tożby to było, gdy się Izasławy
Na mękę ducha patrzyli, chcąc zmrozić,
Żebym ja wtenczas był na krzyżu, krwawy,
A nie miał siły jako król zagrozić!
Strach był, gdy trumnę wskazałem Mścisławy,
Niańki kazałem powiązać i złozić!
I jeszcze jak pan, zgroziwszy książętom,
Poszedłem — własnym nieść pomoc okrętom.

Aniele — duchu! pierwsza twoja trwoga
Pochrześcijańska — czarna wtenczas była,
Gdyś ujrzał swego ducha jako wroga
I poznał, że w nim była twoja siła.
Jak tu zhamować wóz, gdy cała droga
W piorunach żądzy z pod kół zaświeciła?
Gdzie tu uderzyć? Co bór, to pochodnie!
Gdzie dom, to węże! gdzie zamek, to zbrodnie!

Jak szatan jaki, któremu świat z ręki
Wyleciał i już przeciw niemu czyni,
Skrzydła ma swoje i światła i dźwięki,
Jak nowa gwiazda, powietrzna harfini;

Tak jam kaleczył wiatr, ścigałem jęki,
Widząc we wszystkiem twarz, którą jad ślini,
Twarz moją własną, która już się trzyma
Na wiatrach, swemi patrząca oczyma.

Horror! Lokajstwo w zbrojach, na oblicze
Włożywszy hełmy, staje mi na drodze!
Kazałem miecze rzucić i wziąć bicze
I miecz jak drzazgę złamałem na nodze.
Sam lecę — słyszę, jak ścinam i ćwiczę,
Świszczy mi w ręku rzemień, wszystko w trwodze,
Wszystko ucieka i w bagniska skacze:
Pierwszy raz walka nie jęczy, lecz płacze!

I porzuciwszy te obiczowańce,
Którzy już byli w powietrznej rozmowie
I przez czerwone gadali kagańce,
A słowa dębom rzucali po głowie,
Szedłem, ażebym te dzieci — szafrańce,
W które podłego ducha wlazło mrowie,
Poczęte w fałszu przez złamanie wiary,
Odjął od srebrnej, pierwszej ducha czary.

„Niechaj to mleko, — rzekłem — co w liljach
Zbiera się czystych, nie karmi złodziei!
Ciało jest równe, lecz duch, który w żmijach
Podnosi głowę w burzy i w zawiei,
Dumny, że mu się niewierność na szyjach
Wiesza i usta w ogniu z ogniem klei,
Lud taki — rzekłem — aż na moim grobie
Wprowadzi w ciała duchy równe sobie!

A na cóżby to złotym sakramentem
Nalewał Chrystus po dwie ślubne czary,
Gdybyście mieli nie odpędzać wstrętem
Brudniejszych duchów, niższej od was wiary?
Glina, zrobiona czystym diamentem,
Niech nie buduje domów dla poczwary!"
To mówiąc, moja myśl, burzami wzdęta,
Kazała wieszać do piersi szczenięta,

I tak mój anioł, wielki w obłąkaniach,
Będąc przepaścią i słońcem Polaków,
Olśniony złotem na krakowskich baniach,
Jak ślepy, ciemny anioł, szedł na Kraków.
A już był ni ten, co w życia zaraniach,
Ale jak owca, podarta śród krzaków,

Mający w sobie moc, zdaje się, nową
Zdjąć łeb i świecić sobie własną głową.

Tak duch, gdy cały w sobie już jest z szumu,
A lepsze widzi i zna, czem przewinił,
Jeszcze ma prawo rady wziąć z rozumu,
Lecz mocy nie ma, by z rad ludzie czynił;
Tak ja, przewodnik jeszcze wielki tłumu,
Chociażem ducha w ciało moje wskrzynił,
Siadłem w Krakowie i przez jakieś czasy
Trzymałem siłą z woza końskie pasy.

A na wsze strony już rozwiązłość biegła,
We mnie z najpierwszych węzłów rozwiązana.
Widzę się: suchy, czerwony jak cegła
I cały w zbroi, jak wieża blaszana,
Pod kulą z dłoni — chcę, aby uległa
Pod siłą ludzką — siła już szatana,
Bo ci złoczyńce, spuszczeni z łańcuchów,
Już mieli straszną pomoc innych duchów.

Gdzie tylko ducha znalazłem krynicę,
Piłem ją usty, obracałem w swoją,
Wypiłbym piorun był i błyskawicę,
Byleby serca znów dostać pod zbroją.
A duch tłumaczył mi te tajemnice,
O które ludzie już więcej nie stoją,
Dość mając na tem, że pod czarną chmurą
Tę rzecz instynktem nazwą lub naturą,

„Patrz — mówił we mnie — oto na padoły
Twój duch szedł ciągle po tworzące berło,
A że je we trzech trzymają anioły,
Tyś ciągle zogniał się, diament z perłą.
Wiódł cię do tego szatan zły, wesoły,
Chcąc, aby prędzej to ciało się sterło,
A jeszcze gorzej duch szwankował na tem,
Że w ziemi czynił, co mógł ponad światem.

Byłeś jak czara, napełniona winem,
Która z dziesięcią czar była mięszana,
A wszystkie czary były z różnym płynem,
A na ostatku octowa, żółciana
Napój, który masz, już nie jest rubinem
Jagód, a nawet mieć nie może miana,
Różne w nim miody i kwasy i mięty
Pachnąc, już ustom ludzi czynią wstręty.

Także i ty się raz oddawszy duchem,
Nigdy całym się odebrać nie mogłeś.
Teraz ci tamte duchy są łańcuchem,
Ostatnie ciebie, pierwsze ty przemogłeś".
Tak mi ktoś gadał straszliwy nad uchem;
Teraz przypomnieć, Boże, Ty pomogłeś,
Gdyś mię jak dymu słup wystawił światu,
Porujnowany tęczami z pryzmatu.

Wszystkie natury weszły we mnie razem
Jak tęcze, które w dymie czynią łaty.
Dopóki mogłem, kryłem to żelazem,
Teraz rozpadłem się. Ot jakie kwiaty
Strasznym, wiekowym wychodzą obrazem,
A jeszcze nowy muszę wstać za laty
Przyszłemi, jeszcze wyżej głową w niebie
I głębiéj duchem sam widzący siebie.

PIEŚŃ IV.

Przepaść słoneczna, której blaski płoną
W oczach czyniącym świętą ducha sprawę,
Pod tęczą jasną, jak żyto zieloną,
Stojące duchy — kwiatki, ognie mgławe,
A bladsze jeszcze gwiazdy nad koroną.
Twarze aniołów miłośnie ciekawe:
Cały przedeśnie mojego żywota,
Tyś zniknął! rosłem jako olbrzym z błota.

Oczy, chodzące po świecie dla paszy,
Wyjaśniły się, dziwnie jasne, chłodne,
Jako pod kroplą, ciekącą z poddaszy,
W rynsztoku szarym są dwa bąble wodne;
A jeszcze gorzej, bo skra na nich straszy
Ludzie cnotliwe a znęca niegodne,
Pokazywała, jako serce chore,
Nim całe spłonie, długo ogniem gore.

O męko! Czułem, że duch jakiś drugi
Obraca już mną, tak jak słonecznikiem,
Bierze z pode mnie najwierniejsze sługi,
Zostawia sam wiatr w grzechu powiernikiem
Albo kupione za pieniądz Niemczugi,
Bez serca, ciągłym szwargocące krzykiem,
Które, bywało, zamek miodem zlany
Czynią i mózgiem opryskane ściany.

Ja, król, sam tylko, bywało, się ważę
Wchodzić, gdy w sieni uczta dogorywą;
Jak odgrzebane przez wicher cmentarze
Leżą podłogi, a głąb sali żywa,
Wyjąca jako wół przez korytarze,
Mieczami sobie łby okropne zrywa,
Lub wroga ławą dębową obarczy,
Lub dzban ma zamiast siekiery i tarczy.

Na takie walki przy miesiącu blasku
Lubiłem kułak żelazny położyć
I przejść śrzód wężów, jak piorun w roztrzasku,
Śmiercią uciszyć i królem zatrwożyć.
Błyskawicznego w oczach pełni piasku,
Gdy przejdę, oczu nie śmieli otworzyć,
Padali jako Chrystusowi stróże,
Myśląc, że anioł-duch przeszedł w purpurze.

Ale zabójstwo ciągnęło nagrodę,
A hojnie ją dłoń dawała Polaka;
Za każdą w czaszce albo w żebrach szkodę
Niemiec brał już wieś i rósł ze żebraka,
Poznano pierwszą pod króla podwodę
I bicz (cierń pierwszy Chrystusa) wieśniaka;
A to zostało w krainie na długo,
Że każdy, kto kat, był królewskim sługą.

A jam to czynił, widząc, że zwysoka
Jakiś duch większy patrzy i uważa
I ze mnie woli nie spuszcza i oka
A milczy. Świętych milczenie przeraża!
Wolałbyś wielki krzyk i jęk proroka
Albo tysiąc trąb jakiego mocarza,
Niż, gdy cię trwoga i ciemność otoczy,
A ciemność wielka tu ma jedne oczy.

Kto ten duch — wiecie!... a ja takiej twarzy
Lękam się, pisząc, że błyśnie pod piórem.
Lud go dziś sobie za świętego waży
I ugwiażdżonym obwija lazurem;
Ale on, jak ja, często dla grabarzy
I dla kościelnych, którzy ciągną sznurem,
Przychód tu swoją drugą kością czynił;
Bo choć był świętszy ode mnie — przewinił!

W domu jeszcze mi jedna gwiazda blada
Została, siostrą nazwana Swentyną,

Którą wnet chłopków pobożna gromada
Przechrzciła, Tochno, mówiąc, zamiast Tyno,
„Och no! niech z królem królewna pogada,
Skargi mu niesie, a złe czasy miną!“
Dziwne przeczucie, że świat w to rozkwita,
Aby patronką praw była kobieta.

Jam śnił, że Trójcę, rządzącą w błękicie,
Tu formą rządu kiedyś wyobrażę
A ministerstwo prośby dam kobiecie,
Łzę do praw wmięszam, a prawa nie skażę.
Onoż mi siostra moja była skrycie
Takim snem moim: ona w srebrnej czarze
Niosła łzy ludu, stająca w obronie,
A czarą były jej żebracze dłonie.

We snach marzyłem, że to przyszła święta,
Kiedyś na ziemi objawiona ciałem,
Ciągle miłośna i ciągle natchnięta,
Ciągle pod tronem i pod trybunałem,
Wszechmocna łzami kruszyć wszystkie pęta
I prawo czynić rozgwiazdnym kryształem,
A jednak żadną nie władnąca groźbą
Ani rozkazem — jedną tylko prośbą.

I tę mi Biskup wziął! Klątwą zgrożona,
Wyszła, pokorna, posłuszna — z Krakowa!
I dotąd jakaś pustynia zielona
Ślad ubożuchny jej nożeczki chowa.
Tam potem skała była wydrążona,
Którą znalazła węgierska królowa,
I na dnie trochę kwiatków albo słomy,
Na której dospał snu ten cień znikomy.

Zdarza się często, że nocni pasterze
W grobach Judei swoich lamp zapomną.
A wędrowiec stąd dziwne myśli bierze.
Widząc światełka pod skałą ogromną,
Sądzi, że jaki duch grobowców strzeże
I swoją myślą napełnia przytomną,
A póki świat się złemi duchy zwaśnia,
Siedzi — i lampy te dawne objaśnia

Podobnie ono światło małe, złote
Świeciło w moim rozhukanym dworze,
A potem wyszło aż na duchów morze,

Ale przeklęty, kto mi tę zryzotę
Wlał, która serce me, bywało, porze;
Więc już nie szedłem dalej, walcząc losy,
Alem był w przepaść wleczony za włosy.

Po nocach moich szaleństwa i zbytki
I brzęk pieniądza albo twarde miody,
Włóczęgi nocne, po ulicach bitki
I napadane w noc kupców gospody.
Razu jednego głos mię Sunamitki
Zaleciał, dziwnie gorący i młody,
Z umysłu pewnie na wiatr wypuszczony
Przez jeden światłem gołębnik czerwony.

„O, przyjdź! — śpiewała — bo gołębi stadem
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje;
O przyjdź! z kwiatami czekam, z winogradem,
Na łonie białym złożę i upoję;
O, przyjdź miesiąca i złodzieja śladem,
A otwórz cicho jak anioł podwoje,
A od miesiąca weź kluczy złotego,
Cicho jak ogień szeptaj, bo mię strzegą.

Gwiazdy zliczyłam idące na niebie,
A ciebie niema, mój piękny i młody;
O, przyjdź! w płomieniach cała czekam ciebie,
Rajskieć gotuję kwiaty i jagody;
Jestem pierzchliwa jako młode źrebię,
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody,
Jak gołębica jestem nieobronna,
A jestem jak kwiat rajski, cała wonna,

Przyjdź! a lichtarze złociste zapalę.
Zakadzę drogim, wonnym cynamonem,
A jeszcze jaśniej przez mych ust korale
I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem".
. . . . . .
. . . . . .

I dalej szła pieśń taka w ogniach cała,
Kolor jawiąca w słowach doskonale,
Klejnoty oczu, białą perłę ciała,
Ust uśmiechnionych najżywsze korale,
Że dusza moja po strunach wleciała
W ogród zamknięty na małżeńskiej skale;
Bo kłamstwo w pieśni było, że nieszczerze
Jak owca i kwiat wabiła pasterze.

Czart mi nastręczał tę samą Krystynę,
Słodszą w rajskiego owocu zapachu;
Jakoż w miesięczną wyszła ośrebrzynę,
Z okna i prawie stanęła na dachu,
Rumieniąc światły tych dachówek glinę,
Biała jak anioł, niby pełna strachu,
Nogę stawiała na blaszanych smokach,
Jak duch na srebrnych widmach i obłokach.

Jakieś jedwabne, złote pajęczyny
Trzymała w rękach; te rzuciła z góry,
I złote one struny i drabiny
Wiodły ją na dół, a tu rynw jaszczury
Paliły ogniem w źrenicach rubiny,
Pokazywały paszcz wielkie purpury,
Gotowe pożrzeć klejnoty i róże,
Póki szła w srebrnej między niemi chmurze.

Tak to okradłszy małżonka z klejnotów
Z kradzieżą w moje ręce się schroniła!
Lecz jam na wszystko już był wtenczas gotów,
Myślałem, że grzech zbłocony — to siła!
Sakramentalnych rozbiwca namiotów,
Miłość sączyłem w siebie jak mogiła,
Do której trup w nią zamknięty należy,
A ona ciągle chce mieć co dnia świeży.

Odtąd mój zamek zagrał pieśnią nową,
Olbrzymim śmiechem cnoty gwałtownika,
I babilońską zabłysnął królową,
Jak zachód, gdy się nad słońcem zamyka,
Ostatnie idzie mojej pieśni słowo;
Mieczowy anioł ludu w ogniach znika,
Strącony z gmachów, co się w chmury piętrzą,
Nie przez grzmot, ale jedną myśl najświętszą

Na Skałce podniósł starzec drżące dłonie,
Klątwą zagroził. Dziś byłby to mały
Strach, kiedy mało ducha w ludzkim łonie,
A ciało tylko dorasta do chwały,
Lecz wtenczas, jako przed wichrem, gdy wionie,
Duchy się w ciałach jak dęby zachwiały
I ustały się i znowu poczuły,
Że się jak wody zapleśniałe psuły.

Jeszczem się głośno śmiał i zwykłe czyny
Powtarzał, okiem groźniejszy niż wczora:

A już duchowe nade mną krainy
Mięszała burza, i skrzydło upiora
Zwiewało duchów przejasne bursztyny.
Wyzłotę domu i każdego dwora,
Dzień czyniąc smutny, jak on dzień omglony,
Gdy w miasto z lasów zlatują się wrony.

Zda się, że ciągle gdzieś odgłosy dzwonów,
Chodzą w mgłach, Bogu ludzkie modły noszą,
A pełne coraz żałobliwszych tonów,
W mgły ciemne biją, płaczem czegoś proszą.
Miasto jakoby wymiótł anioł zgonów,
Place, ulice stały się pustoszą,
Bruk porósł trawą, nikt — tylko kaleki
Przejdą czasami te zielone rzeki.

Nikt — jedno wrzody i nędza wychodzi
Na słońce, idąc pod kościół zamknięty,
I tam na trawie albo płacz zawodzi
Albo też śpiewa jaki kantyk święty.
Chciałem ratować tej tonącej łodzi,
Zacząć bój jaki, śmiały, choć przeklęty,
Chciałem krwią podnieść do siebie przepaście:
Zwołałem moich chorągwi dwanaście.

Jeszcze dziś widzę: listopad już śnieży,
Ja w zbroi — czekam, czy gdzie zarżą konie.
Wiatr głuchy czasem w ulice uderzy
I ruszy serce głuche w jakim dzwonie;
Czekam, wtem wjeżdża dziewięciu rycerzy
Na plac, złączają chorągwie i dłonie,
Jeden krąg czynią z żałobnych rumaków
I z płaszczów czarnych i z tęczowych znaków.

Na wszystkich, widzę, są grube żałoby,
Wszyscy są jakby z pod jednej mogiły;
Tylko chorągwie złotemi ozdoby
I kolorami na śniegu świeciły.
Wtem słyszę: zbroje jęknęły jak groby!
Przywalcie teraz mię, Osjaku bryły!
Niechaj raz drugi mój duch nie rozumie
Tej klątwy, która grzmi w chorągwi szumie!

Przegrzmiała, a ci, nie dość jeszcze na tem,
Jeden po drugim przed ganek jechali,
I u nóg drzewcem trzaskając i kwiatem,
Pełnego w oczach mię łez — przeklinali!

To nic, bo cały już byłem nad światem,
I wysłuchawszy ich, wszedłem do sali,
Już odmieniony, jak król już umarłem,
Wszedłem i o mur jeden się oparłem.

I pytano mię: co? A ja na murze
Paznokciem skrobiąc, pisałem nazwiska
Te, które były na znamion purpurze
I na turkusie; widziałem je zbliska.
A co ja w dole, Bóg pisał na górze,
Bo kiedy łamią znaki, to Bóg błyska,
A kiedy w króla zobaczy napisie,
Choć przeklętego: Mścij się! — to Bóg mści się.

Imiona były te: naprzód Strzemieńca,
Potem Toporców, Gryfa, Śreniawitów,
Leliwów, szósta — pomorskiego Szweńca,
Lisów, Półkozic, ostatnia — Rawitów,
Dziewięć!... Chorągwi trzy zniknęło z wieńca,
Między chorągwie nie było błękitów,
Może jadące gdzie w ciemnym parowie
Unieśli na wiatr jacy aniołowie.
. . . . . .
. . . . . .

Wiary we własną je moc opuściły,
A gorsza była dusza, gdy bogata;
Jeden mi wyznał, że mu krwawe siły,
Chcące panować, radzą zabić brata;
Innemu rzeczy straszniejsze radziły
Anioły ciemne, by siłami świata
Rządził, a rządząc zorzami złotemi,
Czynił zarazę albo głód na ziemi.

Trzeci mi przyszedł w okropnym przestrachu
I patrząc na mnie twarzą ołowianą,
Taką rzecz szeptał, że w królewskim gmachu
Zadrżało nawet to, co było ścianą!
Ja jeden tylko, jak rycerz w zamachu,
Który ma już dłoń ciężarem porwaną,
Nie uląkłem się grożącego Pana,
Lecz biegłem, jak król, pokonać kapłana!

„Oto ten kapłan — rzekłem — ta gadzina,
Chce mię gryźć w serce, a wszystkim wiadomo,
Że umarłego pole Piotrowina
Pochwycił ręką kościelną, łakomą,

Ród się daleki teraz upomina,
A on mówi; dar *in domini domo,*
Przed samą śmiercią, śród boleści srogich,
Na wieki wieków złożon dla ubogich.

Papieru na to starzec nie pokaże
Ani też świadków, bo daru nie było,
Niechże się sprawi, bo ja go ukarzę
Na ciele, a ten grunt zabiorę siłą!"
Biskup to słysząc, oddał się pod straże
I rzekł: „Mam wprawdzie świadka pod mogiłą,
Budzić go nie chcę; lecz gdy król obarczy,
A przed sąd wezwie, ten świadek wystarczy".

Rzekł. A te słowa gdy mi doniesiono
W noc i przy pełnych winami puharach,
Wstałem z pochodnią i czoło koroną
Nakrywszy, szedłem na tron, cały w żarach.
Za mną pijaki zbrojne, a z szaloną
Myślą spróbować mieczyska na marach;
Tron otoczyli, jak czerwone czarty.
Koło północy było. Sąd otwarty.

Wkrótce stawiono bladego biskupa,
Do którego ja rzekłem, cały pijany:
„Alboś ty złodziej, albo ty nam trupa
Wywołaj z grobu i z tej białej ściany!
Wywołaj!" A on: „Co znaczy ta kupa
Nierządnic? Jeśli ma być trup wezwany,
Jeśli rzecz, która w nocy trzęsie miasty
Świętymi, ma się stać, odpraw niewiasty!"

Strach mię zdjął; one też jak gołębice
Na one słowa same uciekały.
A biskup znowu: „Takie tajemnice
Widzieć, ty jeden tylko jesteś Śmiały".
Rzekł: straszna cisza wstąpiła, a świecie
Jedna po drugiej same zagasały.
Obejrzałem się: w gmachu było ciemno,
Ja sam — i kapłan stojący przede mną,

Widziałem, jako cmentarz gdzieś daleki
Anioły Boże światłem malowały,
I wstawał stary ktoś — nakształt kaleki,
Zbiedzony, a płaszcz miał jak srebro biały;
Potem przydany jemu dla opieki
Stróż anioł podał jakieś kordjały,

Którymi wzmocniał i drogę po ziemi
Jak kwiatem zasłał światłami różnemi.

A on rzekł: „Twoje wygnawszy rycerze,
Teraz cię znowu w twej żelaznej zbroi
Ugnę przed sobą i w duchu uderzę
Tym duchem, który tu już za mną stoi".
Jam drżał; jeszcze mię dziś jawieniem bierze
Miecz z tych zamkniętych i czarnych podwoi
Wylatujący. Jak się w trumnie zsechło,
Tak weszło, z twarzy swej podnosząc czechło.

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

PISMA POLITYCZNE I RELIGIJNE
Z LAT OSTATNICH.

ODEZWA DO BRACI W KOLE. [1])

Ponieważ niektórzy z braci żądali odemnie ustnie tłumaczenia się z mojego listu, uczynię to przed całem Kołem — z prostotą i otwartością — nie poddając tych słów pod sąd, ale pod uwagę.

Od czasu jakem wszedł do Koła, nie zobowiązawszy się przed Mistrzem do niczego, oprócz służenia wiernie wszystkiemu, co mi sumienie szczere i prawdy szukające podyktuje za dobre, mimowolnie i powoli strzegąc się własnej wnętrznej dumy, rozbierałem jak najuważniej duchowe moje uczucia, a tymczasem z prawdziwą pokorą wypełniałem wszystkie Kołowe zlecenia. — Wkrótce ujrzałem, że oprócz duchowej strony zaczyna grać w Kole struna polityczna — kiedy z drugiej strony duch usiłuje związać się — pokryć i uszom braci uczynić zupełnie niedosłyszaną... Zaczęło się to od projektu poselstwa do króla belgijskiego — szło potem dalej — przez wiązanie nas z Kołem Karlistowskim we Francji... które zrazu niewinne, zaczęło nam potem dyktować różne kroki, jak naprzykład mszę publiczną za ducha nie naszej wiary i nie naszej idei... Od czasu jak nas zastępca M. publicznie nazwał partją i Towiańszczyzną — wszystkie kroki Koła stawały się dla mnie wspólnemi. — I dlatego duch mój przywalony był wnętrznem cierpieniem i tęsknotą za dawną osobistą odpowiedzialnością — za dawnym sumieniem.

Co do ducha waszego, bracia moi, uznaję, że ten czysty jest — i najpiękniejszy na ziemi. — Ale wy go już przyprowadzacie do form — już obumiera — już stało się u was rozkazem: przyjść w duchu — mówić z ducha — uderzyć kogo duchem — być w wielkiem podniesieniu, czuciu — gdy tymczasem ja, który znam, choć niedoskonale, stan natchnienia i działanie na drugich, ludzi będących w natchnieniu, nie słyszałem nigdy w Kole naszym tego głosu... Na rozsądek wprawdzie działano... po wniosku każdym otrzymywano zgodę — ale zgodę inteligencyjną, nie duchową. — Świadczy o tem nawet przekleństwo rzucone na przyszłość — na niewidzialne jeszcze, nie przeczute duchy... Kto przeklinał, ten wątpił, a tem samem nie miał miłości, ani wiary, ani nadziei — nawet dawnych cnót zakonu — a cóż do-

1 Towiańczyków.

piero tej nowej wiary w sprawę Bożą i każdego, który dla niej się ofiarował... Bezsilność ta w natchnieniu prowadziła Koło, że wynajdywało między sobą osoby, którym nadawana była wielkość zupełnie idealna. — Wyznam otwarcie, że ani pisma brata Romualda, ani głosy brata Jeżewskiego, ducha mego nie podnosiły — w pierwszych jest retoryka, w drugich słychać głos dawnego sektarza — zręczność pewną rubaszną w rozumowaniu — i świeże dobicie się do pierwszych prawd religijnych. — Oba doświadczyli nad sobą łaski Bożej — ale w drodze ducha uszli jeszcze maluczko — bo nie dosyć mają wiedzy wziętej z własnego cierpienia — i często już li!ji anielskiej używają za kij pasterski i pastorał. — Bracia moi, nie silcie się na egzaltacją — i przeciw sumieniu nie gadajcie o niczem, choćby celem waszego niepełnego zachwycenia było jakie pismo Mistrza, napisane jak do dzieci przez ojca. — Nie krzyczcie, jak gdybyście niebo otworzone ujrzeli — albowiem i duch Mistrza ma głębsze tajemnice, o których musi rozmawiać z aniołami. — Miłość dla niego! i miłość dla prawdy!

Co do mnie, czuję wielkość poselstwa Mistrza naszego przez to wstrząśnienie, które się we mnie stało — przez ten głos, który we wnętrzu ducha mi się odezwał — i powiedział wszystko, o czem potrzebowałem wiedzieć i jeszcze dalej o coraz nowych prawdach powiada. — Pewny jestem, że pracując razem z Nim pracuję. — On większe rzeczy robi, bo jest mocniejszy — jam powinien mniejsze robić, bo żywot mi ucieka. Duch mój zawsze był ku Polsce obrócony twarzą... i chciałbym, ażebyście się i wy ku tamtej stronie więcej obrócili... Nie jesteśmy my nowi — bośmy dawno przez Boga przygotowani — odrodzenie więc nasze powinno nosić cechy dawno na duszach wybite. — A jeszcze i to powiem, że w odrodzeniu się można iść za prędko i nie pamiętać na małe dziatki, które zostają na drodze z wyciągniętemi rączkami i proszą o pomoc ludzi, co już są za rzekami. — Chrystus by dziatek nie opuścił. — Widzeń używajcie z większą miłością, nie trwożąc niemi ludzi, albowiem nie na przestrach są, ale dane na światło — a przestrachem nie bierzcie nikogo — albowiem tchórzostwo ducha podlejsze jest od cielesnego — a Bóg żąda strachu sprawionego przez miłość... strachu dziecka, które się boi, aby matka nie płakała... Duchowemi cudami Bóg wyciska miłość — cudami materjalnemi strach by tylko w ludziach obudził. — Wszystko to nie jest nauką — ale prośbą do was — albowiem chciałbym w was widzieć prawdziwych braci — i uwolnić się od tej samotności ducha, która mi oddawna ciężyła... Widząc was oczyma mojemi wykrzyknąłem: otoż są ludzie! i ten krzyk, wierzcie mi, był najognistszą modlitwą dziękczynienia. — mamże znowu wątpić — czy przekonacie mię, żeście się zebrali jak dawniej — na trochę tylko wyższem stanowisku — ale zawsze po światowemu — trochę czyściej, ale nie zupełnie w białych szatach? — Mamże powiedzieć sobie, że to jest jeszcze jedna z tych sekt przygotowawczych, którym Bóg nie mógł dać osta-

tecznego triumfu, nie widząc ostatecznej czystości? ... Jakże wam Stwórca świat podda — Żydy i Araby — i Indjany — kiedy wy do mnie za to, żem o medalik N. Panny Mistrza nie prosił, już wstręt czuliście, już prawie gotowi byli odrzucić? — O jakim że wy jednym kościele marzycie? — Jeszcze sami maleńcy i potrzebujący łaski Bożej, a już rzucacie interdykta i przekleństwa — już zarażacie przyszłość nieszczęściem? W imię Boga, jak chcę prawdy Jego i królestwa Jego na ziemi, żadnego wam fałszu nie odpuszczę — żadnej u was nieczystości nie ukocham — do żadnej nieprostoty nie przyłączę się — w żadnej klątwie nie odezwę się z wami. — Albowiem i ja mam na dnie serca prawo Boże i ja mam rozkaz Boży — abym nie dbając na sąd ludzi — a choćby wzgardę i nędzę i potępienie — stał do końca, strzegąc prawdziwej wiary i dawnego sztandaru ojczyzny mojej ...

DO KSIĘCIA A. CZARTORYSKIEGO.[1])

Lay aside the wretched formalities of a King, and speak to your subjects with the spirit of a man, and in the language of a gentleman. Tell them you have been fatally deceived. The acknowledgment will be no disgrace, but rather an honour to your understanding.

Junius.

MOŚCI KSIĄŻE,

Cytując te słowa Juniusza do króla angielskiego niegdyś zaadresowane... nie sądzę, abym Waszej Książęcej Mości w poszanowaniu ubliżył; wyraz zaś *subjects* przemieniając na *countrymen*... uczynię zadosyć własnemu sumieniu, które mi jeszcze z całym narodem uznać się poddanym Waszej Książęcej Mości nie pozwala. Tak przemieniony epigraf będzie mi tarczą, za którą ukryty poważę się kilka słów do W. Ks. M. powiedzieć.

Szlachetna postać Księcia, wiek Jego, długie cierpienie wygnania i smutek na obliczu spokojnem wyryty... schylają mnie przed Waszej Ks. Mości powagą. — Niepodobna też wierzyć, iżby szlachetny i zasmucony naród był długo na te uroki nieczuły i ku podparciu Waszej Ks. Mości nie pośpieszył. — Nie zostawi Cię długo... Mości Książe... lud polski... Wojewody swego na drążkowem krześle wygnania...; nam zaś wyrzuci, żeśmy Ci z ramion naszych nie uczynili poręczy i tak długo zostawili na nogach strudzonych.

A jednak my niewinni. — Czynność W. Ks. Mości ubrała się w formy tak duchowi narodowemu nienawistne, że mimowolnie wszystkie wielkie duchy musiały Księcia opuścić i — w celach swoich, albo w pracowniach swoich zamknąwszy się — przemyślać o sprawie narodowej... podobni małym strumykom które ze szmerem i z szelestem małych przewróconych kamycz-

1) Pisane w czerwcu 1846.

ków drogę sobie nową torują... nie oglądając się, czy Bóg Neptun idzie za niemi... pewni, że prawo rządzące wodami wszystkie rzek koryta wkrótce w tę samą z niemi drogę nakieruje. Dlatego to — pomimo W. Ks. Mości usiłowania — tyle małych strumyków praw Bożych słuchających innemi — niż W. Ks. Mość — drogami pobiegło; a każdy z nich znalazł drogę i wyprzedził — że tak powiem — ciężki sześciokonny ekwipaż W. Ks. Mości.

Jeden z tych wprzód biegnących strumyków zatrzymuje się na chwilę... nie przez chęć odpoczynku (bo go schyłek i spadzistość góry... z której leci... coraz dalej prowadzą), zatrzymuje się owszem przez złamanie prawa materji wiodącego d u c h a naprzód... probując... ażali mu się nie uda: *usiłowanie* W. Ks. Mości zamienić w prawdziwą wskrzesitelną *siłę narodową* i — oczyściwszy je z przeciwnych duchowi polskiemu pierwiastków — miłość ku niej w ojczyźnie wywołać.

Zastanów się Mości Książe nad charakterem narodu polskiego i pomyśl: j a k ą s p r a w ę p o l e c o n ą m a s o b i e t e n n a r ó d o d B o g a... a potem przystosuj usiłowania swoje do tej wielkości *Formy form*... i uważ dobrze, czyliś już zajął w uczuciach narodowych miejsce pochodni i przewodnika.

Rasy są to urny nowe dla starych duchów. — Gdy się ciało jakiego narodu zestarzeje i wielkości duchowej nie odpowiada, duchy zaczynają wielką migracją, szukają domów lepszych, jaśniejszych, lepszemi organami obdarzonych. Gdyby twój duch... Mości Książe... widzący dziś zaledwo podług zwyczajnego prawa natury, dowiedział się, że gdzieś egzystuje ciało obdarzone oczyma... które — podług Brewstera soczewek zrobione — teleskopiczny wzrok zaręczają, to Książe prosiłbyś modlitwą Boga o takie ciało teleskopowym wzrokiem obdarzone, abyś snadniej mógł przeciwko narodowi czynione kroki wyprzedzać... dojrzewać zdrad i tymże zdradom opierać się.

Wystaw sobie Mości Książe, że słowiańska rasa jest jedną z ras późniejszych... na przyszłość przez Boga przygotowanych. Choć w zmysłach jej nie pokazuje się jeszcze ta doskonałość, to wszakże w rozumowaniu, w pojęciu — co mówię — w samej nawet szybkości materjalnej języka ta wyższość spostrzegać się daje. — Polak wszystko to... co Francuz... uczyni — najpierwszemu frankońskiej rasy człowiekowi nie ustąpi; Francuz zaś — choćby w tysiącznych rozumowych logogryfach był nadeń silniejszym — to w rzeczach... które natura sama daje... ustąpić musi; — więcej powiem! — liter nawet niektórych słowiańskich nie wymówi: zda się, że murem chińskim przedzielony od naszej wszystko-mogącej natury. A cóż dopiero w umysłowości i potędze ducha! — Francuzów zatem czynność: s z w ę d a n i e s i ę c i ą g ł e z a n i s k i e m i d o c i e k a n i a m i p r a w p o s t ę p u, może być dla nas doskonałą igraszką... ale nie wzorem przyszłości — nie formą — nie nadzieją dla ducha takiego jakim jest duch W. Ks. Mości — p o l s k i d u c h wytrawiony... stuletni

— zda się — dąb! — a jeszcze dla nas młody, bośmy go nie poznali, a o twardości jego rdzennej nie wiemy.

Ta pierwsza więc rasa świata... rasa pierwsza w Słowiańszczyźnie — ta Polska — chciałaby się wyrazić dziś przez liczbę i wymiar; szuka przeto osoby, chce się uczynić widzialną, poddać się pod *miarę i czas;* Ona (która jest nieśmiertelną bez *miary i czasu*... wielką jak Bóstwo jakie o przyszłości zamyślone) chce teraz abdykować, z nieskończoności przemienić się w skończoność i widzialność! A Wasza Ks. Mość... niby ptasznik na usadce... czekasz na Nią z konstytucyjną francuską siateczką, abyś Ją z głową nakrył jako szczygiełka i do życia konstytucyjnie klatkowego przymusił.

Któż winien? Czy my... którzyśmy księcia ptasznika odbiegli? — czy Książe... który się nam z klatką francuską i ze zwierciadłem — jakiego używają na ptaszki — pokazał?... sądząc, że nas samych ułowisz na dawną naszą półfrancuską karykaturę i mimowoli naszej szczęśliwemi w ptaszkarni swojej uczynisz. Lecz... Mości Książe... ani patyków do skakania, ani prosa złoconego nie chcemy. A *ludzie* wielcy *nasi* nie potrzebują dowodzić talentów i mocy... ciągnąc wodę ze studzien artezyjskich w łupinach orzechowych, albo (jako mopsy uczone) zgadując i pisząc myśli francuskie słowiańskiemi abecadłami; ale chcą zająć prawdziwie miejsce potrzebne na świecie i czynić to, czego inne rasy pomimo najlepszej woli uczynić nie mogą.

Widzę, iż te słowa moje przyjmujesz Książe z dobrym i pobłażającym uśmiechem — pozwalasz mi niby błędnej drogi i wysokiego latania — tworzysz mnie urzędnikiem dworu swego z prawem utopii — a nawet... obracając się do dworzan twoich... powiadasz, iż radbyś mię gubernatorem wyspy *Baratarji* uczynił. A gdzie ja *tam* — przez doradce twoje znudzon... przez doktory twoje ogłodzony — musiałbym wyrzec się wszelkich Atlantyd, a zażądać wieku złotego Saturna, albo konstytucyjnego wreszcie w Polsce królestwa.

Powinienem zatem dowód położyć, że utopistą nie jestem, ale chcę, aby Waszej Ks. Mości miłość duchowi narodowemu panowała, a moje małe gubernatorstwo na wyspie *Baratarji* zniszczyła... nie szkodząc wszakże duchowi mojemu, który przeciwnej sobie materjalnej sile poddać się nie chce i nie może. — Jeżeli zaś... Książe... nie uszanujesz wolności ducha mojego, to dodasz jeszcze jeden grzech do grzechów, które Polska w ostatnich czasach popełniała przez urąganie ciągłe duchowi, połączone z zamiłowaniem wytrawionych niby doświadczeniem małych ludzi — powiatowych orakułów — którzy wydawali się ludźmi czynu, a w istocie byli tylko stróżami własnej godności, którzy żadnej narodowej myśli pojąć nie zdolni... jeśli pozwalali się na chwilę przez kogo ułowić, to tylko na haczyk interesu, osłodzony miodem miłości własnej.

Takich ludzi masz Wasza Książęca Mość w emigracji; uczyniłeś nawet cud nad niemi... to jest, wpoiłeś w nich przekonanie,

aby się podsędkowskiej sławy powiatowej i nieomylności prowincjonalnej wyrzekli, a zgodzili się na to, że konstytucyjny rząd wszystkie je przerastać będzie i do jednego celu nagnie retoryczne i wojskowe talenta. Zwycięstwo to nad indywidualnością otrzymane — do którego także Waszej Ks. Mości nędza i smutek wygnańców wiele pomogły — zapisane będzie w *księgach brązowych czasu* nie pod rubryką jednak zwycięstw ostatecznych. Czynność ta wszelako Księcia — jako względne do czasu dobro — powali się przed polską ideą...; a usiłowania Księcia na wspak duchowi narodowemu idące — choćby posągiem brązowym gdzieś na placu Warszawy uwieńczone — (nie śmiem wymówić słowa prawdy) będą przez naród (choćbyś go W. Ks. Mość na czas zgalwanizował) zrzucone, jako szaty krojem i lekkością ciału i klimatowi polskiemu nieprzyzwoite. Książe bowiem cofasz Polskę! A żaden naród jeszcze... od stworzenia świata... nie był wdzięczny za wsteczną impulsją; ale owszem zacierał wszelkie ślady podwójnie wybitych kroków swoich i wstydził się, jeżeli przeszłość swoją znów przed sobą w przyszłości zobaczył! — N a r o d y bowiem — podług słów Pawła S.— mają ducha... o n e więc, jako ciała, nie wiedząc czego pragną... poruczają żądanie swoje ducha-modlitwom; pozbawione więc nawet myśli i woli, chcą jednak zawsze *cel własny i myśl własną* modlitwą niby wzdychającego ducha *wyrwać niebiosom*. Kto przeto na powierzchowną bezmyślność i bezwolę czyli niewolę narodu rachuje... sądząc, iż nowa myśl i nowe pożądanie w sercu narodu obudzi, spotka się ze snem... z mimowolną a serdeczną narodu żądzą — i tak, jak Wasza Ks. Mość, dziwić się będzie, że ani snu rozproszyć, ani niewyrażonej w słowach żądzy pokonać i zniszczyć nie był w stanie.

Tu zapewne W. Ks. Mość zechcesz spojrzeć w oczy listu tego pisarzowi; a mając go przed oczyma, zapytać zarazem: j a k a j e s t i d e a P o l s k i? Pisarz zaś zapytaniem takiem zmięszany... do muru niby przyparty... pomyśli, że się w wieku Sasa odrodził, w którym zwykle się działo, że — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek, który o wyższem pojęciu ducha narodowego przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszej sejmowej ławki wydobywał się głos wołający: „jeżeli co masz, to w trzech słowach jasno nam wytłomacz, a nie czmuć oczu". — Raz drugi i trzeci przed takim matematykiem — Euklidesem politycznym — usiadłem był ze spuszczonemi oczyma; a obejrzawszy się na trudność syntetyczną idei... rzeczy się samej wyrzekłem. — Teraz jednak — i c z a s mając po temu i z a p y t a n i e od większej — niż moja jest — mocy i szerszej oględności z a d a n e, a głęboką dobrocią p o p a r t e — odważę się bronić przed W. Ks. Mością *ducha* ojczyzny mojej.

Sławianie są czynnikami wolności duchowej. Oddawna już systemat W. Kniaziów moskiewskich zaczął tę wolność charakterową Sławian spędzać z ziemi oblicza. W pierwszych więc czasach słowianizmu Polska pokazuje się, jako wielkie słoneczne

wolności morze; a dwie *odeń* gwiazdy (niby tego samego koloru, a piękniejszej może jasności... bo ku ciemnym stronom idące) Nowogród i Psków świecą na Północy. — Jako zaś w świecie materjalnym nic nie ginie... ale wszystko przemienia się, tak też podobnie i w świecie ducha. Nowogrodzkie przeto i pskowskie pierwiastki jeszcze aż dotąd są w Słowianizmie do odkrycia, jeszcze gdzieś pod grobami i popiołem palą się niezgaszone. Dziś przeto jeszcze są duchy, z których Książe wyciągnąłbyś łzy rzęsiste wspomnieniem dnia tego, w którym dzwon wielki sejmowy w Pskowie zdejmowano. A ktoby usty ludzkiemi ostatni jęk tego dzwonu naśladować potrafił, usłyszałby echo płaczu z różnych kątów Rosji przylatujące. Dziś jeszcze — pewien jestem — że człowiek gdzieś nad Wołgą ziemię orzący... pług zatrzymawszy... zapłakałby i spojrzał w dzwoniące skowronkami niebiosa, gdyby mu kto powiedział owe słowa kronikarza po zgubionej wolności stan duszy jego malujące: *Patrzaliśmy na ziemię — ona się nie rozstąpiła. Patrzaliśmy na niebiosa — nie można było ulecić bez skrzydeł.*

Mości Książę, jest to krzyk polski, bo Nowogrodzianie i Pskowianie to potem wykradli się z ciał niewolniczych i Polakami zostali. A tam w puste kościoły weszły duchy czengiskańskiej urody... sprzeciwiając się prawu wielkiemu *migracji duchów,* która jest z Południa ku Północy. Cząstki więc te wolności duchowej zebrały się siłą niby wzajemnej atrakcji ściągnięte w jedno — w jeden naród polski — i zbite mocą zejścia wybuchnęły prawdziwie szaloną siłą *złotej wolności.*

Wolność ta wszakże była duchową w pierwotnem pojęciu, a stąd pozbawiona tej obrzydliwości, która na dzisiejsze *cielesne komunizmy i purpurowe demokracje* upada. Szło tam o *rząd,* w którymby duch wyższy nie służył niższemu... nie zaś o *postawienie cielesne* wszystkich *pod jedną miarą* podług średniej ludzkiej urody zrobioną, do której niedorosłych żadna ludzka siła nie dociągnie... a wyższych — chyba ucięciem głów — zrównać i przystosować potrafi. O *równości* więc *cielesnej* mowy nawet nie było. Nikt nie myślał wyciągać z za pieca pijanego chłopa i stawiać go w jednej parze z pięknym i szlachetnym rycerzem. Starano się jedynie o wolność jak największą w formach rządu... tak..., aby rosnący w piękność duch nie miał żadnej przeszkody. — Jakoż wkrótce dusze się niektóre — choć w nieurzędniczych ciałach — do swojej wielkości poczuły i z krajem się całym zrównały. Gdyby wielka miłość rządowa i rosnący duch kraju przerósł je był... i wielkością swoją — niby kopułą ogromną — przycisnął, stanęłaby prawdziwa *hierarchja* na świecie *podług zasługi i mocy duchowej* zbudowana... w kryształ ścięta... porządkiem prawdziwym cielesnym objawiająca się, gdzie wszelka rewolucja ze zwierzęcych samolubnych pasyj musiałaby pochodzić... a wszelki rząd z miłośnego ducha i z porządku wypływać.

Taki był *ideał duchowy* republiki, do którego Polska — pobrawszy wszystkie Słowianizmu wolnego cząstki — dążyła.

Na taką to przyszłego rzeczy porządku rodzicę szedł ze Wschodu Mongolizm... a z Zachodu straszniejsza odeń *forma* przez Rzym dawny pogański na Chrystjanizm włożona, *forma nie podbicia ale oporu.* Straszniejsza więc od mongolskiej... bo pozbawiona ruchu... mająca za hasło — *stój!*... za naukę — *nie buduj ale poprawiaj.* Gdzie ona weszła, tam wszystko stare przyjęto: Kodeks Justyniana — filozofję Arystotelesa — panowania spadkiem krwi idące — niewolę ludu. — I ewangelja(która jest całą nauką ducha), tak różna od mitologji (która jest pojęć o świecie fizycznym i duchowym krystalizacją), pogodziły się z sobą w cywilnym rzeczy porządku. Ewangelja nawet zgodziła się, jako służebnica Ruth, indywidua zbawiać i kłosów samotnych na polu narodów wyszukiwać; gdy tymczasem *ogółem ruchu* zajął się Jowisz z całą olimpijską gromadą. Ten to straszny mocarz (przywoławszy sobie raz na pomoc dawne rzymskie duchy) Syllę ubrał w Marata kaftan i czerwoną kamizelkę... nawet chorobą podobną do syllańskiej zaraził; Marjuszowi pozwolił wdziać jedwabne pończochy i pokazać się ze srebrnemi klamrami na trzewikach; mnóstwo retorów wsadził w ptasie ciała francuskie; z mownic porobił dziwne gestów telegrafy, republikanizm cały rzymski na mownicy objawił, potem przyzwał Cezara w grzybkowym kapeluszu i kazał mu to wszystko wymieść *z widzialności pałacu;* albowiem Jowiszowi myśl o świecie była już dopełnioną ogłoszeniem *des droits de l'homme*... to jest praw cielesnych... które ma wszelki człowiek do pokarmu, do wody i do lasu.

Teraz... Mości Książe... racz porównać dzieło Jowisza ostateczne z początkiem sprawy ducha Chrystusowego w Polsce... i wyznaj, czyli nas pod obcego narodu formy poddawać się godzi?

A list ten odczytawszy z uśmiechem... pozwól, że Ci pisarz rozjaśni którą z godzin wygnania... o *wolności duchowej* mówiąc jako rewolucjonista, a szanując ducha W. Ks. Mości, który jest jeden z wolnych i szlachetnych...

Republikanin z ducha.

LIST DO KS. ADAMA CZARTORYSKIEGO.

(NIEDOKOŃCZONY).

Gdyby Homer i Hezjod byli ludźmi pospolitego genjuszu, o krok jeden tylko, o wiek albo dwa, myśl narodu całego wyprzedzającemi — obaczyliby zapewne w ideale republikę jakąś ateńską lub spartańską — nie pszczelny już ul świata — ale mrownik narodów; i opisaniem onych rządów byliby znudzili swoich słuchaczy, podobni dzisiejszym filozofom, którzy rząd konstytucyjny za ostateczną formę uważają — a nie przewidując, iż być może forma jakaś nowa, Boska, zupełnie od form znajomych różna, przez samego nam Boga ukazana. Lecz Homer i Hezjod... bogami nie będąc... w natchnieniu jednakże Boskim wyosobieni — ujrzeli — przez mgłę — dwudziestu wieków — króla Ludwika Filipa — który pod księgą twardą losu siedzi, przełamać jej nie może, a jednakże wolą swoją piorunuje Tangier... Izbę ma krzykliwą bogów w swoim prawie Olimpijskim pałacu, bogom onym radzić i bić się pozwala, a wszakże gdy gniewny jest, Thiersem jak wulkanem rzuca z tulieryjskiej góry (dotąd huk) — albo wszystkim bogom izb obu każe uczepić się złotego łańcucha — i prawą ręką podnosi to brzemię — niby łańcuch zegarkowy różnemi dywizkami obwieszony i brzęczący... Ujrzał Homer i półbogi, to jest obierane i obieralne obywatele, którzy razem i do śmiertelnych i do nieśmiertelnych należą — całą machinę tę dziś Waszej Książęcej Mości znajomą, a wtenczas ciekawą wielce i prawie cudowne oblicze mającą dla ludzi — Homer zobaczył... a nie wiedząc, w jakiej się to widzenie odbywa krainie, wszystko to umieścił na niebiosach. — Tak, rzekł, tylko się bogi rządzą na niebie.

Jeżeliś Książe kiedykolwiek pogardził snami którego z dzisiejszych natchnionych przez Boga poetów — pomyśl, ileby to owym wiekom Peryklesowym, które z taką trudnością republiki na krwawych, cielesnych prawach Likurga i Solona budowali, pomogło — gdyby który z możnych i z szanownych w Grecji ludzi — przeczytawszy księgi Homera, ujrzał był w sobie formę konstytucyjnego królestwa. Oto wnet który Alcybiades, przypuszczam, Grecję całą jednoczy — siły jej rozpierzchłe wprzęga

niby do jednej rządowej machiny — wymowę już nie buntowniczką, ale sługą czyni porządku.

Więcej powiem, po upadku już Grecji, gdy pod niewolą rzymską jęczała — jeszcze człowiek jaki wielki, głęboko się duchem ojczyzny przejąwszy — a w Homerze widząc źródło wiedzy greckiej i przewodnika — byłby odkrył głęboką Olimpu tajemnicę — a stanąwszy na zbutwiałym już Partenonie, pomógłby sobie i duchami zamkniętemi w posągach — a przywiódłszy do realności dzisiejszej myśl swoją, byłby ją sam w sobie zrealizował i stanął nowym zupełnie w starożytności człowiekiem. — Widzę go przez mgłę wieków i słyszę: oto naprzód zaczyna mówić o duchu greckiej rasy i śmiech głośny obudza w materjalistach, którzy na te posągi jako na monumenta i objawienia patrzali. A on: Szanowni Ateńczycy! nie monumentem jest Jowisz — ale świadectwem od wieków wkamienionego natchnienia, które przeczuwało, iż królowi Aten Jowiszem zostać potrzeba. — Oto z niebios odebrałem natchnienie, iż takiemu Jowiszowi, który zechce rządzić ludami, a pod księgi twarde praw pisanych się podda — ziemia ulegnie — ogień i woda będą mu zarówno służyły, piorun nawet ujarzmiony ulegnie. — Sprobujcie, choćby na jakiej wyspie dalekiej od Rzymu, zacząć podobne niebiosa. — Lecz wprzódy stwórzcie się sami modlitwą we wnętrzu ducha waszego onym bogom podobni. — Ty, Demostenesie, przestań zwyczajną formą ubiegać się o palmę wymowy, albowiem czuję, iż cię Rzym i w formie i w ogniu przewyższy — ale natchnij się duchem dawnego Greczyna, który boskiemi tajemnicami wojował. — Ty, Agisie, nie myśl, iż republika zależy na publicznych garnkuchniach, a człowiek ma być jeno niemocą ubóstwa do cnoty przywiedzion, a na sile ciała ma gruntować potęgę narodu, ale zrozum, iż te siły ulegać mają piorunowemu Jowiszowi, który sam nie nadużyje, bo księdze losów i bogów ulega . . .

I zapaliwszy się rzekł: stwórzmy taką ojczyznę — a wprzód uczujmy się wszyscy nieśmertelnemi jako bogi — a Rzymowi powiedzmy, iż tej nieśmiertelności w ciałach naszych objawionej żaden Jowisz widzialny prawem proskrypcji niszczyć nie może. — Niech miecz Sylli i Marjusza zatrzyma się przed każdym obywatelem, uczuwszy w nim nieśmiertelność, jedynie księdze losów i sejmowi bogów poddaną. — Pokonajmy Rzymian, którzy myślą o podbiciu świata, tą ideą naszą grecką, która pracuje, aby niebiosa na ziemię sprowadziła. — Termopile — Platea są to stopnie do niebios — dziś dopiero zaczyna się prawdziwa walka o Grecję — bo dziś dopiero myśl grecka prawdziwa, w łonach przedwiekowych poczęta, zrozumianą jest przez naród — a Olimp przez ojce nasze wymalowany staje się nam świętym testamentem.

I jeszcze dodał: na długą pracę wzywam was prawdziwi Greków synowie, bo czujecie sami, iż rząd taki niebieski ani dziś, ani jutro zrealizowany być nie może. Zacznijmy od wynieśmiertelnienia duszy naszych — a człowiek, który się już dzisaj

do podobieństwa z olimpijskim obywatelem przybliży — i w czynie to okaże, będzie prawdziwym patrjotą, stokroć lepszym od tego Greka, który retorycznie dowodzi, lub pisze, iż naprzód Rzym podbić, a potem o formie rządu myśleć należy. — Idea nasza, ciągle ku bogom nas podnosząc, uczyni to, iż z nas łańcuchy rzymskie same opadną. — Marjusze przelękną się brwi zmarszczonych Jowisza, ujrzawszy je nad żywemi oczyma człowieka... którykolwiek z nas do Apollina, podobny duchem się Pitagorasa wspomoże i słońce złote zatrzyma. A choćbyśmy i sił bożych nie mieli, to sama forma rządu od bogów przyjęta, wyniesie nas nad wszystkie narody.

Na tym skończę, Mości Książe, długą perorę niezjawionego Greczyna. — Ileżby to rewolucji i prac oszczędził ten człowiek narodom, gdyby umiał był uczuciowe widzenie Homera rozjaśnić... i przed myślą ludzką postawić już jako rozumowy wynalazek... Gdyby był wiarę narodową ideą jego polityczną zamieniał. Tak się nie stało, Mości Książe — a Grecja nieumiejąca skry wskrzesitelnej we własnym duchu rozdmuchać — nie podniosła się duchem do żywota — a naśladowanie form rzymskich nie pomogło...

Lękam się teraz wyraźnie powiedzieć Waszej Książęcej Mości snu — czyli czucia, który mi się przed oczy przedstawia: Oto sądzę, iż od pracy niespełnionej nigdy nie są uwolnione duchy narodów — tę jednakże karę ponoszą — że w cudzym domu — już nie jako panowie — ale niewolnikom poddani — dokonywają prac rozpoczętych...

Po tylu wiekach — był oto naród, dżdżysty jako piekło Homera — brzęczący szychem jak szatry cygańskie — przez nos gadał — a na mownicy stojąc, nie mógł całym głosem duszy w najdalsze ściany uderzyć, bo pół słowa, a czasem dwie onego połowy, przez nos wyrzucił musiał — a organ ów do wydawania głosu nie stworzony brzęczał smętnie i głosowi stawał oporem, nie tylko zająkliwy, ile ducha ludzkiego każda niemożność wyjawienia się, chociażby słabą była, udręcza. Nic by tu już nie pomogło Demostenesowi kamyczków małych do ust wkładanie — musiał by chyba sobie dzwonek do nosa przyczepić, gdyby się chciał do wielkiej a głośnej i otwartej wymowy gotować... Dlatego to, Mości Książe, ów Mirabeau tak wcześnie porzucił niegodny duszy głośnej instrument — dlatego już, jak w pierwszym liście Waszej Książęcej Mości wspomniałem, takiemi sobie telegraficznemi rąk i ciała gestami duchy owe południowe — na mownicy dopomagały — biedna garstka opóźnionych — a dawnych opóźnicieli sprawy świata na ziemi — w cudzym domu — ciągle do dziś dnia łamiąca się z nabożnością sentymentalna kobiety, którą jezuita podpala — i na męża pogańska nature obraca — ciągle udręczona suchością jakąś dawnej stoickiej natury — męczenniczka prawdziwa dotychczas... lekka roztargnień szukająca... zawsze jednak (świadectwem jest teatr) najmocniej dotknięta Rzymu i Aten wspomnieniem.

Nie wiem, czy Wasza Książęca Mość męczarnie te greckich duchów, którzy sami z siebie szydzić muszą — a lekkością bronić się wielkim zapałem są przymuszeni, jako hypotesis przez autora skomponowaną przyjąć zechcesz, czyli też ją za niegodną wysokiej politycznej myśli będziesz uważał. — Ja sądzę wszakże, iż zasadą wszelkiej polityki, jest nieznana dziś nikomu nauka poznawania duchów — o której święty Paweł wspomina, policzając ją do jednej z wiedz, którą przez dar Ducha Świętego otrzymujemy...

Wyznam i to Waszej Książęcej Mości, gdybym był poznał przed piętnastą laty duchową naturę Francuzów — spodziewałbym się był po nich wielkiego interesów industrjalnych zamiłowania, widząc w nich koniecznie owe dawne Wenecjany i Genueńczyki, które ruchu dawnego nauczone, koniecznie z sennych Włoch uchodzić musiały — a kraj najbliższy sobie ducha naturą obierać za teatr nowej pracy i wynalazków... A tak sądząc — sądzę, iż religijniejszy jestem, niż dzisiejsi poganie Chrystjanizmu, którzy wszelkie podobieństwo charakterowe w narodach mięszaniu się krwi przypisują — a w sądach moich mniej omylny, niż polityk, który zdarzenia i wypadki narodowe na karb konieczności, albo hazardu zalicza.

Na tem skończę, a nie poważę się przed wysoką myślą Waszej Książęcej Mości podnosić wyżej cielesnej zasłony, która dziś złotą olimpijską chmurą Bogów pogańskich przykrywa — trąciłbym albowiem o strunę już proroczą... a ta, choćby z matematyczną pewnością dzwoniąca, zawsze wszakże obrazi — spokojną, a rozumową Waszej Książęcej Mości rozwagę...

Przyjdę więc do konkluzji, iż jako duch chrześcijański — jeden z umęczonego narodu — nie chciałbym wcale nowych Olimpów na ziemi budować, a zrealizowaną już ideę uważam za umarłą... Za najwyższą karę Bożą uważałbym, gdyby mi dziś moją Chrystusową — a duchem świętym ciągle budzoną czynność, kazano postawić pod żelaznym pręgierzem księgi fatalnej... Gdyby nademną — to sklepienie miedziane losu dotąd jak nad ślepym Edypem wisiało — za najwyższą mękę uważałbym kraj, gdziebym ja sam, choćby chłopkiem będący — lecz czujący w sobie stojącego Chrystusa — do obioru panującego ducha — nie dodał mego za nim westchnienia, a grzechowi politycznemu nie mógł z ducha zaprzeczyć. Wiedz naprzód, Mości Książe, w duchu ojców naszych, bo wiedz, iż innych ukochać serdecznie nie możemy — przysłowie to dawne polskie — cierpieliśmy długo, pocierpmyż jeszcze... a miejmy co się nam należy, z prawa naszego nic nie upuszczając.

Przekonany jestem, iż rozbudzony duch polski te same ze mną słowa powtórzy. — Skoro obaczy, do jakich świętych celów szli Polacy przez te dwie formy zgody i zaprzeczenia — nie spuści lud polski z dawnej, a otrzymanej przez ojce puścizny. — Duchową jest nie ziemską i dlatego jest drogą duchom. — Nad temi dwoma formami błyszczy w słońcu idei — ostateczna forma

rządu, jeszcze nawet przez umysły ludzkie nie przeczuwana, a już przez natchnienie w ewangelicznych księgach odkryta. — Jako w Homerze była Francja dzisiejsza ubóstwiana — podobnie ta forma form... przez lat dwa tysiące w najwyższej tajemnicy chrześcijańskiej znajdowała swoją uchronę przed świętokradzką bronią rozumów — walczyli już o nią ludzie jako o dogmat... Dwa kościoły rozróżniły się o słowo jedne, które wszakże z tej tajemnicy ujęte byłoby na wieki świat pogrążyło w ciemnościach. — Filozofowie francuscy (z ducha poganie) — litowali się nad ludźmi — i o głupotę oskarżali tych, którzy krew swoją i żywoty nieśli w obronie jednej drobnostki — słowa jednego w niezrozumianej i niepotrzebnej niby tajemnicy, ale opieka Boża nad ludzkością sprawiła, że instynkt ludów mocniejszy był nad zimną rozwagę rozumu — a doniósł nam w katolickim kościele dogmat cały — przez Chrystusa zostawiony — krwią drogą tyle razy wykupiony u barbarzyńców... Dziś rozbłysnął się nareszcie i pokazał prawdę prawd — na której wszelkie prawdy mają być wybudowane na nowo. — My, Polacy, po raz drugi od Boga mamy najwyższą syntezę świata duchowego, dawno już świat fizyczny na jedności postawiwszy...

Niechże się więc Wasza Książęca Mość nie dziwi, że mały jakiś pisarz — daru Bożego strzegący, chce od francuskich form oczy Waszej Ks. Mości odwrócić — a zarazem chce w polskim jego duchu Polaka prawdziwego obudzić... i Polaków w onym to obudzonym aniele rozkochać. — Zaraz inaczej Mości Książe stanąłbyś między narodami — gdybyś prawdziwą postać polską — mocno opartą na miłości duchów polskich ukazał... Wielka moc i wielki ogień rodzi się w ruchu przez miłość prawdziwą rozbudzonym — powietrze niby jakieś pełne dla natchnienia pokarmu. — Duch Święty piorunuje ludzi przez spokojne usta takiego człowieka — wszystkie duchy jemu oddają siły swoje — i w nim pracując, radosne są, bo wiedzą, że dla ojczyzny pracują...

A Wasza Ks. Mość co?

Świadkiem jest zatamowane wolne słowo na katedrze paryskiej — iż Wasza Książęca Mość lekko traktujesz uszczerbek, który dzieje się w trudno rodzącej się polskiej idei... nie uważając na tę olimpijską stronę nowej Iljady wieków, która w tem jedynie zgrzeszyła, iż zanadto w duchowe krainy uniosła chleb, który Pan Bóg dla świata udzielił... Wszakże to pierwszy raz po tylu wiekach Sorbona — od Danta jeszcze głucha i nierodząca — pierwszy raz, mówię, twórcze teologiczne słowo usłyszała... Polak mówił... Zdaje się, że ów dawny Awarys scytyjski, od którego Pitagoras pobrał myśli najwyższe — wrócił — a odebrawszy poplamione przez ludzi swoje własne idee — rzucał je na nowo — ze świeżością kwiatów... z blaskiem słońc nowo z rąk duchowi jakiemu wylatujących. — Od rozwagi to polskiej zależało oddzielić ideał od zastosowań doczesnych — uwielbić natchnienie, nie poddawszy się z całym rozumem w niewolę

zawsze ślepemu Homerowi. Ale, Wasza Ks. Mość tyle wpływów u rządu francuskiego mający — z takiem uszanowaniem przez ministry traktowany, żeś nie obronił tego głosu, a przynajmniej nie starał się od zagłuszenia ratować... tego mi z trudnością pojąć przychodzi. — Azali znakiem dla Waszej Książęcej Mości nie była zazdrość uczonych francuskich — i dzisiejsze gazet milczenie — iż ten głos wysokością swoją tylko obrażał. — Obracam tę apostrofę do Waszej Książęcej Mości upoważniony tem, iż niedawno jeszcze sam Wasza Ks. Mość przyjmując deputację katolickiej młodzieży, przyjąłeś z otwartością szczeropolską dany Ci przez nią tytuł reprezentanta emigracji polskiej... Nie uzurpowałeś go Książe... i właśnie dlatego boli mię — że Wasza Ks. Mość nie uczynił aktu jakiego — któryby w oczach narodu dowiódł — że nietylko liczbowa siła emigracyjna, ale i twórcza jej idealna potęga znajduje w W. Książęcej Mości uznanie chociaż rozsadzające i opiekę. — Niechby przynajmniej za wdaniem się W. Ks. Mości została pustą i kirem okrytą ta katedra, na której w meteorycznym niby blasku natchnienia pojawił się i zniknął jeden z najdzielniejszych genjuszów polskich. — Niechbyśmy nie byli skazani dziś słuchać głosu jednego z rzemieślników francuskiej literatury i kursu jego, który, zda się, jest fakturą księgarza spisaną i ocenioną przez francuskiego komisjonera.

Nie — niepodobna jest, abyś K. Ks. Mość nie widział tego, iż Bóg nas tak długo bezczynnemi utrzymując na wygnaniu nie przez okrucieństwo to czyni, ale dlatego tylko, abyśmy ideę polską prawdziwą z siebie wydobyli i z pewnością zakładali przyszłe królestwo polskie, a nauki naszej leczenia ran narodowych ze szkodą zdrowia i szczęścia braci naszych probując — narodowi całemu nie obmierzli...

Ujęcie się moje za tym zduszonym objawem wolnej siły twórczej ducha narodowego ze sprawiedliwości jest raczej, niż z serca — jako człowiek więcej niż jako Polak za tą świetną katedrą umilkniona czuję tęsknoty — bo zaprawdę ani zastraszenia Europy caryzmem — ani przemiany w pogaństwie francuskiem autokratyzmem Napoleona sprawionej — nie uważałbym za krok do sprawy Bożej, która owszem jest wyzwoleniem świętości człowieka z pod ucisków form wszelkich ostrością miecza skrzesanych... Lecz właśnie dlatego — iż polityka tej katedry błędną była — a jednak miłość ojczyzny i tchnienie Boże wielkie i nieskłamane... rokowałem sobie, że straszny wiatr rewolucyjny i święty po tym to schmurzeniu się brwi Jowiszowych pozostanie... Rodzenia się różnych duchowych prawd, które na tej katedrze odbywało się z matczyną boleścią — żal mi...

Teraz mi niezdolnemu pisać wypadło — a milczałbym szczęśliwy — gdyby więksi gadali... Teraz mi od konstytucyjnych form Polskę odstręczać wypadło — a nie czyniłbym tego, gdyby tak wysoko, jak W. Ks. Mość stojące osoby — więcej, niż samo nazwisko Polski na szalę ludów w polityce rzucały... Ducha jej,

Mości Książe, bez którego, nawet po wskrzeszeniu cielesnem Polski, Polski by prawdziwej na świecie nie było...

I powtarzam się jeszcze, powtarzając to com rzekł na początku... a co było listu mego założeniem... że jako Grecy przez Rzym podbici... szukali napróżno obudzić ducha narodowego — i wolności przez oręż i przez polityczne wybiegi — choć uczeńsi od Rzymian, a fizycznie jako potomki maratońskich rycerzy równi Rzymianom w odwadze... a tego nie widzieli — że idea przyszłości... i forma duchowi greckiemu na przyszłość przygotowana — w księgach Homera, codziennie odczytywanych, na dnie leżała, podobnie my, nie zastanawiając się nad duchem narodu naszego, a na francuski raj konstytucyjny zapatrzeni... spływamy pokoleniami... z rzeką czasu... w otchłanie niepamięci — bezczynni — uciemiężeni — i ludom bolesnym żadną nie będąc pomocą... Zamiast oporem być prawdziwym Petersburgowi — jesteśmy mu tylko zawadą — i francuskim jakimś dyssonansem, który on muzyką miljona dział — i krzykiem miljona różnorodnych plemion ciągle zagłusza...

On owszem szczęśliwy, że mu się w garnku wszystko pieni — wre i gotuje. On temi płomieniami swoją machinę parową na Konstantynopol idącą, karmi i podżega... Zadrżał on raz wprawdzie, gdy mu doniesiono, że Warszawa powstała — że brat jego ucieka — że zorze borealne przyszły i na wieżach miasta usiadłszy na uciekające Moskale patrzały — bo go wtenczas Izraelowy prawie strach — od powstania narodowego i od zjawisk niebieskich uderzył... a Trójcę mu jedną Bożą, w trójcach konfederackich powtórzoną... i na wszystkich wieżach kraju siedzącą pokazał... Takiego strachu już nie będzie, choćby mu doniesiono, że regiment ułanów na polach Maciejowickich zmartwychwstał — ani, że ręka jakaś — pokazała się z polskiej mogiły i konstytucyjną mu książką pogroziła. — Przygotować nam potrzeba w cichości ducha naszego — rewolucją prawdziwą, świętą i polską, a sprawić, aby z całym majestatem Bożym i ogniami niebieskiemi opłomieniona — wybuchnęła — aby zmazawszy raz na zawsze to hasło ohydne b y ć a l b o n i e b y ć przez republikany nasze niemieckie przyjęte, w którym już jak w ziarnie rozpacz i zwiątpienie na dnie siedziały — rzekł to drugie, Bogu samemu i duchowi zeń idącemu służące: J e s t e m b o j e s t e m... hasło, które nas M. Ks. przez sto lat od samobójstwa i zabójstwa obroniło, a wkrótce znowu straszliwych, pewnych wycięstwa w oczach Europy postawi...

Jestem i jesteśmy już... bo zaprawdę w tonie listu tego czujesz zapewne W. Ks. Mość... że już jest Polska... Duch Polaka zdolny się odróżnić nie ubiorem, nie językiem, ale we wnętrznościach swoich wołającą polską naturą... Duch w entuzjazmie zdolny wyrzeczenia się zgody dla... zgody — a w zaprzeczeniu najtwardszy wtedy, gdy w sobie przeczącego Chrystusa usłyszy. — Ten duch wywołany już Mości Książe — ten duch wstał. — Emigracja się cała podniosła. — Republikanie je-

steśmy polscy, krzyczą, ze snu smętnego zbudzeni przez Boga... Bóg nas chce... abyśmy wstali i nietylko za siebie, ale za narody w cielesnych pracach zgnuśniałe ofiarowali nasze żywoty...

Język ten nawet, który był skołowaciał naśladując bryłom i żołdactwu szeregowemu podobne rosyjskiego języka formy — wylatuje wolny i żywy — ustom polskim z mownicy do ludu mówiącym służyć gotowy.

Podnoś więc W. Ks. Mość powagę swoją twórcom przyszłość, a nie uniżaj chorągwi naszej przed żadną myślą polityczną gabinetów — bo zaprawdę o teraźniejszych politykach duch już mówi to, co Chrystus Pan wyrzekł o jerozolimskim kościele — we trzy dni zniszczę to budowanie, a nowy kościół wystawię...

Jaki smutek musi być w sercu W. Ks. Mości, gdy otoś spostrzegł, że ta Francja... ołowianą czapką konstytucyjnej formy, ogień święty instynktowy Francuzów dla rewolucyjnej Polski dotąd palący się zagasiwszy...

W poprzedzającym liście odważyłem się — przedstawić W. Ks. Mości ideę francuską... w sporze i w opozycji niby... ze świętą, dawną republikańską, ducha polskiego ideą... W tej chwili, gdy ta konstytucyjna poganka — narodów zgłodniałych bogini — wyraźniej jeszcze ułomność ciała swego w nachyleniu się ku Rosji pokazuje — za konieczną uznałem potrzebę — odezwać się jeszcze raz do W. Ks. Mości, prosząc, abyś ducha narodowego złotej wolności polskiej ratował... Aby ta pochodnia ludom uciemiężonym dotąd we Francji świecąca, nie dostała się w ręce Anglików i nie została przez nich zwekslowaną... Bo zaprawdę, że więcej już, niż o samą ziemię nam chodzi... Święte nasze duchowe pierwszeństwo w oczach Boga stracić możemy... Promień ducha, który tak cudownie, przewodnicząc ludom, narody oświeca... gotów zejść z czoła Polaków... Bóg ostrzega... Bóg, który w chwili jednej może w sercach miłość ojczyzny przytłumić — wieńce nad genjuszami świecące pozagaszać — wyprzeć się narodu... który mu służyć nie chce i nie umie — a nas, jak ostatnie duchowe męty, ścigałaby wieczna boleść na tym ciemnym globie, na którym piędzi nawet ziemi wolnej nie byłoby... na którym duch prawdziwie polski mógłby się uczuć w braterstwie z miljonami duchów świętych... w zgodzie i w miłosnej harmonji... sprawę Bożą czyniący...

Chciej wierzyć W. Ks. Mość, że pierwszy opór, od którego cofnięty cesarz rosyjski bladość i chłód śmiertelny w sercu uczuje, nie pójdzie ani od ręki, która z mogiły polskiej wyciągnięta — księgę mu oprawną z napisem konstytucja pokaże — ani od regimentu ułanów, który gdzie w mundurach tajemnie uszytych z pod ziemi wyskoczy...

Uśmiechniesz się W. Ks. Mość z utysku mego — nie wierząc zapewne, aby tak wielka moc w gadanej gdziekolwiek, ani głoszonej idei być mogła... przyszłość jednak pokaże, że jeżeli

car zadrży, to nie wtenczas, gdy mu doniosą, że regiment jakiś upiorny polskich hułanów z pod ziemi polskiej wytrysnął... Bo przeciwko wojskom ma wojska i czas... i skarby... Ani też spodziewaj się Wasza Ks. Mość, widzieć go bladym, jak Baltazara, w sali tronowej... gdy usłyszy, że ręka jakaś pokazała się z polskiej mogiły... w konstytucyjną księgę uzbrojona... bo powie, jak Omar, że świat wyrznie, a całe go bibljoteki aleksandryjskie, gdyby zmartwychwstały, nie zastraszą... Lecz gdy potęga jego cielesna, rzymska, pierwszy raz o rewolucyjną świętą naturę ducha polskiego uderzy... a trójcę konfederacką siedzącą na wszystkich wieżach w duchu zobaczy — cofnie się... jak się cofał brat jego — gdy pamiętasz Wasza Ks. Mość — ta zorza borealna w powstaniu naszym, widziadło, przyszła i ognistą twarzą na uciekające Moskale patrzała... Wolno mi wierzyć, iż ten ogień, były to duchy polskie, które na pomoc duchowi polskiemu przybiegły, a zbladły, gdy to ohydne hasło być albo nie być, to niemieckie hasło zwątpienia, w którym już rozpacz i sceptycyzm polityczny siedziały — stało się najwyższym wyrazem wiary narodowej w możność zwycięstwa teraz i zawsze. Bo hasło ojczyzny naszej te same jest zawsze co Boga... jestem bo jestem. Hasło, które nas przez sto lat od samobójstwa i od zabójstwa broniło.

Dziś więcej niż to, bo z widzącą wiarą — z matematyczną i chłodną pewnością, jak duchowie przyszłej sprawy Bożej, powstajemy przeciwko wszelkim cielesnym potęgom i formom.

Jeszcze więc raz zaklinam W. Ks. Mość, abyś uszanowanie i pewną ojcowską względność ukazawszy Francji, osobą swoją nie przydawał uroku tej chorągwi, która niebieskim pasem jak niebo zaczęta... a przez pas niewinności bezmyślnej przechodząc, koniec swój we krwi niby na ziemi umoczyła — i tą krwią zawsze ku ziemi opada... U nas w dole niewinność... a krew podniesiona w obłoki do niebios wchodzi. — Różni my jesteśmy — do entuzjazmu zdolni raz jeden — w szopie pod Wolą — lecz do ciągłych sejmowych gadań, których rząd konstytucyjny wymaga, niesposobni... Owoce entuzjazmu zjedlibyśmy w półsennej i nudnej gawędzie — budżet by nas zabił do reszty — a kredyt, na którym inne państwa stoją, nam, w chwili entuzjazmu wszystko poświęcić gotowym, byłby najokropniejszej zguby narzędziem — bo w pierwszej potrzebie nietylko na kraj, ale na księżyc zaciągnęlibyśmy pożyczkę... Inne więc, jak widzisz W. Ks. Mość, formy rządu z natury ducha naszego wynikają... inna chwała republikańskie duchy nasze w Europie uwieńczy. — Polak przeznaczony, aby w naturze ducha... Trójcę Świętą pomieścił — i sobą się w rządzie wyobraził — nie powinien w konstytucyjnych zegarach — wzrostu sobie umniejszać — a podobieństwo swoje z Chrystusem zacierać...

Oto jest utysk mój — i wypowiedzenie żalu mojego. — Wolno jest Waszej Książęcej Mości lekko traktować umysłową potęgę — a czujnym być tylko na gabinetowe europejskie gma-

twaniny — ale nam tych nadziei z Waszą Ks. Mością ani wiary w hazardową przyszłość podzielać nie wolno... Oto już szesnastoletnie, a, bez żadnej idei prowadzone prace emigracyjne powstaniem krakowskim zjawione wyszły na korzyść carowi... pracą naszą posłużył się — a obalił Austrją i w kielichy wiwatów niektórych (a niewiedzą tylko grzeszących obywateli) krwi polskiej ponalewał... A ludzie, którzy już ojczyznę polską w duchu swoim zobaczyli...

DO EMIGRACJI O POTRZEBIE IDEI.

Dwa są dzisiaj narody, które stoją nie pod człowiekiem, ale pod ideą narodową nad każdym człowiekiem, choćby najwyżej stojącym, ulatującą. Idee obu tych narodów są materjalne i grube wszakże silne są, bo niby chęć jednę i żądanie całego narodu wyobrażają.

Anglja wyraża się trzema słowy: chcę panować na morzu.

Rosja zaś temi trzema: chcę panować na ziemi.

W tych narodach każdy człowiek nie wychodząc z szranków, które mu natura jego ducha zakreśliła, może być patrjotą.

Anglik, dobry zegarmistrz, czuje, iż... zegarmistrzem będąc lepszym nad innych... dopomaga krajowi swemu w celach jego ostatecznych. — Majtek, lepiej nad inne wiosłem robiący (choćby w obcym się znajdował porcie samotny), wie dobrze, że jego sztuka i sprawność we władaniu łodzią, wyobrażenie rodząc wysokie o marynarce angielskiej, świadczą o jej wyższości, a stąd wojnę może od ojczyzny jego oddalają. — Podobnie kobieta patrjotką być może, gdy wyroby angielskie w używanie wprowadza; pisarz gdy gust do literatury rozszerza, a tem samem język czyni powszechnym i morza nim obejmuje.

Podobnież w Rosji, każdy Rosjanin, czy to w kraju czy za granicą będący, choćby najpłochszy, w osobie swojej świadectwo dać może o sile podbijającej moskiewskiej... a to nie tylko w ważnych pracach, ale nawet w śmiałem rzuceniu pieniędzy na kartę, w zakupieniu miłości pierwszej najsławniejszej tancerki, pokazuje młodzik, iż na wszystkie hazardowne przedsięwzięcia niesie go ducha natura — zdaje się mówić: „oto patrzcie na mnie! ja młokos i szaleniec! ale podobni mojemu duchowi, a wyżsi ludzie... miljonami gotowi tak się rzucić, aby zajęli najwyższe stanowiska w Europie!“

To o dwóch narodach mających ideę.

Są w Europie ludy, które niższe koniecznie być muszą z postępem czasu, albowiem chęć swoją objawiają tylko w ideale; ideał zaś ten musi koniecznie uosobić się w człowieka.

Ideałem np. Francji był Napoleon.

Teraz ideału niema, nawet przeczucie o nim urodzić się nie może, a ktoby chciał francuskim być patrjotą, nie wie z pewnością, do której się partji ma rzucić. — Jeżeli pracować chce —

nie wie, którą z prac patrjotyzm mu każe przedsiębrać, czy drogi żelazne prowadzić — czy Algier kolonizować — czy cukier z buraków wyciskać — czy lnianemi fabrykami Anglję gubić. — Jeżeli poeta jest — nie wie, ku czemu lud powołać; wolność bowiem stała się synonimem konstytucyjnej formy, a forma nie wystarcza natchnąć poetę.

Kraj więc taki musi oczekiwać na ideał, to jest na człowieka, a tymczasem przez czas duchowego interregnum upada.

W niektórych narodach duchowe i fałszywe są ideały najczęściej przez poetów stworzone.

Niemieckim ideałem jest zawsze Markiz de Poza, który z najwyższym zapałem królewskich kolan dopada, prosi o wolność druku... o zaprowadzenie wieku złotego na ziemi. Studenci wszyscy ku niemu się podnoszą, rzemieślniczki nawet niemieckie przenikają się duchem jego; ale już minister stanu, co mówię, nawet hofrat i urzędnik niższy, obeznany z trudnością machiny rządu, kiwa głową z politowaniem, gdy mu ten ideał przed oczy syn-zapaleniec postawi. I ma słuszność.

Peel i Welington pod ideą panowania na morzu rosną z dniem każdym... do idei swojej modlić się mogą, myśląc o niej bezsenne noce przepędzać... a gdy to czynią, rosną, a ministrami być nie przestają.

I przeciwnie, pruski który minister za ideałem Szyllera poszedłszy, musiałby śmiać się przed zwierciadłem z egzaltowanej swojej postawy i gestów.

Hiszpanja ani idei niema, ani ideału.

Polska najnieszczęśliwsza! zapomniawszy o misji, którą dawniej na świecie pełniła, zaczęła być naśladowniczką francuskich idei.

We własnym zaś duchu twórczość swoją postawiła pod ideałem kolorowego ułana, który w obozie arystokratycznym za myślą porządku, w demokracji zaś głośno za równością cielesną obstaje.

Cóż zostaje tym, którzy na wzór takiego ideału kształcić się nie mogą? Cóż się stanie ze starcem, z kupcem, z urzędnikiem cywilnym, z gospodarzem? Żaden z nich, widzimy, w każdej chwili patrjotą być nie może.

A tak kraj dwudziestomiljonowy przez wyłączność ideału swego, pozbawił się codziennego usiłowania 19-tu... a tylko ku jednemu miljonowi popisowej młodzieży obraca swoje wejrzenie.

Gizotom, Tiersom i Lamartinom ciągle będzie wyrzucał aż do trumny, iż nie służyli w Afryce i nie dopomogli, jako podoficery, do sławy oręża francuskiego. Dla starości jedynie staremu Pilowi przebaczy, iż sam swoją ręką nie wrzucał bomb ręcznych do Pekinu.

Taka to bezwładność ogarnąć musi powoli masę narodu, która ciągle ku celom ostatecznym nie jest jako morze przez gwiazdę miesięczną podnoszona.

W imię francuskich komunizmów podniosą się ruchy wręcz zaraz przez całe drugie masy niekomunistów niszczone.

Jezuityzm swoją chorągiew podniesie!... sektarze przeciw Jezuitom powstaną!

A jednak wszyscy nie wycinać się, ale służyć wyższej idei powinni.

Dlatego to rzekłem, że nad ideałem ułana — nie zniszczywszy go wcale... owszem świętością do celów podnosząc — postawić trzeba *wyższą ideę* prawdziwą (trzecią między Anglją i Rosją) — *matkę czynów,* którąby w niebo prowadząc ku celom ostatecznym, wskrzesała pył drogi, po której stąpa — a... człowiekowi nie hołdując żadnemu... wszystkich podniesionych w kraj jeden zaprowadziła.

Idea dopiero wszystkie i rozmaite siły ruchu w narodzie rozwinie!... I nie będzie to odtąd naród, który ciągle na konia tylko wsiąść usiłuje, ale lud (jak powiedział jeden z filozofów mesjamizmu), wyższy jednym idei stopnikiem na świecie, a stąd potrzebny Bogu w spełnieniu jego woli na ziemi.

Idei każdy człowiek służyć może. A jeżeli jest jedna i najwyższa! w celu ostatecznym stworzenia całego zamknięcia — w nikim nie złamie sił, natchnień nie wystudzi, cnót nie uczyni bezużytecznemi... ale wszystko to jako w i e l k a d u c h o w a o s o b a będzie obracała w krew jedną i w siłę narodu.

Powtarzam! tak jako Anglja, która rośnie dziś każdym zegarmistrzem i każdym kredytem kupca i każdym majtkiem i każdym ministrem... a człowiekowi żadnemu nie oddaje całkowicie ducha swego, ale idei.

Wy, którzy w kontrakcie społecznym, albo w jezuityźmie, albo w konstytucyjnych machinerjach szukacie sił waszych... dlaczegóż nie pomyśleliście o wyjęciu z dusz waszych dawnej polskiej idei! która była zbudowaniem kraju *na wolności ducha ludzkiego!* z zastrzeżeniem wolności dla wszystkich świętych z ducha zaprzeczeń, a która bez zgody duchów trwać w żaden sposób nie mogła.

O świętą duchową wolność chodziło ojcom naszym, o formę rządu, która w przywidzeniu Bożem musi koniecznie nastąpić i być uczynioną przez narody.

Prawo położyli, jakoby z oczekiwaniem na przyjście Chrystusa.

Bo oto Chrystus przyszedłszy w starożytnej ojców naszych ojczyźnie, choćby się był w najniższym na ziemi obywatelu urodził, podług praw ojczyzny położyć mógł v e t o s w o j e ś w i ę t e przeciw Herodowi! królestwo nawet swoje przyszłe zapowiedzieć — a nie znalazłaby się była zaprawdę żadna karta w prawach polskich, którąby go na krzyż narodowy zaprowadziła.

Więcej powiem! Apostołowie na veto i zaprzeczeniu Chrystusa Pana oparci... podług praw naszych... wolność mieli zawiązać się w Świętą Konfederacją Kościoła, a słowem i czynem rozprzestrzeniać ideę Pańską.

A związek apostolski wywoływać mógł ducha narodu i otrzymać zgodę jednomyślną ogłaszającą panem i królem Syna Bożego.

Zbudowanie kraju takiego było wysokim celem ojców naszych.

A niedotrwanie w tym Duchu Świętym obaliło ojczyznę starożytną.

Albowiem duchy... które pojmą najwyższą myśl Bożą i podług tej myśli rozpoczną świętą postępu budowę, a dla trudności pracy od myśli Bożej odstąpią... zgruchotane są pod ruiną niedokończonej budowy.

Jestże to chwałą duchów naszych, że nie czujemy się zdolni podnieść ojców roboty i żyć tak, jak żyli nasi ojcowie?... u których jednomyślność z ducha nie była niepodobieństwem a świętość i wola jednego obywatela uszanowaną była przez wszystkich, dopóki jadło, kielich i pieniądz nie zaczęły jednomyślności i głosu ludzkiego kupować.

Karze nas Bóg! jako ludzi, którzy zaczęli a ustali... jako anioły, które widziały niebiosa a nie weszły... jako naród, który stał przewodnikiem i wzorem ludów, a zszedł na małego naśladowcę innych narodów; teraz zaś chce iść za duchem Francuzów, Niemców i Anglików! a swej przeszłości wstydzi się, jako szaleństwa i snu poczętego w pijanej młodości godzinie.

Biada wam! którzy sobie wmawiacie, że krzyżem podobni jesteście do Chrystusa... niepomni na to, że Chrystus niewinnie, owszem wolę swą zgodziwszy z wolą Ojca, na krzyżu cierpiał za narody.

Owszem podobni jesteście do sług! którzy rozkazu Bożego nie wykonali, — kościołów, w którychby świętość ducha ludzkiego mieszkać mogła... nie postawili, — pracy się wyrzekli, — oczekiwanie serc ludzkich (utęsknionych zawsze za ideałem) zawiedli, — wyższość niższym ideom przyznali i niewytrwaniem drogę postępu opóźnili... a teraz chcą już niepokalani na widownię świata powrócić.

Bo to niepolak! który sobie nie zostawi Świątyni we wnętrzu ducha własnego niezgwałconej prawem dla ducha świętych zaprzeczeń, albo też niezdolny jest Duchem Świętym zlać się w jedność organiczną. — Niepolak! kto pod martwą ołowianą kartą prawa zgodzi się być kołkiem obrotu w obrotów nieświętych machinie.

Bo nie jest ostateczną formą w myśli Bożej dla ludzkości owa niby równość przed prawem i reprezentowana przez kilkuset myśl miljonów!... gdzie już reprezentanci opozycyjni niewolnikami są, ulegając prawom, na które się nie zgodzili.

Kto dziś skupuje stronników, albo wykazaniem materjalnych korzyści chce obudzić zapał Polaków — taki popełnia grzech przeciwko Duchowi Świętemu ziemi naszej, dla którego Bóg nas oddał w niewolę.

Bóg bowiem chce Polski, *aby czyniła wysokość między wysokościami, do której dążą w ideałach inne narody.*

Niemożność zrealizowania tej idei w ciele jest; duchy albowiem wasze są wysokie i mogłyby dojść do jedności kresek przez miłość! nie przez trunek i jadło?

Veto także od anioła iść powinno, jako *veto ducha,* a gdy od ciała idzie, szatańskwem jest i ziemi ohydą.

Ażali ty emigracjo nie jesteś, jako olbrzymie veto z ducha położone i jednością ducha trzymane przeciwko wszelkim mocom widzialnym i cielesnym?

Stoisz jako wielki anioł duchowy — zaprzeczyciel!... A Bóg sam wyraźnie ci to ukazuje... że duchem czynisz sprawę polską; albowiem co chwila nogi twoje toną coraz głębiej w glinę francuskich cmentarzy, a ty z ciała prawie wyjęta... jesteś jako w pierwszy dzień żywa, a teraz już nawet twórczą być zaczynasz!

Czas jest, abyś się zlała w jednej idei ognisko... a na wsze strony rozrzuciła słów i czynów miecze! Słyszysz wszędy o ruchach budzącego się ducha! a ty we Francją wpatrzona nie rozumiesz, co znaczą różne elektryczne strumienie tam i tu potrącające masy narodów.

Nie chciwość to jadła ani złota, ani machin, rusza duchami ludzkiemi, lecz moc Ducha Świętego dawno już przez materjalistów odepchnięta niewiarą!...

Cudów pragniesz? lecz te będą w rozbudzeniu się duchów, w objawieniu się nagłem naszej wnętrznej polskiej natury, która teraz oszukaną jest i uśpioną brzękiem różnych opinji.

Wiedzy dostań! a bądź jako chłopek, który już teraz z *trzema słowy* Kopernika, o stojącem słońcu wiedzący, lepiej krążenie gwiazd niebieskich rozumie, niż najmędrszy przed Kopernikiem żyjący astronom.

Nie lękaj się! że jako dziecko w początkach będziesz szczebiotała pomiędzy ludami, nie mogąca zrazu wytłumaczyć się wyraźnie z zapałów twoich. Zapały te kraj ci jakby we śnie stworzą, a ty go ugruntujesz, skoro ci już w ręce nie myśl sama, ale kamień się formy dostanie.

Ideą podbijaj duchy narodów! aż cię ukochają dla wielkości i anielstwa celów twoich!... A wszyscy dopomogą do czynu!

Któż pomoże ludziom niepotrzebnym? którzy oświadczają wyraźnie, iż chcą dom swój na to tylko odebrać, aby w nim używali dostatku i wczasów, albo czynili rzeczy pracom innych narodów podobne.

Twarz swoją duchową wymaluj przed narodami!... a żaden lud nie zaśnie, ale westchnie, aby mu się twarz ta ciałem zjawiła.

Przytomną się uczujesz w każdej godzinie między narodami, już nie żebraczka narodów, już nie próżno płody ziemi jedząca.

Oto już opinją jest, że myśleć nie umiesz! a dobra tylko jesteś do korda!... jak gdybyś ty nie wzięła testamentu żadnego po ojcach twoich i nie wiedziała o żadnym ducha polskiego rozkazie.

Na obchodach przewodniczą ci cudzoziemcy, którzy we własnych narodach żadnej mocy nie pokazali, a ty godność twoją uniżasz przed wyznawcami cząstkowych i nieznanych opinij.

O! jakże się cieszą ci ludzie, gdy nie znalazłszy we własnym narodzie słuchaczy... w zlewku barbarzyńskiego (jak sądzą) narodu mogą przewodniczące krzesła zajmować.

Niepoczucie ducha własnego jest grzechem twoim emigracjo... grzechem!! który będzie przyszłość, ku celom Bożym idąca, sądziła!

Zakończę przypowieścią:

Pewnego dnia... gdy kry na Wiśle pękały, a mosty były zerwane... pokazało się ludowi warszawskiemu na drugiej stronie Wisły cudowne zjawienie.

Ojczyzna niby przez sto lat niewidziana, a w anioła przemieniona tęsknotą ludu, a słońcem przez Boga ukoronowana, stanęła nad wodą i wyciągnęła ku ludowi swojemu swe matczyne ramiona... prosząc, aby ją wzięli synaczkowie wierni i przenieśli przez Wisłę i postawili w stolicy ducha.

Lud więc cały z krzykiem i wrzaskiem, postrzegłszy matkę swoją na drugim brzegu stojącą zapragnął jej ogniście.

Lecz żadnego nie było, ktoby umiał pływać; mosty zaś były zerwane.

I rozpacz lud ogarnęła!

A widzenie trwało jakoby przez dziewięć godzin dnia zimowego.

Jedni rzucali się w wodę i tonęli; drudzy szli aż po szyję, a... dna nie znalazłszy już pod nogami... wracali; inni chcieli budować pontony i posłali do Francji po inżynierów; inni nareszcie zaczęli bić profesory, których obowiązkiem było uczyć w szkole sztuki pływania.

A gdy widzenie zniknęło, smutek był po umarłych i większy jeszcze żal po ojczyźnie straconej!

Wszakże znów stanęli starzy ludzie, którzy naród cieszyli nadzieją, mówiąc:

Miejcie dobrą otuchę, albowiem anioł ten niezawodnie pokaże się nam, nim pomrzemy.

A uczyni to albo zimą... gdy lód będzie na wodzie... albo latem... gdy mosty rzekę nam do przejścia łatwiejszą uczynią.

Dlaczegóżby miał znowu obierać Wielki Tydzień, a pojawiać się jakby na udręczenie nas biednych?

Wszakże widział jak oto nawet ... tonąc dla niego ... umiemy tysiącami ofiarować mu życie nasze. A pełni jesteśmy odwagi.

Ufajcie Bogu, a miejcie oczy silnie zawsze na tamten brzeg obrócone, a nawet krzyczcie głośno wszystkiemi głosy: *pokaż się!* może usłyszy!

A jeden człowiek był, który nie krzyczał, owszem naganiał owe próżne, bezsilne krzyki i wołania; a sam, co ranek rozebrawszy się do naga, biodra swoje przepasywał i rzucając się do wody, mordował się z Wisły falami.

Aż mu pierś ową pracą rozrosła się, a oddech posilniał ... tak, że nie tylko na wodzie, ale pod wodą mógł zostawać całe godziny.

A inni mówili, że szalony jest i głupiec, bo pod wodą chodzi, a żadnych ryb nie wyciąga.

Czy pereł szuka — krzyczeli — a tego nie wie, iż perły są w morzu ... a Wisła jeno muł ma na spodzie i chwasty.

Wszakże uczyli się pływać od swoich profesorów.

A do Francji posłali niektóre, aby się w sztuce inżynierskiej wyćwiczyli.

I stało się, że dnia jednego dał się słyszeć głos niby z pod ziemi wychodzący ... który wołał: „ojczyzną waszą jestem! znów przychodzę!"

A lud zbiegłszy się nad Wisłę słuchał! i głos ten niewidzialnemi usty wydany słysząc, radował się — wpadł w szaleństwo.

Lecz około jakby wieczora nie widząc nigdzie anioła ... gdy nareszcie i wołanie ono ustało ... wrócił do domu smętny mówiąc: „wiatr był i złudzenie!"

Sam jeden człowiek ów, który się był nauczył pod wodą oddychać, nie stracił nadziei, albowiem uważniej głosu słyszanego pilnując, przekonał się, iż ten jakoby od Krakowa ku Gdańskowi spodem wody wędruje.

Upatrzywszy więc czas i minutę ... gdy anioł podwodny (ciągle idący) był mu najbliższy ... rzucił się w toń, ofiarowawszy wprzód Bogu życie swoje.

I wobec tej garstki ostatniej — która jeszcze na brzegu stała smętna, zniechęcona i bez nadziei, a jeszcze trzymała w ręku mosty gotowe i odwagę miała rozpaczy — zjawił się rybak ów podwodny, lecz jakby umarły! a niesiony na rękach przez anioła jasnego — przez ojczyznę!

A ojczyzna szła do miasta niosąc ciało jego i mówiąc: „nie umarł, ale śpi, a tylko w omdlałość wpadł, gdy mię pod wodą twarz w twarz zobaczył i samotny się ujrzał, że mnie jeden wyciągnąć nie zdolny.

Oto przez wolę i miłość jednego człowieka, który się domyślił drogi, po której pójdę, wyratowaną jestem i żyć będę na wieki".

Uczcie się! iż potrzeba jest zgłębić dno globu, a obaczyć tajemnice żywoła i nauczyć ducha waszego, aby przez całe godziny mógł żyć w głębiach wiedzy Bożej jako duch widzący świat ducha.

W środku aż bowiem ziemi, może się pokaże anioł ów, ze słońcem na głowie i z miesiącem stratowanym pod nogami . . . o którym mowa jest w Jana S. widzieniach.

Republikanin z ducha.

GŁOS Z WYGNANIA DO BRACI Z KRAJU.

Z dalekiej i obcej ziemi my wygnańce śmiemy do ciebie mówić, nieszczęśliwy narodzie.

Ty Polsko, matko, nie odpychaj nas, ale wysłuchaj głosu dzieci twoich, bośmy kość z kości i krew ze krwi twojej.

Ziemio mogił i więzień, poznaj nas po pokucie i żałobie naszej.

Poznaj nas po karaniu wszechmocnego Boga, który na ciebie spuścił miecz i złość nieprzyjaciół twoich.

Oto nas Bóg oddalił od ciebie, najdroższa matko, za ciężkie grzechy nasze.

Wśród licznego narodu jesteśmy jako na puszczy, bo kamieniami i drzewami są nam ludzie, którzy twego jęku nie słyszą.

Już od smutku wyschły piersi nasze, a jako wicher upalny niszczy kłosy jęczmienne, tak nas niszczy wieść o nieszczęściach twoich.

I zginąć nie możem, ratując was, bo snać nam Ojciec niebieski jeszcze dni nasze do służby dla was zachował.

I dał nam tu na wygnaniu poznać ciężkie winy nasze, iżeśmy żyjąc w rodzinnej ziemi nie pełnili Jego przykazań.

Pragnęliśmy wolności, ale sami byliśmy niewolnikami złego.

Pragnęliśmy swobody i szczęścia, a w ucisku i nędzy zostawali nasi bracia chłopi.

Ci co jeszcze od Polski odebrali opiekę nad nimi, jako źli ojczymowie nie szanowali sierot, które im matka konając powierzyła.

O ciężka dola twoja, nieszczęśliwy rodzie szlachecki, ale i ciężki jest grzech twój.

W narodzie licznym, jako gwiazdy na niebie, tyś jaśniał jako słońce promieniami cnoty twojej.

Któż wypowie złotą wolność i moc ziemską, jaką miałeś, gdy drżeli przed tobą monarchowie świata.

Sam Bóg w sławie ojców złożył cząstkę swej wielkości, aby na wieki pozostała znamieniem Jego narodu.

Nad czystemi ich sercami królowała Najświętsza Panna, Boga Rodzica.

Ale ojczymostwem względem ludu niegodnymi się stali tej łaski.

I odwrócił Pan oblicze swoje od nieprawości naszych.

Dziedzictwo ojców od morza do morza oddał nieprzyjaciołom niezbożnym, rozproszył społem szlacheckie i chłopskie syny na nędzę tułacką.

Na dumne karki nadepnęła nikczemna noga, a płacz sierot zaległ ziemię całą.

Już lat osiemdziesiąt, jak jęczemy w niewoli, to od innych narodów, to od rozumów własnych wyglądając zbawienia.

Tylko Boga wszechmocnego nie wzywaliśmy na pomoc dla małości serc naszych.

Aż w niezbożnym zaślepieniu synowie jednej matki bratobójczemi nożami, wylali potoki krwi własnej.

Stanąłeś nad przepaścią, szlachecki rodzie, u stóp twoich śmierć i piekło, a tam w górze Bóg i Polska.

Wyrwij duszę z ziemskich kałów, czyste serce wznieś do Boga.

Módl się z wiarą, nieszczęśliwy.

Znaj w karaniu rękę Boga i chwal Ojca, że ją zsyła ku poprawie.

Mierzysz chłopa swym rozumem, a on wyższy jest nad ciebie wiarą swoją.

Jako niegdyś twoi ojcowie, on dziś pragnie zginąć za nią.

Bądź mu równym w miłości i w bojaźni Boga, byś go uszanował jako brata rodzonego.

Uszanuj grubą siermięgę, bo to strój przyszłych żołnierzy, co Polskę wywalczą.

Razem z ludem idź do kościoła, byś w pokorze i modlitwie dał mu serce swoje.

Stań się ojcem chrzestnym dziecięciu chłopskiemu, opiekunem wdowie i sierotom, i przyjacielem pocieszającym rodzinę zmarłego.

Pogardź zbytkiem, byś nie hańbił darów Boskich, ale zrób z nich sprawiedliwość rękom, które na nie pracowały.

Ty i lud wiosek twoich niechaj będą jak rodzina poświęcona prawem Boga.

I zdobędziesz serce sercem, a gdy czasy będą spełnione, chłop ci poda swoją prawicę do budowy wielkiej.

I odrodzisz się na ziemi, w bohaterów się przemienisz, wy i chłopi świat zbawicie z Bożej woli.

* * *

Wielki narodzie!

Miljonowe serca w niebo i miljonowe głosy wznieś do Boga.

Na kolana padnij przed obliczem Jego i wołaj wielkim głosem:

„O Ojcze! przestań nas już karać, a daj nam zwycięstwo".

I gdy będziesz czystym przed Bogiem, Ojciec miłosierny wysłucha rzewnego głosu dzieci swoich.

Jako wylew wiślany niszczy stuletnie dęby i skały ogromne, Tak my zniszczym nieprzyjaciół naszych.

Bo siła nasza będzie większą niż siła piorunu i struchleje przed nią wróg, gdy zechce Pan.

I zmartwychwstanie ojczyzna nasza w wiecznej sławie i szczęściu jako królestwo Boże.

GŁOS BRATA JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

DO ZGROMADZONYCH I W KLUB ZAWIĄZAĆ SIĘ CHCĄCYCH POLAKÓW, PRZEDSTAWIAJĄCY POTRZEBĘ PRZYJĘCIA NOWEJ FORMY KONFEDERACYJNEJ.

(19 marca 1848 r.)

Wezwany i z miłością tu zaproszony przez kilku braci moich, abym myśl moją w sprawie przyszłego powstania narodowego objawił, pozwolcie, że zapytam naprzód, czy już jako *klub* zebrani tu jesteście? bo w takim razie, przeciwny klubowi, zgody zaś waszej mieszać nie chcąc, żadnego nie miałbym prawa, z myślą nową, na naradę prywatną i nie przy drzwiach otwartych odbywającą się, przychodzić.

(Tu jeden z członków zebrania oświadczył, że chociaż istotnie zamiarem zebranych jest zawiązanie klubu, wszakże nie przeszkadza to proponowaniu nowych opinji, których zgromadzenie chętnie wysłucha. A wtenczas, brat nasz tak dalej mówił).

Wiadomo wam wszystkim, M. Panowie, że w formowaniu się kryształu, pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, już ten kształt i tę formę zachowuje, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości. Ani forma, ani nawet nazwisko tej formy, nie może być obojętnem. Widzieliście sami w ostatnich wypadkach Francji, jak lud w tem słowie: *republika* rozmiłowany i do najwyższego stanu egzaltacji magicznym jego dźwiękiem prowadzony, na ratuszu o republikę dopominał się. Widzieliście jak wyrobnik do zgromadzonego rządu przez bagnety przedzierał się, pierś obnażał, nóż podawał i wołał: albo mię zabij, albo mi daj republikę. Forma więc dawna, przed kilkudziesięcią laty użyta, teraz wywołana, a taki czar wywierała! Chociaż sami to wiecie, że przez cały czas trwania Restauracji i konstytucyjnego królestwa, formę tę umyślnie hańbą okryć, krwią ohydzić i z oczu usunąć, wszędzie, a nawet w edukacji publicznej, rządu staraniem było.

Tak samo działo się w Polsce przed powstaniem 1830 r. Nauczyciele, którzy młodzież wychowywali, może bezwinnie, lecz systematowi caryzmu, który na zjednoczeniu cielesnem stoi, usłu-

gując, a może też z powodu przygasłego na czas ducha polskiego, od myśli republikańskiej polskiej młodzież odstręczali, nazywając ją anarchją, jej przypisując wszystkie nieszczęścia kraju. Natomiast zaś wpajali w młodzież potrzebę zgody, przez zgodę nie rozumiejąc, tak jak być powinno, godzenia się na jedno w duchu miłości i prawdy, lecz wystawiali zgodę jako bezwarunkowe poddanie się woli jednego człowieka, niepomni na to, że ewangelja sama od takiego poddania się błyskawicami sądu ostatecznego odstrasza, że sama natura święta i wysoka ducha polskiego, nigdy na takie poddaństwo zgodzić się nie powinna. Jakoż wyegzaltowana temi naukami młodzież, zawsze nad cel ofiarami swojemi wylatująca, zaprzysięgła w duchu, że w pierwszej chwili gdy ją wskrzeszenie Polski do ofiary zawoła, myśli swoich, ani uczuć rozsądzać nie będzie, ale któremukolwiek i jakiemubądź na czoło stającemu człowiekowi bezwarunkowo się podda.

Gdy więc wybuchnęło w kraju powstanie, nietylko, że o formach polskich żadnej mowy nie było, ale nawet wydobycie tych form uważanoby wtenczas za zdradę sprawy narodu. — Próżno duch wielki Polski czuł to powstanie z całą straszną potęgą jakiejś niebieskiej i zagrobowej sprawy podnoszące się; próżno lud, przepełniony wróżbami, patrzył na te czerwone, ogniste zorza i światła, które nad Warszawę przybiegły i zdawało się, że świętego ducha ojców wywoływały. Przeciwko temu duchowi wyszedł *rozum* nie z siebie, ale ze źródeł obcych czerpany i czterma przeciwnemi sobie formami wytrysnął.

A naprzód, jak wiecie, wywlokła się z ciemności drżąca o przyszłość zgrzybiała starość i w postaci *Rady administracyjnej* pod kopułą Banku usiadła, zagładzić chcąc dzień wczorajszy, jako dzień przelotnego zapału i grzechu, który następstwami swemi, rozsądnie i dobrze myślących ludzi o jutro zatrważał.

Z drugiej strony element szkolny, jak mówiłem, do strasznych ofiar przygotowany, po formę i po nazwisko tej formy aż do szkolnych nauk, aż do Greków i Rzymian poszedłszy, postawił *dyktaturę*, gotów jej bronić z całym zapałem i pedantyzmem młodości.

Inny nareszcie duch z książek już nowych i niby głębszych czerpany, duch niemiecko-francuski, tworzyć rozpoczął *Kluby*, i na różnych pryncypjach w Europie naonczas kursujących nadzieje swoje budował. Mochnacki, wyobraziciel tej trzeciej ówczesnej potęgi, był, jak sami wiecie, niepospolitym człowiekiem, wszakże elementu mu polskiego zupełnie brakowało, a że tak jest, świadczy to ono godło sentymentalne, wzięte przezeń z wątpliwości Szekspira i na świętą Polskę gwałtem wtłoczone. Dywiza ta, przezeń przyjęta: *być albo nie być*, przeciwna jest wręcz wierze powstającego Polaka, który mu za hasło: *jestem bo jestem*, jako duch, który się czyni żywym, nieśmiertelnym i od cielesnych potęg niezależącym. Człowiek, któryby z pierwszem godłem przed wami wystąpił, otrzymałby może oklask jako młodzieniec roz-

paczny, ostatnie swoje siły na hazard stawiający, ale nie powierzylibyście takiemu sprawy narodu, anibyście się o pierś taką niespokojną, z ufnością, jako o pierś wodza, oparli.

Czwarty nareszcie element, naśladujący podówczas Francją konstytucyjną, *Sejmem,* a raczej powiem, *Izbami deputowanych,* zamek królewski napełnił. I tak, cztery duchy, w czterech sobie przeciwnych formach stanęły i zdaje się, że o upadek narodu aż do końca walczyły.

A tu, abym wam dowiódł, M. Panowie, że formy polskie nie dla słabości swojej, obcym rewolucyjnym formom miejsca ustąpiły, przypomnę ten tylko fakt, że kiedy już wszystko ginęło, gdy wojsko już z kraju wychodziło, to ks. Czartoryski, jeden z ówczesnych rządu wyobraziciel, rzucił się i krzyknął na *pospolite ruszenie.* Zaprawdę, to pospolite ruszenie — będąc w gruncie tem samem czem są dziś gwardje narodowe *stałe i zmobilizowane* dla Francji, z taką wtenczas rozpaczą na pomoc wzywane, o potędze nieśmiertelnych form, przez wolność polską wynalezionych, daje świadectwo. Są to nawet za mocne i niby heroiczne lekarstwa, które tylko sama silna polskiego ducha organizacja wytrzymać mogła.

Tak było w kraju.

Gdyśmy na emigrację przybyli, duchem francuskim już całkowicie owładnięci, zaczęliśmy tworzyć *Komisje, Komiteta i Towarzystwa.* — Formy te, krajowi zupełnie obce, żadnego już wpływu na kraj nie miały, żadnego entuzjazmu w sercach naszych wzbudzić nie mogły. — Jakoż rozpadły się przerdzawione nudą i smutkiem, tak, że następnie jedno tylko *Towarzystwo Demokratyczne,* ponieważ o wolności mówiło, stało się dla młodzieży naszej obudzającym i ponętnym żywiołem. Wszakże tęsknocie jakiejś ducha polskiego, za wielką duchową wolnością utęsknionemu, wystarczyć i odpowiedzieć nie mogło.

Teraz tworzy znów emigracja komisje, a wy, jak widzę, *Klub* zawiązać chcecie; pozwólcie więc, że o potędze działalnej, która z samej formy rodzi się, a częstokroć natury jej przekroczyć nie może, cokolwiek powiem.

Kluby — pominę to, że w kraju smutną pamiątkę zostawiły i dotąd żadnej ufności wzbudzić nie mogą — kluby, M. Panowie! w naturze to swojej mają, że z różnorodnych osób złożone, w nocy najczęściej przy latarniach, przy szczęku broni i bagnetów ognistą i krwawą mową rozegzaltowane, na zewnątrz wylać się umieją i sprawę już zaczętą popchnąć są zdolne. Mają one siłę wsparcia. — Nabijaniu broni podobne, dopóki radzą; nabite, działać mogą siłą wystrzału. Lecz uorganizować, ani walki prowadzić z wewnętrznym i zewnętrznym wrogiem, długiej zaciętej nie umieją.

Komiteta, jako formy, zamykają tylko w sobie *Rozrząd* i *Reprezentację.*

Komisje, formami są ducha *usługi i wykonania.*

Żadna z tych form, jak widzicie, nie jest taką, ażeby w sobie zarazem *ruch, wiązanie się* i *zarząd* wyobrażała.

A my jednak jako Polacy, za cel to dziś sobie wziąć powinniśmy, żeby nietylko liczbową pomocą być dla kraju, ale umodelowanym, że tak powiem, na wolnej ziemi, posągiem ojczyzny, w któremby już pierwsze zarysy i pierwsze światła, swej świętej i wolnej przyszłości zobaczyła. Mówiąc to, przeciw pokorze nic nie występuję. Do nas należy w ruchach i w czynnosciach naszych przedstawić krajowi takie formy, któreby mu w olbrzymiej walce o wolność, szybko zjednoczyć się i zorganizować się dopomogły. Cierpieniom wygnania długiego winniśmy, że nam w ten sposób przewodniczyć nie wzbronno.

Jest forma przez wielkie i czujne przodki nasze, ku obronie wolności wystawiona, która wielokrotnie narodowi naszemu w walce z postronnym wrogiem i z wewnętrznym intrygantem lub cudzoziemcem posłużyła. Forma, której wewnętrzną naturą jest ruch i ciągłe działanie. Forma, która nie wyklucza miłości, bo zwykle się zdarzało, że zwyciężywszy zło panujące w narodzie, forma ta uniżała się sama, rachunek z czynów swoich przed istniejącą władzą składała i z pocałowaniem rąk, od przebłaganego ojca i króla narodu odchodziła. Forma, której naturą jest *jedność,* bo gdziekolwiek stanęła, tam wszystko przed jej potężną władzą zamilknąć i ustąpić musiało. Jak jest straszną ta forma, tem tylko dowiodę, że kiedy w emigracji pozwolono nam formować Komisje, Komiteta, Towarzystwa, kiedy wszystkie te igraszki naszej chęci urzędowania rządy tolerowały, to forma, o której mówię, raz jakimś instynktem w emigrację wywołana i postanowiona, skoro tylko zabłysła, wnet wywołała prześladowanie. Car, znawca prawdziwy rzeczy rzetelnie niebezpiecznych, upomniał się wnet przez swoje ambasadory, aby tę garstkę ludzi, którzy mu strasznego upiora wskrzeszali, z Paryża wypędzono. Tu już wszyscy zapewne, Mości Panowie, domyślicie się, że ta forma, o której mówię, jest to:

KONFEDERACJA!

Zaprawdę! przyszedłem tu z tą myślą długo w duchu noszoną, abyśmy teraz tę formę, a potem wszystkie inne polskiej wolności kształty do ludu rozszerzyli, do czasu zastosowali i tychże form do odbudowania kraju naszego użyli. Potrzeba więc, abym się nieco jaśniej, mówiąc o formie konfederackiej, wytłumaczył.

Jeżeli to jest prawdą, że doskonałość form ludzkich rośnie, o ile się coraz bardziej do pojęcia i do naśladowania form niebieskich zbliżamy? Jeżeli już konstytucyjne rządy pokazują się nam jako zrealizowanie politeizmu, jako sprawdzenie Olimpu na ziemię? Jeżeli istotnie król konstytucyjny pod swoją zaprzysiężoną kartą siedzący, wygląda coś na Jowisza pod księgą losów, a Sejm rozdzielony na dwoje, Bogi nam, na dwie strony

rozdzielone, wyobraża; to teraz nowe przeczucie i w pół ujrzana, a na Trójcy oparta, *nieba chrześcijańskiego* budowa, powinnaby nam w wybudowaniu najwyższej ziemskiej doskonałości przewodniczyć. Sądzę, że tak położonej rządów zasadzie *forma konfederacji* odpowiada.

Wiecie wszyscy, że żadna konfederacja powstać i zawiązać się nie mogła bez uprzednio wprzód, a często z hazardem życia położonego, *veto*. Istotnie więc, jak to widzicie, że naczelną *osobą* konfederacji była *idea*„ czyli duch i myśl tego zaprzeczenia, które potem w sercach wszystkich powszechny odzew znajdowało i naród cały w tej jednej myśli kojarzyło. Pod tą *osobą* — którą dziś, jak sądzę, uwidzialnić i w człowieku postawić będzie potrzeba, — stawały dwie drugie osoby, przez zapał idei wybrane i okrzyknione równe sobie, w trzecim duchu onego to zaprzeczyciela i *ojca* konfederacji stojące i połączone. W istocie więc, każdy urząd konfederacki był *Trójcą*, a władza jego w *jedności* rządząca, chociaż samowładna i dyktatorską prawie miecza potęgą obdarzona — przez dziwny czar jakiś — a tylko samym duchowym rządom właściwy — indywidualnej wolności nie obrażała. Trójce te i to w sobie miały, że po wszystkich prowincjach, na jedności zaprzeczenia, lecz według różnego ducha tychże prowincyj w chwili jednej zrodzone, Trójcy najwyższej poddawały się i za rozkazem jej w oka mgnieniu niknęły.

A tegoż nam potrzeba, M. Panowie, w naszej konfederackiej robocie. Bo byłoby to z hańbą naszą i z obrazą wielkiego majestatu narodowego gdybyśmy formę jaką stworzyli, którąby się w mgnieniu oka, przed krwią ochrzczoną, przed najwyższą Trójcą narodu, z wielkiego uszanowania i miłości w proch nie rozpadła. Konfederujmy się więc tu na wygnaniu z całą pokorą doczesną wygnańców. Niech się ręce nasze tysiącami wiążą i rozlewają miłość i braterstwo po emigracji. Konfederujmy potem przyległe do kraju prowincje, aż duchem skonfederuje się ojczyzna nasza i w jednej chwili, cała skonfederowana, tysiącem Trójc konfederackich w oczach carowi zaświeci. Mam to ufanie, że zadrży potęga cielesnej jedności na strasznym tronie siedząca; noc tę widząc, teraźniejszą, nagle słońcem Trójcy warszawskiej i słońcami Trójc wojewódzkich ogniście rozświeconą. Bo nie potrzeba na to ani spisków na papierze spisanych, ani znaków na piersi noszonych, aby się związać w duchu, oczyma porozumieć, wodze wspólne w sercu poznaczać i zegara bijącego najwyższą godzinę wysłuchać.

Oto jest wszystko, co wam z miłości przynoszę na tę naradę, bracia moi! a gdym to uczynił, o to jedno upraszać będę, abyście mi z dalszych narad dnia dzisiejszego ofiarę złożyli, a myśli tu wniesionej, pod dyskusją nie oddawali. Raczcie pamiętać, że formy nasze dawne, są to żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały. — Trącając je nieuważnie i bez należytego uszanowania, wstałyby

nie ciała, ale prochy i popioły z tych szat, które są prawem ziemi nadpsute i już nieco spróchniałe. Z miłością więc proszę was, zatrzymajcie się z sądem i z dyskusją, aż się ta forma, z żywotem wskrzeszonym obezna, sił dostanie i gotowa bronić się będzie.

* *
*

Wskutek tego głosu, niektórzy z braci przystąpili do związku i podpisali akt zawiązania się w Konfederacją.

KAZANIE NA DZIEŃ WNIEBOWSTĄPIENIA BOSKIEGO.[1]

Biedakami byli apostołowie, lecz Pan szedł i poznawał w nich duchy różnych narodów, którą to rozmaitość przejrzał i obmyślał, wiedząc, że je miał w różne strony świata rozesłać, aby podług narodów, każdy w swoim, opowiadali słowa Pańskie; a tak więc po śmierci Pańskiej, ogniem owionięci w zachwyceniu odzyskali pamięć tajemniczą przedwiekową i krzyknęli wraz głosy różnemi, niby ptaszkowie niebiescy o poranku różanym: niezwyczajną piosenkę w sobie znajdźmy ... A dziw jest — że oto Greka miał w Judaszu — a tegoż zepsutego dawną cywilizacją ducha utraciwszy — świętym Pawłem Ateńczykiem niegdyś — i niby bliskim Sokratesa w duchowem pochodzeniu, miejsce jego zastąpił. — Taka jest tajemnica apostołów. — Ci, że Pańskiego ducha mieć jeszcze nie mogli aż po śmierci — za żywota Chrystusowego okazują się wcale zwyczajnemi ludźmi — po śmierci zaś Chrystusa — cudownikami prawdziwemi stają — mądrzy są — i ostrożni są jak węże — a prostoty gołębiej nie utracają.— O znakach więc ewangelistów mówić naprzód, a potem o Pańskiej obietnicy, którą im dał, że będą znienawidzeni u świata.

Pierwszym znakiem ewangelisty jest otrzymany rozkaz Boży i owionięcie bark niby ogniem i siłą sakramentalną z nieba idącą ... Cięży duch Chrystusowy światu. — Niby chmura pełna piorunowej siły nad głowy ludzkie zlatuje — a piorunu oświetlenia nie wypuszcza, jeno aż się ku jakiemu na wysokości stojącemu człowiekowi przybliży, w którym moc zażądania i zapał ku ogniowi Boskiemu — i zgłodniałość niby niczem innym, tylko ogniem Boskim nakarmić się mogącą poczuje ... Wtenczas to apostoł nowy — z ramienia Bożego — bo przez duchy posłany, ku duchom — bierze na siebie ciężar i brzemię grzechów świata — a choć obciążon niemi, jednak ludzkość całą, samolubnemi ciężarami strudzoną, wyprzedza ... Znakiem więc apostoła jest ono uderzenie piorunem ... a świadectwem siła, którą z niebios dostał, a której się tu duchy mniejsze oprzeć nie mogą ... Takich apostołów i prawdziwych świata papieży — następstwo jest nie-

---

1 Dając światu nową wiarę i nową formę ustroju Polska uzyska „papiestwo duchowe“ — to jest myślą przewodnią tego kazania.

przerwane i przez wszystkie wieki aż od Chrystusa idące, a nie owo to widzialne następstwo z obioru i ciała i rozumu i myśli zimne szukającej, które zakon rzymski ogłasza — ale to drugie, z natchnienia Bożego i od siły sakramentalnej ciągle dawane, prawdziwe jest... i katolicki kościół od dwóch tysięcy lat przy Chrystusie utrzymuje.

Chrystus więc ciągle nad światem idący upatruje apostoły swoje i posyła, a nie był wiek jeden, któryby o Pańskich odwiedzinach nie słyszał... Bo nie te kilka kartek, które my ewangelją zowiemy... a które bez żywej i sakramentalnej siły Chrystusa żadnego człowieka do czynu świętego nie ruszyły — ale pchnięcie Pańskie i natura ducha naszego, większemu duchowi Chrystusa oprzeć się nie mogąca, czyni, że świat ciągle z ducha Bożego postępował a nas nigdy od wyrozumienia słów ewangelji nie oddalił...

Kto więc duchem dotknięty w pielgrzymstwo iść musi, temu ewangelja kosturem jest... a nauki jej podporą, lecz nie źródłem... Źródło ducha bowiem nie w księdze jest — ale w sakramentalnej sile... a mądrość Chrystusowa, niby dar z rąk do rąk dany... apostołowi ku nawróceniu świata posługuje.

Ksiądz Skarga następstwo takie nieprzerwane, wiekami idących apostołów wylicza, podług mocy cudownej, którą mieli ludzie, każdemu wiekowi niby przez Chrystusa darowani... W pierwszych wiekach męczennicy Pańscy byli apostołami, w następnych zaś czasach, już od śmierci uwolnieni; w czwartym wieku St Antoni, Hilarjon, Marcin i Mikołaj — w piątym St Augustyn, w szóstym Jan i Agapit cuda czyniący, w siódmym Anglji nawrócicielе, w ósmym święci także angielscy Jan i Guthbert, w dziewiątym wieku Francją St Sebastjan zadziwiający męczeństwem dla Chrystusa, w dziesiątym St Wacław do Czech Chrystusa niosący ze świętym Romualdem i Ulrykiem — w jedenastym papiestwo w Polszcze przez świętego Stanisława piastowane, w dwunastym St Bernat i Malachjasz, w trzynastym St Franciszek i St Dominik piastowali, w czternastym St Katarzyna i St Bernard znów we Francji, w piętnastym St Wincenty i Franciszek Ksawery, całym wiekiem niby duch Chrystusowy po śmierci nawet rządzący — do cudów aż tjarę papieską ponieśli... w szesnastym Luter i Zwingljusz, którzy upośledzoną władę rozumową ducha ludzkiego Chrystusa podnieśli, w siedemnastym Paskal, który to posłannictwo względem Francji wykonał — ogniem Bożym jako apostoł owiany... W osiemnastym oto naród cały już francuski pierwszy raz apostołem staje praw Chrystusowych i ziemia go słucha wstrząśniona.

Takie to papiestwo nas przy Chrystusie utrzymało — nie tam, gdzie opór był — ale tam gdzie zapał i czyn z Chrystusowego ducha idący ziemię niby płomieniem zajmował; tam prawdziwa przytomność siły sakramentalnej objawiała się... króle zwyciężali, wojska rosły... kraj się rozprzestrzeniał, niby woda rozlewająca się na wsze strony, niby słodka oliwa z dzbanu nie-

wyczerpanego płynąca... Zapał więc Boży — i cudowna moc ducha, niech nam będą znakami posłannictwa Bożego — a za innym pasterzem nie idźmy — aż za owym Pańskim, za którym jako za prawdziwym bekną wszystkie białe sumienia owieczki... Nie lękajmy się oszukanemi być przez Chrystusa... albowiem Pan nie oszukuje, a człowiek siły Chrystusowej skłamać w sobie nie może...

Jeśli tak, to podnieśmy ducha i zapytajmy się Boga, gdzie jest pasterz i przewodnik i król duch wieku... Nie ten zapewne, który jest ku trupom twarzą obrócony i chciałby iść tam, gdzie jużeśmy cierpieli — ale ów... który ku obetnicom Pańskim i ku królestwu Bożemu idzie pierwszy, a nas zaprowadzić obiecuje — papieżem jest... A przyszedł wiek — że dla wielości duchów Chrystusa uświęconych — już nie człowiek jeden, ale naród cały papiestwem ducha zajmie się... i wszelki czyn świata ku celom ostatecznym ducha ludzkiego nakieruje...

Oto kościół jest, w którym zapowiadam... okrągły, jako owoc jabłoni wiejskiej... a obszerny tak, że tylko w dłoni Chrystusowej fundament i objęcie swoje mieć może... Oto kopuła jego... niebo szmacie turkusowej podobne, a tysiącami światów złotych i srebrnych gorejące... oto wierni kościoła... już nie lud — ale ludy w stanowiskach swoich stojące — a podług miłości Bożej, którą mają i podług mocy duchowej, którą wyrobiły uszykowane... jeden przed drugim... te bliżej — a owe zaś dalej ołtarza... żaden jednak dla braku miejsca na cmentarz nie wytrącony... Oto słowa kaznodziei, jako aniołowie przelatujący z jednego narodu na drugi... Oto dzwon, który wszystko przed Bogiem ukorzył — a wszelkie stworzenie wyżej podniósł i uanielił... Oto sakramenta, które wszystko na godność synów Bożych przyspasabiają...

Jako apostoławie byli duchami różnych narodów, które Pan, choć w ciele izraelskim ukryte, rozpoznawał... co darem rozeznawania duchów, jako duch, syn Boży, mistrzem będą... podobnie naród, na apostolstwo powołany, różnemi językami gadać przeznaczony — w różnicy wnętrznej duchów gatunku ma podobnym być owej to gromadce apostołów, które Pan tak uważnie wypatrywał — z taką mądrością rozpoznał — takim umiłowaniem się wzajemnym związał — taką mocą pośmiertną uzacnił... Gdzież lud taki i duchów zbiorowisko? Pójdę li na jaką gwiazdę, gdzie duchy, które Chrystusa widziały, pełne są światła Pańskiego — i w słońcach toczących się przed wielmożnością Pańską ulatują? Zejdę li do głębokości ziemskich i z płomienisk, górom wybuchnicom duszę czyniących — wyprowadzę nowe a miłośniejsze istoty? Uchowaj Boże — jako kapłan Chrystusowy jestem na to — abym w lepiance ciał, królewskie duchów godności wypatrywał... a narody podług tajemnic duchowych rozpoznawał... a czary tłukł... i rozlewał woń Pańską — i świat ową wonią sakramentalną namaszczał. Nie apostoły obierali Chrystusa — ale on je brał — z łodzi rybackich, z budek celni-

czych i wiodąc za sobą, czynił, że się z nich każdy na godności ducha własnego poznawał... o czem i słowo Pańskie świadczy: żaden który o mnie od Ojca mego nie słyszał... poznać, kto jestem, nie może... A gdzież to usłyszenie być miało, jeśli nie w nieśmiertelnej, przed urodzeniem ducha apostolskiego, naturze i w czasach onych, gdy ci duchowie w tęskności i w pracy... przeczuć od Boga o nadchodzącym Zbawicielu dostawali...

Gdybyśmy rzekli, mówi Platon, wyraźnie to, co o Bogu prawdziwym myślą pojmujemy — ukamieniował by nas lud — a w tych słowach dosyć rzekł, iż doskonalszą wiarę, a na krzyż prowadzącą ducha Bożego, przeczuwa... Długą pracą i nad brzegiem niby grobowym stojące, przed Chrystusem spostrzegały się duchy, iż się z oną najwyższą myślą urodzić komuś będzie potrzeba — a na męczeństwo nie dbając... owszem z miłością śmierci rozpocząć pracę, od myśli, na której filozofowie kończyli... Urodził się więc Zbawiciel z wiedzą — i porodzili się apostołowie z przygotowaniem wnętrznem.

Podobnie i dziś, bracia moi, we wnętrznych błyskach i w odrodzeniach się nowych — wódz powszechnego kościoła, Chrystus, spodziewa się, iż mu odfundowane na nowo królestwo świeże i dziewicze wybuchnie... Nie od maluczkich już — ale od młodzieńczych i długo cierpiących duchów, podniesiona będzie praca apostolska nowej epoki... Patrzcież no uważnie, bo jako przed przyjściem człowieka wszystkie godności natury jego duchowej przygotowane były i wyrobione w formach niższego stworzenia — podobnie dziś — w narodzie rozsypany, niby człowiek, Chrystus żyje... i wszelką przyszłą potęgę w różnych ciałach, przez różne duchy okazuje... Nie tam więc gdzie forma i wysokość stanowiska i moc czynu już się objawiła, ale tam, gdzie są nieznane jeszcze światu moce, gdzie wola zamieniona w siłę, staje na głowie elementarnym potęgom — gdzie oddech, niby Boży, słowa i dźwięczne wyrazy przepełnia, tak, że przeleciawszy — duszę rozdziwują po sobie — i zamieniają się w działanie, tam gdzie wyrozumienie ku światu dochodzi prawie do miłości matczynej, która wszelkie dziecinne jąkanie rozumie, a z niczego się nie śmieje — a wszystko ku celom matczynym nastraja...

KONIEC.

SPIS RZECZY TOMU IV.

Wiersze z lat 1844—1849.

W pamiętniku Zofji Bobrówny 5
Wspomnienie Pani De St. Marcel 5
Do Pastereczki z Pornic 7
Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską . . . 8
Do Autora Trzech Psalmów 30
Biada wam, gdy się budzi duch 38
Radujcie się 38
Los mnie już żaden nie może zatrwożyć 39
Kiedy się w niebie gdzie zejdziemy sami 40
Śmierć, co trzynaście lat stała 40
Dusza się moja zamyśla głęboko 41
Do Matki (urywek) 41
Baranki moje 41
Proroctwo 42
Śni mi się jakaś wielka powieść 43
Bo mnie matka moja miła 43
Niedawno jeszcze kiedy spoczywał 43
Jak kamień szedłem na dno 44
Przy kościółku 44
W ostatni dzień 44
Chwal duszo Pana 45
O Boże ojców moich 45
Matecznik Ducha — Gród śmierci 45
Mój Adamito 47
Bóg duch, innego zwać nie będziecie 47
Bo to jest wieszcza najjaśniejsza chwała 48
Uspokojenie 48

Panie, jeśli zamkniesz słuch narodu 50
Kiedy prawdziwie Polacy powstaną 51
Pośród niesnasek Pan Bóg uderza 51
Ty głos cierpiący podnieś 53
Narodzie mój 54
Do Franciszka Szemiotka 55
Nie używałem leków i lekarzy 56
Snycerz był zatrudniony Diany lepieniem 56
Daję wam tę ostatnią koronę 57
Wierzę 58
Najpiękniejszy, najświętszy Boga Tron 58
Młodości, uwierz w sny 59
Patrz nad grotą 59
Córka Cerery 59
Gdzie światła gorą 60
Zachwycenie 61
Na drzewie zawisł wąż 62
Gdybym się nie czuł nieśmiertelnym duchem . . . 63
Wiesz Panie iżem zbiegał świat szeroki 63
Gdy noc głęboka wszystko uśpi 66
Dajcie mi tylko jednę ziemi milę 66
Mój Król, mój pan 67
Teraz pod żadną światową się władzę 67
Jak dawniej oto stoję na ruinach 67
Jeżeli ci Pan nie zbuduje domu 68
Ta ręka, która Krzemieniec wystrzygła 68
Wielcyśmy byli 69
Anioł ognisty 69
Jest najsmutniejsza godzina 70
Narodu mego krwią pisane czyny 70
O Polsko moja! tyś pierwsza światu 70
Do Autora Skarg Jeremiego 71
Do Ludwika Norwida 72
Do Ludwika Norwida w braterstwie idei świętej . . 72
Słuchaj młody człowieku 77
Wyjdzie stu robotników 77
A jednak ja nie wątpię 78
Młodych śmierć nie może minąć 78

Niedawno jeszcze wasze mogiły 79
O nieszczęśliwa, o uciemiężona 79
Związano wieniec 79
I wstał Anhelli z grobu 79
Sowiński w okopach woli 80
Vivat Poznańczanie 82
Wtenczas w Poznaniu 83
Anioły stoją 84

Genezis z Ducha 84

Samuel Zborowski (fragment dramatu) 101

Król Duch 181

Rapsod I. 183
Rapsod II. 217
Rapsod III. 247
Rapsod IV. 284

Wybór pism religijnych i politycznych:

Odezwa do braci w kole 323
List do Księcia Czartoryskiego 326
Fragment II-go listu do Ks. Czartoryskiego . . . 332
Do Emigracji o potrzebie idei 342
Głos z wygnania do Braci w kraju 350
Głos brata Juljusza Słowackiego 353
Kazanie na dzień Wniebowstąpienia 359

110621
21 VI 76

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
891.85 S63IK83 C001 v.3-4 IN 1
Pisma /
3 0112 093579198